

ROBIN
COOK

MUSICAL



ROBIN
COOK

NOSICIEL



ROBIN COOK

Nosiciel

Prolog 15 października, piątek Jason Papparis handlował dywanami od blisko trzydziestu lat. Zaczął w ateńskiej dzielnicy Plaça pod koniec lat sześćdziesiątych, sprzedając amerykańskim turystom koźle i owcze skóry oraz futrzaki. Jason dobrze sobie radził, a największym powodzeniem cieszył się u młodych studentek, którym z wdziękiem pokazywał nocne życie swego ukochanego miasta.

Dopóki do sprawy nie wmieszał się Ios. W upalny letni wieczór do sklepu Jasona weszła Helen Herman, mieszkanka Queens w stanie Nowy Jork, i z rozrządzeniem pogładziła kilka wspaniałych dywanów. Jak przystało na romantyczkę, Helen straciła głowę dla Jasona, jego rozmarzonych oczu i składanych jej hołdów.

Jason zapalał do niej równie silnym uczuciem. Kiedy Helen wyjechała do Stanów, poczuł się nieskończenie samotny. Wymienili namiętne listy, potem doszło do wizyty. Podróż Jasona do Nowego Jorku roznieciła w nim płomień pożądania. W końcu wyemigrował, poślubił Helen i przeniósł interes na Manhattan.

Jego biznes rozkwitł. Szerokie kontakty, które przez lata nawiązał z producentami w Grecji i Turcji, teraz bardzo się opłaciły, pozwalając mu na stworzenie swego rodzaju monopolu. Zamiast otwierać sklep detaliczny w Nowym Jorku, Jason – bardzo rozsądnie – postanowił zająć się sprzedażą hurtową. W firmie nie było śladu biurokracji, gdyż Jason nikogo nie zatrudniał. Miał tylko biuro na Manhattanie i hurtownię w Queens. Transport i uzupełnianie zapasów leżały w gestii innych przedsiębiorstw, czasem jedynie Jason wynajmował kogoś do prac biurowych. Transakcje odbywały się za pośrednictwem telefonu i faksu. W rezultacie drzwi biura Jasona były zawsze zamknięte.

Pewnego piątkowego wieczoru przez otwór w drzwiach wpadły jak zwykle listy. Siedzący za biurkiem Jason położył swoje nieodstępne cygaro na krawędzi wypełnionej niedopałkami popielniczki i wstał, aby odebrać pocztę. Spodziewał się znacznej liczby czeków, które by wyrównały powiększające się ujemne saldo jego firmy. Wróciwszy na miejsce, Jason przerzucił korespondencję, odkładając każdy dokument na właściwą kupkę, ulotki zaś wrzucając do kosza na śmieci. Kiedy sięgał po przedostatnią kopertę, zawahał się. Była gruba i kwadratowa, nie prostokątna. Jason wymacał w środku małą, nieregularną wypukłość. Po opłacie pocztowej zorientował się, że nie jest to list handlowy, tylko polecony. W lewym dolnym rogu widniał odcisk pieczęci z napisem: Delikatna zawartość!

Jason odwrócił kopertę w palcach. Była wykonana z grubego, gładkiego papieru wysokiej jakości. Nie był to papier, w jaki zwykle pakuje się reklamy, adres na odwrocie głosił: Zakład Czyszczenia ACME: Powierz nam swój kurz. Firma mieściła się na dolnym Broadwayu.

Ponownie obrócił kopertę i zauważył, że jest zaadresowana na jego nazwisko, nie na Korynckie Przedsiębiorstwo Dywanowe. Pod adresem widniały słowa: Osobiste i poufne.

Kciukiem i palcem wskazującym spróbował ustalić, czym jest ta wypukłość, ale nic nie wskórał. W końcu ciekawość zwyciężyła – Jason wziął nożyk do listów i przeciął górną krawędź koperty. W środku dostrzegł złożoną na pół kartkę papieru równie dobrej jakości, jak koperta.

–Co za licho? – spytał na głos. Z pewnością nie była to zwyczajna ulotka. Wyciągnął kartkę, zdziwiony, że jakiś spec od reklamy zdołał namówić zakład czyszczenia, by rozesłał do klientów tak drogą zabawkę. Kartka była zalakowana. Jej środek zajmowało jedno słowo: Niespodzianka!

Gdy Jason złamał pieczęć, kartka podskoczyła mu nagle w dłoniach i otworzyła się. Jednocześnie ukryta sprężynka rozrzuciła w powietrzu chmurkę pyłu wraz z garścią małych kolorowych gwiazdeczek.

Ten niespodziewany ruch zaskoczył Jasona; pył sprawił, że kichnął parę razy.

Zaraz jednak się uśmiechnął. Wewnątrz kartki było wezwanie: Zadzwoń – my posprzątam ten bałagan!

Jason pokręcił głową w zdumieniu. Musiał przyznać, że pomysłowość reklamy ACME wywarła na nim wrażenie. Była rzeczywiście oryginalna, sprytnie obmyślona – i skuteczna. Jason stwierdził, że gdyby potrzebował tego typu usług, chętnie wciągnąłby firmę na swoją listę, ale tym zajmował się gospodarz domu.

Jason wrzucił kartkę i kopertę do kosza, a potem pochylił się, żeby pozbierać błyszczące gwiazdki z koszuli. Poczuł, że kręci go w nosie – znów kichnął parokrotnie, aż łzy napłynęły mu do oczu.

Jak zwykle w piątek Jason skończył wcześniej. Ponieważ była piękna jesienna pogoda, poszedł pieszo do Grand Central Station, aby wsiąść do podmiejskiego pociągu o piątej piętnaście. Czterdzieści pięć minut później,

zbliżając się do swojej stacji, poczuł klucie w klatce piersiowej. Odruchowo przełknął ślinę, lecz nic to nie dało.

Odchrząknął mocno, ale i to okazało się nieskuteczne. Wtedy poklepał się po piersi i zaczął głęboko oddychać.

Siedząca obok niego kobieta opuściła nieco płachtę gazety.

–Czy dobrze się pan czuje? – spytała.

–O tak, nic mi nie jest – odparł Jason zakłopotanym głosem. Zastanawiał się, czy wypalił dziś więcej niż zazwyczaj papierosów.

Wieczorem usiłował zlekceważyć łaskotanie w piersi, ale dziwne uczucie nie ustępowało. Helen zdała sobie sprawę, że coś się stało, kiedy Jason zamiast jeść, rozgrzebywał jedzenie na talerzu. Jak co piątek byli na kolacji w swoim ulubionym lokalu – greckiej restauracji. Przychodzili tu co najmniej raz w tygodniu po tym, jak ich jedyna córka wyjechała na studia.

–Coś dziwnego dzieje się z moją klatką piersiową – przyznał wreszcie Jason w odpowiedzi na pytanie Helen.

–Mam nadzieję, że to nie kolejna grypa. – Mimo że Jason był w zasadzie zdrowy, słabość do papierosów sprawiła, że dość często zapadał na choroby układu oddechowego, zwłaszcza grypę. Trzy lata temu przeszedł poważne zapalenie płuc.

–To nie może być grypa – zaproponował Jason. – Przecież nie zaczął się jeszcze okres zachorowań na grypę, prawda?

–Mnie o to pytasz? Nie wiem. Ale czy nie w tym samym czasie złapałeś grypę? w zeszłym roku?

–To było w listopadzie – poinformował Jason.

Kiedy wrócili do domu, Helen nalegała, żeby Jason zmierzył temperaturę. Miał trzydzieści osiem stopni gorączki. Po dyskusji, czy powinni zadzwonić do doktora Goldsteina, ich domowego lekarza, w końcu się na to nie zdecydowali. Nie chcieli podczas weekendu zawracać lekarzowi głowy.

–Czemu coś takiego zawsze się trafia w piątek wieczorem? – spytała Helen ze smutkiem.

Jason spał kiepsko. W nocy tak się spocił, że musiał wziąć prysznic. Kiedy się wycierał, dostał zimnych dreszczy.

–Dosyć tego – stwierdziła Helen. Owinęła trzęsącego się męża w kilka koców. – Rano telefonujemy do doktora.

–A co on poradzi? – wychrypiął Jason. – Mam grypę, i tyle. Każe mi siedzieć w domu, łykać aspirynę, pić dużo płynów i wypoczywać.

–Może przepisze ci jakieś antybiotyki – zasugerowała Helen.

–Zostało trochę antybiotyków z zeszłego roku – przypomniał sobie Jason. – Są w apteczce. Przynies je! Nie trzeba mi lekarza.

W sobotę było jeszcze gorzej. Późnym popołudniem Jason przyznał, że mimo aspiryny, płynów i antybiotyków czuje się o wiele gorzej. Nieprzyjemne uczucie w piersi przeszło w ból. Gorączka podskoczyła mu do czterdziestu dwóch stopni, dusił go również kaszel. Ale najbardziej uskarżał się na dotkliwy ból głowy i bóle mięśni.

Próby kontaktu z doktorem Goldsteinem spełzły na niczym. Lekarz wyjechał na weekend do Connecticut. Nagrana na sekretarce wiadomość radziła kierować się do najbliższego dyżurującego szpitala.

Po długim czekaniu na swoją kolej Jason został w końcu zbadany przez lekarza z ostrego dyżuru. Doktor nie krył swego zdumienia stanem zdrowia Jasona, zwłaszcza po prześwietleniu jego klatki piersiowej. Helen odetchnęła z ulgą, gdy lekarz przyjął Jasona do szpitala i przekazał go doktorowi Heitmanowi, który zajmował się pacjentami doktora Goldsteina. Orzeczenie brzmiało: grypa i początek zapalenia płuc. Jasonowi zaczęto dożylnie podawać antybiotyki.

Gdy tuż przed północą przywieziono go do pokoju szpitalnego, czuł się tak źle jak nigdy w życiu. Skarżył się na

ból w piersi, który przy każdym kaszlnięciu stawał się nie do zniesienia, i na uporczywy ból głowy. Kiedy doktor Heitman przyszedł go odwiedzić, Jason błagał go o jakiś środek przeciwbólowy; dano mu Percodan.

Lekarstwo zadziało po niemal półgodzinie. Doktor Heitman zdążył już opuścić szpital. Jason leżał na łóżku wyczerpany, ale niezdolny zasnąć. Czuł, że w jego ciele toczy się śmiertelna bitwa. Przechylił głowę na bok, spojrzął w półmroku na Helen i uściśnął jej dłoń. Żona czuwała przy nim w ciszy. Po policzku Jasona spłynęła samotna łza. Oczami wyobraźni ujrzał Helen jako młodą kobietę, która wiele lat temu weszła do jego sklepu w dzielnicy Plaka.

W miarę jak upragnione odrętwienie ogarniało jego ciało, obraz Helen zaczął blaknąć i gasnąć. O dwunastej trzydzieści pięć nad ranem Jason Papparis po raz ostatni w życiu zapadł w sen. Na szczęście był nieprzytomny, kiedy błyskawicznie odwieziono go na oddział intensywnej opieki, gdzie doktor Kevin Fowler podjął nieudaną próbę uratowania mu życia.

Rozdział 1 18 października, poniedziałek, 4.30 Silniki małego samolotu pasażerskiego pracowały nierówno. Raz wyły, gdy maszyna spadała nieuchronnie ku ziemi, to znowu dziwnie milkły, jakby pilot niechcący je wyłączył.

Jack Stapleton patrzył na to z trwogą, wiedząc, że na pokładzie jest jego rodzina, a on nie może nic zrobić. Samolot lada moment się rozbije! Jack krzyknął bezsilnie: NIE! NIE! NIE!

Krzyk wyrwał go z objęć powtarzającego się co noc koszmaru – Jack wyprostował się w łóżku. Oddychał z wysiłkiem, jak gdyby skończył właśnie grać w koszykówkę, a pot spływał mu ciurkiem po nosie. Nie wiedział, gdzie jest, dopóki jego oczy nie prześlizgnęły się po sypialni. Źródłem przerywanego dźwięku był nie samolot, ale telefon. Głośny dzwonek bezlitośnie wdzierał się w noc.

Jack spojrzął na budzik radiowy. Cyferki wyświetlacza płonęły w ciemnym pokoju. Była czwarta trzydzieści! Nikt nigdy nie dzwonił do Jacka o tej porze. Sięgając po słuchawkę, wyraźnie przypomniał sobie noc przed ośmiu laty, kiedy zbudził go telefon z informacją, że jego żona i córki zginęły w katastrofie lotniczej.

Chwycił gwałtownie słuchawkę i odezwał się nerwowym, suchym głosem.

–Oho, coś mi się wydaje, że cię obudziłam – powiedział kobiecy głos. Na linii były zakłócenia.

–Nie wiem, skąd ci to wpadło do głowy? – zripostował Jack, przytomniejąc na tyle, by przybrać ton sarkazmu. – Kto mówi?

–Tu Laurie. Przepraszam, że cię zbudziłam, ale nie mogłam czekać. – Zachichotała.

Jack zamknął oczy, a potem znowu spojrzął na zegarek, aby wykluczyć możliwość pomyłki. Bez wątplenia: czwarta trzydzieści nad ranem!

–Słuchaj, będę się streszczać. Dziś wieczór chcę się z tobą umówić na kolację.

–To pewnie dowcip – odparł Jack.

–Bynajmniej – zapewniła Laurie. – To poważna sprawa. Muszę z tobą porozmawiać i chciałabym to uczynić przy kolacji. Na mój rachunek. Ty masz tylko powiedzieć: „Tak!” – No dobrze – odparł bez przekonania Jack.

–Przyjmuję to za znak zgody – oświadczyła Laurie. – Jak się spotkamy w biurze, powiem ci, gdzie się spotkamy. Okay?

–Chyba. – Nie był jednak tak przytomny, jak sądził. Jego umysł pracował nadal na zwolnionych obrotach. – Świetnie – skwitowała Laurie. – Do widzenia.

Jack zamrugał oczami, słysząc, że Laurie przerwała połączenie. Odłożył słuchawkę i po ciemku wpatrywał się w telefon. Znał Laurie Montgomery od przeszło czterech lat. Razem pracowali w Biurze Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej dla Miasta Nowy Jork. Była też jego przyjaciółką, w istocie kimś więcej niż przyjaciółką, ale przez cały okres ich znajomości nigdy nie dzwoniła tak wcześnie rano. I to bez powodu. Jack wiedział, że Laurie nie jest rannym ptaszkiem. Czytała książki do późna w nocy, toteż poranne wstawanie było dla niej codzienną próbą charakteru.

Jack opadł z powrotem na poduszkę, miał zamiar przespać następne półtorej godziny. W przeciwieństwie do Laurie lubił wcześniej wstawać, ale w pół do czwartej to było odrobinę za wcześnie. Nawet dla niego.

Niestety, szybko skonstatował, że sen już nie wróci. Telefon i koszmar sprawiły, że nie mógł zasnąć. Przez pół godziny rzucał się i miotał w łóżku, po czym odrzucił kołdrę i powłókł się do łazienki.

Zapalił światło i przyjrzał się sobie w lustrze, skrobiąc się po zarośniętej twarzy. Mimo woli spojrzął na wyszczerbiony lewy siekacz i bliznę na czole – pamiątki po prywatnym śledztwie, jakie przeprowadził w związku z serią tajemniczych zgonów.

Miało to ten nieoczekiwany skutek, że Jack stał się w Biurze specjalistą od chorób zakaźnych.

Uśmiechnął się. Ostatnio zdał sobie sprawę, że gdyby osiem lat temu ujrzał siebie w kryształowej kuli, nie poznałby się w obecnej postaci. Wówczas był rumianym, miejskim okulistą ze Środkowego Zachodu, noszącym konserwatywne ubrania.

Teraz był szczupłym, energicznym patologiem sądowym z Nowego Jorku, o krótko przyciętych, szpakowatych włosach, wyszczerbionym zębie i z blizną na twarzy. Co zaś do stroju, w tej chwili preferował skórzane kurtki, wytarte dżinsy i płócienne koszule. Żeby nie myśleć o rodzinie, Jack zastanowił się nad dziwnym zachowaniem Laurie. Zupełnie do niej nie pasowało. Laurie zawsze przykładła wagę, może nawet zbyt dużą, do etykiety. Bez istotnej przyczyny nigdy by nie zadzwoniła do niego o tak wczesnej porze. Jack był ciekaw, co to za przyczyna.

Ogolił się i wszedł pod prysznic, próbując się domyślić, dlaczego telefonowała w środku nocy, by umówić się z nim na kolację. Co prawda często jedli razem kolację, lecz zazwyczaj decydowali się na nią spontanicznie. Po co Laurie zaklepywała spotkanie już teraz?

Wycierając się, Jack postanowił do niej zadzwonić. Zgadywanie zamiarów Laurie mijało się z celem. Skoro już przerwała mu sen, powinna się przynajmniej wytłumaczyć ze swego postępku. Gdy jednak Jack wybrał jej numer, odezwała się automatyczna sekretarka. Przypuszczając, że Laurie bierze prysznic, Jack zostawił wiadomość z prośbą, aby oddzwoniła.

Zanim zjadł śniadanie, minęła szósta. Ponieważ Laurie wciąż się nie zgłaszała, Jack zadzwonił po raz wtóry. Ku jego rozdrażnieniu, znów odezwała się automatyczna sekretarka. Jack odłożył słuchawkę w pół zdania.

Na dworze było już jasno i Jack wpadł na pomysł, żeby wcześniej wyruszyć do pracy. Wtedy przyszło mu do głowy, że być może Laurie telefonowała z biura. Choć był pewien, że Laurie nie ma dyżuru, nie można było wykluczyć, iż pojawił się przypadek, który szczególnie ją zainteresował.

Zadzwonił do Biura. Zgłosiła się Marjorie Zankowski, telefonistka z nocnej zmiany. Powiedziała, że jest pewna na dziewięćdziesiąt procent, że doktor Laurie Montgomery nie ma w biurze. Dodała, że jedynym obecnym tam lekarzem jest pełniący dyżur patolog.

Z frustracją bliską złości Jack dał za wygraną. Obiecał sobie, że nie będzie już trwonił energii na rozszyfrowywanie, co Laurie chodzi po głowie. Poszedł do pokoju dziennego, skulił się na tapczanie i zaczął czytać jedno z wielu zaległych czasopism z zakresu medycyny sądowej.

Za piętnaście siódma wstał, rzucił pismo na ziemię i wziął swój rower górski Cannondale, stojący pod ścianą. Przerzucił go sobie przez ramię i zaczął schodzić z trzeciego piętra. Tylko dlatego, że był wczesny ranek, z mieszkania 2B nie dochodziły odgłosy awantury. Na parterze Jack musiał kluczyć między stertami śmieci, które ktoś wyrzucił na klatkę schodową.

Na Sto Szóstej Zachodniej wciągnął do płuc październikowe powietrze. Po raz pierwszy tego dnia poczuł się świeżo. Wsiadł na swój fioletowy rower i ruszył w kierunku Central Parku, mijając po lewej puste osiedlowe boisko do koszykówki.

Kilka lat temu, w dniu, kiedy cios w zęby wyszczerbił mu lewy siekacz, Jackowi skradziono jego pierwszy górski rower. Idąc za radą kolegów, zwłaszcza Laurie, którzy ostrzegali go przed niebezpieczeństwami jazdy na rowerze w wielkim mieście, Jack oparł się pokusie, aby sprawić sobie drugi. Jednak po tym, jak napadnięto go w metrze, zdecydował się wrócić do roweru.

Gdy rower był nowy, Jack jeździł stosunkowo ostrożnie. Niebawem jednak to się zmieniło. Teraz powrócił w pełni do starych nawyków. W drodze do i z pracy dawał ujście swoim autodestrukcyjnym popędom – dwa razy na dzień odbywał mrozący krew w żyłach spacer po linie nad przepaścią. Uważał, że nie ma nic do stracenia.

Jeżdżąc po wariacku i ciągle kusząc los, Jack jakby chciał powiedzieć, że skoro jego rodzina musiała zginąć, on powinien być umrzeć wraz z nią i może wkrótce do niej dołączy.

Zanim dotarł do Biura na rogu Pierwszej Avenue i Trzydziestej Ulicy, wdał się w dwie pyskówki z taksówkarzami i miał małą kolizję z miejskim autobusem. Niewzruszony, oddychając spokojnie, Jack zostawił rower na parterze, obok trumien z Hart Island, i udał się na górę do strefy dla personelu. Większość ludzi byłaby podekscytowana tego rodzaju przeprawą. Ale nie Jack. Utarczki i wysiłek fizyczny przynosiły mu uspokojenie, przygotowywały go do codziennej biurokratycznej mordęgi.

Przechodząc, musnął krawędź gazety Vinniego Amendoli, technika medycznego, który siedział na swoim ulubionym miejscu tuż za drzwiami. Jack przywitał się, ale Vinnie go zlekceważył. Jak zwykle wkuwał na pamięć wyniki rozgrywek sportowych z poprzedniego dnia.

Vinnie pracował w Biurze Głównego Inspektora dłużej niż Jack. Był dobrym fachowcem, choć raz omal nie wylano go z pracy za przeciek informacji, który okrył biuro wstydem i wystawił Jacka i Laurie na niebezpieczeństwo. To, że został tylko zawieszony, a nie zwolniony, zawdzięczał niejasnym okolicznościom, w jakich działał.

W wyniku przeprowadzonego śledztwa ustalono, że Vinnie był szantażowany przez niemiłych panów ze świata przestępczego. Jego ojciec utrzymywał swego czasu luźne kontakty z mafią.

Jack przywitał się z doktorem George'em Fontworthem, korpulentnym kolegą patologiem, który w biurowej hierarchii wyprzedzał go o siedem lat. George zaczynał akurat dyżur. Przez tydzień do niego należało przeglądanie raportów dotyczących zejść śmiertelnych z zeszłej nocy i decydowanie, które przypadki będą poddane autopsji i kto będzie ją wykonywał. Dlatego tak wcześnie zjawił się w biurze. Zazwyczaj przychodził na szarym końcu. Wszyscy patolodzy kolejno pełnili takie dyżury.

–Sympatyczne powitanie – mruknął Jack, kiedy George zignorował go podobnie jak przed chwilą Vinnie.

Nalał sobie do kubka kawy, którą Vinnie zrobił tuż po przyjściu. Przychodził wcześniej od innych techników, żeby w razie potrzeby asystować dyżurującemu lekarzowi. Do jego obowiązków należało między innymi parzenie kawy we wspólnym czajniku.

Z kubkiem w ręce Jack podreptał do George'a i zerknął mu Przez ramię.

–Wypraszam sobie! – rzucił opryskliwie George. Zastonił leżące przed nim papiery. Złościł się, kiedy ktoś zaglądał mu przez ramię.

Jack i George nie bardzo za sobą przepadali. Jack nie tolerował przeciętniaków i z zasady nigdy nie krył się ze swymi poglądami. George mógł mieć wspaniałe rekomendacje – studiował pod kierunkiem jednego z mistrzów patologii sądowej – lecz zdaniem Jacka po prostu odrabiał pańszczyznę. Toteż Jack nie darzył go szacunkiem.

Uśmiechnął się w odpowiedzi na reakcję George'a. Drażnienie go sprawiało mu perwersyjną przyjemność.

–Jest coś superciekawego? – spytał.

Obszedł biurko i stanął przed George'em. Palcem wskazującym zaczął kartkować teczki, odczytując wstępne diagnozy.

–Są ułożone po kolei! – warknął George. Odepchnął rękę Jacka i przywrócił swoje sterty do poprzedniej postaci. Porządkował teczki według przyczyny i rodzaju śmierci.

–Masz coś dla mnie? – zapytał Jack. W pracy patologa sądowego lubił to, że nigdy nie wiedział, co przyniesie kolejny dzień. Kiedy pracował jako okulista, było zupełnie inaczej. Wtedy już trzy miesiące naprzód wiedział, jak będzie wyglądać jego następny dzień.

–Owszem, mam jeden przypadek infekcji – przyznał George. – Chociaż nie wiem, czy jest „superciekawy”. Bierz go, jeśli chcesz.

–Dlaczego się tu znalazł? Bez diagnozy?

–Jest tylko wstępne rozpoznanie. Prawdopodobnie to grypa przechodząca w zapalenie płuc. Ale pacjent zmarł, zanim kultury wróciły z laboratorium. Sprawa jest skomplikowana o tyle, że barwnik Grama nic nie wykazał. Na dodatek jego lekarz wyjechał na weekend.

Jack wziął teczkę. Zmarły nazywał się Jason Papparis. Jack wysunął bloczek informacyjny wypełniony przez Janice Jaeger, wywiadowcę sądowego współpracującego z patologami. Przebiegł arkusz wzrokiem i skinął głową z podziwem. Janice raz jeszcze udowodniła, że jest sumienną pracownicą. Odkąd Jack zasugerował, by w przypadkach infekcji dowiadywała się o podróże i kontakty ze zwierzętami, Janice zawsze to czyniła.

–Jakaś piekielna grypa! – skomentował Jack. Zauważył, że zmarły przebywał w szpitalu niecałe dwadzieścia cztery godziny. Ale stwierdził również, że mężczyzna był nałogowym palaczem i cierpiał na dolegliwości dróg oddechowych. Rodziło to pytanie, czy czynnik zakaźny był tak silny, czy też pacjent wyjątkowo słaby.

–Bierzesz to czy nie? – spytał George. – Dziś rano mamy mnóstwo zejść. Wpisałem cię już na parę innych, w tym na zmarłego w areszcie więźnia.

–Oj! – jęknął Jack. Wiedział, że tego rodzaju przypadki z reguły mają polityczny i społeczny wydźwięk. – Jesteś pewny, że Calvin, nasz nieustraszony wiceszef, nie będzie chciał wziąć tej sprawy?

–Dzwonił wcześniej i kazał mi przypisać ją tobie – poinformował George, – Zgłosił się do niego jakiś policyjny ważniak i Calvin uznał, że ty najlepiej nadasz się do tej roboty.

–A to ci ironia – stwierdził Jack. Coś tu się nie zgadzało. Zarówno zastępca inspektora, jak i sam główny inspektor bez przerwy skarżyli się na jego brak dyplomacji i lekceważenie politycznych i społecznych aspektów zawodu lekarza sądowego.

–Jak nie chcesz tej infekcji, to dam ci przedawkowanie – zaproponował George.

–Wezmę infekcję – rzekł Jack.

Nie lubił przedawkowań. Wszystkie wyglądały tak samo, a Biuro było nimi wręcz zarzucone. Nie stanowiły żadnego wyzwania dla intelektu. – Świetnie – skwitował George i zrobił adnotację na końcowej liście.

Jack, gotów rzucić się w wir pracy, podszedł do Vinniego i odchylił krawędź gazety. Vinnie spojrzał na niego smętnie swoimi czarnymi jak węgiel oczami. Skrzywił się. Wiedział, co go czeka. Niemal każdego dnia było to samo.

–Tylko mi nie mów, że chcesz dziś zacząć wcześniej – jęknął błagalnie.

–Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje – odparł Jack. To wyświechtane przysłowie było jego stałą odpowiedzią na poranny marazm Vinniego. Mimo że technik dobrze wiedział, że Jack nie omieszka go powtórzyć, zawsze doprowadzało go do szału.

–Za nic nie mogę pojąć, czemu nie przychodzisz o tej samej porze co wszyscy – wymruczał Vinnie.

Wbrew pozorom Jack i Vinnie rozumieli się doskonale. Z powodu skłonności Jacka do wczesnego zjawiania się w pracy zwykle pracowali razem i stworzyli zgrany zespół. Jack wołał Vinniego od pozostałych techników, Vinnie zaś wołał Jacka. Mawiał, że Jack „nie opieprza się”.

–Czy widziałeś doktor Montgomery? – zapytał Jack, kiedy szli w stronę windy.

–Ona jest zbyt inteligentna, żeby przychodzić tak wcześnie – odrzekł Vinnie. – Jest normalna, czego nie można powiedzieć o tobie.

Gdy przechodzili przez salę łączności, Jack spostrzegł, że w pokoju sierżanta Murphy’ego pali się światło. Sierżant był członkiem Biura Osób Zaginionych przy Nowojorskim Departamencie Policji. Przydzielono go do Biura Głównego Inspektora wiele lat temu. Nieczęsto pokazywał się przed dziewięcią.

Zdziwiony, że tryskający energią Irlandczyk już przyszedł, Jack zboczył z drogi i zerknął do jego ciasnego biura. Oprócz Murphy'ego ujrzał tam także innych. Na wprost sierżanta siedział detektyw porucznik Lou Soldano z wydziału zabójstw – stały gość w murach kostnicy. Jack znał go stosunkowo dobrze, bo porucznik przyjaźnił się z Laurie. Przy nim siedział drugi ubrany po cywilnemu dżentelmen, którego twarz nic Jackowi nie mówiła.

–Jack! – zawołał Lou na jego widok. – Wejdz na chwilę. Chciałbym, żebyś kogoś poznał.

Jack wszedł do malutkiego pokoju. Lou podniósł się. Jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby nie spał przez całą noc. Miał podkrążone oczy i nie ogolony podbródek, który wyglądał jak usmarowany sadzą. Ubranie leżało na nim byle jak, górny guzik szarobiałej koszuli był rozpięty, a krawat poluzowany.

–To jest agent specjalny Gordon Tyrrell – oznajmił Lou, wskazując gestem siedzącego obok mężczyznę. Tamten wstał i wyciągnął rękę.

–To znaczy FBI? – spytał Jack, ściskając dłoń mężczyzny.

–W rzeczy samej – potwierdził Gordon.

Jack nigdy nie witał się z przedstawicielem Federalnego Biura Śledczego. Nieco inaczej wyobrażał sobie podobne doświadczenie. Gordon miał drobną, wiotką, prawie kobiecą dłoń, a jego uścisk był słaby. Był niskim człowiekiem o delikatnych rysach twarzy, który bynajmniej nie przypominał stereotypu silnego mężczyzny znanego Jackowi z dzieciństwa. Jego ubiór był konserwatywny i dobrany z dbałością. Wszystkie trzy guziki marynarki były zapięte. W niemal każdym szczególe Gordon stanowił przeciwieństwo Lou.

–Co tu się dzieje? – zdziwił się Jack. – Nie przypominam sobie, kiedy ostatnio widziałem sierżanta tak wcześniej w pracy.

Murphy roześmiał się i zaczął protestować, ale Lou wpadł mu w słowo.

–Wczoraj w nocy dokonano zabójstwa, które bardzo niepokoi FBI – wyjaśnił porucznik. – Mamy nadzieję, że autopsja rzuci na nie trochę światła.

–Co spowodowało zgon? – spytał Jack. – Strzał z broni czy pchnięcie nożem?

–Wszystko po trochu – odparł Lou. – Ciało jest zmasakrowane. Do tego stopnia, że nawet tobie może się zrobić niedobrze.

–Znaleziono jakiś dowód tożsamości? – pytał Jack. Czasami, w wypadku ciężko uszkodzonych zwłok, największą trudność sprawiała identyfikacja.

Lou podniósł brwi i spojrzał na Gordona. Nie wiedział, ile można ujawnić w tej sprawie.

–W porządku – przytaknął Gordon.

–Tak, znaleźliśmy dowód tożsamości – odparł Lou. – Mężczyzna nazywał się Brad Cassidy. Lat dwadzieścia dwa, biały skinhead.

–Jeden z tych rasistowskich oberwańców? – spytał Jack. – Tych dzieciaków z nazistowskimi tatuażami, w skórzanych kurtkach i czarnych buciorach? – Od czasu do czasu widywał takie typy wałęsające się po miejskich parkach. Jeszcze częściej widywał skinów na Środkowym Zachodzie, kiedy odwiedzał matkę.

–Dokładnie – potwierdził Lou.

–Nie wszyscy noszą nazistowskie symbole – zauważył Gordon.

–Tak, to prawda – rzekł Lou. – W rzeczywistości niektóre z tych dzieciaków przestały już nawet golić głowy. Ich styl też ulega zmianom.

–Ale nie muzyka – stwierdził George. – To prawdopodobnie najbardziej stała cecha tego ruchu, z pewnością tworząca jego styl.

–Na tym kompletnie się nie znam – wyznał Lou. – Nigdy nie byłem melomanem.

–No cóż, znaczenie muzyki dla amerykańskich skinheadów jest nie do przecenienia – oznajmił George. – Ona dała temu ruchowi ideologię nienawiści i przemocy.

–Serio? – zdziwił się Lou. – To się wzięło z muzyki?

–Nie przesadzam. W Stanach, inaczej niż w Anglii, ruch skinheadów zaczął się jako moda w stylu punków, żeby szokować wyglądem i zachowaniem. Ale z chwilą pojawienia się takich grup jak Skrewdriver i Brutal Attack nastąpiła wyraźna zmiana.

Treści ich piosenek promowały wypaczoną filozofię buntu i przetrwania. W tym właśnie mają swoje korzenie nienawiść i przemoc.

–A więc jest pan swego rodzaju ekspertem od skinheadów? – zapytał Jack. Był pod wrażeniem.

–Wyłącznie z konieczności – wyjaśnił Gordon. – Tak naprawdę zajmują mnie ultrapravicowe, ekstremistyczne bojówki. Musiałem jednak rozszerzyć swoje pole zainteresowań. Niestety, Biały Aryjski Ruch Oporu zaczął modę na rekrutowanie skinheadów do oddziałów szturmowych, zbierając plony z ziarna nienawiści i przemocy, które zasiała muzyka. Wiele neofaszystowskich ugrupowań poszło ich śladem, zrzucając na młodzież całą brudną robotę i wciągając ją w neonazistowską propagandę.

–Czy to nie te dzieciaki zwykle biją przedstawicieli mniejszości narodowych? – zapytał Jack. – Co się stało temu facetowi? Czy ktoś go zabił w samoobronie?

–Skini równie często biją się między sobą, jak i atakują obcych – wyjaśnił Gordon. – Tutaj mamy do czynienia z tym pierwszym.

–Skąd takie zainteresowanie Bradem Cassidym? – spytał Jack. – Myślałem, że jeden skinhead mniej ułatwi wam życie.

Vinnie wsunął głowę do pokoju, żeby poinformować Jacka, iż jeśli ten zamierza dalej kłapać paszczą, to on wraca do lektury „New York Posta”. Jack zbył go machnięciem ręki.

–Brad Cassidy został przez nas zwerbowany na potencjalnego informatora – wyjaśnił Gordon. – Cofnęliśmy mu zarzuty o parę wykroczeń w zamian za współpracę.

Starał się nawiązać kontakt i podjąć próbę infiltracji organizacji zwanej Ludowa Armia Aryjska, w skrócie LAA.

–Nie słyszałem o niej – przyznał Jack.

–Ani ja – dodał Lou.

–Działają w konspiracji – powiedział Gordon. – Wiemy o nich jedynie to, co zdołaliśmy przechwycić przez Internet, który, nawiasem mówiąc, stał się głównym kanałem komunikacyjnym tych neonazistowskich oszołomów. Wiemy, że LAA działa gdzieś na obszarze nowojorskiej metropolii i że wciągnęła do współpracy paru miejscowych skinheadów. Ale bardziej niepokoją nas niejasne aluzje do zbliżającej się akcji. Obawiamy się, że mogą planować jakiś zamach.

–Coś na kształt wysadzenia w powietrze budynku Alfreda P. Murraha w Oklahoma City – wyjaśnił Lou. – Grubszy terrorystyczny numer.

–Wielki Boże! – zawołał Jack.

–Nie mamy pojęcia, co, gdzie ani kiedy – wyznał Gordon. – Mamy nadzieję, że to zwykle szpanowanie i przechwałki, co jest typowe dla tych grup. Jednak nie chcemy ryzykować. Ponieważ jedyną skuteczną obroną przed terroryzmem jest kontrwywiad, robimy, co w naszej mocy. Zawiadomiliśmy już ludzi ze Sztabu Kryzysowego, ale niestety, nie potrafimy im udzielić zbyt wielu informacji.

–Ten martwy skin to na razie nasz jedyny ślad – stwierdził porucznik. – Dlatego interesują nas wyniki autopsji. Mamy nadzieję coś znaleźć, choćby jakiś drobiazg,

–Czy mam natychmiast zrobić sekcję? – spytał Jack, – Właśnie szedłem do przypadku infekcji, ale to może poczekać.

–Już poprosiłem Laurie, aby się tym zajęła – odparł Lou. Zarumienił się, na ile pozwalała mu na to jego ciemna karnacja. – Zgodziła się to zrobić.

–Kiedy rozmawiałeś z Laurie? – zapytał Jack.

–Dziś rano – odrzekł Lou.

–Naprawdę? Gdzie ją złapałeś? W domu?

–Prawdę mówiąc, zadzwoniła do mnie na komórkę.

–O której godzinie?

Lou zawahał się.

–Może około wpół do piątej rano? – podsunął Jack. Zachowanie Laurie stawało się coraz bardziej tajemnicze.

–Mniej więcej – potwierdził Lou.

Jack ujął porucznika za ramię.

–Przepraszam – powiedział do Gordona i sierżanta Murphy'ego.

Wprowadził Lou do sali łączności. Marjorie Zankowski zerknęła na nich, a potem wróciła do swojej pracy. Centralka telefoniczna milczała.

–Do mnie też Laurie dzwoniła o wpół do piątej – wyszeptał Jack. – Obudziła mnie. Nie powiem, żebym się skarżył. Właściwie dobrze się stało: akurat śnił mi się koszmar. Ale jestem pewien, że było dokładnie wpół do piątej, bo spojrziałem na zegarek.

–No, do mnie dzwoniła może za piętnaście piąta – powiedział Lou. – Nie pamiętani dokładnie. Miałem ciężką noc.

–A po co? – spytał Jack. – To dość dziwna pora na telefon, nie sądzisz?

Lou prześwidrował Jacka swoimi czarnymi oczami. Wyraźnie się wahał, czy zdradzić mu, dlaczego Laurie do niego zatelefonowała.

–Okay, to nieuczciwe pytanie – pospieszył Jack, unosząc ręce w obronnym geście. – Pozwól więc, że ja ci opowiem, dlaczego dzwoniła do mnie. Chciała umówić się ze mną na kolację dziś wieczór. Stwierdziła, że ma ważną sprawę i musi ze mną porozmawiać. Czy to ci cokolwiek wyjaśnia?

Lou wypuścił powietrze przez wydęte wargi.

–Nie – odparł. – Zupełnie nic. Mnie powiedziała dokładnie to samo. I też zaprosiła mnie na kolację.

–Chyba mnie nie nabierasz? – spytał Jack. To wszystko nie trzymało się kupy.

Lou pokręcił głową.

–Co jej odpowiedziałeś? – Że pójdę.

–Czy domyślasz się, o czym chce z tobą mówić?

Lou zawahał się. Znowu było widać, że czuje się nieswojo.

–Miałem nadzieję usłyszeć, że tęskni za mną. No wiesz, coś w tym guście.

Jack pacnął się dłonią w czoło. Był wzruszony. Najwyraźniej Lou kochał się w Laurie. Była to również pewna komplikacja, gdyż on sam darzył ją podobnym uczuciem, choć niechętnie się do tego przyznawał.

–Nie musisz nic mówić – dodał Lou. – Sam wiem, że jestem bałwanem. Ale cóż, od czasu do czasu czuję się samotny i lubię jej towarzystwo. Poza tym Laurie uwielbia moje dzieciaki.

Jack zdjął rękę z czoła i położył ją na ramieniu Lou.

–Nie uważam cię za bałwana. Wcale. Miałem tylko nadzieję, że oświecisz mnie w sprawie zamysłów Laurie.

–Będziemy ją musieli po prostu zapytać. Powiedziała, że dziś rano trochę się spóźni.

–Jak znam Laurie, pewnie przetrzyma nas do wieczora – oznajmił Jack. – Czy mówiła, ile się spóźni?

–Nie.

–To też jest dziwne. Skoro o wpół do piątej była na nogach, to czemu przyjdzie później?

Lou wzruszył ramionami.

Jack wrócił do pomieszczeń dla personelu; przez głowę przemykały mu myśli dotyczące Laurie i terroryzmu. Było to osobliwe połączenie. Uświadomiwszy sobie, że w tym momencie nie dowie się niczego więcej, po raz drugi oderwał Vinniego od gazety i postanowił wziąć się do pracy. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy będzie mógł skoncentrować się na konkretnym problemie.

Gdy obaj mijali pokój Janice Jaeger, Jack wychylił się i zajrzał do środka.

–Hej, ładnie opisałaś ten przypadek Papparisa – odezwał się Jack.

Janice podniosła wzrok znad biurka. Jak zwykle miała oczy podkrążone ze zmęczenia. Jack mimo woli zastanowił się, czy ta kobieta w ogóle śpi.

–Dzięki – rzekła Janice.

–Lepiej odpocznij trochę.

–Wyjdę, jak skończę ten przypadek.

–Czy masz coś nowego na temat Papparisa? – spytał Jack.

–Myślę, że wszystko jest w raporcie – odparła Janice. – Może jeszcze to, że lekarz, z którym rozmawiałam, był dosyć zdenerwowany. Powiedział, że nigdy nie spotkał się z tak agresywną infekcją. Prosił cię nawet o telefon, kiedy przeprowadzisz autopsję. Jego nazwisko i numer są na odwrocie karty informacyjnej.

–Przekręcę do niego, jak tylko coś znajdziemy – obiecał Jack.

Gdy weszli do windy, Vinnie odezwał się:

–Ten przypadek przyprawia mnie o gęsią skórę. Przypomina mi się ta dżuma, którą odkryliśmy parę lat temu. Mam nadzieję, że nie jest to początek jakiejś kolejnej epidemii.

–To jest nas już dwóch – wyznał Jack. – Mnie przypomina to bardziej przypadki zapalenia płuc, które widzieliśmy po wybuchu zarazy. Pilnujmy się, żeby nie doszło do zarażenia.

–Ma się rozumieć – stwierdził Vinnie. – Gdyby to było możliwe, włożyłbym dwa skafandry jeden na drugi.

Kiedy Jack udał się do szatni, by zrzucić z siebie ubranie wyjściowe, Vinnie włożył kombinezon i wszedł do prosektorium, potocznie zwanego „kanałem”. Jack ponownie przejrzał materiały umieszczone w teczce, a zwłaszcza sądowy raport Janice Jaeger. Po baczny jego przestudiowaniu zauważył coś, co za pierwszym razem mu umknęło. Zmarły handlował dywanami. Jack był ciekaw, jakiego rodzaju były to dywany i skąd pochodziły. Zapisał sobie w pamięci, aby poruszyć tę kwestię podczas spotkania z wywiadowcami sądowymi.

Wsunął wykonane w kostnicy rentgenowskie zdjęcie Papparisa do przeglądarki. Prześwietlenie całego ciała nie pomogło mu zbyt w diagnozie. Szczegóły w obrębie klatki piersiowej denata były niewyraźne. Mimo to dwie

sprawy zwróciły uwagę Jacka. Po pierwsze, było niewiele śladów zapalenia płuc, co wydawało się dziwne wobec szybko postępującej niewydolności oddechowej u pacjenta. I po drugie, środkowa część klatki piersiowej, śródpiersie, zdawała się nieco rozszerzona.

Zanim Jack wcisnął się w szczelny skafander z kapturem, z plastikową maską na twarz i filtrowanym systemem wentylacji napędzanym przez baterie, Vinnie zdążył już ułożyć denata na stole sekcyjnym i ustawić słoiki na próbki.

–Do diaska! Czemuś tak długo marudził? – poskarżył się Vinnie na jego widok.

–Już dawno byśmy skończyli.

Jack roześmiał się.

–Nie wygląda najlepiej – dodał Vinnie. – A na bal przebierańców chyba się nie wybierał.

–Dobra pamięć – pochwalił Jack. Tak samo skomentował podczas oględzin przypadek dżumy, o którym Vinnie wspomniał wcześniej; słowa te weszły do ich prywatnej skarbnicy czarnego humoru.

–To nie wszystko, co zapamiętałem – zapewnił Vinnie. – Podczas gdy ty się tam ochrzaniałeś, ja obejrzałem ciało, szukając śladów po ukąszeniu przez stawonogi. Nic nie znalazłem.

–Doskonale! – oznajmił Jack. – Jestem pod wrażeniem. – W czasie tamtej autopsji Jack poinformował Vinniego, że stawonogi, a zwłaszcza owady i pajęczaki, są nosicielami wielu chorób zakaźnych. Sekcja zwłok w takich przypadkach nie mogła się obyć bez poszukania śladów ich działań. – Jeszcze trochę, a zastąpisz mnie.

–Starczy, że przejmę twoją pensję – odrzekł Vinnie. – Pracę możesz sobie zatrzymać.

Jack sam dokonał oględzin zewnętrznych. Vinnie miał racje: nie było śladów ukąszeń. Nie było także plamicy, czyli podskórnych wylewów, chociaż skóra miała jakby lekko purpurowe zabarwienie.

Za to oględziny wewnętrzne to była zupełnie inna historia. Gdy Jack usunął przednią ścianę klatki piersiowej, zmiany patologiczne ukazały się z całą wyrazistością. Płuca pokrywała krew, objaw ten nazywał się wysiękiem opłucnowym krwistym.

Ponadto krew i ślady zapalenia widniały na organach międzypłucnych: przełyku, tchawicy, oskrzelach i węzłach chłonnych. Było to tak zwane krwotoczne zapalenie śródpiersia i tłumaczyło obecność rozległego cienia, który Jack widział wcześniej na zdjęciu rentgenowskim.

–Ho, ho! – zawołał Jack. – Przy takim krwotoku nie sądzę, aby to mogła być grypa. Cokolwiek to było, rozprzestrzeniło się jak pożar lasu.

Vinnie nerwowo zerknął na Jacka. Miał trudności z dojrzeniem jego twarzy, ponieważ w kasku Jacka odbijały się refleksy fluorescencyjnych lamp sufitowych.

Vinniemu nie podobał się ton jego głosu. Jack rzadko reagował emocjonalnie na to, co widział w prosektorium, teraz jednak wydawał się poruszony.

–Jak myślisz, co to jest? – zapytał Vinnie.

–Nie wiem – wyznał Jack. – Ale współwystępowanie zapalenia śródpiersia i wysięku opłucnowego z czymś mi się kojarzy. Tak, gdzieś o tym czytałem. Nie pamiętam gdzie. Zarazki, które tego dokonały, musiały być piekielnie agresywne.

Vinnie cofnął się instynktownie od ciała denata.

–Dobrze, dobrze, nie strachaj się – uspokoił go Jack. – Chodź tutaj i pomóż mi wyjąć organy z jamy brzusznej.

–Okay, ale obiecaj, że będziesz ostrożny – odparł Vinnie. – Czasami za szybko machasz nożem. – Zrobił niepewny krok w stronę stołu.

–Zawsze jestem ostrożny.

–Jasne! – przyznał Vinnie z nutą sarkazmu. – Dlatego jeździsz po mieście rowerem.

Gdy obaj mężczyźni skupili się na pracy, do sali wjechały inne ciała, przywiezione przez techników medycznych. Umieszczono je na właściwych stołach, gdzie oczekiwały na autopsję. Wreszcie zaczęli też napływać pozostali lekarze patolodzy – zanosilo się na pracowity dzień „na kanale”.

–Co tam macie? – rozległ się czyjś głos nad ramieniem Jacka.

Jack wyprostował się i odwrócił. Ujrzał doktora Cheta McGovern, z którym dzielił pokój w biurze. Jack i Chet zatrudnili się w Biurze Głównego Inspektora niemal w tym samym czasie. Obaj zgadzali się we wszystkim, głównie dlatego, że lubili i szanowali swoją pracę. Obaj próbowali szczęścia w innych dziedzinach medycyny, zanim przerzucili się na patologię sądową. Całkiem natomiast różnili się osobowościami. Chet nie był tak ironiczny jak Jack, nie miał też jego problemów z karnością.

Jack w kilku słowach opisał Chetowi przypadek Papparisa i wskazał mu zmiany patologiczne w klatce piersiowej zmarłego. Pokazał mu nawet naciętą powierzchnię płuca noszącą minimalne ślady pneumonii.

–Interesujące – powiedział Chet. – Zakażenie musiało nastąpić drogą powietrzną.

–Bez wątplenia – potwierdził Jack. – Ale dlaczego tak nikłe zapalenie płuc?

–Pojęcia nie mam – odparł Chet. – Ty jesteś specjalistą od chorób zakaźnych.

–Chciałbym, żeby tak było – rzekł Jack. Delikatnie wsunął płuco z powrotem do miski. – Jestem pewien, że słyszałem już gdzieś o krwistym zapaleniu śródpiersia z wysiękiem opłucnowym. Tyle że nie mogę sobie przypomnieć gdzie.

–Na pewno to rozgryziesz – zapewnił Chet. Pożegnał się, ale Jack zawołał za nim, czy nie widział Laurie.

Chet pokręcił głową.

–Jeszcze nie.

Jack spojrzął na zegar ścienny. Dochodziła dziewiąta. Laurie powinna tu być od godziny. Wzruszył ramionami i podjął przerwana pracę.

Następny krok polegał na usunięciu mózgu. Jack i Vinnie pracowali z sobą tak często, że potrafili rozciąć czaszkę bez konieczności porozumiewania się ze sobą.

Chociaż Vinnie wykonywał sporą część pracy, to Jack zawsze zdejmował pokrywę czaszki.

–No, no! – zawołał Jack, gdy zobaczył mózg. Pokrywała go, tak jak płuca, znaczna ilość krwi. W przypadku infekcji oznaczało to zazwyczaj zapalenie opon mózgowych prowadzące do krwotoku.

–Facet musiał mieć paskudny ból głowy – zauważył Vinnie.

–Oraz miazdzący ból w piersi – dodał Jack. – Biedaczyna czuł się pewnie, jakby przejechał po nim walec.

–Co pan tam ma, doktorze? – odezwał się niski, tubalny głos. – Pęknięty tętniak czy przypadek traumy?

–Ani jedno, ani drugie – odparł Jack. – To infekcja. – Obrócił i spojrzął na imponującą, dwumetrową sylwetkę doktora Calvina Washingtona, zastępcy szefa.

–Dobrze się składa – zauważył Calvin. – Zaraza to pańska działka. Ma pan już wstępne orzeczenie?

Calvin pochylił się nad stołem, aby lepiej się przyjrzeć. W porównaniu z jego masywnym, umięśnionym korpusem krępe ciało Jacka wyglądało na malutkie. Ten wysportowany czarnoskóry gigant mógłby zrobić karierę w futbolu amerykańskim, gdyby nie uparł się studiować medycyny. Jego ojciec był znanym filadelfijskim chirurgiem i Calvin zapragnął pójść w jego ślady.

–Dwie sekundy temu nie miałem – odparł Jack. – Ale widok krwi na mózgu odświeżył mi pamięć. Kiedyś podczas

badań choroby zakaźnej przeczytałem o inhalacyjnej drodze zakażenia wąglikiem.

–Wąglikiem? – Calvin zachichotał z niedowierzaniem. Jack miał talent do stawiania diagnoz nie z tej planety. Wprawdzie często okazywało się, że ma słuszność, jednak wąglik wydawał się wręcz nieprawdopodobny. Calvin w swojej karierze spotkał się tylko z jednym przypadkiem, u hodowcy bydła w Oklahomie, i na dodatek wąglik nie miał wtedy postaci płucnej. Była to – znacznie częstsza – postać skórna.

–W tej chwili sądzę, że to wąglik – powtórzył Jack. – Ciekawe, czy laboratorium to potwierdzi. Oczywiście, może się okazać, że pacjent miał obniżoną odporność, o czym lekarze nie wiedzieli. Żeby się zakazić, wystarczy było zarazek z ogrodu.

–Smutne doświadczenie nauczyło mnie, żeby się z panem nie zakładać, niemniej jednak wybrał pan nader rzadko spotykaną chorobę, przynajmniej w Stanach.

–No cóż, nie pamiętam, jak często się pojawia – wyznał Jack. – Ale pamiętam, że wiąże się z krwotokiem, zapaleniem śródpiersia i meningitis.

–A meningokok? – zapytał Calvin. – Czemu nie wybrał pan czegoś częściej spotykanego?

–Nie można wykluczyć meningokoka – przyznał Jack. – Ale biorąc pod uwagę krwotoczne zapalenie śródpiersia, stawałbym raczej na zapalenie opon mózgoworodzeniowych. Poza tym nie było plamicy, no i przy meningokoku spodziewałbym się większej ilości ropy na mózgu.

–Cóż, jeśli to wąglik, niech pan da mi znać raczej prędzej niż później – poprosił Calvin. – Jestem pewien, że pani pełnomocnik do spraw zdrowia chciałaby o tym wiedzieć. Co się zaś tyczy pańskiego następnego przypadku, zakomunikowano już panu, że chcę, aby pan się nim zajął.

–Tak – potwierdził Jack. – Ale czemu akurat ja? Pan i szef zawsze narzekacie, że nie jestem dobrym dyplomata. Zgon w areszcie policyjnym zwykle rozpętuje polityczną burzę. Czy na pewno mnie chce pan zlecić tę sprawę?

–Z prośbą, aby skorzystać z pańskich usług, zwróciły się do nas osoby spoza departamentu – oświadczył Calvin. – Najwyraźniej pański dyplomatyczny nietakt spotkał się z uznaniem społeczności murzyńskiej. Być może jest pan nieznośny dla mnie i dla szefa, lecz u innych wyrobił pan sobie opinię bezstronnego profesjonalisty.

–To pewnie dzięki moim wyczynom na boisku – zauważył Jack. – Nigdy nie oszukuję w koszykówce.

–Dlaczego pan zawsze dyskwalifikuje komplementy? – spytał rozeźlony Calvin.

–Może dlatego, że nie przepadam za nimi. Wolę krytykę.

–O Boże, daj mi cierpliwość – poprosił Calvin. – Zlecając panu tę autopsję, być może uda nam się uniknąć oskarżeń, że nasze biuro jest zamieszane w jakieś matactwa.

–Ofiarą jest Murzyn, czy tak? – spytał Jack.

–Oczywiście – odparł Calvin. – A policjant jest biały. Rozumiemy się?

–W zupełności.

–To dobrze. Niech pan do mnie zadzwoni, kiedy będzie pan gotów. Będę panu pomagał. Ścisłej biorąc, obejrzemy sobie ten przypadek razem.

Calvin oddalił się. Jack spojrzał na Vinniego i jęknął.

–Ta autopsja potrwa ze trzy godziny! Calvin jest pedantyczny, ale powolny jak żółw.

–Czy wąglik łatwo się przenosi? – spytał Vinnie.

–Spokojnie! – krzyknął Jack. – Niczego się nie nabawisz. O ile sobie przypominam, wąglikiem nie można się zarazić od człowieka.

–Nigdy nie wiem, czy mam ci wierzyć czy nie – przyznał Winnie.

–Czasem nie wierzę samemu sobie – stwierdził Jack z autoironią. – Ale tym razem możesz mi wierzyć.

Dalsze oględziny Papparisa przebiegły w milczeniu. Kiedy Jack zbierał próbki do laboratorium, w sali autopsyjnej pojawiła się Laurie. Jack rozpoznał ją po charakterystycznym śmiechu; jej twarz okrywał ochronny kaptur. Najwyraźniej była w szampańskim nastroju. Towarzyszyło jej dwóch ludzi – Jack domyślił się, że jednym z nich jest Lou, a drugim agent FBI. Wszyscy byli ubrani w skafandry.

Jack skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby podejść do stołu, przy którym wszyscy troje zbili się w gromadkę. Nagle śmiechy umilkły.

–Mówisz, że ten chłopiec został ukrzyżowany? – spytała Laurie. Trzymała prawą rękę denata. Jack dostrzegł wielki szesnastocalowy ćwiek wystający z jego dłoni.

–Tak jest – potwierdził Lou. – Zresztą to był dopiero początek. Przybili krzyż do słupa telefonicznego, a potem przygwoździli do niego dzieciaka.

–O Boże – westchnęła Laurie.

–Później próbowali obedrzeć go ze skóry – ciągnął Lou. – Przynajmniej z przodu.

–To straszne – powiedziała Laurie.

–Czy pani zdaniem chłopak jeszcze żył, kiedy to uczyniono? – odezwał się Gordon.

–Obawiam się, że tak. Potwierdzają to rozmiary krwawienia. Nie ma wątpliwości, że w dalszym ciągu żył.

Jack podszedł bliżej, chcąc zagaic rozmowę z Laurie, lecz w tym momencie jego wzrok padł na ciało. Myślał, że żaden widok śmierci nie zrobi już na nim wrażenia, jednak ciało Brada Cassidy'ego zaparło mu dech w piersi. Młody mężczyzna został powieszony na krzyżu i częściowo obdarty ze skóry, wylupiono mu też oczy i odcięto genitalia. Całe ciało nosiło liczne ślady ran kłutych. Ściągnięta z klatki piersiowej skóra opadała mu aż na nogi. Widniał na niej ogromny tatuaż przedstawiający wikinga.

Pośrodku czoła była wytatuowana mała nazistowska swastyka.

–Dlaczego wiking? – zapytał Jack.

–Witaj, Jack, skarbie – odezwała się wesoło Laurie. – Skończyłeś już swój pierwszy przypadek? Czy znasz agenta Gordona Tyrrella? Jak ci się dziś jechało przez miasto?

–Całkiem nieźle – odparł Jack. Pytania posypały się tak szybko, że odpowiedział jedynie na ostatnie z nich.

–Jack z uporem jeździ na rowerze po mieście – wytłumaczyła Laurie. – Mówi, że to oczyszcza mu umysł.

–Podejrzewam, że nie jest to najbezpieczniejszy środek transportu – zauważył Gordon.

–Fakt – zgodził się Lou. – Ale przy tym natężeniu ruchu czasem sam mam ochotę przesiąść się na rower.

–Daj spokój, Lou! – zawołała Laurie. – Chyba nie mówisz tego poważnie?

Jack nagle poczuł, że cała ta rozmowa jest nierealna. Wydawało mu się czymś absurdalnym, że można ucinać sobie towarzyską pogawędkę, stojąc w ciężkim skafandrze przed zmasakrowanym denatem. Toteż Jack przerwał dyskusję na temat wyższości roweru nad samochodem, ponawiając swoje pytanie o tatuaż z podobizną wikinga.

–To stary aryjski mit – wyjaśnił Gordon. – Wiking, wraz ze strojem i buciorami, przyszedł do nas z Anglii, gdzie ruch skinheadów miał swój początek.

–Ale dlaczego akurat wiking? – powtórzył Jack. – Myślałem, że skini używają tylko nazistowskich emblematów.

–Ich zainteresowanie wikingami wynika z rewizjonizmu historycznego – mówił Gordon. – Zdaniem skinheadów

łupieżczy, krwiożerczy wikingowie uosabiają twarde, męski honor.

–Gordon sądzi, że chłopak dlatego został obdarty ze skóry – poinformował Lou. – Zabójcy uznali, że nie zasługuje na to, by umrzeć z wikingiem na piersi.

–Myślałem, że tego rodzaju tortury skończyły się wraz ze średniowieczem – powiedział Jack.

–Widziałem już kilka równie okrutnych okaleczeń – oznajmił Gordon. – Te dzieciaki nie znają litości.

–Ani strachu – dodał Lou. – To prawdziwi psychopaci.

–Przepraszam, Laurie – odezwał się Jack. – Czy mógłbym cię prosić na słówko?

Na osobności?

–Oczywiście. Przepraszam – zwróciła się do pozostałych, po czym oddaliła się z Jackiem pod ścianę prosektorium.

–Dopiero teraz przyszłaś? – spytał Jack szeptem.

–Parę minut temu – odparła Laurie. – Co się stało?

–I ty mnie pytasz, co się stało? – podniósł głos Jack. – Zachowujesz się co najmniej dziwnie, a twoja tajemniczość doprowadza mnie do szału. Co się dzieje?

O czym chcesz mówić ze mną i z Lou?

Jack dostrzegł przez maskę uśmiech Laurie.

–O rety! – zdziwiła się. – Nigdy nie widziałam cię tak zaintrygowanego. Pochlebia mi to.

–Daj spokój, Laurie! Przestań kręcić. Wykrztuś to z siebie!

–Nie teraz – odrzekła Laurie.

–Powiedz tylko, o co chodzi – poprosił Jack. – Krwawe szczegóły zostawimy sobie na potem.

–Nie, Jack! – odparła Laurie z naciskiem. – Będziesz musiał uzbroić się w cierpliwość do wieczora. Jeżeli ustoję jeszcze na nogach.

–A to co niby ma znaczyć?

–Jack! Teraz nie mogę rozmawiać. Pogadamy dziś wieczór, tak jak postanowiliśmy.

–Jak ty postanowiłaś.

–Czekają mnie obowiązki – skwitowała Laurie i wróciła do stołu autopsyjnego.

Jacka ogarnęła frustracja i złość. Nie mógł uwierzyć, że Laurie traktuje go w ten sposób. Pomrukując pod nosem, odepchnął się od ściany i poszedł odnieść próbki pochodzące z ciała Papparisa. Chciał jak najszybciej podrzucić je Agnes Finn, aby wykonała testy fluorescencyjne na antycyala węgla.

Rozdział 2 18 października, poniedziałek, 9.30 – Cziort! Cziort! Cziort! – przeklinał Jurij Dawidów. Walnął pięścią w kierownicę swojej żółtej taksówki marki Chevy Caprice. Kiedy Jurij wpadał w gniew, na usta cisnęły mu się rosyjskie przekleństwa, a właśnie teraz był wściekły. Tkwił w korku, pośród kakofonii samochodowych klaksonów. Przed nim ciągnął się nierówny sznur żółtych taksówek z zapalonymi światłami stopu. Na domiar złego następne skrzyżowanie było zapchane stojącymi w poprzek autami, toteż mimo zielonego światła Jurij ani drgnął.

Już pierwszy kurs zaczął się pechowo. Pędzący Drugą Avenue rowerzysta kopnął w jego drzwi od strony pasażera, twierdząc, że Jurij zajechał mu drogę. Jurij wyskoczył z auta i obrzucił tamtego wiązanką rosyjskich epitetów. Z początku chciał go potraktować ostrzej, ale prędko się rozmyślił. Rowerzysta był podobnego wzrostu, przysadzisty i równie wściekły jak Jurij, lecz wydawał się w znacznie lepszej formie, Jurij miał czterdzieści cztery

lata, ale tak zaniedbał swoje ciało, że wygląda jak tłusty mięczak.

Nagle poczuł, że coś uderzyło w tył samochodu. Jurij wychylił się przez otwarte okno, zacisnął pięści i zwymyślał znajdującego się za nim taksówkarza, który stuknął w jego auto.

–Pieprz się! – odkrzyknął kierowca. – Ruszaj!

–Gdzie mam jechać?! – wrzasnął Jurij. – Co z tobą, człowieku?

Opadł z powrotem na wyłożone matą siedzenie. Przeczesał drżącą dłonią gęste, ciemnobrązowe, niemal czarne włosy. Przekręcił wsteczne lusterko i przejrzał się w nim. Miał zaczerwienione oczy i ogorzałą twarz. Wiedział, że musi się uspokoić, bo inaczej dostanie zawału. Pomyślał, że chętnie by się napił wódki. – Śmiechu warte! – syknął po rosyjsku.

Miał na myśli nie tyle obecną sytuację na drodze, ile raczej całe swoje życie.

Mówiąc metaforycznie, jego życie przypominało uliczny korek. Jurij zresztą już dawno pozbył się złudzeń; przekonał się, że ten kuszący amerykański sen, który kiedyś był jego siłą napędową, to zwykłe kłamstwo, szerzone przez żydowskie środki masowego przekazu.

Stojące przed nim pojazdy drgnęły z miejsca. Jurij ruszył gwałtownie, w nadziei, że zdąży przejechać przez zakorkowane skrzyżowanie, lecz stało się inaczej.

Samochód przed nim zatrzymał się nagle i Jurij był zmuszony uczynić to samo. Wtedy jadąca za nim taksówka wpadła na niego po raz drugi. Podobnie jak poprzednio była to mała stłuczka, która nie wyrządziła poważniejszych szkód, do reszty jednak zepsuła Jurijowi humor.

Znowu wytknął głowę przez okno.

–Do diabła, co z tobą, człowieku? Pierwszy raz siedzisz za kółkiem?

–Zamknij się, ty cholerny obcokrajowcu – warknął kierowca z tyłu. – Lepiej zabieraj swoje dupsko tam, skądęś przyjechał.

Jurij chciał mu odpowiedzieć, ale się rozmyślił. Usiadł na swoim fotelu i oddychał chrapliwie. Taksówkarz nieświadomie obudził w Juriju uczucie, które spowiło go niczym ciężki wełniany koc. Toska to rosyjskie słowo oznaczające tęsknotę, nostalgię, przygnębienie, nudę i cierpienie – wszystko to naraz składa się na głęboki psychiczny ból.

Jurij zapatrzył się w jakiś punkt. Na chwilę błogie wspomnienia uśmierzyły w nim złość i rozczarowanie Ameryką. Zobaczył siebie i swego brata maszerujących do szkoły w jasny, mroźny poranek w ich rodzinnym mieście, Swierdłowsku, w ZSRR.

Oczami wyobraźni ujrzał wspólną kuchnię, w której panował biesiadny nastrój, i przypomniało mu się, jaką dumą napełniał go fakt, że należy do wielkiego imperium radzieckiego.

Oczywiście, życie w komunistycznym reżimie wiązało się z pewnymi niedogodnościami – na przykład kobiety musiały stać w kolejkach po mleko i inne podstawowe artykuły. Ale wbrew temu, co niektórzy mówili – albo co sądzą ci głupcy tutaj, w Ameryce – nie żyło się najgorzej. Równość wszystkich obywateli, nie licząc partyjnej góry, sprzyjała nawiązywaniu serdecznych przyjaźni. Z pewnością nie rodziło to takich napięć społecznych jak w Ameryce. W tamtych czasach Jurij nie zdawał sobie sprawy, jak dobrze mu się żyje. Teraz jednak wiedział – i dlatego wracał do siebie.

Wracał do „matuszki Rossiji”, swojej macierzy. Podjął tę decyzję kilka miesięcy temu.

Ale przed wyjazdem musiał się zemścić. Został oszukany i odtracony. Miał zamiar odpowiedzieć ciosem, który zwróci uwagę wszystkich mieszkańców tego pyszałkowatego, oszukańczego kraju. Jurij postanowił, że po powrocie do Rosji ofiaruje swoją zemstę Władimirowi Żyrinowskiemu, prawdziwemu synowi „rodiny”, który bez wątpienia – gdyby tylko dano mu tę szansę – przywróciłby dawną świetność ZSRR.

Nagle rozmyślania Jurija przerwał odgłos otwieranych drzwi. Pasażer rzucił płowy neseser na tylne siedzenie

taksówki i wgramolił się do środka.

Poirytowany Jurij spojrział na mężczyznę we wstecznym lusterku. Był to mały, wąsaty człowieczek, ubrany w drogi włoski garnitur, białą koszulę i jedwabny krawat.

Tej samej barwy chustka tkwiła w kieszeni na piersi. Jurij domyślał się, że mężczyzna jest albo biznesmenem, albo bankierem.

–Union Bank, Piąta Avenue osiemset dwadzieścia – rzucił klient. Odchylił się na oparcie siedzenia i otworzył telefon komórkowy.

Jurij wciąż nie spuszczał go z oka. Zobaczył coś, co zrazu uszło jego uwagi.

Mężczyzna miał na głowie jarmułkę.

–Co się stało? – spytał tamten. – Jest pan zajęty?

–Nie, jestem wolny – odparł posępnie Jurij. Przewrócił oczami, po czym włączył taksometr i spojrział na nieruchome samochody. Tylko tego mu jeszcze brakowało: żydowskiego bankiera, jednego z tych gnojków, którzy wpędzają świat w ruinę.

W czasie gdy mężczyzna rozmawiał przez telefon, Jurij zdołał przesunąć się o jedno auto do przodu. Przynajmniej zbliżył się do kłopotliwego skrzyżowania. Bębniąc palcami w kierownicę, bawił się myślą, że mógłby kazać temu Żydowi wynosić się ze swojej taksówki. Ale nie zrobił tego. Ten gnojek przecież płaci mu za to, że tkwi po uszy w korku.

–Huu, ale dziś ruch – odezwał się mężczyzna, skończywszy rozmawiać przez telefon. Pochylił się i wsunął głowę w prześwit między pleksyglasowym przepierzeniem. – Szybciej bym doszedł na piechotę.

–Proszę bardzo – powiedział Jurij.

–Mam czas – stwierdził mężczyzna. – Posiedzę tu sobie chwilkę. Na szczęście następne spotkanie zaczyna się dopiero o wpół do jedenastej. Zdąży mnie pan do tego czasu odstawić na miejsce, prawda?

–Postaram się – odparł obojętnym tonem Jurij.

–Czy to rosyjski akcent?

–Tak. – Jurij westchnął. Facet zaczynał mu działać na nerwy.

–Pewnie mógłbym się tego domyślić, czytając pańskie nazwisko na licencji. Z jakiej części Rosji pan pochodzi, panie Dawidów?

–Ze środkowej.

–Daleko od Moskwy?

–Okolo ośmiu tysięcy mil na wschód. Z Uralu.

–Nazywam się Harvey Bloomberg.

Jurij popatrzył na swego klienta w lusterku i prawie niezauważalnie skinął głową. Za nic nie rozumiał, czemu ludzie pokroju Harveya opowiadają mu o sobie. Jurij miał gdzieś jego nazwisko.

–Właśnie wróciłem z Moskwy, jakiś tydzień temu – oznajmił Harvey.

–Naprawdę? – Jurij ożywił się. Uplłynął szmat czasu, odkąd był tam po raz ostatni. Przypomniał sobie, z jaką radością zwiedzał Plac Czerwony, podziwiając jego architektoniczną perłę – cerkiew Wasyla Błogostawionego. Nigdy w życiu nie widział niczego równie pięknego ani wzruszającego.

–Byłem tam prawie pięć dni – dodał Harvey.

–Ma pan szczęście – rzekł Jurij. – Podobało się panu?

–Ha! – prychnął z pogardą Harvey i machnął ręką. – Nie mogłem się doczekać wyjazdu. Jak tylko skończyły się spotkania, poleciałem do Londynu. Moskwa jest pogrążona w chaosie, jeśli chodzi o przestępczość i sytuację ekonomiczną. To miasto po klęsce żywiłowej.

Jurij poczuł nową falę złości, uzmysławiając sobie, że za trapiące Rosję problemy odpowiadają takie typy jak Harvey Bloomberg i inni ze światowego sprzysiężenia syjonistów. Zarumienił się, ale trzymał język na wodzy. Musiał jak najprędzej napić się wódki.

–Od dawna przebywa pan w Stanach? – zapytał Harvey.

–Od 1994 – mruknął Jurij. Choć to zaledwie pięć lat, jemu zdawało się, że minęło dziesięć. Ciągłe miał w pamięci dzień przybycia do USA, jakby zdarzyło się to wczoraj. Przyleciał z Toronto w Kanadzie po trzydniowych bojach z amerykańskim urzędem imigracyjnym, które zakończyły się udzieleniem mu jedynie tymczasowej wizy.

Mozolna odyseja Jurija do Ameryki trwała ponad rok. Zaczęła się w Nowosybirsku na Syberii, gdzie Jurij pracował w państwowym przedsiębiorstwie o nazwie Wektor. Siedział tam jedenaście lat, zanim zwolniono go w wyniku redukcji personelu. Na szczęście zdążył odłożyć parę rubli i różnymi środkami transportu – samolotem, pociągiem i przegodnymi ciężarówkami – dostał się do Moskwy.

W Moskwie posypały się nieszczęścia. Delikatny charakter jego ostatniej pracy sprawił, że kiedy Jurij złożył podanie o międzynarodowy paszport, dowiedziała się o tym Federalna Służba Bezpieczeństwa (następczyni KGB). Jurij został aresztowany i osadzony w Lefortowie. Po kilku miesiącach zdołał wyjść z więzienia, tylko dzięki temu, że zgodził się pracować w innym rządowym zakładzie w Zagorsku. Kłopot polegał na tym, że nie płacono mu gotówką. Zamiast pieniędzy dostawał wódkę i papier toaletowy.

Uciekł w środku nocy, w przeddzień ferii zimowych; pieszo i autostopem pokonał tysiące mil dzielące go od Tallina, stolicy Estonii. To była koszmarna podróż – nękały go choroby, głód i niewyobrażalne zimno. Jurij musiał stawić czoło tym samym trudom, które w przeszłości spowodowały klęskę armii Napoleona i Hitlera.

Mimo że Estończycy nie kryli swej wrogości wobec Rosjanina, a nawet pewnej nocy kilku estońskich młodzików dotkliwie go pobiło, Jurij zdołał zarobić wystarczająco dużo, aby wykupić fałszywe papiery, które pozwoliły mu zaokrętować się na pływającym po Bałtyku frachtowcu. W Szwecji zbiegł ze statku i wystąpił o przyznanie mu statusu uchodźcy.

Szwecja zakwestionowała prawomocność jego żądań, lecz nie odmówiła mu pobytu tymczasowego. Wolno mu było wykonywać prace fizyczne, żeby zarobić na bilet lotniczy do Toronto, a stamtąd do Nowego Jorku. Gdy wreszcie Jurij stanął na amerykańskim lądzie, ukląkł i niczym papież ucałował ziemię.

Podczas długiej, rozpaczliwej wędrówki do Nowego Jorku nieraz ogarniało go zwątpienie. Jednak nie poddał się. W najtrudniejszych chwilach na duchu podtrzymywała go obietnica wolności, bogactwa i dobrego życia, którą oferowała Ameryka.

Twarz Jurija wykrzywił drwiący uśmiezek. Dobrze mu się żyje, nie ma co! Miał wrażenie, że los zakpił sobie z niego. Przez dwanaście, a czasem czternaście godzin na dobę jeździł taksówką, ledwie wiążąc koniec z końcem. Podatki, komorne, jedzenie i opieka medyczna dla siebie i grubej żony, którą musiał sobie wziąć, aby zdobyć zieloną kartę – wszystko to zarzynało go dzień po dniu.

–Zapewne dziękuje pan Bogu Wszechmogącemu, że w porę wyciągnął pana z Rosji – odezwał się Harvey, nieświadom stanu umysłu Jurija. – Nie wiem, jak ci ludzie tam sobie radzą.

Jurij milczał. Pragnął tylko, żeby Harvey się zamknął. Nagle uliczny zator się przerzedził. Jurij wcisnął pedał gazu. Taksówka wystrzeliła jak z procy, ciskając pasażera na tylne siedzenie. Jurij zacisnął palce na kierownicy i zgarbił się. Jechali z piskiem opon.

–Hej, moje spotkanie nie jest na tyle ważne, aby ryzykować życie – krzyknął z tyłu Harvey.

Kiedy zbliżali się do następnego skrzyżowania, zapaliło się czerwone światło i Jurij nadusił hamulec. Autem zarzuciło na bok. Jurij wszedł w kontrolowany poślizg: taksówka przemknęła między autobusem i zaparkowaną

półciężarówką i raptem zatrzymała się przed śmieciarką.

–O Boże! – zawołał Harvey zza pleksiglasowej szyby. – Co pan robił w Rosji?

Proszę mi nie mówić, że był pan kierowcą rajdowym.

Jurij nie odpowiedział.

Harvey wychylił się w przód.

–Chciałbym wiedzieć, czym się pan zajmował. W zeszłym tygodniu spotkałem rosyjskiego taksjarza, który przed wyjazdem do Stanów wykładał matematykę. Powiedział, że z wykształcenia jest inżynierem elektrykiem. Czy to możliwe?

–Jak najbardziej – odparł Jurij. – Sam jestem z wykształcenia inżynierem. – Wiedział, że przesadza, gdyż był technikiem, a nie inżynierem, jednak nic go to nie obchodziło.

–Jakiej specjalności? – spytał Harvey.

–Biotechnika.

Zielone światło znów się zapaliło i Jurij ruszył gwałtownie. Przy pierwszej okazji wyprzedził śmieciarkę i skierował się do centrum, próbując dostosować prędkość do zmieniających się zielonych świateł.

–To imponujące – stwierdził Harvey. – Czemu nadal jeździ pan taksówką?

Przypuszczam, że na rynku pracy istnieje popyt na pańską wiedzę. Biotechnika to jedna z najszybciej rozwijających się gałęzi przemysłu.

–Nikt nie chce honorować mojego wykształcenia – wyjaśnił Jurij. – Znalazłem się w sytuacji, którą wy, Amerykanie, nazywacie „paragraf 22”.

–O, jaka szkoda – rzekł Harvey. – No cóż, moja rada brzmi: niech pan dalej próbuje. W końcu wysiłek się opłaci.

Jurij milczał. Nie zamierzał dłużej znosić upokorzeń, na które wystawiały go ciągle próby. Decyzja o wyjeździe z Ameryki była nieodwracalna.

–Dobrze, że wygraliśmy zimną wojnę – ciągnął Harvey. – Dzięki temu Rosjanie mogą się bogacić i korzystać z podstawowych swobód obywatelskich. Mam nadzieję, że nie zmarnują tej szansy.

Złość Jurija przeszła we wściekłość. Dostawał szału, ilekroć ktoś powtarzał kłamstwo, że Ameryka wygrała zimną wojnę i pobiła Związek Radziecki. Zdradzili go sami Rosjanie – najpierw Gorbaczow, z tą jego bezsensowną głośnością i pierestrojką, a potem Jelcyn, ze swymi wygórowanymi ambicjami.

Jurij popędził z warkotem silnika do centrum, klucząc między pojazdami, ignorując sygnalizację świetlną, strasząc pieszych na jezdni.

–Hej! – krzyknął Harvey. – Zwolnij, do diabła! Co się z tobą dzieje?

Jurij nadal milczał. Nie znosił samouwielbienia Harveya, jego drogiego ubrania, płowego nesesera, a zwłaszcza tej głupiej czapeczki, która kleiła się do jego rzadkich, postrzępionych włosów.

–Ejże! – wrzasnął Harvey. Zapukał w pleksiglasową przegrodę. – Niech pan zwolni, bo zadzwonię po policję.

Groźba wezwania policji przedarła się przez furję Jurija. Nie miał najmniejszej ochoty na utarczkę z władzami. Zdjął nogę z gazu i zaczerpnął głęboki oddech, aby się uspokoić.

–Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem, żeby się pan spóźnił na spotkanie.

–Wolałbym dotrzeć tam żywy – warknął Harvey.

Zachowując przepisową prędkość, Jurij podjechał w okolice Piątej Avenue. Następnie skręcił na południe i po

minięciu dwóch kolejnych przecznic zjechał przed Union Bank. Zatrzymał się i wyłączył taksometr.

Harvey czym prędzej wysiadł z taksówki. Stojąc na chodniku, odliczył należność co do centa i wcisnął pieniądze w wyciągniętą rękę Jurija.

–A napiwek? – spytał Jurij.

–Tak należy ci się napiwek, jak mnie podbite oko. Ciesz się, że ci w ogóle zapłaciłem – parsknął Harvey. Odwrócił się i podreptał ku obrotowym drzwiom lśniącego granitem i szkłem budynku.

–I tak nie liczyłem na napiwek od takiej syjonistycznej świni jak ty! – krzyknął za nim Jurij.

Harvey pokazał taksówkarzowi środkowy palec, a potem zniknął w banku.

Jurij zamknął na moment oczy. Musiał zapanować nad sobą, zanim popełni jakieś głupstwo. Do cholery, miał nadzieję, że Harvey Bloomberg mieszka w Upper East Side, ponieważ tę właśnie część miasta zamierzał wkrótce zniszczyć.

Zorientował się, że drzwi taksówki otwierają się i ktoś gramoli się do wnętrza.

Okręcił się na fotelu.

–Skończyłem pracę – rzucił. – Wysiądać!

–Na taksówce jest napis, że jest pan wolny – poskarżyła się kobieta. W jednej ręce trzymała neseser od Louisa Vuittona, w drugiej podręczną torbę ze skóry.

Jurij wyciągnął rękę i pstryknął wyłącznik.

–Już nie jestem – warknął. – Wynocha!

–Jezu Chryste – mruknęła kobieta. Chwyciła bagaże i wysiadła z samochodu.

W geście agresji nie domknęła za sobą tylnych drzwi. Wyszła na ulicę, obrzuciła Jurija pełnym wzgardy spojrzeniem, po czym zatrzymała inną taksówkę.

Jurij wysunął rękę przez okno i popchnął uchylone drzwi. Zamknęły się bez problemu, wóz ruszył. Jurij nie był w nastroju do użerania się z zarozumiałymi biznesmenami, szczególnie żydowskimi bankierami. Wolał oddawać się rozmyślaniom o swojej zemście, w związku z czym potrzebował dowodów, że jego śmiercionośny środek jest rzeczywiście skuteczny. Należało zobaczyć, jak się miewa Jason Papparis.

Biuro Korynckiego Przedsiębiorstwa Dywanowego znajdowało się przy Walker Street, na południe od Canal Street. Zajmowało tam parter sklepu, którego wystawę zdobiły wyblakłe tureckie dywany w geometryczne wzory i kilka kozich skór. Zbliżając się do celu, Jurij zwolnił. Opatrzony złotymi literami drzwi były zamknięte, Jurij wiedział jednak, że to o niczym nie świadczy. Ilekroć tędy przejeżdżał, oglądając budynek, drzwi zawsze były zamknięte.

Wjechał na leżący po drugiej stronie ulicy plac załadunkowy, z którego mógł obserwować wejście, i zatrzymał samochód. Postanowił czekać, choć na dobrą sprawę nie wiedział na co. Musiał się w jakiś sposób dowiedzieć, jak czuje się pan Jason Papparis. Jurij był pewien, że koperta z Zakładów Czyszczenia ACME dotarła do handlarza dywanami najpóźniej w piątek.

Powoli uspokajał się. Z ekscytacją myślał o następnym kroku, jaki uczyni w swoim wielkim planie. Będzie mógł donieść Curtowi, że węgiel jest potężną bronią.

Wtedy pozostanie mu już tylko przetestować jad kiełbasiany. Jurij zdecydował, że tego historycznego dnia użyje obu bakterii naraz. Chciał wyeliminować wszelką możliwość popełnienia błędu technicznego. Toksyny zabijały w zupełnie odmienny sposób, mimo że obie trzeba było rozpylić w powietrzu.

Sięgnął pod fotel, odsunął służący mu do samoobrony łom i wydobył piersiówkę. Zasłużył sobie na łyk wódki. Upewniwszy się, że nikt go nie widzi, szybko pociągnął z butelki. Aż westchnął z rozkoszą, kiedy wrażenie ciepła rozlało się po całym ciele. Poczul się zupełnie spokojny. Zaczynał nawet dostrzegać parę jasnych promyczków,

które pojawiły się ostatnio w jego życiu.

Najszczęśliwym trafem, jaki mu się zdarzył od chwili przyjazdu do USA, było spotkanie, a potem znajomość z Curtem Rogersem i jego przyjacielem, Steve'em Hendersonem. Znajomość ta sprawiła, że marzenie Jurija o zemście mogło się urzeczywistnić. Do spotkania doszło przez przypadek. W letnią noc, po ciężkim dniu za kółkiem, Jurij zatrzymał się w niewielkim, obskurnym barze o nazwie „Biała Duma” w Bensonhurst w Brooklynie. Dawno już zdążył osuszyć swoją piersiówkę i musiał natychmiast napić się wódki; nie mógł z tym czekać, aż wróci do domu w Brighton Beach.

Minęła godzina dwudziesta trzecia. W barze panowały tłok, mrok i harmider. Ściany drżały od ciężkich heavymetalowych dźwięków emitowanych przez grupę Skrewdriver. Klientelę „Białej Dumy” stanowili głównie młodzi biali twardziele z robotniczych rodzin, wytatuowani, z wygolonymi głowami i w brudnych podkoszulkach.

Jurij powinien był się domyślić, kogo zastanie wewnątrz. Przy krawężniku, przed otwartymi drzwiami, zobaczył rząd zaparkowanych harleyów oklejonych faszystowskimi nalepkami.

Pamiętał, że na progu zawahał się, czy wejść. Instykt podpowiadał mu, że w tym miejscu niebezpieczeństwo wisi w powietrzu jak miazmaty nad bagniskiem. Ludzie gapili się na niego z jawną wrogością. Po chwili wahania Jurij zaryzykował jednak wejście do baru. Uczynił tak z dwóch powodów. Po pierwsze, zląkł się, że jeśli ucieknie, tamci rzucą się za nim w pościg niczym wściekły, ale niezdecydowany pies, który rusza za uciekającym. Po drugie zaś naprawdę musiał się napić wódki, a wszystkie inne bary w Bensonhurst robiły prawdopodobnie tak samo groźne wrażenie.

Usiadł i pochylił się nad barem, łokcie przycisnął do boków, patrzył wprost przed siebie. Kiedy zamówił drinka, jego akcent wywołał pewne poruszenie. Otoczyło go kilku wyrostków ze znudzonymi minami. Już sądził, że nie wywinie się od kłopotów, gdy nagle wyrostki rozstały się z szacunkiem i pojawił się schludnie ubrany mężczyzna pod czterdziestkę.

Przybysz był wysokim, szczupłym blondynem. Miał krótkie włosy, ale nie był ogolony na zero. Przypominał wojskowego. Również miał na sobie koszulkę, ale czystą i wyprasowaną. Z lewej strony piersi widniał na niej mały strażacki hełm. Poniżej był napis: Załoga nr 7. Mężczyzna różnił się też od skinheadów tym, że miał tylko jeden tatuaż. Małą flagę amerykańską na prawym ramieniu.

–Nie wiem, przyjacielu, czy jesteś tak odważny czy głupi, aby przychodzić tu bez zaproszenia – odezwał się blondyn. – To prywatny klub.

–Przepraszam – wybełkotał Jurij. Zaczął się podnosić ze stołka.

Blondyn położył mu rękę na ramieniu, żeby pozostał na miejscu.

–Mówisz z rosyjskim akcentem – zauważył.

–Bo jestem Rosjaninem – potwierdził Jurij.

–Czy jesteś Żydem?

–Nie! – rzucił Jurij. – Skądże znowu. – Nie spodziewał się takiego pytania.

–Mieszkasz w Brighton Beach?

–Tak jest – potwierdził nerwowo. Nie miał pojęcia, do czego jego rozmówca zmierza.

–Myślałem, że wy, Rosjanie, wszyscy jesteście Żydami.

–Ja nie jestem – zapewnił Jurij.

Mężczyzna wiedział, o czym mówi. Większość rosyjskich emigrantów zamieszkujących dzielnicę Brighton Beach stanowili Żydzi. To między innymi dlatego Jurij miał tak mało przyjaciół. W Brighton Beach działały liczne organizacje żydowskie, biorące pod swoje skrzydła uchodźców na tle religijnym. Ponieważ za czasów komunistycznego reżimu jedynie Żydom wolno było wyjeżdżać z Rosji, jeszcze przed rozpadem ZSRR powstała tam sporych rozmiarów społeczność. Z powodu religijnej neutralności Jurija nikt się nim nie interesował.

–Czyżbym wyczuwał negatywny stosunek do Żydów? – zapytał blondyn.

Jurij przebiegł wzrokiem slogany na koszulkach wielu ze skinheadów. Zobaczył napisy w rodzaju: „Holokaust to syjonistyczny mit” i „Precz ze zdominowanym przez syjonistów rządem amerykańskim!” W rezultacie uznał za wskazane przyznać się do swoich antysemitycznych poglądów.

Nie miał sprecyzowanego stosunku do Żydów, dopóki w Rosji nie odbyły się wybory prezydenckie. To wtedy zapoznał się z neofaszystowską retoryką Władimira Żyrinowskiego i neokomunizmem Gienadija Żuganowa. Toska i urażona duma narodowa uczyniły z niego podatnego odbiorcę przebrzmiałych teorii obu demagogów.

–Wiesz, przyjacielu, chyba pomylił się co do ciebie – stwierdził blondyn w odpowiedzi na rasistowskie wyznania Jurija. Poklepał go po plecach. – Nie tylko witam cię w naszym barze, ale jeszcze postawię ci kolejkę.

Blondyn pstryknął palcami w stronę barmana, który czmychnął, gdy atmosfera stała się gorąca. Ten przyniósł butelkę wódki i napełnił szklankę Jurija po brzegi.

–Nazywam się Curt Rogers – przedstawił się blondyn. Ulokował się na stołku obok Jurija. – A to jest Steve Henderson. – Wskazał na rudego mężczyznę, który przysiadł się po drugiej stronie Jurija. Steve był o wiele bardziej umięśniony od Curta, ale przypominał go stylem ubioru. Jego T-shirt nosił takie same insygnia.

Po pierwszym spotkaniu przyszła kolej na następne, gdy trzech mężczyzn przekonali się, że oprócz antysemityzmu podzielają także inne przekonania. Szczególnie dobrze rozumieli się w kwestii stosunku do obecnego rządu amerykańskiego.

–Cały ten cholerny cyrk jest bezprawny i niekonstytucyjny – wyszeptał Curt, kiedy po raz pierwszy zgadali się na ten temat. – Jest tylko jedno rozwiązanie: trzeba obalić rząd przy użyciu wojska. Nie ma innego wyjścia. I musimy się spieszyć, bo syjoniści z każdym dniem rosną w siłę.

–Naprawdę? – zdziwił się Jurij.

Odkrycie, że są tacy Amerykanie, którym nie podoba się rząd, wstrząsnęło nim. Zdaniem Curta, który był autorytetem w sprawach rządu i historii amerykańskiej, niezadowoleni nie ograniczali się do garstki malkontentów. Patrioci, jak ich nazywał Curt, byli rozrzućeni po całym kraju. Dysponowali dobrym uzbrojeniem i czekali tylko na znak, by wznieść bunt.

–Zapamiętaj sobie moje słowa – szepnął Curt innym razem. – Wiem z miarodajnych źródeł, że w Montanie rząd szkoli oddziały gurkhów. Mają tysiące czarnych helikopterów. Jeśli nie powstrzymamy tych zdrajców, niebawem wylecą ze swojej bazy i odbiorą broń wszystkim patriotom w tym kraju. Wtedy będziemy bezbronni wobec władających światem syjonistów.

Jurij nie znał wprawdzie znaczenia słowa „miarodajny”, ale nie musiał o nie pytać, gdyż bezbłędnie zrozumiał intencje Curta. Rząd Stanów Zjednoczonych jest znacznie bardziej zepsuty i niebezpieczny, niż Jurij sobie wyobrażał. Zarówno on, jak Curt, chcieli to zmienić i, istotnie, mogli sobie wzajemnie pomóc, ponieważ każdy z nich potrafił coś, czego nie potrafił drugi. Jurij posiadał techniczne doświadczenie i wiedzę potrzebną do zbudowania broni masowego rażenia, natomiast Curt miał ludzi, którzy mogli załatwić niezbędny sprzęt i materiały. Curt sformował ze skinheadów bojówki, które nazwał Ludową Armią Aryjską, i utrzymywał, że jego oddziały szturmowe wykonają każdy rozkaz, jaki im wyda.

–Rozpylacz środków do zwalczania szkodników? Nie ma sprawy! – stwierdził Curt w odpowiedzi na pytanie Jurija. – Jak będzie trzeba, zwędzi się rozpylacz z Long Island. Używają ich tam na polach ziemniaczanych. Tylko jechać i brać.

W parę tygodni później, popijając mrożoną wódkę, Curt, Jurij i Steve uścisnęli sobie dłonie z okazji rozpoczęcia akcji, którą nazwali operacją „Rosomak”. Ponieważ Jurij nie wiedział, co to jest rosomak, Curt wyjaśnił mu, że jest to małe, Przebiegłe i wyjątkowo zajadłe zwierzątko. Mówiąc to, Curt Puścił oko do Steve’a, gdyż w rzeczywistości Rosomak oznaczał jednego z bohaterów znanego filmu survivalowego Czerwony świt. Był to ulubiony film Curta i Steve’a. Występująca w nim grupa Rosomaków zatrzymała inwazję całej rosyjskiej armii.

Jurij chciał nazwać ich plan operacją „Zemsta”, ale ustąpił, widząc, że Curt i Steve upierają się przy „Rosomaku”. Curt wytłumaczył, że nazwa ta znajdzie natychmiastowy odzew ze strony prawicowego podziemia.

Po wódce byli zawsze szalenie podnieceni. Ich związek – jak to określił Curt – był małżeństwem skojarzonym w niebie.

–Wierzę, że to będzie iskra, która stanie się zarzewiem buntu – powiedział Curt. – Coś tak wielkiego, tutaj w Nowym Jorku, musi wzniecić powszechną rewoltę.

W porównaniu z tym zamach na Budynek Federalny w Oklahoma City będzie dziecinną igraszką.

Jurij nie dbał o to, czy operacja „Rosomak” doprowadzi do narodowego powstania. On chciał tylko napluć w zadowoloną z siebie gębę Ameryki. Jeśli przysporzy mu to sławy, poświęci ją na rzecz partii Żyrinowskiego i wskrzeszenia imperium radzieckiego.

Nagle pukanie w zderzak jego taksówki wyrwało go z zadumy. Obrócił się i zobaczył pilnującą parkingu dziewczynę.

–Niech pan się przesunie – poprosiła. – Tu jest plac załadunkowy.

–Przepraszam – rzekł Jurij. Wrzucił pierwszy bieg i odjechał. Nie oddalił się jednak zbyt daleko. Po prostu okrążył kwartał ulic i wrócił w to samo miejsce. Dziewczyna zdążyła już odejść.

Jurij włączył światła awaryjne, aby wyglądało, że czeka na klienta, i wysiadł z samochodu. Przez pół godziny, odkąd miał na oku Korynckie Przedsiębiorstwo Dywanowe, nikt tam nie wszedł ani stamtąd nie wyszedł. Jurij przeciął truchtem ulicę.

Ostonił oczy dłońmi i zajrzał do wnętrza. Biuro było puste. Nie paliły się żadne światła. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz.

Wszedł do sąsiedniego sklepu. Siedząc w taksówce, zauważył, że weszło tam kilkoro ludzi. Był to sklep filatelistyczny. Gdy tylko ucichły dzwonki nad drzwiami, zapadła grobowa cisza. Z głębi sklepu wyłonił się właściciel w małych trójogniskowych okularach huśtających się na czubku bulwiastego nosa. Na łysej głowie miał jarmułkę i Jurij mógłby przysiąc, że ten musiał ją tam przylepić.

–Dostałem wezwanie – wyjaśnił Jurij. – Mam odebrać niejakiego pana Papparisa z Korynckiego Przedsiębiorstwa Dywanowego. Tam czeka moja taksówka. Niestety, biuro jest zamknięte. Czy pan zna pana Papparisa?

–Oczywiście.

–Czy pan go widział? – zapytał Jurij.

–Dzisiaj go nie widziałem. Ale to nic dziwnego. Nasze ścieżki rzadko się krzyżują.

–Dziękuję – rzekł Jurij.

–Proszę uprzejmie.

Jurij udał się do sklepu położonego po drugiej stronie biura. Tam usłyszał tę samą odpowiedź. Potem wrócił do taksówki i zastanawiał się, co dalej. Przyszło mu na myśl, by zadzwonić do okolicznych szpitali, lecz zarzucił ten pomysł, przypomniawszy sobie, że przecież nie zna adresu pana Papparisa. Zastanawiał się, czy poszukać jego numer telefonu, ale szybko doszedł do wniosku, że dzwonienie do domu Papparisa byłoby głupotą. Do tej pory zachowywał nadzwyczajną ostrożność, nie chciał niepotrzebnie ryzykować. Żeby to, co zaplanował w Nowym Jorku, mogło się powieść, musiał działać bez ostrzeżenia.

Odjechał. Dotarłszy do rogu Walker i Broadway, uświadomił sobie, że znajduje się o sześć przecznic od Duane Street, gdzie mieściła się remiza Curta i Steve’a. Mimo że nigdy nie odwiedzał partnerów w pracy, postanowił złożyć im wizytę. Nie mógł na razie potwierdzić siły rażenia wąglika, była to zresztą według niego kwestia czysto akademicka, lecz mógł ich poinformować, że próby są już w toku. Była to wiadomość aż nadto ekscytująca, oznaczała bowiem, że operacja „Rosomak” naprawdę ruszyła z miejsca. Etap planów i wstępnych badań dobiegł końca. Teraz zostawała tylko kwestia wyprodukowania odpowiedniej ilości środka i rozpylenia go w powietrzu.

Poniedziałek, 11.30 – Myślisz, że postępujemy rozsądnie? – spytał Steve Henderson. – Nie jestem pewien, czy to, czego ewentualnie się dowiemy, uzasadnia takie ryzyko.

Curt chwycił przyjaciela za rękaw i zatrzymał go. Znajdowali się przed Budynek Federalnym Jacoba Javitza przy Federal Plaza 26. Wchodzący i wychodzący stamtąd roje ludzi. Nic dziwnego. W budynku pracowało prawie sześć tysięcy urzędników, a dziennie odwiedzało go tysiąc obywateli.

Curt i Steve ubrani byli w świeżo odprasowane służbowe mundury strażackie w błękitnym kolorze. Ich czarne buty lśniły w promieniach październikowego słońca.

Koszula Curta miała jaśniejszy odcień niż Steve'a, poza tym Curt nosił na kołnierzyku malutki złoty rożek byka. Cztery lata wcześniej awansował do stopnia porucznika.

–Przy operacji na taką skalę rekonesans jest niezbędny – syknął Curt. Zerknął kątem oka na spieszący się tłum, aby upewnić się, że nikt nie zwraca na nich uwagi.

–Czego oni cię uczyli w tej armii?! Przecież to absolutne abecadło!

Curt i Steve przyjaźnili się od liceum. Obaj wychowali się w robotniczej dzielnicy Bensonhurst w Brooklynie. Obaj byli cichymi, grzecznymi i schludnymi samotnikami, którzy przez lata – zwłaszcza w ogólniaku – zbliżyli się do siebie jak dwie bratnie dusze. Nie należeli do wybijających się studentów, choć na egzaminie końcowym osiągnęli dobry wynik. Curt wypadł lepiej od Steve'a. Żaden nie uprawiał sportu, mimo że starszy brat Curta był w Bensonhurst legendarną gwiazdą futbolu. Zazwyczaj, jak sami mówili, „szwendali się po mieście”. Obaj w końcu wylądowali w wojsku: Curt po sześciu miesiącach studiów w college'u, Steve po rocznej nauce zawodu u ojca hydraulika.

–Wojska naziemne nauczyły mnie tego samego co ciebie piechota morska – odciął się Steve. – Nie wciskaj mi swojej marynarskiej lipy.

–Nie uda nam się w dniu operacji wnieść sprzętu, jeśli najpierw nie rozpoznamy terenu – stwierdził Curt. – Trzeba go będzie umieścić w głównym kanale wentylacyjnym. Musimy mieć pewność, że zdołamy się tam dostać.

Steve obrzucił ogromny budynek nerwowym spojrzeniem.

–Mamy plany – odparł. – Wiemy, że główny kanał jest na trzecim piętrze.

–Chryste Panie! – zawołał Curt, wznosząc w górę ręce; w jednej z nich trzymał notatnik. – Nie dziwię się, że cię wylali z zielonych beretów. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że strach cię obleciał?

W przeciwieństwie do skromnej kariery naukowej, obaj mężczyźni wyróżnili się w służbie wojskowej. Curt odbywał ją w Camp Pendelton w Kalifornii, natomiast Steve został przyjęty do Fort Bragg w Karolinie Północnej. Obydwaj prędko zdobyli podoficerskie szlify. Dyscyplina i poczucie sensu podniecały ich, stali się wzorowymi, zapiętymi-na-ostatni-guzik żołnierzami. Szczególnie interesowali się uzbrojeniem, zwłaszcza karabinami maszynowymi i bronią krótką. Obaj zostali odznaczeni jako strzelcy wyborowi.

W tamtych latach rzadko pisywali do siebie. Odmienny rodzaj służby i odległość stanęły na przeszkodzie ich przyjaźni. Widywali się tylko wtedy, gdy dostawali przepustkę w tym samym czasie. Spotykając się w Bensonhurst, wracali pamięcią do starych czasów i opowiadali sobie „wojenne historie”. Obydwaj wzięli udział w wojnie nad Zatoką Perską.

Chociaż Curt i Steve nie przyznali tego otwarcie, obaj sądzili, że pozostaną w wojsku. Jednak miało się stać inaczej. Ostatecznie rozczarowali się do kariery wojskowej.

Doświadczenia Curta były w tym względzie bardziej przykre. Objął dowództwo nad szkoleniem rekrutów w elitarniej grupie rozpoznawczej piechoty morskiej. Podczas skrajnie wyczerpujących nocnych manewrów Curt rozkazał kontynuować zadanie, w wyniku czego jeden z jego rekrutów zmarł. Śledztwo wykazało, że Curt był temu częściowo winien. Pominięto milczeniem fakt, że mężczyzna w ogóle nie powinien uczestniczyć w szkoleniu. Był to typowy „maminsynek”, którego przyjęto tylko dlatego, że jego ojciec miał poparcie Waszyngtonu.

Curt nie został wprawdzie ukarany, ale incydent nadszarpnął jego pozycję i wykluczył dalszy awans. Był najpierw

zdruzgotany, a potem wściekły. Miał poczucie, że przełożeni opuścili go w potrzebie, choć on nie szczędził swych sił krajowi. Gdy nadszedł czas przedłużenia służby, Curt zwolnił się z wojska.

Steve miał inne doświadczenia. Po długim czasie oczekiwania i złożenia wielu podań został wreszcie przyjęty do zielonych beretów, ale wykruszył się podczas pierwszych dwudziestu jeden dni, kiedy dokonywano oceny żołnierzy. Nie stało się to zresztą z jego winy – nabawił się grypy. Dowiedziawszy się, że mimo dotychczasowych zasług będzie musiał złożyć kolejne podanie, poszedł za przykładem Curta i, zdradzony i rozczarowany, opuścił wojsko.

Po serii dorywczych prac, związanych głównie z ochroną mienia, Curt wstąpił do straży pożarnej. Praca od razu przypadła mu do gustu – podobała mu się wojskowa hierarchia, mundury, poczucie dumy i misji oraz ciekawy sprzęt. Nie była to może broń, którą posługiwała się piechota morska, ale różnice były niewielkie. No i plusem było to, że mieszkał w Bensonhurst.

Wkrótce Curt zachęcił Steve'a, aby on również przystąpił do egzaminów państwowych. Po pewnych staraniach, gdy już Steve został przyjęty, udało im się zdobyć skierowanie do tej samej remizy. Tak oto wrócili do punktu wyjścia: ponownie mieszkali w Bensonhurst i znów byli najlepszymi przyjaciółmi.

–Nie obleciał mnie strach – odrzekł ponuro Steve – tylko myślę, że sami się pchamy w kłopoty. Budynek nie jest przewidziany do kontroli przeciwpożarowej. Co będzie, jak zadzwonią do remizy?

–Skąd wiesz, że nie jest przewidziany? – spytał Curt. – Nawet jeśli zadzwonią, co z tego? Kapitan jest na urlopie. Poza tym przeprowadzimy autentyczną inspekcję: przypadkiem odkryłem, że podczas poprzedniej stwierdzono naruszenie przepisów.

Jakby co, to sprawdzamy, czy naprawiono błąd.

–Jaki błąd?

–Na parterze, w barze kanapkowym, zainstalowano grill – wyjaśnił Curt. – Pewnie kierownik gastronomii dorzucił go po namyśle. Wątpię, czy w ogóle wystąpili o pozwolenie. Założyli grill, ale zapomnieli o gaśnicy proszkowej. Zaraz zobaczymy, czy naprawili już to niedociągnięcie.

–Pokaż, gdzie to jest – powiedział Steve.

–Co, nie wierzysz mi? – spytał Curt. Wysunął kopię raportu z klamry swego notatnika i podetknął ją Steve'owi pod nos.

–Niech mnie kule! – zawołał Steve, spoglądając na formularz. – Rzeczywiście.

–Wątpisz w słowo eks oficera piechoty morskiej? – zażartował Curt.

–Odchrzań się – uciał wesoło Steve.

Mężczyźni pomaszzerowali do wejścia. Wyprostowani, z wysoko podniesionymi głowami, poruszali się jak zawodowi żołnierze.

–To będzie genialna operacja – stwierdził cicho Curt. – Tu znajduje się największe biuro FBI poza centralą w Waszyngtonie. Jak o tym pomyślę, dostaję gęsiej skórki. Odplacimy im się za szturm w Ruby Ridge.

–Szkoda, że nie ma więcej agentów ATF – powiedział Steve. – Moglibyśmy jednocześnie pomścić Odłam Dawidowy za to, co się stało pod Waco.

–Spokojna głowa – uspokoił go Curt. – Rząd zrozumie, o co chodzi.

–Jesteś absolutnie pewien, że Jurij nie nawali? – zapytał Steve.

Curt ponownie zatrzymał przyjaciela w pół kroku. Piesi zaczęli ich omijać.

–Co ci jest? – spytał Curt, nie podnosząc głosu. – Skąd nagle to negatywne myślenie?

–Hej, ja tylko pytam – odrzekł Steve. – Sam przyznałeś, że ten facet jest szurnięty. Poza tym to komunista.

–Były komunista – poprawił Curt.

–Czy tygrysy gubią pręgi? – zapytał Steve. – Ostatnio wygadywał różne bzdury. Na przykład to, że powinno się reaktywować Związek Radziecki. – Żeby zabezpieczyć ich bomby atomowe – wyjaśnił Curt.

–No, nie wiem – powątpiewał Steve. – A ten tekst o Stalinie: że wcale nie był taki zły, jak się na ogół sądzi? Kompletny absurd. Stalin wymordował trzydzieści milionów swoich rodaków.

–To było dziwne – przyznał Curt.

Przygryzł dolną wargę. Istotnie, Jurij miał trochę nierówno pod sufitem. Budynek Federalny Jacoba Javitsa mu nie wystarczał; chciał podłożyć drugi ładunek w Central Parku, żeby wirus rozprzestrzenił się na całe Upper East Side. Twierdził, że dzięki temu unieszkodliwią najwięcej żydowskich bankierów. Curt był za tym, by poprzestać na Budynku Federalnym, ale Jurij nie dał się przekonać.

–Odwaliliśmy dla niego kawał roboty – kontynuował Steve. – Nasi chłopcy ukradli kadzie z mikrowarzelni w New Jersey. Dostarczyliśmy mu wszystko, czego zażądał. Klan z Oklahomy przysłał nam skrzynie z nawozem, który według Jurija zawiera odpowiednie bakterie. Pewnie pomyśleli, żeśmy zbzikowali, prosząc ich o brudną ziemię z bydlęcych zagród.

–Jurij powiedział, że wyizoluje z niej bakterie – przypomniał Curt. – Czytałem o tym w Internecie, to prawda.

–W porządku – przytaknął Steve. – Nie przeczę, że jad kiełbasiany i wąglik znajdują się w ziemi, zwłaszcza na Południu, gdzie hoduje się bydło, tylko że my nic jeszcze nie widzieliśmy! Jurij nic nam nie pokazał. Nie mamy żadnych bakterii. Nie widzieliśmy nawet tego laboratorium, które ponoć zbudował w piwnicy swojego domu.

–Myślisz, że wodzi nas za nos? – spytał Curt. Przeszło mu przez myśl, że Jurij podłoży swój ładunek w Central Parku, a potem zostawi ich na lodzie.

–Z obcokrajowcami nigdy nie wiadomo – odparł Steve. – Zwłaszcza z Rosjanami. Przez siedemdziesiąt lat nasz system wyłaził im bokiem.

–Nie wpadajmy w paranoję – stwierdził Curt, machnąwszy wolną ręką. – Jurij nic do nas nie ma. Nie wątpię, że chce rozwalić ten budynek FBI. Nie cierpi rządu tak samo jak my. Nie chcieli uhonorować jego dyplomów naukowych. Uczył się tyle lat, a ciągle jeździ na taksówce. Do diabła, też byłbym wściekły.

–Ale skąd mamy wiedzieć, że naprawdę zdobył to wykształcenie?

–To prawda – przyznał Curt. Nie było sposobu, aby to sprawdzić.

–Może teraz nie pora o tym mówić – ciągnął Steve. – Ale w tej chwili, gdy narażamy się na niebezpieczeństwo, wchodząc do tego budynku, żałuję, że nie mamy więcej dowodów, iż Jurij robi to, co do niego należy.

–Myślisz, że to możliwe, że Jurij nie pracował nad radziecką bronią biologiczną?

–Myślę, że pracował – odparł Steve. – Zbyt dużo wie, żeby to wszystko zmyślić, zwłaszcza tę historię o śmierci jego matki. Niemniej dziwię się, że CIA nie zainteresowała się nim, kiedy przyjechał do Stanów. Może nie pracował przy produkcji, ale zmywał podłogi w fabryce broni?

–To dlatego, że przyjechał tu tak późno – wyjaśnił Curt. – Pamiętasz? Opowiadał nam o tych dwóch specach od broni biologicznej, którzy uciekli do Stanów kilka lat przed nim. Widocznie powiedzieli CIA wszystko, co ta chciała wiedzieć o naruszeniu przez ZSRR konwencji o zakazie rozwoju broni biologicznej z 1972 roku.

–Mimo to chciałbym zobaczyć jakiś dowód na potwierdzenie słów Jurija – oznajmił Steve. – Cokolwiek.

–W zeszłym tygodniu mówił, że wkrótce przetestuje wąglik.

–To by mi wystarczyło – orzekł Steve. – Pod warunkiem, że coś wyjdzie z tych testów.

–Masz rację – stwierdził Curt. – Myślę jednak, że nie powinniśmy odkładać tej wizyty w budynku. Nic nie ryzykujemy, kapitan jest na urlopie.

–Słusznie. W razie czego powołamy się na ten raport o naruszeniu przepisów.

–Wchodzisz w to?

–Wchodzę – odparł Steve.

Mężczyźni weszli przez obrotowe drzwi. Musieli stanąć w kolejce do wykrywacza metalu. Szef ochrony skierował ich do działu robót konserwacyjnych.

–Na razie idzie dobrze – wyszeptał Steve.

–Spoko. To będzie bułka z masłem.

Drzwi do biura były uchylone. Curt wysunął się przed Steve'a i podszedł do siedzącej za biurkiem sekretarki. W pomieszczeniu było tłoczno: ludzie rozmawiali przez telefon i siedzieli przy komputerach.

–Czym mogę służyć? – odezwała się sekretarka. Była to ociężała kobieta, która mimo włączonej klimatyzacji pocila się obficie.

Curt otworzył portfel i pokazał jej swoją odznakę straży pożarnej. Wpinał ją, wraz z czarną wstążeczką, tylko na pogrzeby, kiedy wkładał mundur galowy.

–Kontrola pożarowa – oznajmił.

–Oczywiście – rzekła sekretarka. – Chwileczkę, zawołam głównego inżyniera.

Zniknęła za wewnętrznymi drzwiami. Curt spojrzał na Steve'a.

–Małe piwo.

–Czujesz świeże powietrze? – zapytał Steve.

–Tak.

Steve podniósł triumfalnie kciuk. Curt skinął głową. Wiedział, co przyjaciel ma na myśli. Im silniej powietrze krąży w budynku, tym skuteczniejszy będzie rozsiew bakterii.

Po jakimś czasie przyszedł główny inżynier. Był to około czterdziestoletni Murzyn, ubrany w ciemny garnitur, białą koszulę i krawat. Curt był zaskoczony. Spodziewał się kogoś w poplamionym smarem kombinezonie. Zerknął kątem oka na Steve'a, aby zobaczyć, czy tamten też jest zdziwiony. Jeśli nawet był, to nic nie dał po sobie poznać.

–Nazywam się David Wilson. W czym mogę panom pomóc? Jestem zaskoczony waszą wizytą. Nie mamy dziś w planie kontroli pożarowej. – Ton głosu Davida nie brzmiał zaczepnie, lecz pytająco.

–Zgadza się, sir – potwierdził Curt. – Przeprowadzamy nie zapowiedzianą kontrolę w celu sprawdzenia, czy usunięto błąd, który wykryliśmy ostatnim razem, dotyczący grilla na parterze. Ale skoro już tu jesteśmy, chcielibyśmy wypełnić całą listę i sprawdzić stan rur, gaśnic, instalacji rozpryskowej, węży, czujników dymu... i tak dalej. To, co zwykle.

–Gaśnicę zamontowaliśmy tuż po waszej kontroli – oświadczył David. – Wysłaliśmy dokumenty do straży.

–Chcielibyśmy ją sprawdzić – stwierdził Curt. – Wie pan, dla świętego spokoju.

–Pozwolicie panowie, że wyślę z wami jednego z moich ludzi? – spytał David. – Mam właśnie zebranie.

–O, naturalnie – odparł Curt przyjaznym tonem.

W pięć minut później pojawił się wysoki, szczupły, małomówny mężczyzna ubrany w kombinezon, który Curt spodziewał się ujrzeć na Davidzie Wilsonie. Robotnik nazywał się Reggy Sims. Był drugim elektrykiem.

Zaczęli od sprawdzenia grilla w barze kanapkowym na parterze. Akurat smażyły się na nim kiełbaski i hamburgery, gdyż zbliżało się południe – pora lunchu. Curt potrzebował zaledwie dwóch sekund, aby stwierdzić, że gaśnica typu Ansul jest w porządku.

Następnie Curt i Steve dokonali pobieżnej kontroli ogólnej, nie próbując nawet sprawdzić wszystkiego. Jeżeli towarzyszący im robotnik nabrał jakichś podejrzeń, to zupełnie nie pokazał tego po sobie. Nie spieszył się też z powrotem do pracy.

–A co z systemem wentylacji? – zapytał Curt.

–A co ma być? – zdziwił się Reggy.

–Chcemy go obejrzeć – powiedział Curt. – Musimy wiedzieć, jak go wyłączyć, a przynajmniej jak izolować poszczególne obszary. Gdyby, nie daj Boże, wybuchł pożar, dym rozniósłby się po całym budynku. Gdzie jest główny pulpit kontrolny?

–Na trzecim piętrze, w maszynowni – wyjaśnił Reggy.

–A główna rura wlotowa? Gdzie się znajduje?

–Właśnie tam. – Świetnie – rzekł Curt. – Chodźmy rzucić na nią okiem.

–Po co? – spytał Reggy.

–Czujniki ognia powinny sprawdzać zarówno wlatujące, jak i cyrkulujące powietrze – wytłumaczył Curt. – Musimy przynajmniej je obejrzeć. Właściwie powinniśmy je przetestować.

Reggy wzruszył ramionami i wskazał im drogę.

W maszynowni panował ogłuszający hałas. Obszerne pomieszczenie wypełniał różnego rodzaju sprzęt: masywne tablice rozdzielcze, ogromne kotły, sprężarki i pompy. Zawikłana sieć rur, kanałów i przewodów rozbiegała się na wszystkie strony.

Niewielu ludzi zdawało sobie sprawę, jak skomplikowanych urządzeń potrzeba, aby w tak ogromnym budynku działała klimatyzacja, funkcjonowały windy lub żeby na trzydziestym drugim piętrze z kranu pociekła woda. Wszystko to wymagało mnóstwa energii i sprzętu działającego dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Główne kanały powietrzne były tak wielkie, że wcale nie przypominały kanałów. Biegły wzdłuż jednej ze ścian olbrzymiej maszynowni, po czym rozgałęziały się niczym wielkie, przewrócone drzewo. W pewnych odstępach umieszczono zamykane na rygiel drzwi przypominające włazy.

Reggy musiał krzyczeć, aby Curt i Steve go usłyszeli. Rąbnął pięścią w jeden z kanałów i zawołał, że tędy biegnie świeże powietrze wciągane z zewnątrz. Potem wskazał miejsce, w którym mieszało się ono z już zużytym powietrzem.

Uszedłszy kawałek, znowu walnął pięścią w przewód.

–Tutaj są filtry – wrzasnął. – Który odcinek kanału chcecie obejrzeć?!

–Ten za filtrami! – odskrzyknął Curt.

Reggy skinął głową. Podeszedł do ogromnej dźwigni wyłącznika i szarpnął za nią. Wypełniająca pomieszczenie kakofonia dźwięków nieco ucichła.

–To wyłącznik głównego wentylatora – wyjaśnił Reggy. Podeszedł do jednych z włazopodobnych drzwi i odryglował je. Otworzyły się z piskiem zawiasów. – Jesteśmy przed głównym wentylatorem. Kiedy pracuje, nie otworzycie tych drzwi. Za duże ssanie.

Curt zbliżył się do drzwi i zerknął w ciemną czeluść. Wysunął latarkę z futerału przy pasie i włączył ją. Najpierw skierował snop światła na filtry. Steve usiłował dojrzeć coś zza jego ramienia, ale drzwi były zbyt wąskie.

–Jak chcecie, to wejdźcie – zaproponował Reggy.

Curt opuścił głowę i przeszedł przez krawędź otworu. Ponownie omiótł filtr światłem. Steve pochylił się w otwartych drzwiach. Reggy udał się do pulpitu systemu wentylacji, żeby wyłączyć alarm obwieszczający spadek ciśnienia.

–Teraz widzisz, dlaczego rekonesans jest niezbędny – powiedział Curt.

Uszczelniony kanał tłumił większość hałasów dochodzących z maszynowni.

–Zapomniałem o filtrach – przyznał Steve.

Curt przesunął światło w przeciwnym kierunku. Ogromne łopaty głównego wentylatora ciągle jeszcze obracały się wolno. Curt poświecił po suficie i odnalazł wykrywacz dymu. Żeby go sprawdzić, musiałby użyć drabiny.

–Właśnie ten będzie musiał zadziałać – oświadczył. – Trzeba znaleźć wolny kanał, którym powietrze powraca na to piętro, żeby któryś z naszych żołnierzy mógł zdetonować bombę dymną.

–Czy myślisz, że wykrywacz jest połączony z konkretnym wskaźnikiem na pulpicie pożarowym? – zapytał Steve.

–Zdziwiłbym się, gdyby było inaczej – odparł Curt. – A nawet gdyby, pulpit powiadomi nas, że czujnik należy do systemu wentylacji. Tak czy owak, da nam to powód, aby wkroczyć.

–Chyba że wyprzedzi nas załoga numer sześć z Beckman Street – dodał Steve.

–Nie mają szans dotrzeć tu przed nami – zaproponował Curt. – Muszą jechać wokół ratusza miejskiego. Zanim przyjadą, my będziemy już w kanale. Jeśli powinniśmy się o kogoś martwić, to o naszych chłopców. Musimy być spokojni, że się zakrzętną i zgodnie z planem ściągną wszystkie windy na parter.

–A co potem, kiedy już tu wejdziemy? – spytał Steve. – Gdzie podłożymy materiał? – Rozejrzał się po dnie kanału. Nie było nigdzie schowka, w którym można by coś ukryć.

–Jurij mówi, że to będzie drobny proszek w plastikowych torebkach. Po prostu zostawimy je tutaj i włączymy małe zapalniki zegarowe. Zanim wybuchną, dawno zdążymy się ulotnić.

–Sądziś, że nie będzie trzeba chować tych torebek?

–A po co? – zdziwił się Curt.

–Gdyby ktoś tu wszedł po naszym odejściu.

–Słyszałeś te trzeszczące zawiasy, kiedy Reggy otworzył drzwi? – odpowiedział pytaniem Curt. – Tutaj nikt nie wchodzi. Na wszelki wypadek rozbiorimy czujnik dymu oraz wyłączymy alarm przeciwpożarowy.

–Dobry pomysł – przyznał Steve. Wzruszył ramionami. – Powinno się udać.

–Możesz się założyć o własny tyłek, że się uda – stwierdził Curt. – Chodź, odszukajmy kanał powrotny i skończmy już tę lipną kontrolę. Pora wracać do remizy.

Znalezienie kanału, którym powietrze wraca na trzecie piętro, okazało się łatwiejsze, niż przypuszczali. Po wyjściu z maszynowni Curt zapytał, gdzie jest najbliższa męska toaleta. Podczas gdy Reggy czekał na zewnątrz, Curt i Steve znaleźli odpowiednią kratkę, którą można było łatwo wymontować. Sądziło, że kanał biegnie prosto do wykrywacza dymu, który przed chwilą oglądali.

–Jeden z naszych ludzi musi tylko zdjąć tę kratkę i wrzucić bombę dymną do środka – skwitował Curt. – To z pewnością uruchomi alarm.

Pół godziny później Curt i Steve wracali przez plac przed budynkiem. Słońce schowało się już za zbitą masę chmur, podmuchy wiatru podrywały gołębie do lotu.

Curt zacisnął dłoń na notatniku, żeby papiery mu nie odfrunęły. Mężczyźni wspięli się do strażackiej furgonetki,

którą zaparkowali przy krawężniku.

Curt zapuścił silnik i po chwili włączył się w ruch uliczny.

–Posunąłeś się naprzód w sprawie naszej drogi ucieczki? – zapytał.

Podzielili się zadaniami w ten sposób, że Curt skupił się na samej akcji, Steve zaś opracowywał ewakuację.

–Wszystko załatwione – poinformował Steve. – Co wieczór ślęczałem godzinami przy Internecie. Mamy nagrane kryjówki do samego Waszyngtonu – a jak będzie trzeba, to i do Kanady. Wszystkie oddziały, z którymi się skontaktowałem, wyraziły pełną gotowość pomocy.

–Nie byli ciekawi, co się dzieje?

–I to jak! – odparł Steve. – Ale nie zdradziłem im nic poza tym, że szykuje się coś wielkiego.

–Dzięki nam Dzienniki Turnera staną się rzeczywistością – zawołał Curt z zachwytem.

Miał na myśli swoją ulubioną powieść, która krążyła wśród skrajnie prawicowych bojówek. Jej bohater, tytułowy Turner, wywołał ogólnokrajowe rebelię, wysadzając w powietrze kwaterę główną FBI w Waszyngtonie.

Curta rozpieierała radość z powodu posiadania broni masowej zagłady. W końcu miał w swoim ręku potęgę, która była zdolna boleśnie uderzyć w rząd. Niech te syjonistyczne świny z Waszyngtonu się przekonają, że nie walczy się z narodem za pomocą agentów FBI i ATF, niech przestaną nastawać na święte prawa obywatelskie, jak prawo do noszenia broni, i niech nie popierają aborcji, gejów, praw mniejszości i mieszanych małżeństw. Do tego dochodziło bezprawie Urzędu Podatkowego i poparcie udzielane Narodom Zjednoczonym. Lista występków była długa.

Curt pokręcił głową, uświadomiwszy sobie, jak daleko rząd odszedł od swych konstytucyjnych praw. Politycy zasłużyli sobie na los, który wkrótce ich spotka.

Oczywiście, nie obędzie się bez ofiar cywilnych; nie da się tego uniknąć. Ale przecież rewolucja amerykańska też pociągnęła za sobą ofiary wśród ludności cywilnej. Podobnie jak „wystrzał słyszany na całym świecie”, operacja „Rosomak” będzie wydarzeniem historycznym. Curt zdał sobie sprawę, że jeśli ich akcja zainauguruje „Piątą Erę”, tak jak niegdyś bitwa pod Bunker Hill zapoczątkowała nowy rząd, to on, Curt, zostanie prawdopodobnie uznany za kogoś w rodzaju współczesnego George’a Washingtona. Z wrażenia aż zakręciło mu się w głowie.

–Bunt mógłby się zacząć, zanim dotrzemy na Zachodnie Wybrzeże – odezwał się Steve. – Wszystkie bojówki czekają tylko na znak, by rozpocząć skoordynowaną akcję. Nawet jeśli zginie ledwie połowa z liczby ludzi, o której mówi Jurij, operacja „Rosomak” będzie warta zachodu.

–Właśnie o tym myślałem – poinformował Curt. Na jego twarzy pojawił się uśmiech samozadowolenia, gdy wyobraził sobie, jak strony Internetowe prowadzone przez radykalną Prawicę wykreują go na gwiazdę.

–Gdyby wybuchło narodowe powstanie – ciągnął Steve – uważam, że powinniśmy się zamelinować w Michigan. O ile mi wiadomo, nasi sympatycy są tam najlepiej zorganizowani. To chyba najbezpieczniejsze miejsce.

–W jaki sposób wydostaniemy się z miasta?

–Pociągami odchodzącym z World Trade Center. Podłożymy ładunek, wrócimy do remizy i natychmiast zwolnimy się z pracy. Wejdziemy do biura kapitana i powiemy mu: Arrivederci!

–Krew go zaleje – stwierdził Curt. Nie znał tej części planu i nie bardzo się nad nią zastanawiał.

–No trudno – odparł Steve. – Musimy się ewakuować z miasta, zwłaszcza jeśli Jurij ma zamiar podłożyć ładunek o tej samej godzinie co my. W przeciwieństwie do niego nie jestem przekonany, czy środek ogarnie całą Upper East Side.

–Ja też mam wątpliwości – przyznał Curt. – Może jednak powinniśmy się ulotnić bez słowa? Po co cokolwiek mówić? – Ściągnęlibyśmy na siebie zbyt dużą uwagę – zaproponował Steve. – Zaczęto by nas szukać, może nawet

martwić się, że padliśmy ofiarą brudnej gry. Jurij mówi, że po użyciu broni biologicznej piekło rozpętuje się po dwóch do pięciu dni. Chciałbym, żebyśmy byli wtedy bardzo daleko stąd.

–Chyba masz rację – przytaknął Curt.

–Powiemy kapitanowi, że brak dyscypliny i biurokracja wychodzą nam już bokiem. Nawet nie będziemy kłamać. Obaj nieraz narzekaliśmy, że departament schodzi na psy.

–Co będzie, jeśli kapitan nie przyjmie naszych rezygnacji?

–I co zrobi? – spytał Steve. – Wsadzi nas w dyby?

–Chyba nie – rzekł Curt. Wciąż czuł się trochę nieswojo na myśl, że będzie musiał stawić czoło poirytowanemu kapitanowi. – Ale może powinniśmy to jeszcze przemyśleć.

–Proszę bardzo – zgodził się Steve. – Mam w nosie, co i komu powiemy, pod warunkiem, że wylądujemy w pociągu do New Jersey. Jestem pewien, że zdołamy uciec. Niedaleko pierwszego przystanku mam garaż, w którym stoi stary pick-up. Pojedziemy nim do naszej pierwszej kryjówki w Pensylwanii. Tam będzie na nas czekał następnny wóz. Na każdym przystanku będziemy przesiadać się do nowego pojazdu.

–To mi się podoba – stwierdził Curt.

Wjechał do remizy od strony Duane Street i zatrzymał samochód na poboczu, żeby nie zastawiać żadnego z lśniących czerwienią wozów strażackich. Czy Curta i Steve'a na moment się spotkały i mężczyźni pokazali sobie wzniesione kciuki.

–Operacja „Rosomak” przebiega zgodnie z planem – powiedział Curt.

–Witamy w dniu sądu ostatecznego – dodał Steve.

Kiedy mężczyźni wychodzili z furgonetki, zobaczył ich Bob King, jeden ze świeżo upieczonych rekrutów, który mył akurat samochody.

–Hej, poruczniku! – zawołał.

Curt spojrzał na nowicjusza i uniósł brwi.

–Niedawno był tu jakiś taksjarsz i pytał o pana! – krzyknął Bob. – Niski, krępy facet. Mówił z obcym akcentem, który brzmiał jakby rosyjsko.

Curt zerknął na Steve'a. Steve spojrzał na niego przerażonym wzrokiem. Wiadomość nie spodobała mu się tak samo jak Curtowi. Istniała milcząca umowa, że Jurij w żadnym razie nie będzie się pokazywał w remizie. Ich kontakty miały się ograniczać do rozmów telefonicznych i spotkań w barze „Biała Duma”.

–Czego chciał? – wychrypiął Curt. Musiał odkaszląć. Kiedy przygotowuje się operację na taką skalę, nie można sobie pozwolić na żadne potknięcia. – Żeby pan do niego zadzwonił. Wydawał się rozczarowany pańską nieobecnością.

–Coś ty mu zrobił? – zawołał zza wozu inny strażak. – Zapomniałeś mu dać napiwku?

Czterech strażaków grających w karty obok remizy zaśmiało się głośno. Zasuwana brama nad ich głowami była otwarta..

–Zostawił swoje nazwisko albo numer telefonu? – zapytał Curt.

–Nie – odparł Bob. – Powiedział tylko, żeby pan do niego przekręcił. Myślałem, że to jakiś pański znajomy.

–Nie mam pojęcia, kto to taki – stwierdził Curt.

–No cóż, może jeszcze wróci.

Curt zasygnalizował Steve'owi, aby ten ruszył za nim. Wspięli się po schodach i skierowali się do kwater mieszkalnych. Curt wszedł do męskiej toalety. Sprawdzał kabiny i prysznic, aby się upewnić, że są całkiem sami.

–Co jest grane? – prychnął wymuszonym szeptem. – Po jaką cholere on tutaj przyłaził?

–Mówiłem ci, że ten facet jest szurnięty – przypomniał Steve.

Curt spacerował w tę i z powrotem, jak zwierz zamknięty w klatce, mocno zaciskając wydatne szczęki. Nie mieściło mu się w głowie, że Jurij mógł być aż tak głupi.

–Obawiam się, że on jest nieobliczalny – odezwał się Steve. – Myślę, że należy z nim porozmawiać. Chciałbym też zobaczyć jakieś dowody, że nie robi nas w konia.

Curt przytaknął parę razy głową i zatrzymał się.

–W porządku. Po robocie pojedziemy do jego domu w Brighton Beach. Przekonamy go, że trzeba zachować bezpieczeństwo. Potem zażądamy, aby pokazał nam swoje laboratorium, i będziemy się domagać dowodów, że faktycznie robi to, co mówi.

–Znasz jego adres? – spytał Steve.

–Oceanview Lane piętnaście – odparł Curt.

Rozdział 4 18 października, poniedziałek, 12.30 – Puk, puk – odezwał się czyjś głos.

Jack i Chet podnieśli wzrok znad biurek i zobaczyli stojącą w drzwiach Agnes Finn, szefową laboratorium mikrobiologii.

–Mam wrażenie, że to déja vue – powiedziała Agnes. – Kłopot w tym, że jest to takie vue, które ani trochę mi się nie podoba. – Na jej zwykle srogiej twarzy tlił się niepewny uśmiech. Jack nie słyszał, by Agnes kiedykolwiek błysnęła większym poczuciem humoru. W rękę ścisnęła kawałek papieru.

Jack natychmiast się zorientował, które déja vue Agnes ma na myśli. Trzy lata wcześniej, gdy zaszokował wszystkich diagnozą dżumy w dziwnym przypadku infekcji, Agnes osobiście przyniosła mu wyniki badań potwierdzających jego orzeczenie.

–Tylko mi nie mów, że to wąglik – poprosił Jack.

Agnes poprawiła na nosie okulary z grubymi szklami i wręczyła Jackowi kartkę papieru. Widniał na niej wynik testu fluorescencyjnego, który przeprowadziła na węźle chłonny przedpiersia. Grube, drukowane litery głosiły: **POZYTYWNY NA WĄGLIK.**

–Niesamowite – stwierdził Jack. Podał kartkę Chetowi, który przeczytał ją z podobnym niedowierzaniem.

–Pomyślałam, że zechcesz się o tym jak najszybciej dowiedzieć – dodała Agnes.

–Naturalnie – odparł Jack bez przekonania. Jego oczy przesłoniła mgielka.

Głowę rozsadzały mu sprzeczne myśli.

–Jaka jest wiarygodność tego testu? – spytał Chet.

–Okolo stu procent – poinformowała Agnes. – Wykonujemy go starannie, przy użyciu świeżych odczynników. Po tych wszystkich egzotycznych infekcjach, które Jack parę lat temu wykrył podczas tej chmary chorób zakaźnych, dbamy o to, żeby stosować najnowocześniejsze preparaty. Oczywiście, aby mieć absolutną pewność, założyliśmy też kultury.

–Ta choroba przenosi się przez zarodniki – odezwał się Jack, jakby budził się z transu. – Czy są jakieś testy na zarodniki, czy też trzeba je najpierw wyhodować, a potem sprawdzić na obecność bakterii?

–Jest tak zwana PCR, czyli łańcuchowa reakcja polimerazy, która wykrywa zarodniki – poinformowała Agnes. – Nie robimy jej w naszej mikrobiologii, ale jestem pewna, że Ted Lynch z laboratorium DNA mógłby ci pomóc. Masz już coś, co chciałbyś przetestować?

–Na razie nie – odrzekł Jack.

–Oho – jęknął Chet. – Nie podoba mi się to. Chyba nie planujesz zacząć badań w terenie?

–Nie wiem – wyznał Jack. W dalszym ciągu był oszołomiony. Diagnoza stwierdzająca, że w Nowym Jorku panuje węglik w postaci płucnej, była równie niespodziewana jak orzeczenie o dżumie.

–Czyżbyś już zapomniał, co się stało, kiedy ostatnim razem poszedłeś w teren? – zapytał Chet. – Pozwól, że ci przypomnę: o mały włos nie zostałeś zabity.

–Dzięki, Agnes – powiedział Jack do szefowej laboratorium, ignorując Cheta.

Obrócił się do swego biurka i odepchnął akta dotyczące śmierci aresztanta, o którego szybką autopsję prosił go Calvin. Wysunął z teczki akta Jasona Papparisa i zaczął je kartkować, aż dotarł do raportu sporządzonego przez wywiadowcę, Janice Jaeger.

–Hej, mówię do ciebie – zawołał Chet. Zawsze drażniło go to, że Jack potrafił błyskawicznie zapomnieć o jego istnieniu.

–Proszę bardzo – odparł Jack. Podał mu raport Janice, wskazując palcem zdanie, które stwierdzało, że pan Papparis zajmował się handlem dywanami. – Spójrz tutaj!

–Widzę – rzekł poirytowany Chet. – Ale czy ty słyszysz, co do ciebie mówię?

–Rzecz w tym, że nie wiemy, jakimi dywanami – kontynuował Jack. – Myślę, że to może być istotne. – Odwrócił kartkę. Tak jak obiecała Janice, było tam nazwisko i numer telefonu lekarza, który opiekował się panem Papparisem w szpitalu.

Jack okręcił się na krześle i sięgnął po słuchawkę. Wystukał numer i został połączony z centralą Bronx General Hospital.

–W porządku – mruknął Chet i machnął niedbale ręką. – Nie musisz mnie słuchać. Do diabła, i tak zrobisz, co zechcesz, bez względu na to, co się do ciebie mówi.

–Zdegustowany Chet odwrócił się i pochylił nad swoim biurkiem.

–Czy mogłaby pani połączyć mnie z doktorem Kevinem Fowlerem? – poprosił telefonistkę Jack.

Czekając, przytrzymał słuchawkę ramieniem i zdjął z półki swój egzemplarz Zasad medycyny wewnętrznej Harrisona. Kartki rozdziału omawiającego choroby zakaźne miały już ośle uszy. Wąglikowi poświęcono w niej zaledwie dwie strony. Jack nie zdążył ich przeczytać, gdyż w słuchawce rozległ się głos doktora Kevina Fowlera.

Jack wyjaśnił, kim jest i dlaczego dzwoni. Doktora Fowlera wręcz zamurowało, kiedy usłyszał orzeczenie.

–Nigdy nie miałem do czynienia z wąglikiem – przyznał. – Oczywiście, jestem dopiero stażystą i moje doświadczenie jest bardzo skromne.

–Teraz należy pan do grona wybrańców – stwierdził Jack. – Przed chwilą przeczytałem, że przez ostatnie dziesięć lat w Stanach odnotowano zaledwie kilka przypadków tej choroby, przy czym wszystkie miały znacznie częstszą postać skórną. Postać płucna, jak ta, na którą zapadł pan Papparis, nazywała się dawniej karbunkulem. Pacjenci zarażali się nią przez kontakt z zakażonymi skórą i sierścią zwierząt.

–Zapewniam pana, że choroba przebiegła niezwykle ostro – oznajmił doktor Fowler. – Już nigdy nie chciałbym tego oglądać. Ale zdaje się, że tutaj, w Nowym Jorku, można zobaczyć wszystko.

–Czy zasięgnął pan informacji o pacjencie? – spytał Jack.

–Nie – odparł doktor Fowler. – Kiedy mnie wezwano, pacjent nie mógł już oddychać. Wiem o nim tylko tyle, ile zapisano w karcie chorobowej.

–A więc nie wie pan, jakimi dywanami handlował?

–Nie mam zielonego pojęcia. Niech pan zapyta lekarza, który go przyjął, doktora Heitmana.

–Czy ma pan jego numer telefonu?

–Jasne – odparł doktor Fowler. – To jeden z naszych etatowych pracowników.

Jack zatelefonował do doktora Heitmana, lecz dowiedział się, że ten jedynie zastępował doktora Bernarda Goldsteina, który był lekarzem domowym pana Papparisa. Wówczas Jack zadzwonił do doktora Goldsteina. Minęło parę minut, nim lekarz podszedł do telefonu, jego głos nie brzmiał zbyt przyjaźnie i wskazywał na zniecierpliwienie. Jack od razu przeszedł do sedna sprawy.

–Co pan ma na myśli, mówiąc o „branży dywanowej?” – warknął doktor Goldstein. Najwyraźniej nie lubił, by odrywano go od pracy, zadając pytania, które uważał za trywialne. Jego sekretarka niechętnie zgodziła się mu przeszkodzić, mimo że Jack powiedział, iż chodzi o nagły wypadek.

–Chciałbym się dowiedzieć, jakiego typu dywanami handlował – wyjaśnił Jack.

–Czy sprzedawał kobierce, makaty czy jeszcze coś innego?

–Nie mówił mi, a ja nie pytałem – skwitował doktor Goldstein i odwiesił słuchawkę.

–Wybrał zły zawód – powiedział na głos Jack.

Odszukał w teczce Papparisa kartę tożsamości i stwierdził, że ciało zostało zidentyfikowane przez żonę zmarłego, Helen Papparis. Jack zadzwonił pod widniejący na karcie numer. Miał nadzieję, że nie zostanie to uznane za wściubianie nosa w rodzinne sprawy.

Helen Papparis okazała się nad wyraz uprzejmą i opanowaną kobietą. Nie obnosiła się ze swoją żałobą, choć Jack podejrzewał, że jej niezwykła uprzejmość była sposobem uporania się z bólem po stracie męża. Po złożeniu kondolencji Jack wyjaśnił, czym się zajmuje, i streścił istotę swojej niezwykłej diagnozy, a potem spytał o interesy, które prowadził pan Papparis.

–Korynckie Przedsiębiorstwo Dywanowe handlowało wyłącznie dywanami ręcznej produkcji – odpowiedziała Helen.

–A skąd?

–Głównie z Turcji – odparła Helen. Jack wyczuł, że głos lekko jej zadrżał. – Część wyprawionych skór pochodziła z Grecji, ale znakomita większość przychodziła z Turcji.

–Zatem pan Papparis handlował nie tylko tkanymi ręcznie dywanami, ale także skórami i futrzakami? – stwierdził Jack z akademicką satysfakcją. Zagadka prędko znajdowała rozwiązanie.

–Tak jest – potwierdziła Helen.

Jack opuścił spojrzenie na leżącą przed nim otwartą książkę. W ustępie poświęconym wąglikowi stwierdzano czarno na białym, że odzwierzęce zarażenie tą chorobą występuje nadal w wielu krajach, w tym również w Turcji, i że produkty zwierzęce, szczególnie kozia sierść, bywały zakażone zarodnikami.

–Czy pan Papparis stykał się z kozimi skórami? – zapytał Jack.

–Tak, oczywiście. Owcze i kozie skóry stanowiły znaczną część oferty przedsiębiorstwa.

–No cóż, myślę, że tajemnica się rozwiązała – orzekł Jack. Wytłumaczył Helen, na czym polega ów związek.

–A to ironia losu – westchnęła Helen z nutką zajadłości. – Dzięki tym dywanom żyliśmy dostatnio i mogliśmy posłać naszą córkę do jednego z college'ów Ivy League.

–Czy pan Papparis odebrał ostatnio jakieś transporty?

–Mniej więcej miesiąc temu.

–Czy te dywany znajdują się u państwa w domu?

–Nie – odparła Helen. – Jason mówił, że wystarczy, jeśli handluje nimi przez cały dzień. Nie chciał ich trzymać w domu.

–W tych okolicznościach była to mądra decyzja – zauważył Jack. – Gdzie one są? Ile zostało sprzedanych?

Helen odparła, że dywany trafiły do magazynu w Queens, wątpiła jednak, aby wiele z nich zdołano sprzedać. Wytłumaczyła Jackowi, że Jason prowadził handel hurtowy, w związku z czym dostawy przychodziły wiele miesięcy naprzód. Poinformowała go także, iż zarówno w magazynie, jak i w biurze jej mąż nie zatrudniał żadnych innych pracowników.

–Jednoosobowe przedsiębiorstwo – skonkludował Jack.

–Tak jest – rzekła Helen.

Jack serdecznie jej podziękował i raz jeszcze wyraził swoje współczucie. Potem zasugerował, aby skontaktowała się ze swoim lekarzem w sprawie ewentualnego leczenia antybiotykami, choć dodał, że raczej nic jej nie grozi, gdyż choroba nie przenosi się między ludźmi, a Helen nie miała kontaktu ze skórami. W końcu uprzedził, że prawdopodobnie zgłoszą się do niej specjaliści z departamentu zdrowia. Helen podziękowała mu za telefon i rozłączyli się.

Jack odwrócił się do Cheta, który chcąc nie chcąc, słyszał całą rozmowę.

–Zdaje się, że rozgryzłeś to migiem – odezwał się Chet. – Teraz przynajmniej nie musisz nadstawiać karku w terenie.

–Jestem zawiedziony – przyznał Jack z westchnieniem.

–Jesteś zawiedziony? – spytał Chet z mieszaniną irytacji i niedowierzania. – Postawiłeś szybką i bezbłędną diagnozę, a oprócz tego rozwiązałeś coś, co zapowiadało się na wielką epidemiologiczną enigmę.

–No właśnie – potwierdził niemrawo Jack. – Zbyt szybko i zbyt łatwo poszło.

Nie to co moja poprzednia egzotyczna choroba. Lubię wyzwania.

–Nie wiem, czemu ty się żalisz – wyznał Chet. – Wiele bym dał, żeby moje przypadki kończyły się równie łatwo i przyjemnie.

Jack złapał otwarty podręcznik i podsunął go Chetowi pod nos. Wskazał mu konkretny ustęp i polecił koledze, aby go przeczytał. Chet zrobił to, co mu kazano, po czym podniósł wzrok.

–To dopiero było epidemiologiczne wyzwanie – oznajmił Jack. – Wyobrażasz sobie te setki chorych na wąglik, kiedy zarodniki wydostały się z fabryki broni? Prawdziwa katastrofa!

–Gdzie jest Swierdłowsk? – zapytał Chet.

–Skąd mam wiedzieć? – odwarknął Jack. – Pewnie gdzieś w byłym Związku Radzieckim.

–Nigdy nie słyszałem o tym incydencie z 1979 roku – przyznał Chet. – Niezły cyrk! Rosjanie próbowali upozorować skażenie mięsa.

–Z punktu widzenia patologii byłby to fascynujący przypadek – zauważył Jack.

–Z pewnością bardziej wymagający niż przypadek sprzedawcy dywanów.

Poderwał się na równe nogi. O ile jeszcze przed chwilą wydawał się ożywiony, o tyle teraz sprawiał wrażenie strapionego.

–Gdzie idziesz? – spytał Chet.

–Na dół, do Calvina – odparł Jack. – Powiedział, że jeśli to wąglik, chce zaraz o tym wiedzieć.

–Uszy do góry! – zawołał Chet. – Wyglądasz jak śmierć na chorągwi.

Jack spróbował się uśmiechnąć. Poszedł do windy i nadusił guzik. Nie powiedział tego Chetowi, ale jego kiepski humor wynikał nie tylko z łatwości, z jaką wyjaśnił się przypadek

wąglika, lecz wiązał się też z tajemniczym zachowaniem Laurie.

Dlaczego o wpół do piątej rano umówiła się z nim na kolację? I czemu miał być przy tym obecny Lou?

Kiedy winda wiozła go na dół, zastanawiał się, jak mógłby się na Laurie odegrać. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to pomysł, żeby w najbliższych dniach kupić jej prezent gwiazdkowy, a potem robić na jego temat różne tajemnicze aluzje. Laurie była okropnie ciekawa i pełne oczekiwania napięcie było dla niej trudne do zniesienia.

Jack uznał, że dwa miesiące niepewności wystarczą, by wyrównać rachunki.

Wysiadłszy na parterze, poczuł się lepiej. Pomysł z prezentem gwiazdkowym coraz bardziej mu się podobał, będzie musiał jeszcze tylko wymyślić, co jej kupić.

Calvin siedział w swoim biurze nad stosami papierów, które co dzień przechodziły przez jego biurko. W jego wielkiej dłoni długopis wyglądał komicznie. Gdy Jack zbliżył się do biurka, Calvin podniósł na niego wzrok.

–Czy aby na pewno nie założy się pan ze mną o diagnozę wąglika? – zapytał Jack.

–Tylko niech mi pan nie mówi, że wynik jest pozytywny. – Calvin odchylił się na oparcie krzesła, które zaprotestowało głośno pod ciężarem jego ciała.

–Według Agnes to był wąglik – potwierdził Jack. – Czekamy na kultury.

–Jasny gwint! – zawołał Calvin. – Tym z Departamentu Zdrowia włosy zjeżą się na głowie.

–Prawdę mówiąc, nie sędzę – zaproponował Jack.

–Tak? – zdziwił się Calvin. Jack zawsze go czymś zaskakiwał. – Czemu, do diabła?

–Bo ludzie nie przenoszą tej choroby i dlatego, że kontakt z nią był zawężony do pracy, jaką wykonywał denat. Źródło infekcji jest bezpiecznie zamknięte w pewnym magazynie w Queens.

–Zamieniam się w słuch – oświadczył Calvin. – Niech pan mówi, co wie!

Jack opowiedział mu o Korynckim Przedsiębiorstwie Dywanowym oraz ostatniej dostawie dywanów i kozich skór z Turcji. Calvin w milczeniu kiwał głową.

–Dzięki ci, Panie, za małe dobrodziejstwa – skonkludował Calvin. Znowu odchylił się na krzesło, aż zajęczało. – Powiem Binghamowi, żeby zadzwonił do pani Patricii Markham, pełnomocnika rządu do spraw zdrowia. A pan może skontaktowałby się z tym miejskim epidemiologiem, z którym tak blisko pracował pan przy dżumie.

Jak on się nazywał?

–Clint Abelard – powiedział Jack.

–O-o. Proszę do niego przedzwonić. W ten sposób zacieśnimy współpracę między służbami miejskimi, o której burmistrz tyle ostatnio bajdurzy.

–Clint Abelard i ja właściwie ze sobą nie współpracowaliśmy – odrzekł Jack. – Kiedy pierwszy raz do niego zatelefonowałem, nie chciał nawet ze mną gadać.

–Jestem pewien, że po tym, co zaszło, już dawno zmienił zdanie – oznajmił Calvin.

–A może ktoś inny z naszego wielce kompetentnego personelu by do niego zadzwonił – zaproponował Jack. – Na przykład któryś z dozorców?

–Dosyć tej ironii – zdenerwował się Calvin. – Niech pan nie robi kłopotów! Proszę dzwonić do faceta i już! Koniec dyskusji! No, a jak wygląda ta sprawa śmierci aresztanta?

–A jak ma wyglądać? – odparł Jack. – Widział pan krew w mięśniach karku i złamaną kość gnykową. Zadusili go gołymi rękami.

–A jego mózg? – pytał Calvin. – Znalazł pan coś?

–Chodzi panu o guz płata skroniowego? – odrzekł Jack. – Żeby można zasugerować, że ten człowiek dostał napadu padaczki, który zamienił go w niebezpiecznego dla otoczenia wariata? Przykro mi! Jego mózg był w całkowitym porządku.

–Proszę z łaski swojej przyjrzeć się histologii – polecił Calvin. – Niech pan coś znajdzie!

–Ten przypadek jest już w rękach naszego wesołego toksykologa – wyjaśnił Jack. – Może on znajdzie ślady kokainy albo czegoś w tym rodzaju.

–Do czwartku chcę mieć wszystkie dokumenty na moim biurku wraz ze świadectwem zgonu – oświadczył Calvin. – Dostałem w tej sprawie telefon z Departamentu Sprawiedliwości.

–W takim razie byłoby dobrze, gdyby pan osobiście zadzwonił do Johna DeVriesa – zasugerował Jack. – Prośba z głównego gabinetu o szybkie wykonanie badań laboratoryjnych odniosłaby o wiele lepszy skutek niż prośba takiego smutasa jak ja.

–Zadzwoń do Johna – obiecał Calvin. – Niezależnie jednak od wyników z laboratorium, to pan będzie odpowiedzialny za to, żeby w dokumentach znalazła się jakaś luka, choćby mała furteczka.

Jack przewrócił oczami i ruszył w stronę drzwi. Dobrze wiedział, do czego Calvin pije – komisarz policji dał Binghamowi do zrozumienia, że zamieszani w śmierć aresztanta funkcjonariusze potrzebują usprawiedliwienia, iż musieli uciec się do zastosowania siły

fizycznej. Jack wiedział, że więźniowie bywają gwałtowni. Nie zazdrościł policji obchodzenia się z nimi. Zarazem jednak odnotowywano przypadki nadużycia siły przez funkcjonariuszy. Nadinterpretacja faktów, których dostarczała autopsja, była delikatną grą, której Jack unikał.

–Wolnego! – krzyknął Calvin, zanim Jack znalazł się poza zasięgiem jego głosu.

Jack wsunął się do gabinetu wiceszefa.

–Chciałbym, aby jeszcze jedną osobę zapoznał pan z przypadkiem węglika – oznajmił Calvin. – To Stan Thornton. Zna go pan?

–Jasne – rzekł Jack.

Stan Thornton był dyrektorem Sztabu Kryzysowego przy burmistrzu. Kiedyś był głównym prelegentem na jednej z czwartkowych konferencji, które Biuro organizowało dla pogłębienia współpracy między agendami. Mówił o wyzwaniach, przed którymi stanęliby lekarze sądowi, gdyby doszło do użycia broni masowego rażenia.

Jacka zaniepokoił ów wykład. Nigdy przedtem nie myślał o logistyce postępowania w obliczu tak ogromnej liczby ofiar. Już sam problem identyfikacji tysięcy zwłok przyprawiał o ból głowy, a co dopiero dylemat związany z tym, co z nimi zrobić.

–Co mam mu powiedzieć? – spytał Jack.

–To samo co mnie. Zważywszy na fakt, że przypadek ogranicza się do określonej grupy zawodowej, będzie to zwykły telefon grzecznościowy. Ale ponieważ Thornton wspominał o węgliku w swoim wykładzie na temat bioterroryzmu, zapewne chciałby przynajmniej wiedzieć o tym incydencie.

–Dlaczego ja? – zaprotestował Jack. – Przecież wiadomo, że nie grzeszę zawodową kurtuazją.

–Niech się pan uczy – odrzekł Calvin. – Poza tym to pański przypadek. A teraz niech się pan wynosi i da mi trochę popracować.

Jack wyszedł z działu administracji, wstąpił na pierwsze piętro, aby wziąć kanapkę z dystrybutora, a potem pojechał na czwarte. Mimo że zamierzał wrócić wprost do swego biura, nie zdołał oprzeć się pokusie wetknięcia głowy do pokoju Laurie. Chciał raz jeszcze spróbować wydusić z niej wyjaśnienia co do „wielkiego sekretu”. Niestety, nie było jej w biurze. Jej koleżanka, doktor Riva Mehta, powiedziała, że Laurie siedzi z detektywami w gabinecie Bingham.

Utyskując na fatalny dzień, Jack klapnął na swoje krzesło za biurkiem.

–Nie wyglądasz lepiej niż przed wyjściem – stwierdził Chet. – Mam nadzieję, że nie wciągnęłaś wiceszefa w jakąś kłótnię.

Jack i Calvin różnili się między sobą. Calvin przestrzegał ścisłych reguł i ustalonego trybu postępowania. Jack zaś uważał przepisy za zwykłe wytyczne do działania.

Twierdził, że inteligencja i naturalny instynkt częstokroć okazują się bardziej praktyczne od biurokratycznych regułek.

–Mam kiepski dzień – odparł wymijająco Jack.

Poskrobał się po głowie i wyprostował z trzaskiem palce, zastanawiając się, do którego z nieprzyjemnych zadań, jakie mu zlecono, powinien wziąć się najpierw. Kiedy otworzył książkę telefoniczną, by odszukać numer do Clinta Abelarda, przemknął mu przez głowę nieprzyjemny pomysł. Może Laurie otrzymała ofertę pracy – na przykład w Detroit albo, co gorsza, na Zachodnim Wybrzeżu. Było to całkiem możliwe; gdyby się przeprowadzała, na pewno by o tym powiadomiła jego i Lou, a że nowa praca musiałaby oznaczać awans, Laurie byłaby prawdopodobnie podekscytowana.

Przez chwilę Jack zapatrzył się w jakiś punkt, usiłując sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jego życie bez Laurie w Nowym Jorku. Wręcz nie mieściło mu się to w głowie; było też przygnębiające.

–Hej, zapomniałem ci powiedzieć o wystawie w Met – odezwał się Chet. – Jest wystawa obrazów Claude’a Moneta, której Colleen nie może się doczekać. Mamy bilety na czwartkowy wieczór.

Chet od trzech lat spotykał się – nieregularnie – z Colleen Anderson. Colleen była kierownikiem artystycznym w firmie reklamowej Willow i Heath, mieszczącej się przy Madison Avenue. Jack znał Colleen i jej firmę, gdyż zetknął się z nimi w trakcie poszukiwania źródła choroby zakaźnej, które uczyniło go sławnym.

–Nie wybralibyście się z Laurie na wystawę? – ciągnął Chet. – Potem wszyscy poszlibyśmy na kolację.

Jack skrzywił się na myśl, że Laurie przestałaby mu towarzyszyć w wyprawach do muzeów. Najgorsze jednak byłoby to, że nie widywałby jej codziennie w pracy.

Chet nawet się nie domyślał, jakie emocje obudziło w Jacku jego zaproszenie.

–Zapytam ją – mruknął Jack. Podniósł słuchawkę i wybrał numer Clinta Abelarda.

–Daj mi znać – dorzucił Chet. – Jeśli się zgodzi, poproszę Colleen, żeby skombinowała dwa dodatkowe bilety. Jest członkiem muzeum, więc nie będzie to dla niej kłopot.

–Spotykam się z Laurie dziś wieczorem – oznajmił Jack, czekając na połączenie. – Mamy kilka spraw do omówienia. Zapytam ją przy okazji.

–Widziałeś ten przypadek skinheada, którym zajmowała się rano? – spytał Chet. – Co za okrucieństwo! Pomyśleć, że jeden człowiek może zrobić coś takiego drugiemu; niedobrze się robi!

Jack poprosił do telefonu miejskiego epidemiologa. Kazano mu czekać.

–Niestety, widziałem. – Zakrył słuchawkę dłonią. – Agent FBI sądzi, że sprawcami są inni skinheadzi.

–Te dzieciaki to szaleńcy – stwierdził Chet.

–Nie wiesz przypadkiem, czy Laurie znalazła coś, co mogłoby pomóc policji? – zapytał Jack.

–Nie mam pojęcia.

Gdy wreszcie zgłosił się doktor Clint Abelard, Jack starał się jak mógł, aby jego głos brzmiał przyjaźnie i wesoło. Niestety, jego wysiłki spotkały się z chłodną reakcją.

–Oczywiście, że pana pamiętam – oświadczył Clint drewnianym głosem. – Jakże mógłbym zapomnieć? Dziękuję Bogu, że nie co dzień koroner utrudnia mi pracę.

Jack ugryzł się w język. W przeszłości, kiedy poznał Clinta, precyzyjnie wytłumaczył mu różnicę między lekarzem sądowym a koronerem. Jack był lekarzempatologiem specjalizującym się w medycynie sądowej. Natomiast koroner mógł być zwykłym biurokratą z nadania, bez wykształcenia medycznego.

–My, lekarze sądowi, zawsze staramy się wszystkich zadowolić – odparł Jack.

–Po co pan do mnie dzwoni?

–Dzisiaj rano stwierdziliśmy przypadek węglika w postaci płucnej – wyjaśnił Jack.

–Pojedynczy przypadek?

–Zgadza się.

–Dziękuję – rzekł Clint.

–Nie pyta pan o źródło wystąpienia?

–Ustalenie tego źródła to już nasze zadanie – odparł spokojnie Clint.

–Być może. Ale dla jasności pozwoli pan, iż podzielę się tym, co wiemy.

Jack opowiedział o Korynckim Przedsiębiorstwie Dywanowym, o niedawnej dostawie tureckich dywanów i skór, która spoczywała zamknięta w magazynie w Queens, i o tym, że Jason Papparis – jedyny pracownik biura – nie wziął żadnego z dywanów do domu.

–Dziękuję panu – stwierdził bezbarwnie Clint. – Okazał pan wiele sprytu. Jeśli natknę się na jakąś epidemiologiczną zagadkę, może być pan pewien, że zrewanżuję się za pańską pomoc.

–Proszę wybaczyć ciekawość – odezwał się Jack, lekceważąc sarkazm przebijający w głosie Clinta. – Ale chciałbym się dowiedzieć, co pan zamierza uczynić w sprawie węglików?

–Wyślę jednego z moich asystentów do Queens, aby opieczętował ten magazyn – odpowiedział Clint.

–To wszystko?

–W tej chwili nasi ludzie mają pełne ręce roboty z epidemią pierwotniaków Cyclospora – rzekł Clint. – Jeden odizolowany przypadek choroby nie stanowi jeszcze epidemiologicznego zagrożenia. Weźmiemy się do niego, jak tylko będziemy mogli, chyba, rzecz jasna, że pojawią się dalsze przypadki.

–Sądzę, że zna się pan na swojej robocie – stwierdził Jack – Ale mam wrażenie, że...

–Dziękuję panu za kredyt zaufania – wtrącił się Clint. Po czym bez ostrzeżenia przerwał połączenie.

Jack odłożył słuchawkę na widełki.

–Dupa zimna – rzekł do Cheta, który podczas trwania rozmowy okręcił się na krześle. – To tyle, jeśli idzie o współpracę między agendami. Ten facet kipi jeszcze większą ironią niż ja.

–Musiałeś śmiertelnie zranić jego ego, kiedy pracowałeś z nim nad dżumą – wyraził przypuszczenie Chet.

–No cóż, zobaczymy, czy będę miał więcej szczęścia z dyrektorem Sztabu Kryzysowego przy burmistrzu – powiedział Jack.

–Po jakie licho do niego dzwonisz? – zdziwił się Chet.

–To telefon grzecznościowy – wyjaśnił Jack. – Na wyraźne polecenie wiceszefa.

Odebrała sekretarka i Jack zapytał ją o Staną Thorntona.

–Czy to ten facet, który palnął nam wykład o broni masowej zagłady? – spytał Chet.

Jack skinął głową. Ku jego zdziwieniu w słuchawce odezwał się natychmiast sam dyrektor. Jack przedstawił się i wyjaśnił, dlaczego dzwoni.

–Wąglik! – zawołał Stan. Najwidoczniej wiadomość wywarła na nim spore wrażenie. W odróżnieniu od Clinta Abelarda zasypał Jacka gradem pytań. Dowiedziawszy się, że prawdopodobne ognisko choroby jest pod kontrolą i że wystąpił tylko jeden przypadek, jego głos stracił nieco ze swej natarczywości. – Dla świętego spokoju – stwierdził – wykorzystam moje kontakty w Departamencie Zdrowia, aby sprawdzić, czy w mieście nie ma innych pacjentów z podejrzanymi objawami.

–Dobry pomysł – pochwalił Jack.

–I przeprowadzę kwarantannę w tym magazynie – dodał Stan.

–To już się robi – poinformował Jack. Streścił Stanowi swoją rozmowę z Clintem Abelardem. – Świetnie! – zawołał Stan. – Clint Abelard to jedna z pierwszych osób na mojej liście, z którymi chciałem się skontaktować. Będę z nim koordynował działania. Życzę szczęścia! – pomyślał Jack.

–Dzięki za szybką interwencję – kontynuował Stan. – Mówiłem o tym w moim wykładzie. Właśnie wy, lekarze, możecie pierwsi zetknąć się ze skutkami rażenia bronią biologiczną. Im szybciej zareagujecie, tym większa szansa, że zostaną one opanowane.

–Będziemy pamiętać o pańskim apelu – zapewnił Jack, po czym zakończył rozmowę i odwiesił słuchawkę.

–Gratuluję – rzekł Chet. – To była bardzo kulturalna rozmowa.

–Chyba wyrabiam w sobie dyplomatyczne zdolności do współpracy między agendami – zauważył żartobliwie Jack. – W najmniejszym stopniu nie podziałąłem temu facetowi na nerwy.

Jack zebrał papiery dotyczące Jasona Papparisa i upchnął je do teczki. Odsunął ją na bok i ponownie skoncentrował się na przypadku śmierci aresztanta.

Na kilka minut w zagraconym gabinecie zagościł spokój. Obaj patolodzy, schyleni nad swymi biurkami, pogrążyli się w pracy. Chet wlepił oczy w mikroskop, z zapalem oglądając wycinek wątroby pochodzący od mężczyzny zmarłego na zapalenie wątroby. Jack zabrał się do odnotowywania zmian chorobowych u aresztanta.

Niestety, cisza nie trwała długo. Nagle w małym pomieszczeniu rozległ się dźwięk przypominający wystrzał z pistoletu. Chet wyprostował się raptownie. Jack wyrzucił z siebie wiązkę przekleństw, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Cheta. Po chwili jednak zdał sobie sprawę, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Niespodziewany huk wywołało uderzenie długopisem o metalowy blat biurka.

–Psiakrew! Aleś mnie przestraszył! – poskarżył się Chet.

–Nie mogę się skoncentrować – powiedział Jack.

–O co chodzi tym razem?

–O to i owo – odparł wymijająco Jack. Nie miał ochoty zaczynać rozmowy o Laurie.

–To dość ogólnikowe – zauważył Chet.

Jack wyciągnął rękę i przysunął teczkę Jasona Papparisa.

–Na przykład o tę sprawę.

–Czym się jeszcze gryziesz? – spytał rozdrażniony Chet. – Postawiłeś diagnozę, przekazałeś ją zastępcy szefa, zadzwoniłeś do miejskiego epidemiologa, a także do szefa Sztabu Kryzysowego. Czego, do diabła, można jeszcze chcieć?

Jack westchnął.

–Już ci mówiłem: to jest zbyt piękne, aby było prawdziwe. Jakby ktoś wyciągnął to z podręcznika. Nie daje mi to spokoju.

–Bzdura! Po prostu szukasz usprawiedliwienia. Powiedz, co jeszcze ci chodzi po głowie.

Jack zamrugał oczami i spojrzał na kolegę. Przenikliwość Cheta zaimponowała mu. Przez ułamek sekundy miał ochotę opowiedzieć Chetowi o porannym telefonie od Laurie, ale się rozmyślił. Tego rodzaju konwersacja mogłaby doprowadzić do pytań o to, co właściwie czuje do Laurie, a tego tematu, nawet sam, nie chciał drażnić.

–Jest coś jeszcze – wyznał Jack. Jego twarz przybrała wyraz emocjonalnej udręki. – Cierpię, bo odcinki Seinfelda dobiegają końca.

–Och, na miłość boską – zachnął się Chet. – Z tobą nie można o niczym pogadać. Proszę bardzo! Duś się w swoim sosie, Jeśli chcesz, ale przynajmniej bądź uprzejmy robić to po cichu, a jeżeli nie potrafisz, to idź sobie stąd!

Chet okręcił się na krześle i wymienił szkiełko w mikroskopie. Gderając, jak nieznośny bywa Jack, pochylił się nad okularom.

–Clint Abelard powiedział, że dopilnuje, aby magazyn Korynckiego Przedsiębiorstwa Dywanowego przeszedł kwarantannę – odezwał się Jack. Kantem teczki Papparisa dźgnął Cheta w ramię, by się upewnić, że ten go słucha. – Ale co z biurem na Manhattanie? A jeśli ten handlowiec przywiózł swoje skóry do biura? Czy nie należałoby przejrzeć dokumentów przedsiębiorstwa, żeby się przekonać, czy jakaś partia towaru nie została ostatnio sprzedana i wysłana?

Chet znów obrócił się twarzą do Jacka. Przyjrzał się jego minie i zobaczył, że ten nie żartuje.

–Co mam ci powiedzieć? – spytał.

–Masz tylko potwierdzić słuszność moich obaw – wyjaśnił Jack.

–W porządku. Masz rację! Więc zacznij działać! Przekręć do epidemiologa i sprawdź, czy uwzględnił te kwestie! Zrzuć z siebie ten ciężar. Żebyśmy w końcu obaj mogli wziąć się do roboty.

Jack zerknął na telefon, potem znów popatrzył na Cheta.

–Naprawdę tak myślisz? Clint nie należy do moich fanów. Trudno też nazwać go podatnym na sugestie, zwłaszcza te płynące z mojej strony.

–Nieważne, że facet jest przygłupem – odrzekł Chet. – Będziesz miał satysfakcję, że zrobiłeś wszystko, co do ciebie należy. Przejmujesz się tym, co o tobie pomyśli?

–Chyba masz słuszność. – Jack sięgnął po aparat. – Nie mogę oczekiwać, że wszyscy będą mnie kochać tak, jak ja Kocham siebie.

Jack ponownie wystukał numer do miejskiego epidemiologa. Sekretarka poprosiła, aby się przedstawił, po czym kazała mu czekać. Jack wisiał na telefonie przez kilka minut. Spojrzał znów na Cheta.

–Okay, facet sprawdza twoją determinację – stwierdził Chet. – Nie daj się.

Jack przytaknął. Zaczął kreślić przecinające się koła w swoim notatniku, a potem bębnił palcami o blat. W końcu zgłosiła się sekretarka.

–Przykro mi, ale pan doktor jest w tej chwili zajęty – oświadczyła. – Proszę zadzwonić później.

Jack rozłączył się.

–Przypuszczam, że nie powinienem się dziwić. Uwielbiam te gadki szmatki na temat kooperacji między agendami.

–Wyślij mu faks – zaproponował Chet. – Efekt będzie ten sam, a oszczędzisz sobie zachodów, usiłując z nim porozmawiać.

–Mam lepszy pomysł – odrzekł Jack. Wyciągnął kartę identyfikacyjną i odszukał numer telefonu Helen Papparis. Potem po raz wtóry zadzwonił do pogrążonej w żałobie żony handlowca.

–Przepraszam, że znowu panią niepokoję – zaczął.

–Nic się nie stało – zapewniła Helen. Mówiła z taką samą godnością, jak w czasie ich pierwszej rozmowy.

–Chciałem panią zapytać, czy skontaktowali się z panią ludzie z ochrony zdrowia.

–Tak – odpowiedziała Helen. – Wkrótce po tym, jak skończyłam z panem rozmawiać, zadzwonił do mnie niejaki doktor Abelard.

–Cieszę się – rzekł Jack. – Czy wolno zapytać, co pani powiedziała?

–Był bardzo rzeczowy – stwierdziła Helen. – Prosił mnie o adres i klucze do magazynu. Później powiedział, że policjanci z lokalnego komisariatu przyjadą je odebrać.

–Znakomicie – pochwalił Jack. – A czy wspomniał coś o biurze na Manhattanie?

Czy doktor Abelard pytał panią o nie?

–O biurze nie było mowy.

–Rozumiem. – Jack zerknął na Cheta, który odpowiedział mu wzruszeniem ramion. Jack chwilę się zamyślił, po czym dodał: – Chciałbym osobiście obejrzeć to biuro. Czy wyraziłaby pani na to zgodę?

Chet zaczął wymachiwać rękoma, wymawiając – bezgłośnie, ale z naciskiem – słowo „nie”. Czynił to parokrotnie, jednak Jack go zignorował.

–Skoro pan uważa, że to w czymkolwiek pomoże – odparła Helen. – Ja nie mam nic przeciwko temu.

Jack powtórzył jej to, co już powiedział Chetowi – że chciałby się przekonać, czy dokonano ostatnio sprzedaży i wysyłki towaru. Helen natychmiast go zrozumiała.

–Mogę od razu przyjechać i wziąć klucze – zasugerował Jack.

–To nie będzie konieczne. Biuro znajduje się przy Walker Street 27, tuż obok jest sklep filatelistyczny. Jego właściciel nazywa się Hyman Feingold. Był przyjacielem mojego męża. Obaj mieli klucze do swoich sklepów na wypadek niebezpieczeństwa.

Dam mu znać, będzie się pana spodziewał.

–Doskonale – powiedział Jack. – I jeszcze jedno: czy rozmawiała pani ze swoim lekarzem?

–Owszem. Przepisze mi antybiotyki. Polecił mi także, abym się zaszczepiła.

–Uważam, że to dobry pomysł – potwierdził Jack.

Po skończonej rozmowie Jack podniósł się i zdjął wiszącą za drzwiami kurtkę.

–Nie zapytasz mnie, co myślę o twoim nowym wyskoku w teren? – spytał Chet.

–Nie – rzucił Jack. – Znam twoje zdanie. Idę. Nie umiem się dziś skupić, więc równie dobrze mogę zrobić coś użytecznego. Poza tym będziesz mógł spokojnie popracować. Broń barykady, przyjacielu!

Chet machnął ręką zrezygnowanym gestem. Chociaż uważał wypady Jacka za szaleństwo, dotychczasowe doświadczenia nauczyły go, że próby odwiedzenia Jacka od raz powziętego zamysłu nie mają sensu.

Pogwizdując dziarską melodię, Jack zszedł schodami na drugie piętro, gdzie dał nura do laboratorium mikrobiologii. Na myśl o czekającej go przejażdżce przez miasto po raz pierwszy tego dnia nabrał humoru.

Agnes Finn nie było, toteż Jack porozmawiał z kierowniczką zmiany. Kobieta z radością zaopatrzyła go w paczkę rurek do hodowli bakterii, lateksowe rękawiczki, ochronne maski, pelerynę ochronną i kaptur. Jack wiedział, że byłby bezpieczniejszy w biologicznym kombinezonie ochronnym, ale czuł, że to nie będzie konieczne. Musiałby czekać, aż mu go wydadzą, a jemu się spieszyło. Ponadto zaś był przekonany, że pan Papparis zakaził się węglikiem w magazynie, nie w biurze. Ściskając w rękach swój ekwipunek, Jack zszedł do piwnicy i zdjął kłódkę z roweru. Zamiast jednak skierować się w stronę centrum, podjechał w pierw do Szpitala Uniwersyteckiego. Jako zwolennik starego przysłowia, mówiącego, że „lepiej zapobiegać, niż leczyć”, doszedł do wniosku, iż rozsądnie będzie zażyć profilaktycznie antybiotyki.

Podróż do centrum była ekscytująca i niemal obeszło się bez przykrych przygód. Jack popędził na południe Drugą Avenue, potem skręcił na zachód w Houston Street. Do Walker Street dotarł Broadwayem. Miał tam małą scysję z kierowcą furgonetki dostawczej. Po krótkiej wymianie zdań samochód ruszył i zniknął.

Jack zatrzymał się po zachodniej stronie budynku Korynckiego Przedsiębiorstwa Dywanowego i przytwierdził rower do znaku zakazu parkowania. Podeszedł do frontowego okna sklepu i popatrzył na wystawione dywany i skóry. Było ich zaledwie kilka, wszystkie były spłowiałe od słońca i pokryte warstwą kurzu; wyglądały, jakby ich od lat nie tykano. Jack był pewien, że nie pochodziły z ostatniego transportu.

Złożywszy dłonie w daszek, Jack pochylił się i zajrzał do środka. Wnętrze było oszczędnie umeblowane. Stały tam dwa biurka. Jedno służyło do prac kancelaryjnych, leżały na nim papiery i przybory do pisania. Na drugim spoczywała kserokopiarka i faks. Jack dostrzegł też parę szafek biurowych. Z tyłu było dwoje zamkniętych drzwi.

Jack podszedł do drzwi. Złote litery lśniły na tle ciemnego wnętrza. Nadusił klamkę. Tak jak się spodziewał, były zamknięte na klucz.

Sklep ze znaczkami przylegał do zachodniej ściany biura i Jack skierował tam swoje kroki. Dzwoneczki przy drzwiach wejściowych zaskoczyły go ostrością dźwięków i zarazem uświadomiły mu, jak bardzo jest spięty. Jakiś klient siedział, Wpatrując się w serię znaczków zapakowanych w celofanowe kopertki.

Mężczyzna, o którym Jack sądził, że jest właścicielem, stał za kontuarem. Gdy tylko podniósł wzrok, Jack się przedstawił.

–A, doktor Stapleton – powiedział Hyman miękkim głosem, jakby słowo mówione w jakiś sposób naruszało filatelistyczny spokój. Wykonał gest, wskazując, by oddalili się na stronę.

–To, co przytrafiło się panu Papparisowi, to straszna tragedia – wyszeptał Hyman. Wręczył Jackowi kółko z kluczami. – Czy pańskim zdaniem mam powody czuć się zagrożony?

–Nie – odparł szeptem Jack. – Chyba że pan Papparis zwykł pokazywać panu swój towar.

Hyman pokręcił głową.

–Czy pan Papparis kiedykolwiek przywoził do biura jakieś dywany lub skóry?

Znaczy się, z wyjątkiem tych, które widać w oknie?

–Ostatnio nie – zaprzeczył Hyman. – Przynosił tutaj próbki przed wielu laty, kiedy wyjeżdżał w trasy. Ale później nie musiał już tego czynić.

Jack uniósł klucze wyżej.

–Dziękuję za pomoc. Niebawem je panu zwrócę.

–Nie ma pośpiechu. Cieszę się, że pan sprawdza, czy wszystko w porządku.

Jack wrócił do roweru i wydobyl z koszyka swój ekwipunek. Następnie podszedł do drzwi biura i przekręcił klucz w zamku. Zanim je otworzył, narzucił na siebie pelerynę i kaptur oraz włożył rękawiczki i maskę. Paru przechodniów, widząc przygotowania Jacka, odrobinę zwolniło kroku, ale to wszystko. Jack uznał ich obojętność za hołd złożony spokojowi nowojorczyków.

Jack pchnął drzwi i przekroczył próg. Poczuł, jak włoski na karku stają mu dęba. Było coś niepokojąco złowieszczonego w tym, że niektóre z drobin kurzu tańczących w snopie światła mogą być zabójcze. Przez moment Jack zastanawiał się, czy się nie wycofać i nie zostawić tej roboty specjalistom. Potem jednak zbeształ się za wiarę w średniowieczne zabobony. Był przecież odpowiednio zabezpieczony.

Biuro istotnie było urządzone po spartańsku. Jediną dekorację stanowiły turystyczne postery Olympic Airlines przedstawiające greckie wyspy. Wielki kalendarz ścienny również oferował widoki z Grecji. Mimo że skóry i dywany na wystawie były zakurzone, reszta biura tchnęła nieskazitelną czystością, a w powietrzu czuć było woń pasty do podłogi. Na podłodze leżały listy i czasopisma, które musiały zostać wsunięte przez otwór w drzwiach. Jack pozbiierał je i przeszedł w stronę biurka.

Na blacie była bibułka, metalowy koszyk do korespondencji i kilkanaście imitacji starogreckich waz. Biuro było schludne i przestronne. Jack posłusznie umieścił listy w koszyku z przegródką „odebrane”.

Zapalił światła, a potem wyjął paczkę z rurkami do kultur i przetarł wacikiem powierzchnię różnych przedmiotów. Kiedy pocierał biurko, spostrzegł jakiś błysk na bibułce. Nachyliwszy się, stwierdził, że to malutka, modra gwiazdeczka, która zupełnie nie pasowała do tego surowego biura.

Jack zajrzał do kosza. Pojemnik był pusty. Odszedł ponownie ku zamkniętym drzwiom. Jedne prowadziły do toalety, tutaj przejechał wacikiem po umywalce i muszli klozetowej. Drugie wiodły na korytarz łączący się z główną klatką schodową budynku. Oprócz tych z okna wystawowego w biurze nie było innych dywanów ani skór.

Po włożeniu wacików do rurek Jack zaniósł je do toalety i opłukał ich powierzchnię wodą, a następnie umieścił z powrotem w paczce, w której je przywiózł.

Na końcu zbliżył się do szafek z dokumentami. Teraz pozostawało mu już tylko dowiedzieć się czegoś o ostatnim transporcie dywanów i skór, a przede wszystkim ustalić, czy w ogóle powędrowały gdzieś dalej.

Rozdział 5 18 października, poniedziałek, 15.45 Jurij spojrzał na zarozumiałą twarz biznesmena, który na jego wyciągniętej dłoni odliczał jednodolarowe banknoty. Jurij przywiózł go do okazałej rezydencji w East Side aż z lotniska LaGuardia. Przez całą drogę musiał wysłuchiwać kolejnego monologu o amerykańskich cnotach narodowych i o nieuchronnym zwycięstwie Stanów Zjednoczonych w zimnej wojnie. Tym razem główny akcent padł na Ronalda Reagana, który praktycznie sam rozprawił się z „imperium zła”. Biznesmen trafnie odgadł, skąd Jurij pochodzi, odczytując jego nazwisko z licencji taksówkarskiej. To z kolei sprowokowało go do palnięcia mówki na temat amerykańskiej wyższości pod każdym względem: moralnym, ekonomicznym i politycznym.

Podczas tej tyrady Jurij nie zająknął się słowem, choć parę razy korciło go, aby się wtrącić. Niektóre z twierdzeń jego klienta wyprowadziły go z równowagi, zwłaszcza gdy tamten protekcyjnym tonem wyraził współczucie, że Rosjanie są ciągle niepewni jutra, bo muszą znosić nieudolność rządów.

—A tutaj kilka dolarów za fatygę — dodał mężczyzna, puszczając oko, i dołożył do kupki na

dłoni Jurija. Jurij trzymał w ręku dwadzieścia dziewięć wyduszonych jednodolarowych banknotów. Stan licznika plus myto za przejazd przez Triboro Bridge wyniosły w sumie dwadzieścia siedem dolarów i pięćdziesiąt centów.

–I to ma być napiwek? – odezwał się Jurij z jawną pogardą w głosie.

–Czy coś nie tak? – odpowiedział pytaniem mężczyzna. Wyprostował się. Brwi wygięły mu się w łuk wyrażający oburzenie. Wysunął swój neseser spod ramienia, jak gdyby szykował się do użycia go w obronie własnej.

Jurij oderwał prawą rękę od kierownicy i podniósł dwa ostatnie dolary z wierzchu kupki. Wypuścił je z palców, tak że pofrunęły krótkimi, przecinającymi się łukami w kierunku chodnika.

Oburzenie mężczyzny przeszło w złość. Jego policzki nabiegły czerwienią.

–Oto mój wkład w amerykańską gospodarkę – oznajmił Jurij. Potem nacisnął ostro na gaz i pomknął jak strzała. We wstecznym lusterku zobaczył, jak biznesmen schyla się nad rynsztokiem, aby pozbierać pieniądze. Obraz ten sprawił mu wielką radość. Widok człowieka zginającego kark po tak mizerną sumę pieniędzy podzielał na niego krzepiąco. Nie mógł uwierzyć, że niektórzy Amerykanie mimo rzucającego się w oczy bogactwa bywają aż takimi skąpcami.

Aby uczcić zbliżającą się chwilę powrotu do „rodiny”, Jurij pojechał do małej rosyjskiej restauracji na smaczny obiad, zakrapiany gorącym barszczem i kieliszkiem wódki. Rozmowa w ojczystym języku z właścicielem lokalu jeszcze bardziej poprawiła mu nastrój, choć obudziła zarazem nutę melancholii.

Po obiedzie miał wielu hojnych klientów. Wszyscy trzymali języki na wodzy, oprócz tego ostatniego, który wziął kurs z lotniska LaGuardia.

Jurij zatrzymał się na czerwonym świetle przy Park Avenue. Miał zamiar skierować się na Piątą Avenue w nadziei, że wyhaczy któregoś z hotelowych gości. Tymczasem między stojącymi autami pojawiła się starsza kobieta w chustce na głowie i podniosła rękę. Gdy zapaliło się zielone światło, Jurij Podjechał pod krawężnik i kobieta wsiadła.

–Dokąd jedziemy? – zapytał, przypatrując się nowej klientce w lusterku. Miała na sobie dość praktyczny strój, który, choć nie wyświechtany, był już dobrze znoszony. Wyglądała na osobę, która powinna korzystać raczej z metra niż z taksówki.

–Zachodnia Dziesiąta Ulica, jeden-zero-siedem – powiedziała kobieta akcentem jeszcze cięższym niż Jurija. Rozpoznał go natychmiast. Był to akcent estoński, który wywołał w nim dość mieszane wspomnienia.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Po raz pierwszy tego dnia Jurij miał ochotę się

odezwać. Raz po raz zerkał na swoją pasażerkę. Miała w sobie coś znajomego.

Usadowiła się wygodnie i złożyła swoje duże dłonie na podołku. Spokojne chłopskie rysy jej twarzy, o małych błyszczących oczach i łagodnym uśmiechu, emanowały wewnętrznym spokojem.

–Czy pani jest Estonką? – spytał Jurij.

–Tak – potwierdziła kobieta. – A pan Rosjaninem?

Jurij skinął głową, obserwując reakcję kobiety. Lata okupacji sprawiły, że w Estonii panowały silne antyrosyjskie nastroje. Odczucia Jurija wobec Estonii nie były tak negatywne, jak przypuszczał, że mogą być odczucia jego pasażerki względem Rosji. Mimo trudności, które go tam spotkały podczas jego odysei do Ameryki, poznał także sympatycznych, uczciwych i pomocnych ludzi.

–Jak dawno pan tutaj mieszka? – zapytała kobieta. W jej głosie nie było zawiści.

–Od dziewięćdziesiątego czwartego – poinformował Jurij.

–Czy opuścił pan ojczyznę wraz z rodziną?

–Nie – wydusił z siebie Jurij. Poczuł tkwiącą mu w gardle grudę. – Przyjechałem sam.

–Musiało być panu bardzo ciężko – powiedziała kobieta ze współczuciem. – I musiał się pan czuć samotny.

Proste pytanie kobiety i jej reakcja na jego odpowiedź uwolniły w nim falę emocji, wśród których był także wstyd z powodu porzuconej rodziny, chociaż nie zostawiał za sobą wiele. Toska, która wcześniej go ogarnęła, powróciła teraz ze zdwojoną siłą. Zarazem Jurij uzmysłowił sobie, dlaczego kobieta wydaje mu się znajoma.

Przypominała mu matkę, choć fizycznie nie była do niej zbyt podobna. Nie tyle bowiem jej wygląd, co sposób zachowania się, a szczególnie bijący z niej całkowity spokój, przywiódł Jurijowi na myśl matkę.

Rzadko kiedy o niej myślał. Było to zbyt bolesne. Nadia Dawidów kochała Jurija i jego młodszego brata, Igora, i na ile mogła, starała się ich uchronić przed brutalnymi cięgami, jakie ich ojciec, Anatolij, spuszczał im za najmniejsze nieposłuszeństwo. Jurij nadal miał blizny na pośladkach po laniu, które dostał, mając jedenaście lat. Był wtedy w czwartej klasie, niedawno wstąpił do Organizacji Pionierskiej. Część mundurka stanowiła czerwona chusta, w którą wpinało się czerwoną odznakę w kształcie flagi z miniaturową podobizną Lenina. Któregoś dnia Jurij, wracając ze szkoły, zgubił gdzieś tę odznakę; wieczorem, gdy ojciec odkrył ten fakt, wpadł w furję. W pijackim szale, po wypiciu niemal litra wódki, bił Jurija tak długo, aż spodnie chłopca przesiąkły krwią.

Z reguły Nadii udawało się kierować wybuchy wściekłości męża na siebie.

Przez większość nocy Nadia ze stoickim spokojem znosiła pojedyncze uderzenia i pijackie wrzaski Anatolija. Następnie własnym ciałem zasłaniała dzieci przed ojcem; jej twarz nierzadko ociekała krwią. Anatolij nie przestawał obrzucać jej wyzwiskami i grozić pobiciem. Kiedy Nadia nie ruszała się ani nawet nie odzywała, on wygrażał chłopcom pięścią i krzyczał, że jeśli jeszcze raz popełnią podobne wykroczenie, to ich pozabija. Potem oddalał się chwiejnym krokiem, aby zasnąć na jedynym w całym mieszkaniu tapczanie. Te same sceny powtarzały się prawie każdej nocy, dopóki Jurij nie skończył ósmej klasy.

W 1970 roku, w przeddzień Pierwszego Maja, wielkiego radzieckiego święta, Anatolij wypił dwa razy więcej wódki niż zwykle. Będąc w wyjątkowo parszywym humorze, najpierw wygonił rodzinę z mieszkania, zamknął drzwi na klucz, a potem stracił przytomność. W nocy, którą kobieta i dzieci spędzili na ławkach we wspólnej kuchni, Anatolij udusił się własnymi wymiocinami. Rankiem znaleziono go zimnego i sztywnego.

Rodzinie nie przelewało się po śmierci Anatolija. Nadia, Jurij i Igor byli zmuszeni opuścić dwupokojowe mieszkanie na pierwszym piętrze i wprowadzić się do małej klitki na poddaszu, w której zimą panował mróz, a latem – nieznośny upał.

Stracili też pensję Anatolija, choć z drugiej strony nie musieli już wydawać pieniędzy na wódkę.

Na szczęście następnego roku Nadia dostała awans w fabryce wyrobów ceramicznych, gdzie pracowała od czasu ukończenia szkoły zawodowej. Dzięki temu Jurij mógł skończyć dziesięć klas podstawówki.

Niestety, Jurij stał się zamkniętym w sobie, niesubordynowanym nastolatkiem, który na dokuczliwe uwagi swoich kolegów z klasy reagował bójkami. W rezultacie chłopak opuścił się w nauce. Zarówno jego oceny końcowe, jak wyniki egzaminów były zbyt niskie, aby mógł się dostać na uniwersytet, na którym pragnęła go widzieć matka. Zamiast tego poszedł do miejscowej szkoły zawodowej i wykształcił się na technika mikrobiologii. Wybrał ten kierunek, idąc za radą, że istnieje na niego coraz większy popyt, zwłaszcza w Swierdłowsku. Tak się szczęśliwie złożyło, że rząd wybudował tam ogromną fabrykę, która miała produkować szczepionki dla ludzi i zwierząt.

–Czy odwiedził pan Rosję od chwili przyjazdu do Ameryki? – zapytała ponownie Estonka, gdy na pewien czas zapadło milczenie.

–Na razie nie – rzekł Jurij. Ożywił się na myśl o bliskiej perspektywie powrotu do kraju. W gruncie rzeczy zakupił już otwarty bilet lotniczy do Moskwy via Frankfurt, z lotniska Newark. Wybrał Newark, gdyż leżało na południowy zachód od Manhattanu. Planował ewakuować się z miasta, jak tylko użyje broni masowego rażenia w Central Parku, i nie chciał ryzykować podróży na wschód, na lotnisko JFK. Wiatr nieodmiennie wiał z zachodu na

wschód. Co jak co, ale zostanie ofiarą zaplanowanego przez siebie ataku terrorystycznego nie uśmiechało mu się zupełnie.

Kupienie biletu lotniczego wcale nie okazało się takie łatwe. W Rosji Jurijowi nie udało się zdobyć międzynarodowego paszportu, a choć Urząd do spraw Imigracji i Naturalizacji przyznał mu zieloną kartę, Jurij wciąż nie miał amerykańskiego paszportu. Przynajmniej autentycznego. Za podróbkę trzeba było słono zapłacić. Nie musiał to być zresztą szczególnie dobry paszport, gdyż Jurij chciał się nim posłużyć wyłącznie po to, by kupić bilet lotniczy. Jako patriota, był przekonany, że zdoła przedostać się do Rosji bez odpowiednich dokumentów, i ma się rozumieć, nie zamierzał nigdy wracać do Stanów Zjednoczonych.

–Razem z mężem pojechaliśmy w zeszłym roku do Estonii – mówiła kobieta. – Było cudownie. W krajach bałtyckich zmienia się na lepsze. Kto wie, może nawet wrócimy, by zamieszkać w ojczyźnie.

–Ameryka to nie raj na ziemi, za jaki chce uchodzić – stwierdził Jurij.

–Tutaj trzeba bardzo ciężko pracować – potwierdziła kobieta. – I uważać na siebie. Nie brakuje złodziei, którzy chcą ci zabrać pieniądze, różnej maści inwestorów czy ludzi, którzy chcą ci sprzedać ziemię na Florydzie.

Jurij przytaknął na znak zgody, choć według niego prawdziwi złodzieje zasiadali w, jak to nazywał Curt Rogers, zdominowanym przez syjonistów rządzie. Nie chodziło przy tym o metaforę odnoszącą się do kłamstwa o „amerykańskim marzeniu”; była to prawda w całej dosłowności. Rządowi agenci wszędzie czaili się z wyciągniętymi łapskami, żeby ukraść większą część z każdego zarobionego przez Jurija dolara. Przestępców z Waszyngtonu zastępowali złodzieje z rządu stanowego w Albany czy bandyci z rady miejskiej na Manhattanie. Zdaniem Curta wszystkie te podatki kłóciły się z konstytucją i dlatego były bezprawne.

–Mam nadzieję, że posyła pan pieniądze rodzinie – kontynuowała kobieta, nieświadoma wpływu, jaki ta rozmowa ma na jej kierowcę. – Mąż i ja wysyłamy, kiedy tylko możemy.

–Nie mam nikogo w kraju – odparł Jurij odrobinę zbyt szybko. – Jestem zupełnie sam. – Wiedział, że nie mówi całej prawdy. Miał darzącą go matczyną miłością babkę, kilka ciotek i wujów oraz stadko kuzynów w Jekaterynburgu, jak obecnie nazywano Swierdłowsk. No i w Brighton Beach czekała nań żona z nadwagą.

–O, przepraszam – powiedziała kobieta. Jej twarz okryła się chmurą współczucia i smutku. – Nie wyobrażam sobie życia bez rodziny. Może podczas wakacji chciałby pan do nas przyjechać.

–Dziękuję – odrzekł Jurij. – Bardzo to miło z pani strony, ale jakoś sobie radzę... – Chciał udzielić dalszych wyjaśnień, ale niespodziewanie poczuł, że ma ściśnięte gardło. Mimo woli wrócił wspomnieniami do fatalnego roku 1979, kiedy to stracił zarówno matkę, jak i brata.

W szczególności jego myśli krążyły wokół drugiego dnia kwietnia.

Zaczął się jak każdy dzień roboczy od donośnego alarmu, który wyrwał Jurija z głębin snu. O piątej rano było ciemno jak o północy, ponieważ Swierdłowsk leży mniej więcej na tej samej szerokości geograficznej co Sitka na Alasce. Zima zaczęła już nieco puszczać, lecz do wiosny było jeszcze daleko. Wprawdzie temperatura w mieszkaniu nie spadała poniżej zera, jak to miało miejsce w lutowe poranki, a nawet w marcu, lecz nadal było bardzo zimno. Jurij ubrał się w ciemnościach, nie budząc Nadii i Igora, którzy nie musieli wstawać przed siódmą. Nadia nadal pracowała w fabryce ceramiki, Igor zaś miał w czerwcu skończyć szkołę.

Po szybkim, zimnym śniadaniu złożonym z czerstwego chleba i sera Jurij wyruszył po ciemku do zakładów farmaceutycznych. Pracował tam ledwie od dwóch lat, od kiedy skończył szkołę. Tyle jednak wystarczyło, aby Jurij zorientował się, że zakłady nie są tym, czym się wydają. Zatrudniono go, by hodował kultury bakterii do produkcji szczepionek, ale w rzeczywistości robił co innego. Choć w zewnętrznych oddziałach produkowano niektóre szczepionki, Jurij pracował w większej, wewnętrznej części zakładów. Szczepionki były tylko przykrywką. W istocie swierdłowskie zakłady farmaceutyczne należały do Biopreparatu – rozbudowanego programu broni biologicznej. Jurij był jedynie trybikiem w liczącej pięćdziesiąt pięć tysięcy ludzi maszynie, której instytucjonalne mechanizmy rozrzucone były po całym Związku Radzieckim.

Fabryka nosiła niewinną nazwę „Kompleks 19”. Przy bramie wejściowej Jurij musiał wylegitymować się swoim dowodem tożsamości. Wiedział, że strażnik jest pracownikiem KGB. Czekając, Jurij zatupał nogami, by się trochę rozgrzać w porannym chłódzie. Nie padły żadne słowa. Nie były potrzebne. Mężczyzna skinął głową i Jurij wszedł na teren fabryki.

Był jednym z pierwszych pracowników, którzy zjawili się na dziennej zmianie.

Zakład funkcjonował dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu. Akurat na Jurija, młodszego pracownika, i paru jego kolegów z tym samym stażem wypadł obowiązek umycia wewnętrznej obudowy biologicznej. Zwykli sprzątacze nie mieli wstępu do tego rejonu.

Znalazłszy się w szatni, Jurij uklonił się swojemu koledze, Aleksisowi. Było zbyt wcześnie na rozmowy, tym bardziej że żaden z nich nie wypił jeszcze porannej herbaty czy kawy. W milczeniu on, Aleksis i dwóch innych włożyli na siebie skafandry i włączyli wentylatory. Kiedy sprawdzali szczelność odzieży, nawet nie chcieli im się spojrzeć na siebie przez plastikowe maski.

Odizolowani od środowiska czekali, aż automatyczne drzwi otworzą się przed nimi. Czekając na spadek ciśnienia w komorze wejściowej, żaden się nie odezwał.

Gdy rozsunęły się wewnętrzne drzwi, udali się do wyznaczonych stanowisk. W niewygodnych kombinezonach poruszali się ociężale, stąpając na sztywnych nogach niczym futurystyczne roboty.

Monotonny początek każdej zmiany był starannie wyreżyserowany, nic się nie zmieniało z tygodnia na tydzień ani z miesiąca na miesiąc. Ranek drugiego kwietnia 1979 roku nie wydawał się różnić pod tym względem od innych. A jednak się różnił.

Czterech młodych ludzi, człapiących ciężko na swoje stanowiska, nie zdawało sobie sprawy z potencjalnego zagrożenia. Nikt z nich nie przeczuwał, że wkrótce znajdą się o krok od katastrofy.

Zakład w Swierdłowsku hodował głównie dwa typy bakterii: *Bacillus anthracis* i *Clostridium botulinum*. Jako broń biologiczną wykorzystywano zarodniki tej pierwszej i skryształizowaną toksynę tej drugiej. Fabryka miała za zadanie wyprodukować jak największą ilość obu czynników.

Kiedy Jurij zaczynał pracę w Kompleksie 19, przeszedł przez wiele różnych stanowisk, żeby poznać się z działaniem całej fabryki. Po miesiącu takiej rotacji trafił do działu węglika. Przez dwa lata, kiedy pracował w Swierdłowsku, był w sekcji przetwórczej. To tutaj płynne kultury, pochodzące z ogromnych kadzi fermentacyjnych, suszono w zbitą masę, którą następnie mielono na proszek złożony z niemal czystych zarodników węglika. Praca Jurija polegała na monitorowaniu Pracy młynów pyłowych.

Młyny takie składały się z wirujących stalowych bębnow wypełnionych stalowymi kulkami. Testy na żywych zwierzętach, prowadzone w innej części zakładów, wykazały, że najbardziej zabójcze i najskuteczniejsze cząsteczki pyłu były wielkości pięciu mikrometrów. Aby osiągnąć ten stopień rozdrobnienia, młyny obracały się ze ściśle określoną prędkością, przy użyciu ściśle określonych kulek i przez ściśle określony czas.

W myśl obowiązującej procedury wyłączano je na noc, żeby dokonać rutynowego przeglądu. Robił to kierownik nocnej zmiany. Ciągłe jednak pracowały suszarnie – bez przerwy produkowały ogromne ilości lekkiej, brązowawej masy, którą dzienna zmiana rozdrabniała na proszek. Mielenie trwało dłużej niż suszenie.

Jurij jak zwykle zaczął dzień od spryskania młynów chlorowaną wodą pod ciśnieniem. Nawet gdy rozdrabniacze były zamknięte, małe drobiny pyłu wydostawały się na zewnątrz, a co dopiero podczas przeglądu, gdy trzeba je było otworzyć.

Ponieważ do uśmiercenia człowieka wystarczały mikroskopijne dawki węglika, urządzenia te czyszczono codziennie; nikt zresztą nie zbliżał się do nich bez hermetycznego skafandra.

Z początku Jurija przerażała praca w środowisku, w którym panuje tak zabójczy czynnik. Jednak po paru miesiącach stopniowo się przyzwyczaił. Tamtego konkretnego ranka, drugiego kwietnia, nie czuł żadnego niepokoju. Stał się drugim Iwanem Denisowiczem z

powieści Sołżenicyna, udowadniając, że istoty ludzkie mają wręcz nieograniczone zdolności adaptacyjne.

Gdy czyszczenie dobiegło końca, Jurij wciągnął wąż za pomocą wielkiej korby.

Czoło zrosił mu pot. Każdy wysiłek fizyczny zamieniał nieprzepuszczalny skafander w ruchomą saunę.

Po schowaniu sprzętu do czyszczenia wszedł do pokoju kontrolnego i zamknął drzwi. Szczelna tafla szkła oddzielała pokój kontrolny od młynu pyłowego. Hałas, który rozlegał się po uruchomieniu urządzenia, był ogłuszający, jazgotliwy i irytujący.

Jurij usiadł przed głównym pulpitem i omiół wzrokiem wskaźniki i podziałki.

Wszystko było gotowe do startu. Obrócił się w stronę dziennika, skwapliwie wybiegając myślami naprzód, ku porannej przerwie o dziewiątej. Była to jedna z jego ulubionych pór dnia, choć trwała tylko pół godziny. Prawie czuł w ustach smak świeżej kawy i chleba.

Palcem w rękawiczce przesunął wzdłuż kolumn cyfr, upewniając się, że na poprzedniej zmianie młyny pracowały jak należy. Wszystko było w porządku, dopóki Jurij nie doszedł do kolumny z odczytami ciśnienia powietrza panującego wewnątrz młyna. Kiedy jego wprawne oko prześledziło rzędy cyfr, stwierdził, że w czasie zmiany ciśnienie lekko wzrosło. Nie przejął się tym zbyt, bo zwyżka była niewielka, a ciśnienie nie przekroczyło dopuszczalnych norm.

Jurij zerknął na dół strony, gdzie kierownik podsumował najważniejsze fakty, jakie zaszły na jego zmianie. Lekka zwyżka ciśnienia została odnotowana wraz adnotacją, że poinformowano już służby przeglądowe. Pod tym zapisem widniał kolejny, poczyniony przez owe służby. O drugiej nad ranem. Stwierdzał on po prostu, że urządzenie zostało sprawdzone i że przyczyna niewielkiego wzrostu ciśnienia została wykryta i usunięta.

Jurij pokręcił głową. Notatka służb technicznych brzmiała dość enigmatycznie, nie podano bowiem, jaka była owa przyczyna. Najwyraźniej nie miało to większego znaczenia. Odczyty mieściły się przecież w normie. Jurij wzruszył ramionami. Nie uważał, że powinien się przejmować niepełnym zapisem dokonany przez służby przeglądowe, tym bardziej, że problem – jakkolwiek był – został naprawiony.

Czując, że wszystko jest w porządku, Jurij podniósł słuchawkę telefonu łączącego go z kierownikiem dziennej zmiany Władimirem Giergijewem. Spojrzał na zegarek. Właśnie dochodziła siódma, lada chwila jego matka i brat wstaną z łóżka.

–Młyny gotowe, towarzyszu Giergijew – poinformował Jurij.

–Uruchomić – rzucił tamten obcesowo i rozłączył się.

Jurij zamierzał wspomnieć o dziwnym zapisie w dzienniku, lecz bezceremonialność kierownika mu to udaremniła. Odłożył słuchawkę i przez moment zastanawiał się, czy ma zadzwonić powtórnie. Niestety, nieokrzesany styl bycia Władimira nie zachęcał do takiej spontaniczności. Jurij postanowił milczeć.

Nieświadomy straszliwych następstw tego czynu, Jurij wcisnął guzik powodujący rozruch młynów pyłowych. Prawie natychmiast ogłuszający huk maszyn wdarł się do pokoju kontrolnego. Zaczął się kolejny dzień produkcji śmiertelnie niebezpiecznego węgla dla celów zbrojeniowych.

System pracował automatycznie. Zbita masa wysuszonych zarodników podjeżdżała taśmociągiem i wpadała do wirujących stalowych bębnow. Potem drobno zmielony proszek wysypywał się przez dno bębna i wpadał do szczelnych pojemników.

Wtedy pojemniki te były dezynfekowane od zewnątrz i wędrowały albo do składów amunicji, albo do głowic bojowych.

Wzrok Jurija pomknął ku skali pokazującej ciśnienie w młynie. Ciśnienie to spadło z chwilą uruchomienia systemu. Resztki obaw, które obudził dziwny zapis w dzienniku, pierzchyły bez śladu, gdy ciśnienie spadło poniżej lekko podwyższonego poziomu, który zaznaczył się w momencie wyłączenia systemu. Bez wątpienia służby techniczne rzeczywiście usunęły usterkę.

Jurij popatrzył na pozostałe podziałki i czytelniki. Wszystkie igły tkwiły w bezpiecznych zielonych strefach. Jurij wziął pióro i zaczął skrupulatnie wypełniać dziennik pod datą drugiego kwietnia, wpisując różne odczyty do poszczególnych kolumn.

Doszedłszy do ciśnieniomierza, zauważył coś, co zupełnie go zaskoczyło. Ciśnienie w dalszym ciągu spadało i było teraz niższe niż kiedykolwiek przedtem. W rzeczywistości igła utknęła na końcu skali.

Jurij wysunął rękę i puknął we wskaźnik kłykiem środkowego palca. Chciał się upewnić, że przestarzały miernik się nie zaciął. Igła jednak nawet nie drgnęła.

Nie miał pojęcia, co robić, nie wiedział nawet, czy należy robić cokolwiek. Zielona strefa ciśnieniomierza nie miała dolnej granicy, tylko górną. Chodziło o to, by ciągły przepływ powietrza, idący z pomieszczenia do maszyny, utrzymywał proszek w jej wnętrzu. Dlatego fakt, że ciśnienie spadło bardziej niż zwykle, nie stanowił żadnej różnicy. Jeśli już, to oznaczał tylko, że system działa wydajniej.

Jurij wlepił spojrzenie w telefon i zastanawiał się, czy zadzwonić do swego przełożonego, ale raz jeszcze się rozmyślił. Niejeden raz dostał od Władimira burę za – jak to nazywał jego szef – „głupie obawy” i Jurij nie chciał mu znowu podpaść. Władimir nie lubił, kiedy zwracano mu głowę nieistotnymi szczegółami. Był zbyt zapracowany.

O godzinie ósmej Jurij pomyślał o swojej matce, która w tej chwili najprawdopodobniej szła do fabryki wyrobów ceramicznych. Fabryka mieściła się na południowy wschód od Kompleksu 19. Nadia często powtarzała Jurijowi, że myśli o nim, mijając zakłady. Jurij nie wyjaśnił jej dokładnie, jakiego rodzaju pracę wykonuje. Gdyby to zrobił, oboje znaleźliby się w niebezpieczeństwie.

Czas dłużył się. Jurij z utęsknieniem czekał na przerwę o dziewiątej. Kiedy zostało do niej piętnaście minut, zabrał się znów do wypełniania dziennika. Gdy jego wzrok padł na wskaźnik wewnętrznego ciśnienia, ponownie się zawahał. Igła nie zmieniła swojej pozycji na dolnym skraju podziałki.

Wpatrując się we wskaźnik, Jurij poczuł nagłą duszność w piersi. Ni stąd, ni zowąd zaświtała mu w głowie okropna myśl.

–Błagam! Tylko nie to! – zaczął się modlić. Odruchowo sięgnął ręką i przycisnął czerwony guzik.

Kakofonia stalowych kulek w stalowych cylindrach, która przenikała do pokoju, nagle się skończyła, ale ciągle jeszcze dzwoniła Jurijowi w uszach.

Trzęsąc się z obawy przed tym, co odkryje, Jurij otworzył drzwi pokoju kontrolnego. Za jego plecami rozległ się dzwonek telefonu. Zamiast go odebrać, podszedł do samego końca młyna. Dyszał tak ciężko, że plastikowa osłona na twarz pokryła się mgiełką. Zwolnił kroku, zbliżając się do szeregu pionowych drzwi umieszczonych w obudowie młyna. Każde były szerokie na osiem cali i długie na trzy stopy.

Jurij wysunął drżącą rękę i odryglował jedno z owych drzwi. Chwilę zawahał się, a potem pociągnął je do siebie.

–Psiakrew! – zaklął, truchlejąc z przerażenia. Komora była Pusta! Błyskawicznie pootwierał wszystkie drzwi. Wszystkie bębny świeciły pustkami. Nie było filtrów powietrza! Przez dwie godziny młyn odpowietrzał się na zewnątrz bez żadnej ochrony!

Jurij zatoczył się na nogach. To była istna klęska. Dopiero wtedy dotarło do niego, że w tle ustawicznie brzęczy telefon. Wiedział, kto to dzwoni. Kierownik zmiany dziwił się, dlaczego Jurij wyłączył młyn pyłowy.

Jurij wpadł do pokoju kontrolnego, starając się jednocześnie obliczyć w myślach, ile gramów węgla rozprzestrzeniło się nad niczego nie podejrzewającym miastem. Po porannym spacerze do zakładów wiedział, że wieje łagodny północnozachodni wiatr. To zaś oznaczało, że zarodniki zostały zniesione na południowy wschód, w stronę głównego kompleksu wojskowego. Co gorsza jednak, znaczyło to, że zaradki kierują się ku fabryce ceramiki!

–Czwarty dom po prawej – odezwała się Estonka, wyrywając Jurija z koszmarnego

wspomnienia. Palec kobiety wysunął się przez pleksiglasowe przepierzenie i wycelował w rząd białych schodów.

Jurij momentalnie uświadomił sobie, że cały jest zlany potem i że ma wypieki na twarzy. Zmuszono go do przypomnienia sobie wypadków, o których ze wszystkich sił starał się nie myśleć. Mimo upływu dwudziestu lat wspomnienie tamtych chwil było tak żywe jak owego dnia, kiedy się zdarzyły.

Estonka zapłaciła Jurijowi za kurs, a potem zaczęła się gramolić z taksówki.

Próbowała dać mu napiwek, lecz odmówił. Podziękował jej za hojność i za ofertę wspólnych wakacji. Zawstydzony unikał jej wzroku. Nie chciał, aby zauważyła jego spoconą i zaczerwienioną twarz. Obawiał się, że kobieta pomyśli, iż dostał ataku serca.

Kiedy Estonka wspinała się po stopniach domu, Jurij włączył napis „zajęty”.

Podjechał do najbliższego hydrantu i zaparkował przy krawężniku. Musiał na jakiś czas przystanąć, by złapać oddech. Sięgnął pod fotel i wyjął piersiówkę. Po sprawdzeniu, że nikt go nie obserwuje, pociągnął szybki, solidny łyk. Płyn obmył mu spieczone gardło – uczucie było rozkoszne i uspokajające. Przytłaczające go napięcie, którego przed momentem doświadczał, zaczęło ustępować. Jurij otarł usta grzbietem dłoni.

Skutki pracy młyna bez filtrów okazały się straszniejsze, niż Jurij mógł przypuszczać w najgorszych obawach. Tak jak sadił – niewidzialna chmura węgliką zasnuła południową część miasta, gdzie znajdowały się zarówno obiekty wojskowe, jak i fabryka ceramiki. Setki ludzi zapadły na płucną postać węgliką, większość z nich zmarła. Jedną z ofiar była też Nadia.

Pierwsze objawy choroby to gorączka i bóle w piersi. Jurij natychmiast zorientował się, co się stało, ale łudził się nadzieją, że się myli. Poprzysiągł do chowania tajemnicy pod karą śmierci, nie mógł więc zdradzić się ze swoimi podejrzeniami. Nadia trafiła do specjalnego szpitala, gdzie umieszczono ją w separacie wraz z innymi pacjentami skarżącymi się na podobne dolegliwości. W tym gronie znalazło się kilku wojskowych. Koniec Nadii nadszedł wyjątkowo szybko. Umarła w dobę po wypadku.

KGB niezwłocznie przystąpił do szeroko zakrojonej kampanii dezinformacji, twierdząc, że źródłem chorób były zakażone wołowe tusze wyprodukowane w zakładach mięsnych Aramił. Rodzinom odmówiono wydania ciał zmarłych. Na mocy specjalnego zarządzenia wszyscy zmarli zostali pochowani w głębokich grobach, w oddzielnej części cmentarza miejskiego.

Jurij cierpiał męki. Nie ograniczały się one do emocjonalnego wstrząsu związanego ze stratą matki i do wyrzutów sumienia z powodu świadomości, że przyczynił się do jej śmierci. Jako najmłodszy stażem pracownik Jurij stał się kozłem ofiarnym.

Choć oficjalne śledztwo wskazało, że większość odpowiedzialności za wypadek leży po stronie techników i kierownika nocnej zmiany, którzy nie wstawili nowych filtrów w miejsce zapchanych i nieprzepisowo odnotowali naprawę, to jednak prawie całą winą obarczono Jurija. Teoretycznie to on miał przed uruchomieniem młynów sprawdzać, czy filtry są na miejscu, ale ponieważ filtry pracowały miesiącami i rzadko kiedy je zmieniano, nikt ich rutynowo nie sprawdzał, a podczas szkolenia kierownik zmiany nie pouczył Jurija w tej sprawie.

Przez wzgląd na bezpieczeństwo narodowe i ścisłą tajemnicę Jurija przetrzymywano przez jakiś czas w wojskowej twierdzy zamiast zwykłego więzienia, potem zaś zesłano go na Syberię. Tam trafił w końcu do innej fabryki Biopreparatu o nazwie Wektor, która znajdowała się w Nowosybirsku. Chociaż produkowano tam głównie wirusy używane w broni biologicznej, takie jak ospa, Jurij został przydzielony do niewielkiego zespołu pracującego nad zwiększeniem skuteczności węglika i jadu kiełbasianego.

Swego brata Igora Jurij nigdy już nie zobaczył. Igor uniknął wprawdzie zakażenia węglikami, ale nie pozwolono mu odwiedzić starszego brata ani podczas aresztu w twierdzy, ani na zsyłce na Syberii. Wkrótce później zresztą, po skończonej szkole, Igor został wcielony do wojska. W grudniu 1979, w czasie pierwszej inwazji, wyjechał do Afganistanu i stał się jedną z pierwszych ofiar wojny.

Jurij westchnął. Nie lubił rozmyślać o swoich dawnych utrapieniach. Denerwował się i tracił grunt pod nogami. Ukradkiem zlustrował ulicę przez przednią szybę i w bocznych lusterkach – dostrzegł kilkoro pieszych, nikt jednak nie zwracał na niego uwagi. Pociągnął jeszcze jeden haust, po czym wsunął pustą już butelkę pod fotel.

Znowu wyczerpały mu się zapasy wódki, zanim dzień dobiegł końca.

Wciąż podenerwowany Jurij otworzył drzwi i wysiadł z taksówki. Nie oddalił się jednak. Po prostu przeciągnął się, aby ulżyć trochę chronicznemu bólowi kręgosłupa, który dokuczał mu po całym dniu siedzenia za kółkiem. Zacerpnął kilka głębokich oddechów. Nieco wyciszony wszedł z powrotem do samochodu. Już miał wyłączyć napis „zajęty”, kiedy zdał sobie sprawę, że Walker Street i Korynckie Przedsiębiorstwo Dywanowe znajdują się niedaleko stąd. Spragniony rozrywki Jurij postanowił tam pojechać. Poczulby się znacznie lepiej, słysząc dobre wiadomości o handlarzu dywanami.

O wpół do czwartej, tuż przed godziną szczytu, ruch na jezdni zaczął się jak zwykle zagęszczać. Jurij musiał dłużej, niż sądził, przedzierać się przez Broadway, zwłaszcza w okolicach Canal Street. Zmuszając się do zachowania cierpliwości, zdołał wreszcie skręcić w stosunkowo spokojną Walker Street.

Jurij spodziewał się, że Korynckie Przedsiębiorstwo Dywanowe będzie jak dotychczas zamknięte na cztery spusty. Gotów był uznać ten stan rzeczy za potwierdzenie faktu, że Jason Papparis został zainfekowany i albo już nie żyje, albo jest o krok od śmierci. Jurija

nurtowało pytanie, czy powinien raz jeszcze ryzykować dowiadywanie się o handlarza w sklepie ze znaczkami. Wtedy jednak ujrzał ze zdziwieniem i konsternacją, że frontowe drzwi biura są otwarte na oścież, a w środku palą się światła!

Ostłupiały Jurij przyhamował i zwolnił. Przejeżdżając, zerknął do sklepu i zobaczył Jasona Papparisa stojącego przed jedną z szafek biurowych!

–O Gospodin! – wyjąkał Jurij, zapominając o swoich ateistycznych przekonaniach. Wykręcił się w fotelu i ponownie spojrzął na otwarte drzwi biura. Czyżby coś poszło nie tak? Przecież proszek musiał być skuteczny. Jurij użył wszystkich sztuczek, które on i jego zespół opracowali w Nowosybirsku. W ciągu przeszło dziesięciu lat pracy w syberyjskich zakładach wspólnie podnieśli wydajność bojowej formy węglika niemal dziesięciokrotnie. Udało im się to osiągnąć dzięki dość prostym dodatkom, które wydłużały zawieszenie i rozproszenie cząsteczek proszku w powietrzu, choć do poprawy jakości przyczyniły się też nowe technologie uprawy kultur. Szykując swoją broń, Jurij posłużył się wszystkimi znanymi sobie fortelami.

Przeczesał ręką włosy. Może list zagubił się gdzieś po drodze albo trafił pod niewłaściwy adres? A może ktoś na poczcie, kierowany ciekawością, postanowił go otworzyć? Jurij zaczynał mieć wątpliwości, czy wybrał najlepszy sposób zarażenia Papparisa; dotychczas pomysł, by wysłać mu list, wydawał mu się doskonały.

Jurij wysiadł z taksówki, zostawiwszy włączone światła awaryjne. Przebiegł przez jezdnię, ominął łukiem rower przywiązany do znaku zakazu parkowania i przeszedł obok sklepu filatelistycznego. Zbliżył się do okna i zajrzał do środka. Jasona nie było nigdzie widać. Dwa skrzydła drzwi, które dostrzegał w tyle sklepu, były zamknięte.

Po sprawdzeniu, że w pobliżu nie ma dziewczyny z parkingu ani policjanta, Jurij podszedł do otwartych drzwi. Zamarł na moment w bezruchu, nie wiedząc, co robić. W końcu ciekawość popchnęła go do przekroczenia progu. Musiał porozmawiać z handlarzem dywanami.

–Czy ktoś tutaj wzywał taksówkę? – zawołał cicho Jurij. Jego głos był słaby i niepewny.

Zza biurka zastawionego kserokopiarką i faksem wychynęła nagle postać ściskająca w rękę garść papierów. Jurij był zaszokowany, widząc, że mężczyzna nosi chirurgiczną maskę, kaptur i pelerynę. Widok był tak nieoczekiwany, że Jurij cofnął się z powrotem za próg.

–Stój! – krzyknął Jack. Cisnął trzymane w rękę papiery na biurko i pognął za taksówkarzem. Dogonił go na chodniku.

–Czy pan wezwał taksówkę, panie Papparis? – spytał Jurij. Spojrzął na swoje zaparkowane auto. Chciał jak najszybciej wynosić się do wszystkich diabłów.

–Nie jestem Jasonem Papparisem – wyjaśnił Jack. Ściągnął lateksowe rękawiczki i szarpał

się, chcąc wydobyć swoją odznakę lekarza sądowego. Pokazał ją Jurijowi, który znowu dał krok do tyłu. Wziął ją za odznakę policyjną.

–Nazywam się Jack Stapleton, jestem patologiem sądowym. – Schował portfel do kieszeni, po czym odwiązał maskę. – Czy pan dobrze znał pana Papparisa? Czy często pan go woził?

–Jestem tylko zwykłym taksówkarzem – powiedział nieśmiało Jurij. Nie był całkiem pewien, kto to jest patolog sądowy, ale człowiek z oficjalną odznaką z pewnością pracował dla rządu.

–Czy dobrze pan znał pana Papparisa? – powtórzył pytanie Jack.

–W ogóle go nie znałem – odparł Jurij. – Nigdy nie był moim klientem.

–Skąd pan znał jego nazwisko?

–Właśnie dostałem wezwanie, że mam go odebrać.

–Interesujące – stwierdził Jack.

Jurij poczuł się bardzo niewyraźnie. Nie lubił mieć do czynienia z urzędnikami państwowymi. Ponadto stojący przed nim człowiek wydawał mu się dziwnie znajomy, co jeszcze bardziej wzmagало niepokój. Na domiar złego, tamten przyglądał mu się z jawną ciekawością, a nawet podejrziwością.

–Jest pan pewien, że został pan wezwany przez pana Papparisa na Walker Street? – ciągnął Jack. – Pana Papparisa z Korynckiego Przedsiębiorstwa Dywanowego?

–Wydaje mi się, że jakoś tak to brzmiało – potwierdził Jurij.

–Trudno mi w to uwierzyć – odrzekł Jack. – Pan Papparis zmarł w ten weekend.

–Och! – wyrwało się Jurijowi. Zakaszał nerwowo, starając się znaleźć jakieś wytłumaczenie. Nic nie przyszło mu do głowy.

–Może dzwonił w zeszłym tygodniu – podsunął Jack.

–To możliwe – zgodził się Jurij.

–Może powinniśmy zadzwonić do pańskiej firmy – zasugerował Jack. – Byłoby dobrze wiedzieć, czy pan Papparis należał do waszych stałych klientów. Otóż, widzi pan, on zmarł na rzadką chorobę zakaźną, której przyczynę chcę zbadać. Każda informacja dotycząca jego działalności w zeszłym tygodniu, na przykład to, czy odwiedził swój magazyn, może okazać się ważna. Interesują mnie również osoby, z którymi się kontaktował, zwłaszcza w piątek.

–Mogę dać panu numer telefonu do centrali – zaproponował Jurij. – Świetnie – rzekł Jack. – Proszę zaczekać, wezmę papier i ołówek.

Gdy Jack dał susa do biura, Jurij westchnął z głęboką ulgą. Przez moment wystraszył się, że popełnił niewybaczalny błąd, przyjeżdżając do biura handlarza dywanami. Teraz był przeświadczony, że nic mu nie grozi. Centrala nie ujawni żadnych informacji. Nigdy tego nie robią, a już szczególnie na temat kursów żółtych taksówek.

Jack wrócił po chwili i zapisał nazwisko i numer.

–Na jaką chorobę zmarł pan Papparis? – spytał Jurij. Był ciekaw, ile władze wiedzą lub co podejrzewają w tej sprawie.

–Choroba nazywa się wąglik – poinformował Jack.

–Słyszałem o niej coś niecoś – wyznał Jurij. – Najczęściej choruje na nią bydło.

–Brawo. Skąd pan o tym wie?

–Widziałem wąglik, kiedy byłem chłopcem – wytłumaczył Jurij. – Wychowałem się w Związku Radzieckim, w Swierdłowsku. Na podmiejskich terenach hodowlanych krowy i owce czasem się nim zarażały.

–Słyszałem o Swierdłowsku – pospieszył Jack. – I to nie dalej jak dzisiaj. Przeczytałem, że doszło tam do wycieku wąglika z tajnej fabryki broni biologicznej.

Jurij z trudem przełknął ślinę. Słowa Jacka spadły na niego jak grom z jasnego nieba, aż przed oczami stanęły mu ciemne plamy. Przecież zaledwie przed chwilą zadręczał się wspomnieniami o tamtych wydarzeniach.

–Słyszał pan coś o tym wypadku? – zapytał Jack. – Podobno było wiele zachorowań i duża liczba zgonów.

–Nie słyszałem o czymś takim – odparł Jurij. Musiał najpierw odchrząknąć.

–Nie dziwi mnie to – rzekł Jack. – Władze radzieckie zapewne nie chciały, aby ktokolwiek się o tym dowiedział. Całymi latami rozgłaszały, że chorobę wywołało zarażone mięso.

–Były jakieś przypadki zarażonego mięsa – wykrztusił Jurij.

–Wypadek, o którym mówię, miał miejsce w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. Czy mieszkał pan wtedy w Swierdłowsku?

–Chyba tak – odparł niejasno Jurij.

Zdał sobie sprawę, że drży. Przy pierwszej sposobności przerwał rozmowę i spieszonym

krokiem wrócił do taksówki. Zapuszczając silnik, spojrzął za siebie. Jack wkładał z powrotem maskę i rękawiczki. Dobrze, że nie usiłował spisać jego numeru rejestracyjnego.

Jurij wrzucił jedynekę i odjechał. Jego euforia okazała się krótkotrwała. W tej chwili ponownie ogarniała go panika. Co prawda śmierć Jasona Papparisa potwierdziła skuteczność wyprodukowanego przezeń wąglika, jednak Jurij obawiał się, że urzędnik, który łączył wąglik z użyciem broni biologicznej, prowadzi w tej sprawie dochodzenie. Jurij dołożył wszelkich starań, by zainfekować taką osobę, która mogła zapaść na chorobę zawodową. Miało to wykluczyć możliwość śledztwa.

Mimo niepokoju Jurij zgasił światelko z napisem „zajęty” Godziny szczytu przynosiły taksówkarzom najlepsze dochody, pod warunkiem, że ruchu nie paraliżowały korki. Jurij potrzebował pieniędzy; musiał pracować. Niemal natychmiast trafił mu się klient.

Przez kolejną godzinę kursował w tę i we w tę po Manhattanie i przez miasto.

Klienci nie zawracali mu specjalnie głowy, za to ruch uliczny robił to z nawiązką. Zaabsorbowany i zdenerwowany Jurij czuł, że jego cierpliwość jest na wyczerpaniu.

Parę razy omal nie doszło do wypadku, zwłaszcza na Trzeciej Avenue i przy Pięćdziesiątej Piątej Ulicy. Jurij postanowił dać za wygraną. Kiedy klient wysiadł, Jurij skończył pracę. Włączył napis „zajęty” i pojechał w stronę domu na Brighton Beach. Dopiero co minęła siedemnasta – był to jego najkrótszy dzień w pracy od sześciu miesięcy, kiedy nabawił się grypy. Ale Jurij miał to gdzieś. Potrzebował jedynie łyka wódki, a jego butelka była niestety pusta.

Podczas trwającego wieki przejazdu przez Brooklyn Bridge, na którym panował gęsty zator, Jurij zdręczał się obawami związanymi ze spotkaniem z Jackiem Stapletonem. Nie potrafił zrozumieć, o co chodzi temu człowiekowi. Szczególnie martwił się, że Jack może natknąć się na jakieś pozostałości po liście z Zakładów Czyszczenia ACME, a może i na sam list. Jurij nie miał pojęcia, co się z nim stało. Zakładał, że list, wzorem reklamowych śmieci, wyląduje w koszu. Teraz jednak, gdy na scenie zjawił się Jack, Jurij nie był już tego taki pewien.

Zatrzymał się w sklepie monopolowym w pobliżu Prospect Parku i kupił ćwiartkę wódki. Później na Ocean Parkway, trzymając butelkę schowaną w brązowej torbie, wypił parę łyków, czekając na zmianę światel. Dopiero to ukoilo jego skołatane nerwy.

Kiedy wjechał do Brighton Beach, gdzie wszystkie napisy były wykonane cyrylicą, jego podniecenie jeszcze opadło. Znajome litery niosły poczucie nostalgii. Jurij miał wrażenie, że znalazł się znowu w ojczyźnie. Wraz ze spokojem wróciła mu zdolność logicznego rozumowania. Pomyślał, że może byłoby rozsądne przyspieszyć rozpoczęcie operacji „Rosomak”.

Skinął głową, skręcając w swoją uliczkę. Nie ulegało wątpliwości, że to zapewniłoby akcji

większe bezpieczeństwo. Jurij nie lękał się, że zostanie odkryty. Nie chciał tylko, by ktokolwiek powziął podejrzenia co do jego planów. Broń biologiczna jest o wiele skuteczniejsza, jeśli użyje się jej bez żadnego ostrzeżenia. Jednakże w tej sytuacji należało uwzględnić co najmniej dwa problemy.

Po pierwsze, Jurij nie przetestował jeszcze jadu kielbasianego, choć był pewny, że jest bardziej toksyczny niż sproszkowany węglik. Drugą przeszkodą była produkcja. Chciał mieć co najmniej cztery lub pięć funtów węglika i około ćwierci funta skryzalizowanego jadu kielbasianego. Było mu wszystko jedno, którego ze środków użyje w Central Parku, a którym posłuży się Curt w Budynku Federalnym Jacoba Javitz, gdyż miał absolutną pewność, że obydwa są równie efektywne. Wyprodukowanie węglika nie nastroczało większych kłopotów – Jurij miał już prawie potrzebną ilość – tego samego nie można było wszakże powiedzieć o jadzie kielbasianym. Kultury *Clostridium botulinum* okazały się kłopotliwe. Nie rosły tak szybko, jak Jurij miał nadzieję czy też się spodziewał, że będą rosły.

W pobliżu domu zdjął nogę z gazu. Znajdował się w mrowiu małych budyneczków, które pobudowano w latach dwudziestych jako domki letnie. Wszystkie miały drewniane szkielety i niewielkie podwórka z miniaturowymi trawnikami. Dom Jurija należał do największych i wyróżniał się wolno stojącym garażem na dwa samochody. Jurij wynajmował go od mężczyzny, który wyprowadził się na Florydę, lecz nie chciał rezygnować z bazy w Brooklynie.

Drzwi garażowe skrzypnęły głośno, gdy Jurij przesunął je do góry. Wnętrze świeciło pustkami, w przeciwieństwie do innych tutejszych garaży, które były zawałone wszystkim z wyjątkiem samochodów. Podłoga garażu Jurija była pokryta plamami.

W nieruchomym powietrzu unosił się zapach spalin benzyny i ropy. Pod ścianą stała skromna kolekcja domowych narzędzi, łącznie ze starą kosiarką do trawy. Taczka, kilka pustaków i niepotrzebne graty zastawiały drugą ścianę.

Wprowadziwszy auto do garażu, Jurij, zaopatrzony w pustą piersiówkę i ćwiartkę wódki, wszedł do domu. Spróbował kluczem otworzyć tylne drzwi, ale ku jego zdumieniu nie były zamknięte. Otworzył je na oścież i rzucił podejrzliwe spojrzenie do środka.

Już kiedyś go obrabowano. Stało się to parę miesięcy po tym, jak się tutaj wprowadził. Kiedy wrócił o dziewiątej wieczorem do domu, w środku czekało go istne pobojuwisko. Najwidoczniej włamywacze, nie znalazłszy niczego, co by przedstawiało jakąkolwiek wartość, dali upust swej frustracji na jego skromnych meblach.

Jurij przystanął i nasłuchiwał; z pokoju Connie doszły go dźwięki włączonego telewizora. W tej samej chwili spostrzegł torebkę żony leżącą na środku plastikowego kuchennego stołu tuż obok zdradzieckich pudełek po jedzeniu na wynos z okolicznego baru szybkiej obsługi.

Jurij ożenił się przed czterema laty. Swoją przyszłą żonę, Connie, poznał wkrótce po zatrudnieniu się w przedsiębiorstwie taksówkowym, zanim jeszcze dorobił się własnego auta. W tamtym czasie żył na skraju rozpaczy. Kończyła mu się wiza.

Wydawało się, że jedynym rozwiązaniem jest małżeństwo z obywatelką amerykańską.

Connie była dwudziestoparoletnią Murzynką, która wyglądała na znudzoną życiem, toteż chętnie wdała się w flirt z nieopierzonym imigrantem z Rosji. Wychodziła ze skóry, aby być dla niego miłą, a ponieważ pracowała jako dyspozytorka, dawała mu najlepsze kursy.

Z początku Connie pociągała Jurija niezależnie od tego, że musiał zdobyć zieloną kartę. W młodości w Związku Radzieckim uwielbiał muzykę jazzową, która kojarzyła mu się z amerykańskimi Murzynami. Znajomość z czarną kobietą była ekscytująca. Ponieważ wychował się w Swierdłowsku, nigdy przedtem nie spotkał Murzynów, tylko czasem oglądał ich w telewizji, zwłaszcza podczas zawodów sportowych. Jurij był zachwycony.

Zaloty Connie powitał z tym większą radością, że doskwierała mu samotność.

Mieszkająca w Brighton Beach – dokąd Poradzono mu się przeprowadzić – społeczność żydowska, głównie rosyjskiego pochodzenia, kompletnie go ignorowała, Connie i Jurij zaczęli ze sobą chodzić, często wpadali do jazzowych klubów zarówno na Manhattanie, gdzie Connie mieszkała, jak i w Brooklynie, nieopodal kawalerki Jurija. W tamtym okresie Jurij poznał, czym jest rasizm, którego początkowo za nic nie mógł zrozumieć; sądził, że Murzynki cieszą się w Stanach Zjednoczonych wielkim szacunkiem za swój kulturowy wkład. Słowo „czarnuch” usłyszał po raz pierwszy, gdy zaczepiono go na ulicy, kiedy szedł z Connie. Z takim samym zdziwieniem przyjął też wieść, że rodzina Connie, a szczególnie jej brat Flash i jego przyjaciele, mają o nim dość niskie mniemanie. Nazywali go „białasem”, co – jak się dowiedział – było równie rasistowskim określeniem, jak „czarnuch”.

Małżeństwo, przynajmniej na początku, rozwiązało problem zielonej karty i samotności. Niestety, Jurij przekonał się wkrótce, że Connie nie zamierza być taką żoną, do jakiej przywykł, wychowany w rosyjskiej tradycji. Nie obchodziły jej domowe obowiązki, co wieczór chciała wychodzić do restauracji, tak jak to robili przez krótki okres narzeczeństwa. Jurij zdał sobie sprawę, że nie uda mu się sprzedać swojej wiedzy w dziedzinie mikrobiologii bez kosztownego przeszkolenia i że będzie musiał nadal jeździć taksówką. Wtedy też przestał tolerować styl życia Connie. Gdyby nie obawa, że utraci zieloną kartę, wyrzuciłby ją z domu.

Także Connie ostygła w swoim zapale. Początkowo widziała w Juriju romantycznego bohatera, który przybył z odległej krainy, aby wybawić ją od nudnego życia.

Ale wkrótce po ślubie Jurij nie chciał ruszyć palcem, tylko jeździł swoją taksówką i popijał wódkę przed telewizorem. Potem nastąpiła przemoc. Connie nigdy dotąd nie została pobita. Gdyby miała dokąd pójść, wyprowadziłaby się już po pierwszym zajściu. Kłopot polegał na

tym, że wychodząc wbrew woli rodziny za Jurija, spaliła za sobą wszystkie mosty. Duma nie pozwalała jej do nich wrócić.

Jej metodą radzenia sobie z nieszczęściami stało się obżarstwo. Connie znalazła pociechę w lodach, frytkach, Big Macach – i zaczęła coraz częściej jej poszukiwać.

Jedzenie i brak ruchu spowodowały, że Connie w niedługim czasie rozděła się jak balon. Im więcej Jurij pił, tym więcej ona jadła.

W miarę jak każde z nich brnęło w złe nawyki, wzajemna wrogość narastała.

Choć Jurij i Connie mieszkali pod jednym dachem, zupełnie się ignorowali, wystarczyło, że zbliżyli się do siebie, a następowała eksplozja. Ich kłótnie zaczynały się od niewybrednych wyzwisk, lecz nieodmiennie przeradzały się w akty gwałtu, a ilekroć tak się działo, Connie wychodziła z nich bardziej poszkodowana.

Wszystko zmieniło się, gdy Jurij zaprzyjaźnił się z Curtem Rogersem i Steve'em Hendersonem. Nie powiedział Connie o swoich nowych kolegach, ale wskutek tej znajomości długi czas spędzał poza domem. Curt i Steve nie pokazywali się w Brighton Beach. Żeby się z nimi spotkać, Jurij podróżował zawsze do Bensonhurst. Connie był przekonana, że znalazł sobie kochankę, które to przeświadczenie doprowadziło do kilku ostrych bójek na pięści.

Później, ni stąd, ni zowąd, Jurij zaczął się zamykać wieczorami w piwnicy. Najpierw zabrał się do majsterkowania; stukot młotka i wizg piły doprowadzały Connie do obłędu. Kiedy go zapytała, co robi, odparł, że to nie jej interes. Potem zaczął znosić do domu wielkie wentylatory i inne urządzenia. Connie zauważyła kiedyś, jak biali skinheadzi wtaczają ogromne bębny z nierdzewnej stali. Connie bała się takich ludzi, toteż schowała się, aby jej nie zobaczyli.

Mimo że nieraz domagała się wyjaśnień, co się dzieje w piwnicy jej domu, Jurij ucinął wszelkie dyskusje. Nabrała podejrzeń, że Jurij buduje gorzelnię, żeby pędzić wódkę. Gdy zasugerowała mu to pewnego wieczoru, w odpowiedzi skoczył ku niej i chwycił ją za gardło.

–Zgadza się, robię bimber! – warknął. – Tylko piśnij komuś słowo, a cię zabiję.

Przysięgam! Jeśli będziesz tam grzebać, zleję cię na kwaśne jabłko. Wara od mojej piwnicy!

Connie usiłowała mu się wyrwać, odpychała jego ręce, ale na próżno. Zazwyczaj, ilekroć się wściekał, dawał jej parę razy w twarz, i tyle. Teraz jednak było inaczej. Jego czarne oczy świdrowały ją na wskroś, jakby postradał rozum.

Przerażona Connie zaczęła tracić przytomność, purpurowa twarz Jurija rozmazała się, kolana ugięły się pod nią. Dopiero wtedy mąż ją puścił. Connie zatoczyła się, łapiąc

równowagę, i rozkaszała się przez ściśnięte gardło. Zapłakana wybiegła z pokoju i rzuciła się na swoje łóżko. Od tamtej pory przestała się dopytywać o piwnicę.

Cokolwiek się tam działo, nie warto było ryzykować dla tego własnego życia.

Jurij był zły, że Connie jest w domu. W poniedziałki wieczorem powinna pracować do dwudziestej pierwszej. Jej nieoczekiwana obecność z nową siłą obudziła w nim stres, który tego dnia rozkołysał go taką huśtawką nastrojów. Drżącą ręką Jurij nalał sobie do szklanki zimnej wódki z lodówki.

Oparł się o blat stołu, upił trochę lodowatego płynu i gapił się na zatłuszczone resztki jedzenia na wynos. W oddali rozległ się „zapuszkowany” śmiech z telewizyjnego sitcomu. Jurij pociągnął kolejny łyk w nadziei, że ugasi kipiącą w nim złość.

Przełykając wódkę, spojrzął na drzwi prowadzące do piwnicy. Był zdziwiony, że są nie domknięte.

–Co za diabeł? – mruknął. Zwykle przeklinał po rosyjsku, ale dzięki przyjaźni z Curtem i Steve'em nauczył się tej sztuki również po angielsku.

Z rosnącą konsternacją i lękiem odstawił drinka i podszedł do drzwi. Był pewny, że rano, zanim wyruszył z domu, zamknął je na klucz. W piwnicy pracował regularnie, co najmniej godzinę przed południem i godzinę wieczorem, pilnując, aby jego minifabryka broni biologicznej pracowała na pełnych obrotach. Spędzał tam wolne środy. Kiedy większość sąsiadów była w pracy, on uruchamiał młyn pyłowy własnej konstrukcji. Podobnie jak młyn w Swierdłowsku, urządzenie strasznie hałasowało, choć było nieporównywalnie niniejsze od tamtego.

Drzwi skrzypnęły, gdy Jurij otworzył je szerzej. Pstryknął światło i ruszył w dół schodów. Nagle stanął jak wryty, ujrawszy ciężkie metalowo-drewniane drzwi, które sam wykonał. Ktoś wyłamał sztabę przy kłódce.

Jurij zbiegł po stopniach niepewnym krokiem. Od nagłej furii aż pociemniało mu w oczach. Zaczął dyszeć, wydmuchując powietrze przez zaciśnięte zęby. Laboratorium i obietnica zemsty, którą ono dawało – stanowiły centralny punkt jego życia.

Ich zniszczenie to było coś, co przerażało go najbardziej.

Za metalowymi drzwiami znajdowała się komora wejściowa zaopatrzona w prysznic i plastikowe butle ze środkiem odkażającym. Na drewnianym kółeczku wisiał kombinezon do pracy w niebezpiecznych warunkach, który Curt zdołał wynieść z remizy. Maską na twarz łączyła się ze stalową butlą wypełnioną sprężonym powietrzem. Ilekroć Jurij wchodził do laboratorium, miał na sobie ten skafander i butlę na plecach, przez co wyglądał jak pławonurek.

Wstępu do komory wejściowej broniło dwoje innych drzwi, skonstruowanych podobnie jak te przy wejściu. Były one zamykane na kłódki – teraz wyłamane. Jurij szarpnął za drzwi po lewej ręce; za nimi mieścił się jego magazyn; dwie jego ściany stanowiły betonowe ściany nośne budynku. Trzecią ścianę – od podłogi po sufit – zajmował rząd półek, na których trzymał płytki Petriego, zapasowe filtry, agar-agar i słoje ze składnikami pokarmowymi. Mimo wyłamanej kłódki wszystko stało na swoim miejscu.

Przygotowując się na najgorsze, Jurij podszedł do drzwi wiodących do właściwego laboratorium. Zapalił wewnętrzne światła, a potem lekko uchylił drzwi. Strumień powietrza powiedział mu, że główne wentylatory są jak zawsze włączone. Powiew zmierzwił mu włosy i ochłodził policzki. Na wszelki wypadek Jurij wstrzymał oddech.

Na wprost niego, pod tylną ścianą, stały lśniąca kadzie. Po prawej stronie leżał prowizoryczny kaptur. Działał jako inkubator na bazie lampy grzewczej i termostatu, a także jako miejsce przechowywania bojowych form wąglika i toksyny botulinowej, które Jurij zdążył już wyprodukować.

Stół laboratoryjny stał po lewej ręce. Były na nim szklane naczynia, których Jurij używał do krystalizowania jadu kiełbasianego. Za stołem znajdowały się młyn i suszarka do zarodników.

Serce gwałtownie bijące w piersi Jurija zaczęło zwalniać. Laboratorium wyglądało normalnie, nie było widać, żeby coś zniknęło, odkąd Jurij opuścił je rankiem.

Nawet naczynia na stole stały dokładnie w tym samym miejscu. Westchnąwszy z ulgą, Jurij przymknął za sobą drzwi. Dał się słyszeć świst powietrza, nim drzwi zetknęły się z taśmą uszczelniającą.

Spojrzał na wyrwaną sztabę. Niepokój wprowadził go nieco w stan, ale nie złość. I wtedy jego oko wypatrzyło coś na podłodze. Nieopodal jego stopy leżała porzucona beztrosko frytka, obok której widniała rozmazana plama ketchupu. Connie!

Gdzieś z góry, przez sufit, wsączył się zduszony śmiech. Jurija owładnęła dzika furia. Miotając przekleństwa, wybiegł z piwnicy i pokonał schody, skacząc po dwa stopnie naraz. Dopadł uchylonych drzwi sypialni i rąbnął je otwartą dłonią, aż otworzyły się na oścież.

Connie oderwała wzrok od telewizora, w którym leciała jakaś komedia. Leżała podparta na swoim łóżku.

–Po co lazałaś na dół?! – ryknął Jurij.

–Chciałam zobaczyć, co się dzieje w mojej piwnicy – odparła Connie. – Mam do tego prawo, biorąc pod uwagę, jak długo tam ślęczysz.

–Dotykałaś czegoś? – zapytał twardym głosem Jurij.

–Nie, niczego nie dotykałam! Ale coś ci powiem: tu nie chodzi o bimber, cały ten kram wygląda, jakby go zabrano ze szpitala.

–Już ja cię nauczę moresu! – zawołał Jurij i rzucił się na żonę.

Connie wrzasnęła i przetoczyła się na bok. Łóżko nie wytrzymało i rozpadło się pod ich ciężarem.

Rozdział 6 18 października, poniedziałek, 18.15 Curt jechał swoim pick-upem marki Dodge Ram, obok niego na siedzeniu pasażera tkwił Steve. Zjechali z Ocean Parkway na Oceanview Avenue i teraz szukali Oceanview Lane.

–O Boże! – westchnął Steve, lustrując okolicę. – Całe życie mieszkam w Brooklynie, ale nigdy nie widziałem tego skupiska domków. Widok całkiem jak w Karolinie Południowej.

–Dziwne, że jeszcze ich nie wyburzyli i nie postawili tu bloków – zauważył Curt. – Wypatruj Oceanview Lane. To jeden z tych małych zaułków.

–Jest tam. – Steve pokazał na mały odręcznie namalowany napis przyczepiony do słupa telefonicznego.

Curt skręcił w wąski zaułek i znacznie zwolnił. Ulica była upstrzona kubłami na śmieci i opadłymi liśćmi.

Obaj strażacy wciąż mieli na sobie mundury. Pojechali do Brighton Beach o siedemnastej, tuż po pracy. Podróż zajęła im trochę ponad godzinę. Niebo zaciągnęło się chmurami, więc zmierzch zapadł szybko i mroczny zaułek rozświetlały jedynie przednie światła samochodu Curta. Na ulicy nie było latarni.

–Widzisz numery domów? – spytał Curt.

Steve roześmiał się.

–To same ruiny. Nie widzę żadnych oznaczeń.

–Jest trzynastka – stwierdził Curt. Wskazał kubel na śmieci, na którym wymalowano adres. – Następna powinna być Piętnastka.

Curt podjechał do zamkniętych drzwi garażu. Zgasił silnik i obaj mężczyźni wysiedli z półciężarówki. Przez chwilę wpatrywali się w dom. Wciśnięty między sąsiednie budynki, był nieco sfatygowany i bezwzględnie wymagał malowania.

–Wydaje się odrobinę niestabilny – stwierdził Steve. – Jak ktoś by go popchnął, zawaliłby się jak domek z kart.

–Wyobrażasz sobie, jak łatwo poszedłby z dymem? – odrzekł Curt.

Steve obrócił się i spojrzął na przyjaciela.

–Czyżbyś coś sugerował?

Curt wzruszył ramionami.

–Nigdy nic nie wiadomo. Chodź, złożymy naszemu rosyjskiemu koleżce wizytę.

Otworzyli furtkę w metalowym płocie, który biegł wzdłuż frontu domu. Ruszyli popękany betonowym podejściem ledwo widocznym przez warstwę zeschniętych liści.

Malutki skrawek trawnika porastały chwasty.

Curt rozejrzał się za dzwonkiem, ale nie znalazł go. Otworzył podartą siatkę na drzwiach i już miał zapukać, gdy nagle z wnętrza dobiegł głuchy łomot. Strażacy popatrzyli na siebie zdziwieni.

–Co to było, do diabła? – zapytał Steve.

–Skąd mam wiedzieć? – odparł Curt. Miał zamiar znów zapukać, lecz huk powtórzył się. Tym razem towarzyszył mu odgłos tłuczonego szkła. Mężczyźni usłyszeli też Jurija przeklinającego głośno po rosyjsku.

–Wygląda na to, że nasz znajomy komuszek demoluje dom – odezwał się Steve.

–Lepiej, żeby nie tykał przy tym laboratorium – stwierdził Curt. Zastukał mocno do drzwi. Chciał mieć pewność, że Jurij go usłyszy.

Odczekali kilka minut w głuchej ciszy, po czym Curt zapukał ponownie. Tym razem rozległy się czyjeś kroki i szarpnięte drzwi otworzyły się z impetem.

–Masz towarzystwo – powiedział Curt. Próbował ominąć wzrokiem Jurija, aby ocenić rozmiar szkód.

Na twarzy Jurija najpierw malowała się złość, która stopniowo przechodziła w zdumienie i nie skrywaną radość, gdy tylko rozpoznał swoich przyjaciół. Mimo że nadal miał na policzkach rumieńce, uśmiechnął się od ucha do ucha.

–Cześć, chłopcy! – zawołał ochrypniętym głosem.

–Przejeżdżaliśmy w pobliżu – wyjaśnił Curt. – Postanowiliśmy wpaść i zobaczyć, co u ciebie.

–Cieszę się, żeście przyjechali – odparł Jurij.

–Słyszeliśmy, że pytałeś o nas w remizie – rzekł Steve.

Jurij przytaknął z entuzjazmem.

–Szukałem was, chłopcy, żeby...

–Słyszeliśmy – wpadł mu w słowo Curt.

–Miałeś się nie pokazywać w remizie – dodał Steve.

–Dlaczego?

–Jeśli trzeba ci to tłumaczyć, to znaczy, że jesteś dla nas ciężarem – stwierdził Steve.

–W operacji, którą planujemy, bezpieczeństwo to podstawowy wymóg – wyjaśnił Curt. – Im mniej ludzi kojarzy nas ze sobą, tym jesteśmy bezpieczniejsi, zwłaszcza że ty jesteś obcokrajowcem. Mamy niewielu przyjaciół mówiących z rosyjskim akcentem. Jak zaczniesz o nas rozpytywać, nasi koledzy zaczną coś podejrzewać.

–Przepraszam – powiedział Jurij. – Nie sądziłem, że to może być jakiś problem.

Przecież sami wspomnieliście, że wielu waszych kolegów myśli tak samo jak wy, chłopcy.

–Są wśród nas patrioci – potwierdził Curt. – Ale nikt nie dorównuje nam siłą patriotyzmu. Może rzeczywiście nie wyraziliśmy się dość jasno. W każdym razie teraz wiesz, że nigdy więcej nie masz się pokazywać w remizie.

–Okay – przyrzekł Jurij. – Więcej się tam nie pokażę.

–Nie zaprosisz nas do środka? – zapytał Curt.

Jurij zerknął przez ramię w stronę sypialni Connie. Drzwi były uchylone.

–A, jasne, wchodźcie. – Odstąpił od wejścia i wykonał gest zapraszający.

Zamknąwszy drzwi, zaprowadził swoich gości do pokoju dziennego, gdzie stała niska, wytarta kanapa i dwa proste drewniane krzesła. Zabrał stertę gazet z sofy i położył ją na Podłodze.

Curt usiadł na kanapie, a Steve usadowił swój umięśniony korpus na jednym z krzeseł.

–Czy mogę wam, chłopcy, zaproponować mrożoną wódkę? – zapytał Jurij.

–Ja wolę piwo – odparł Curt.

–Ja też.

–Niestety – rzekł Jurij. – Mam tylko wódkę.

Steve przewrócił oczami.

–Niech będzie wódka – zgodził się Curt.

Gdy Jurij poszedł do lodówki, aby zrobić drinki, Steve wychylił się na krzesło i oznajmił:

–Teraz wiesz, czemu się niepokoję. Ten facet to półgłówek. W ogóle nie skumał, że nie wolno mu się zjawiać w remizie. Nawet mu to do łba nie przyszło.

–Spokojnie – odparł Curt. – On nie ma za sobą szkolenia wojskowego. Mając do czynienia z amatorem, powinniśmy być bardziej jednoznaczni. Musimy wziąć na niego poprawkę. Poza tym nie zapominajmy, że wyświadcza nam niemałą przysługę, zaopatrując nas w broń biologiczną.

–Jeżeli nie nawali – skontrował Steve.

Przez otwarte drzwi do sypialni Connie wpadł szum spuszczonej w toalecie wody. Curt nastroszył brwi.

–Czy ja słyszałem wodę w łazience? – zapytał.

–Ja też słyszałem – potwierdził Steve. – Nie jestem tylko pewny skąd. Te domy stoją tak cholernie blisko siebie, że mogło to być u sąsiada.

Jurij wrócił do pokoju gościnnego, niosąc trzy kubki wypełnione do połowy mrożoną wódką.

–Mam dla was, chłopcy, dobrą wiadomość – oświadczył, stawiając je na stoliku do kawy.

–Przed chwilą usłyszeliśmy wodę w toalecie – stwierdził Curt. Wziął swojego drinka. – Wydawało nam się, że dźwięk pochodzi z tego domu.

–Bardzo możliwe – potwierdził Jurij i z odrazą wzruszył ramionami. – W pokoju obok jest moja żona, Connie.

Curt i Steve wymienili zląknione spojrzenia.

–Przyjechałem do remizy, dlatego że...

–Wolnego! – przerwał mu Curt. – Nie mówiłeś nam, że masz żonę.

–Po co miałbym o tym mówić? – zdziwił się Jurij. Spoglądał to na Steve'a, to na Curta. Widział, że zaniepokoiło ich to tak samo, jak jego wizyta w remizie.

–Nam powiedziałaś co innego – zauważył rozdrażnionym tonem Curt. – Że żyjesz sam i że nie masz żadnych przyjaciół.

–Prawda – przyznał Jurij. – Jestem sam, nie mam przyjaciół.

–Ale w tamtym pokoju siedzi twoja żona – stwierdził Curt. Spojrzał na Steve’a, który wbił wzrok w sufit na znak, że chyba się przesłyszał.

–W angielskim jest takie powiedzenie o mijających się nocą statkach – wyjaśnił Jurij. – My, Rosjanie, mamy to samo wyrażenie w naszym języku. Ja i Connie jesteśmy jak dwa statki w nocy. Nie rozmawiamy ze sobą. Do czorta, prawie w ogóle się nie widzimy.

Curt oparł łokcie na kolanach i pomasaował sobie skronie. Nie mógł uwierzyć, że dowiaduje się o tym wszystkim tak późno, po tylu przygotowaniach. Czuł, że za moment rozboli go głowa.

–Myślisz, że twoja słyszy to, co tutaj mówimy? – Steve zwrócił się do Jurija.

–Wątpię. Poza tym ma w nosie, o czym gadamy. Ona potrafi tylko jeść i oglądać telewizję.

–Nie słyszę telewizora – powiedział Steve.

–Zgadza się – przytaknął Jurij. – To dlatego, że przed chwilą go rozwalilem.

Doprowadzał mnie do obłądu. Te sztuczne wybuchy śmiechu, które mają dawać do zrozumienia, że życie w Stanach jest nie wiadomo jak zabawne i cudowne.

–Może byś tak przynajmniej zamknął drzwi – wycedził Curt przez zaciśnięte zęby.

–Okay, nie ma sprawy – odparł Jurij i ruszył do drzwi.

–No więc chyba już pojmujesz, o co mi chodziło – wyszeptał Steve. – Zaraz ci mówiłem: ten facet jest szurnięty!

–Zamknij się – odszczeknął Curt.

Jurij wrócił na swoje krzesło i popił wódki ze swego kubka.

–Czy twoja żona wie, w jakim charakterze pracowałeś w Związku Radzieckim? – zapytał Curt ściszone głosem. Bał się usłyszeć odpowiedź i zachnął się, kiedy Jurij potwierdził.

–A co z twoim laboratorium? – odezwał się Steve. – Czy ona wie o tym laboratorium, które rzekomo wybudowałeś w piwnicy?

–Co rozumiesz przez „rzekomo?” – spytał Jurij. Podejrzenia Steve’a uraziły go.

–To, że nigdy go nie widzieliśmy – odrzekł Steve. – Na razie nic nam nie pokazałeś, choć my nie szczędziliśmy wysiłków, aby skombinować materiały, które podobno były ci potrzebne.

–Mogliście zobaczyć moje laboratorium w każdej chwili – obruszył się Jurij.

–W porządku, uspokój się – powiedział Curt. – Nie kłóćmy się. Ale może powinniśmy rzucić na nie okiem, ot tak, żeby mieć pewność. Wszyscy sporo kładziemy na szali w tej operacji.

–Nie mam nic przeciwko temu – zapewnił Jurij. Podniósł się, odstawił kubek i ruszył przodem w kierunku drzwi do piwnicy.

Pomaszerowali gęsiego. Jurij otworzył zewnętrzne drzwi, ciągnąc za wyłamana sztabę.

–Co się stało z zamkiem? – spytał Curt.

–Moja żona wyważyła go po południu – przyznał Jurij. – Zabroniłem jej tu przychodzić, i nie przychodziła... aż do dzisiejszego dnia. Przychodziła tu parę godzin temu i włamała się za pomocą łomu. Ale niczego nie dotykała. Jestem tego pewien.

–Czemu właśnie dzisiaj? – spytał Curt, usiłując panować nad sobą. Z każdą chwilą coraz mniej mu się to podobało.

–Powiedziała, że zrobiła się ciekawa – odparł Jurij. – Ale nie bardzo mnie to przekonuje i właśnie oznajmiłem jej, że ją zabiję, jak zejdzie tutaj i będzie grzebać przy sprzęcie.

–Może to właśnie trzeba będzie zrobić – stwierdził Curt.

–Chcesz powiedzieć, że będziemy musieli ją zabić? – spytał Jurij.

Przez moment nikt się nie odzywał. Wreszcie Curt skinął wolno głową.

–To całkiem możliwe. Jak już mówiłem, ta operacja ma dla nas wyjątkowe znaczenie. Być może już nigdy w życiu nie dokonamy niczego równie ważnego. Aby uzmysłwić ci, że nie żartuję, powiem tylko, że w ostatni weekend doniesiono mi, iż do szeregów Ludowej Armii Aryjskiej przeniknął szpieg. Nazywał się Braci Cassidy.

Aktualnie Brada nie ma już wśród nas, a jego ciało wykazuje brak kilku ulubionych członków.

–Twoja żona stanowi kolosalne zagrożenie – podjął Steve. – Czy ona wie, co tutaj robisz?

–Do dzisiaj myślała, że pędzę samogon – poinformował Jurij.

–Czyli teraz już wie, że to nie samogon – wywnioskował Curt.

–Tak jest – wyznał Jurij.

–Wielka szkoda – ciągnął Curt. – Skoro wie, że brałeś udział w produkcji radzieckiej broni biologicznej, nietrudno jej będzie dojść do właściwych wniosków.

–Chodźmy obejrzeć laboratorium – zaproponował Steve.

Jurij wszedł do komory wejściowej, Curt i Steve deptali mu po piętach.

–Czy używasz tego kombinezonu do pracy z niebezpiecznymi materiałami, który ci daliśmy?
– zapytał Curt. Wskazał głową w stronę wiszącej na kółeczku odzieży ochronnej.

–Naturalnie – rzekł Jurij. – Bez kombinezonu nie wchodzę do laboratorium. Nie chcę ryzykować. Kiedy otworzę te wewnętrzne drzwi, nie wchodźcie do środka! Radzę wam także na wszelki wypadek wstrzymać oddech. Zaraz poczujecie powiew powietrza wpadający do wnętrza.

Zarówno Curt, jak i Steve skinęli głowami. Znalazłszy się tak blisko laboratorium, obaj zastanawiali się, czy rzeczywiście muszą tam zaglądać. Na samą myśl, że znajdą się w obliczu niewidocznego, śmiertelnego środka biologicznego, dostali gęsiej skórki. To, co ujrzeli dotychczas, przekonało ich, że Jurij realizuje swoją część planu zgodnie z obietnicą. Zanim jednak któryś z nich zdążył się odezwać, Jurij uchylił wewnętrzne drzwi i odsunął się na bok. Dwaj strażacy nieśmiało pochylili się naprzód i zerknęli na kadzie i inne urządzenia.

–Wygląda dobrze – powiedział Curt. Dał krok w tył i pokazał Jurijowi, żeby zamknął drzwi.

–Chcielibyście zobaczyć produkt końcowy? – zapytał Jurij.

–Myślę, że to nie będzie konieczne – rzucił prędko Curt.

–Widziałem, co trzeba – dodał Steve.

–Uważam, że powinniśmy teraz pójść na górę i porozmawiać z twoją żoną.

Ona mnie martwi. Musimy się dowiedzieć, ile wie.

Jurij zamknął drzwi.

–Wieczorem założę nowe zamki – oznajmił.

Znów pierwszy ruszył na górę. Kiedy podszedł do drzwi sypialni Connie, Curt i Steve wrócili do pokoju, ale tym razem nie usiedli. Obaj wzięli potężne łyki wódki ze swoich kubków, obserwując, jak Jurij wsuwa głowę do przyległego pokoju. Usłyszeli, że coś mówi, nie udało im się jednak rozróżnić poszczególnych słów, choć w jego głosie brzmiała złość. W końcu Jurij obrócił się do nich przodem.

–Już idzie – powiedział. – Wybiera się jak sójka za morze.

Curt i Steve popatrzyli na siebie z niesmakiem. Sytuacja pogarszała się z każdą minutą.

–Chodźże tu, kobieto! – krzyknął zniecierpliwiony Jurij.

W końcu framugę drzwi wypełniła postać Connie. Była ubrana w wielgachny różowy szlafrok ozdobiony morską zielenią. Jej stopy tkwiły w płaskich kapciach bez pięty. Lewe oko było sine i tak bardzo opuchnięte, że nie mogła go otworzyć. Z kącika ust Connie biegła strużka zakrzepłej krwi.

–Ci panowie chcą ci zadać kilka pytań – warknął Jurij, po czym popatrzył wyczekująco na Curta.

Ten musiał zarazem odchrząknąć i pozbierać myśli.

–Pani Dawidów, czy domyśla się pani, co się dzieje w piwnicy tego domu?

Czym zajmuje się pani mąż?

Connie obrzuciła obcych wyzywającym wzrokiem.

–Nie! – szczeęknęła. – I ani trochę mnie to nie obchodzi.

–Ale podejrzewa pani coś?

Connie spojrzała na Jurija.

–Odpowiadaj! – wrzasnął ten.

–Myślałam, że robi wódkę – wyznała Connie.

–Ale teraz pani już tak nie myśli? Mimo że te wielkie srebrne zbiorniki zostały wypożyczone z browaru.

–Nic o tym nie wiem – odparła Connie. – Ale te małe podstawki. No, te płaskie!

Widziałam je kiedyś w szpitalu. Trzymają w nich bakterie.

Curt ukradkiem skinął głową Steve'owi, który odwzajemnił ten gest.

–Na razie wystarczy – Curt zwrócił się do Jurija.

Jurij próbował wygonić żonę z powrotem do sypialni, ale ta twardo stała na swoim miejscu.

–Nie ruszę się stąd, dopóki nie przyniesiesz mi swojego telewizora.

Jurij zawahał się, a potem dał nura do swego pokoju. Po chwili wyłonił się stamtąd, niosąc w ręku mały telewizorek z przestarzałą anteną w kształcie króliczego ucha. Dopiero wtedy Connie zniknęła mężczyznom z oczu.

–Ja chyba śnię – wymruczał Curt.

–Bynajmniej – zapewnił go Steve. – I pomyśleć, że dziś rano, zanim weszliśmy do Budynku Federalnego, dziwiłeś się, skąd się wzięły moje obawy. Jest o wiele gorzej, niż sądziłem.

–No, przynajmniej zbudował laboratorium – stwierdził Curt. – Chociaż pod tym względem wie, co robi.

–Zgoda – przyznał Curt. – Wyposażenie laboratorium też robi większe wrażenie, niż przypuszczałem.

Curt wypuścił powietrze z frustracją. W sypialni Connie rozległ się naraz śmiech dobiegający z telewizora. Głos natychmiast ucichł, stał się prawie niedosłyszalny. Po sekundzie Jurij pojawił się ponownie. Zamknął za sobą drzwi i wszedł do pokoju dziennego. Usiadł, wypił drinka i popatrzył nieśmiało na swoich gości.

Curt nie wiedział, co powiedzieć. Najpierw dowiedział się, że Jurij jest żonaty, a potem – jakby tego było mało – odkrył, że jego żona jest czarna. Byłoby to wbrew wszystkiemu, w co Curt wierzył, a łączyły go z tym człowiekiem wspólne interesy.

Curt wychowywał się w trudnych warunkach, w białej robotniczej dzielnicy.

Jego ojciec, robotnik budowlany, znęcał się nad nim i bez przerwy wypominał mu, że nie dorasta do pięt swemu starszemu bratu, Pete'owi, który brylował jako gwiazda futbolu amerykańskiego. Curt znalazł ucieczkę w nienawiści. Stał się wyznawcą rasizmu, tak rozpowszechnionego w jego dzielnicy. Łatwo i wygodnie było obarczyć całą winą określoną grupę społeczną, zamiast uporać się z własnymi wadami. Dopiero wówczas jednak, gdy Curt wstąpił do piechoty morskiej i kiedy przeprowadził się do San Diego, jego zaściankowa bigoteria przerodziła się w nienawiść rasową; szczególną odrazę czuł do mieszanych małżeństw.

Nie zawsze tak było. Zaczęło się od pewnego przypadkowego spotkania z człowiekiem, który był niemal dwukrotnie od niego starszy. Było to w roku 1979. Curt miał dziewiętnaście lat i właśnie przeszedł podstawowe szkolenie dla rekrutów, które znacznie podniosło jego poczucie wartości. Wraz z kilkoma nowymi kolegami, wśród których było paru Murzynów, opuścił bazę, żeby odwiedzić bar w Point Loma. W knajpie tej często gościli wojskowi, a zwłaszcza nurkowie z marynarki wojennej oraz żołnierze piechoty morskiej.

Bar tonął w dymie i ciemnościach. Jedynie światło spływało z anemicznych żarówek tkwiących w staroświeckich hełmach dla płetwonurków. Muzykę najczęściej wykonywał nie znany wtedy jeszcze Curtowi zespół o nazwie Skrewdriver, a mężczyzna, który karmił grającą szafę ćwierćdolarówkami, siedział obok niej przy małym stoliku.

Curt i jego kompani wtłoczyli się do baru i zamówili piwo. Zaczęli opowiadać sobie historie, które zdarzyły im się na obozie, i śmiali się do łez. Curt był zadowolony. Po raz pierwszy w życiu miał poczucie wspólnoty z jakąś grupą. Na dodatek wybił się podczas treningu i został wybrany na dowódcę kompanii.

W końcu, zmęczony monotonną rąbanką, podryfował w stronę szafy, aby zmienić muzykę. Zdażył wypić kilka piw i czuł się błogo rozluźniony. Spojrzał na spis piosenek i wyłowił garść ćwierćdolarówek.

–Nie podoba ci się muzyka? – zapytał mężczyzna siedzący przy stoliku.

Curt opuścił wzrok na nieznanego. Był on średniej budowy ciała, miał krótko ostrzyżone włosy. W ostrych rysach twarzy uderzały wąskie usta i duże białe zęby.

Był ogolony na czysto i ubrany w koszulkę i odprasowane dżinsy. Na prawym górnym przedramieniu miał wytatuowaną małą amerykańską flagę. Ale Curta najbardziej uderzył wyraz jego oczu. Mimo panującego półmroku oczy te przeszywały spojrzeniem, które podziało na Curta niemal hipnotyzująco.

–Muzyka jest w porządku – odparł Curt i wyprostował barki. Wyglądało na to, że nieznanomy mierzy go wzrokiem.

–Powinieneś wsłuchać się w te słowa, przyjacielu – dodał mężczyzna. Pociągnął piwa z puszeki.

–Tak? I co bym usłyszał?

–Treści, które mogłyby uratować ten cholerny kraj.

Curt wykrzywił się w wymuszonym uśmiechu. Zerknął na swoich kompanów i pomyślał, że powinni posłuchać tego faceta.

–Nazywam się Tim Melcher – powiedział mężczyzna. Wysunął nogą puste krzesło spod stołu i pchnął je w stronę Curta. – Usiądź. Postawię ci piwo.

Curt spojrzał na swoją puszkę. Została w niej prawie sama piana.

–No, dalej, żołnierzu – zachęcił Tim. – Daj odsapnąć nogom i wyświadczyć sobie przysługę.

–Służę w piechocie morskiej – poprawił Curt.

–Wszystko jedno – odrzekł Tim. – Też byłem w armii. W Pierwszej Dywizji Kawalerii. Dwa razy objechałem cały Wietnam.

Curt skinął głową. Na dźwięk słowa „Wietnam” jego nogi zamieniły się w gumę. Słowo to oznaczało prawdziwą wojnę, nie zaś zabawę, której oddawali się Curt i jego koledzy. Przypomnił mu się także jego brat, Pete, gwiazda futbolu z Bensonhurt. Było osiem lat starszy od Curta i miał pecha: dostał powołanie do wojska. Zginął w Wietnamie na rok przed zakończeniem wojny.

Curt obrócił krzesło o sto osiemdziesiąt stopni, przełożył przez nie nogę i usiadł.

Odchyliwszy się na oparciu, wysuszył reszkę piwa.

–Co chcesz? – spytał Tim. – To samo?

Curt przytaknął.

–Harry! – Tim zawołał do barmana. – Podrzucić nam tu dwa budweisery.

–Jak się nazywasz, żołnierzu?

–Curt Rogers.

–Podoba mi się – wyznał Tim. – Dobrze, chrześcijańskie imię. No i pasuje do ciebie.

Curt wzruszył ramionami. Nie bardzo wiedział, co ma myśleć o tym nieznanym, który wpatrywał się weń tak intensywnie. Z kolejnym piwem w garści Curt ponownie zaczął się odprężać.

–Cieszę się, że cię spotkałem – oświadczył Tim. – A wiesz, dlaczego?

Curt pokręcił głową.

–Bo formuję grupę ludzi, do której ty i paru twoich kumpli powinniście, moim zdaniem, się przyłączyć.

–Jaką grupę? – zapytał sceptycznie Curt.

–Brygadę graniczną – wyjaśnił Tim. – Regularną brygadę graniczną. Chodzi o to, że regularny Patrol Graniczny, który ma strzec tego kraju od napływu obcych, nie wywiązuje się z tego obowiązku. A niech to, granica z Meksykiem, niecałe dziesięć mil stąd, przypomina jedno wielkie sito.

–Naprawdę? – spytał Curt. Nie bardzo zaprzętał sobie głowę granicą. Był zbyt zajęty codziennymi rygorami obozowymi.

–Tak, naprawdę – odparł Tim przedrzeźniającym głosem. – Mówię ci, sytuacja jest poważna. Jeszcze trochę, a ty i ja, i reszta naszych aryjskich braci staniemy się narodową mniejszością w tym kraju.

–Nigdy o tym nie myślałem – przyznał Curt. Po raz pierwszy usłyszał wtedy o „Aryjczykach”, lecz miał kiepskie pojęcie, co to znaczy.

–Hej, lepiej się obudź – zaapelował Tim. – To się dzieje na naszych oczach.

Lada chwila tym krajem zawładną czarnuchy, latynosi, żółtki i pedały. Od takich ludzi jak ty i ja będzie zależało, czy przetrwa nasza bogobojna, niezależna kultura, w której ludzie pracują na swoje utrzymanie, a pedały siedzą w ukryciu. Mówię ci: nie dość, że te inne rasy wsączają się do nas jak woda w gąbkę, ale jeszcze rozmnażają się jak muchy. To jest cholerny problem. Nie możemy dalej siedzieć na dupie i udawać, że wszystko w porządku. Inaczej sami będziemy sobie winni.

–W jaki sposób chcesz uzbroić brygadę graniczną? – zapytał Curt. – Jeśli ubzdurałeś sobie, że pomogą ci w tym ludzie tacy jak ja, to się mylisz. Nie wolno nam wynosić uzbrojenia poza bazę.

–Broń to nie problem – odparł Tim. – W piwnicy mam cały cholerny arsenał: automaty M1, pistolety maszynowe, snajperskie karabiny z lunetą, pistolety typu Glock. Mam nawet mundury, bo wciągnąłem około dziesięciu chłopców z marynarki wojennej. Już raz poszliśmy na patrol.

–Trafiliście na jakichś obcych? – spytał Curt. Skład broni, który opisał mu Tim, tak mu zaimponował, że jego uznanie dla nieznanego urosło do rangi podziwu.

–Ma się rozumieć – odrzekł Tim. – Przechwyciliśmy ich blisko tuzin.

–I co z nimi robicie po złapaniu? Oddajecie ich Patrolowi Granicznemu?

Tim roześmiał się z pogardą.

–Gdybyśmy ich oddali, następnej nocy wróciliby z powrotem. Pogranicznicy zakładają im bransoletki i dają im musztrę, a potem wypuszczają na wolność.

–No więc, co z nimi robicie? – powtórzył Curt, mimo że przeczuwał, jaka będzie odpowiedź.

Tim pochylił się i wyszeptał:

–Kula w łeb, a potem do piasku. – Otrzepał raptem dłonie, jakby ścierał z nich kurz. – I sprawa załatwiona, raz na zawsze. Nie damy drugiej szansy.

Curt przełknął ślinę. Nagle zaschło mu w gardle. Myśl o zabijaniu nielegalnych imigrantów ekscytowała go i przerażała zarazem.

–Mam tutaj w aktówce parę egzemplarzy czasopisma – mówił Tim. – Chętnie ci je podaruję, jeżeli rozdasz je ludziom podobnym do nas. Czy rozumiesz, jakich ludzi mam na myśli?

–No, chyba – potwierdził Curt. – Co to za czasopismo?

–To, które mam akurat dzisiaj, nazywa się „Krew i Honor” – poinformował Tim. – Są też inne, ale to jest najlepsze. Ukazuje się w Anglii, ale dotyczy spraw, o których mówimy. Zachodnia Europa boryka się z tymi samymi problemami co my.

Mam też przy sobie powieść, możesz ją przeczytać. Lubisz czytać?

–Nie, nie bardzo – przyznał Curt. – Z wyjątkiem podręczników obsługi broni i tak dalej.

–Może dzięki tej książce staniesz się miłośnikiem literatury – powiedział Tim. – Czytanie jest ważne. – Schylił się, otworzył aktówkę i wyciągnął sporych rozmiarów paperback. – Nosi tytuł Dzienniki Turnera. – Wręczył książkę Curtowi.

Curt wziął ją, ale był sceptyczny. Od chwili ukończenia liceum przeczytał tylko jedną

książkę: pornograficzną powieść o studentce z Dallas imieniem Barbara, pracującej jako dziewczyna na telefon. Otworzył Dzienniki Turnera i przeczytał kilka linijek.

Nie wiedział wtedy, że trzyma w rękach swoją ulubioną książkę.

Tego wieczoru Curt wziął oprócz książki sześć egzemplarzy „Krwi i Honoru”.

Kiedy przeczytał jedno i drugie, zapalił się i zaniepokoił kwestiami, które poruszył Tim. Curt postarał się, aby te materiały trafiły do ludzi, których Tim uznawał za odpowiednich. Wkrótce Curt zebrał wokół siebie grupę podobnie myślących marines, którzy zaczęli jadać wspólne posiłki.

Jego znajomość z Timem Melcherem rozkwitła. Poświęcał mu dużo wolnego czasu, pomagając w organizacji brygady granicznej, do której sam wstąpił. Wciągnął także paru rekrutów z piechoty. Poszedł obejrzeć arsenał Tima zgromadzony w piwnicy jego domu. To, co zobaczył, podnieciło go. Nigdy przedtem nie widział takiej kolekcji broni i amunicji, nie licząc wojskowych manewrów z użyciem ostrej amunicji.

Tim posiadał nawet AK-47. Choć technicznie ustępowały automatom M1, miały w sobie romantyczny urok.

Pierwsza wycieczka, na którą Curt wyruszył z lotną brygadą graniczną, okazała się trudniejsza, niż przypuszczał. Zaczęła się obiecująco, pośród salw śmiechu. Wszyscy pili piwo z lodówek umieszczonych na tyłach wozów zwiadowczych, posuwając się autostradą nr 5 w konwoju złożonym z trzech pojazdów. W każdym wozie grzmiała z kasyety muzyka Skrewdrivera, którą Tim dostał z Anglii. Panowała atmosfera wesołej zabawy.

Na północ od granicy skręcili na pustynię w kierunku wschodnim. W miejscu zawczasu wybranym przez Tima zatrzymali się na noc. Rozbili namioty i rozpalili ognisko. Po zmroku wymyli talerze i sztuce, zgasili ogień i pomaszerowali w stronę granicy. Gdyby nie ich pijacka wesołość, w ubraniach maskujących byłiby zupełnie niewidoczni na pustyni.

Curt bawił się za wszystkie czasy. W końcu był członkiem grupy, która – według Tima – odznaczała się czystością rasową i prawomyślnością. Czuł również, że dokonują czegoś wielkiego, chociaż wątpił, czy uda im się kogokolwiek podejść. Co najwyżej wystraszą paru obcych, zmuszając ich do powrotu tam, skąd przyszli.

Tim podzielił grupę na dwójki. Ulokował je w równych odstępach około pół kilometra od granicy. Na swojego partnera wybrał Curta, co napełniło tamtego wielką dumą. Tim postarał się przy tym, aby to im przypadła najlepsza pozycja. Znajdowali się na szczycie urwistego płaskowyzu, który był najwyższym punktem w całej okolicy.

Przycupnęli na spłachci piasku, mając za sobą sterczące w górę bryły piaskowca. Oparli się plecami o skały i wyciągnęli puszki piwa z przenośnych wojskowych termosów. Otwierane puszki psyknęły rozkosznie w ciszy ciemnej, jałowej pustyni.

Była przecudna noc, niezbyt chłodna, gdyż skały oddawały zgromadzone za dnia ciepło. W górze Droga Mleczna wyglądała tak, jak gdyby ktoś rozrzucił miliony diamentów. Znad Oceanu Spokojnego nadciągał łagodny wietrzyk, muskając ich skórę.

–Prawda, że pięknie? – spytał retorycznie Tim. Odczepił przytroczoną do pasa krótkofalówkę i położył ją na płaskiej skałce. Używał radia do stałego kontaktu z pozostałymi parami.

–To niesamowite – przyznał Curt. – Wychowałem się w Brooklynie, nie miałem pojęcia, że coś takiego istnieje na świecie.

–To wspaniały kraj – powiedział Tim. – Szkoda, że schodzi na psy za sprawą nieudolnego rządu.

Curt skinął głową, lecz nie odezwał się. Choć nocna sceneria go oczarowała, a piwo szumiało mu w głowie, nie miał ochoty Wszczynać dyskusji na temat zdominowanego przez syjonistów rządu.

Kilka minut upłynęło w ciszy. Curt wziął następny łyk piwa.

–Byłeś na tym stanowisku podczas poprzednich patroli? – zapytał. Tim nalegał, aby wszyscy, przy każdej okazji, posługiwali się terminologią wojskową.

–Parę razy.

–Oglądałeś działania?

–A jakże. Wróg sam się do nas garnął. – Tim parsknął śmiechem. – To jak strzelanie do kuropatw.

–Gdzie ich widziałeś?

Tim wskazał ręką.

–Przyszli tamtym parowem, o tym, który wygląda jak kreska na horyzoncie.

Curt wytężył oczy w ciemności. Nie od razu zdał sobie sprawę, że spogląda w dół z boczna wąwozu. Nie miał szans, by zauważyć kogoś obcego, póki ten nie wlaźby mu praktycznie na głowę. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby niespodziewanie z mroku wyszła grupa ludzi. Odruchowo przesunął rękę ku tkwiącemu w kaburze glockowi. Odpiął pokrywę. Nie chciał się z nią szarpać, gdyby musiał nagle sięgnąć po broń.

–Wiem, co myślisz – odezwał się Tim. – Zaczekaj, coś ci pokażę.

Otworzył zamek błyskawiczny płóciennej torby, którą wcześniej umieścił obok siebie na ziemi, i wydobył z niej karabin. Mimo ciemności Curt był pewien, że nie widział go w

arsenale Tima.

–To moja ulubienica – oznajmił z dumą Tim. – Zabieram ją tylko na prawdziwe akcje, takie jak ta.

Wyciągnął karabin w stronę Curta. Curt ujął go i przyjrzał mu się z bliska. Natychmiast rozpoznał broń, choć nigdy nie trzymał jej w rękach. Był to zmodyfikowany dla potrzeb piechoty morskiej karabin snajperski typu Remington, kaliber 308.

–Skądżeś go, do diabła, wytrzasnął? – zapytał Curt tonem podziwu.

–Dzięki pismom survivalowym, takim jak „Najemnik”, możesz kupić, co tylko chcesz – poinformował Tim. – Wystarczy przejrzeć ogłoszenia na ostatniej stronie.

–Ale to broń piechoty morskiej. Skąd wziąć coś takiego?

–A bo ja wiem – odparł Tim. – Pewnie ktoś skorzystał z okazji i ją zwędził albo wymienił za coś innego. Jeszcze się przekonasz, że w wojsku handel wymienny odchodzi na całego.

–Modyfikuje się je w Quantico – powiedział Curt. Pieszczotliwie przesunął palcami po kolbie.

–Zgadza się – przytaknął Tim. – Jest niezatapialny, ma podstawę z włókna szklanego. Za spust trzeba pociągnąć z siłą jednego funta.

–Boże, fantastyczny! – zachwycił się Curt. Mógł jedynie pomarzyć o podobnym karabinie. Uwielbiał broń wszelkiego typu, ale najbardziej tę zaawansowaną technicznie.

–Najlepsza jest luneta – stwierdził Tim. – Zwróć uwagę na jej wielkość. Ma noktowizor. No śmiało, spróbuj.

Curt czule przytknął broń do ramienia i spojrzał w celownik teleskopowy. Nagle czarna noc nabrała magicznej, szaro-czerwonej przejrzystości. Nawet z dystansu kilkuset jardów Curt rozróżniał szczegóły martwego krajobrazu.

Raptem jego oko wychwyciło jakiś ruch i Curt przesunął karabin leciutko w lewo. W centrum jego pola widzenia pojawiło się dwóch mężczyzn stąpających ostrożnie w ciemności. Zbliżali się.

–Niech mnie licho! – zawołał Curt. – Mam na celowniku dwóch Meksykańców.

Nie do wiary.

–Bez kitu? – upewnił się podekscytowany Tim. – Nie spuszczaaj ich z oczu. Możesz ich drugi raz nie odnaleźć. Powiedz: w co są ubrani? Czy na pewno nie mają mundurów?

–Ależ skąd! – zaprzeczył Curt. – Wygląda mi to na kraciaste koszule, dżinsy, kowbojskie kapelusze, a w rękach trzymają coś jakby stare winylowe walizy.

–Winszuję, żołnierzu! – zawołał Tim. – Znaleźliście dwie kuropatwy. Poślijcie im przynajmniej dwa szybkie naboje. Oczywiście, jak się ustawią w prostej linii, to załatwicie ich jedną kulą.
– Tim zachichotał.

–Chcesz, żebym ich zabił? – spytał nerwowo Curt. Celowo unikał myślenia o tej chwili, teraz zdawał sobie też sprawę, że Znajdujący się w jego polu widzenia mężczyźni nie zagrażają bezpośrednio jego życiu. To nie była bitwa, podczas której zaufałyby instynktowi. Przypominało to raczej zasadzkę na dwóch bezbronnych ludzi, których nawet nie znał. Curt wyczuł, że drży, ponieważ obraz zaczął skakać mu przed oczami.

–Nie, chcę, żebyś do nich poszedł i porozmawiał z nimi – odparł ironicznym głosem Tim. – Ma się rozumieć, że chcę, abyś ich zabił. Do diaska, masz do tego prawo. To ty ich wypatrzyłeś.

Czoło Curta zrosił pot. Lęk ścisnął mu gardło. Nie mógł się przełamać – nigdy przedtem nie zrobił czegoś takiego.

–Na co czekasz, człowieku... – powiedział Tim. – Nie zawieź mnie ani twojej ojczyzny.

Curt nie miał zamiaru zawieść Tima. Przez ostatni miesiąc czuł po raz pierwszy w życiu, że jest częścią zwanego zespołu ludzi, których ideologia stała się jego ideologią. Odnalazł w ich szeregach swój emocjonalny i intelektualny dom – i wiedział, że wszystko to zawdzięcza Timowi. Zaczerpnął i wstrzymał oddech, po czym pociągnął za spust.

Karabin podskoczył, ale nie na tyle, by Curt zgubił z oczu swoje cele. Idący na przedzie mężczyzna upadł, jakby ktoś podstawił mu nogę. Nie okręcił się wokół własnej osi ani nie zatoczył, tak jak zwykle przedstawiano w filmach. Po prostu szedł sobie i nagle zniknął. Drugi mężczyzna znieruchomiał, podczas gdy echo wystrzału niosło się po mrocznej, nieprzyjaznej okolicy.

Curt poczuł przyływ adrenaliny. Miał poczucie bezgranicznej władzy. Bez namysłu wziął na muszkę drugiego mężczyznę i sprawnie pociągnął za spust. Znowu szarpnęło karabinem i drugi mężczyzna przepadł bez śladu. Curt opuścił broń. Przez krótką chwilę w powietrzu unosiła się odświeżająca woń kordytu, zanim rozwiał ją wietrzyk.

–No i? – zapytał niecierpliwie Tim.

–Obaj gryzą ziemię – rzucił Curt. – Świetnie! – pochwalił Tim. Klepnął Curta w ramię, a potem sięgnął po krótkofalówkę. Uprzedził pozostałe zespoły, że on i Curt opuszczają stanowisko, aby pozbyć się dwóch trafionych celów. Zabronił im strzelać, póki nie zgłosi się ponownie. – Jeszcze tego by brakowało, żeby ci szaleńcy nas postrzelili – wyjaśnił Tim. Wyjął swój karabin z rąk Curta, który oddał go bez słowa. Wydobył łopatkę saperską i kilof.

– Chodźmy. – Ale miej pistolet w pogotowiu, na wypadek gdybyś tylko zranił tych sukinsynów. Może będziemy musieli ich dobić.

Curt, nadal milcząc, ruszył w ślad za Timem. Euforia minęła i ogarnęły go rozterki. Teraz, gdy naprawdę kogoś zastrzelił, nie wiedział, jak poradzić sobie z myślą, że mógł zabić taką samą istotę ludzką jak on. Umysłowe zamroczenie, wywołane przez morze piwa nic nie pomagało. Również na nic nie zdał się fakt, że Tim zachowywał się, jak gdyby Curt sprzątnął dwie natrętne muchy. – Żwawiej, żołnierzu! – zawołał przez ramię Tim, widząc, że Curt wlecze się z tyłu.

Trzymający latarkę Tim wysforował się naprzód, biegnąc lekkim truchtem po skalistym terenie. Curt wyprostował się i przyspieszył kroku. Byłby zakłopotany, gdyby Tim uznał go za „pozbawionego jaj” mięczaka.

Niemal pół godziny szukali Meksykan, musieli przy tym kilka razy przeczesywać całą okolicę. Kiedy snop światła z latarki Tima zatańczył na ciałach, mężczyzna zagwizdał z podziwu.

–Brawo – rzekł. – Obcy mają dziury w głowach.

Curt popatrzył na zwłoki. Martwych ludzi widział przedtem jedynie w domach pogrzebowych. Pociski zrobiły tylko małe otwory wejściowe w ich czołach, ale z tyłu głowy ziały ogromne rany. Ziemia wokół ciał była usiana fragmentami ich rozprysniętych mózgów. Mężczyzna na przedzie wciąż ścisnął w dłoni rączkę walizy.

–O Boże! – jęknął Curt.

Tim podniósł głowę i spojrzał kwaśno na swego rekruta.

–Co się stało? – zapytał twardym głosem.

–Co ja zrobiłem?

–Zabiłeś dwóch Meksykańców usiłujących nielegalnie przekroczyć granicę – warknął Tim. – Wyświadczyłeś swojej ojczyźnie wielką przysługę.

–Jezu Chryste – wykrztusił Curt, kręcąc głową. Oczy Meksykanów były nadal otwarte i wpatrywały się w niego. Curt zachwiał się lekko na miękkich nogach.

Tim zareagował błyskawicznie. Podszedł do niego i wymierzył siarczysty policzek. Zaklął z bólu i strzepnął dłoń.

Curt cofnął się, na moment pociemniało mu w oczach. Przytknął dłoń do piekającej twarzy, po czym spojrzał na palce, jak gdyby spodziewał się ujrzeć krew. Posłał Timowi wściekłe spojrzenie.

–Jestem tutaj, twardzielu – prowokował go drwiąco Tim. Zachęcił Curta gestem, by ten podszedł i spróbował go uderzyć.

Curt pobiegł wzrokiem w czarną noc. Nie chciał się bić z Timem, ponieważ po chwili refleksji zrozumiał, czemu tamten go spoliczkował.

–Zacząłeś się rozklejać – wyjaśnił Tim.

Curt skinął głową. To była prawda.

–Słuchaj – mówił Tim. – Powiem ci o sobie coś, czego nie wiesz. W tym roku zostałem wyświęcony na pastora Chrześcijańskiego Kościoła Prawdziwych Wyznawców, który nieprzypadkowo wchodzi w skład o wiele większego Kościoła Tożsamości Chrześcijańskiej. Czy słyszałeś o nim?

Curt zaprzeczył milcząco.

–Kościół ten opiera się na Piśmie Świętym, aby dowieść, że biali Anglosasi są autentycznymi potomkami zaginionego plemienia Izraela. Wszystkie inne rasy to albo szatański pomiot, albo ludzie ulepieni z błota – jak ci leżący tutaj Meksykanie. – Tim szturchnął jedno z ciał czarnym butem. – Oto, dlaczego my mamy białą skórę, a oni czarną, brązową, żółtą czy jaką tam jeszcze.

–Jesteś pastorem? – spytał z niedowierzaniem Curt. Ten człowiek miał tak wiele różnych stron, że Curtowi aż zakręciło się w głowie.

–Jak najbardziej – potwierdził Tim. – Dlatego dobrze wiem, co mówię. Najważniejsze jest słowo Boga w Biblii, który powiada, że środki wprowadzające wyroki boskie nie ograniczają się do działań polityków. A to znaczy, że przemoc jest nie tylko dopuszczalna, ale wręcz konieczna. Faktem jest, że dzisiejszej nocy dokonałeś dzieła bożego, żołnierzu.

–Nigdy w życiu o tym nie słyszałem – wyznał Curt.

–Nie dziwi mnie to – powiedział Tim. – Nie jest to też twoja wina. Zdominowany przez syjonistów rząd ukrywa prawdę. Nie mówi się o tym w szkołach, nie pisze w gazetach, nie pokazuje w telewizji. Chodzi o to, że chcą nas zneutralizować przez rozcieńczenie naszych genów. To tak, jak w Dziennikach Turnera. Pamiętasz?

–Nie jestem pewien – odparł Curt. Erudycja Tima imponowała mu w równym stopniu jak jego gwałtowność.

–Dotyczyła tego ustawa Cohena – przypomniał Tim. – Ustanawiała rady do spraw stosunków międzyludzkich, które miały zmusić białych do poślubiania ludzi z błota. Nazywa się to krzyżowaniem ras. Słyszałeś kiedyś ten termin?

–Nie – odparł Curt.

–No to teraz wiesz dlaczego – dodał Tim. – Sprzysiężeniem kieruje amerykański rząd. Nie chcą nawet, żeby dzieciaki poznały ten termin, bo zachęcanie do krzyżowania się ras to najbardziej podstępny grzech, jakiego dopuszcza się syjonistyczny rząd. Na Boga, cóż to za obrzydliwość! Szatan próbuje tym sposobem pozbyć się narodu wybranego przez Boga. To taki Holocaust w przeciwnym kierunku.

–W porządku! – zawołał Curt, otrząsając się z zadumy. – Czas wyłożyć karty na stół. – Spojrzał na Steve'a. Ten przytaknął na znak zgody. Curt przeniósł wzrok na Jurija.

–Jakie karty masz na myśli? – spytał Rosjanin. Zauważył, że jego goście poczerwienieli ze złości, zwłaszcza Curt.

Curtowi opadły ręce.

–To tylko takie wyrażenie, na miłość boską. Znaczy, że trzeba sobie wszystko wytłumaczyć, aby nie było niespodzianek.

–Okay – zgodził się Jurij.

–Przed chwilą zupełnie nas powaliłeś – ciągnął Curt. – Nie tylko jesteś żonaty, ale wzięłeś sobie za żonę brudasa. Słowo „niespodzianka” jest bardzo łagodnym określeniem.

–Musiałem zdobyć zieloną kartę – wyjaśnił Jurij.

–Ale nie powinieneś żenić się z czarną kobietą! – szczerknął Steve.

–A co to za różnica? – zapytał Jurij, choć podejrzewał, że zna odpowiedź. W ciągu czterech lat, które spędził w Stanach Zjednoczonych, wiele razy zetknął się z uprzedzeniami rasowymi.

Curt nie odezwał się, ignorując głupotę zawartą w pytaniu Jurija. Przez chwilę miał nawet zamiar wytłumaczyć Jurijowi całą tę kwestię tak, jak dwadzieścia lat wcześniej objaśnił mu ją Tim Melcher, ale ostatecznie się rozmyślił. Przyjrząwszy się Jurijowi bardziej krytycznie, nie był całkiem pewien, czy tamten jest Aryjczykiem czy nie. – Ślub między rasami, zwłaszcza gdy jedno z małżonków jest białe, łamie słowo Boże – oznajmił Steve.

–Nie wiedziałem o tym – powiedział Jurij.

–Co się stało, to się nie odstanie – stwierdził Curt i machnął ręką. – W tym momencie ważniejsze jest pytanie, co należy teraz zrobić. Twoja żona wie, że kombinujesz coś z bakteriami, i wie, że pracowałeś w radzieckim przemyśle zbrojeniowym.

Bardzo możliwe więc, że domyśla się, iż produkujesz broń biologiczną.

–Ona kompletnie nie interesuje się tym, co ja robię – rzekł Jurij. – Wierzcie mi.

–Ale mogłaby się nagle zainteresować – zauważył Curt. – A wtedy byłoby bardzo źle.

–Mogłaby coś powiedzieć rodzime – zasugerował Steve.

–Ona nie rozmawia ze swoją rodziną – poinformował Jurij. – No, czasami z bratem. Tylko on się o nią martwi.

–A gdyby tak się wygadała przed braciszkiem? – powiedział Curt. – Tak czy inaczej, nie możemy ryzykować. Jak już wspominaliśmy, być może trzeba ją będzie usunąć. Czy miałbyś coś przeciwko temu?

Jurij pokręcił głową, po czym pociągnął wielki haust wódki ze swego kubka.

–Okay – podsumował Curt. – Przynajmniej w tej sprawie panuje zgoda. Szkopuł w tym, jak twoją żonę usunąć bez zwracania uwagi. Przypuszczam, że gdyby po prostu zniknęła, szybko by się zorientowano.

–Zabrakłoby jej w pracy – potwierdził Jurij. – Pracuje jako dyspozytorka w firmie taksówkowej.

–Musimy zrobić to w taki sposób, żeby nie angażować policji – stwierdził Curt.

–Czy ona ma jakieś problemy zdrowotne?

–Poza otyłością – dodał Steve.

Jurij potrząsnął głową.

–Jest zdrowa jak rydz.

–Ej, a może by tak wykorzystać jej nadwagę? – podsunął Steve. – Przy jej tuszy nikt by się nie dziwił, gdyby nagle dostała ataku serca.

–To jest pomysł – zgodził się Curt. – Ale jak wywołać atak serca?

–Mógłbym pomóc jej umrzeć z powodu niewydolności oddechowej – odezwał się Jurij.

Zarówno Curt, jak i Steve podnieśli brwi w zdumieniu.

–Wielu otyłych ludzi umiera na niewydolność oddechową – wyjaśnił Jurij. – W szpitalu powiedziałbym, że cierpi na astmę.

–Jak chciałbyś to zrobić? – spytał Curt.

–Posłużyłbym się jadem kielbasianym – odparł Jurij. – Cholera, i tak muszę go wypróbować. Czemu nie na Connie? Mógłbym sprawdzić wielkość dawki.

–Ale czy lekarze się nie domyśla? – spytał Curt.

–Nie. Kiedy ktoś umrze, a ty nie znasz wstępnych objawów, nie masz powodu do podejrzeń. Jest zbyt wiele czynników powodujących niewydolność oddechową.

–Jesteś pewien? – zapytał Curt.

–Oczywiście, że jestem pewien – stwierdził Jurij. – W Związku Radzieckim brałem udział w testach tego jadu. Przy dużej dawce człowiek po prostu przestaje oddychać i robi się siny na twarzy. KGB bardzo się nim interesował, ponieważ bardzo mała ilość toksyny stanowi już śmiertelną dawkę.

–Podoba mi się – orzekł Curt. – Sprawiedliwości stałoby się zadość. W końcu Connie zagraża bezpieczeństwu operacji „Rosomak”. Kiedy byłbyś gotów?

–Dziś w nocy – odparł Jurij, wruszając ramionami. – Do jednego zawsze potrafię ją namówić: do jedzenia. Później, kiedy się uspokoi, zamówię pizzę na telefon i kłopot z głowy.

–Dobrze – skwitował Curt, pozwalając sobie na pierwszy tego wieczoru uśmiech. – Skoro już ominęliśmy tę przeszkodę, wypłynemy na szersze wody. Cóż to za dobra wiadomość, jaką dla nas masz?

–Przetestowałem węglik – ożywił się Jurij. Pochylił się na swoim krześle. – Jest dokładnie tak zabójczy, jak się spodziewałem.

–Na kim go wypróbowałaś? – spytał Curt. W świetle ostatnich wydarzeń bezpieczeństwo nade wszystko leżało mu na sercu.

Jurij wytłumaczył, że wybrał Jasona Papparisa, bo jako handlarz dywanów był on narażony na zakażenie się węglikiem za pośrednictwem importowanych towarów.

Jurij zapewnił, że dzięki temu nie ściągnie na nikogo podejrzeń.

–Bardzo sprytnie – pochwalił Curt. – W imieniu Ludowej Armii Aryjskiej składam ci gratulacje za przebiegłość.

Jurij pozwolił sobie na uśmiech samozadowolenia.

–My również mamy dla ciebie wieści – dodał Curt. Pokrótce zdał mu sprawę z wizyty, którą przed południem złożyli w Budynku Federalnym Jacoba Javitsa. Poinformował Jurija, że system kanałów powietrznych doskonale nadaje się do tego, by umieścić w nim broń biologiczną.

–Będziecie potrzebować puszek z aerozolem? – spytał Jurij.

–Nie, jeśli broń będzie miała postać lotnego proszku – odrzekł Curt. – Do rozerwania opakowań użyjemy zapalników zegarowych. Resztę zrobią za nas wentylatory.

–To znaczy, że będziecie musieli użyć węglika – zauważył Jurij.

–Nie mamy nic przeciwko temu – rzekł Curt. – Czy to jakiś problem? Mówiłeś, że obydwa środki są tak samo skuteczne.

–Nie, to żaden problem – odpowiedział Jurij. – Tyle tylko, że mam kłopoty z dostatecznie szybkim namnażaniem bakterii produkujących jad kiełbasiany. Brakuje mi niecały tydzień, aby mieć dosyć węglika, ale ponad trzy tygodnie, żeby wyprodukować dostateczną ilość jadu.

–Nie sądzę, żebyśmy byli gotowi czekać trzy tygodnie – odezwał się Steve. – Mamy zbyt poważne kłopoty z zapewnieniem bezpieczeństwa całej operacji. Dlaczego nie mielibyśmy wykorzystać węglika do obu celów? Dajmy sobie spokój z toksyną, skoro bakterie nie chcą współpracować.

–Dlatego że węglika nie starczy nam na dwie bomby, tylko na jedną – wyjaśnił Jurij.

–Być może opatrność mówi nam, byśmy uderzyli jedynie na Budynek Federalny – zasugerował Curt. – Proponuję zapomnieć o Central Parku.

–Nie! – zaproponował Jurij z naciskiem. – Chcę podłożyć ładunek w parku.

–Tylko po co? – przekonywał Curt. – Zamach na Budynek Federalny znacznie bardziej dokuczy rządowi, no i wyprawi na tamten świat sześć lub siedem tysięcy ludzi.

–Ale to sami urzędnicy rządowi – zaproponował Jurij. – Ja chcę z równą siłą uderzyć w tę zakłamaną amerykańską kulturę, a szczególnie w tych żydowskich bankierów i biznesmenów, którzy doprowadzili Rosję do gospodarczej zapaści.

Curt i Steve wymienili krzywe spojrzenia.

–To kultura pozbawiona korzeni – kontynuował Jurij. – Ludziom wydaje się, że są wolni, ale nie są. Wszyscy się miotają, aby polepszyć swój status społeczny albo zdobyć tożsamość. My, Słowianie, borykaliśmy się z wieloma kłopotami w naszej historii, ale przynajmniej wiemy, kim jesteśmy.

–Chyba mi się przesłyszało – odezwał się Curt. – Czemu wcześniej nie ujawniłeś swoich poglądów?

–Bo mnie nie pytaliście.

–Rzeczywiście, Ameryka ma pewne problemy – zgodził się Curt. – Jednak ich źródłem jest zdominowany przez syjonistów rząd, popierający kontrolę broni, mieszane małżeństwa, czarnych handlarzy narkotyków, oszustów podatkowych i homoseksualistów, którzy pospołu niszczą nasze korzenie. Z tymi patologiami walczymy.

Wiemy, że nasza wojna wymaga ofiar cywilnych. Nie da się ich uniknąć. Ale na cel bierzemy tylko i wyłącznie rząd.

–W mojej wojnie w ogóle nie ma cywili – stwierdził Jurij. – Dlatego chcę podłożyć ładunek w Central Parku. Przy sprzyjającym wietrze przez miasto przejdzie fala śmierci. Mówię tutaj o setkach tysięcy zabitych, może nawet milionach, nie o tysiącach. Na tym polega działanie broni masowego rażenia. Do diaska, aby osiągnąć wasz skromny cel, wystarczyłaby konwencjonalna bomba.

–Nie zdołalibyśmy przemycić do tego budynku tak dużej bomby – zaproponował Curt. – W tym cały szkopuł. Natomiast łatwo będzie nam to zrobić z czterema czy pięcioma funtami podobnego do mąki proszku. Tak opisałeś nam bojową postać wąglika, prawda?

–Zgadza się – potwierdził Jurij. – To bardzo drobny, lekki Proszek, który utrzymuje się w powietrzu.

Przez jakiś czas trzech mężczyzn mierzyło się wzrokiem. Wszyscy czuli panujące napięcie.

–W porządku – powiedział Curt, wymachując rękami. – Wracamy do punktu wyjścia. Podłożymy dwa ładunki. Ale musimy mieć wystarczającą ilość środka.

–Gdzie ciężarówka do dezynsekcji, którą mi obiecaliście? – zapytał Jurij.

–Nasze oddziały już ją namierzyły – odparł Curt. – Nie przejmuj się, będziesz ją miał.

–Gdzie ona jest?

–Stoi zaparkowana za zakładem dezynsekcji. Używają jej do spryskiwania zbiorów ziemniaków. Nikt jej nie pilnuje. Wystarczy przyjść i zabrać ją sobie.

–Chcę ją mieć w swoim garażu – zażądał Jurij.

–Skąd ta nagła zadziorność? – zdziwił się Curt. – Biorąc pod uwagę te wszystkie niespodzianki, jakie nam dziś zgotowałeś, to my powinniśmy się wściekać.

–Chcę mieć ciężarówkę w garażu – powtórzył twardo Jurij. – Taka była umowa. Powinna już tam stać.

–Myślę, że nie powinieneś podnosić głosu – zauważył Steve. – W przeciwnym razie przyślemy ci z wizytą oddział uderzeniowy.

–Nie groź mi – odparł Jurij. – W przeciwnym razie dostaniesz wielkie zero.

Rozwalę całą operację.

–Hej, spokojnie, chłopcy – pospieszył Curt. – Dyskusja wymyka wam się rąk.

Nie kłóćmy się. Nie widzę żadnego problemu: przejmujemy ciężarówkę, sprowadzimy ją do miasta i wstawimy do twojego garażu. Pasuje?

–Tak się umawialiśmy – rzekł Jurij.

–Sprawa załatwiona – zapewnił Curt. – Tymczasem twoja działka to Connie.

Okay?

–Zrobi się dziś wieczorem – powiedział Jurij. Wyraźnie się rozluźnił i dopił resztkę wódki.

–Dobrze. – Curt potarł dłonie na znak, że pali się do pracy. – A zatem porozmawiajmy o harmonogramie. Gdybyś zrezygnował z jadu i przestawił drugą kadź na węgiel, czy to nie przyspieszyłoby produkcji materiału?

–Zapewne – potwierdził Jurij.

–Realistycznie rzecz biorąc, kiedy można by tego oczekiwać? – zapytał Curt.

–Do końca tego tygodnia lub na początku przyszłego, jeśli wszystko dobrze pójdzie – poinformował Jurij.

–W to mi graj! – Curt zmusił się do uśmiechu. Podniósł się z krzesła.

Steve poszedł za jego przykładem.

–Mam pytanie – dorzucił Jurij. – Kto to jest patolog sądowy?

–To taki facet, który ogląda sztywniaków i próbuje rozgryźć, na co umarli – wyjaśnił Steve.

–Tak myślałem – stwierdził Jurij. Wstał.

–Czemu pytasz? – zdziwił się Curt.

–Jak pojechałem sprawdzić, czy handlarz dywanów nie żyje, zastałem w jego biurze pobierającego próbki męzczyznę, który powiedział, że bada tę sprawę.

–Zaraz, zaraz – wtrącił Curt. – Przecież mówiłeś, że twoja sztuczka z zarażeniem handlarza dywanów wykluczy możliwość śledztwa ze strony władz.

–Tego nie powiedziałem – zaproponował Jurij. – Powiedziałem tylko, że władze nie będą podejrzewać, że użyto broni biologicznej.

–Ale władze wiedzą, że węglik bywa stosowany jako broń – stwierdził Curt. – Czemu by nie miały nabrać takich podejrzeń?

–Ponieważ będą mieć logiczne wytłumaczenie tego przypadku – odrzekł Jurij. – Sami będą sobie gratulować rozwiązania. Ci ludzie zawsze myślą tak samo.

–A jeżeli nie znajdą źródła? – spytał Curt. – Czy zostawiłeś jakiś ślad na którymś z dywanów?

–Nie, nie zostawiłem – wyznał Jurij.

–Czy to mogłoby stanowić problem? – spytał Curt.

–Niewykluczone. Ale wątpię.

–Jednak nie możesz być pewien na sto procent?

–Nie na sto procent, ale niewiele mniej.

Curt westchnął z rozdrażnieniem.

–Nagle się okazuje, że jest masa niedopatrzeń.

–Nie będzie z tym kłopotów – zapewnił Jurij. – Musiałem wypróbować na kimś ten materiał. Nie byłoby sensu go używać, gdyby okazał się nieszkodliwy.

–Miejmy nadzieję, że się nie mylisz – stwierdził Curt znużonym głosem. Obrócił się i ruszył w stronę drzwi. – Będziemy w kontakcie. Paru chłopców wpadnie do ciebie późną nocą, żeby podrzucić ci ciężarówkę.

–A jak nie będzie mnie w domu? – spytał Jurij.

–Lepiej, żebyś był – poradził Curt. – Sam podnosisz larum o tę cholerną ciężarówkę.

–Ale ja muszę się zająć Connie – wyjaśnił Jurij. – Kiedy dostanie ataku, będę musiał wezwać pogotowie. Mogę być wtedy w szpitalu.

–Ach tak – bąknął Curt.

–Wiem, co zrobię. Kiedy pojedę z Connie, drzwi garażu zostawię otwarte.

–Doskonale – pochwalił Curt. Kiwnął Jurijowi ręką i wyszedł na dwór. Steve szedł tuż za nim.

Obaj strażacy wymaszerowali z domu Jurija i w milczeniu wsiedli do pick-upa.

Gdy zatrzasnęli drzwi, Curt rąbnął zamkniętą pięścią w kierownicę.

–Wzięliśmy sobie na kark kompletnego matoła! – warknął.

–Nie będę przypominał, że ci o tym mówiłem – oznajmił Steve.

–Jezu Chryste, ten szajbus chce zabijać cywili zamiast urzędników rządowych – utyskiwał Curt. – My, patrioci próbujący ratować ten kraj, musimy współdziałać z terrorystą. Co się dzieje na tym świecie?

–Myślę, że jego pragnienie przywrócenia dawnego ZSRR to coś więcej niż próba ochrony bomb atomowych. Myślę, że on jest komunistą.

Curt uruchomił dodge'a i wyjechał na drogę. Jazda przypominała slalom między rozrzuconymi puszkami piwa.

–Może istotnie jest komunistą. Tak czy siak, nie ma pojęcia o środkach bezpieczeństwa. To niedobrze, bo jeśli władze coś zwęszą, będziemy musieli przemyśleć całą operację. Kiedy zaczynaliśmy ją planować, wydawało nam się, że pójdzie jak po maśle.

–Co z nim zrobimy? – spytał Steve.

–Nie wiem. Póki co, musimy z nim współdziałać, aby wejść w posiadanie broni biologicznej. Pokazał jasno, że nie cofnie się przed sabotażem; przypuszczam, że zniszczyłby laboratorium.

–A więc dostarczymy mu tę ciężarówkę?

–Na mój rozum nie mamy wyboru – powiedział Curt, wjeżdżając w Oceanview Avenue. – Dostarczymy mu ją, ale zarazem będziemy naciskać, żeby dał nam te osiem funtów węgla tak szybko, jak to tylko możliwe. Im prędzej zaczniemy operację „Rosomak”, tym lepiej.

Rozdział 7 18 października, poniedziałek, 18.45 Jack przemknął przez Pierwszą Avenue przy Trzydziestej Ulicy, nim zapaliło się zielone światło, które puściło samochody jadące do centrum, i podjechał aż do rampy załadowniczej Biura. Wnosząc rower do budynku, skinął głową strażnikowi. Pomachał ręką do Marvina Fletchera, pełniącego wieczorny dyżur technika medycznego, który przygotowywał się w kostnicy do przyjęcia zwłok.

Po założeniu kłódki na rower Jack wszedł do windy i pojechał na pierwsze piętro do laboratorium toksykologii. Nie sądził, że wróci do biura tak późno. Przegląd wszystkich dokumentów w Korynckim Przedsiębiorstwie Dywanowym zajął mu znacznie więcej czasu, niż przypuszczał.

John DeVries, naczelny toksykolog, zdążył już wyjść. Jack musiał spytać jednego z pomocników, czy zastępca inspektora nie dopytywał się o próbki z ciała Davida Jeffersona. David Jefferson był zmarłym w areszcie więźniem, w którego sprawie Calvin mocno Jacka przyciskał. Niestety, pomocnik nie miał pojęcia.

Jack wrócił do windy i pojechał do laboratorium DNA na piątym piętrze. Kierownik, Ted Lynch, był nieosiągalny, więc Jack zostawił rurki z kulturami, które pobrał w biurze Papparisa, u technika. Chciał, aby rano Ted poddał je łańcuchowej reakcji polimerazy na obecność zarodników laseczki węglika.

Zszedłszy po schodach na czwarte piętro, Jack zahaczył o laboratorium histologii w nadziei, że uda mu się zachęcić jego szefową, Maureen O'Connor, by przyspieszyła analizę skrawków mikroskopowych z ciała Jeffersona. O ile współpraca z Maureen układała mu się dobrze, o tyle z Johnem DeVriesem było gorzej, ale teraz nie miało to znaczenia. Maureen również skończyła już pracę.

W drodze do swego biura zajrzał do Laurie, mając nadzieję, że dowie się, „gdzie i kiedy” odbędzie się wyczekiwana z utęsknieniem kolacja. Lecz biuro Laurie było ciemne i opustoszałe. Na domiar złego, drzwi były zamknięte na klucz. Jack wiedział, że to niepodważalny dowód, iż Laurie także poszła do domu.

–Na miłość boską! – zawołał głośno.

Z narastającą bezsilnością, pomrukując pod nosem, przemierzył resztę korytarza. Przez chwilę bawił się myślą, żeby się również ulotnić, tak aby Laurie nie mogła go znaleźć. Szybko jednak zarzucił ten pomysł. To nie było w jego stylu, a poza tym naprawdę trawiła go ciekawość.

Jack skręcił do swojego biura. Przynajmniej został jeszcze Chet – kreślił coś pracowicie na żółtych kartkach notesu.

–A, wrócił nasz globtroter – odezwał się na widok Jacka. Położył ołówek na stole. – Nie będę musiał więc wypełniać tego raportu o zaginionych, do którego akurat się zabierałem.

–Bardzo śmieszne – odciął się Jack, wieszając swoją kurtkę.

–Przynajmniej wróciłeś cały i zdrowy – stwierdził Chet. – No i jak ci poszło w terenie? Ktoś się targnął na twoje życie? Ilu urzędników zdołałeś dziś doprowadzić do białej gorączki?

–Nie jestem w nastroju do przekomarzań – oznajmił Jack rzeczowym tonem.

Klapnął ciężko na krzesło, jakby nogi nagle odmówiły mu posłuszeństwa.

–Zdaje się, że nie bawiłeś się najlepiej?

–Totalna klapa – wyznał Jack. – Z wyjątkiem jazdy na rowerze.

–Nie dziwi mnie to. Ta misja od początku była skazana na Porażkę. Czy w ogóle dowiedziałeś się czegoś?

–Tylko tego, że trzeba mieć masę czasu, aby przejrzeć dokumenty przedsiębiorstwa – odpowiedział Jack. – Nawet takiej małej firmy. Cały wysiłek okazał się nic niewart. Żywiłem perwersyjną nadzieję, że znajdę jakąś partię tureckich skór, którą niedawno wysłano, żebym mógł podsunąć ten dokument pod krzywy nochal Clinty Abelarda. Ale gdzie tam! Cały transport tkwi zamknięty na cztery spusty w magazynie w Queens.

–Przynajmniej miałeś dobre intencje – zachichotał przekornie Chet.

–Jeśli choćby szepniesz: „A nie mówiłem”, wykreślam cię ze swojego testamentu – ostrzegł Jack.

–Nie upadnę tak nisko, żeby mówić: „A nie mówiłem” – roześmiał się Chet.

–Dobrze, ale myślałeś o tym – odparł Jack.

–Muszę natomiast powiedzieć, że twoja nieobecność została zauważona. Nie martw się, kryłem cię. Wykorzystałem ten stary numer z grupą zakonnicy, której się spodziewałeś. Powiedziałem, że przyjechały do Nowego Jorku na zlot kręglarski i że wyszedłeś je powitać.

–Kto o mnie pytał?

–Na przykład Laurie – poinformował Chet. – Prawdę mówiąc, właśnie pisałem wiadomość dla ciebie. – Chet wyrwał pierwszą kartkę z notesu i zmiął ją w kulkę.

Trzymając ją między kciukiem a palcem wskazującym cisnął nią do biurowego kosza na śmieci.

–Cóż to za wiadomość? – spytał Jack.

–Miałem ci przekazać, że kolacja będzie w restauracji „Elio” przy Drugiej Avenue, o ósmej trzydzieści.

–O ósmej trzydzieści! – zawołał poirytowany Jack. – Czemu tak późno?

–Nie mówiła. Ale bez przesady. Ósma trzydzieści to znowu nie tak późno.

–Później, niż ma zwyczaj jadać – skomentował Jack. Pokręcił głową. Wszystko stawało się coraz bardziej tajemnicze. Pamiętał, że rano Laurie nie była pewna, czy utrzyma się do wieczora na nogach, co by znaczyło, że spodziewała się ciężkiego dnia. Dlaczego więc zaplanowała spotkanie o tak późnej porze?

–No cóż, nie wyglądała na strapioną – oznajmił Chet. – Właściwie była w dziwnie wesołym humorze.

–Naprawdę?

–Muszę nawet powiedzieć, że tryskała humorem.

–Tak samo zachowywała się dziś rano.

–Była w tak dobrym nastroju, że wspomniałem jej o naszych planach na czwartkowy wieczór.

–Masz na myśli nasz wspólny wypad na tę wystawę Moneta?

Chet skinął głową.

–Mam nadzieję, że się nie obrazisz.

–Co ci odpowiedziała?

–Oznajmiła, że bardzo docenia to, iż o niej myślimy, i dodała, że powzięła już inne plany.

–Rzeczywiście użyła słowa „docenia”?

–Dokładnie – potwierdził Chet. – Też mnie to zdziwiło. Wydało mi się tak nietypowo oficjalne.

–Kto jeszcze o mnie pytał? – zmienił temat Jack. Nie chciał dłużej gadać o Laurie; jątrzyło to tylko jego ciekawość i niepokój.

–Wstąpił tu Calvin – rzekł Chet. – Myślę, że był na histologii i po prostu zahaczył o nas przy okazji.

–Co powiedział?

–Chciał ci przypomnieć, że z przypadkiem Jeffersona trzeba się uporać do czwartku.

Jack machnął lekceważąco ręką.

–To będzie zależało od laboratorium, nie ode mnie.

–No, to ja się zbieram – powiedział Chet. Wstał, przeciągnął się, po czym wziął swój powieszony za drzwiami płaszcz.

–Chciałbym cię o coś spytać – odezwał się Jack. – Mieszkasz w Nowym Jorku dłużej ode mnie. Czy żółte taksówki funkcjonują tutaj na telefon?

–Raczej nie. Żyją głównie z pasażerów na ulicy – wyjaśnił Chet. – Rzadko kiedy odpowiadają na wezwania. Jak mówią: „Albo jeździsz i zarabiasz, albo stoisz i tracisz”. Nie chcą siedzieć beczynnym ani robić pustych kursów. Sami szukają klientów, inaczej są do tyłu.

–To czemu wielu z nich ma radia? – zapytał Jack.

–Mogą jeździć na wezwania, jeśli chcą – odrzekł Chet. – Ale to się nie opłaca.

Na ogół radio informuje ich, gdzie jest największy popyt na taryfę – w centrum, na przedmieściu czy na lotnisku. I których rejonów należy unikać z powodu korków i tak dalej.

Jack skinął głową.

–Tak myślałem.

–Dlaczego pytasz?

–Kiedy byłem w Korynckim Przedsiębiorstwie Dywanowym, jakiś taksówkarz przyjechał tam po Jasona Papparisa – odpowiedział Jack, krzywiąc się ironicznie.

Chet roześmiał się.

–Po raz pierwszy słyszę, żeby truposz wzywał taryfę. Ciekawe, skąd dzwonił.

–I dokąd chciał jechać tą taksówką.

Chet znów roześmiał się dudniąc.

–Taksówkarz dał mi numer do centrali swojej firmy – mówił Jack. – Zadzwoń tam. Pytałem, czy Jason był ich stałym klientem. Pomyślałem, że jeśli był, mógłbym się dowiedzieć, kiedy po raz ostatni wybrał się do swego magazynu w Queens.

–Co ci powiedzieli?

–Nie byli zbyt uprzejmi – odparł Jack. – Nie chcieli mi nawet zdradzić, kiedy Jason Papparis zadzwonił po taksówkę. Powiedzieli, że nie udzielają żadnych informacji na temat swoich kierowców i ich klientów.

–Bardzo uprzejmi i pomocni – przyznał Chet. – Przypuszczam, że można by ich wezwać do stawienia w sądzie.

–Tylko nie wiem, czy to jest warte zachodu – powiedział Jack.

–A jednak to dziwne – mówił Chet. – Jeśli ktoś w Nowym Jorku zamawia taryfę, z reguły nie przyjeżdża do niego żółta taksówka.

–Powiem ci coś jeszcze dziwniejszego – oznajmił Jack. – Ten taksówkarz był Rosjaninem i wychował się w Swierdłowsku.

–W Swierdłowsku! – zawołał Chet. – W tym mieście, gdzie doszło do zakażenia wąglikiem? Pokazałeś mi to dzisiaj w podręczniku Harrisona!

–Dasz wiarę? – spytał Jack. – To dopiero zbieg okoliczności.

–No cóż, jesteśmy w Nowym Jorku. Podejrzewam, że nie powinniśmy być zdziwieni, w tym mieście wszystko się może zdarzyć.

–Ten facet wiedział nawet, co to jest wąglik – dodał Jack.

–Nie żartuj.

–No, nie wiedział o nim wiele – poprawił się Jack. – Wiedział tylko, że to choroba bydła. Wspomniał o krowach i owcach.

–Ośmielę się zauważyć, że to znacznie więcej, niż wie przeciętny nowojorczyk – stwierdził Chet.

Pogadali jeszcze chwilę o sprawach, które ich zaprzętały w miniony weekend, a potem Chet pożegnał się i wyszedł. Jack odwrócił się do swojego biurka. Bez entuzjazmu spojrzął na ciągle rosnącą górę nie skończonych przypadków leżącą obok sterty histologicznych przezroczy. Już miał wyciągnąć mikroskop, kiedy zerknął na zegarek. Było po siódmej. Ponieważ musiał jeszcze pojechać rowerem do domu, wziąć prysznic i przebrać się, po czym pognać z powrotem przez miasto, aby zdążyć na ósmą trzydzieści, Jack doszedł do wniosku, że nie będzie już pracował.

Ruch na Pierwszej Avenue był nieco mniejszy niż pół godziny temu. Jack minął budynek Narodów Zjednoczonych. Czterdziestą Dziewiątą Ulicą dojechał do Madison Avenue, po czym znowu skręcił na północ. Rzadko wracał do domu tą samą drogą, dopiero przy placu Grand Army, na południowo-wschodnim skraju Central Parku, robił co wieczór rundę wokół fontanny Pulitzera, aby podziwiać stojącą na niej pozłacaną, nagą statuetkę Obfitości. Potem wjeżdżał do Central Parku – jego ulubionego etapu podróży. Już dawno odkrył najlepszą i najbardziej malowniczą drogę, którą zazwyczaj obierał przez park.

Uważnie obserwując innych rowerzystów, biegaczy i wrotkarzy, Jack przyspieszył. Liście, które częściowo już opadły, wirowały teraz za nim, wypełniając mu płuca nieomylnym zapachem jesieni.

Chociaż Jack uwielbiał tę błyskawiczną przejażdżkę przez park, zawsze zachowywał szczególną ostrożność. Ilekroć znajdował się w tej samotnej oazie pośród tętniącego życiem miasta, zawsze przypominał sobie wieczór, kiedy o mało nie został tutaj zastrzelony przez wynajętego gangstera. Nie miał wątpliwości, że wśród cichych parkowych cieni

czyhają niebezpieczeństwa.

Jack wypadł ze spokojnej ciemności na huczącą aleję Central Park West. Miał wrażenie, że powrócił do cywilizacji. Znacznie zwolnił i lawirując między żółtymi taksówkami, posuwał się na północ. U zbiegu ulic Sto Pierwszej i Szóstej skręcił na zachód.

Wiedząc, że nie ma zbyt wiele czasu, miał szczerzy zamiar pojechać wprost do swojej czynszówki. A jednak nie oparł się syreniej pieśni płynącej z okolic boiska do koszykówki. Choć nie było mowy o graniu, nie umiał przejechać bez sprawdzenia, co się dzieje pod koszami.

Boisko było wydzieloną częścią większego, wybetonowanego placu, gdzie znajdowały się huśtawki, drążki i piaskownice dla młodszych dzieci, a także ławeczki dla ich matek. Jack kochał koszykówkę. Kiedyś grał w Amherst College, który nigdy nie słynął ze zbyt walecznego zespołu. Gdy wiele lat później przeniósł się do Nowego Jorku, któregoś dnia wyszedł na boisko, żeby trochę pobawić się piłką, ale przypadkiem okazało się, że miejscowym brakuje jednego koszykarza. Zgodzili się więc obniżyć poziom i zaprosili Jacka do gry. Szybka, często na pograniczu faulu gra wciągnęła go bez reszty. Obecnie, jeśli tylko sprzyjała pogoda, koszykówka stała się jego nocnym rytuałem.

Przez niemal rok Jack był jedynym białym graczem w grupie miejscowych, znacznie młodszych, czarnych koszykarzy. Ale w ciągu następnych lat do rywalizacji włączyło się dwóch innych białych oraz kilku Murzynów, rówieśników czterdziestoczteroletniego Jacka.

Jako stały gracz i miłośnik koszykówki, Jack pokrył koszty zainstalowania nowych tablic i lamp rtęciowych oraz kupił nowe piłki. Ów filantropijny i dokonany we własnym interesie gest doszedł do skutku dzięki negocjacom z lokalnymi liderami.

Ostatecznie uzgodniono, że Jack zapłaci też za odnowienie pozostałych urządzeń na terenie parku. Jack nie miał zupełnie nic przeciwko temu i uznał, że to niewielka cena za przyjęcie go w poczet członków osiedla.

Jack podjechał do grubego metalowego płotu, który oddzielał boisko od chodnika dla pieszych. Nie wyciągając stóp z nosków w pedałach, chwycił się siatki dla utrzymania równowagi. Tak jak się spodziewał – trwał mecz, gracze biegali po boisku.

–Hej, doktorku! – zawołał czyjś głos. „Doktorek” był osiedlową ksywką Jacka. – Gdzieś ty był? Bierz dupę w troki i włącz na boisko. Będziesz tam stał, czy jak?!

Jack spojrzął za boczną linię boiska. Zobaczył silnie umięśnioną sylwetę Warrena Wilsona koźlującego piłkę między nogami tam i z powrotem. Jego ogolona na łyso głowa lśniła w blasku lamp. Stał z grupką kolegów, czekając na wejście do gry.

–Nie mam czasu! – odkrzyknął Jack.

Warren oderwał się od reszty i ruszył w stronę Jacka. Dołączył do niego Flash, jeden z wyższych chłopaków, który grał mniej więcej tak samo jak Jack. Warren miał nad nimi miażdżącą przewagę.

Jack skinął na powitanie Flashowi, który odwzajemnił gest. Ponieważ mieli mniej więcej te same umiejętności, często kryli się nawzajem, grając w przeciwnych zespołach. Flash miał niemiły zwyczaj ogrywania Jacka, kiedy ważył się końcowy wynik. Trwała między nimi przyjacielska rywalizacja.

–Co to znaczy: „Nie mam czasu”? – zapytał Warren, opierając się o siatkę. – Prawie się nie pokazywałeś w tym tygodniu. Coś mi się zdaje, że pochrzaniły ci się priorytety. Praca przeszkadza ci w grze, czy co? – Warren uwielbiał drażnić się z Jackiem na temat tego, co się liczy w życiu.

–O wpół do dziewiątej muszę się spotkać w mieście z Laurie – wyjaśnił Jack.

–Mamy same asy – powiedział Flash. Mówił nadzwyczaj niskim, pełnym barytonem. – Ja, Warren, Spit i Ron. Mamy miejsce dla jeszcze jednego, jeśli wyrobisz się w rekordowym czasie. Szykuje się ostra walka.

–Kusisz mnie – wyznał Jack.

–Pobijemy tę drużynę, która teraz wygrywa – obiecał Warren. – Ale nie chcemy cię zatrzymywać. Twoja pani czeka.

Jack zerknął na zegarek, a potem na biegających po boisku graczy. Korciło go, żeby zagrać, ale wiedział, że wtedy nie zdąży dotrzeć na czas do „Elio”. Koniec końców musiał pokręcić odmownie głową.

–Przykro mi, nie dzisiaj.

–Natalie suszy mi głowę, żebyśmy się kiedyś spotkali – powiedział Warren. – Ostatnio w ogóle was nie widać, ludzie.

–Powiem jej – obiecał Jack, choć nie był w tej sprawie optymistą, zwłaszcza jeżeli Laurie przenosi się na Zachodnie Wybrzeże. Myśl o ewentualnym wyjeździe Laurie sprawiła, że się skrzywił.

–Hej, człowieku, wszystko w porządku? – zapytał Warren. Pochylił się i przyjrzał się Jackowi przez siatkę.

–Jasne, że tak – odparł Jack, biorąc się w garść.

–Z Laurie wszystko gra? – pytał Warren. – Znaczy się, chyba nie skaczecie sobie do gardła, co?

–Nie, wszystko gra – uspokoił go Jack. Prawda jednak była taka, że od miesiąca on i Laurie prawie się nie widywali.

–Myślę, że przy pierwszej okazji powinieneś trochę pobiegać – poradził Warren. – Wyglądasz mi na zestresowanego.

–Masz rację! Potrzeba mi ruchu – zgodził się Jack. – Jutro wieczorem, na mur.

Jack się pożegnał i ruszył w stronę swego bloku. Wiedząc, że za chwilę znów wyjdzie, przytwierdził rower do poręczy przy frontowych schodach. Potem wspiął się do mieszkania i wskoczył pod prysznic.

Po kąpeli zlustrował skromną zawartość szafy, zastanawiając się, w co się ubrać. Wściekał się na siebie za głupie niezdecydowanie. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio miał kłopoty z doborem ubrania. Wreszcie włożył swoje zwykłe dżinsy, błękitną sztruksową koszulę, ciemnoniebieski krawat z włóczki i tweedową marynarkę ze skórzanymi łątami na łokciach. Przesunął szczotką po krótkich włosach, aby zachęcić je do ułożenia w pożądanym kierunku, a potem zszedł z powrotem na ulicę i wsiał na rower.

Przez park przejechał bez niespodzianek. Zjechał Piątą Avenue na południe, po czym Osiemdziesiątą Czwartą dotarł do Drugiej Avenue. Restauracja znajdowała się tuż za rogiem. Gdy zamykał rower, ręce lekko mu drżały. Wchodząc do restauracji, zastanawiał się, dlaczego jest taki spięty.

W „Elio” był tłok. Po lewej ręce znajdował się mały barek na pięć osób. Po prawej stało skupisko stolików, przy których raczyli się kolacją ludzie znani z telewizyjnych ekranów. Jack przyglądał się jedzącym, szukając znajomej twarzy Laurie i jej błyszczących kasztanowych włosów.

–Czym mogę służyć? – spytał ktoś, przekrzykując gwar rozmów. W jego głosie dał się słyszeć leciutki, gardłowy niemiecki akcent.

Jack obrócił się i ujrzał kierownika sali.

–Mamy rezerwację, jak sądzę – powiedział Jack.

–Na jakie nazwisko?

–Montgomery, jak mniemam.

Gospodarz spojrział na listę.

–Ach tak, naturalnie. Panna Montgomery jeszcze nie przyszła, lecz jest już inny z zaproszonych gości. Siedzi przy barze. Za moment poproszę pana do stolika.

Jack utorował sobie drogę między klientami, obierając z grubsza kierunek na bar. Zobaczył Lou siedzącego na wysokim stołku; w rękę ścisnął piwo i od czasu do czasu zaciągał się papierosem. Jack dotknął jego ramienia. Lou spojrział na niego z wściekłym wyrazem twarzy.

–Nie wyglądasz na uszczęśliwionego.

Lou zdusił papierosa w popielniczce z miną winowajcy.

–Bo nie jestem. Boję się. Zaniepokoiłem się o Laurie po naszej rozmowie dziś rano. Spędziłem z nią większość dnia i nie mogłem nie zauważyć, że zachowuje się dziwnie, jakby była na rauszu. Kiedy w końcu zdobyłem się na odwagę i zapytałem, co się dzieje, tylko się roześmiała i odparła, że dowiem się wieczorem. Obawiam się, że zamierza wyjechać. Kto wie, czy nie dostała gdzieś oferty pracy. Patolodzy sądowi są poszukiwani. Wiem o tym z całą pewnością.

Jack nie potrafił się powstrzymać od uśmiechu. Patrząc na Lou, miał wrażenie, że ogląda swoje lustrzane odbicie – i widok ten był wprost żalosporny. Lou zadreślał się tym samym co on. – Śmieję się z mnie, ile chcesz – powiedział Lou. – Zasluguję na to.

–Ja nie śmieję się z ciebie. Śmieję się z nas obu. To samo i mnie przyszło do głowy. Co więcej, wybrałem nawet miejsce: Zachodnie Wybrzeże.

–Serio?

Jack przytaknął.

–Nie wiem, czy to mi polepsza czy pogarsza humor – wyznał Lou. – Cieszę się, że mam towarzystwo, ale to zapewne znaczy, że obaj mamy rację.

Jack odchylił się, aby móc lepiej się przypatrzeć Lou. Był pod wrażeniem. Detektyw ogolił się, usuwając z twarzy popołudniowy cień zarostu, a nawet posmarował włosy pomadą, tak że jego równiutki przedziałek lśnił. Wymięta sportowa marynarka i obwisłe spodnie zniknęły, zastąpione przez idealnie odprasowany garnitur, świeżą koszulę i nowy krawat. Najbardziej zdumiewające jednak były wyglansowane na wysoki połysk buty Lou.

–Pierwszy raz widzę cię w garniturze – zaobserwował Jack. – Wyglądasz, jakbyś wyszedł z czasopisma, i nie mam tu bynajmniej na myśli czasopisma „True Detective”.

–Zwykle wkładam go na pogrzeby – stwierdził Lou.

–Pokrzepiająca uwaga – odrzekł Jack.

–Przepraszam – odezwał się stojący obok Jacka kierownik sali. – Stolik jest już gotowy. Czy chcieliby panowie usiąść, czy też zostać tutaj, przy barze?

–Usiądziemy – odparł Jack bez zastanowienia. Pragnął jak najszybciej uwolnić się od dymu papierosowego, od którego aż gęsto było przy barze.

Stolik znajdował się w głębi sali i żeby do niego dotrzeć, należało się wykazać zręcznością, gdyż stało tam mnóstwo stołów. Zaledwie Jack i Lou wcisnęli się na swoje miejsca, pojawił się kelner z butelką zimnego szampana i dwiema butelkami drogiego wina. Bez zwłoki przystąpił do otwierania szampana.

–Ejże! – odezwał się Jack. – Pomylił pan stoliki. Jeszcze niczego nie zamówiliśmy.

–Czy to nie jest przyjęcie panny Montgomery? – zapytał kelner. Mówił z hiszpańskim akcentem i miał staromodne, sterczące wąsy. Chociaż „Elio” była włoską restauracją, obsługa była zdecydowanie kosmopolityczna.

–Owszem, ale... – zaczął Jack.

–W takim razie wszystko w porządku – wpadł mu w słowo kelner. Wyjął korek i wsunął butelkę z powrotem do koszyczka z lodem. Następnie odkorkował dwie butelki wina.

–Wygląda na dobre wino – zauważył Jack. Wziął do ręki butelkę i spojrzał na nalepkę.

–O, wyśmienite! – zgodził się kelner. – Za chwilę przyniosę panom kieliszki.

Jack popatrzył na Lou.

–To nie jest wino stołowe, które zwykle pije.

–Coraz bardziej się denerwuję – powiedział Lou. – Laurie nie należy do rozrzutnych.

–Prawda – przyznał Jack. Ilekroć wychodzili gdzieś razem, Laurie zawsze upierała się, by za siebie płacić.

Kelner wrócił z kieliszkami i zaczął nalewać szampana. Jack usiłował wyjaśnić, że czekają na pannę Montgomery, lecz kelner odparł, iż wykonuje jej polecenia.

Gdy kelner się oddalił, Jack podniósł swój kieliszek. Lou zrobił to samo. Żaden z nich się nie odezwał. Jack usiłował wymyślić toast, ale nic odpowiedniego ani mądrego nie przyszło mu do głowy. W milczeniu stuknęli się kieliszkami i spróbowali musującego płynu.

–Zapewne jest dobry – przyznał Lou. – Ale nigdy nie przepadałem za szampanem. Dla mnie jest to napój, który leje się podczas sportowych zwycięstw.

–Ja też tak to widzę – potwierdził Jack. Wziął kolejnego łyka i w tej samej chwili zobaczył nad krawędzią kieliszka zmierzającą w ich stronę Laurie. Była ubrana w czarny, aksamitny garnitur z obcisłymi spodniami, które podkreślały jej kobiecą sylwetkę. Wokół szyi okręcony był potrójny sznur pereł. Na Jacku zrobiła piorunujące wrażenie – do tego stopnia, że o

mało co nie zakrztusił się szampanem.

Jack i Lou zerwali się równe nogi. Było tak ciasno, że Lou Popchnął przy tym stolik tak, iż wylał szampana ze swojego kieliszka. Na szczęście Jack trzymał swój w ręce.

–Ale ze mnie fajtłapa! – warknął Lou.

Laurie roześmiała się, chwyciła serwetkę i wytarła rozlane wino. Kelner wyrósł jak spod ziemi, aby im pomóc.

–Dziękuję wam, że przyszliście – odezwała się Laurie i pocałowała każdego z nich w policzek.

W tym momencie Jack zdał sobie sprawę, że Laurie nie jest sama. Tuż za nią kroczył opalony mężczyzna o oliwkowej karnacji, z czupryną kręconych włosów i olśniewająco białym uśmiechem. Choć był niewiele wyższy od Laurie, emanowała z niego pewność siebie i siła. Jack oceniał, że tamten ma prawie tyle samo lat co on.

Mężczyzna ubrany był w ciemny jedwabny garnitur, przy którym ubranie Lou wyglądało jak ze sklepu z tanią odzieżą. W jego kieszeni na piersi pęczniała jasna fularowa chustka.

–Chcę wam przedstawić Paula Sutherlanda – powiedziała Laurie. Jej głos zadrżał lekko, jakby była zdenerwowana.

Najpierw Lou, a potem Jack uścisnęli mężczyźnie dłoń. Jack nie potrafiłby powiedzieć, gdzie kończą się tęczęwki Paula, a gdzie zaczynają źrenice.

–Dlaczego stoimy? – zapytała Laurie.

W odpowiedzi Paul natychmiast wysunął krzesło spod stołu. Gdy Laurie usiadła, mężczyźni poszli za jej przykładem. Kelner szybko nappełnił kieliszki szampanem.

–Chciałabym zaproponować toast – oznajmiła Laurie. – Za przyjaciół.

–Na zdrowie! – zawtórował Paul.

Stuknęli się kieliszkami i wypili.

Na chwilę zaległa krępująca cisza. Jack i Lou nie mieli pojęcia, dlaczego Laurie przywiodła nieznanego na kolację, lecz bali się zapytać.

–Tak – wreszcie odezwała się Laurie. – Cóż to był za dzień, nie sądzisz, Lou?

–Rzeczywiście – przytaknął Lou.

–Mam nadzieję, że wybaczysz nam, iż mówimy o pracy, Paul. Ten przypadek skinheada, o

którym ci wspominałam, zajął nam prawie cały dzień.

–Rozumiem – zapewnił Paul. – Jestem pewien, że posłucham was z najwyższym zainteresowaniem. Ten stary serial o lekarzu sądowym był jednym z moich ulubionych programów telewizyjnych.

–Paul jest biznesmenem – wyjaśniła Laurie.

Jack i Lou jednocześnie skinęli głowami. Jack oczekiwał, że dowie się czegoś więcej o pracy Paula, ale Laurie zmieniła temat.

–Dowiedziałam się dzisiaj aż nadto dużo o skrajnej prawicy – dodała. – Zwłaszcza o prawicowych bojówkach i skinheadach.

–Ja nie wiedziałem zupełnie nic o roli muzyki w ruchu skinheadów – wyznał Lou.

–Najbardziej zdumiewa mnie i przeraża to, że te bojówki objęły swoim działaniem cały kraj – mówiła Laurie. – Agent specjalny Gordon Tyrrell szacuje, że na terenie Stanów działa około czterdziestu tysięcy uzbrojonych po zęby survivalowców, którzy czekają Bóg wie na co.

–Przypuszczam, że na to, aż rząd zawali się pod ciężarem własnej biurokracji – powiedział Paul. – Jak gwiazda neutronowa. Wtedy survivalowcy, zamiast uprawiać sztukę przetrwania, będą mogli przejąć władzę.

–Sami też czynnie pomagają rządowi – dodała Laurie. – Agent Tyrrell twierdzi, że kiedy Związek Radziecki przestał być archetypowym wrogiem, rozbięcie rządu stało się dla bojówkarzy usprawiedliwieniem użycia przemocy.

–Innym motywem jest zemsta – zauważył Lou. – Weźmy na przykład Timothy'ego McVeigha. Podobno usiłował odegrać się na rządzie za szturm, który agenci federalni przypuścili na sektę Davida Koresha w Waco w Teksasie.

–A ja łudziłam się, że Timothy McVeigh był wyjątkiem – przyznała Laurie. – Ale to nieprawda, i to jest właśnie najstraszniejsze. Na świecie jest czterdzieści tysięcy potencjalnych McVeighów. Nie wiadomo, gdzie i kiedy uderzą.

–Ani jak – dodał Jack. – Pamiętacie ten wykład Stana Thorntona, którego wysłuchaliśmy w Sztacie Kryzysowym? Nie można wykluczyć, że broń masowej zagłady wpadnie w łapy któregoś z tych szaleńców.

–A wtedy, Boże, miej nas w swojej opiece – rzekła Laurie.

–Zdaniem Gordona Tyrrella pytanie nie brzmi „jeśli” – oznajmił Lou. – Jego wydział zwalczania terroryzmu uważa, że pytanie brzmi „kiedy”. Pomyślcie tylko o wszystkich bombach atomowych, których był Związek Radziecki nie może się doliczyć.

–Zamówmy kolację – zaproponowała Laurie, potrząsając smutno głową. – Jak będziemy o tym dłużej rozmawiać, to stracę apetyt.

Kelner zbliżył się do ich stolika natychmiast po wezwaniu. Jednym tchem wyrzucił z siebie imponujący zestaw specjalności zakładu, nalewając resztę szampana.

Złożyli zamówienia i kelner zniknął w kuchni.

–Ostatnie pytanie na temat twojego przypadku skinheada – Jack zwrócił się do Laurie. – Czy znalazłaś podczas autopsji coś, co by się przydało w śledztwie prowadzonym przez FBI?

Laurie westchnęła i zerknęła na Lou.

–Nie bardzo. Co mówisz, Lou?

–Być może okaże się, że miałaś słuszność, iż rany klute zostały zadane nożem z ząbkowaną górną krawędzią ostrza – stwierdził Lou. – Pod warunkiem, że odnajdziemy ten nóż. Także kula, którą wyjęłaś z mózgu, może nam się przydać, ale za wcześnie na ocenę, najpierw muszą się nią zająć balistycy. Nic natomiast nie da nam odkrycie, że użyte do ukrzyżowania gwoździe są produkcji polskiej, bo jak już ustaliłem, sprzedaje się je w całym kraju.

–A więc siedziba Ludowej Armii Aryjskiej to ciągle zagadka? – spytał Jack.

–Niestety, tak – potwierdził Lou. – Jedynym pocieszającym faktem jest to, że ostatnio ich ruch w Internecie nagle zmalął. Mamy nadzieję, że to oznacza, iż wycofali się z jakichś swoich planów.

–Miejmy nadzieję – zgodził się Jack.

Podano przekąski i rozlano wino. Skupili się na jedzeniu i przez jakiś czas rozmowy ograniczały się do minimum. Jack rzucał Laurie ukradkowe spojrzenia, lecz nie udało mu się nawiązać z nią kontaktu wzrokowego.

–Opowiedz nam o swoim dzisiejszym przypadku – Laurie poprosiła Jacka. – Słyszałam, że jest interesujący.

Jack musiał odchrząknąć.

–Zaskakujący, owszem, interesujący... bo ja wiem. Chodzi o płucną postać wąglika.

–Wąglik? – zdziwiła się, nie kryjąc zaciekawienia. – To potencjalna broń biologiczna.

–W samej rzeczy – potwierdził Jack. – Ale na szczęście czy też na nieszczęście, zależy, jak się na to zapatrywać, przypadek ten ma bardzo prozaiczne źródło. Ofiara sprowadziła

niedawno partię dywanów z Turcji, gdzie ta choroba występuje endemicznie. Wszystko wskazuje na to, że nie ma innych ofiar, dywany zaś spoczywają zamknięte bezpiecznie w magazynie w Queens. Ot, i koniec historii. Epidemiolog miejski przyjął ją z sakramenckim spokojem.

–Dzięki ci, Panie, za twe małe łaski – odezwała się Laurie.

–Amen – dodał Lou.

Nadjechały dania główne; zaczęli jeść kolację i rozmowa zesłała na neutralne tematy. Zwłoka w omówieniu kwestii, dla której naprawdę się spotkali, tylko podkreśliła ciekawość i napięcie Jacka. Jego niepokój wzbudziła subtelna i – według niego – niestosowna zażyłość, jaka łączyła Laurie z Paulem. Zauważył, że ona muska jego ramię, a on ociera kąciki jej ust swoją serwetką. Jack uznał te intymne gesty za niestosowne, wiedział, że Laurie nie może znać tego człowieka zbyt długo.

W końcu podano kawę, Laurie odchrząknęła i delikatnie zadzwoniła widelcem w kieliszek. Paul uśmiechnął się z samozadowoleniem i rozparł na krześle. Z całą pewnością uważał, że przyjęcie należy niepodzielnie do Laurie.

–Przypuszczani, że zastanawiacie się, dlaczego was tutaj zaprosiłam – zaczęła Laurie.

Ależ skąd, nawet mi to przez myśl nie przeszło, pomyślał Jack, czując, jak przyspiesza mu tętno.

–Nie bardzo wiem, jak wam to powiedzieć, ale... – Laurie urwała i spojrzała na Paula, który wzruszył ramionami, jakby dawał do zrozumienia, że on również nie wie.

No, wyrzuć to z siebie, zanim się porzygam! – ponaglił ją w duchu Jack.

–Przede wszystkim jestem winna wam obydwu przeprosiny – stwierdziła Laurie. Popatrzyła najpierw na Jacka, a potem na Lou. – Przepraszam, że musiałam dzwonić do was tak wczesnie rano. Przynajmniej dla was pora była wczesna.

Jack zamrugał oczami. Nie rozumiał Laurie. O co jej chodzi z tym czasem?

–To dlatego, że dzwoniłam z Paryża – wyjaśniła Laurie. – Paul i ja pojechaliśmy na weekend do Francji i akurat czekaliśmy na wejście do concorde'a, którym mieliśmy wrócić do Nowego Jorku.

Paul skinął głową, potwierdzając tę niespodziewaną wiadomość.

–Paul miał w Paryżu coś do załatwienia i był łaskaw zaprosić mnie do towarzystwa. To był niczego sobie weekend. – Laurie spojrzała na Paula i wyciągnęła prawą rękę, którą on ujął z czułością.

Jack wyszczerzył zęby. Nagle Paul zaczął mu się jawić jako wąż, który zdołał uwieść Laurie jednym szarmanckim gestem: weekendem w Paryżu.

–Tam zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego – kontynuowała Laurie. – Przynajmniej jeśli chodzi o mnie.

Laurie wyjęła lewą rękę spod stołu, pod którym trzymała ją dyskretnie podczas kolacji. Dramatycznym gestem rozwarła dłoń i rozcapierzyła palce.

Zarówno Jack, jak Lou zamrugali ze zdumienia oczami. Na serdecznym palcu Laurie tkwił diament wielkości golfowej piłeczki; kamień zdawał się łowić całe światło i odbijać je z oślepiającą intensywnością.

–Bierzecie ślub – stwierdził Lou, jakby obwieszczał nadciągający kataklizm.

Laurie i Paul nie usłyszeli w jego głosie przerażenia, lecz uroczysty ton.

–Na to wygląda – odparła z uśmiechem Laurie. – Na razie nie powiedziałam jeszcze ani „tak”, ani „nie”, ale, jak widzicie, Paul namówił mnie do przyjęcia pierścienia. Nawet nasi rodzice nic jeszcze nie wiedzą. Wy jesteście pierwsi.

–To wielki zaszczyt – zdołał wykrztusić Jack. Jego umysł miotał się w poszukiwaniu wyjaśnienia tak nagłego obrotu sprawy. Uważał Laurie za zbyt dojrzałą, aby mogła się zachowywać w tak szczeniacki sposób.

–Przeżyliśmy prawdziwy huragan – westchnęła Laurie. Spojrzała na Paula, szukając u niego potwierdzenia swoich słów.

–Ja określiłbym to raczej jako burzę z piorunami – stwierdził Paul i zalotnie puścił do niej oko.

Następnie Laurie i Paul dali żywy opis romantycznych przeżyć, jakie spotkały ich w poprzednim miesiącu. Rola Jacka i Lou ograniczała się do potakiwania w odpowiednim momencie i do podtrzymywania wymuszonych uśmiechów.

Kiedy wreszcie skończyli, Paul przeprosił zebranych i udał się do toalety. Laurie odprowadziła go wzrokiem. Obróciwszy się z powrotem do dwójki starych przyjaciół, westchnęła przeciągle.

–Czyż on nie jest cudowny? – spytała.

Jack i Lou popatrzyli po sobie z nadzieją, że żaden z nich nie będzie musiał odpowiadać.

–No? – powtórzyła Laurie.

Obaj mężczyźni odezwali się równocześnie, po czym zaraz umilkli, ustępując sobie pola.

–O co chodzi? Robicie próby przed komedią? – zapytała z naciskiem Laurie. Jej niebiański uśmiech przygasł. – Co się z wami dzieje?

–Nie spodziewaliśmy się takiej sytuacji – wyznał nareszcie Jack. – Sądziliśmy, że otrzymałaś ofertę pracy i że zamierzasz się przeprowadzić. Do głowy nam nie przyszło, że wychodzisz za męża.

–A to dlaczego?! – zawołała Laurie. – Czuję się dotknięta tą uwagą. Jestem zbyt stara, czy co?

–Nie o to mi chodziło – zaprzeczył potulnie Jack.

–Od jak dawna znasz tego człowieka? – spytał Lou.

–Od paru miesięcy – odpowiedziała wymijająco Laurie. – Wiem, że to dość krótko, ale moim zdaniem nie to jest najważniejsze. Paul jest inteligentny, łagodny, szczodry i pewny siebie, chce i potrafi zaangażować się w nasz związek. Jeśli o mnie chodzi, wszystkie te cechy są ważne. Szczególnie jego pewność siebie i umiejętność życia w trwałym związku.

Jack i Lou mimowolnie poczuli się oskarżeni.

–Nie mogę w to uwierzyć – dodała Laurie. – Sądziłam, że kto jak kto, ale wy dwaj będziecie życzyć mi szczęścia.

–Jakiego rodzaju interesy prowadzi Paul? – zapytał Jack.

–Co to za pytanie? – fuknęła Laurie.

–Zwyczajne – odparł nieśmiało Jack.

–Prawdę powiedziawszy, nie wiem – przyznała Laurie. – I wcale nie zależy mi, aby się dowiedzieć. Mnie interesuje Paul, a nie to, z czego się utrzymuje. Wy, mężczyźni, jesteście beznadziejni.

–Czy twoi rodzice już go poznali? – spytał Lou.

–Naturalnie – odrzekła Laurie. – Poznałam go przez rodziców.

–To miło – powiedział Lou.

Laurie roześmiała się niewesoło.

–Inaczej wyobrażałam sobie ten wieczór.

Ani Jack, ani Lou nie bardzo wiedzieli, co na to odpowiedzieć. Na szczęście wybawił ich Paul. Był w szampańskim nastroju, kompletnie nie domyślał się, co zaszło w czasie jego

krótkiej nieobecności. Nie zdążył jeszcze usiąść, gdy Laurie podniosła się.

–Myślę, że na nas już pora – oświadczyła.

–Nie wypijemy paru drinków przy barze? – zapytał Paul.

–Uważam, że na dzisiaj wystarczy. Jak powiada Jack: nie zapominajmy o szkole.

Jack uśmiechnął się blado. Poczucie, że zawiódł Laurie, jeszcze bardziej zepsuło mu humor. Wstał.

–Gratuluje wam, dzieciaki – powiedział z nieszczerym entuzjazmem. – Jak przystało na taką okazję, Lou i ja bierzemy rachunek na siebie.

–Nie ma potrzeby – oznajmił Paul tonem wyższości. – Byliście naszymi gośćmi.

–Wolałbym sam zapłacić – powiedział Jack. – Tak byłoby sprawiedliwiej.

–Bynajmniej – odrzekł Paul. Wyciągnął rękę i pożegnał się z Jackiem i Lou. – Cieszę się, że poznałem dwóch najbliższych przyjaciół Laurie. Nawet nie wiecie, jak wspaniale się o was wyraża... i jak często. Mężczyzna może się poczuć zazdrosny. – Parsknął śmiechem.

–Do widzenia jutro w biurze – powiedziała Laurie. Odwróciła się i ruszyła przez zatłoczoną restaurację. Paul machnął im po raz ostatni ręką i spieszenie podążył za nią.

Jack spojrzał na Lou.

–Co chcesz zrobić?

–Iść do domu i palnąć sobie w łeb – odparł Lou.

–Nie chciałbyś mieć kogoś do towarzystwa?

Obaj opadli na krzesła. Jack był wstrząśnięty. Zamażpójście Laurie było o wiele gorsze niż przeprowadzka. To tak, jakby zamiast wyjechać na Zachodnie Wybrzeże, Laurie odlatywała na Wenus. Ten epizod nagle uzmysłowił Jackowi, jak bardzo starał się unikać myślenia o przyszłości. Wyrzuty sumienia, które dręczyły go w związku z rodziną, wciąż nie pozwalały mu sięgnąć po przyszłe szczęście. Stały związek wydawał mu się trudny do przyjęcia.

Lou oparł głowę na splecionych dłoniach. Wyglądał jak uosobienie czarnej rozpacz.

–Martwiłem się, że Laurie wychodzi za mąż – wyznał. – Za ciebie.

–Za mnie? – spytał Jack ze zdziwieniem. – A ja martwiłem się, że wyjdzie za ciebie. Wiem, że byliście z sobą, zanim ja pojawiłem się na scenie.

–Niepotrzebnie się martwiłeś – zapewnił go Lou. – Małżeństwo nie było nam pisane. Nic by z tego nie wyszło. Przez ten kawałek czasu, kiedy chodziliśmy ze sobą, zdążyłem wszystko popsuć. Za każdym razem, gdy zdarzał się jakiś rozdzwięk, myślałem, że Laurie chce ze mną zerwać, i zachowywałem się jak kretyn. W końcu oboje mieliśmy tego po dziurki w nosie i odbyliśmy długą, poważną rozmowę. Przed chwilą, kiedy Laurie napomknęła, że uważa „pewność siebie” za ważną cechę charakteru, miała na myśli właśnie na mnie.

–Fragment o zdolności do życia w stałych związkach odnosił się do mnie – dodał Jack.

–Ach, więc o to chodziło? – spytał Lou. – Nigdy nie mogłem dociec, co się stało. Wydawaliście się wręcz stworzeni dla siebie. No wiesz, podobne wychowanie, luksusowe szkoły i cały ten szajs.

–Częściowo tak było – potwierdził Jack. – Ale ja jestem tak pokręcony, że nawet nie potrafię ci podać wszystkich powodów.

–To tragedia! – zawołał smutno Lou. – Dla ciebie i dla mnie. Gdyby związała się z tobą, przynajmniej mógłbym nadal być waszym przyjacielem. Jeśli wyjdzie za tego kmiotka, to jestem skreślony. Przyznaję, że marzyłem, że Laurie i ja zostaniemy przyjaciółmi, nawet jeśli ona wyjdzie za męża. Ale dziś wieczorem, jak zobaczyłem ten kamień na jej palcu, od razu dotarło do mnie, że moje wyobrażenia na temat naszej przyjaźni nie są warte funta kłaków.

–Ja przypuszczam, że łudziłem się nadzieją, iż zawsze będzie tak jak dotychczas – oświadczył Jack.

Lou skinął głową i zamyślił się na moment, nim zadał pytanie:.

–Co sądzisz o tym facecie?

–Waż w trawie – odparł momentalnie Jack. – Ale nie wiem czy stać mnie na obiektywizm. Oczywiście, zżera mnie zazdrość. Wkurzało mnie to, jak bez przerwy się dotykali.

–Mnie też to działało na nerwy – powiedział Lou i znowu przytaknął. – Jak dwoje nastolatków. Niedobrze mi się robiło. Ale także wątpię, czy umiem być obiektywny. Jednak według mnie to wszystko stało się zbyt szybko, tak jakby facet polował na jej pieniądze, mimo że Laurie jest przecież bez grosza. Być może jednak przemawia przeze mnie cyniczny policjant.

Jack pokręcił smętnie głową.

–Możemy tutaj siedzieć i oczerniać go ile wlezie, ale faktem jest, że facet jest bardziej spontaniczny od nas, no i ma o wiele więcej forsy. Wyobraź sobie: weekend w Paryżu! Nie ma mowy, żebym ja ją tam zabrał. Oszalałbym, myśląc o kosztach, i już na starcie byłbym do niczego.

–Krew mnie zalewa, jak pomyślę, że są ludzie, których na to stać – stwierdził Lou. – Ja płacę alimenty i wychowuję dwójkę dzieci. Ledwie wiążę koniec z końcem.

–Może to tylko zazdrość – zasugerował Jack. Lou odsunął krzesło i wstał.

–Wracam do domu, zanim całkiem dopadnie mnie depresja. Od dwóch dni nie zmrużyłem oka.

–Jadę z tobą – oznajmił Jack.

Obaj mężczyźni wymknęli się z restauracji. Wesoła atmosfera lokalu do reszty zepsuła im humory.

Rozdział 8 18 października, poniedziałek, 20.15 Kiedy Curt i Steve wyszli, Jurij zszedł do swojego ukochanego laboratorium.

Najpierw naprawił szkody wyrządzone przez Connie, która powyłamywała sztaby przy kłódkach. Dla pewności zamienił śrubki na sworznie – aby je wyłamać, intruz potrzebowałby czegoś solidniejszego niż zwykły łom.

Cały czas zastanawiał się nad niepokojącą wizytą, jaką złożyli mu Curt i Steve.

Ich gniew, wywołany jego odwiedzinami w remizie, zaskoczył go. Wyjaśnienie, że naraził ich na niebezpieczeństwo, bo był obcokrajowcem z rosyjskim akcentem, nie brzmiało przekonująco. Nowy Jork to kosmopolityczne miasto. Co drugi mieszkaniec mówi tutaj z obcym akcentem.

Jurij przypuszczał, że musi być inny powód, dla którego nie chcą, by się pokazywał w remizie. Choć niczego się nie domyślał, poczuł się nieswojo. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, co naprawdę łączy go z Curtem i Steve'em. Wiedział, że tamci mają mnóstwo uprzedzeń, i przemknęło mu przez myśl, że mogą być uprzedzeni także do niego; nie są przyjaciółmi, za których ich uważał.

Na dodatek ten dziwny gniew z powodu koloru skóry Connie. Jurija zdumiało nie tyle samo uprzedzenie – dobrze wiedział o tym, że jego koledzy są rasistami – ile siła, z jaką się ono ujawniło. Pseudoreligijne uzasadnienie, jakim poczęstował go Steve, wyglądało na mocno wydumane. Ani Curt, ani Steve nigdy nie zajaknęli się na temat swojej religijności.

Pozostawała kwestia ciężarówka. Jurij nie mógł zrozumieć, czemu jej jeszcze nie sprowadzono. Przecież Curt i Steve zgodzili się, że jest niezbędna. Inaczej Jurij nie zrealizuje swojej części planu. Był mu potrzebny rozpryskiwacz, i to ruchomy.

Punktowe źródło skażenia było o wiele mniej skuteczne. Żeby naprawić wewnętrzne drzwi, Jurij włożył skafander do pracy w niebezpiecznym środowisku i odkręcił zawór butli ze sprężonym powietrzem. Nie był to typowy akwalung używany do swobodnego nurkowania.

Regulator utrzymywał stały obieg powietrza w kombinezonie, co uniemożliwiało cząsteczkom z otoczenia przenikanie do środka.

Praca w skafandrze była znacznie cięższa i Jurijowi było gorąco, ale nie zwracał na to uwagi. Wiedział, że bez kombinezonu narażałby się na ryzyko. Przez to jednak naprawa drzwi przedłużyła się.

Następnie Jurij zajął się kadzią zawierającą *Clostridium botulinum*. Gdy sprawdził koncentrację bakterii, ponownie ogarnął go zawód. Nie mógł pojąć, dlaczego kultury nadal rozwijają się tak wolno. Przecież przestrzegał tych samych warunków wzrostu, które dały tak znakomite efekty w Związku Radzieckim przed dziesięciu laty, kiedy Jurij pracował nad wyhodowaniem tego mikroorganizmu. Warunki te gwarantowały maksymalny rozwój kultury i najwyższą produkcję toksyny.

Jurij obawiał się, że do kadzi dostaje się powietrze. Jad kiełbasiany należał do bakterii beztlenowych. Dlatego Jurij posłużył się w hodowli dwutlenkiem węgla zamiast powietrzem. Być może cylinder z dwutlenkiem węgla, który skombinowali mu ludzie Curta, nie funkcjonował jak należy. Niestety, Jurij nie mógł go obejrzeć, zaś prośba o nowy cylinder pociągnęłaby za sobą kolejną zwłokę.

Jurij sprawdził temperaturę. Była ona o kilka stopni niższa od optymalnej, więc wyregulował termostat działający na tej samej zasadzie co łaźnia wodna. Zbyt niska temperatura z pewnością nie pomogła bakteriom, lecz nie do końca tłumaczyła ich niski przyrost.

Jurij rozważył propozycję Curta, aby przerzucić się na węglik i żeby obie kadzie produkowały wyłącznie zarodniki. Wiele przemawiało na rzecz tej koncepcji. Był to jedyny sposób, by wyprodukować odpowiednią ilość środka w czasie, który sobie wyznaczyli. Szkopuł w tym, że rozmontowanie kadzi wymagało dużo pracy, a w tej chwili Jurij miał na głowie inny kłopot – Connie.

Podszedł do szklanej osłony na twarz i włączył wiatraczek. Wsunął dłonie w drugą parę grubych gumowych rękawic, przytwierdzonych do krawędzi szklanej osłony, i ostrożnie podniósł zlewkę wypełnioną świeżo wyprodukowanym jadem kiełbasianym. Przelał kilka kropel do małej szklanej fiolki.

Do oczyszczania i zagęszczania jadu Jurij stosował technikę strącania kwasu.

Po ponownym zawieszeniu toksyny w wodnym roztworze buforowym wytrącał ją za pomocą siarczanu amonowego, a otrzymany krystaliczny amalgamat łączył z białkiem stabilizującym i osuszał go na proszek.

Kiedy pracował przy toksynie botulinowej, nie martwił się tak bardzo o swoje bezpieczeństwo jak wtedy, gdy miał do czynienia ze sproszkowanym węglikiem. Mimo że w Związku Radzieckim poddano go szczepieniom ochronnym przeciw obu środkom, miał większe zaufanie do swojej odporności na jad kiełbasiany niż na węglik.

Zanim wydobyl fioletkę spod osłony, zaczołowal ją i umyl z zewnatrz. Potem przeszedl przez pierwszą fazę dezynfekcji, wchodząc pod prysznic i pojemnik ze środkiem odkażającym.

Wyszedszy z laboratorium, przeszedl drugą fazę dezynfekcji, używając wybielacza i biorąc kolejny prysznic. Dopiero wtedy wyslizgnął się ze swego kombinezonu, zakręcił butlę z powietrzem i powiesil je na właściwych miejscach. Później ostrożnie zaniósł fioletkę do kuchni i schował ją za wiszącą nad stołem szafką z talerzami.

Przygotowując się na nieuchronny atak złości, Jurij podszedł do drzwi pokoju Connie i otworzył je. Jak zwykle jego żona leżała rozparta na łóżku.

–Czego chcesz? – warknęła. Przy opuchniętym lewym oku trzymała woreczek z lodem.

–Mam zamiar zamówić pizzę – powiedział Jurij. – Pomyślałem, że może też byś coś zjadła.

Connie odsunęła worek z lodem od twarzy i przyjrzała się mężowi zdziwionym wzrokiem.

–Co cię napadło? – spytała z ironią. – Nigdy wcześniej nie interesowałeś się moim żołądkiem.

–Mam wyrzuty sumienia przez to, że cię uderzyłem – oznajmił Jurij, starając się nadać swemu głosowi szczerść. – Jest mi przykro.

–Akurat ci przykro! – odszczeknęła Connie. – Jeśli mówisz tak, żeby odzyskać swój telewizor, to możesz sobie darować.

–Nie chcę telewizora – powiedział Jurij. – I przepraszam, że rozbiłem twój. Padło mi na głowę.

–Nie po raz pierwszy.

–Nie rozumiesz, jak wiele to laboratorium dla mnie znaczy – powiedział Jurij.

Staral się, by brzmiała w nim skrucha i szczerść.

–No, to chyba widać: spędzasz tam tyle czasu.

–Ono daje mi szansę wyrwać się z tej kabały. Tobie i mnie – dodał.

Connie ściszyła telewizor i podparła się na łokciu.

–Czy możesz wyrażać się trochę jaśniej?

–Próbuję wrócić do mikrobiologii – wytłumaczył Jurij. – Muszę dużo ćwiczyć, aby udowodnić, że znam się na tym, co robię. Tylko wtedy mogę liczyć na jakąś porządną pracę. Nie chcę przez resztę życia jeździć taksówką.

–O jakiej pracy mówisz?

–O czymś z dziedziny mikrobiologii – odparł Jurij. – Ci mężczyźni, którzy byli dziś u nas, pomagają mi, ale są zaniepokojeni. Posiadanie w domu takiego laboratorium jest sprzeczne z prawem, więc jeśli wpadnę w kłopoty, to i oni będą mieć kłopoty.

–Myślałam, że aby pracować z bakteriami, będziesz musiał znów skończyć szkołę.

–Nie, jeśli zdołam udowodnić, że mam odpowiednie kwalifikacje – wyjaśnił Jurij. – Jeżeli tego dokonam, dostanę dobrą pracę, a wówczas zaczniemy nowe życie.

No wiesz, znów będziemy wychodzić, tak jak kiedyś.

–No jasne, prędzej piekło zamarznie na kość.

–Zobaczysz, że tak będzie – obiecał Jurij. – Teraz powiedz: masz ochotę na pizzę?

–Okay, czemu nie? – potwierdziła Connie. – Z pepperoni i anchois. I niech dorzucą pudełko lodów.

–Dobrze – rzekł Jurij. Zmusił się do uśmiechu, po czym zamknął za sobą drzwi.

Jedno nie ulegało wątpliwości: nic nie mogło popsuć tej kobiecie apetytu. Jurij jednak nie skarżył się, że zażądała jeszcze lodów. Uważał nawet, że łatwiej będzie umieścić w nich jad kielbasiany, zwłaszcza iż był absolutnie pewien, że Connie zjadłaby całą wannę lodów.

Jurij zadzwonił do pobliskiej pizzerii. Najpierw złożył zamówienie dla Connie, a dla siebie wziął zwykłą pizzę z mozzarellą, pomidorami i bazylią. Poprosił jeszcze o małą sałatkę i kawę. Zdał sobie sprawę, że prawdopodobnie czeka go długa noc.

Zaczął przechadzać się po mieszkaniu. W miarę upływu czasu stawał się coraz bardziej nerwowy. Choć podczas rozmowy z Curtem sprawiał wrażenie pewnego siebie, w gruncie rzeczy nie całkiem wiedział, co się stanie, kiedy Connie zażyje toksynę.

Miał kłopot z dokładnym obliczeniem, jakiej dawki powinien użyć. Postanowił nasypać trochę jadu na lody i mieć nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. Wiedział tylko tyle, że nie może przeholować. Gdyby zaczęto podejrzewać botulizm, laboratorium w piwnicy byłoby dowodem jego winy.

Odgłos pukania do drzwi sprawił, że Jurij podskoczył. Podświadomie oczekując kłopotów, zerknął przez żaluzję i stwierdził z ulgą, że to tylko dostawca pizzy. Jurij otworzył drzwi, zapłacił chłopakowi i odebrał od niego pudełka. Obie pizze przywieziono w szczelnym pojemniku, toteż były gorące, jakby wyjęto je prosto z pieca.

Jurij zepchnął ze stołu opakowania po jedzeniu na wynos, które Connie zostawiła wcześniej,

i położył tam pudełka z pizzą i torbę z sałatką, kawą i lodami. Najbardziej interesowały go lody. Wyjął je z torby i postawił na blacie. Plastikowe pudełko było miękkie – w przeciwieństwie do pizzy, lodów nie przewożono w szczelnym pojemniku.

Jurij cicho wysunął się z kuchni, podszedł do drzwi Connie i przytknął do nich ucho. Słyszał wyraźny szum włączonego telewizora. Przypuszczał, że jego żona w dalszym ciągu wyleguje się w łóżku.

Wrócił do kuchni i usiłował otworzyć pudełko z lodami tak, aby go nie rozerwać. Gdy mu się to udało, zastanawiał się, jak wsypać do niego toksynę. Nie chciał sypać wszystkiego od razu, obawiając się, że Connie może spróbować lodów i zrezygnować z ich zjedzenia. Po rozważeniu wszystkich za i przeciw Jurij wyciągnął z szafki miseczkę i przełożył do niej lody. Potem wyjął fiolkę z trucizną. Wstrzymując oddech, posypał nią lody.

–Raz kozie śmierć – szepnął i wysypał wszystko. W sumie była to zaledwie szczypta środka. Jeżeli jednak toksyna była tak zabójcza, jak się tego spodziewał, to dawka była ogromna. Prawdopodobnie zdolna uśmiercić wszystkich mieszkańców Brighton Beach.

Jurij opłukał fiolkę w zlewozmywaku. Zamieszał lody widelcem. Potem przełożył je łyżką z powrotem do opakowania. Okazało się to trudniejsze, niż sądził, gdyż trochę lodów się roztopiło. Aby je upakować, musiał się trochę namęczyć. W końcu jednak udało mu się i zamknął pudełko najlepiej, jak potrafił.

Umył miseczkę pod bieżącą wodą i wyciągnął czystą łyżeczkę. Wziął pudełko z lodami i karton z pizzą pepperoni i skierował się do pokoju Connie.

–Długo to trwało – odezwała się Connie, gdy Jurij otworzył drzwi.

–Gdzie mam to położyć?

–Tam, na podłodze – odparła Connie, nie odrywając oczu od telewizora.

Jurij postawił jedzenie na dywanie. Położył łyżeczkę na wieczku lodów i wyprostował się. W tym samym momencie Connie zerknęła na niego, aby zobaczyć, co robi.

–Hej, zabierz te lody – oznajmiła.

–Jak to? – zapytał skonsternowany Jurij.

–Do cholery, masz je włożyć do zamrażarki – powiedziała Connie. – Zjem je po pizzy. Nie chcę, żeby mi się roztopiły. – Świetnie – stwierdził z niejaką ulgą Jurij. Zabrał lody i łyżeczkę i wycofał się do drzwi. – Daj znać, kiedy będziesz je chciała, okay?

Głowa Connie skrzywiła się i posłała mu spojrzenie spod zmarszczonych brwi.

–Co ci się stało, chłopcze? Nigdy nie byłeś dla mnie tak miły.

–Mówiłem ci – odrzekł Jurij. – Mam wyrzuty sumienia.

–Cieszyłabym się, gdybyś miał je częściej – powiedziała Connie.

Jurij wrócił do kuchni. Przeżuwaszając w ustach rosyjskie przekleństwa pod adresem żony, umieścił pudełko lodów w zamrażalniku. Czuł dzikie pulsowanie w skroniach. Miał ochotę napić się wódki. Tak jak przewidywał, zanosilo się na długą noc.

–Okay, wszyscy zamknąć się i słuchać! – wrzasnął Curt do rozgadanej grupy mężczyzn. Zwołał zebranie Ludowej Armii Aryjskiej, jej członkowie jak zwykle zgromadzili się w pokoju bilardowym na tyłach baru „Biała Duma”. Właściciel nazywał się Jeff Connolly i należał do starych znajomych Curta. Nie będąc oficjalnie członkiem grupy, sympatyzował z antyrządowymi, antysemitami, antymurzyńskimi, antyimigracyjnymi, antyfeministycznymi, antyaborcyjnymi i antyhomoseksualnymi poglądami, które głosiła Armia. Toteż z radością, ilekroć trzeba było skrzyknąć ludzi z LAA, udostępniał im swój pokój bilardowy.

Curt dopilnował tego, by organizacja ta miała całkowicie tajny charakter. Nie było ani legitymacji członkowskich, ani nawet specjalnych oznaczeń. Wielokrotnie powtarzał żołnierzom, aby nie używali nazwy Ludowa Armia Aryjska, chociaż on i Steve posługiwali się nią w komunikacji z innymi bojówkami za pośrednictwem Internetu. Główny sposób porozumiewania opierał się na bezpośrednich, osobistych kontaktach. Dzisiejsze zebranie odbyło się bez telefonów czy zaproszeń – ludzie musieli odszukać się nawzajem. Było to o tyle ułatwione, że większość członków zachodziła do „Białej Dumy” co wieczór, o takiej czy innej porze.

Curt wciągnął do współpracy ośmiu skinheadów, wykorzystując metody rekrutacji, których nauczył go Tim Melcher. W jednym z licznych barów dla skinheadów upatrywał sobie nastolatka i zaczynał z nim rozmowę. W istocie przypominała ona raczej wywiad. Kiedy Curt stwierdzał, że chłopak dobrze rokuje na przyszłość, przechodził do ideologii. Nie było to zresztą trudne, skinheadzi bowiem pragnęli organizacji, która potrafiłaby nadać im jakiś cel. Curt, który osobiście zetknął się z ich wojowniczością i rasizmem, potrafił rozniecić żarzące się w nich nienawiść i resentymenty.

Lecz zapanowanie nad taką grupą ludzi nie było łatwe. Przede wszystkim nie brakowało głupców, podobnych do Jurija, którzy lekceważyli względy bezpieczeństwa. Jednym z nich był Brad Cassidy, który poprosił paru żołnierzy o wprowadzenie do LAA. Tamci uwierzyli w jego bajeczkę, ale nie Curt. Po pierwsze, Curt traktował podejrzliwie każdego, kto nie pochodził z najbliższej okolicy. Po drugie, członkiem organizacji nie mógł zostać nikt, z kim Curt nie przeprowadziłby najpierw wywiadu.

Kiedy Curt wziął na spytki Brada, ten parę razy zaprzeczył samemu sobie. Później, przy niewielkiej pomocy noża i oszczędnym użyciu struny fortepianowej, prawda wyszła na jaw.

Brad był rządowym szpiclem.

Kolejny problem wynikał ze skłonności do przemocy, jakie przejawiali członkowie grupy; Curt starał się je rozładowywać. Z początku sądził, że jeśli pozwoli im – między jedną i drugą akcją – gadać o gwałtach, to zaspokoi ich apetyty. Okazało się jednak, że rozmowy im nie wystarczają. Od czasu do czasu Curt narażał się na konfrontację z władzami, pozwalając swoim ludziom krążyć po Brooklynie, a nawet po Manhattanie, w poszukiwaniu ofiar do bicia.

Niepokoili go również ich ubrania i tatuaże. Próbował ich skłonić, aby nieco złagodzili swój styl, tłumacząc, że ich czyny powinny mówić same za siebie. Staną się skuteczniejsi, powtarzał, kiedy wtopią się w tło. Ale zdawało mu się, że gada do ściany. Ogolone głowy, nazistowskie symbole, podkoszulki i czarne buciory to do nich trafiało. Choćby nie wiadomo jak przekonywał, nie potrafił zmienić ich zdania.

–No, dalej! – zawołał Steve. – Słyszeliście, co powiedział Curt. Słuchajcie!

Kevin Smith i Luke Benn wyprostowali się przy stole bilardowym. Stuknąwszy kijami w podłogę, nieudolnie wypięli się na baczność. Stew Manson, który właśnie sprzeczał się z Clarkiem Ebersolem i Natem Jenkinsem, obrócił się do Curta i zachwiał. Od ósmej bez przerwy popijał piwo i zdążył się dobrze zaprawić. Mike Compisano, Matt Sylvester i Carl Ryerson podnieśli wzrok znad kart. Nawet wśród nich Carl wyróżniał się toporną swastyką, którą miał wytatuowaną na środku czoła.

–Idziemy dziś wieczór na zadanie – oznajmił Curt. – Będzie ono wymagało finezji w działaniu, do której, niestety, żaden z was nie jest zdolny.

Tu i ówdzie rozległy się chichoty.

–Musimy przeprowić się na Long Island – ciągnął Curt. – Dokładnie mówiąc, do Hamptons, i ukraść ciężarówkę.

–Po co włączyć się taki kawał po zwykłą ciężarówkę? – wybąkał Stew pijanym głosem. – W Brooklynie jest ciężarówek od cholery i trochę.

–Mam na myśli szczególny typ ciężarówki – wyjaśnił Curt. – Czy ktoś umie szybko włamać się do auta i zapalić silnik?

Większość żołnierzy zwróciła się w stronę Clarka Ebersola.

–Wypada, że ja – stwierdził Clark. Był mężczyzną drobnej postury o guzowatej czaszce, której golenie było nie lada wyzwaniem. – Kradnę wozy od dwunastego roku życia. – Obecnie Clark pracował w zakładzie mechanicznym.

–Jeśli są elektryczne alarmy, to pestka dla Compisano – odezwał się Kevin. Był rudy,

podobnie jak Steve, ale zgolił włosy aż do piegowatej skóry. Miał szesnaście lat i był najmłodszy w grupie, choć odznaczał się silną budową ciała. Pozostali mieli od siedemnastu do dwudziestu dwóch lat. Najstarszy był Luke Benn.

–Ja znam się na alarmach domowych, nie samochodowych – zaproponował Mike Compisano. Pomimo włosko brzmiącego nazwiska Mike miał od urodzenia włosy koloru Inu. Jego jasne brwi były niemal przezroczyste, co nadawało mu wiecznie zdumiony wygląd.

–Przynajmniej wiesz coś o alarmach – stwierdził Curt. – To może się przydać. A więc ty i Clark zabierzecie się ze mną i Steve'em. Reszta do ciężarówki Nata.

Ze wszystkich żołnierzy Nat najlepiej radził sobie pod względem finansowym.

Jego brat pracował w przedsiębiorstwie utylizacji śmieci. Nat miał wielką półciężarówkę z dwoma rzędami siedzeń.

–Stew, ty zostajesz tutaj – oznajmił Curt.

–Niech mnie szlag, jeśli zostanę! – zaprotestował Stew. – Jadę z wami na akcję.

–To rozkaz! – warknął Curt. – Urznąłeś się w trupa. Wychlałeś co najmniej pięć piw więcej niż reszta. Nie zamierzam wystawiać ludzi na niebezpieczeństwo.

–Cholera jasna! – zawołał żalonym głosem Stew. – Żadnych dyskusji! – rozkazał Curt. – Zbierajmy się.

Podczas gdy Stew Manson stał markotny w sali bilardowej, pozostali wymaszerowali z niej różnym krokiem. Większość kupiła w barze piwo na drogę. Wysypali się na dwór i zapakowali do wyznaczonych pojazdów.

–Trzymaj się za mną w pewnej odległości! – zawołał do Nata Curt, zanim uruchomił swój wóz. W odpowiedzi Nat pokazał mu wzniesiony kciuk. Po chwili jego ciężarówka eksplodowała muzyką w wykonaniu Brutal Attack. Nat miał specjalny system nagłośnienia, od którego wyskakiwały śruby w jego samochodzie.

Ruszyli w konwoju złożonym z dwóch pojazdów. W myśl wydanego mu polecenia Nat zachowywał odpowiedni dystans. W połowie drogi zatrzymali się na stacji, żeby wszyscy mogli się wysikać.

–Pomału kończy nam się piwo – zwrócił się Nat do Curta, pochylając się nad pisuarem. – Możemy zjechać do najbliższego miasteczka, żeby uzupełnić zapasy?

–Koniec z piwem, aż wykonamy zadanie – odszczeknął zdecydowanie Curt.

Druga część podróży upłynęła im znacznie szybciej niż pierwsza, gdyż na ulicach panował o

wiele mniejszy ruch. Wielkomijski tłok i gwar zastąpiła cisza małych miasteczek, spokojnych farm i turystycznych posiadłości.

Minęła północ, gdy wjechali do Sagamaunatuck – dynamicznie rozwijającego się letniska, które w tej części wyspy pełniło rolę centrum handlowego. Curt celowo zmniejszył prędkość poniżej obowiązkowego limitu i sunął wolno Main Street. Większość sklepów dawno już zamknięto. Jedyne ośrodki aktywności stanowiły dwa bary usadowione po przeciwnej stronie głównej ulicy. Przez nie domknięte drzwi wpadało łagodne, październikowe powietrze. W obu była garstka klientów. Na ulicę wylewała się miarowa, przyciszona muzyka.

–Sympatyczne miasteczko – zauważył Steve.

–Miejmy nadzieję, że takie zostanie – powiedział Curt.

–Patrzcie! Żydowskie delikatesy z koszernym żarciem – zawołał podniecony Carl z tylnego siedzenia. Wskazał na ciemny obrys sklepu. – Zobaczcie te głupie napisy na szybie.

–Zapomnij o tym – poradził mu Curt. – Przyjechaliśmy tutaj w konkretnym celu.

Curt i Steve zbadali teren przed miesiącem i wiedzieli, dokąd się wybierają.

Zakład dezynsekcji znajdował się na sąsiedniej ulicy, biegnącej równolegle do Main Street.

Na najbliższym skrzyżowaniu Curt skręcił w lewo w Banks Street, a potem jeszcze raz w lewo w Hancock. Firma „Wouton – Tępienie Szkodników” mieściła się po prawej stronie w jednokondygnacyjnym, szarym betonowym budynku. Ogromny szyld na przodzie informował, że zakład zajmuje się zabijaniem owadów zarówno na skalę przemysłową, jak i domową. Na prawo od budynku leżał okolony drutem parking, którego bramę zabezpieczała kłódka. Tuż przy ścianie budynku stały trzy pojazdy noszące logo „Woutona”; przedstawiało ono komiksową osę. Były to dwie półciężarówki i jeden załadowany pick-up; spoczywający na platformie ładunek przykryty był impregnowanym brezentem.

Curt zjechał do krawężnika. Zgasił silnik, wyłączył światła i skinął ręką na Nata, pokazując, aby zatrzymał się obok niego. Szyby w oknach zostały opuszczone.

–Ile macie krótkofalówek? – zapytał Curt. Aby koordynować działania podczas akcji, Curt zakupił drogi system radiowy działający w promieniu kilkunastu ulic.

–Dwie – odparł Kevin. Siedział w ciężarówce Nata na siedzeniu pasażera.

–Weźcie jeszcze jedną. – Curt podał tamtemu dodatkową krótkofalówkę. – A teraz wasze zadania. Niech dwóch ludzi z krótkofalówką stanie na rogu ulic Hancock i Willow. Dwóch innych z drugim radiem ma obstać narożnik Hancock i Banks. Nat, chcę, żebyś ustawił się w taki sposób, abyś mógł w razie potrzeby odebrać wiadomość od obydwu grup.

–Co mamy robić? – zapytał Kevin. – Po prostu tkwić w ciemnościach?

–Będziecie stali na czatach, ty ośle – ofuknął go Curt. – Zajmiecie stanowiska obserwacyjne.

–I co takiego mamy obserwować? – pytał Kevin. – Przecież to miasto jest martwe jak cmentarz.

–Będziecie patrzeć, czy nie ma gliniarzy – poinformował Curt. – Poprzednim razem, kiedy byliśmy tutaj ze Steve'em, kręcili się przez cały czas. Miejmy nadzieję, że się nie pojawią, ale gdyby tak się zdarzyło, będziecie musieli ściągnąć na siebie ich uwagę, dopóki nie zdejmemy ciężarówki z parkingu i nie ulotnimy się.

–Nie bardzo rozumiem, co mielibyśmy zrobić – upierał się Kevin.

–Narobicie hałasu, i tyle – odparł Curt z irytacją. – Zaczniecie się wydzierać albo kłócić ze sobą. Jak tylko gliny was zobaczą, przykleją się do was jak muchy do miodu. Jeżeli będą was chcieli zabrać na posterunek, nie stawiajcie oporu. Jak zwykle nie puszczajcie pary z gęby. W najgorszym wypadku przetrzymają was całą noc, ale na tym się skończy. Możecie mi wierzyć.

–Zrozumiano! – krzyknął Nat z siedzenia kierowcy.

Kevin zaczął protestować, mówiąc, że nie ma zamiaru siedzieć w więzieniu, lecz Nat pacnął go ręką w ucho i kazał mu się zamknąć.

–Zawiadom mnie, Nat, kiedy wszyscy zajmą swoje stanowiska – polecił Curt.

–Nie ma sprawy – rzucił Nat i odjechał.

Jego ciężarówka oddaliła się ledwie na pięćdziesiąt stóp, gdy zza rogu ulicy wychynął wóz policyjny i ruszył w ich kierunku.

–Do jasnej cholery! – zaklął Curt. – Wszyscy na ziemię!

Curt i pozostali zsunęli się na swoich siedzeniach, kiedy snop światła z policyjnego auta wniknął do kabiny.

–Właśnie tego się obawiałem – syknął Curt.

Nagle pojawienie się policyjnego krążownika przypomniało mu o przygodzie, która spotkała ich w New Jersey, gdy kradli kadzie z tamtejszej mikrogorzelnii. Kiedy rozkręcali rury, ni stąd ni zowąd wszedł między nich strażnik. Curt nie pomyślał o wystawieniu czujek, toteż oddział został kompletnie zaskoczony.

Pech chciał, że strażnik okazał się Murzynem, i Stew Manson, który zdążył wypić swoją

olimpijską dawkę piwa, na jego widok dostał zupełnego świra. Wrzasnąwszy: „Czarnuch!”, rąbnął nie uzbrojonego mężczyznę w głowę ciężkim kluczem hydraulicznym. Czaszka tamtego pękła jak świeże jajko, a ryzyko całej operacji wzrosło niepomiaralnie. Już nie tylko uczestniczyli w kradzieży, ale naraz stali się współnikami w morderstwie. Curt postanowił za wszelką cenę nie dopuścić do powtórzenia się podobnych niespodzianek w czasie tego zadania.

–Co zrobił Nat? – spytał Steve.

–Nie wiem – odrzekł Curt. – Nic nie widziałem.

Wóz policyjny przetoczył się obok nich. Curt wysunął głowę, by obserwować oddalający się samochód we wstecznym lusterku. Na szczęście auto nie zatrzymało się, ale skręciło w Bank Street. Curt pobiegł spojrzeniem na wprost i dostrzegł, że ciężarówka Nata stoi na skrzyżowaniu i że wysiadają z niej dwie postacie. Trzasnęły drzwi od strony pasażera i po chwili wóz zniknął za węglem. Mężczyźni skryli się w cieniu.

Curt wypuścił z ulgą powietrze. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wstrzymuje oddech.

–Miejmy nadzieję, że nieprędko ich znowu ujrzymy – odezwał się z tyłu Clark.

–Mam złe przeczucia – powiedział Steve.

–Ja też – skinął Curt. – Ale musimy zdobyć tę ciężarówkę.

–Może spróbowalibyśmy ponownie jutro? – zasugerował Steve.

–Jutro będzie tak samo – odparł Curt. – Poza tym obiecaliśmy Jurijowi, że dostanie ją dzisiejszej nocy.

Czwórka mężczyzn znieruchomiła na kilka minut w atmosferze narastającego napięcia. W końcu milczenie przerwał Mike:

–Czy ktoś ma piwo? – Żadnego picia, zanim misja się skończy! – huknął Curt. Nie mieściło mu się w głowie, że jego żołnierze mogą się zachowywać tak dziecinnie. Bywało, że dochodził do wniosku, iż w ogóle nie wiedzą, co to zdrowy rozsądek.

Zaczynał go ogarniać niepokój, że minęło zbyt dużo czasu, gdy krótkofalówka w jego rękę zawibrowała. Wcisnął guzik „odbioru” i usłyszał przedzierający się przez zakłócenia głos Nata, który informował, że wszyscy zajęli wyznaczone pozycje. To oznaczało, że Kevin i Luke są na Willow Street, a Matt i Carl na Banks.

–Bez odbioru – rzucił Curt. Schował małe radio do kieszeni. – Zaczynamy, wszyscy wysiadać i do roboty!

Wysiedli. Clark miał przy sobie szydłowaty wytrych i latarkę, Mike zestaw małych śrubokrętów, przecinak do drutu i długi izolowany kabel elektryczny. Curt sięgnął za siedzenie ciężarówki i wydobył ciężkie szczypce przegubowe do prętów, które wypożyczył z remizy. Wsunął je pod kurtkę. Poczł zimne stalowe szczęki przez cienki materiał podkoszulka.

–Zachowujcie się tak, jakbyśmy tu pracowali i po prostu sprawdzali, czy wszystko gra – powiedział Curt, gdy zbliżali się do zamkniętej na kłódkę bramy. Wiedział, że jeśli ktoś akurat wyrzy przez okno któregoś z mieszkań naprzeciwko, to będzie ich miał jak na dłoni. Mimo że na ulicy nie było lamp, panował półmrok. Noc była kryształowo czysta, oświetlona przez wchodzący w pełni księżyc, który raz po raz wyglądał zza chmur.

–Który samochód bierzemy? – spytał Clark.

–Mam nadzieję, że pick-upa – odparł Curt. – Zależy, co jest w środku.

Pytanie Clarka przywiodło Curtowi na pamięć rekonesans, który on i Steve odbyli miesiąc wcześniej w Sagamaunatuck. Widzieli wtedy tę samą ciężarówkę. Zauważyli ją zaparkowaną przy Main Street, w jej wnętrzu znajdował się przytwierdzony do podłogi sprzęt do tępienia szkodników i butle ze sprężonym powietrzem. Kierowca był miłym, ogorzałym mężczyzną z brodą, który miał na głowie bejsbolówkę z osą „Woutona” nad daszkiem. Właśnie opuścił jadłodajnię i dopisywał mu humor.

–Zgadza się, to rozpylacz – odrzekł w odpowiedzi na pytanie Curta. Ani Curt, ani Steve nie mieli pojęcia, jak wygląda sprzęt owadobójczy. – No, może nie całkiem rozpylacz – poprawił się po chwili mężczyzna. – Tak naprawdę, to jest opylacz, bo służy do rozsiewania pyłu, nie płynów.

–Robi wrażenie – przyznał Curt, puszczając oko do Steve’a. Było to dokładnie to, czego szukali przez cały długi tydzień.

–A jakże – odparł mężczyzna i pogłaskał maszynę dumnym gestem. – To najlepszy sprzęt na rynku. Fachowo nazywa się międzyrzędowy opylacz roślin.

–Na jakiej zasadzie działa? – zapytał Curt. – Środek owadobójczy wpada do kosza samowyladowczego. – Mężczyzna pokazał ciemnozieloną metalową skrzynkę. Prawie całe urządzenie było zielone, z wyjątkiem pomarańczowych dysz wylotowych. – Wewnątrz jest mieszalnik, który spulchnia pestycyd za pomocą sprężonego powietrza. Środek przechodzi przez dozownik, po czym wentylator odśrodkowy wydmuchuje go wraz z powietrzem przez te dysze.

–Pewnie jest dość skuteczny? – rzekł Curt.

–Niesamowicie – potwierdził mężczyzna. – Wentylator wiruje z prędkością dwudziestu dwóch tysięcy obrotów na minutę, dzięki czemu może wypchnąć do tysiąca stóp sześciennych powietrza na minutę. Wylatujące z dysz powietrze pędzi niemal sto mil na godzinę.

Curt i Steve zagwizdali z podziwu i zaczęli główkować nad tym, jak przerzucą ciężarówkę do miasta. Oto wprowadzali w życie plan, który wymyślili.

–Sprawdźmy, czy wóz policyjny już się stąd wyniósł – powiedział Curt. Wyciągnął krótkofalówkę i skontaktował się z obiema grupami. Uzyskawszy zapewnienie, że teren jest czysty, wyciągnął swoje szczypcy spod kurtki i błyskawicznie przeciął kłódkę. Podał szczypcy Steve’owi, a potem szarpnął za wyłamany zamek. Brama skrzypnęła, kiedy ją pchnął.

–Pospieszmy się – rzucił Curt. Cała trójka podbiegła truchtem do pick-upa.

Steve uchylił połę brezentu. W świetle księżyca Curt i Steve rozpoznali ciemnozieloną bryłę międzyrzędowego opylacza roślin.

–W porządku, pokażcie, co potraficie – Curt zwrócił się do Mike’a i Clarka.

Clark zręcznie wsunął wytrych pod górną krawędź okna kierowcy. W następnej sekundzie zamek był otwarty. Spojrzał na Mike’a.

–Otwórz drzwi – powiedział Mike. – Jeśli odezwie się alarm, otwórz maskę.

–Zaraz, zarazi – wtrącił się Curt. – Chcesz powiedzieć, że może się włączyć alarm?

–Nie da się tego uniknąć, jeśli jest zainstalowany – odparł Mike. – Ale szybko umilknie, pod warunkiem, że dostanę się pod maskę.

Curt omiół spojrzeniem okoliczne domy. Mimo późnej pory w kilku oknach ciągle paliły się światła. Uświadamiając sobie, że nie ma wyboru, skinął głową do Clarka. Ale był niezadowolony.

Zaledwie Clark otworzył drzwi, rozległ się brzęk alarmu i rozbłyły przednie reflektory.

Clark pociągnął za dźwigienkę otwierającą maskę. Mike położył latarkę na silniku. Po kilku sekundach – choć nie na tyle prędko, by usatysfakcjonować Curta – alarm ucichł, a światła zgasły. Mike, niemal bez szmeru, zamknął maskę. Clark wsunął się już do szoferki i manipulował przy kolumnie kierownicy.

–Dajcie mi światło – odezwał się. Wyciągnął rękę za siebie.

Mike podał mu latarkę jak biegacz przekazujący pałeczkę w sztafecie. Mając wciąż w uszach pisk alarmu, Curt rozglądał się czujnie dookoła. Prawie spodziewał się zobaczyć, jak gasną światła w oknach bloku naprzeciw parkingu. W tej samej chwili poczuł wibrowanie krótkofalówki.

Kiedy podniósł radio do ucha, silnik furgonetki zaturkotał niemrawo i zaraz zgasł.

–Diabli, zdaje się, że bateria jest słaba – stwierdził Clark. Siedział teraz za kierownicą. – Ten gruchot musiał tu stać od dłuższego czasu.

Curt wcisnął guzik odbioru. Znow przez zakłócenia przebił się głos Nata, który informował, że pojawił się pewien problem.

–Jaki problem? – spytał nerwowym tonem Curt.

–Kevin i Luke ruszyli w pogoń za dwoma pedałami – oznajmił Nat.

–Och, na miłość boską – syknął Curt. – Idź ich poszukać i zgarnij ich do ciężarówki! Zbierz również pozostałych.

–Bez odbioru – zakończył Nat.

Curt podniósł ręce w geście rozpaczony.

–Co się stało? – zdziwił się Steve.

–Lepiej nie pytaj – odrzekł Curt. – Zabiję tych sukinsynów!

–Czy masz w swoim wozie przewody? – zapytał Clark. – Chyba będziemy musieli odpalić tego trupa z twojego akumulatora.

–Co jeszcze nas czeka? – spytał retorycznie Curt.

Pomysł, aby wjeżdżać ciężarówką na zamknięty z trzech stron parking, nie przypadł mu do gustu, ale najwyraźniej nie było innego sposobu. Puścił się biegiem do auta. Gdy wspinał się do szoferki, nadjechała ciężarówka Nata, kierując się ku Willow Street. Nat piknął mu na powitanie radiem, Matt i Carl zaś pomachali rękami i wyszczerzyli zęby w uśmiechach. Gdzie on znalazł tę bandę kretynów?

Najszybciej jak tylko mógł, wjechał na parking i ustawił się równolegle do półciężarówki należącej do „Woutona”. Bez wyłączenia silnika otworzył maskę i wyskoczył na zewnątrz. Jednym ruchem wydobył przewody spod siedzenia. Matt wziął je za przeciwne końce, podczas gdy Curt podłączył swoje do akumulatora.

Gdy tylko popłynął prąd, silnik ciężarówki natychmiast ożył. Curt odłączył przewód od swojego samochodu, podczas gdy Mike uczynił to samo z drugim autem.

–W porządku – mruknął Curt z niepokojem. – Steve, odwieźcie z Clarkiem to przekłute pudło z powrotem do „Białej Dumy”, ale nie wracajcie przez miasto i skręćcie w lewo na Hancock! Pamiętajcie, żeby nie przekraczać prędkości! Jeśli zatrzymają was gliniarze, cała operacja pójdzie z dymem. Mike, ty pojedziesz ze mną!

–Ale „Biała Duma” będzie już zamknięta – zauważył Steve.

–Więc, do cholery, zadzwoń na Jeffa – prychnął Curt. – Boże, czy ja muszę o wszystkim myśleć?

Curt wślizgnął się do ciężarówki i wycofał prędko z powrotem na jezdnię. Potem znów wyszedł z auta, w chwili gdy Clark Wyprowadzał pick-upa za bramę.

–Gdzie idziesz? – zapytał Mike.

–Chcę zamknąć bramę – odparł Curt. – Nie zamierzam ogłaszać wszem i wobec, że ciężarówka zniknęła.

Gdy zamknął ze skrzypnięciem parkingową bramę, usłyszał odległe krzyki i wołania o pomoc dolatujące od strony Willow Street. Włosy stanęły mu na głowie.

Wskoczył do auta, dodał gazu i ruszył w stronę Willow Street. Nie zapalił świateł.

–Słyszałeś te wrzaski? – spytał go Mike.

–Pewnie, że słyszałem – warknął Curt.

–Jestem wściekły jak cholera – powiedział Mike. – Omija mnie dobra zabawa.

Curt posłał swemu podwładnemu twarde spojrzenie, ale oparł się chęci, aby zmyć mu głowę.

Curt zatrzymał się z piskiem opon pośrodku skrzyżowania, by mieć z obu stron widok na Willow Street. Mniej więcej w połowie przecznicy ujrzał ciężarówkę Nata zwróconą w kierunku przeciwnym do centrum handlowego. Mocno okręciwszy kierownicę, Curt ruszył w tamtym kierunku. Wtedy po prawej spostrzegł jakieś postacie kłębiące się na trawniku i okładające w ciemnościach pięściami. W odpowiedzi na hałasy w okolicznych mieszkaniach zapłonęły światła. W tym samym momencie dała się słyszeć policyjna syrena.

–Psiakrew! – ryknął Curt. Wyhamował gwałtownie tuż za półciężarówką Nata i zerknął we wsteczne lusterko. Migoczące światła policyjnego auta były coraz bliżej i bliżej. – Każ im wsiadać do wozu Nata! – szczechnął Curt do Mike'a. Ten momentalnie wyskoczył z szoferki bez słowa protestu; sytuacja wymagała natychmiastowego działania.

Curt obserwował w lusterku zbliżający się policyjny samochód. Z początku przemknęło mu przez myśl, aby po prostu się schować i poczekać, aż radiowóz go minie. Dzięki temu zdążyłby bezpiecznie odjechać, pozostawiając swoich ludzi losowi, na jaki sobie zasłużyli. Później jednak przyszedł mu do głowy inny pomysł. Jako stały bywalec zawodów w niszczeniu samochodów, Curt wiedział, że najpewniejszym sposobem na to, by unieszkodliwić pojazd, było staranowanie jego przodu swoim tyłem.

Zostawało jedynie pytanie, czy policjant zatrzyma się za jego ciężarówką. Na szczęście tak się właśnie stało.

W momencie gdy samotny policjant gramolił się ze swego wozu, Curt wrzucił wsteczny bieg i przycisnął pedał gazu „do deski”. Przez ułamek sekundy koła ciężarówki zakręciły się w miejscu z ogłuszającym wizgiem, po czym nagle ciężka półciężarówka wystrzeliła z miejsca i runęła na policyjną limuzynę.

Choć Curt był przygotowany na kolizję, w chwili zderzenia głowa odskoczyła mu do tyłu. Rozległ się huk przypominający miażdżenie puszek po piwie i syrena, która dotychczas wdzieriała się w noc, przestała buczeć. Maskę policyjnego auta rozwarła się i trysnęła gejzerem wody z chłodnicy.

Co ważniejsze, Curt zobaczył, że otwarte drzwi samochodu zostały wyrwane z zawiasów i poleciały przez całą szerokość ulicy. Policjant, który chwilę temu opierał się o nie ręką, wylądował na chodniku, z twarzą ku ziemi.

–Ku chwale naszej sprawy – powiedział Curt. Wrzucił pierwszy bieg i nadusił gaz. Policyjny wóz wczepił się w jego tylny zderzak. Curt cofnął kawałek, potem ruszył do przodu, aż w końcu udało mu się rozdzielić obydwie pojazdy. Spojrzawszy na chodnik, stwierdził, że policjant się nie poruszył.

Z przodu natomiast, wśród wybuchów śmiechu i przekomarzań, żołnierze ładowali się do ciężarówki Nata. Tylko Mike przybiegł z powrotem i usiadł obok Curta.

Na środku trawnika leżały rozciągnięte nieruchomo dwie postacie.

–Hej, ładnie urządziłeś tę gliniarską brykę! – zawołał Mike, zerkając przez otwarte okno na rozbity przód policyjnego auta.

Woda przestała tryskać. Teraz silnik okrył się kłębamii pary, oświetlanej ciągle sprawnym wirującym światłem.

Curt w milczeniu podszedł do wozu Nata.

–Słuchajcie mnie uważnie, pajace – warknął, kiedy opuszczono szyby. – Nigdzie się nie zatrzymujcie, nie przekraczajcie dozwolonej prędkości i jedźcie prosto do „Białej Dumy” po dalsze instrukcje. Zrozumiano?

–Tak jest – odparł Nat pośród salw śmiechu.

Curt przyspieszył, kręcąc głową z frustracji. Wszystko zakrawało na komedię, tylko że ona wcale nie była zabawna.

–Wygląda, że ten wóz policyjny zaraz się zapali – odezwał się Mike.

Curt spojrział na pojazd i już miał wyjaśnić, że to nie dym, tylko para, kiedy dostrzegł ostatni idiotyzm, jaki tej nocy popełnili jego ludzie. Nat wycofał ciężarówkę w taki sposób, że przejechał leżącego na ulicy policjanta. Curt skrzywił się. Nie uważał lokalnych szeryfów za wrogów, w przeciwieństwie do agentów federalnych czy miejskiej policji.

Gdy Curt na następnym skrzyżowaniu skręcił na zachód, ku Sagamaunatuck, Mike obrócił się przodem do kierunku jazdy.

–Wiem, dlaczego Kevin i Luke pogonili tych dwóch pedałów – oznajmił.

–Ma się rozumieć, że wiesz – mruknął rozzłoszczony Curt, nie okazując większego zainteresowania. Bez względu na wszystko postanowił nie pozostawić na tych dwóch suchej nitki, jak tylko wrócą do bazy. Niewykonanie rozkazu, choćby wydanego nie wprost, musiało spotkać się z reprimendą.

–To dlatego, że ci dwaj byli czarno-biali – ciągnął Mike. – Jeden był białasem, a drugi czarnuchem i skurwysyny trzymały się za ręce.

–Nic dziwnego! – Curt w jednej chwili zmienił zdanie. Mieszana para homoseksualistów. Rozumiał, że musieli zareagować na tę prowokację.

Jurij wolno otworzył oczy. Usiadł na kanapie, na której drzemał. Nie był pewien, co go

zbudziło. Spojrzał na zegarek. Minęła właśnie pierwsza w nocy. Przez zamknięte drzwi pokoju Connie syczał się szum włączonego telewizora.

Klnąc po rosyjsku, zdjął nogi z kanapy i wsunął stopy w kapcie. Ponieważ praca taksówkarza wiązała się z poranną pobudką, Jurij zawsze wcześniej kładł się spać.

W rezultacie nie miał zielonego pojęcia, o której godzinie Connie idzie do łóżka poza tym, że siedziała dłużej od niego. Nie sądził jednak, aby wytrzymała do pierwszej.

Wszystko wskazywało na to, że poszła spać, nie spróbowałszy swoich lodów.

Jurij podniósł się i skrzywił, czując bolesne pulsowanie w skroniach. Zatrząś się od fali mdłości. Czym prędzej zamknął karton z zimną, nie dojedzoną pizzą, która spoczywała na stoliku do kawy. Jej zaskorupiała powierzchnia wyglądała wręcz obrzydliwie.

Jurij był wykończony i czuł się podle. Wypił resztki wódki ze swojej piersiówki i spróbował zebrać myśli. Musiał coś zrobić. Nie mógł dłużej czekać, aż Connie zechce go poprosić o deser.

Przed jej drzwiami zamarł na moment bez ruchu. Wahał się, nie wiedząc, czy zapukać czy też wejść bez żadnych ceremonii, jak robił to zazwyczaj.

Connie oderwała wzrok od filmu, który akurat oglądała, i spojrzała przelotnie na Jurija. Lewe oko miała jeszcze silniej opuchnięte niż poprzednio. Obok jej łóżka leżało puste pudełko po pizzy.

–Nie zjadłaś lodów? – spytał Jurij suchym głosem.

–Jeszcze na nogach? – odpowiedziała Connie. – Co z tobą? Źle się czujesz?

–To tylko zmęczenie.

–Myślałam, że poszedłeś spać.

–Zasnąłem na kanapie – wyjaśnił Jurij. – No, nie masz ochoty na lody?

–Jęczysz wciąż o tych lodach, jakby to było nie wiadomo co – stwierdziła Connie. – Zrobiło się późno. Też miałam już iść spać.

–No, nie daj się prosić – zachęcił Jurij. – Sama kazałaś mi je kupić.

–Jesteś pewien, że nic ci nie dolega? – spytała ponownie Connie. – Zachowujesz się jakoś dziwnie. Niepokoję się o ciebie.

–Do wszystkich diabłów! – wrzasnął Jurij, tracąc cierpliwość. – Mówiłem ci już, że gryzło mnie sumienie za to, że cię uderzyłem i rozwaliłem telewizor. Staram się być miły, ale ty

nawet na to mi nie pozwalasz.

–Znowu gadasz po staremu – stwierdziła Connie. – Świetnie! Przynieś mi te lody, skoro to ci poprawi samopoczucie! Przy okazji możesz zabrać karton po pizzy.

Nieco udobruchany, Jurij porwał puste pudełko i odniósł je do kuchni. Wyciągnął lody z zamrażalnika, a z szuflady wyjął łyżeczkę. Pomaszerował z powrotem i wręczył Connie lody.

–Ktoś otwierał to pudełko – zauważyła. Podniosła spojrzenie na Jurija, szukając u niego wyjaśnienia.

–Chciałem zobaczyć, jak smakują – skłamał Jurij.

Connie sapnęła demonstracyjnie.

–Mogłeś przynajmniej zapytać – pożałowała się.

Jurij nic nie odpowiedział. Patrzył na stojący przy jej łóżku telefon. Nie wziął pod uwagę, że Connie może do kogoś zadzwonić, aby opisać pojawiające się pierwsze objawy zatrucia. Pod warunkiem, rzecz jasna, że zje lody. Żeby uniemożliwić jej wezwanie lekarza, Jurij musiał zrobić coś z telefonem.

–Mówię do ciebie – powtórzyła Connie. – Wiesz, jak nie lubię, kiedy ktoś wyjada moje jedzenie.

–Tylko spróbowałem – rzekł Jurij.

–Tylko raz? – spytała Connie. – Na pewno nie gmeraleś w nich łyżeczką?

–Na pewno – potwierdził Jurij. – Otwórz je i przekonaj się.

Connie mruzczała z niezadowoleniem, odchylając wieczko. W pudełku była gładka bryła lodów.

–Nie widzę, żebyś coś jadł – zauważyła Connie.

–Ponieważ ledwie spróbowałem – odparł Jurij. – Na miłość boską, daj już spokój! Jedz, smacznego!

–W porządku – powiedziała Connie. – Zostaw mnie.

–Proszę bardzo. Jak będziesz chciała, żebym przyszedł zabrać pudełko, zawołaj mnie.

Zdumiona Connie spojrzała podejrzliwie zdrowym okiem, po czym znów wpatrzyła się w ekran.

–Może zawołam, a może nie – stwierdziła.

Jurij wyszedł z pokoju. Zanim przymknął drzwi, choć nie do końca, dojrzał jeszcze, jak Connie wkłada pierwszą łyżeczkę lodów do ust. Wróciwszy do pokoju gościnnego, przekonał się, że siedząc na samym końcu kanapy, widzi pokój żony.

Była to co prawda tylko wąska szpara, ale ukazywała nogi łóżka i czubki palców Connie.

Czas dłużył mu się niemiłosiernie. Jurij nie miał pewności, czy Connie je lody, niemniej byłby zaszokowany, gdyby po ich spróbowaniu nie jadła dalej. Film wydawał się nie mieć końca, mimo że ścieżka dźwiękowa co raz to dochodziła jakby do finałowego crescendo. Jurij miał nadzieję, że Connie zwlecze się z łóżka i pójdzie do łazienki, dając mu sposobność, aby wyłączyć stojący na stoliku przy jej łóżku telefon.

Nareszcie, po czterdziestu pięciu minutach, film się skończył i Connie spełniła zadość oczekiwaniom Jurija.

Jurij działał żwawo. Otworzył drzwi sypialni. Pudełko po lodach leżało na podłodze obok łóżka; ze środka wystawała łyżeczka. Niestety, drzwi do łazienki nie zostały całkiem zamknięte. Ekran telewizora wypełniała reklama. Było to jedyne źródło światła w pokoju.

Z bijącym sercem Jurij podszedł do stolika przy łóżku. Mógł stąd dostrzec fragment łazienki, lecz Connie nie było widać. Uniósł telefon i pociągnął kabel. Przewód zniknął za stolikiem zastawionym brudnymi talerzami i szklankami. Jurij przesunął dłonią wzdłuż kabla i potrącił stolik. Kilka szklanek przewróciło się i spadło na podłogę. Brzęk zagłuszył nawet wrzaskliwą reklamę z telewizora.

Przypuszczając, że Connie zjawi się lada moment, Jurij szarpnął za kabel z taką siłą, że wyrwał go ze ściany. Nagły ruch posłał kolejną szklankę na podłogę. Jurij schylił się, aby podnieść puste pudełko po lodach. Tak jak się obawiał, drzwi łazienki w pełni się rozwarły i ich framugę wypełniła postać Connie. Właśnie myła zęby.

–Co to za hałas? – zapytała, podkładając dłoń pod usta, by nie wyciekła pasta.

Szczoteczka była zaciśnięta w jej wielkiej pięści.

–Nie wiem – odparł Jurij, mając nadzieję, że jakoś to będzie. – Może to coś w telewizji. – W lewej ręce za plecami trzymał telefon. W prawej natomiast miał pojemnik po lodach. Uniósł go wyżej, żeby jej pokazać, i oznajmił: – Przyszedłem po to.

Connie była równie zdezorientowana zachowaniem Jurija, jak wcześniej, ale nie odezwała się słowem. Wetknęła szczoteczka do ust, ponownie zaczęła szorować zęby i wróciła do łazienki.

Z westchnieniem ulgi wyszedł z pokoju i pospieszył do kuchni. Przede wszystkim ukrył

telefon pod zlewozmywakiem. Następnie opłukał pudełko po lodach i wyrzucił je do kosza na śmieci. Nie mniej starannie obmył łyżeczkę i wszystkie naczynia, których używał wcześniej.

Trzęsącą się dłonią Jurij wyciągnął podłużną szklankę i nalał sobie wielką porcję mrożonej wódki. W tej chwili rozpaczliwie potrzebował wyciszenia, jakie dawał alkohol. Prawdę mówiąc, był rozczarowany – sądził, że lepiej to zniesie.

Powrócił na kanapę i usiadł. Niestety, nie miał pojęcia, jak długo przyjdzie mu czekać. Zastanawiał się, co by było, gdyby Connie położyła się spać przed wystąpieniem pierwszych symptomów. Bał się, że mogłaby się już nie obudzić.

Spojrzał na zegarek. Inna rzecz, która nie dawała mu spokoju, to fakt, że dochodziła druga nad ranem, a ciężarówka do dezynsekcji jak nie było, tak nie ma. A przecież Curt mu obiecał. Jurij rozważał, jak ten stan rzeczy wpłynie na operację „Rosomak”.

Mimo nurtujących go trosk Jurij powtórnie zapadł w sen. Gdy zbudził się pół godziny później, od razu zdał sobie sprawę, co go zaalarmowało. Connie wołała go, lecz robiła to w dziwny sposób. Jak gdyby nie mogła wymówić spółgłoski „r”. Brzmiała, jakby była pijana.

Jurij wstał i zakołysał się. Zanim ruszył na miękkich nogach w stronę sypialni żony, musiał chwycić się oparcia kanapy, żeby nie upaść. Pchnął drzwi i wszedł. Connie leżała na łóżku. Spojrzała na niego wzrokiem, którego nigdy u niej nie widział.

Zamiast typowej przekory miała w oczach strach.

–Co się stało? – spytał Jurij.

–Coś jest nie tak – odparła z trudem Connie. Miała kłopoty z artykułowaniem słów.

–Niby co? – zdziwił się. Udawał, że jest rozeźlony.

–Brzuch mnie boli – wyznała Connie. – Przed chwilą wymiotowałam. Zdaje się, że lody mi zaszkodziły.

–Jeśli coś ci zaszkodziło, to ta pizza – zaproponował Jurij. – W moim żołądku anchois też zawsze wyprawiają harce.

–Ale nie chodzi o żołądek.

–A o co? – zapytał Jurij tonem zniecierpliwienia.

–Nie mogę oglądać telewizji – poskarżyła się Connie, mając problemy z wymówieniem głoski „t”. – Widzę wszystko podwójnie. Mam dwa telewizory.

–Więc je wyłącz – stwierdził Jurij. – Idź spać. Już późno.

–Nie mogę zasnąć. Jestem oszołomiona, boję się tego podwójnego widzenia.

–Spróbuj zasłonić opuchnięte oko – poradził Jurij.

Connie sięgnęła dłonią do twarzy.

–No i jak? – zapytał Jurij.

–Lepiej. Widzę tylko jeden telewizor.

–Jakby co, zawołaj mnie – powiedział Jurij i ruszył od drzwi.

–Jest jeszcze coś – wybełkotała Connie. – Chce mi się pić. Czuję suchość w gardle.

–No to weź sobie wody – zasugerował Jurij. Zaczął zamykać drzwi.

–Boję się wstać! Kiedy przed chwilą wstałam, zakręciło mi się w głowie. Byłam tak słaba, że prawie się przewróciłam.

–Nic dziwnego, z takim sadłem.

–Błagam, przynieś mi trochę wody.

Jurij był ciekaw, czy pragnienie Connie jest efektem zatrucia. Nie wiedział. Ale był pewien, że toksyna wywołuje zarówno podwójne widzenie, jak i zaburzenia mowy. Zaniepokoił się, usłyszawszy o wymiotach. Byłaby to tragedia i zarazem ironia, gdyby Connie zwróciła większość trucizny z tego powodu, że przeholował z dawką. Z drugiej strony nudności mogły być znakiem, że trucizna działa. Jurij wiedział mało na temat objawów botulizmu u ludzi.

–Okay, przyniosę ci wody.

–Może powinnam pojechać do szpitala – powiedziała Connie, opuszczając zupełnie spółgłoskę „sz”.

–Co? Z bólem brzucha? Chyba żartujesz!

–Boję się. Dziwnie się czuję.

–Idę po wodę. – Jurij zamknął drzwi i poszedł do kuchni.

Cała ta sprawa kosztowała go o wiele więcej nerwów, niż przypuszczał. Gdyby lekarz zobaczył ją w tym stanie, mógłby postawić właściwą diagnozę. Podczas gdy Jurij napełniał szklankę wodą, od drzwi wejściowych dobiegło donośne pukanie. Niespodziewany odgłos sprawił, że Jurij wzdrygnął się z przerażenia, które może zrozumieć tylko ktoś, kto był zmuszony żyć w totalitarnym państwie. Upił łyk wody, podtrzymując szklankę obiema

rękami.

Drżąc na całym ciele, zbliżył się do żaluzji i zerknął na zewnątrz. Connie tak bardzo go zaabsorbowała, że kompletnie zapomniał o Curcie, póki nie ujrzał znajomych rysów mężczyzny, na którego padała smuga światła. Za nim w półmroku stał Steve, trzymając ręce w kieszeniach.

Pierwszą reakcją Jurija była ulga. Gdy jednak przekręcał klucz w zamku, zaklął cicho pod nosem. Te odwiedziny były zupełnie nie w porę.

–Mamy dla ciebie prezent, współniku – odezwał się Curt. Pokazał kciukiem za ramię.

Jurij rzucił spojrzenie w uliczkę. Za ciężarówką Curta ciemniał samochód, na którego drzwiach od strony kierowcy biegł napis „Wouton – Tępienie Szkodników”.

–Czy to rozpylacz? – zapytał Jurij.

–Zanim omówimy szczegóły, najpierw wsadźmy to cholerstwo do garażu – powiedział Curt.

–Okay – zgodził się Jurij. – Poczekaj chwilę. – Zamknął drzwi i pobiegł do pokoju Connie ze szklanką. Kiedy spróbowała ją ująć, jej ręka zatrzepotała rozpaczliwie, nie mogąc trafić.

–Jestem za słaba – wyznała. Opuściła bezsilnie rękę na łóżko. – Mam też trudności z oddychaniem.

–Nie przejmuj się – rzekł Jurij. – Ja ci przytrzymam szklankę.

Opuścił naczynie i przysunął je do ust żony, która na próżno usiłowała podnieść głowę. Zakrztusiła się i strużka wody spłynęła jej po policzku. Connie zaczęła kaszleć, aż cała poczerwieniała na twarzy.

–Zaraz wrócę i dam ci jeszcze – rzucił Jurij. Chciał postawić szklankę na stoliku przy łóżku, ale ponieważ nie było tam miejsca, umieścił ją na podłodze wśród potłuczonych naczyń. Zdjęta atakiem kaszlu Connie usiłowała mu coś powiedzieć, lecz zignorował ją.

Wypadłszy z pokoju, najpierw skierował się do kuchni, by zabrać stamtąd swoje klucze. Dopiero wtedy wrócił do drzwi wejściowych. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Curt nie ma zbyt szczęśliwej miny.

–Dzięki, żeś zostawił nas tutaj w ciemnościach – warknął Curt.

–Przepraszam – odparł Jurij. Pociągnął drzwi i zamknął je za sobą. – Sprawa Connie chyba jest już załatwiona.

–Mógłbyś wyrażać się jaśniej? – spytał twardo Curt.

–Bardzo późno przyjęła toksynę – wytłumaczył Jurij, ruszając w kierunku garażu. – Dopiero teraz zaczęły się pierwsze objawy.

–Ale jesteś pewny, że kopnie w kalendarz? – zapytał Curt. Szedł tuż za Jurijem, podczas gdy Steve obszedł ciężarówkę i wsiadł do pick-upa należącego do firmy Woutona.

–Sądzę, że tak – potwierdził Jurij. Otworzył boczne drzwi garażu.

–Moment! – zawołał Curt. Chwycił Jurija za ramię i unieruchomił go. – Nie ma czasu na domysły. Najmniejszy błąd może rozpieprzyć całą operację. Interesują mnie wyłącznie pewniki.

–Dałem jej dosyć trucizny, żeby ukatrupić wszystkich brooklińczyków – odszczeknął Jurij. – Czy to ci nie wystarczy? Odczep się ode mnie, człowieku!

Na moment Jurij i Curt, stojąc pod ciemnym okapem dachu, wbili w siebie wściekłe spojrzenia.

–Chcę mieć pewność, że rozumiesz, jak ważne jest zachowanie ostrożności – wysyczał Curt. – Już raz narobiłeś bałaganu, informując nas ni stąd, ni zowąd o twojej żonie.

–Dlatego robię z tym porządek – odparł Jurij.

–Mam nadzieję. Tak czy inaczej, od tej pory nie możemy więcej ryzykować.

Mówiłem ci wcześniej o szpiegu, który zinfiltrował szeregi Ludowej Armii Aryjskiej. O Bradzie Cassidym. Nie wspomniałem jednak o tym, że pracował dla FBI.

–O nie! – jęknął Jurij. – Czy ktoś dał im cynk?

–Na pewno nie wiedzą nic o operacji „Rosomak” – uspokoił go Curt. – Przypuszczamy, że po prostu interesują się naszymi bojówkami. Żaden z żołnierzy nie ma pojęcia o naszym planie, więc nie grozi nam bezpośrednio niebezpieczeństwo. Agenci musieli coś zwąchać, kiedy Steve kontaktował się z innymi bojówkami przez Internet.

Tak czy siak musimy postępować z najwyższą ostrożnością. Im szybciej rozpoczniemy operację, tym lepiej.

–Jestem tego samego zdania – powiedział Jurij.

–Czy pomyślałeś już o tym, aby przestawić drugą kadź na Produkcję węglika?

–Zrobię to zaraz, jak znajdę trochę czasu – obiecał Jurij. – Prawdopodobnie jutro. Gdy tylko uporam się ze sprawą Connie.

–Dobrze – pochwalił Curt. – A teraz sprzątnijmy tę cholerną ciężarówkę z ulicy, zanim ktoś

ją zobaczy. Twoi sąsiedzi zaczęliby się zastanawiać, co to za szkodniki tępisz w środku nocy.

Jurij zapalił światło, a potem wszedł do garażu. Obszedł tył taksówki i podniósł przesuwane drzwi. Gdy tylko je otworzył, Steve wjechał pick-upem do środka. Jurij zasunął drzwi i zamknął je na klucz.

Curt podszedł do furgonetki. Odhaczył krawędź brezentu i odsunął go do tyłu, ujawniając tkwiące na platformie urządzenie.

–Rozpoznajesz tę maszynę? – spytał Jurija.

–Nie bardzo – przyznał Jurij. – Ale te pomarańczowe czubki wyglądają na końcówki dysz wylotowych.

–Bingo! – zawołał Curt. Wsunął rękę i poklepał rozpylacz. – To międzyrządowy opylacz roślin. Jakikolwiek proszek tu wsypiesz, wpadnie do tego dozownika. – Curt wskazał na kosz samowyladowczy, podobnie jak uczynił to kierowca z „Woutona”.

–A więc proszku nie trzeba mieszać z płynem? – zapytał Jurij. Twarz rozjaśniła mu się jak małemu chłopcu, który właśnie znalazł rower pod choinką.

–Nie – odrzekł Curt. – Starczy sam proszek, i zaręczam ci, że to piekielna mała maszynka. Dowiedzieliśmy się, że wentylator potrafi wyrzucić tysiąc stóp sześciennych powietrza na minutę. Ilość proszku, jaką chcesz mieć w tym tysiącu stóp, można regulować pokrętłem na dozowniku.

–Znakomicie – stwierdził Jurij. Nie krył podziwu. Było lepiej, niż mógł sobie wymarzyć.

–Cieszę się, że ci się podoba – powiedział Curt. – Wyznam też bez ogródek, że zdobycie tego sprzętu kosztowało nas sporo pracy i trochę nerwów. Reszta jest już w twoich rękach.

–Postaram się nie zawieść – obiecał Jurij. – Spokojna głowa!

–Mam nadzieję – rzekł Curt.

Uścisnęli sobie ręce, a potem ponownie zniknęli w mroku nocy. Dwaj Amerykanie weszli do półciężarówki. Jurij stał na poboczu drogi.

–Spotkamy się jutro – powiedział Curt. – Jesteśmy ciekawi, jak się zakończy sprawa z twoją żoną.

–Dobrze – zgodził się Jurij.

Pomachał im na pożegnanie, kiedy Curt uruchamiał silnik, przez jakiś czas obserwował tylne światła oddalającego się dodge'a, dopóki nie zniknęły w miejscu, gdzie Oceanview Lane

skręcała w Oceanview Avenue. Nadal był znudzony, ale zarazem czuł się dużo lepiej. Nękające go wcześniej rozterki teraz pierzchyły bez śladu. W głębi ducha wiedział już, że operacja „Rosomak” przebiegnie zgodnie z planem. Pozwolił sobie nawet na lekki uśmiech, gdy zdał sobie sprawę, że niebawem dołączy do grona innych wielkich radzieckich patriotów, z których najwybitniejsi pochodzili z okresu wielkiej wojny ojczyźnianej.

Poryw wiatru zaszurgotał martwymi liśćmi w uliczce i parę razy cisnął siatkowe drzwi o framugę. Hałas przywołał Jurija do rzeczywistości. Zanim nastąpi owo wielkie wydarzenie, trzeba się będzie jeszcze niemało natrudzić; obecnie jego największym zmartwieniem była Connie.

Wrócił do domu i podszedł do drzwi jej pokoju. Przez chwilę stał, nasłuchując.

Z wnętrza dobiegał jedynie szum telewizora. Powoli uchylił drzwi, nie wiedząc, co zobaczy.

Connie nadal leżała na łóżku; jej karnacja zmieniła się nie do poznania. Skóra nabrała ciemnofioletowego odcienia, a zwłaszcza usta.

Jurij dał krok w stronę łóżka.

–Connie? – zawołał. Potrząsnął ją za ramię. Ani drgnęła. Uniósł jej rękę. Była całkiem zmiotczala. Opadła bezwładnie na łóżko. Jurij nachylił się i podsunął ucho do jej ust. Dopiero w ten sposób zdołał stwierdzić, że żona ciągle oddycha, choć bardzo płytko. Ujął jej nadgarstki. Wyczuwał tętno, ale było ono przyspieszone i słabe.

Wyprostował się. Zastanawiał się, czy już teraz powinien wezwać pogotowie ratunkowe, czy też jeszcze się wstrzymać. Była to trudna decyzja – Jurij nie chciał, żeby Connie ocknęła się na ostrym dyżurze, kiedy będą jej podawać tlen. Mogłaby wówczas poinformować lekarzy i pielęgniarki o swoich objawach. Zarazem Jurij czuł, że byłoby najlepiej, gdyby Connie dotarła do szpitala żywa. Dzięki temu uniknąłby pytań, dlaczego została przywieziona tak późno.

Jurij zapalił nocną lampkę na stoliku, a potem podniósł powiekę jej prawego oka. Źrenica była rozszerzona i nieruchoma. Doszedł do wniosku, że to właściwa pora, by wezwać pogotowie.

Wrócił do kuchni i zadzwonił z aparatu na ścianie. Starał się mówić z przejęciem i zdenerwowaniem – oznajmił, że jego żona straciła przytomność i oddycha z trudem. Opisał jej skórę jako pociemniałą i dodał, że wieczorem dużo kichała. Po podaniu adresu otrzymał zapewnienie, że ambulans przyjedzie najszybciej, jak to tylko możliwe.

Wróciwszy do pokoju, Jurij przyjrzał się swojej żonie. Wtedy jego wzrok zatrzymał się na jej obrzmiałym lewym oku. Nie chciał, aby ktoś podejrzewał go o pobicie żony, gdyż to mogłoby obudzić niepożądane wątpliwości. Postanowił powiedzieć, że Connie upadła, choć obawiał się, że może to nie zabrzmieć zbyt przekonująco, ponieważ leżała w łóżku. Widok

otwartych na oścież drzwi łazienki podsunął mu pewien pomysł.

Obszedł łóżko i usiłował posadzić Connie. Niestety, była za ciężka, a na dodatek ciało było kompletnie zwiotczałe. Jurij przetoczył ją nieco na lewy bok i wsunął jej ręce pod pachy. Zaparł się jedną nogą o krawędź materaca i pociągnął ją wolno ku sobie. I wtedy zdarzyło się nieszczęście.

W momencie gdy Jurijowi udało się podnieść Connie z łóżka, dywan, na którym stał, wyslizgnął mu się spod nóg. Jurij runął na plecy, Connie zaś zwała się na niego całym ciężarem. Przez minutę walczył o oddech. Pod ciężarem Connie nie mógł zaczerpnąć powietrza. Sypialnia zaczęła mu się rozpląwać przed oczami – Jurij lękał się, że za chwilę zemdleje.

Ostatnim rozpaczliwym ruchem ciała zdołał na tyle przekręcić się na bok, żeby nabrać haust powietrza pozwalający mu przynajmniej zachować przytomność. Potem musiał uwolnić się spod potężnego, bezwładnego cielska żony.

W końcu, po wielu trudach, wysunął się z jej śmiertelnego uścisku. Z ledwością stanął na nogi i sapał ciężko. Korciło go, aby wziąć nogi za pas, lecz jakaś siła trzymała go w miejscu i kazała mu patrzeć na rozciągniętą na podłodze postać żony.

Jurij zadygotał z przerażenia. Mało brakowało, a półmartwa Connie zemściłaby się na nim. Syrena zbliżającego się ambulansu podziałała na niego jak kubeł zimnej wody.

Musiał szybko coś zrobić. Niełatwo będzie wytłumaczyć, w jaki sposób jego posiniaczona żona wylądowała na ziemi obok zdemolowanego łóżka. Nie należało jej stamtąd ruszać, teraz wtaszczenie jej z powrotem było niemożliwością.

Wiedząc, że zostało mu mało czasu, Jurij kucnął. Chwycił Connie za ręce i zdołał ją okręcić tak, że jej głowa zwróciła się w stronę łazienki. Potem przewrócił żonę na plecy, ujął ją pod pachy i pociągnął ku łazience. Wpadł na pomysł, żeby zaaranżować wypadek: Connie mogłaby upaść tam, uderzając się o którąś z wystających części armatury.

Podczas gdy odgłos karetki się nasilał, Jurij po raz ostatni obrzucił pokój badawczym spojrzeniem. Wszystko wydawało się w porządku. Potem pobiegł z powrotem do sypialni, aby błyskawicznie ułożyć rozrzuconą pościel.

Rozległ się energiczny łomot do drzwi i Jurij pobiegł otworzyć. Dwoje pracowników pogotowia w białych kitlach wpadło bez słowa do mieszkania. Kobieta i mężczyzna. Oboje nieśli sprzęt medyczny.

–Gdzie pacjentka? – rzuciła kobieta.

Jurij wskazał palcem.

–W łazience za sypialną.

Jurij ruszył za nimi. Tymczasem tamci wcisnęli się do łazienki i przystąpili do udzielania Connie pierwszej pomocy. Najpierw założyli jej maskę tlenową. Jurij trzymał kciuki, modląc się w duchu, aby nie nastąpiło cudowne zmartwychwstanie.

–Jest płytki oddech i bicie serca – poinformowała kobieta. – Ale ta sina skóra wygląda niedobrze. Podłączmy ją do worka samorozprężalnego.

Jurij patrzył, jak technicy tłoczą powietrze do płuc Connie. Teraz, gdy oddychała za pomocą respiratora, jej pierś wyraźnie unosiła się i opadała.

–Mamy drożność – stwierdził mężczyzna, uciskając miarowo worek.

–Co tu się stało? – kobieta spytała Jurija, który stał w drzwiach i starał się wyglądać na przybitego. Mówiła, nie odrywając się od pracy – podłączała Connie do aparatu EKG.

–Nie wiem – odparł Jurij. – Wieczorem skarżyła się, że nie może oddychać, ale nie było to nic poważnego. Potem usłyszałem, jak się przewraca. I znalazłem ją tutaj.

Kobieta skinęła głową.

–Czy pańska żona chorowała na astmę? – zapytała.

–Tak – potwierdził Jurij. – I to od dawna.

–Czy była na coś uczulona?

–Tak.

–Czy uskarżała się na ból w piersiach?

–Nie, zupełnie nie.

Kobieta ponownie przytaknęła. Z jej aparatu wysunął się pasek papieru z wykresem. Pokazała go swojemu partnerowi, napomykając, że serce pracuje wolno, lecz regularnie. Tamten skinął głową. Kobieta podniosła wzrok na Jurija.

–Ile ona waży?

–Nie wiem – przyznał Jurij. – Dużo.

–Właśnie widzę – rzekła kobieta. Wyciągnęła przytroczoną do pasa krótkofalówkę i wezwała bazę. Poprosiła dyspozytora o przysłanie posiłków w celu odwiezienia nieprzytomnej otyłej pacjentki, której stan wydaje się na razie stabilny. Dodała, że będą potrzebni do tego co najmniej trzech mężczyzn.

Pracownicy pogotowia z ogromnym wysiłkiem wynieśli Connie z łazienki, położyli ją na nosze i wsunęli do ambulansu. Na Jurija nikt w zasadzie nie zwracał uwagi, jednak pozwolono mu jechać z żoną do szpitala. Intubowano ją i cały czas podawano tlen.

Connie została zabrana na ostry dyżur, Jurij przez jakiś czas wyjaśniał szczegóły związane z jej ubezpieczeniem. Następnie odesłano go do poczekalni. W pewnej chwili podszedł do niego niechlujnie ubrany lekarz z włosami związanymi w kitkę i zaczął wypytywać go o historię chorób, jakie przeszła pacjentka, zwłaszcza zaś o astmę i alergie. Jurij odpowiedział, że Connie ostatnio – a przynajmniej odkąd wzięli ślub – nie miała kłopotów z oddychaniem, ale wcześniej zdarzały jej się wizyty w szpitalach i na oddziałach nagłych zachorowań. Wprawdzie Jurij nie potrafił wymienić, na co konkretnie była uczulona, ale przypuszczał, że chodziło o koty, pyłki, kurz, orzechy i tym podobne.

–Jak ona się czuje? – zapytał niepewnie, gdy lekarz zamierzał odejść.

–Prawdę mówiąc, nie czuje się najlepiej – wyznał mężczyzna. – Obawiamy się, że niedotlenienie mózgu trwało zbyt długo. Zanikły wszelkie odruchy obwodowe, a to niedobrze wróży funkcjonowaniu mózgu. Niestety, szansę na jej uratowanie są znikome. Przykro mi.

Jurij skinął głową. Najchętniej by się teraz rozplakał, ale nie mógł zmusić się do łez. Zwiesił smutno głowę. Lekarz uściśnął mu ramię i zniknął.

Godzinę później zjawił się po raz drugi. Tym razem jego wymięty, podobny do pizamy strój okrywał biały fartuch. Wpięta weń tabliczka głosiła: Dr Michael Cooper.

Podszedł do Jurija i usiadł. Jurij popatrzył w jego szarozielone oczy.

–Obawiam się, że mam dla pana złe wieści – odezwał się doktor Cooper.

Jurij cały zeszywniał. Oczami wyobraźni ujrzał, jak Connie nagle siada na szpitalnym łóżku i mówi, że wszystko zaczęło się od lodów, które spowodowały u niej podwójne widzenie.

–Pańska żona umarła – powiedział miękko doktor Cooper. – Uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy, by ją ratować, lecz nie mogliśmy jej już pomóc. Bardzo mi przykro.

Oczy Jurija zaszyły łzami. Nie miało żadnego znaczenia, że były to łzy szczęścia.

Cieszył się, że napłynęły akurat teraz, aby uwiarygodnić jego udawany ból. Najbardziej jednak cieszył się, że miał rację co do tego, jak pozbyć się Connie. Chociaż przeżył wiele stresów, jego metoda całkowicie się sprawdziła. Jurij był wolny. Curt będzie zadowolony.

–Wiem, że to musi być dla pana wielki szok – mówił doktor Cooper. – Była jeszcze taka młoda.

–Dziękuję – powiedział Jurij. Otarł łzy kłykiem prawej dłoni, pilnując, aby doktor zauważył

ten gest. – Domyślam się, że będę musiał ustalić, co zrobić z ciałem.

Czy myśli pan, że ktoś mógłby mi w tym pomóc? Nie bardzo się znam na tych sprawach.

–Ależ naturalnie – zapewnił doktor Cooper. – Za kilka minut przyjdzie porozmawiać z panem ktoś z opieki społecznej. Od razu dodam, aby pana uspokoić, że tej nocy nie musi pan podejmować żadnych istotnych decyzji.

–Nie? – zdziwił się Jurij. – Dlaczego?

–Ponieważ pańska żona stanie się tym, co w medycynie sądowej określamy mianem „przypadku”.

–Czy to oznacza sekcję zwłok? – spytał Jurij z zakłopotaniem.

–Tak jest – przyznał doktor Cooper. – Ale pragnę pana zapewnić, że wszystko odbywa się z pełnym poszanowaniem dla zmarłego.

–Ale po co robić sekcję zwłok? – zapytał twardym tonem Jurij. – Przecież macie diagnozę.

–To prawda – potwierdził doktor Cooper. – Wiemy, że umarła na ostrą niewydolność oddechową i że miała astmę. Niemniej jednak to stosunkowo młoda osoba, która, zanim zdarzył się ten nieszczęsny atak, cieszyła się – mimo otyłości – dobrym zdrowiem. Wszyscy uznaliśmy więc, że powinien obejrzeć ją lekarz sądowy, na wypadek gdybyśmy coś przeoczyli. Nie ma powodu do obaw. To czysto rutynowe postępowanie.

–Jestem pewien, że niczego nie przeoczyliście – wykrztusił Jurij.

–Dziękuję panu za zaufanie – powiedział doktor Cooper. – Jednak jestem przekonany, że również panu będzie łatwiej pogodzić się ze stratą żony, kiedy przyczyna tej tragedii zostanie wyświetlona ponad wszelką wątpliwość. Rozumie pan, co mam na myśli, prawda?

–Oczywiście – wymamrotał Jurij, czując, jak ożywa w nim lawina dawnych lęków.

Rozdział 9 19 października, wtorek, 6.43 Laurie zaskoczyła samą siebie, budząc się przed dzwonkiem budzika. Nie pamiętała, kiedy ostatnio jej się to zdarzyło. Co dziwniejsze, czuła się zmęczona. Po krótkich obliczeniach uzmysłowiła sobie, że w stolicy Francji jest już popołudnie, i choć przebywała tam tylko parę dni, musiała przywyknąć do tamtego czasu.

Zaledwie się poruszyła, jej ośmiomiesięczny kot, Tom Dwa, podniósł się, przeciągnął i podszedł do wezgowia łóżka po swoją zwykłą porcję pieszczot. Laurie z radością spełniła jego życzenie. W przeciwieństwie do mieszkańca Toma, pierwszego kota, którego Laurie wyciągnęła ze schroniska i który został potem brutalnie zabity, Tom Dwa był rasowym birmańczykiem, którego kupiła w sklepie „Kocie gwiazdy” przy Drugiej Avenue. Sierść Toma Dwa miała barwę podobną do włosów Laurie, tyle że bez czerwonego odcienia.

Laurie wyskoczyła z łóżka z nadzwyczajnym entuzjazmem. Przez ostatnie miesiące, odkąd poznała Paula, tryskała humorem i energią. W kuchni włączyła ekspres do kawy, który przygotowała poprzedniej nocy. Wróciła do malutkiej łazienki i Weszła pod prysznic.

Od ośmiu lat, odkąd zatrudniła się w Biurze Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej dla Miasta Nowy Jork, zajmowała ciasne, dwupokojowe mieszkanie na czwartym piętrze. Obecnie stać ją było na większe luksusy, ale zdążyła się do niego przyzwyczać. Ponadto, biuro znajdowało się ledwie o jedenaście przecznic dalej, więc często szła pieszo w obie strony. Nie wszyscy jej koledzy cieszyli się podobnym przywilejem.

Myjąc włosy, Laurie wróciła myślami do zeszłego wieczoru – i nie zdołała powstrzymać się od uśmiechu. Z początku była rozczarowana reakcją Jacka i Lou na jej wiadomość o ślubie, ale gdy przemyślała ich zachowanie się, zmieniła zdanie. Teraz uznała, że było coś zabawnego w ich oczywistym szoku i w tym, że nie potrafili życzyć jej wszystkiego najlepszego. Musiała też przyznać, że czuje satysfakcję. Ani Jack, ani Lou nie kwapili się, aby zacieśnić związek z nią. Czego się po niej spodziewali – że pozwoli, by życie ją ominęło?

Laurie od dawna podejrzewała, że obaj mężczyźni darzą ją szczerym uczuciem, lecz obawiają się zaangażować. Mimo że ceniła sobie ich przyjaźń, sytuacja ta przyprawiała ją o frustrację, tym bardziej, że zawsze wiedziała, iż chce mieć dzieci.

Rozumiała, że Jack potrzebuje dużo czasu na to, by dojść do siebie po stracie rodziny. Dlatego okazywała cierpliwość. Ale jak długo jeszcze mogła żyć w zawieszeniu?

W ciągu tych lat, odkąd się znali, Laurie nie zauważyła, aby Jack zaczął wychodzić z żałoby. W jej mniemaniu całe jego życie było jakby odpowiedzią na tamten tragiczny wypadek.

Co innego Lou. Miał tak wielki kompleks niższości, że wysiłki Laurie okazywały się daremne. Choć próbowała wszelkich sztuczek, aby przebić się przez jego tarczę ochronną, nie udawało jej się to. W rzeczywistości im bardziej się starała, tym bardziej Lou się przed nią bronił, aż w końcu wywiązywały się kłótnie. Ostatecznie Laurie dała za wygraną i zadowolona się jego wierną przyjaźnią.

Laurie energicznie wytarła włosy i uczesała je, po czym sięgnęła po suszarkę.

Uznając, że lepiej skupić się na pozytywach, pomyślała o Paulu Sutherlandzie. Jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

W ciągu ostatnich kilku lat Laurie nauczyła się intuicyjnie analizować samą siebie. Zdała sobie sprawę, że przez całe życie podejmowała starannie wyważone, racjonalne decyzje, co niewątpliwie pomagało jej na polu zawodowym, lecz niekiedy ograniczało jej możliwości wyboru. Rzadko stawiała wszystko na jedną kartę, nie licząc kilku buntów młodości. W Paulu dostrzegła swoją szansę. To tak, jakby na wirującej karuzeli życia ktoś zaoferował jej

mosiężny pierścień. Musiała tylko wyciągnąć rękę i go złapać.

Gdy doprowadziła włosy do ładu, zajęła się makijażem. Nie używała zbyt wielu kosmetyków, więc trwał on krótko. Nakładając go, zamyśliła się nad swoim gwałtownym romansem z Paulem. Dzięki jego hojności i spontaniczności nie tylko pojechali do Paryża, ale również spędzili weekend w Los Angeles i Caracas. Co wieczór jedli kolację w którejś z najlepszych nowojorskich restauracji. Byli w teatrze, na występach baletu i w filharmonii.

Skończywszy się ubierać, Laurie wróciła do kuchni, aby zjeść śniadanie złożone z płatków owsianych, owoców, jogurtu i kawy. Jedząc, przyznała sama przed sobą, że istotnie, nie spodziewała się, że wszystko pójdzie tak szybko. Wciąż jeszcze była lekko oszołomiona oświadczeniami Paula. Jego propozycja kompletnie ją zaskoczyła.

Zarazem jednak pochlebiało jej i cieszyła się, że jest z mężczyzną, który ją szanuje i któremu zależy, by jej nie stracić.

Głównym powodem, dla którego oficjalnie nie przyjęła oświadczeń, było pragnienie, aby zamienić ostatnie słowo z Jackiem i Lou, zwłaszcza z Jackiem. Wiedziała, że będą się zrywać, ale sobie na to zasłużyli. Czuła, że tak im, jak i sobie jest winna prawdę. Jeśli chcą, mogą jeszcze działać. Albo na zawsze zamkną się w swoich skorupach. Jeżeli wybiorą to drugie, Laurie zamierzała pochwycić mosiężny pierścień i związać swoją przyszłość z Paulem, chociaż między nią i Paulem nie było tego zwierzęcego magnetyzmu, który tak silnie łączył ją z Jackiem.

Dzwonek u drzwi wyrwał ją z toku rozmyślań. Spojrzała na zegar. Nie miała pojęcia, kto też mógłby przyjść z wizytą o wpół do ósmej rano. Laurie podeszła do starego interkomu i podniosła słuchawkę do ucha. Wcisnęła guzik fonii i przywitała się. Pomimo szumu zaraz rozpoznała głos, który się odezwał. To był Paul.

Laurie wpuściła go. Potem pognęła przez mieszkanie, zabierając stanik z bocznego stolika, majteczki z oparcia tapczanu i rajstopy z podłogi. Kiedy zeszłej nocy wróciła do domu, była tak wyczerpana, że rozebrała się w drodze do łóżka, zostawiając za sobą porzrzucone rzeczy.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, Laurie odruchowo zerknęła przez judasza.

Okazało się, że patrzy prosto w jedno z ciemnych oczu Paula, który przytknął twarz do szkiełka.

Laurie otworzyła niezliczone zamki, które zainstalował poprzedni lokator, i otworzyła drzwi.

–Ach, ty żartownisiu! – skomentowała wesoło jego sztuczkę.

Paul miał nieprzewidywalne poczucie humoru, które czasami, w miejscach publicznych, budziło jej zakłopotanie; na przykład, kiedy lecieli concorde'em, wślizgnął się razem z nią do

miniaturowej toalety. Laurie wyszła stamtąd skamieniała ze strachu, ale później śmiała się do łez z siebie i z nudnych biznesmenów udających, że nic nie widzieli.

–Niespodzianka – powiedział Paul i wyciągnął zza pleców bukiet kolorowych kwiatów.

–Z jakiej okazji? – spytała Laurie.

–Z żadnej szczególnej – odparł Paul. – Po prostu uznałem, że ładnie się prezentują w jednym z tych całonocnych koreańskich delikatesów.

–No cóż, dziękuję – rzekła Laurie. Cmoknęła go w policzek i wzięła kwiaty. Gdy wyszła po wazonik, Paul zrzucił płaszcz. Miał na sobie garnitur podobny do tego, jaki nosił poprzedniej nocy.

–Jeśli masz ochotę na kawę, przyjdź tutaj – zawołała Laurie z kuchni. Paul zjawił się tam już po chwili. Trzymał w rękach głośno pomrukującego Toma Dwa. – Co chcesz? Mam zwykłą kawę, ale mogę ci zrobić z ekspresu. – Ułożyła kwiaty w wazoniku i postawiła go na stole.

–Dla mnie nic – odparł energicznie Paul. – Wyżłopałem tyle kawy, że starczy mi na cały dzień albo i na tydzień. Rano zbudził mnie telefon. Czasem żałuję, że Europa wyprzedza nas o sześć godzin.

–Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli skończę śniadanie? – zapytała Laurie. – Czas mnie goni.

–Oczywiście, że nie – zapewnił Paul. Usiadł przy małym stoliku naprzeciw niej.

W dalszym ciągu głaskał zadowolonego kota siedzącego mu na kolanach.

–Faktycznie: lubisz niespodzianki – stwierdziła Laurie między jednym kęsem a drugim. – Nie myślałam, że ujrzę cię dziś rano.

–Wiem – odparł Paul z chytrym uśmieszkiem. – Przyszedłem podzielić się z tobą konkretną niespodzianką. Pomyślałem, że powinienem przekazać ci ją osobiście.

–Brzmi intrygująco – oznajmiła Laurie. – Cóż to za niespodzianka?

–Pozwól, że najpierw ci wyznam, że wczorajsze spotkanie sprawiło mi wielką frajdę. To naprawdę wspaniali faceci.

–Cieszę się – powiedziała Laurie. – Dzięki. Ale o jakiej niespodziance chcesz mi powiedzieć?

Paul uśmiechnął się. Wiedząc, jak ciekawska jest Laurie, celowo nie spieszył się z odpowiedzią.

–Największe wrażenie wywarły na mnie rowerowe przejażdżki Jacka po mieście – ciągnął

jakby nigdy nic.

–Paul! – Laurie podniosła głos, nie wytrzymując.

–No i Lou – dodał Paul. – Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek spotkał równie skromnego człowieka.

–Jak nie powiesz mi natychmiast, o co chodzi, obleję ci ten twój jedwabny krawat jogurtem.
– Laurie odciągnęła łyżeczkę i zamieniła ją w maleńką katapultę.

–No już dobrze, dobrze – roześmiał się Paul. Uniósł ręce do góry w geście poddania. Wyczuwając kłopoty, Tom Dwa zeskoczył z jego kolan i zniknął w pokoju gościnnym.

–Daję ci pięć sekund – zagroziła żartobliwie Laurie.

–Niespodzianka jest taka, że w ten weekend znowu wybieramy się do Europy – zakomunikował Paul. – W piątek lecimy do Paryża, a stamtąd do Budapesztu. Musisz wiedzieć, że Budapeszt stał się jednym z ciekawszych miast w Europie. Zakochasz się w nim. Zamówiłem apartament w Hiltonie z widokiem na Dunaj.

Paul gapił się na Laurie z uśmiechem samozadowolenia. Laurie spoglądała na niego, lecz nie odpowiadała. Uśmiech Paula zaczął gasnąć.

–Co się stało? – zapytał.

–Nie mogę jechać do Budapesztu w ten weekend – stwierdziła Laurie.

–Dlaczego? – zdziwił się Paul.

–Muszę nadrobić zaległości w pracy – wyjaśniła, uśmiechając się. – Jeszcze nigdy nie miałam tylu rozgrzebanych akt na stole.

–Chyba nie dopuścisz do tego, aby praca przeszkadzała nam w weekendach? – zapytał Paul. Był zdumiony. – Możesz pracować w ciągu tygodnia.

–Mam za dużo roboty – stwierdziła Laurie. – I tak już się opuściłam, zwłaszcza wczoraj, kiedy przez pół dnia omawiałam z FBI przypadek tego skinheada.

Paul przewrócił oczami.

–Powiem ci, co zrobimy: skrócimy plany na resztę tygodnia. W końcu mamy dopiero wtorek. Zrezygnujemy z baletu w czwartek, mimo że musiałem błagać, prosić i jęczeć o bilety. Nie jest to jednak tak ważne jak weekend w Budapeszcie.

–Nie mogę jechać do Budapesztu! – powtórzyła Laurie tonem wykluczającym dalsze dyskusje.

Zapadła chwila milczenia. Laurie popatrzyła na swego narzeczonego. Ten nie odwzajemnił jej spojrzenia, opuścił wzrok na dłonie i kręcił głową w prawie niedostrzegalny sposób.

–To dla mnie niespodzianka – wyznał, przerywając ciszę. Kiwał teraz lekko głową, ale nadal wpatrywał się w swój podolek. – Byłem przekonany, że zechcesz jechać.

–Nie chodzi o to, że nie chcę jechać – powiedziała Laurie miękkiem głosem. – Ale czekają mnie obowiązki wynikające z pracy, którą wykonuję.

–Uważam, że nie powinnaś bez reszty podporządkowywać się pracy – oznajmił Paul. Wreszcie podniósł na Laurie swoje czarne jak węgiel oczy. – To niezdrowe. Poza tym szkoda życia.

–Akurat to stwierdzenie jest nieuczciwe – odrzekła Laurie. – W zeszły weekend poleciliśmy do Paryża ze względu na twoją pracę, choć, oczywiście, w wolnym czasie wybornie się bawiliśmy. Przypuszczam, że podobnie zaplanowałeś naszą wizytę w Budapeszcie. Znaczy się, nie pojechałbyś tam, gdyby nie interesy. Skoro więc ty pracujesz w weekendy, to dlaczego odmawiasz mi tego prawa?

–To nie to samo – stwierdził Paul.

–Czyżby? – spytała Laurie. – Wytłumacz mi, proszę, na czym polega różnica.

Paul wlepił wzrok w Laurie. Jego twarz oblała się rumieńcem.

–Jedyna różnica, jaką ja widzę, to ta, że w Budapeszcie nie mam nic do roboty.

–Są także inne różnice – szczerknął Paul.

–Proszę o przykłady! – zażądała Laurie.

Paul westchnął i potrząsnął głową.

–Nieważne.

–Chyba jednak ważne, skoro jesteś zdenerwowany.

–Nie dlatego jestem zdenerwowany, że nie masz ochoty jechać.

–Nie chodzi o to, że nie chcę – zapewniła go Laurie. – Rozumiesz to, prawda?

–Tak mi się zdaje – odparł Paul bez przekonania.

–Właściwie czym ty się zajmujesz? – spytała. Przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru Jack zadał jej to samo pytanie. Rzeczywiście nie miała pojęcia i do tej pory nie przyszło jej do głowy zapytać. Sądziła, że Paul jej to wyjaśni w odpowiedniej chwili. Dotąd

spotykała się na randkach z mężczyznami, którzy potrafili mówić jedynie o swojej pracy, toteż Paul wydał jej się odświeżająco inny. Mimo to zaczęła odnosić wrażenie, że to nieco dziwne, iż nie ma pojęcia o jego pracy.

–Czy to ma znaczenie? – spytał Paul wyzywającym tonem.

–Nie, nie ma – odrzekła Laurie. Zauważyła, że jej pytanie dotknęło go. – I nie uważam, aby było warto się o to kłócić.

–Masz rację – powiedział Paul. – Przepraszam za moją gwałtowną reakcję.

Kłopot w tym, że nie mam wyjścia: muszę jechać. A prawdę mówiąc, czuję się samotny. Wyjazd z tobą byłby przyjemnością.

–Dziękuję za komplement – odparła Laurie. – Jestem wdzięczna, że mnie zaprosiłeś. Ale, niestety, nie co weekend mogę wyrwać się z pracy. A przez trzy ostatnie weekendy podróżowaliśmy.

–Rozumiem – rzekł Paul. Uśmiechnął się słabo.

Laurie spojrzała mu w oczy. Zastanawiała się, czy jest z nią szczery.

Na dole, przed budynkiem Laurie, czekała na Paula taksówka. Stwierdził, iż jedzie w tym samym kierunku i z radością podrzuci ją do pracy. Pierwsze spotkanie miał w gmachu ONZ. Wiadomość ta zaimponowała Laurie, jeszcze bardziej była ciekawa, w jakim charakterze pracuje Paul. Korciło ją, by zapytać, z kim Paul ma się spotkać, lecz obawiała się, że jej motywy będą zbyt oczywiste.

Laurie wysiadła przed Biurem Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej i pomachała w stronę oddalającego się Pierwszą Avenue samochodu Paula. Potem odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach błękitnego budynku z glazurowanej cegły. Z jakiegoś powodu czuła się nie w sosie, chociaż dzień zaczął się nader obiecująco. Co prawda nie posprzeczali się z Paulem, ale mało brakowało. Był to pierwszy tego rodzaju epizod od początku ich znajomości. Miała nadzieję, że nie stanowi on wróżby na przyszłość i że za niegroźnym męskim szowinizmem Paula nie kryje się skrajny mizoginizm.

Laurie przemierzyła opustoszałą poczekalnię i podeszła do głównego wejścia, za którym ciągnął się korytarz.

–Przepraszam! – zawołała do Marlene Wilson, czarnoskórej recepcjonistki.

Chciała, aby Marlene wpuściła ją do środka.

–Doktor Montgomery! Chwileczkę! – Marlene pośpieszyła, ujrzawszy Laurie. – Ma pani gości, czekają na panią.

Z jednej z winylowych kanap stojących w poczekalni podniosło się dwoje nie znanych Laurie ludzi w średnim wieku. Tęgi mężczyzna o ciemnej od zarostu twarzy miał na sobie grubą wełnianą marynarkę w czerwonej kratę. W rękach ścisnął myśliwską czapkę ze związanymi na czubku nausznikami. Kobieta wydawała się drobna.

Spod jej płaszcza wystawał koronkowy kołnierzyk. Oboje wyglądali, jakby dopiero co przybyli z małej miejsciny na Środkowym Zachodzie. Było widać, że są załęcznieni i zmęczeni, jak gdyby musieli podróżować przez całą noc.

–Czy mogę państwu w czymś pomóc? – odezwała się Laurie.

–Mamy nadzieję, że tak – odparł mężczyzna. – Nazywam się Chester Cassidy, a to moja żona, Shirley.

Laurie drgnęła na dźwięk ich nazwiska. Uświadomiła sobie, że ma zapewne do czynienia z rodzicami Brada Cassidy’ego. Natychmiast przed oczami stanął jej widok zmasakrowanego ciała młodego mężczyzny, które badała poprzedniego dnia. Oczy wyłupane z oczodołów, olbrzymi gwóźdź, którym przebito dłoń chłopca, naga klatka piersiowa i brzuch, który obdarło mu ze skóry. Laurie poczuła zimny dreszcz.

–Czym mogę służyć? – zapytała z trudem.

–Dowiedzieliśmy się, że to pani zajęła się naszym synem, Bradem – zaczął Chester. Kiedy mówił, jego wielkie, sękaty dłonie miętosły czapkę.

Laurie skinęła głową, choć eufemizm „zajęcie się Bradem” niezbyt trafnie opisywał to, co musiała zrobić.

–Chcielibyśmy z panią porozmawiać przez parę minut – powiedział Chester. – Oczywiście, jeśli ma pani czas.

–Naturalnie – rzekła Laurie, starając się ukryć rozczarowanie. Rozmowa z pogrążonymi w żałobie rodzicami nigdy nie przychodziła jej łatwo. – Ale dopiero co przyszedłam do pracy. Będzie państwo musieli poczekać jakieś piętnaście minut.

–Rozumiemy – zapewnił Chester. Ujął żonę pod rękę i wrócili na kanapę w poczekalni.

Rozległ się brzęczyk i Laurie weszła do budynku. Zaaferowana czekającym ją spotkaniem z państwem Cassidy, wjechała windą na czwarte piętro i weszła do swego pokoju. Powiesiła płaszcz za drzwiami. Na widok walającej się na jej biurku sterty nie dokończonych akt podziękowała sobie w duchu, że nie dała się namówić na wycieczkę do Budapesztu.

Teczka Brada Cassidy’ego leżała na wierzchołku góry. Laurie przesunęła palcem wskazującym po spisie treści, aż dotarła do karty identyfikacyjnej. Wyciągnęła ją. Była ciekawa, kto dokonał identyfikacji zwłok. Na bloczku figurowało nazwisko Helen Trautman,

siostry zmarłego.

Po powrocie na parter Laurie udała się okrężną drogą do strefy zastrzeżonej dla personelu. Chciała łyknąć trochę mocnej kawy, zanim spojrzy w oczy Cassidym.

Wchodząc, natknęła się na Jacka i Vinniego zmierzających akurat do sali autopsyjnej.

Jak zwykle – wyprzedzili wszystkich.

–Moglibyśmy chwilę porozmawiać? – spytał potulnie Jack, gdy tylko zauważył Laurie.

–Możemy trochę z tym poczekać? – odparła. Popatrzyła z ciekawością na Jacka; potulny ton kłócił się z jego charakterem. – W poczekalni czeka na mnie dwoje ludzi. Coś mi mówi, że siedzą tam już od dość dawna.

–To potrwa tylko sekundę – obiecał Jack. – Vinnie, biegnij na dół przygotować stół sekcyjny. Zaraz do ciebie dołączę.

–A może poczytałbym sobie jeszcze gazetę? – zasugerował Vinnie. – Nie mam ochoty tkwić tam w kanale i wykręcać sobie palców z niecierpliwości. Wasze spontaniczne konwersacje ciągną się niekiedy przez pół godziny.

–Nie tym razem – stwierdził Jack. – No już, zmykaj!

Vinnie poczłapał przed siebie. Jack patrzył za nim, dopóki tamten nie znikł mu z oczu. Następnie podszedł do Laurie, która nalewała sobie kawy ze wspólnego dzbanka. Zerknął ukradkiem na George'a Fontwortha, ale ten nie zwracał na nich uwagi, sortując przypadki, które napłynęły w ciągu nocy.

–Gdzie twój pierścionek z diamentem? – zapytał Jack.

Laurie spojrzała na nagi palec, zupełnie jakby spodziewała się ujrzeć na nim pierścionek.

–Schowany w zamrażarce.

–Więc został na lodzie – zażartował Jack.

Laurie nie mogła się nie uśmiechnąć. Podobny komentarz bardziej pasował do tego Jacka, którego znała.

–Formalnie rzecz biorąc, nie jestem zaręczona – przypomniała. – Mówiłam ci o tym wczoraj, ale chyba zapomniałeś.

–Najpierw pewnie zawiadomisz rodziców, prawda? – zapytał Jack.

–Tak, i zrobię parę innych rzeczy – przyznała Laurie.

–No cóż – wyjąkał Jack. – Chciałem cię przeprosić za wczorajszy wieczór.

–Przeprosić? Za co? – Przeprosiny także nie należały do mocnych stron Jacka.

–Za moją niezbyt pochlebną opinię o Paulu – wyjaśnił Jack. – Wydaje się całkiem miłym facetem, no a wasz wyjazd do Paryża zrobił na mnie duże wrażenie. Nie zdołałbym tego uczynić, nawet gdybym żył milion lat.

–To wszystko, co chcesz mi powiedzieć?

–Chyba tak.

–Wobec tego przyjmuję twoje przeprosiny – oświadczyła rzeczowo Laurie. Wylała z filiżanki resztkę kawy, rzuciła Jackowi szybki, fałszywy uśmiech, po czym ruszyła na spotkanie z rodzicami Brada Cassidy’ego. Wiedziała, że jej zachowanie prawdopodobnie zbiło Jacka z tropu, ale nie dbała o to. Nie zależało jej na przeprosinach, a zwłaszcza nieszczerych. Zamiast tego chętniej usłyszałaby od Jacka, co myśli o planach jej ewentualnego zamążpójścia. Wiedziała, że teraz już się tego nie dowie, i była sfrustrowana.

Laurie sprawdziła najpierw jedno z małych bocznych pomieszczeń, w którym krewni zmarłego przechodzili przez bolesny proces identyfikacji zwłok. Dawniej schodzili obejrzeć ciało do kostnicy, lecz procedurę tę uznano za niepotrzebne okrucieństwo wobec ludzi, którzy nie otrząsnęli się jeszcze z szoku po stracie ukochanej osoby. Obecnie używano wykonanych polaroidem zdjęć, na czym skorzystały obie strony.

Upewniwszy się, że pomieszczenie jest w miarę czyste, Laurie poszła po Cassidych. Weszli gęsiego, w milczeniu i usiedli na prostych krzesłach. Laurie oparła się o porysowany drewniany blat biurka. Oprócz tych sprzętów w pokoju było jeszcze pudełko chusteczek higienicznych, kosz na śmieci i kilka wyszczerbionych popielniczek.

–Czy któreś z państwa życzy sobie kawy? – zapytała przed przystąpieniem do rzeczy.

–Nie, dziękujemy – odparł Chester. Zdjął marynarkę. Miał kraciatą, flanelową koszulę, zapiętą pod szyję. – Nie chcemy zajmować pani zbyt dużo czasu.

–Nie ma o czym mówić – zapewniła Laurie. – Nasza praca polega na służeniu społeczeństwu, w dosłownym znaczeniu tego słowa. Naprawdę bardzo mi przykro z powodu śmierci państwa syna. Musiał to być dla was wielki szok.

–W pewnym sensie tak, w innym nie – wyznał Chester. – Zawsze był z niego niesforny dzieciak. Zupełnie inny od starszej siostry i starszego brata. Prawdę mówiąc, wstydziliśmy się jego wyglądu i ubioru, zwłaszcza jak wytatuował sobie na czole tę swastykę. Mój wuj poległ na wojnie, walcząc z hitlerowcami. Brad i ja mieliśmy ze sobą na pieńku o ten tatuaż. Ale co to dało?

–Czasami trudno zrozumieć, co powoduje bunt nastolatków – podsunęła Laurie.

Chciała skierować rozmowę na boczny tor, aby ominąć temat wyglądu chłopca. Martwiła się, że rodzice chłopaka poproszą ją o pokazanie zdjęć syna zrobionych tuż po jego przybyciu do kostnicy. Fotografie te nie były przeznaczone dla oczu postronnych, a w żadnym razie nie powinni ich widzieć rodzice.

–Szkopuł w tym, że Brad nie był już nastolatkiem – stwierdził Chester. Shirley skinęła głową na znak zgody. – Ale wpadł w złe towarzystwo. Wszyscy tam ubierali się jak naziści. A potem szedł bić ludzi, którzy byli od niego inni, na przykład homoseksualistów i Portorykańczyków.

–Tak właśnie zaczęły się jego kłopoty – odezwała się po raz pierwszy Shirley.

Miała nadspodziewanie wysoki, piskliwy głos.

–O ile wiem, Brad miał problemy z policją – powiedziała Laurie. Uspokajała się. Najwyraźniej państwo Cassidy chcieli po prostu pogadać. Laurie rozumiała, że ta potrzeba bierze się z żalu i rozgoryczenia przedwczesną śmiercią syna. Cała trudność polegała więc wyłącznie na tym, że Laurie nie mogła ujawnić nic z tego, co przekazali jej Lou i Gordon Tyrrell, na przykład informacji o współpracy Brada z władzami w zamian za złagodzenie wyroku.

–Nasza córka, Helen, powiedziała nam, że Brad doznał strasznych krzywd – rzekł Chester. – Chłopak przyjechał niedawno do miasta i zatrzymał się u niej. Ale nie знаła szczegółów co do jego śmierci. Dlatego przyjechaliśmy do Nowego Jorku.

–Co chcieliby państwo wiedzieć? – zapytała Laurie. Miała nadzieję, że nie będzie musiała wychodzić poza ogólnikowe wyjaśnienia.

Mąż i żona spojrzeli na siebie niepewni, które ma zacząć. Chester odchrząknął.

–Naprzód chcielibyśmy się dowiedzieć, czy Brad został zastrzelony.

–Tak – potwierdziła Laurie. – Nie ma wątpliwości.

–A nie mówiłam! – powiedziała do Chestera Shirley, jak gdyby wiadomość ta potwierdzała jej stanowisko w małżeńskiej sprzeczce. – Wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Mateusz, rozdział dwudziesty szósty.

–Czy wie pani, jakiego typu to była broń? – pytał Chester.

–Nie – odparła Laurie. – I wątpię, czy kiedykolwiek się tego dowiemy. Oczywiście, kuła zostanie zbadana, a jeżeli odnajdziemy podejrzaną broń, będzie można ustalić, czy pocisk pochodzi właśnie z niej.

–Czy strzelano tylko raz? – zapytał Chester.

–Tak sądzimy – potwierdziła Laurie z mniejszym naciskiem. Czowała się trochę nieswojo, zdradzając szczegóły, bowiem śledztwo w sprawie zabójstwa Brada było nadal w toku.

–A więc raczej broń nie należała do niego – Chester zwrócił się ku Shirley. – W przeciwnym razie strzelano by prawdopodobnie więcej niż raz.

–Czy wasz syn miał dużo broni? – spytała Laurie.

–Zbyt dużo – orzekła Shirley. – Przez nią po raz drugi wpadł w tarapaty. Myśleliśmy już, że pójdzie do więzienia. Mówię pani: nie wiem, co takiego mężczyźni widzą w broni.

–Bez przesady. Nie można winić za wszystko broni – zaproponował Chester.

–Prawie za wszystko, jeśli chcesz znać moje zdanie – warknęła Shirley. – Najgorsze są te automatyczne pistolety. – Po czym, obróciwszy się do Laurie, dodała: – Właśnie taką broń sprzedawał nasz Brad. Karabiny szturmowe.

–Skąd je brał? – zapytała Laurie. Na myśl, że w Nowym Jorku można kupić u młodego skinheada broń szturmową, po plecach przebiegł jej dreszcz.

–Tego nie wiemy – wyjaśnił Chester. – Karabiny pochodziły z Bułgarii. A przynajmniej takiej były produkcji. Przypadkiem natknąłem się na kilka sztuk ukrytych w naszej stodole.

–To straszne – powiedziała Laurie.

Zdawała sobie sprawę, że to banały, ale mówiła szczerze. Jako patolog sądowy szczególnie interesowała się ranami postrzałowymi, widziała więcej przypadków niż ktokolwiek inny. Natychmiast nasunęło jej się pytanie, czy kiedykolwiek przeprowadzała obdukcję którejś z ofiar działalności Brada Cassidy'ego.

–Jest jeszcze coś, o co chcielibyśmy panią zapytać – powiedziała wolno Shirley. – Chcielibyśmy wiedzieć, czy nasz syn bardzo cierpiał.

Laurie odwróciła na moment wzrok, bijąc się z myślami. Czekał ją zniechęcony wybór między prawdą a litością. Nie było cienia wątpliwości, że Brad Cassidy przeszedł potworne tortury, ale na co się zda ta prawda rozpaczającym rodzicom? Z drugiej strony Laurie brzydziła się kłamstwem.

–Proszę nie owijać w bawełnę – odezwał się Chester, jakby wyczuwając rozterki Laurie.

–Syn państwa został postrzelony w głowę i przypuszczalnie umarł od razu – powiedziała Laurie i nagle uświadomiła sobie, że wybrnęła z kłopotu. Wprawdzie nie była do końca uczciwa, gdyż nie odpowiedziała wprost na pytanie Shirley, ale zarazem nie skłamała. To

zadaniem państwa Cassidy było postawienie jej owego krytycznego pytania dotyczącego zdarzeń poprzedzających śmierć ich syna.

–Bogu niech będą dzięki! – zawołała Shirley. – Brad miał wiele wad i na pewno nie był dobrym dzieckiem, ale męczyła mnie myśl, że cierpiał.

–Cieszę się, że mogliśmy państwu pomóc – oznajmiła Laurie, wstając. Pragnęła za wszelką cenę uniknąć dalszych pytań. – Jeśli będę mogła coś jeszcze dla państwa uczynić, proszę o telefon.

Chester i Shirley także podnieśli się z miejsc. Byli wdzięczni Laurie, mężczyzna długo i mocno potrząsał jej dłonią. Laurie wręczyła mu swoją wizytówkę, po czym odprowadziła ich do wyjścia. Gdy przeszli przez strefę zastrzeżoną dla personelu, otworzyła im drzwi do poczekalni i oboje wyszli.

Po końcowym pożegnaniu Laurie puściła zamykające się samoczynnie drzwi.

Dopiero wtedy pozwoliła sobie na westchnienie ulgi.

–Jakaś sekcja, o której nic nie wiem? – zapytał George Fontworth. Stał pochylony nad listą śmiertelnych zejść, usiłując ustalić kolejność autopsji.

–Nie! To rodzice wczorajszego przypadku – poinformowała Laurie, zapatrzona przed siebie nieruchomym wzrokiem.

Teraz, gdy państwo Cassidy odeszli, dotarła do niej cała zgroza faktu, że ich syn sprzedawał automatyczne karabiny – zapewne innym skinheadom. Z tego, co się dowiedziała poprzedniego dnia od Gordona Tyrrella, wynikało niezbitie, że tak zabójcza broń w rękach tych rasistów musiała doprowadzić do nieszczęścia, zwłaszcza teraz, gdy skrajnie prawicowe grupy paramilitarne nasiliły rekrutację młodych skinheadów do oddziałów szturmowych.

–Do czego to dochodzi? – wyszeptała. Jej przekonanie, że wszelka broń powinna znaleźć się pod kontrolą, umocniło się jeszcze bardziej.

Rozdział 10 19 października, wtorek, 11.15 Jurij zostawił włączony silnik i wysiadł, żeby otworzyć drzwi garażu. Mimo zmęczenia uśmiechnął się na widok ciężarówki z rozpylaczem środków owadobójczych. Fakt, że stoi w jego garażu, oczekując historycznego dnia, był dla Jurija źródłem wielkiej satysfakcji – nadawał sens jego mozolnym wysiłkom i ciągłym obawom.

Wprowadził taksówkę i zasunął drzwi. Nie chciał, aby ktokolwiek zobaczył półciężarówkę.

Przy tylnych drzwiach zatrzymał się na moment i przesunął wzrokiem po sąsiednich domach. Chciał mieć absolutną pewność, że nikt go nie obserwuje. Rzadko zdarzało mu się

wracać do domu o poranku. No i harmider, jakiego nad ranem narobił ambulans, z pewnością pobudził wszystkich sąsiadów. Jurij nie dostrzegł nikogo.

Zapowiadał się piękny letni dzień – pogodny i niezbyt upalny. W tej chwili nie było słycać nawet szczekania psów.

Jurij skierował się prosto do lodówki i nalał sobie wódki. Oparty o blat wysączył dający ukojenie trunk. Wciąż był zdenerwowany tym, że ciało Connie zostało przewiezione do zakładu medycyny sądowej w Kings County Hospital. Udał się tam, aby zidentyfikować jej zwłoki, mimo że powiedziano mu, iż nie jest to konieczne, bo dokonał już trafnej identyfikacji w Coney Island Hospital. Jednak pojechał tam, mając nadzieję, że zdoła odwieść lekarzy od wykonania autopsji. Okazało się wszakże, iż Jurij w ogóle nie zobaczył żadnego z lekarzy. Osoba, z którą się spotkał, przedstawiła się jako wywiadowca sądowy. Jurij skwapliwie powtórzył jej całą historię o astmie i alergiach. Kobieta poinformowała go, że sekcja zwłok odbędzie się najwcześniej po ósmej, kiedy patolodzy przyjdą do pracy.

Jurij dotarł do domu o piątej rano. Mimo wyczerpania czuł, że nie zaśnie – był zbyt spięty. Postanowił wsiąść za kółko i wykorzystać godziny szczytu.

Była to słuszna decyzja. Nie tylko zarobił sporo grosza, ale też praca pozwoliła mu oderwać się od bieżących kłopotów. Gdy jednak nastąpił przestój, Jurij natychmiast ruszył w stronę domu. Miał ważniejsze sprawy na głowie niż kursowanie cały dzień po mieście. Nie mógł się doczekać chwili, gdy zejdzie do swego laboratorium.

Choć nie był głodny, zmusił się do zjedzenia zimnej owsianki. Bez przerwy burczało mu w brzuchu po pizzy i litrach kawy, a teraz wódce. Jedząc, zerkał na telefon. Wywiadowca sądowy dała mu numer telefonu, pod który miał po południu zadzwonić, żeby się dowiedzieć, kiedy ciało Connie zostanie odwiezione do wybranego przezeń domu pogrzebowego. Zastanawiał się, czy jest już gotowa. Uważał, że im prędzej jej ciało opuści kostnicę, tym lepiej.

Wykręcił numer. Zdziwił się, gdy w słuchawce, zamiast automatycznej sekretarki, odezwała się telefonistka. Jurij przedstawił się i zapytał o ciało swojej żony.

–Czy mógłby pan powtórzyć nazwisko? – poprosiła telefonistka.

–Dawidów – odpowiedział wyraźnie Jurij. – Connie Dawidów.

–Proszę momencik zaczekać. Zaraz sprawdzę.

Jurij poczuł, jak wali mu serce. Nie znosił biurokracji pod żadną szerokością geograficzną.

–Nie widzę tutaj nikogo o nazwisku Dawidów – oznajmiła telefonistka. – Czy jest pan pewien, że pańska żona trafiła do zakładu w Brooklynie?

–Oczywiście! – potwierdził Jurij. – Przecież byłem tam z nią.

–Mógłby pan przeliterować mi jej nazwisko?

Zrobił to. Jego niepokój rósł. Może postawili orzeczenie i wezwali policję? Może policja jest już w drodze do jego domu? Może lada chwila...

–O, jest tutaj – odezwała się kobieta. – Nic dziwnego, że nie mogłam jej znaleźć. Pańskiej żony nie poddano autopsji.

–Chce pani powiedzieć, że jeszcze nie skończyli? – zapytał Jurij.

–Nie, po prostu lekarze zdecydowali, że sekcja nie jest konieczna – wyjaśniła telefonistka.

–Dlaczego? – spytał Jurij. Brzmiało to zbyt pięknie, aby było prawdziwe.

–Niestety, telefonistek nie informuje się o tym. Będzie pan musiał porozmawiać z lekarzem dyżurnym. Dzisiaj jest nim doktor Randolph Sanders. Proszę chwilę zaczekać!

Jurij spróbował przywołać telefonistkę z powrotem, bo nie bardzo miał ochotę gadać z lekarzem dyżurnym, ale kobieta już się rozłączyła. Ze słuchawki płynęła łagodna muzyka.

Czekając na połączenie, Jurij usiłował się opanować. Niespodziewana wiadomość, że postanowiono nie badać zwłok Connie, ucieszyła go. Zabębnił nerwowo palcami po stole. Wziął kolejny łyk wódki.

–Mówi doktor Sanders – odezwał się męski głos, przerywając muzykę. – Czym mogę służyć?

Zdenerwowany Jurij wytłumaczył, kim jest i czego się właśnie dowiedział.

–Ach, tak – rzekł doktor Sanders. – Znam ten przypadek. To ja zdecydowałem, że autopsja nie będzie konieczna.

–A więc szpital może już wydać ciało? – zapytał Jurij.

–Oczywiście – potwierdził doktor Sanders. – Dom pogrzebowy może po nie przyjechać w każdym momencie. O ile mi wiadomo, wybrał pan zakład Stricklanda.

–Zgadza się – rzekł Jurij. – Czy mam do nich zadzwonić z wiadomością?

–Jestem pewien, że nasi ludzie już to uczynili – zapewnił doktor Sanders. – A jeśli nie, zrobią to wkrótce.

–Bardzo dziękuję – powiedział Jurij, celowo zniżając głos, aby nie zdradzić swojego podniecenia. – Czy wolno zapytać, skąd tak nagła zmiana planów? Ulżyło mi, jak się

dowiedziałem, że nie było autopsji, ponieważ nie chciałem, by ruszono ciało żony.

–Nie chodzi o zmianę planów – wyjaśnił doktor Sanders. – Nie wszyscy, którzy do nas trafiają, są poddawani autopsji. Zależy to od rozeznania sytuacji. W przypadku pani Dawidów lekarz sądowy potwierdził przyczynę zgonu, wiążąc ją z długotrwałą astmą. Naturalnie, nie bez znaczenia była również nadwaga pana żony.

–To prawda – przyznał Jurij. – Dziękuję, że zechciał pan ze mną porozmawiać.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odparł doktor Sanders. – I proszę przyjąć wyrazy ubolewania.

–To dla mnie rzeczywiście ciężkie chwile – potwierdził Jurij. – Dziękuję za pańską troskę.

Jurij odłożył słuchawkę. Ogarnęło go cudowne uczucie: oto runęła ostatnia bariera stojąca na przeszkodzie operacji „Rosomak” i na horyzoncie pojawił się upragniony cel. Nie mógł się doczekać rozmowy z Curtem.

Oplukał talerz po owsiance, dopił resztkę wódki, a potem zszedł do piwnicy.

Otwierając zamek do komory wejściowej, pogwizdywał wesołą melodię. Pod wpływem euforii jego zmęczenie ulotniło się bez śladu.

Zdjął kłódkę i wszedł do magazynu. Stał przed półkami, wyselekcjonował z nich składniki pokarmowe i inne materiały, których potrzebował, i postawił przy drzwiach do laboratorium. Następnie włożył aparat tlenowy i kombinezon. Tak wyposażony, otworzył wewnętrzne drzwi i wniósł wszystkie materiały do środka.

Najpierw wyjął suchą masę węgliką z suszarni i wrzucił ją do rozdrabniacza.

Gdy włączył młyn, pomyślał z wdzięcznością o szumie sprężonego powietrza wypełniającego osłonę jego skafandra. Odgłos ten skutecznie zagłuszał łoskot stalowych kulek w metalowym cylindrze.

Następny punkt programu polegał na zebraniu większej ilości przetrwalników z kadzi fermentacyjnej i na przelaniu zawiesiny do suszarni. Uporawszy się z tym zadaniem, Jurij dosypał świeżej pożywki do kadzi, tak aby bakterie dalej mnożyły się i tworzyły zarodniki.

Wreszcie mógł się zająć drugim fermentorem. Ponownie sprawdził wzrost *Clostridium botulinum* i ponownie okazało się, że jest on poniżej oczekiwań. Jurija martwiło to, lecz skoro raz postanowił przestawić kadź na produkcję *Bacillus anthracis*, dłużej nie zawracał sobie tym głowy. Kiedy obie kadzie zaczną wytwarzać przetrwalniki węgliką, w parę dni będzie miał ich tyle, ile trzeba: osiem do dziesięciu funtów.

Jurij przerwał pracę, by rozważyć, w jaki sposób wykorzystać kulturę bakterii jadu

kiełbasianego. Mimo stosunkowo mizernego wzrostu hodowla składała się z ogromnej liczby bakterii. Jurij rozejrzył się za jakimś naczyniem, w którym mógłby ją umieścić. Jedyny nadający się do tego celu przedmiot to pusty pojemnik do składników pokarmowych. Jednak zawartość kadzi wielokrotnie przewyższała jego pojemność.

Pozostawało tylko jedno rozwiązanie: wylać całą zawartość fermentora do ścieku. Jurij próbował zastanowić się, czy mogą stąd wyniknąć następstwa, które by zaalarmowały władze. Na jakiś czas zastygł w bezruchu, zamyślony, ale żadne tego rodzaju konsekwencje nie przychodziły mu do głowy. Nie przypuszczał, żeby stacje oczyszczania zmartwiły się bakteriami pływającymi w ściekach. Oczyszczalnie dbały jedynie o to, co z nich wypływa.

Przekonany wydobyl schowane w laboratorium narzędzia hydrauliczne i zabrał się do roboty. Musiał tylko podłączyć kadź do rury spustowej i odkręcić właściwe zawory. Patrzył, jak poziom cieczy w kadzi opada. Ze znajdującego się na szczycie zaworu nadmiarowego dobiegło gulgotanie.

Po opróżnieniu fermentora Jurij opłukał go wodą, a potem nappełnił świeżą pożywką. Na końcu posiał w niej zarazki wąglika pochodzące z pierwszej kultury, które wyizolował z dostarczonego z Oklahomy nawozu. W końcu wyprostował się. Klepnął ręką w kadź, mówiąc, by go nie zawiodła. Później znowu skupił uwagę na młynie, chcąc zobaczyć, ile czasu zostało do końca zmiany. Po wyładowaniu zmielonego proszku zamierzał pójść na górę i uciąć sobie zasłużoną drzemkę.

Rozdział 11 19 października, wtorek, 13.00 Jack cisnął precz podręcznik chorób zakaźnych, który wypożyczył z biblioteki, i zaklął głośno. Usiłował dowiedzieć się czegoś więcej o wągliku. Wciąż nurtował go przypadek Jasona Papparisa, ale nie mógł się skupić. Okręcił się na krześle i popatrzył na puste miejsce Cheta, zastanawiając się, gdzie się podziewa jego kolega. Jack pragnął podzielić się z nim swymi najnowszymi doświadczeniami na temat kobiet.

Jack zbudził się w nocy i zaczął sobie wyrzucać, że zawiódł Laurie swoim negatywnym stosunkiem do jej nowej „sympatii”. Choć zdawał sobie sprawę, że zazdrość nie pozostaje bez wpływu na jego ocenę, nadal czuł, że Paul ma w sobie coś, co zdecydowanie nie przypada mu do gustu. Tak jak już wspomniał Lou, zraził go wielkopański gest, z jakim tamten uwiózł Laurie do Paryża, by spędziła z nim weekend. Według Jacka podobne zachowanie wyglądało na przekupstwo. Tacy faceci zawsze w końcu okazywali się szowinistami, gdy tylko związek się utrwalił, a kobieta zaangażowała się emocjonalnie.

Okolo czwartej nad ranem Jack doszedł do wniosku, że powinien uderzyć się w pierś. Postanowił pójść na całość i przeprosić Laurie. Potem powie jakiś komplement o Paulu. Coś wymyśli. Podjęcie tej decyzji zabrało mu parę godzin. Szala przechyliła się, kiedy Jack uświadomił sobie, jak wielkie znaczenie ma dla niego przyjaźń z Laurie.

Jednak sprawy potoczyły się nieco inaczej, niż Jack to sobie Wyobrażał. Gdy uczynił to, co

postanowił, Laurie o mało nie odrzuciła jego przeprosin, po czym oddaliła się pospiesznie. Przez całe przedpołudnie unikała go jak ognia, w żaden sposób nie okazując, że docenia jego gest. Jack czuł się podle. Przedtem Laurie wściekała się, że nie wyrażał się o Paulu dość pochlebnie, teraz zaś była zła, że tak się wyraża.

Jack pokręcił głową. Nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić.

Znowu obrócił się na krześle i sięgnął po telefon. Skoro nie doczytał się niczego na temat wąglika, należało zrobić użytek z telefonu. Przez godzinę wydzwaniał do siedmiu nowojorskich szpitali i rozmawiał z głównymi rezydentami na oddziałach chorób zakaźnych albo, jeśli szpital nie miał takiego oddziału, z głównymi rezydentami na oddziałach internistycznych.

Jack przedstawiał im pokrótce przypadek wąglika w postaci płucnej z Bronx General Hospital, a następnie pytał, czy w ich szpitalach pojawiły się jakiegokolwiek przypadki, które mogłyby sugerować wąglik. Wszystkie odpowiedzi były przeczące, ale przynajmniej Jack czuł, że zasiewa w umysłach właściwych ludzi ziarno podejrzania. Dzięki temu, gdyby trafił im się przypadek wąglika lub innej tajemniczej choroby, przynajmniej da im to do myślenia. W żadnym z nowojorskich szpitali wąglik nie zaliczał się do najczęściej rozpoznawanych chorób.

Zgłosił się główny rezydent na oddziale chorób zakaźnych w Columbia Presbyterian Medical Center i Jack powtórzył mu swoją starą śpiewkę. Lekarz był wstrząśnięty, słysząc o panu Papparisie, niemniej zapewnił Jacka, że w jego centrum medycznym nie ma nikogo, komu można by postawić diagnozę wąglika.

Jack odwiesił słuchawkę i przesunął wzrokiem po otwartej żółtej książce telefonicznej, szukając numeru kolejnego szpitala. Nim zdążył go wybrać, telefon zabrzączał. Nie był to jednak żaden rezydent oddzwaniający po to, aby podzielić się z nim potencjalnie ciekawymi wiadomościami. Była to pani Sanford, sekretarka szefa, dzwoniąca ze znajomą prośbą. Doktor Harold Bingham żądał, by Jack bezzwłocznie się u niego zameldował.

Jack zjechał windą na parter; nie był w nastroju do biurokratycznych głupstw, jak nazywał swoje wizyty w głównym sekretariacie. Niczym uczeń oczekujący bury, stanął przed Cheryl Sanford, która puściła do niego oko i uśmiechnęła się. W ciągu czterech lat Jack i Cheryl zdążyli się dobrze poznać, ponieważ ilekroć szef domagał się natychmiastowego spotkania, Jack nieodmiennie musiał czekać, aż tamten go wezwie. W tym czasie Jack i Cheryl ucinali sobie przyjacielską pogawędkę.

Jack również do niej mrugnął. Był to jeden z sygnałów pozawerbalnej komunikacji, za pomocą której porozumiewali się ze sobą. Sygnał ten oznaczał, że Jack nie musi się martwić, gdyż zbliżająca się konfrontacja z szefem ma charakter czysto proceduralny – doktor Bingham czuł się zobowiązany, choć pewnie wcale nie miał ochoty, obsztorcować Jacka za jakieś naruszenie obowiązujących przepisów.

–Jak się chowa pani chłopiec? – zagaił Jack, siadając na twardej jak kamień winylowej kanapie stojącej na wprost biurka. Drzwi do gabinetu szefa znajdowały się po lewej stronie i były wiecznie uchylone. Słysząc było, jak szef rozmawia przez telefon.

–Bardzo dobrze – odparła z dumą Cheryl. – Zbiera w szkole same szóstki.

–Fantastycznie – rzekł Jack.

Przypadkowo znał Arnolda, syna Cheryl. Od czasu do czasu grywali w kosza na tym samym boisku. Arnold był młodym, niezbyt doświadczonym koszykarzem, ale przejawiał naturalne zdolności do tego sportu. Cheryl, samotna murzyńska matka, mieszkała w budynku przy Sto Piątej Ulicy, widocznym z okna sypialni Jacka.

–Powiedział mi, że ma nadzieję, że kiedyś będzie grał w koszykówkę tak dobrze jak pan – wyjawiała Cheryl.

Jack prychnął z ironią.

–Będzie dziesięć razy lepszy niż ja w mojej najlepszej formie. – Jack ani trochę nie przesadzał. Chociaż Arnold niedawno skończył piętnaście lat, był już koszykarzem, o którego zabiegał nawet taki as jak Warren.

–Wolałabym, aby poszedł pana śladem i został lekarzem – powiedziała Cheryl.

–Powiedział, że go to interesuje – poinformował Jack. – Zamieniliśmy kilka słów w zeszłym tygodniu, czekając na wejście na boisko.

–Mówił mi – potwierdziła Cheryl. – Dziękuję, że poświęcił mu pan swój czas.

–To miły dzieciak – odparł Jack. – Fajnie się z nim gada.

W tej samej chwili doktor Harold Bingham ryknął na całe gardło, wzywając Jacka, by wszedł do jego gabinetu.

Jack wstał i ruszył ku drzwiom. Gdy przechodził obok biurka Cheryl, sekretarka szepnęła do niego:

–Proszę być miłym! Niech go pan nie rozjuszy, bo cały dzień będzie chodził jak struty.

Inspektor tkwił za barykadą swego ogromnego, zarzuconego papierzyskami biurka. Dopiero co obchodził sześćdziesiąte piąte urodziny i rzeczywiście wyglądał na swój wiek. Odkąd Jack zaczął pracować w Biurze Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej, bulwiasty nos Bingham'a jakby się wydłużył, wraz z gęstą siecią oplatających go żyłek. Światło wpadające przez okno za plecami Bingham'a odbiło się od jego spoczonej łysinki i Jack musiał zmrużyć oczy.

–Siadać! – rozkazał doktor Bingham.

Jack zrobił to, co mu kazano, i czekał. Nie miał pojęcia, w jakim celu został tutaj wezwany, wiedział jednak, że potencjalnych tematów nie brakuje.

–Jeszcze się panu nie znudziło? – spytał Bingham. Wlepił w Jacka wilgotne, stalowoszare oczy i przyglądał mu się zza okularów w drucianych oprawkach. Choć wyglądał staro, zachował przenikliwy umysł i był chodzącą encyklopedią w sprawach patologii sądowej. Był w tej dziedzinie światowym autorytetem.

–Miło raz po raz spotkać się z panem, szefie – odezwał się Jack. Skrzywił się; wiedział, że swoją niefrasobliwą odżywką zlekceważył przestrożę, jakiej udzieliła mu Cheryl.

Bingham zdjął okulary i potarł oczy swoimi grubymi palcami. Pokręcił głową.

–Czasem wolałbym, żeby był pan nieco mniej rozgarnięty, bo wtedy wiedziałbym, co mam z panem zrobić.

–Dziękuję za komplement, szefie. Czuję się pokrzepiony na duchu.

–Cały kłopot w tym, że jest pan gorszy niż wrzód na dupie.

Jack ugryzł się w język. Wprawdzie przyszło mu do głowy kilka ciętych ripost, ale tym razem, przez wzgląd na Cheryl, powstrzymał się od ich wygłoszenia. Ostatecznie sekretarka musiała znosić obecność Binghamama przez cały dzień. Złość, w jaką potrafił wpaść, dorównywała jedynie głębi jego wiedzy medycznej.

–Czy pan w ogóle wie, po co pana wezwałem? – zapytał Bingham.

–Odmawiam odpowiedzi, aby nie została ona użyta przeciwko mnie – odparł Jack.

Bingham mimo woli wyszczerzył zęby, lecz uśmieшек zniknął z jego twarzy równie prędko, jak się tam pojawił.

–Wesołek z ciebie, chłopcze! Ale posłuchaj! Przed chwilą miałem telefon od doktor Patricii Markham, pełnomocnika rządu do spraw zdrowia. Wygląda, żeś znowu załazł za skórę miejskiemu epidemiologowi, doktorowi...

Bingham wsunął okulary z powrotem na nos i zaczął wertować leżące przed nim papiery, szukając nazwiska epidemiologa.

–Abelardowi – dokończył Jack.

–O, właśnie temu – potwierdził Bingham.

–O co się mnie oskarża? – spytał Jack.

–Doktor Abelard był niezadowolony, że wtrąca się pan do jego pracy – wyjaśnił Bingham. – Co jest? Czyżby nie miał pan u nas nic do roboty?

–Zadzwoń do tego człowieka, tak jak proponował doktor Washington. Sądziłem, że zainteresuje się przypadkiem wąglika, który rozpoznałem u jednego z denatów.

–Tak, Calvin mi mówił – powiedział Bingham.

–Ale doktor Abelard przeszedł nad tymi informacjami do porządku dziennego – ciągnął Jack. – Powiedział, że zajmie się nimi, jak będzie miał czas, albo coś w tym guście.

–O ile wiem, źródło wąglika znajduje się w Queens i jest szczelnie zamknięte – powiedział Bingham.

–To prawda – wyznał Jack.

–Mimo to pan pojechał tam, aby grzebać w dokumentach handlowych ofiary – szczechnął Bingham. – Upadł pan na głowę czy co? A gdyby ktoś się o tym dowiedział?

Co by było? Przecież nie miał pan nakazu rewizji.

–Poprosiłem o zgodę żonę zmarłego – powiedział Jack, wzruszając ramionami.

–Ooo, sąd z pewnością uznałby ten argument! – zawołał sarkastycznym tonem Bingham.

–Bałem się, że ostatnia sprowadzona przez ofiarę partia dywanów została już sprzedana. Gdyby tak się stało, wąglik mógłby się rozprzestrzenić. Mogłoby dojść do epidemii.

–Doktor Abelard ma rację – bąknął Bingham. – Pan rzeczywiście wchodzi mu w paradę.

–Naszym obowiązkiem jest chronić społeczeństwo – wyjaśnił Jack. – Uznałem, że istnieje zagrożenie, na które doktor Abelard nie zareagował. Nie poświęcił zaistniałej sytuacji należytej uwagi.

–Następnym razem, kiedy pan uzna urzędnika służb miejskich za zbyt powolnego, niech pan przyjdzie z tym do mnie! – ryknął Bingham. – Zamiast ganiać po mieście i bawić się w detektywa-epidemiologa. Zadzwoń do Pat Markham i po krzyku. Pełnomocnik do spraw zdrowia potrafi skłonić ludzi, żeby w razie potrzeby wzięli dupę w troki! Ten system tak działa.

–Dobrze – powiedział Jack, wzruszając ramionami. Nadal mając na uwadze nerwy Cheryl, nie chciał wdawać się w dyskusje o indolencji biurokratów i niekompetencji wielu urzędników. Nieraz przekonał się, będąc na etacie miasta, że jeśli sam czegoś nie zrobi, to nikt inny nie zrobi tego za niego.

–Okay, wynoś się pan – rzucił Bingham, machnąwszy ręką. Jego uwagę pochłaniał już

kolejny wymagający rozwiązania problem.

Jack podniósł się i wyszedł z gabinetu. Przystanął przy biurku Cheryl.

–I jak mi poszło?

–Prawdę mówiąc, na trzy z plusem – oceniła z cierpkim uśmiechem. – Ale ponieważ na ogół dostaje pan jedynekę, czyli przyprawia go o stan zbliżony do apopleksji, muszę powiedzieć, że robi pan postępy.

Jack pomachał jej i ruszył w stronę korytarza. Nie uszedł jednak daleko. Calvin zauważył go przez otwarte drzwi swojego gabinetu.

–Są jakieś postępy w sprawie Davida Jeffersona?! – krzyknął Jack oparł się o framugę.

–Wyniki jeszcze nie przyszły. Czy dzwonił pan na toksykologię, do Johna DeVriesa, żeby pogonił laborantów?

–Zaraz po tym, jak powiedziałem, że to zrobię – odparł Calvin.

–W porządku, pójdę tam od razu – stwierdził Jack.

–Pamiętaj, że do czwartku chcę mieć ten przypadek z głowy! – zawołał Calvin.

Jack pokazał zastępcy inspektora podniesiony kciuk, chociaż wątpił, czy laboratorium uwinie się na czas. Tak czy owak nie było sensu się kłócić. Jack wsiadł do windy i pojechał na trzecie piętro. Zawsze mógł zdarzyć się cud.

Jack odnalazł Johna DeVriesa w jego malutkim, pozbawionym okien pokoju i zapytał o próbki z ciała zmarłego aresztanta. W odpowiedzi John zaczął utyskiwać na niedostateczne fundusze na toksykologię. Wychodząc, Jack nie miał już złudzeń co do tego, czy zdoła ukończyć ten przypadek do czwartku.

Wszedł schodami na piąte piętro i skierował się do laboratorium DNA. Kierownik, Ted Lynch, stał pochylony nad jednym z wielu skomplikowanych urządzeń i rozmawiał z jednym ze swoich techników. Na wierzchu spoczywała otwarta instrukcja obsługi. Najwyraźniej maszyna nie funkcjonowała jak należy.

–Ach, oto i człowiek, z którym się chciałem zobaczyć – odezwał się Ted na widok Jacka. Podniósł się i wyprostował plecy. Jak przystało na byłą gwiazdę uniwersyteckiego futbolu, był postawnym mężczyzną o szerokich barkach.

Twarz Jacka rozpromieniła się.

–Czy chcesz powiedzieć, że masz dla mnie pozytywne wyniki?

–Owszem – rzekł Ted. – Jedna z próbek, które mi podrzuciłeś, wykazała obecność zarodników wąglika.

–Coś takiego – zdziwił się Jack. Mimo że starał się zebrać jak najwięcej próbek, nie spodziewał się, że wyniki będą pozytywne. – Która to próbka? Pamiętasz może?

–Oczywiście – odparł Ted. – Była w niej taka malutka niebieska gwiazdka.

–Jasny gwint! – zawołał zdumiony Jack. Pamiętał, że znalazł ją na leżącej na biurku bibułce. Kompletnie nie pasowała do spartańskiego wystroju biura Papparisa.

Jack pomyślał sobie wtedy, że pewnie gwiazdka jest pozostałością po jakiejś dawno odbytej zabawie.

–Wiesz coś więcej?

–Owszem – potwierdził skwapliwie Ted. – Poprosiłem Agnes o przysłanie próbki kultury, którą pobrała od denata. W tej chwili porównujemy DNA, żeby ustalić, czy mamy do czynienia z tym samym szczepem bakteryjnym. Znaczy się, zapewne tak jest, ale dobrze byłoby mieć potwierdzenie.

–A jakże – przytaknął Jack. – Masz coś jeszcze?

–Niby co? – spytał drażliwie Ted. Zdawało mu się, że Jack powinien być co najmniej zadowolony z tego, co dotychczas mu powiedział.

–No, nie wiem – zawahał się Jack. – To ty zawiadujesz całą tą techniczną magią. Ja nawet nie wiem, o co zapytać.

–Nie umiem czytać w ludzkich myślach – odrzekł Ted. – Muszę wiedzieć, czego chcesz się dowiedzieć.

–Na przykład, czy ta gwiazdka była skażona zarodnikami w dużym czy w małym stopniu?

–Interesujące pytanie – stwierdził Ted. Utkwił spojrzenie w oddali i przygryzł wewnętrzną stronę policzka, zastanawiając się nad odpowiedzią. – Będę musiał trochę nad tym pogłównkować.

–A ja pogłównkuję na tym, jak doszło do jej skażenia – powiedział Jack.

–Pochodziła, zdaje się, z biura ofiary?

–Tak jest – potwierdził Jack. – Leżała sobie na biurku, ale przecież źródło zarodników wąglika znajdowało się w magazynie, nie w biurze. Wszystko wskazuje na to, że zarazki zostały wwieszone w kozich skórkach i dywanach sprowadzonych z Turcji.

–Rozumiem – rzekł Ted.

–Przypuszczam, że pan Papparis mógł je wnieść do biura – mówił Jack. – Kiedy usiadł, zarodniki spadły.

–To całkiem możliwe – przyznał Ted. – Mogły się też tam znaleźć, gdy zakaszał. O ile wiem, choroba miała postać płucną.

–To jest myśl – powiedział Jack. – Tak czy inaczej, dlaczego były tylko na gwiazdce? Przetarłem to biurko kilkoma wacikami, wszystkie dały wynik negatywny.

–Może wypluł tę gwiazdkę z płuc? – zapytał Ted i roześmiał się.

–Bardzo pomocna uwaga – odrzekł ironicznym głosem Jack.

–No cóż, śledztwo zostawiam tobie – oznajmił Ted. – Ja muszę wracać do mojej zepsutej maszyny.

–Tak, jasne – rzekł Jack z roztargnieniem.

Wychodząc z laboratorium DNA i schodząc piętro niżej, łamał sobie głowę nad zagadką skażonej gwiazdki. Miał niepokojące wrażenie, że ten mały przedmiot próbuje powiedzieć mu coś, czego on nie może pojąć. Przypominało to wiadomość pisaną kodem, do którego brakowało klucza.

Jack wsunął głowę do pokoju Laurie, lecz jej tam nie zastał. Riva, jej koleżanka, podniosła wzrok znad stołu. Swoim miękkim głosem, z czarującym hinduskim akcentem, poinformowała go, że Laurie nie wróciła jeszcze z prosektorium.

Wciąż zaintrygowany gwiazdką, Jack ruszył w dół do pokoju, który dzielił z Chetem. Przeszło mu przez myśl, że gwiazdka – wykonana zapewne z metalu lub z plastiku – mogła być naładowana elektrycznie, co przyciągnęło do niej zarodniki.

Jack skręcił do swego pokoju i usiadł za biurkiem, w dalszym ciągu pochłonięty drobniutką, modrą gwiazdeczką. Oplótł rękami głowę i usiłował się skupić.

–O jakiej gwiazdce tam tak mamroczesz? – spytał czyjś głos.

Jack podniósł oczy. Zdziwił się, ujrawszy Lou. Detektyw miał tę samą szelmowską minę, co zeszłego wieczoru w barze, ale był znów w swojej wiecznie wymiętej marynarce. Odprasowany garnitur i wyglansowane buciki wróciły do szafy.

–Czyżbym mówił na głos? – zdziwił się Jack.

–Nie, jestem telepatą – odrzekł Lou. – Mogę wejść?

–Jasne. – Jack wyciągnął rękę i przysunął do biurka jedno z prostych krzeseł, które miał do spółki z Chetem. Klepnął dłonią w siedzisko.

Lou opadł ciężko. Jego wygląd zdradzał, że rano się nie golił.

–Jeżeli szukasz Laurie, to jest na dole, w kanale.

–Szukam ciebie.

Jack podniósł brwi.

–Pochlebiasz mi. W czym rzecz?

–Chcę się przed tobą wyświadczyć – oświadczył Lou.

–To ciekawe – powiedział Jack.

–Czułem się tak fatalnie, że nie mogłem usnąć. Ciskałem się jak niespokojny duch całą noc.

–Skąd ja to znam? – spytał retorycznie Jack.

–Nie chciałbym, żebyś pomyślał o mnie coś złego.

–Postaram się nie pomyśleć. – Jack zabębnił niecierpliwie palcami.

–Zwykle tego nie robię. Chcę, żebyś o tym wiedział.

–Na miłość boską, Lou, wykrztuś, o co chodzi! Inaczej nie dam ci rozgrzeszenia.

Lou popatrzył na swoje złożone dłonie i westchnął.

–Okay, spróbuję zgadnąć – zaproponował Jack. – Uprawiałeś masturbację i miałeś brzydkie myśli.

–Jack, ja nie żartuję! – warknął Lou.

–Więc powiedz mi, żeby nie musiał bawić się w zgadywanki.

–W porządku – westchnął Lou. – Przepuściłem nazwisko Paula Sutherlanda przez naszą bazę danych.

–I to wszystko? – spytał Jack z ostentacyjnym rozczarowaniem. – Miałem nadzieję, że usłyszę znacznie bardziej sprośne wyznanie.

–Naruszyłem tym samym swoje zawodowe uprawnienia.

–Być może, ale na twoim miejscu zrobiłbym dokładnie to samo – pocieszył go Jack.

–Serio?

–Oczywiście! No i co znalazłeś?

Lou pochylił się naprzód i przybrał konspiracyjny ton.

–Jest notowany.

–Coś poważnego?

–Nie bardzo – stwierdził Lou. – Zależy jak się na to zapatrywać. Postawiono mu zarzut posiadania kokainy.

–Tylko tyle?

–Była to spora ilość kokainy – dodał Lou. – Może nie na tyle duża, by podejrzewać go o handel, ale wystarczająca dla kilkunastu osób. Sutherland nie wniósł apelacji. Dostał dozór sądowy i miał trochę popracować społecznie.

–Masz zamiar powiedzieć o tym Laurie? – spytał Jack.

–Nie wiem – wyznał Lou. – Właśnie chciałem ciebie o to spytać.

–O rany! – jęknął Jack. Potarł czoło. Sprawa była trudna.

–Nie wiedziałbym, co mam jej odpowiedzieć – wyjaśnił Lou.

Jack skinął głową.

–Rozumiem cię. Laurie może cię zapytać o Paula, a potem wyładować złość, jaką wywołają w niej złe wieści, na Bogu ducha winnym zwiastunie.

–Właśnie tego się obawiam – potwierdził Lou. – Ale jest moją przyjaciółką i powinna chyba znać prawdę. Oczywiście Sutherland mógł jej już powiedzieć.

–Intuicja mówi mi, że tego nie uczynił – oznajmił Jack. – Ma o sobie zbyt wysokie mniemanie.

–Też tak uważam.

Kątem oka Jack spostrzegł czyjąś postać wypełniającą sobą całe drzwi jego pokoju. Był to Ted Lynch z laboratorium DNA.

–Przepraszam – rzekł. – Nie sądziłem, że będziesz zajęty.

–Nie ma sprawy – odparł Jack. Przedstawił sobie Teda i Lou, ale tamci oznajmili, że już się

znają.

–Wciąż chodziło mi po głowie twoje pytanie – zaczął Ted.

–Masz na myśli to, w jakim stopniu została skażona ta niebieska gwiazdka?

–Właśnie! Można to sprawdzić! – powiedział z ożywieniem. – Technologia ta nazywa się TaqMan, to nowa odmiana PCR.

–Co to jest PCR? – zapytał Lou. – Łańcuchowa reakcja polimerazy – wyjaśnił Jack. – Powiększa się drobny fragment DNA, aby można go zanalizować.

–Ach tak – rzekł Lou, udając, że rozumie.

–To fantastyczna technika – ciągnął podekscytowany Ted. – Do mieszanki reakcyjnej dodaje się pewien enzym, który połyka pojedyncze nici DNA niczym PacMan.

Pamiętacie tę starą grę komputerową?

Zarówno Jack, jak i Lou skinęli głowami.

–Dowcip polega na tym, że kiedy enzym natrafi na sondę genetyczną, szukającą tego, o co nam chodzi, wysyła sygnały. Sprytnie pomyślane, no nie? Dzięki temu, znając liczbę łańcuchów, które reakcja obejmie w określonym czasie, można określić wielkość pierwotnej próbki.

Jack i Lou gapili się tępych wzrokiem na podekscytowanego specjalistę od

DNA.

–Chcesz, żebym to zrobił? – zapytał Ted.

–No jasne – odparł Jack. – Byłoby super.

–Od razu się do tego biorę – rzucił Ted i zniknął równie szybko, jak się zmaterializował.

–Czy zrozumiałeś coś z tego? – spytał Lou.

–Nic a nic – przyznał Jack. – Ted mieszka w swoim własnym świecie. Dlatego laboratorium DNA mieści się na najwyższej kondygnacji. Wszystkim nam się wydaje, że wyniki spływają z nieba.

–Muszę liznąć trochę wiedzy na temat DNA – wyznał Lou. – Te badania stają się coraz ważniejsze w pracy policji.

–Najgorsze jest to, że pojawiają się wciąż nowe technologie – zauważył Jack.

–Co to za niebieska gwiazdka? – zapytał Lou. – Ta sama, o której mamrotałeś jak nawiedzony, kiedy tu wszedłem?

–Ta samiuteńka – przytaknął Jack. Opowiedział Lou, w jaki sposób znalazł w Korynckim Przedsiębiorstwie Dywanowym tę maleńką, błyszczącą gwiazdeczkę, zaznaczając, że był to jedyny przedmiot w całym biurze, na którym wykryto zarodniki węgla.

–Widziałem już takie gwiazdki – powiedział Lou. – W tym roku były w zaproszeniu na zabawę policyjną, które przyszło w kopercie.

–Masz rację! – rzekł Jack. – Ja też dostałem kiedyś zaproszenie z takimi gwiazdkami. Nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie je widziałem.

–Nie spodziewałbym się znaleźć takiej gwiazdki w biurze przedsiębiorstwa importu dywanów – stwierdził Lou. – Ciekawe, czy wydawali tam jakieś przyjęcie.

–Powróćmy może do twojego dylematu – zmienił temat Jack. – Czy i w jaki sposób zamierzasz powiadomić Laurie, że kandydat na jej narzeczonego ma kartotekę policyjną?

–Nie mam pojęcia – powtórzył Lou. – Po prawdzie miałem nadzieję, że mnie w tym wyręczysz.

–Nic z tego – odrzekł Jack. – To twoja broszka. To ty zdobyłeś tę informację i tylko od ciebie zależy, jak jej użyjesz.

–Ale to jeszcze nie koniec – dodał Lou.

Jack nadstawił uszu.

–No, słucham?

–Odkryłem, czym zajmuje się Paul Sutherland.

–To również jest w jego kartotece? – zapytał Jack.

Lou skinął głową.

–Jest handlarzem bronią.

Jackowi opadła szczeka. Jego zdaniem to, że Paul Sutherland handluje bronią, miało o wiele większe znaczenie dla Laurie niż wyrok za posiadanie kokainy.

–Miał swego rodzaju monopol na bułgarskie AK-47, przynajmniej do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku, zanim ustawa Omnibus Crime zakazała importu dwunastu typów karabinów półautomatycznych.

–To poważna sprawa – stwierdził Jack.

–Oczywiście, że poważna. Te bułgarskie karabiny cieszą się dużym wzięciem u ultrapravicowych grup paramilitarnych i innych pokręconych survivalowców.

–Nie, nie. Myślę o Laurie – wyjaśnił Jack. – Nie znasz jej stosunku do broni?

–Nie bardzo – przyznał Lou.

–Pozwól, że cię oświecę. Laurie najchętniej rozbroiłaby cały kraj, łącznie z posterunkowymi. Zrobiła specjalizację z ran postrzałowych.

–Nawet nie napomknęła mi o tym – powiedział Lou. Wyglądał na rozżalonego.

–Cóż, moim zdaniem fakt, że jej potencjalny narzeczony handluje bronią, jest dla niej bez porównania istotniejszy niż wiadomość o aresztowaniu go za posiadanie kokainy.

–Czy to znaczy, że jej powiesz?

–Do licha – zirytował się Jack. – Czemu nie ty? Po pierwsze, to ty się dowiedziałeś, po drugie Laurie na pewno zapyta mnie o źródło informacji. Tak czy siak będę musiał wskazać na ciebie.

–Nie szkodzi – odparł Lou. – Myślę, że poradzisz sobie o niebo lepiej ode mnie.

Macie ze sobą więcej wspólnego.

–Tchórz – rzucił Jack.

–No cóż, ty również nie imponujesz odwagą – zauważył Lou. – Nie daj się prosić! Widujesz się z nią o wiele częściej niż ja. Oboje pracujecie w tym samym budynku.

–Dobra, zastanowię się nad tym – ustąpił Jack. – Ale niczego nie obiecuję.

Zadzwoił telefon. Jack porwał słuchawkę z widełek i odezwał się z ledwie hamowaną złością. Słyszając swój głos, zaraz jednak spuścił z tonu. Po drugiej stronie odezwała się Marlene Wilson, recepcjonistka z parteru.

–Mam nadzieję, że nie przeszkadzam panu, doktorze Stapleton – przeprosiła Marlene. Mówiła z lekko południowym akcentem.

–Ani trochę – odparł Jack. – O co chodzi?

–Jest tutaj dwóch dżentelmenów, którzy chcieliby się z panem zobaczyć. Czy był pan z kimś umówiony?

–Nic mi o tym nie wiadomo. Jak się nazywają ci panowie?

–Chwileczkę – rzekła Marlene.

–Hej, muszę lecieć – odezwał się Lou. Wstał z krzesła. – Wynoszę się stąd, zanim przyjdzie Laurie.

–Będziemy w kontakcie – powiedział Jack i machnął mu ręką. – Trzeba będzie zdecydować coś w sprawie tych poufnych informacji, które zebrałeś.

Lou przytaknął i zniknął mu z oczu. Marlene zgłosiła się po raz wtóry.

–Ci panowie to Warren Wilson i niejaki Flash Thomas. Co mam im odpowiedzieć?

–O raju – zdziwił się Jack. – Niech im pani każe wejść na górę!

Jack powoli odłożył słuchawkę. Nie mógł uwierzyć, że Warren przyjechał go odwiedzić. Co prawda Jack proponował mu to kilkakrotnie, sądził bowiem, że Warren będzie chciał zobaczyć na własne oczy, z czego Jack się utrzymuje; próbował tym sposobem nakłonić Warrena, by wrócił do nauki. Warren jednak odparł, że za żadne skarby nie odwiedzi kostnicy – chyba że jako nieboszczyk!

Jack chwycił drugie krzesło stojące przy biurku Cheta przesunął je obok pierwszego. Potem wyszedł na korytarz skierował się do wind. Wykazał się dobrym zmysłem poczucia czasu, bo w chwili, gdy tam dotarł, drzwi rozsunęły się i z windy wyszło dwóch jego koleżków z placu gry.

–To miejsce jest do bani – stwierdził Warren i skrzywił się niesmakiem. Po czym uśmiechnął się. – Jak leci, stary?

Wyciągnął rękę. Jack uderzył w nią tak, jakby znajdowali się na boisku do koszykówki. Podobnie przywitał się z Flashem, który w obcym otoczeniu sprawiał wrażenie bardziej wystraszonego niż Warren.

–Dzień jak co dzień, z wyjątkiem waszej wizyty. Nie wierzę własnym oczom.

Chodźcie, ludzie, do mojego pokoju.

Jack powiódł ich wzdłuż korytarza.

–Dziwny zapach – powiedział Flash.

–Jak w szpitalu – stwierdził Warren.

–Nie chciałbym się znaleźć w takim szpitalu. – Flash roześmiał się nerwowo.

–Mówiłeś, że robisz sekcje w kanale – przypomniał Warren. – Ten cały budynek wygląda jak jeden kanał.

–Przydałoby mu się małe odnawianko – zgodził się Jack. Wymownym gestem zaprosił swoich gości do pokoju.

Usiedli. Jack uśmiechnął się.

–Przyjechaliście taki kawał tylko po to, aby upewnić się, że zagram dziś w kosza? – Żałuj, że wczoraj nie grałeś – powiedział Warren. – Straciłeś piękny mecz.

Wygraliśmy.

–Może poszczęści mi się dziś wieczorem – odrzekł Jack.

Warren spojrzał na Flasha.

–Chcesz go zapytać czy ja mam to zrobić?

–Pytaj – odparł Flash, wiercąc się na krześle. Był wyraźnie podenerwowany.

Warren obrócił się twarzą do Jacka.

–Dzisiaj rano Flasha spotkało nieszczęście. Dowiedział się, że zmarła jego siostra.

–O, bardzo mi przykro – powiedział Jack. Zerknął na Flasha, ale ten unikał jego spojrzenia.

–Nie była taka znowu stara – ciągnął Warren. – Mniej więcej w twoim wieku.

To stało się nagle. Więc Flash myśli, że coś się musi za tym kryć. Widzisz, jego siostra i jej mężulek żyli jak pies z kotem, kapujesz?

–Czy wyciągam słuszny wniosek, że dochodziło między nimi do pewnej przemocy? – zapytał Jack.

–Od czasu do czasu brała od niego w twarz – sprecyzował Warren.

–Tak się tylko mówi – stwierdził Jack.

–Było mnóstwo przemocy – nie wytrzymał Flash.

–Spoko, Flash – uspokoił go Warren. Klepnął kolegę w ramię, by dodać mu otuchy. Zwrócił się z powrotem do Jacka i wyjaśnił: – Musiałem pogadać z Flashem, bo inaczej poszedłby do domu siostry i przerobił jej męża na marmoladę.

–Ten skurczybyk ją zabił – wychrypiął Flash.

–Daj spokój, stary! – poprosił Warren. – Nie masz żadnych dowodów.

–Wiem swoje, i tyle.

Warren spojrzał na Jacka.

–Widzisz, co ja mam z nim za los? Jeśli Flash tam pójdzie, napyta sobie biedy.

Jeden z nich kopnie w kalendarz, i raczej nie będzie to Flash.

–Jak mogę wam pomóc? – spytał Jack.

–Spróbuj się dowiedzieć, jak zginęła – powiedział Warren. – Jeżeli umarła śmiercią naturalną, to Flash będzie musiał wyładować swoją złość gdzie indziej, na przykład na boisku. Na tobie i na mnie. – Warren pacnął przyjaciela dłonią w czubek głowy. Poirytowany Flash odepchnął jego rękę.

–Gdzie teraz jest ciało? – zapytał Jack – W kostnicy w Brooklynie – odpowiedział Warren. – Tak przynajmniej powiedzieli Flashowi w Coney Island Hospital, gdzie jego siostra leżała.

–Jeśli tak, to nic prostszego – oświadczył Jack. – Pogadam z człowiekiem odpowiedzialnym za jej autopsję i wszystko się wyjaśni.

–Nie będzie żadnej autopsji – wykrztusił Flash. – I to mnie martwi. Zabrali ją do kostnicy, żeby zrobić autopsję, ale teraz okazuje się, że autopsji nie będzie. To jakaś śmierdząca sprawa, rozumiesz, o co mi chodzi?

–Niekoniecznie – zaproponował Jack. – Nie każdy denat, który trafia do Zakładu Medycyny Sądowej, przechodzi autopsję. Skoro twojej siostry nie poddano oględzinom, to znaczy, że zabójstwo można raczej wykluczyć. Ponieważ umarła w szpitalu, opiekujący się nią lekarz ustalił przyczynę zgonu. Wtedy nie ma obowiązku wykonania sekcji zwłok.

–Flash sądzi, że to jakiś spisek – wyjął Warren.

–Zapewniam cię, że nie ma w tym żadnego spisku – oznajmił Jack. – Być może nieudolność, ale na pewno nie spisek.

–Ale... – zaczął Flash.

–Powoli! – wpadł mu w słowo Jack. – Mimo to zbadam tę sprawę. Jak się nazywała twoja siostra?

–Connie Dawidów – odparł Flash.

Jack zanotował nazwisko i sięgnął po telefon. Zadzwoił do brooklińskiego biura, które administracyjnie podlegało Głównemu Biuru Zakładu Medycyny Sądowej dla Nowego Jorku. Formalnie rzecz biorąc, zawiadywał nim Bingham, ale w rzeczywistości biuro w Brooklynie miało własnego dyrektora. Nazywał się Jim Bennett.

–Kto odpowiada za terminarz w tym tygodniu? – zapytał Jack po tym, jak przedstawił się telefonistce.

–Doktor Randolph Sanders – poinformowała. – Czy życzy pan sobie, abym go wezwała pagerem?

–Gdyby była pani tak dobra – potwierdził Jack. Nie ucieszył się. Znał Randolpha dość dobrze i zaliczał go do kategorii urzędników pozorujących pracę – tej samej co George'a Fontwortha. Czekając, stukał ołówkiem. Wolałby mieć do czynienia z którymś z pozostałej czwórki patologów z Brooklynu.

Gdy tylko Randolph się zgłosił, Jack z miejsca przystąpił do sedna. Zapytał, czemu ciało Connie Dawidów nie zostało poddane sekcji.

–Będę musiał zajrzeć do jej kartoteki – wyjaśnił Randolph. – Dlaczego pytasz?

–Poproszono mnie o sprawdzenie tego przypadku – odparł Jack. – Celowo nie wymienił osoby, która zwróciła się

doń z tą prośbą. Jeżeli Randolph uznał, że idzie o Binghama lub Calvina, Jackowi zupełnie to nie przeszkadzało.

–Zaczekaj – rzekł Randolph.

Jack przykrył dłonią słuchawkę i obrócił się ku Flashowi.

–Nigdy nie słyszałem, żeby Murzyn nazywał się Dawidów.

–Zgadza się – rzekł Flash. – Mąż Connie jest biały.

Jack skinął głową, wyczuwając, że panująca między Flashem a jego szwagrem wrogość bierze się nie tylko z powodu przemocy, jakiej tamten miał się dopuszczać wobec Connie.

–Czy dobrze żył z resztą waszej rodziny?

–Phi! – prychnął pogardliwie Flash. – Rodzina odcięła się od nich obojga. Zaczęło się od tego, że nie chcieli, żeby za niego wyszła. O nie!

–Okay, znalazłem tę teczkę – powiedział Randolph do telefonu, skupiając na sobie uwagę Jacka. – Mam przed sobą raport wywiadowcy sądowego.

–Jaka konkluzja? – spytał Jack.

–Lekarz dyżurny, Michael Cooper, zdiagnozował dychawicę, która doprowadziła do śmierci – odparł Randolph. – Pacjentka od dawna chorowała na astmę, leczyla się w kilku szpitalach, bywała w izbach przyjęć. Miała również dużą nadwagę, co, jak sądzę, nie ułatwiło jej oddychania, kiedy zapadła na zdrowiu. Raport donosi też, że trapiły ją liczne alergie.

–Rozumiem – rzekł Jack. – Oglądałeś ciało?

–Oczywiście, że oglądałem ciało! – odrzekł dotknięty do żywego Randolph.

–Czy dostrzegłeś jakieś ślady przemocy?

–Do cholery, gdybym dostrzegł ślady przemocy, zrobiłbym sekcję – odparł Randolph tonem usprawiedliwienia. – Żadnych śladów duszenia? – spytał Jack. – Krwotoku punkcikowatego w twardówce? Czegoś w tym stylu?

–Uważam twoje pytania za obraźliwe – rzucił Randolph.

–A co z toksykologią? – pytał Jack. – Czy pobraliście próbki?

–Przecież nie było autopsji! – szczeknął Randolph. – Nie robimy toksykologii przypadków, które nie przechodzą przez prosektorium. Wy zresztą też nie.

Z tymi słowy Randolph odwiesił słuchawkę. Jack uniósł brwi, kładąc słuchawkę na widełki.

–Ale z niego mimoza, choć uczciwie trzeba przyznać, że moje dyplomatyczne niedostatki stały się już legendarne. No trudno, słyszeliście naszą rozmowę?

Warren i Flash pokiwali głowami.

–Powiedział, że nie dopatrył się śladów przemocy – podsumował Jack. – Nie jest to może najwybitniejszy patolog na świecie, ale ślady przemocy, nawet drobne, można rozpoznać bez większych trudności.

–Czemu pytałeś o toksykologię? – odezwał się Warren.

–Bo toksykologia wyłapuje różne trucizny i tak dalej – poinformował Jack. – Takie rzeczy zdarzają się bez przerwy.

Warren spojrzał na Flasha.

–Czy chcesz, abym ciągnął to dalej? – zapytał go Jack.

Flash potwierdził skinieniem głowy.

–Jestem pewny, że ją zabił.

–Dlaczego nadal tak uważasz, po tym co przed chwilą usłyszałeś?

–Dlatego że Connie nie miała wcale silnej astmy i alergii.

–Jesteś pewien? – spytał Jack zdumionym głosem.

–Tak, pewien. Jestem chyba jej bratem, nie? Hej, miała niewielką astmę, kiedy była mała. Ale miała wtedy jakieś dziesięć lat. Przez ostatnie parę lat gadałem z nią co najmniej raz na tydzień. Nie chorowała na żadną astmę czy alergię.

–A to ci dopiero – powiedział Jack. – To zmienia postać rzeczy.

–Co jeszcze możesz zrobić? – zapytał Warren.

–Na początek mogę zadzwonić do lekarza dyżurnego – stwierdził Jack. – Tego, który opiekował się nią w Coney Island Hospital.

Ponieważ książka telefoniczna Jacka była otwarta na spisie szpitali, znalezienie numeru zajęło mu kilka sekund. Uzyskawszy połączenie, poprosił do telefonu doktora Michaela Coopera. Gdy mężczyzna się zgłosił, Jack przedstawił się, jak to miał w zwyczaju, i wytłumaczył, po co dzwoni. W przeciwieństwie do Randolpha, Michael chętnie odpowiadał na pytania i nie czuł się zagrożony.

–Tak, pamiętam Connie Dawidów – potwierdził. – Ciężki przypadek! Przywieziono ją prawie że umierającą. Po przybyciu do jej domu technicy z pogotowia stwierdzili u niej silną cyjanozę i bardzo płytki oddech. Pacjentka przewróciła się w łazience, gdzie znalazł ją mąż. Natychmiast podano jej tlen i podłączono ją do aparatu z workiem samorozprężalnym. Do szpitala trafiła z objawami kwasicy oddechowej, ze znacznie podwyższoną ilością dwutlenku węgla i niskim poziomem tlenu w tętnicach. W wyniku wentylacji wskaźniki poprawiły się, ale jej stan kliniczny nie uległ zmianie. Przeszła reagować na bodźce, miała rozszerzone, nieruchome źrenice i właściwie płaskie EEG. W tej sytuacji niewiele mogliśmy zdziałać.

–Co wykazało osłuchanie? – zapytał Jack.

–Kiedy ją do nas przywieziono, nie miała żadnych szmerów – zakomunikował Michael. – Nic dziwnego zresztą przy tak słabym nasyceniu tlenem i silnej kwasicy.

Wszystkie mięśnie, również gładkie, były właściwie sparaliżowane. Jeśli wziąć pod uwagę jej gabaryty, przypominała wyrzuconego na plażę wieloryba.

–Czy coś wskazywało na atak serca?

–Nie. EKG w normie, choć rytm serca był bardzo powolny. Inne zmiany wiązały się z małą ilością tlenu w tętnicach.

–Czy to mógł być wylew?

–Tomografia komputerowa wykluczyła tę możliwość. Zrobiliśmy też punkcję lędźwiową, płyn był bezbarwny. – Żadnej gorączki, zadrapań lub śladów infekcji? – pytał Jack.

–Nic. W istocie miała obniżoną temperaturę.

–To pan zebrał dane do historii chorób pacjentki, prawda? – kontynuował Jack. – Jak dowiedział się pan o astmie i alergiach? Czy poprzez dokumentację szpitalną?

–Nie, od męża – wyjaśnił Michael. – Mimo stresu zachował zimną krew i był w stanie udzielić nam wszystkich informacji.

Jack podziękował lekarzowi i zakończył rozmowę. Popatrzył na Warrena i Flasha.

–Robi się ciekawie. Wygląda na to, że historia nie została potwierdzona. Coś mi się wydaje, że powinienem sobie obejrzeć Connie.

–A możesz to zrobić? – spytał Warren.

–Czemu nie?

Jack po raz wtóry wybrał bezpośredni numer do Randolpha, ale nikt nie podniósł słuchawki. Następnie spróbował złapać go pagerem. Kiedy telefonistka spytała, kto dzwoni, Jack podał jej swoje imię i nazwisko i ponownie czekał. Po chwili telefonistka znów się odezwała z informacją, że doktor Sanders jest zajęty. Jack zostawił wiadomość, że wkrótce się tam pojawi.

–Zdaje się, że doktor Sanders próbuje nas zniechęcić swoją biernością – skomentował Jack, wstając z krzesła. Wziął swój telefon komórkowy i mały aparat fotograficzny i schował je do kieszeni. – Macie jakieś plany, ludzie? Jeśli nie, to zapraszam. Jedźcie ze mną.

–Jedziesz? – Warren zwrócił się do Flasha. – Ja mam czas.

Flash przytaknął.

–Chcę zobaczyć, jak to się skończy.

–Jak się tu dostaliście? – spytał ich Jack.

Warren pomachał w powietrzu kluczykami.

–Zostawiłem brykę na Trzydziestej Ulicy.

–Doskonale – rzekł Jack. – No to w drogę!

Zjechali windą do sutereny i ruszyli w stronę wyjścia obok rampy załadowniczej, gdy naraz Jack się zatrzymał.

–Właśnie o czymś sobie pomyślałem – powiedział. – Kto wie, jak mnie przywitają w Brooklynie? W razie czego wezmę własne narzędzia.

–O jakich narzędziach mówisz? – spytał Warren.

–Później wam wytłumaczę – odparł Jack. – Poczekajcie na mnie tutaj albo jeszcze lepiej przy samochodzie. Zaraz wrócę.

Jack zapuścił się w przepastną głąb kostnicy, mijając rzędy komór chłodniczych, w których spoczywały ciała przeznaczone do autopsji. Tak się złożyło, że akurat natknął się na Vinniego wychodzącego z sali autopsyjnej. Jack poprosił technika, by przyniósł mu kilka słoiczków na próbki, maskę, gumowe rękawice, pęk strzykawek, dwa skalpele i zgłębnik nosowo-żołądkowy.

–Co ty, do diaska, kombinujesz? – zdziwił się Vinnie. Przyjrzał się Jackowi z nie tajoną podejrzliwością.

–Igram z ogniem – odrzekł Jack.

–Wychodzisz z pracy?

–Obawiam się, że tak.

–Chcesz, żebym poszedł z tobą?

–Nie, dziękuję – powiedział Jack. – Niemniej doceniam twoją chęć pomocy.

Vinnie wywiązał się z zadania na medal. Kiedy przyniósł zamówione przyrządy, Jack czekał na niego z małą torbą, w której przywoził z domu świeżą odzież. Zwłaszcza latem podczas porannej jazdy rowerem pocił się tak obficie, że musiał brać prysznic i przebierać się.

Jack wrzucił wszystko do torby, podziękował Vinniemu i poszedł z powrotem ku rampie załadowniczej. Warren i

Flash stali na chodniku i dalej sprzecznali się o to, czy Flash powinien udać się do swojego szwagra, żeby przycisnąć go trochę do muru.

Wsiadając do samochodu, starzy przyjaciele zachowywali się tak, jakby byli na siebie obrażeni. Jack ulokował się na obszernej tylnej kanapie, Warren i Flash zaś zajęli miejsca z przodu. Warren miał pięcioletniego cadillaca.

–Czy możemy rozkoszować się tą przejażdżką? – zapytał Jack z nadzieją, że rozładuje nieco napięcie.

–On zbzikował! – jęknął Warren, podrzucając ręce w powietrze. – Sam pcha się w tarapaty, może nawet zostać zabity, kapujesz, co do ciebie mówię?

–Kapuję, ale to moją siostrę zamordowano – odciął się Flash. – Gdyby zabili twoją, myślałbyś tak samo jak ja.

–Skąd ta pewność, że została zamordowana? – wtrącił Warren.

–W tym cały sęk, że nie wiadomo. Dlatego przyjechaliśmy pogadać z doktorkiem.

–Słuchaj, Flash – odezwał się Jack. – Jestem przekonany, że zdołam ustalić, czy ktokolwiek maczał w tym brudne paluchy, ale ty będziesz musiał okazać cierpliwość. Ostateczne wyniki poznam najdalej za dwa, trzy dni.

–Za trzy dni? – powtórzył z niedowierzaniem Flash. Obrócił się na swoim fotelu i łypnął na Jacka z wyrzutem. – Myślałem, że starczy, że na nią spojrzysz.

–Możliwe – przyznał Jack. – Ale raczej wątpię, skoro Randolph nic nie dostrzegł. Aż taki kiepski patolog to z niego nie jest. Zastanawiam się, czy nie chodzi tu o jakiś rodzaj trucizny.

–Niby jaki? – podjął Warren. Popatrzył na Jacka we wstecznym lusterku.

–Na przykład cyjanek – rzekł Jack. – Nie pasuje on do niskiego poziomu tlenu we krwi, ale warto nad tym pomyśleć.

–Co jeszcze? – spytał Warren.

–Trzeba by też przyjrzeć się dwutlenkowi węgla. Z tym jednak też jest kłopot, bo personel pogotowia opisał barwę skóry Connie jako cyjanotyczną, czyli siną.

–To wszystko? – dopytywał się Warren. – Żadnych innych trucizn?

–Co to jest: test? – spytał Jack.

–Nie, po prostu jestem ciekawy.

–No cóż, stawiasz mnie pod ścianą – oznajmił Jack. – Ale dodałbym do tego jeszcze barbiturany i benzodiazepiny, takie jak valium, glikol etylenowy i inne.

Wszystkie te środki wywołują trudności w oddychaniu, a Connie najwyraźniej je miała.

–Jak jej mąż mógłby ją zabić dwutlenkiem węgla? – zapytał Flash.

–Czy mieli samochód?

–Tak – odparł Flash. – Mieli nawet garaż.

–Mógłby ją najpierw upić albo uśpić, a potem umieścić ją w stojącym w garażu aucie z włączonym silnikiem – odpowiedział Jack. – Albo jeszcze lepiej: wprowadzić spaliny wprost do samochodu. Potem, gdy Connie byłaby już na wpół żywa, mógłby ją przenieść do sypialni i wezwać pogotowie.

–Za nic by jej nie przeniósł – zaproponował Flash. – Connie ważyła mniej więcej sto sześćdziesiąt kilogramów.

–Rany, przecież ja kreślę tylko możliwy scenariusz – odrzekł Jack. – Co z wami, ludzie?! Dalej, jedźmy już!

–Musisz mi powiedzieć, gdzie – powiedział Warren.

–Do Kings County Hospital. Na południowy wschód od Prospect Parku w Brooklynie.

–Mam wjechać na Franklin D. Roosevelt Drive? – spytał Warren.

–Tak – odparł Jack. – Przejedziemy przez Most Brookliński. Potem na Flatbush Avenue.

Warren zapuścił silnik i ruszyli.

–Flash – odezwał się Jack z tylnego siedzenia, kiedy pędzili East River. – Czy jest możliwe, że twoja siostra popełniła samobójstwo?

–Nie ma mowy! – odparł Flash bez chwili wahania. – To do niej niepodobne.

–Czy miewała depresje?

–Takich typowych to nie miała. No, może trochę. Pewnie dlatego tak się objadała. Wiedziała, że wzięła sobie czubka za męża.

–Dlaczego czubka?

–Ten koleś palcem nie ruszył – wyjaśnił rozzłoszczony Flash. – Wracał do domu z roboty, siadał przed telewizorem i pił. Na okrągło. Dopiero parę miesięcy temu zaczął przesiadywać w piwnicy.

–Po co? – zdziwił się Jack.

–Nie wiem, chyba coś majstrował. Connie nie mówiła mi, co tam porabiał.

Przypuszczam, że też nie wiedziała.

–Czy sama dużo piła?

–W ogóle – oznajmił Flash. – Nie brała alkoholu do ust. Tylko koktajle i mleczne napoje.

–A narkotyki?

–Nie używała – odparł Flash. – Nie rajcowały jej.

–Gdzie mieszkała? – zapytał Jack.

–Oceanview Lane piętnaście.

–Gdzie to jest?

–W Brighton Beach. Mieszkała w całkiem fajnej dzielnicy małych drewnianych domków. Latem mogła iść na plażę i wykąpać się w oceanie. Niczego sobie życie.

–Hmm – zamyślił się Jack. Był ciekawy, jak to miejsce wygląda. Jakoś nie wyobrażał sobie, że na obszarze Nowego Jorku uchowały się letniskowe domki.

Parkowanie w pobliżu Kings County Hospital mogło się przyśnić w nocy, lecz Warren zachował olimpijski spokój. W bagażniku trzymał starą zardzewiałą puszkę z wyciętym spodem. Gdy tylko wypatrzył wolne miejsce przed hydrantem, zatrzymał się, a potem nasadził puszkę na hydrant, zamieniając go w kosz na śmieci. Jack podziwiał zdolności adaptacyjne mieszkańców, jakie wymusiło na nich miasto.

Warren i Flash stanęli niepewnie przed budynkiem Zakładu Medycyny Sądowej.

–Może powinniśmy tu poczekać – powiedział Warren. Spojrzał na Flasha. Ten skinął głową.

–Jak wolicie – zgodził się Jack. – Będę się streszczał.

Wszedł do gmachu. Błysnął swoją odznaką przed recepcjonistką, która przedtem nie widziała go na oczy. Przekonana, że Jack należy do personelu, kobieta wpuściła go do środka.

Nie chcąc marnować czasu, Jack udał się wprost do sąsiadującego z prosektorium gabinetu kostnicy i wszedł przez otwarte drzwi. Za biurkiem siedział technik medyczny.

–Dzień dobry, jestem doktor Jack Stapleton z biura na Manhattanie – wyrzucił z siebie jednym tchem. Pokazał mężczyźnie swoją odznakę, tak jak przed chwilą okazał ją recepcjonistce.

–Dzień dobry, nazywam się Doug Smithers. Czym mogę służyć? – Mężczyzna był wyraźnie zdumiony. Pracownicy poszczególnych biur rzadko kiedy odwiedzali się nawzajem.

–Pomocą w kilku sprawach – odrzekł Jack. – Po pierwsze, czy wyświadczyłby mi pan tę grzeczność i skontaktował się z doktorem Randolphem Sandersem? Mógłby go pan poprosić, aby zechciał się do nas pofatygować?

–Dobrze – powiedział Doug z nutą niepewności w głosie. Do obowiązków technika medycznego nie należało wydawanie poleceń lekarzom sądowym. Doug podniósł słuchawkę. Kiedy połączył się z doktorem Sandersem, powtórzył mu prośbę Jacka.

–Doskonale! – rzekł Jack. – Teraz bym chciał, żeby odszukał pan pewną denatkę i umieścił ją w gdzieś, gdzie będę mógł ją obejrzeć.

–Czy mam ją położyć na stole w prosektorium?

–Nie. Nie będę wkładał kombinezonu. Chcę jedynie rzucić okiem na zwłoki i pobrać kilka próbek płynów ustrojowych. Niech pan tylko znajdzie odpowiednio naświetlone miejsce.

Doug Smithers wstał.

–Jaki jest numer dostępu?

–Niestety, nie wiem – odparł Jack. – Nazwisko brzmi Connie Dawidów. Trafiła do was, jak sądzę, dzisiaj rano.

–Tego ciała tutaj nie ma – poinformował Doug. – Żartuje pan.

–Mówię poważnie. Wyjechało niedawno: może z pół godziny temu.

–Psiakrew! – wrzasnął Jack, kręcąc głową. Z hukiem cisnął swoją torbę na biurko. Twarz mu poczerwieniała.

–Przykro mi – powiedział Doug. Skulił się w sobie, jakby obawiał się, że Jack lada moment go uderzy.

–To nie pańska wina – warknął Jack. Wyprostował gwałtownie palce, aż trzasnęły w stawach. – Dokąd zabrano ciało?

Doug skłonił się bojaźliwie nad księgą rejestrową. Palcem Wskazującym przesunął w dół kolumny.

–Do Domu Pogrzebowego Stricklanda.

–Gdzie to jest?

–Sądzę, że przy Caton Avenue obok cmentarza Greenwood.

–Chryste Panie! – stęknął Jack. Zaczął się przechadzać tam i z powrotem, zastanawiając się, co robić.

–Doktor Stapleton, jak miemam – rozległ się protekcyjny głos. – Czy aby nie zapędził się pan ciut za daleko?

Jack spojrzął na drzwi. Stał w nich, ujęty w ramy futryny, doktor Randolph Sanders. Był nieco starszy od Jacka, z zaczesanymi do tyłu szpakowatymi włosami nad pociągłą twarzą. Nosił ciemne okulary w grubej oprawie, które nadawały mu wygląd sowy. Miał za sobą niemal dwadzieścia lat praktyki i stał na znacznie wyższym szczeblu w hierarchii niż Jack.

–Pomyślałem sobie, że wpadnę i udzielę ci niezbędnej pomocy – zripostował Jack.

–Och, obejdzie się! – odparł Randolph kpiąco.

–Dlaczego, do diabła, wydałeś ciało Connie Dawidów, skoro wiedziałeś, że tutaj jadę?

–Otrzymałem tajemniczą wiadomość, że być może zaszczycisz nas swoją wizytą, lecz nie było mowy o zatrzymaniu ciała.

–Chyba nie powinienem się dziwić. Żeby wyciągnąć taki wniosek, iloraz inteligencji powinien wynosić co najmniej pięćdziesiąt.

–Nie będę wysłuchiwał twoich szczeniackich obelg – stwierdził Randolph. – Szerokiej drogi na Manhattan. – Okręcił się na pięcie i zniknął z pola widzenia.

Jack wyszedł na korytarz i krzyknął za odchodzącym Randolphem:

–Coś ci powiem. Connie Dawidów nie chorowała ani na astmę, ani na alergię.

Była zdrową, silną kobietą, która ni stąd, ni zowąd zapadła na niewydolność oddechową, nie związaną z atakiem serca czy udarem mózgowym. Jeżeli to nie jest przypadek zasługujący na autopsję, to ja nie wiem, co na nią zasługuje!

Randolph przystanął przy windach i obrócił się.

–Skąd wiesz, że nie miała astmy i alergii? – zapytał z naciskiem.

–Od jej brata.

–No cóż, wybacz – dodał tonem pogardy Randolph. – Tak się składa, że moje informacje pochodzą od najbardziej doświadczonego wywiadowcy w tym biurze. Możesz sobie wierzyć, komu ci się żywnie podoba. Ja ufam profesjonalście.

Randolph ponownie się odwrócił i wduśił guzik przywołujący windę. Na ułamek sekundy zerknął za siebie, obdarzając Jacka pobłażliwym uśmiechem.

Jack już miał skontrolować ostatnie słowa Randolpha, gdy naraz dotarła do niego absurdalność wyklócania się z tym półgłówkiem. Ponadto uświadomił sobie, że scysja z lekarzem sądowym może tylko zaszkodzić w wyjaśnieniu przypadku Connie Dawidów. Potrząsając głową, wpadł do gabinetu kostnicy i chwycił swoją torbę ze stołu. Doug popatrzył na niego dziwnie, ale nic nie powiedział.

Wciąż nastroszony Jack wyszedł z brooklińskiego Zakładu Medycyny Sądowej i podreptał chodnikiem w kierunku samochodu Warrena. Warren i Flash stali oparci o przedni zderzak. Obaj z nadzieją obserwowali zbliżającego się Jacka, który bez słowa wszedł na tylne siedzenie.

Warren i Flash spojrzeli na siebie i wzruszyli ramionami, a potem sami wsiedli do auta. Obaj odwrócili się i przyglądali się Jackowi, który nadal nie puszczał pary z ust.

–Wyglądasz na wnerwionego – zauważył Warren.

–Bo jestem – przyznał się Jack. Na chwilę odwrócił wzrok, zaprzątnięty myślami.

–Co się stało? – spytał Flash.

–Odesłali ciało do domu pogrzebowego – poinformował Jack.

–Jak to? – zdziwił się Warren. – Przecież wiedzieli, że jedziesz.

–To się wiąże z rywalizacją między lekarzami – powiedział Jack. – Trudno to wyjaśnić, i prawdopodobnie byście mi nie uwierzyli.

–Skoro tak mówisz – poparł go Warren. – No więc, co masz zamiar zrobić?

–Nie wiem. Zastanawiam się – wyznał Jack.

–Ale ja wiem, co zrobię – pospieszył Flash. – Pojadę do Brighton Beach.

–Zamknij się, człowieku – powiedział Warren. – Twoje Brighton Beach to tylko mały szczegół.

–Akurat szczegół – obruszył się Flash. – Gdyby Connie była biała, wciąż by żyła.

–To nie to, Flash – odezwał się Jack. – Zgoda: w tym mieście często panuje rasizm, ale tutaj chodzi o coś zupełnie innego. Uwierz mi.

–Może zażadasz od domu pogrzebowego, żeby zwrócili ciało? – zaproponował Warren.

–Ba, gdyby to było tak proste – rzekł Jack. – Sęk w tym, że ten przypadek leży w gestii Brooklynu, a ja jestem z biura na Manhattanie, a to znaczy, że sprawa jest polityczna. Musiałbym iść z tym do superszefa, co zabolaloby kierownika w Brooklynie, bo sugerowałoby, że źle prowadzi swoje biuro. Doszłoby do biurokratycznej przepychanki, która ciągnęłaby się w nieskończoność. Zanimby się uporano z papierkową robotą, zadzwoniono do kogo trzeba i wyjaśniono wszystkie wątpliwości, dom pogrzebowy dawno by już zabalsamował jej ciało, a może nawet zdążył je skremować.

–Cholera! – zaklął Warren.

–Jasna sprawa – powiedział Flash. – Jadę do Brighton Beach.

–Nie, jedźmy do domu pogrzebowego – zdecydował Jack. – Może narobimy trochę bałaganu, ale nie widzę innego sposobu. Miejmy nadzieję, że szczęście uśmiechnie się do nas. Dom mieści się przy Caton Avenue niedaleko cmentarza Greenwood. Macie plan?

Warren skinął głową. Poleciał Flashowi, by wyciągnął go ze schowka w tablicy rozdzielczej. Podczas gdy obaj studiowali mapę, Jack próbował sobie wyobrazić, co się może wydarzyć w domu pogrzebowym. Nie przypuszczał, żeby kierownik dobrowolnie poszedł mu na rękę.

–Jak dotrzemy do domu pogrzebowego, będziemy musieli wziąć ich przez zaskoczenie, może trochę przestraszyć – stwierdził Jack.

Warren podniósł wzrok.

–Nie bardzo rozumiem.

–Musimy zrobić swoje, zanim zdążą ochłonać na tyle, żeby pomyśleć.

–Przecież jesteś lekarzem sądowym. Urzędnikiem miejskim.

–Owszem, ale mówiąc oględnie, to nietypowa sprawa – wyjaśnił Jack. – Kierownik domu pogrzebowego będzie robił wstręty. Ten system działa na takiej zasadzie, że przedsiębiorstwo odbiera ciało z kostnicy, ale wydaje je tylko najbliższemu krewnemu zmarłej osoby, w tym wypadku mężowi. Bez zgody męża nie ma prawa nic się z ciałem stać. Rzecz jasna, nie chcemy, żeby dzwonili do męża, bo jeśli jest rzeczywiście winny tego, co mu zarzuca Flash, narobi cholernego wrzasku.

–Powiedz im po prostu, że przyjechałeś z biura brooklińskiego, bo czegoś tam nie dopatrzyliście.

–Kierownik od razu zadzwoni do biura – zaproponował Jack. – Zdziwi się, że nie kazali mu przywieźć ciała z powrotem. Pamiętaj, że on stale współpracuje z tym biurem i zna wszystkich lekarzy sądowych. Gdybym się nagle zjawił, wzbudziłbym podejrzenia. Wierz mi, wiem, co mówię!

–Więc co proponujesz? – spytał Warren.

–Właśnie myślę. Znaleźliście to miejsce na planie?

–Chyba tak – powiedział Flash.

–No to jedźmy tam, zanim się spietram – skwitował Jack.

Gdy pokonali kilka przecznic, Jack wpadł na pewien pomysł. Wyjął telefon komórkowy i wystukał numer do gabinetu Bingham. Tak jak się spodziewał, Cheryl Sanford odezwała się swoim słodkim głosem. Jack przedstawił się i spytał, czy szef ją w tej chwili słyszy.

–Raczej nie – odparła Cheryl. – Jest w biurze pani pełnomocnik rządu do spraw zdrowia na nie planowanym zebraniu.

–Tym lepiej – stwierdził Jack. – Mam mały problem i potrzebuję pani pomocy.

–Czy nie narazi mnie to na kłopoty? – zapytała niespokojnie Cheryl. Jack tyle razy lądował na dywaniku w gabinecie Bingham, że poznała go na wylot.

–Być może – przyznał Jack. – Jeżeli tak będzie, wezmę na siebie pełną odpowiedzialność. Działam w słusznej sprawie.

Jack opowiedział jej o śmierci siostry Flasha, wątpliwościach dotyczących autopsji i sprzecznych wersjach historii choroby, nasuwających podejrzenia o nieczystą grę. W końcu Uczciwość i dobre serce Cheryl wzięły górę. Zgodziła się wysłuchać, co Jack wymyślił.

Odchrząknął.

–Jeśli w ciągu najbliższej półgodziny zgłosi się do pani ktoś z Domu Pogrzebowego Stricklanda i będzie chciał mówić z szefem, niech mu pani powie, zgodnie z prawdą, że Bingham jest u pani Markham. Potem jednak proszę dodać, że doktor Jack Stapleton został upoważniony do pobrania próbek płynów ustrojowych z ciała Connie Dawidów.

–To wszystko? – zapytała Cheryl.

–Wszystko. Jeśli pani chce puścić wodze fantazji, niech pani wyjaśni, że miała zadzwonić wcześniej, ale wypadło to pani z głowy ze względu na nie planowane spotkanie szefa z panią pełnomocnik.

–Jest pan przewrotny – skomentowała Cheryl. – Ale to słuszna sprawa, zwłaszcza jeśli zachodzi podejrzenie zabójstwa. No dobrze, zrobię to.

–Osobiście uważam, że jestem raczej zapobiegliwy niż przewrotny – zażartował Jack. Podziękował Cheryl w imieniu swoim i Flasha, pożegnał się z nią i rozłączył.

–Zdaje się, że dobrze ci poszło – powiedział Warren.

–Zobaczymy – rzekł tylko Jack. Obawiał się tego, co się stanie. Doświadczenie nauczyło go, że kierownicy domów pogrzebowych odznaczają się nie tylko wrażliwością, ale też pedanterią. Czyhały nań liczne pułapki. Jeśli personel zakładu pogrzebowego był liczny, Jack nie zdziwiłby się, gdyby nawet zatrzymali go siłą do dalszych wyjaśnień.

Dom Pogrzebowy Stricklanda mieścił się w dwupiętrowym, pokrytym stiukiem budynku, który w poprzednim swoim wcieleniu służył za rezydencję zamożnemu brooklińczykowi. Pomalowano go białą farbą, zapewne po to, aby nadać mu pogodny wygląd. Mimo to pozostał toporną, bezkształtną budowlą w nieokreślonym stylu. We wszystkich oknach wisiały ciężkie draperie. Z parkingu było widać trójkątny fragment cmentarza Greenwood, połyskujący w słońcu nagrobkami.

Warren zaciągnął hamulec ręczny i przekręcił kluczyk w stacyjce.

–Wygląda dość posępnie, no nie? – stwierdził Jack.

–Co oni tam robią? – zapytał Warren. – Zawsze mnie to ciekawiło.

–Lepiej nie pytaj. Możesz potem żałować – odparł Jack. – Bierzmy się do dzieła, zanim tchórz mnie obleci.

–Poczekamy tu – rzekł Warren. Zerknął pytająco na Flasha, który potwierdził skinieniem głowy.

–Co to, to nie! Nie tym razem – zaproponował Jack. – Mówiąc wcześniej „my”, miałem na myśli nas trzech. To

będzie taka mała inwazja, do której potrzebna jest mi wasza groźna prezencja. Poza tym, Flash, ty jesteś jej bratem, co czyni nas bardziej wiarygodnymi.

–Mówisz serio, stary? – upewnił się Warren.

–Bezwzględnie – zapewnił Jack. – Ruszajmy! Nie pora i miejsce na dyskusje.

Jack z torbą w ręku skierował się różnym krokiem ku frontowym drzwiom. Za plecami słyszał niepewne kroki Warrena i Flasha. Nie miał o to do nich pretensji.

Wiedział, że nie są emocjonalnie przygotowani na to, co zaraz ujrzą.

Wnętrze domu pogrzebowego nie wyróżniało się niczym szczególnym. Ciemne drewno, łagodne światło, aksamitne zasłony i sącząca się w tle ściszona muzyka dawały w sumie wrażenie niezmaconego spokoju. W holu wejściowym na konsolce leżała księga gości. Obok niej stała ascetyczna kobieta w czarnej sukni. Środek pomieszczenia zajmowało podwyższenie, na którym spoczywała otwarta trumna; przed nią stały w kilku rzędach składane krzesła. Wnętrze wieka było obite białym aksamitem.

Jack mógł rozróżnić profil znajdującą się w trumnie lokatorki.

–Czym mogę służyć? – zapytała kobieta głosem graniczącym z szeptem.

–Szukam kierownika – wyjaśnił Jack.

–Jest w biurze. Czy mam go przyprowadzić?

–Tak. I to szybko, jeśli mogę panią prosić. Chodzi o nagłą sytuację.

Jack spojrział przez ramię na Warrena i Flasha, którzy stali tuż za nim.

–Stary, do cholery! – wyszeptał Warren. – Jesteś pewien, że nas potrzebujesz?

–Bez cienia wątpliwości – odrzekł Jack. – Tylko nie traćcie głowy.

Po chwili z bocznych drzwi wyłonił się zmartwiony kierownik w towarzystwie dwóch muskularnych mężczyzn, którzy mogli robić za bramkarzy. Kierownik wyglądał jak uosobienie elegancji, w czystym czarnym garniturze, wykrochmalonej białej koszuli i wypomadowanych, perfekcyjnie ulizanych włosach. Jedyne, co nie pasowało do tego obrazu, to jego karnacja. Miał taką opaleniznę, jakby dopiero co wrócił z wakacji na Florydzie.

–Nazywam się Gordon Strickland – odezwał się półgłosem. – Rozumiem, że zaistniała nagła sytuacja. W jaki sposób mogę panom pomóc?

–Nazywam się Jack Stapleton – powiedział Jack z całym autorytetem, na jaki mógł się zdobyć. Podsunął swoją odznakę lekarza sądowego tuż pod nos Gordona. – Reprezentuję Biuro Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej na Manhattanie, doktora Harolda Bingham.

Gordon odchylił głowę na bok, aby popatrzeć na Jacka zza jego odznaki.

–Znam to nazwisko. Czym mogę panu służyć w Brooklynie?

–Przysłano mnie, abym obejrzał ciało Connie Dawidów – oznajmił Jack. – A także po to, bym pobrał do analizy płyny ustrojowe. O ile wiem, otrzymał już pan stosowny telefon.

–Nie, nikt nie dzwonił – odparł Gordon. Górna warga zaczęła mu lekko drżeć.

–Wobec tego przepraszam za najście. Ale musimy zobaczyć ciało. – Jack dał krok naprzód w stronę wahadłowych drzwi prowadzących do wnętrza.

–Chwileczkę! – zawołał Gordon, unosząc dłoń. – A kim są ci dwaj dżentelmeni?

–To mój asystent, Warren Wilson – przedstawił Jack, wskazując głową Warrena. – Drugi dżentelmen nazywa się

Frank Thomas i jest bratem zmarłej. – Jack nie był pewien, czy dyrektor mu wierzy, ponieważ obaj jego przyjaciele mieli na sobie ciuchy w stylu hip-hop. Nawet przy dużej dozie dobrej woli nie sposób było uznać Warrena za profesjonalistę.

–Nic z tego nie rozumiem – rzekł Gordon. – Ciało zostało wydane niejakemu panu Dawidowowi. On również nie zawiadomił nas o niczym.

–Prowadzimy śledztwo w sprawie potencjalnego zabójstwa – oświadczył twardo Jack. – Dotarły do nas nowe informacje.

–Zabójstwa? – powtórzył Gordon. Drżenie jego górnej wargi nasiliło się.

–Tak jest. – Jack ponownie ruszył przed siebie, zmuszając Gordona do odwrotu. – Gdyby pan zechciał zaprowadzić nas do chłodni – czy tam się przechowuje ciała? – zrobimy swoje i nie będziemy dłużej przeszkadzać.

–Ciało znajduje się w sali balsamowania – poinformował Gordon. – Czekaliśmy na dyspozycje pana Dawidowa. Miał do nas zadzwonić zaraz po przewiezieniu ciała.

–W takim razie obejrzymy ciało w sali balsamowania – stwierdził Jack. – Wszystko nam jedno.

Zdeprymowany Gordon odwrócił się i popchnął wahadłowe drzwi. Jack, Warren i Flash ruszyli za nim. Pochód zamykała milcząca obstawa Gordona.

–To niesłychane – poskarżył się nie wiedząc komu Gordon, kiedy szli wzdłuż holu. – Zakład Medycyny Sądowej w Brooklynie o niczym nas nie powiadomił. Może powinienem do nich zadzwonić?

–Oszczędzi pan czas, kontaktując się bezpośrednio z doktorem Haroldem Binghamem – odparł Jack. – Wie pan, rzecz jasna, iż brooklińskie biuro podlega centrali na Manhattanie?

–Nie wiedziałem o tym – wyznał Gordon.

Jack wyciągnął telefon komórkowy, wcisnął zakodowany numer do szefa i wręczył aparat Gordonowi. Ten odebrał go i przyłożył słuchawkę do ucha. Jack usłyszał Cheryl Sanford wygłaszającą swoją zwykłą preambułę:

–Gabinet doktora Harolda Binghama, Głównego Inspektora Zakładu Medycyny Sądowej. Czym mogę służyć?

Kiedy Gordon rozmawiał z Cheryl, grupa zatrzymała się przed drugimi wahadłowymi drzwiami. Do Jacka dobiegały zaledwie strzępki tego, co mówiła Cheryl.

Gordon potakiwał głową, powtarzając ciągle: „rozumiem”, „tak” i „oczywiście”.

Wreszcie oznajmił:

–Bardzo dziękuję, pani Sanford. Nie ma powodu do przeprosin, rozumiem panią doskonale. Uczynię, co w mojej mocy, aby pomóc doktorowi Stapletonowi.

Gordon rozłączył się i oddał telefon Jackowi. Jack zauważył przy tym, że wargą Gordona trzęsie się niemal bezustannie. Najwyraźniej kierownik czuł się wciąż nieswojo, ale przynajmniej na razie dał się udobruchać.

–Tędy – rzucił Gordon, pokazując wahadłowe drzwi.

Pochód wkroczył do sali balsamowania, która tchnęła duszącą, kwaskowatą wonią odświeżacza powietrza. Pomieszczenie okazało się większe, niż Jack się spodziewał, nie ustępowało rozmiarami sali autopsyjnej, gdzie Jack tak często pracował.

O ile jednak prosektorium miało osiem stołów, tutaj były tylko cztery, z tego dwa zajęte. Na ostatnim spoczywał mężczyzna, którego akurat poddawano procesowi konserwacji. Pierwszy stół zajmowała nader otyła kobieta.

–Oto pani Dawidów – oświadczył Gordon, wskazując na leżące zwłoki.

–Dobrze! – stwierdził Jack.

Szybkim ruchem położył torbę na najbliższych ruchomych noszach i podsunął je do stołu. Odpiął zatrzask torby i spojrzął na swoich przyjaciół. Obaj stali jak wryci nieopodal drzwi. Warren nie mógł oderwać wzroku od tego, co działo się przy drugim stole; Flash wybałuszał oczy na swoją siostrę. Ich twarze zmiotczały. Jack wyobrażał sobie, co muszą czuć.

Klasnął głośno w dłonie, by opanować sytuację. W wyłożonym kafelkami pomieszczeniu dźwięk ten zabrzmiał niczym strzał z pistoletu. Wszyscy aż podskoczyli.

Nawet dwóch ludzi balsamujących zwłoki przerwało na moment swoją upiorną robotę.

–Okay! – powiedział z zapalem Jack, jakby nie mógł się już doczekać autopsji.

–Skończmy z tym wreszcie, żeby panowie mogli wrócić do swoich obowiązków. Franku Thomasie, czy poznajesz tę kobietę?

Flash skinął głową.

–To moja siostra. Connie Thomas Dawidów.

–Czy jesteś tego absolutnie pewien? – zapytał Jack, po raz pierwszy lustrując twarz nieboszczki. Natychmiast dostrzegł wyraźne ślady po urazach. Lewe oko było fioletowe i całe opuchnięte. Skóra nad kością policzkową była sina.

–Na sto procent – rzekł Flash. Zrobił krok w stronę zmarłej i wskazał palcem jej opuchnięte oko. – Ten skurczybyk przyłożył jej tak samo jak kiedyś.

–Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – wtrącił czym prędzej Jack. – Pamiętaj! Pracownicy pogotowia znaleźli ją leżącą w łazience. A upadek w łazience bywa groźny, jest tam umywalka, wanna, toaleta, nie mówiąc o kranach i wieszakach na ręczniki.

–Miesiąc temu jadłem z nią lunch i jej oko wyglądało identycznie – mówił Flash, ignorując Jacka. – Powiedziała, że walną ją pięścią. Tylko dlatego nie zbiłem go wtedy na kwaśne jabłko, że kazała mi obiecać, że tego nie zrobię.

–Okay, uspokój się! – polecił Jack.

Nie chciał, żeby akurat teraz, gdy miał pobrać próbki, Flash wszystko zepsuł.

Zaproponował więc, aby ten zaczekał na nich na zewnątrz. Nie trzeba było mu tego dwa razy powtarzać – Flash okręcił się na pięcie, naparł z impetem na drzwi i wyszedł. Kierownik skinął głową na dwóch swoich osiłków, by poszli za nim.

–To dla niego bardzo trudna chwila – wytłumaczył Jack. – Tak więc najlepiej będzie, jak zrobimy, co do nas należy, i zabierzemy go stąd.

Podczas gdy Jack wciągał gumowe rękawiczki, Gordon podszedł do stołu.

–Mam nadzieję, że nie oszpeci pan ciała – powiedział z nutą ostrzeżenia. – Nie wiemy, czy pan Dawidów zażyczy sobie wystawić trumnę na widok publiczny.

–Chcemy jedynie pobrać próbki płynów ustrojowych – zapewnił Jack. Zasygnalizował milcząco Warrenowi, aby się zbliżył i podał mu kilka słoiczek na próbki. Musiał stworzyć wrażenie, że ten naprawdę jest jego asystentem. Jack potrzebował go, gdyż planował uczynić właśnie to, przed czym Gordon go ostrzegał – a mianowicie pobrać próbkę skóry z posiniaczonej twarzy Connie. Najchętniej, rzecz jasna, wzięłyby też próbki mózgu, wątroby, nerek, płuc i tłuszczu, ale nie zdołał wymyślić sposobu na ich pobranie.

Najpierw wyciągnął aparat fotograficzny. Zanim Gordon zdążył zaprotestować, zrobił serię zdjęć, zwracając szczególną uwagę na urazy twarzy. Uważnie ustawiając głowę, tak aby uwydatnić wszelkie szczegóły, poszukał śladów duszenia lub zadzierzgnięcia. Niczego nie znalazł.

Schował aparat i przystąpił do szybkich, lecz szczegółowych oględzin. Pracując, informował Warrena o swoich odkryciach. Wspomniał, że ciało nie nosi śladów nakłuć, poza zastrzykami wykonanymi przez lekarzy, że

uszkodzone są tylko oko i policzek i że nie występują objawy choroby zakaźnej.

Potem Jack wydobyl swoją kolekcję strzykawek i zaczął pobierać próbki płynów: krwi, moczu i płynu mózgowo-rdzeniowego. Wyjął zgłębnik nosowo-żołądkowy i pobrał nieco treści żołądkowej. Pracował w szybkim tempie, obawiając się, że ktoś mu przerwie przed końcem. Warren usiłował cały ten czas mieć zamknięte oczy.

Kierownik wycofał się pod ścianę. Stał w czujnej pozycji, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Zarówno wyraz jego twarzy, jak i drżąca warga mówiły, że nie jest zachwycony, ale zachowywał milczenie. Przynajmniej tak długo, dopóki skalpel Jacka nie błysnął w jasnym świetle jarzeniówek.

–Stop! – krzyknął Gordon, spostrzegłszy nóż. Odepchnął się od ściany i zbliżył dziarskim krokiem. – Co pan zamierza uczynić?

–Już po wszystkim – oznajmił Jack. Wyprostował się i włożył podłużny pasek tkanki z policzka i powieki do słoika. Pobrał tę próbkę z niewiarygodną prędkością.

–Pan mi obiecał – wyskrzecztał Gordon. Przestraszonym wzrokiem patrzył na ranę na twarzy Connie.

–To prawda – potwierdził Jack. – Jednak zdałem sobie sprawę, że mamy święty obowiązek upewnić się, że opuchlizna oka nie powstała w wyniku infekcji. Jak zwykle pobrałem najmniejszą próbkę, jaką mogłem. Jestem przekonany, że pańska magiczna kosmetyka sprawi, że to drobne uszczknięcie zniknie bez śladu.

–To skandal! – pożalił się Gordon. Zgiął się nad ciałem i z przerażeniem studiował ubytek tkanki. Uznał, że defekt wcale nie jest taki mały. Twarz Connie została trwale i straszliwie uszkodzona.

Jack najszybciej jak umiał zapakował wszystkie próbki, zużyte narzędzia, a nawet rękawiczki i pstryknął zatraskiem torby. W tym momencie czuł się jak rabuś, który właśnie dostał gotówkę od kasjera i szykuje się, by wziąć nogi za pas. Chwytał Warrena na rękaw dresu i pociągnął go w stronę drzwi.

–Wyjdźmy szybko, ale nie nerwowo – szepnął.

Przeszli przez pierwsze wahadłowe drzwi, słysząc za plecami złorzeczenia Gordona. Sforsowali drugie drzwi i zaczęli się rozglądać za Flashem. Nigdzie go jednak nie było. Dopiero wyszedłszy z budynku, zastali go przechadzającego się po frontowym chodniku.

–Pospieszcie się! – zakomenderował Jack.

Trzech mężczyzn podeszło szybko do samochodu. Jack nie obawiał się pościgu, niemniej jednak chciał możliwie prędko się ulotnić. Wiedział, że rozsierdził Gordona niespodziewanym pobraniem próbki skóry. Dla każdego przedsiębiorcy pogrzebowego oszpeccenie twarzy stanowiło najcięższy grzech.

Wtłoczyli się do auta. Warren uruchomił silnik i zawrócił w kierunku Prospect Parku. Jechali w milczeniu, ale w końcu Flash nie wytrzymał:

–No co, ludzie, nie macie mi nic do powiedzenia? Czegoście się dowiedzieli?

–Ja dowiedziałem się, że nigdy nie pojedę już do domu pogrzebowego, chyba że nogami do przodu – odpowiedział Warren. – Na Boga, co oni wyprawiali z tym facetem na ostatnim stole? Wysysali mu odkurzaczem bebechy czy co? Mówię wam, o mało nie zwariowałem. Rany, to było najgorsze doświadczenie w moim życiu.

–Krótko mówiąc – rzekł rozzłoszczony Flash – gównem się dowiedzieliście o tym, co stało się Connie.

–Mamy próbki, tak jak chcieliśmy – wyjaśnił Jack. – Teraz musisz okazać cierpliwość. Jak już mówiłem, nie będziemy wiedzieć nic pewnego, dopóki próbki nie zostaną zbadane.

–Było widać, że uderzył ją w twarz – stwierdził Flash. – Nie trzeba mi innych dowodów.

Warren zerknął na Jacka we wstecznym lusterku.

–Widzisz, co ja mam za los z tym facetem? Jakbym gadał do ściany, kapujesz, o co mi chodzi?

–Słuchaj, Flash – ożywił się Jack. – Nadstawiłem za ciebie karku. Czy ty to rozumiesz?

–Chyba tak – przyznał niechętnie Flash.

–Jeśli ta historia się rozniesie, mogę mieć grube nieprzyjemności, zwłaszcza jak próbki dadzą wynik negatywny. Oczekuję, Flash, że przynajmniej zrewanżujesz mi się obietnicą, że nie pójdziesz do domu swojego szwagra.

–A co z podbitym okiem Connie? – zapytał Flash.

–Po raz ostatni ci powtarzam, że nie wiemy, jak to się stało. Wziąłem próbkę do badań, zobaczymy, co wykażą. Oko mogło jej spuchnąć w wyniku uderzenia pięścią, ale przyczyną mogło być coś całkiem innego. Widziałem już o wiele gorsze upadki w łazience.

–Obiecuj mi – rzekł Warren. – Bo inaczej krew mnie zaleje. Znaczący jest kupa innych rzeczy, które wolałbym dzisiaj robić, niż stać w domu pogrzebowym z uczuciem, że zaraz się porzygam. Kapujesz, o co mi chodzi?

–W porządku, obiecuję – mruknął Flash. – Zadowolony?

–Spokojniejszy – poprawił go Jack. Spojrzał na zatłoczoną w godzinie szczytu ulicę, zastanawiając się, jaką też cenę przyjdzie mu zapłacić za to, co właśnie zrobił.

Rozdział 12 19 października, wtorek, 16.35 Idealnie biały śniegowy kozuch ścielił się aż po „Wzgórze Ojczyźniane”. Jurij i jego brat, Igor, nadali stokowi tę zaszczytną nazwę, gdyż zjeżdżało się zeń na saneczkach najlepiej w całym Związku Radzieckim. Umościli się na sankach, które sami sklecieli z kawałków porzuconego metalu i drewna, i puścili się w dół stromej zbocza. Igor siedział z przodu, Jurij z tyłu.

Zdawało mu się, że przeniósł się do bajkowego królestwa. Kiedy tak mknęli na łeb, na szyję, ku wiejskim chatom położonym nad jeziorem Niżnij, spowiły ich wirujące krystaliczne płatki śniegu. Jurij miał wrażenie, że wzbili się do lotu, i aż wrzasnął z radości.

Pędząc w stronę szosy, spostrzegli wracające z miasta wielkie sanie, ciągnięte przez parę śnieżnobiałych koni. Jurija doleciał dźwięk dzwoneczków pobrzękujących w rytm końskiego klusa. Stawał się coraz głośniejszy i głośniejszy, aż wreszcie wyrwał Jurija z jego ulubionego snu. Dzwoniły nie dzwonki u sań, ale telefon.

Jurij usiadł tak nagle, że zrobiło mu się słabo. Pochylił się i wsadził głowę między kolana. Gdy poczuł się normalnie, pomału się wyprostował. Zawroty głowy ustąpiły, lecz telefon nadal brzęczał uporczywie.

Jurij stanął na lekko rozchwianych nogach i powłókł się do kuchni. Zdrzemnął się na sofie, rzut oka na zegarek powiedział mu, że spał jak kamień przez ponad cztery godziny. Złapał za słuchawkę i odezwał się ochryplym głosem. Musiał odchrząknąć.

–Mówi Gordon Strickland. Przepraszam, że przeszkadzam, panie Dawidów, ale pojawił się pewien problem, o którym powinien pan wiedzieć.

Jurij potarł ręką czoło, podczas gdy jego zaspany umysł zmagał się z nazwiskiem Strickland. Jurij wiedział, że gdzieś je już słyszał, ale za żadne skarby nie pamiętał gdzie. I raptem przypomniał sobie. Tak się przecież nazywa dom pogrzebowy, który organizował pochówek Connie.

–Jaki problem? – spytał Jurij. Jego umysł przedarł się przez opary senności.

Nie podobał mu się dźwięk słowa „problem”.

–Zaszła bardzo nietypowa okoliczność – ciągnął Strickland. – Wkrótce po tym, jak pańska biedna żona trafiła do naszego zakładu, zjawili się trzech mężczyzn, żądając obejrzenia ciała i pobrania próbek.

–Jakich próbek?

–Płynów ustrojowych do analizy – wyjaśnił Gordon. – Chcę pana przeprosić, że nie zadzwoniłem natychmiast z prośbą o pozwolenie. Niestety, wszystko stało się w mgnieniu oka. Mężczyźni powołali się na głównego inspektora Zakładu Medycyny Sądowej, lecz w tej chwili – po fakcie – powątpiewam w ich prawdziwość. Powinien pan rozważyć, czy nie wynająć adwokata. Istnieją podstawy do przyznania panu przez miasto dużej kwoty.

–Nie rozumiem – wyznał Jurij. – Moja żona nie została poddana autopsji.

–Otóż to. Na tym polega nietypowość tej sprawy. Pracuję w tym zawodzie od blisko trzydziestu lat, mój ojciec poświęcił mu całe życie, i nigdy nie doświadczyliśmy podobnego skandalu.

–Kim byli ci mężczyźni? – zapytał Jurij. Przytrzymał słuchawkę ramieniem, aby móc sięgnąć po szklankę. Wyjął wódkę z zamrażarki i nalał sobie porcję. Musiał się napić.

–Jeden z nich to lekarz sądowy – odrzekł Gordon. – Doktor Jack Stapleton. Był z nim asystent, który...

–Jak się nazywał ten lekarz? – Jurij wpadł mu w słowo. Mówił podniesionym głosem. Mimo senności nazwisko poruszyło odległą strunę w jego pamięci.

Gdy Gordon je powtórzył, Jurij pociągnął kolejny łyk wódki. Jack Stapleton był człowiekiem, którego spotkał w Korynckim Przedsiębiorstwie Dywanowym!

–Lekarzowi towarzyszył ponadto brat pańskiej zmarłej żony – kontynuował Gordon. – Tak przynajmniej nas poinformowano. Został przedstawiony jako Frank Thomas, choć słyszałem, jak doktor Stapleton zwraca się do niego imieniem „Flash”.

Jurij poczuł, jak ciarki biegną mu po plecach. Chwycił jedno ze stojących w kuchni krzeseł i przysunął sobie. Jego nogi zmieniły się nagle w watę. Flash był jedyną osobą na świecie, której Jurij naprawdę się lękał. Ogromny i umięśniony, groził Jurijowi już parokrotnie – ostatnio przez telefon; oznajmił, że jeśli Jurij jeszcze raz podniesie rękę na Connie, on przyjedzie do Brighton Beach i zabije go.

–Słyszysz mnie pan? – spytał Gordon.

Jurij nie odpowiedział.

–Tak, słyszę – wykrztusił w końcu. Serce biło mu gwałtownie. Co łączyło Flasha Thomasa z owym tajemniczym doktorem Stapletonem? Czyżby był to tylko dziwaczny zbieg okoliczności?

–Chcemy prosić pana o kilka informacji – powtórzył Gordon. – Czy zamierza pan wystawić otwartą trumnę?

–Nie! – wrzasnął Jurij. Zaraz jednak się opanował. – Nie. Chcę, aby Connie miała możliwie najprostszy pogrzeb. Sama tak by sobie życzyła.

–Jednak będzie pan musiał przyjechać, aby wybrać odpowiednią trumnę.

–Która jest najtańsza?

–Byłoby lepiej, gdyby pan się do nas pofatygował – oświadczył Gordon z zawodowym namaszczeniem. – Moglibyśmy zaprezentować panu naszą ofertę i opisać plusy i minusy każdego modelu.

–A co z kremacją? – spytał Jurij.

–Da się załatwić – zapewnił Gordon. – Ale ciągle pozostaje kwestia wyboru odpowiedniej trumny.

–Chcę, żeby ciało spalono – polecił Jurij. – I to niebawem. Najlepiej dzisiaj!

–Bez wystawienia ciała na widok publiczny i bez nabożeństwa?

–Bez – potwierdził Jurij. – Moja religia nakazuje mi uczynić to tak szybko, jak to tylko możliwe.

–Naturalnie – przystał Gordon.

–Jakiego rodzaju próbki pobrał doktor Stapleton? – zapytał nagle Jurij.

–Niewielki odcinek tkanki i kilka płynów – odparł nerwowo Gordon.

–Zabroniłem, by ruszono jej ciało – poskarżył się Jurij. Zachodził w głowę, co też skłoniło doktora Stapletona do wzięcia próbek, skoro władze doszły do wniosku, że nie trzeba wykonywać autopsji.

–Nie pozostaje mi nic innego niż raz jeszcze pana przeprosić – powiedział Gordon. – Proszę jednak nas zrozumieć: nie mieliśmy wpływu na to, co się dzieje.

–Przyjadę jutro lub pojutrze, żeby wybrać urnę i uregulować rachunek – zakończył Jurij.

–Będziemy głęboko wdzięczni – rzekł Gordon.

–Tymczasem niech pan dopilnuje, aby ciało mojej żony zostało poddane kremacji, zanim ktoś znowu naruszy jej spokój.

–Zajmiemy się tym niezawodnie – obiecał Gordon.

Jurij odwiesił słuchawkę, po czym utkwiał wzrok w jakimś punkcie na przeciwległej ścianie kuchni. Czyżby podejrzewano zatrucie jadem kielbasianym? Jurijowi wydawało się to mało prawdopodobne. Bardziej bezpośrednie zagrożenie stanowił Flash Thomas. Jurij usiłował sobie wyobrazić, jak by się zachował, gdyby nagle szwagier zjawił się na progu jego domu? Była to przerażająca myśl. Gdyby Flash go zaatakował, Jurij nie miałby żadnych szans. Wiedział, że musi wymyślić jakiś sposób samoobrony, ponieważ nie mógł zostawić laboratorium – przynajmniej dopóki nie zbierze wszystkich plonów swojej pracy.

Widok zegara nad lodówką podsunął mu pewien pomysł. Dochodziła piąta, co oznaczało, że Curt wkrótce skończy pracę. Jurij podniósł telefon. Odnalazłszy numer do remizy strażackiej przy Duane Street, natychmiast go wykręcił. Kiedy zgłosił się dyżurny strażak, Jurij poprosił go o połączenie z porucznikiem Curtem Rogersem.

–Moment – powiedział strażak.

Jurij zerknął na drzwi kuchenne, którymi wszedł dzisiaj do domu. Chciał zobaczyć, czy są zaryglowane jak należy. Nie były. Zapomniał rano przesunąć zasuwę.

Podszedł do drzwi, naprężając kabel telefonu do maksimum, i pchnął metalową sztabę w otwór, aż zaskoczyła z głuchym szczękiem.

–Porucznik Rogers – odezwał się Curt tonem odpowiednim do swojej rangi.

–Curt, mówi Jurij. Potrzebuję twojej pomocy.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

–Curt, jesteś tam?

–Dlaczego, na miłość Boską, dzwonisz do remizy? – warknął Curt stłumionym głosem. – Przecież wbijałem ci do głowy, że nie wolno ci tego robić.

–Mówiłeś, żebym nie przyjeżdżał – rzekł Jurij. – Nie wspomniałeś nic o telefonowaniu.

–Czy mam ci wszystko tłumaczyć jak dziecku? – syknął rozjątrzony Curt. – Rusz choć raz łepetyną! Masz rosyjski akcent, który słyhać przez telefon nie gorzej niż w cztery oczy. Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że mam do czynienia z Rosjaninem.

–Ale ja musiałem zadzwonić – wyjaśnił Jurij. – Mówiłem ci: mam kłopot.

–Jaki znowu kłopot? – spytał z irytacją Curt.

–Potrzebna mi broń. Sam mi mówiłeś, że macie broni po zęby. Potrzebuję pistoletu.

–Po co, u diabła? – Żeby się obronić przed bratem Connie – odparł Jurij. – Właśnie dowiedziałem się, że poszedł do domu pogrzebowego obejrzyć jej ciało.

–Co z tego?

–Dużo – rzekł Jurij. – Widziałeś jej oko wczoraj wieczorem. Ja jej tak przyłożyłem, a jej braciszek ostrzegł mnie kiedyś, że jak ją znowu uderzę, to mnie zabije.

–Jezu Chryste! – prychnął Curt.

–Mówię całkiem serio. To wielki czarny dryblas, nie mam zamiaru siedzieć tutaj ani pracować w laboratorium bez zabezpieczenia.

–W porządku, dostarczymy ci tę pieprzoną broń.

–Potrzebuję jej natychmiast.

–Kończymy pracę o piątej – wycedził Curt. – Przywieziemy ci ją.

–Dzięki – rzekł Jurij.

–Drobnostka – mruknął Curt i rozłączył się.

Odkładając słuchawkę, Jurij pokręcił markotnie głową. Z początku, po tym jak wspomniał o bracie Connie, chciał opowiedzieć Curtowi o Jacku Stapletonie, lecz rozmyślił się, słysząc ton jego głosu. Ponownie wyczuł w nim irytację i wrogość, tak jak wczoraj. Jurij uznał taką postawę za niewłaściwą dla ludzi, którzy mieli z sobą współpracować. Wniosek narzucał się sam: Curt nie był jego przyjacielem.

Jednym haustem dopił wódkę i wstawił szklanekę do zlewozmywaka. Następnie zastanowił się, czy zanim przyjdzie Curt, zdąży przebrać się w kombinezon i zejść do laboratorium, aby sprawdzić, jak działa druga kadź. W końcu zdecydował, że bezpieczniej będzie się czuł w pobliżu sproszkowanego węgla.

Rozdział 13 19 października, wtorek, 17.00 Jack kazał Warrenowi zatrzymać się na Trzydziestej Ulicy, tak aby mógł dać nura do budynku medycyny sądowej przez rampę załadowniczą. Nie chciał natknąć się na Calvina, obawiając się, że jego wyczyny w Brooklynie już wywołały poruszenie. Żywił nadzieję, że przed nieuchronną konfrontacją otrzyma wyniki próbek, które pobrał od Connie Dawidów. Miały one posłużyć mu jako uzasadnienie jego postępów.

Przecucie mówiło mu, że Flash słusznie podejrzewa, iż jego siostra padła ofiarą brudnej gry. Jeśliby rzeczywiście wykluczyć atak serca, udar mózgu i chorobę zakaźną, to biorąc pod uwagę częste konflikty rodzinne, należało się liczyć z zatruciem.

Za tą hipotezą przemawiało również podbite oko denatki. Choć Jack nie przyznał się do tego przed Flashem, zawodowe doświadczenie podpowiadało mu, że podbite oko wywołał uraz, nie zaś infekcja, i że sprawiła to raczej pięść niż jakiś przedmiot znajdujący się w łazience.

Ponieważ na gwałt szukał alibi – a także dowodów, dzięki którym można by wszcząć dochodzenie w sprawie zabójstwa – Jack udał się bezpośrednio do laboratorium toksykologii na trzecim piętrze. Nie poszedł jednak do kierownika, Johna DeVriesa, bo ten kazałby mu zapewne czekać co najmniej tydzień. Zamiast niego Jack odszukał Petera Lettermana, szczupłego, jasnowłosego, męskiego technika, który zachowywał się tak, jakby spędzał w laboratorium miesiąc miodowy. Bywało, że Jack widywał go tam o dziesiątej wieczór.

–Rozpaczliwie potrzebna mi jest twoja pomoc – rzucił bez żadnych wstępów do Petera, który pracował przy chromatografii gazowej.

Peter uniósł brwi. Przywykł już do różnych prośb – wszyscy chcieli ominąć panującą jak zwykle w laboratorium kolejkę. Nie ulegało wątpliwości, że wydział dostawał za mało pieniędzy. Z drugiej strony wszystkie wydziały w Zakładzie Medycyny Sądowej były niedofinansowane.

–Jeżeli wynik okaże się negatywny, skończę na ulicy jako sprzedawca ołówków – stwierdził Jack.

Położył swoją torbę i zaczął wyciągać słoiczki z próbkami, opisując Peterowi w kilku słowach swoje przygody tego popołudnia. Opowieść o domu pogrzebowym wywołała uśmiech na poważnej, chłopięcej twarzy Petera.

–Uważasz, że zmyślam, prawda? – spytał Jack, widząc jego minę.

–Skądże – odparł Peter. – Pańska historyjka jest zbyt odjazdowa, aby była fikcyjna.

–To dobrze. Rozumiesz zatem, że mogę przez to wpaść w nie lada tarapaty.

–A jakże! – potwierdził Peter bez chwili wahania.

–No więc, pomożesz mi?

–Co pan się spodziewa znaleźć?

–Coś, co spowodowało uduszenie. No wiesz, zwykle leki na receptę plus cyjanek, tlenek węgla, glikol etylenowy i tak dalej. Nie zależy mi na stanie ilościowym związków. Wystarczy potwierdzenie obecności.

–Okay – rzekł Peter. – Wrzućmy to do wirówki.

–Kiedy się tym zajmiesz?

–Czemu by nie od razu? – zapytał pojednawczo Peter. – To nie potrwa długo, poznaczam te próbki dość szybko.

Nie mogąc się powstrzymać, Jack objął Petera i uściśnął go. Kiedy wypuścił go z objęć, tamten wyglądał na zakłopotanego. Spiekł raka i nie patrzył Jackowi w oczy.

–Będę u siebie w biurze – powiedział Jack. – Mam tyle pracy, że nuda mi nie grozi. Wpadnij do mnie, zaraz jak skończysz.

Peter skinął głową.

–Masz u mnie obiad w najbliższej przyszłości – dodał Jack i lekko klepnął Petera w plecy.

–Jasne – rzekł Peter. Pozbierał słoiczki.

Po wyjściu z laboratorium toksykologii Jack wspinał się schodami na czwarte piętro. Jego samopoczucie znacznie się poprawiło. Sprężystym krokiem wmaszerował do laboratorium histologii i odszukał kierowniczkę, Maureen O’Conner; miała na sobie płaszcz, przygotowywała się do wyjścia.

–To ci pech! – zawołała swoim śmiesznym irlandzkim akcentem. – Jestem już spóźniona na konferencję, a tu zjawia się mój luby z czarownym uśmiechem.

W pomieszczeniu rozległa się salwa śmiechu. Spośród zatrudnionych w biurze lekarzy sądowych jedynie Jack i Chet nie byli żonaci, więc Maureen i jej podwładne znajdowały wielką przyjemność w dokuczaniu im. A okazji miały co niemiara, gdyż ich biuro znajdowało się po drugiej stronie korytarza.

–Ja nie idę na konferencję – zaoferowała się jedna z kobiet. – Jestem wolna. – Śmiechy wybuchły z nową siłą.

Jack otworzył torbę i wyjął słoik ze skrawkiem skóry Connie w kształcie elipsy.

–Ojejku! – zajęczała Maureen. – Zdaje się, że to nie jest wizyta towarzyska.

Jack uśmiechnął się.

–Tym razem przyszedłem tylko po preparat z tej próbki skóry, ale jutro... kto wie?

–Słyszałyście, dziewczyny? – zawołała Maureen.

W odpowiedzi zabrzmiało chóralne: „Tak!” Maureen wzięła słoiczek z próbką i podała go najbliższemu technikowi.

–Załatwione – rzekła do Jacka. – Jakie mają być barwniki?

–Zwyczajne. Chcę się upewnić, że zamiany patologiczne wynikły z urazu, a nie z zakażenia.

–Na kiedy to potrzebujesz?

–Im szybciej, tym lepiej – stwierdził Jack.

–Po co ja się w ogóle pytam? – powiedziała Maureen, zadzierając głowę, jakby rozmawiała z Panem Bogiem.

Jack wyszedł z laboratorium histologii i ruszył korytarzem. Gdy zbliżył się do gabinetu Laurie, dostrzegł zapalone światło. Stał w drzwiach. W środku siedzieli Laurie i Lou. Oboje milczeli, gapiąc się w przeciwne strony. Atmosfera była napięta.

–Co to: stypa? – zagadnął Jack.

Laurie i Lou podnieśli wzrok. Laurie była wyraźnie zirytowana. Mina Lou wyrażała głęboką skruchę.

–Przyszedł wspólnik zbrodni – warknęła Laurie ma widok Jacka.

Jack podniósł ręce.

–Poddaję się. Jakiej zbrodni?

–Powiedziałem jej o kartotece Paula Sutherlanda – wyznał Lou. – I o tym, że wiedziałeś.

–Rozumiem – rzekł Jack. – Tak jak się obawialiśmy, cała wina spada na zwiastuna.

–Dobra, dobra, nie broń go – powiedziała Laurie. – Nikt go nie prosił, żeby wścibiał nos w nie swoje sprawy. Na pewno nie ja.

–To prawda – zgodził się Jack. – Ale w tych okolicznościach uważam, że powinnaś wiedzieć, jakiego typu działalność prowadzi twój przyszły mąż.

–Co rozumiesz przez „typ działalności”? Możesz wyrażać się jaśniej? – spytała Laurie z nową złością.

–Powiedziałem jej tylko o aresztowaniu za posiadanie kokainy – wyjaśnił Lou.

–O-ou – stęknął Jack. Poczul tkwiącą w gardle grudę.

–Paul nie handluje narkotykami – stwierdziła oburzona Laurie. – Wymyślcie co innego.

–Czy mogę wejść? – spytał Jack.

–Wchodź – warknęła Laurie. – I lepiej się wytłumacz.

Jack podsunął krzesło i usiadł obok Laurie. Popatrzył jej prosto w oczy. Odpowiedziała mu hardym spojrzeniem.

–Paul Sutherland handluje bronią – oznajmił jej Jack. Niebieskozielone oczy Laurie pobiegły od Jacka do Lou, tam i z powrotem.

–Skąd wiesz? – spytała odrobinę łagodniejszym głosem.

–Lou dowiedział się o tym wtedy, gdy dowiedział się też, że przy Paulu znaleziono kokainę.

Przybity Lou skinął głową i wbił wzrok w swoje ręce na kolanach.

–Co mnie to obchodzi, że handluje bronią? – parsknęła Laurie, jakby nie miało to żadnego znaczenia.

Ani Jack, ani Lou nie odpowiedzieli. Za dobrze znali Laurie, aby dać się zwieść.

–Co to za broń? – zapytała Laurie.

–Na razie nie wiem nic pewnego – odrzekł Lou. – Ale w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym specjalizował się w bułgarskich karabinach szturmowych AK-47.

Krew odpłynęła z twarzy Laurie.

–Spieraliśmy się z Lou, kto ma ci o tym powiedzieć – oznajmił Jack. – Ostatecznie, znając twoje poglądy na temat broni, uznaliśmy, że powinnaś wiedzieć.

Laurie przytaknęła, westchnęła i spojrzała w dal. Jack nie wiedział, czy jest zła, smutna czy też jedno i drugie. Przez dobrą minutę panowała cisza. Wreszcie Laurie odezwała się:

–Dziękuję wam, panowie, za wywiązanie się z obywatelskiego obowiązku.

Wiem już, co i jak. A teraz wybaczcie mi, ale muszę nadrobić opóźnienia w pracy.

Jack i Lou wymienili spojrzenia. Jednocześnie podnieśli się i odstawili krzesła tam, skąd je wzięli. Pożegnali się, lecz Laurie im nie odpowiedziała. Zdawała się pochłonięta studiowaniem zawartości jednej z teczek.

Mężczyźni poszli korytarzem w stronę biura Jacka. Przemówili dopiero wtedy, gdy – jak sądzili – Laurie ich nie słyszy.

–Chciałem ci pogratulować, żeś się zdobył na rozmowę z Laurie – zaczął Jack – dopóki nie uświadomiłem sobie, że mnie wrobiłeś, tak abym to ja wszystko wyśpiewał.

–Dzięki Bogu, żeś przyszedł – powiedział Lou. – Czułem się przy Laurie jak podlec, co było skądinąd zrozumiałe, bo sam zacząłem wątpić w szlachetność swoich intencji.

–Nadal uważam, że dobrze się stało. Nawet jeżeli zrobiliśmy to nie tylko przez wzgląd na nią, ale i na siebie – stwierdził Jack.

–Przypuszczam, że można by tak na to spojrzeć – poparł go bez nadmiernego entuzjazmu Lou.

–Słuchaj, masz chwilę? Chcę ci opowiedzieć o jednym przypadku.

Lou zerknął na zegarek.

–Już i tak jestem spóźniony. Przypuszczam, że pół godziny w tę czy we w tę nie ma znaczenia.

–To nie potrwa tak długo.

Jack wsunął się przed Lou do biura i zapalił światło.

–Gdzie, do diabła, podziewa się Chet? Nie widziałem go od rana. Znikanie bez słowa nie leży w jego stylu.

Podczas gdy Lou sadowił się na krzesło, Jack podniósł leżącą na środku swego biurka kartkę.

–Hmm – zamyślił się, przeczytawszy notatkę. – Wiadomość od Teda Lyncha, naszego specjalisty od DNA. Wygląda na to, że ta niebieska gwiazdka z Korynckiego Przedsiębiorstwa Dywanowego została skażona zarodnikami węglikami. Uwzględniając jej powierzchnię, Ted szacuje, że nie zmieściłby się na niej ani jeden zarodek więcej.

Bardzo dziwne.

–Co to znaczy?

–Ba, żebym to ja wiedział. – Jack rzucił kartkę na biurko. – Przypuszczam, że coś się za tym kryje, ale nie mam pojęcia co. Można by pomyśleć, że ta gwiazdka wpadła do miski z węglikiem.

–O jakiej sprawie chciałeś mi opowiedzieć? – podjął temat Lou.

Jack streścił mu historię Connie Dawidów. Lou uważnie go wysłuchał, uśmiechając się na wieść o wizycie w domu pogrzebowym.

–Czy Warren był już kiedyś w zakładzie pogrzebowym? – zapytał. Poznał Warrena przez Jacka.

Jack pokręcił głową.

–Musiał spocić się jak ruda mysz, kiedy zobaczył, jak balsamują tego faceta.

–Powiedział, że to najgorsze doświadczenie w jego życiu.

–Wyobrażam sobie.

–Nie dało się tego obejść – dodał Jack. – Musiałem wziąć go ze sobą, żeby trochę onieśmielić kierownika. W gruncie rzeczy sam się dziwię, że mi się upiekło.

–Dlaczego mi o tym opowiadasz? Mogę w czymś pomóc? – spytał Lou.

–Czy możesz zrobić coś w sprawie ciała? Nie wiem, czy planują je zabalsamować czy spalić, ale zależałoby mi, aby go nie tykano. Chciałbym wykonać pełną obdukcję. Czy możesz jakoś to załatwić?

–Bez współpracy twojego biura nie – odparł Lou.

–Tego właśnie się obawiałem – stwierdził Jack. – No cóż, nie zaszkodziło zapytać. Zostanę tu i zaczekam na wyniki. Jeśli wykażą obecność trucizny lub przedawkowanie, zadzwonię do ciebie.

–Dzwoń na komórkę – powiedział Lou. Wstał i zrobił parę kroków. Spojrzał w głąb korytarza w stronę biura. – Sądysz, że powinienem wrócić i porozmawiać z naszą przyjaciółką?

–Sądzę, że powiedzieliśmy już wszystko, co trzeba. Teraz Laurie musi to przetrwać i zdecydować, co się dla niej liczy.

–Przypuszczam, że masz słuszość. Do widzenia.

–Trzymaj się – pożegnał się Jack.

Wyrównał stosy teczek, które zalegały jego biurko. Powiesił kurtkę za drzwiami, a potem zasiadł do pracy. Dwa ostatnie popołudnia spędził poza biurem, toteż miał wyjątkowo duże zaległości.

Rozdział 14 19 października, wtorek, 18.30 Curt skręcił w Oceanview Avenue. Mimo że zmierzch jeszcze nie zapadł, włączył krótkie światła, ponieważ wąską uliczkę okrywał cień. Podobnie jak poprzedniego wieczoru, wzdłuż skraju chodnika ciągnęły się niezliczone kubły na śmieci. Curt zaparkował obok garażu Jurija i zgasił zarówno światła, jak i silnik.

–Pasuje mi wszystko, co postanowiliśmy, ale nie dawałbym temu komuchowi broni – stwierdził Steve. – Mówię ci: nie podoba mi się to.

–Nie mamy wyboru – poskarżył się Curt. – Mówiłem ci, że on boi się swojego szwagra jak diabeł święconej wody. Facet groził mu, że go ukatrupi.

–Tak, pamiętam. Ale jego wariackie zachowanie i te brednie o pozbawionej korzeni kulturze amerykańskiej, które wygaduje – mówię ci, wołałbym mu nie dawać broni. Zwłaszcza naszego pistoletu. A jak nas zastrzelili?

–Nie zastrzelili – zezłościł się Curt. – Do diaska, jesteśmy jego jedynymi przyjaciółmi. Zresztą założę się, że nie trafiłby w stodołę z dwóch kroków. Masz przy sobie broń, prawda?

–Oczywiście.

–Właśnie, i ja też – rzekł Curt. – Razem na pewno poradzimy sobie z jednym kurdupłowatym Rosjaninem. No już! Odwalmy to.

Obaj wysunęli się z półciężarówki i ruszyli w stronę drzwi Jurija. Curt niósł papierową torebkę.

–Najważniejsze to nie odrywać go od pracy w laboratorium – podjął Curt. – Jeśli trzeba dać mu broń, mówi się trudno. Nie możemy już się wycofać. Operacja „Rosomak” nie może zdechnąć tylko dlatego, że Jurij boi się swojego szwagra-czarnucha.

–Ale naszym żołnierzom może być trudniej go załatwić, jak będzie miał broń – zauważył Steve.

Curt zatrzymał się.

–Naprawdę sądzisz, że jeden glock zdziała coś przeciwko pięciu automatom Kalasznikowa? Daj spokój! Nie

żartuj.

–Chyba masz rację – powiedział Steve.

–Nie inaczej – stwierdził Curt. – Jak tylko odbierzemy naszą partię sproszkowanego węgla i przewieziemy ją do „Białej Dumy”, wyślemy do Jurija żołnierzy. Z glockiem czy bez glocka, chłopcy rozprawią się z nim w pięć sekund. Co więcej, każemy im puścić z dymem tę jego cholerną chałupę.

–Okay, masz rację – przekonał się Steve. – Chcę być po prostu pewny. Po dłuższym zastanowieniu doszedłem do wniosku, że nie chcę, żeby Jurij rozsiał węgiel w Central Parku.

–Ani ja – potwierdził Curt. – To nie jest obiekt w rodzaju Budynku Federalnego Jacoba Javitsa.

–Wkurzył mnie, jak zaczął nawijać, że jego plan pociągnie za sobą więcej ofiar w ludziach. Nie kupuję tego. Główny kanał wentylacyjny budynku federalnego uchodzi na zewnątrz. Nie dość, że węgiel sparaliżuje cały budynek, to jeszcze rozprzestrzeni się na okolicę.

–Mowa! – potwierdził Curt. – Cały ten syf przesunie się na zachód, w stronę gmachów sądowych. Lepiej być nie może. A potem wydamy rozkaz żołnierzom, żeby zlikwidowali Jurija – podsumował Curt. – Sam wiesz. Koniec historii.

Steve skinął głową. Wznowili marsz.

–Wewnątrz jest ciemno – zaobserwował Curt, kiedy doszli do drzwi. Blask bijący od dyliżansowej lampy, którą zainstalowano obok ościeżnicy, zmusił go do zmrużenia oczu. – Jeśli nie ma go w domu...

Curt otworzył podziurawioną siatkę i zastukał energicznie do drzwi. Rozwarły się niemal natychmiast. Z mroku wyjrzała twarz Jurija.

–Dzięki Bogu – sapnął z ulgą. – Wejdźcie!

Curt i Steve wślizgnęli się obok niego i, wciąż oślepieni jaskrawym światłem lampy, zanurzyli się w kompletnej ciemności.

–Co ty, do cholery, robisz po ciemku? – zapytał Curt. – Nie widzę własnej ręki.

–Przepraszam – odparł Jurij i pobiegł włączyć stojącą przy kanapie lampę. – Obawiałem się, że brat Connie wpadnie tu przed wami, i chciałem, żeby myślał, że nikogo nie ma w domu.

–Tak już lepiej – burknął Curt, odzyskawszy wzrok.

–Napijecie się mrożonej wódki? – zaproponował Jurij.

–Ja spasuję – odparł Curt.

–Ja też – rzekł Steve.

–Przynieśliście broń? – spytał Jurij.

–Jasne, mam ją tutaj. – Curt podniósł papierową torebkę. – Ale najpierw musimy pogadać.

–Dobrze – przystał Jurij. – Nie będzie wam przeszkadzać, jak przyniosę sobie trochę wódki?

–Czuj się jak u siebie – odrzekł Curt.

Gdy Jurij wyszedł do kuchni, Curt i Steve usiedli – pierwszy na kanapie, drugi zaś na jednym z krzeseł o prostych oparciach. Drugie krzesło zostawili wolne, tak aby Jurij znalazł się mniej więcej między nimi.

–Wierzyć się nie chce, że z tej obskurnej piwnicy wyjdzie potężna broń biologiczna – szepnął Curt. – Kręci mi się w głowie, jak o tym pomyślę.

–Wiem, co czujesz – odparł szeptem Steve. – Chrystus narodził się w stajni, a cuda nieraz rodzą się w rynsztoku.

Nasza broń zmieni świat raz na zawsze.

–Wystarczy mi, że uratuje ten kraj – stwierdził Curt. Jurij dołączył do nich ze szklanką w ręku. Usiadł na pustym krześle.

–O czym chcielibyście pogadać? – zapytał. Pociągnął ze szklanki i mlasnął z rozkoszą. Choć jego goście obudzili w nim niedawno kilka wątpliwości, ich obecność przyjmował z radością i ulgą.

–Ponieważ ostatnio ciągle są jakieś problemy, postanowiliśmy zdynamizować działania – oznajmił Curt. – Mówiliśmy ci wczoraj, że martwimy się o nasze bezpieczeństwo. Dlatego, po całodziennej dyskusji o terminie operacji, zdecydowaliśmy, że nastąpi ona w piątek. Chcemy odebrać naszą połowę węgla w czwartek wieczorem.

Czyli za dwa dni.

–To nagła zmiana – odezwał się Jurij. Był wyraźnie wstrząśnięty. W myśl ustalonego planu mieli poczekać do czasu, aż wyprodukuje wystarczającą ilość zarazków, nim wyznaczą dzień operacji.

–Być może – rzekł Curt. – Ale uważamy, że nie ma innej możliwości.

–To będzie trudne – nie ustępował Jurij. Jego oczy biegały nerwowo między Curtem a Steve'em. – Żeby obydwaj ładunki były skuteczne, potrzeba co najmniej cztery, pięć funtów.

–A więc żądamy przynajmniej czterech, a najlepiej pięciu funtów w czwartek wieczorem – stwierdził Curt. – Nie ma dyskusji. Czy wyrażam się jasno?

–Nie wiem, co powiedzieć – wyjąkał Jurij.

–Powiedz po prostu: „Dobrze, Curt. Wpadnij do mnie, a ja ci je dam”. Na początku wspomniałeś, że ładunek będzie zapakowany w przezroczysty plastik i że będzie wyglądał jak pęto kiełbasy. Czy nic się nie zmieniło?

–Nie – potwierdził Jurij. Drżącą ręką napił się wódki.

–I w tej postaci można go przewozić, tak? – upewnił się Curt. – Zaczy się, bez odpowiedniego kombinezonu.

–Osłonka kiełbasy zostanie zgrzana i odkażona z zewnątrz. Ale jeśli rozedrze się plastik...

–Czy to mocny plastik? Na przykład, gdyby jedna z paczek na przykład upadła, rozerwałby się?

–Nie sprawdzałem – wyznał Jurij. – Ale nie radzę jej upuszczać czy przekłuwać.

W sprzyjających warunkach każda z tych kiełbas jest zdolna zabić do stu tysięcy ludzi.

–A ile funtów mamy teraz? – zapytał Curt.

–Nie jestem pewien.

–Wczoraj twierdziłeś, że będziesz miał dosyć do końca tego tygodnia – przypomniał mu Curt. – Więc musisz wiedzieć choćby w przybliżeniu. Czwartek wieczór to prawie koniec tygodnia.

–Rano zebrałem kolejną porcję. Ale jej nie zważyłem.

–Więc jesteś blisko – stwierdził Curt.

–Tak, jestem blisko – potwierdził Jurij. Skinął kilka razy głową, jakby przytakiwał sobie w myślach, po czym zaczerpnął głęboko powietrza i wypuścił je wolno przez zaciśnięte usta. Wyglądał, jakby zaczynał się odprężyć po długotrwałym stresie. Uniósł szklankę w stronę Curta i Steve'a, jak gdyby wznosił toast na ich cześć, i wziął następny, większy łyk wódki. Zanim przełknął, przez moment trzymał alkohol w ustach, jakby to było wysokogatunkowe wino.

–A drugi fermentor? – zapytał Steve. – Czy przestawiłeś go już na produkcję węgla?

–Tak, dziś rano.

–No i jak idzie? – spytał Curt.

–Pierwszorzędnie – rzekł Jurij. Zmusił się do uśmiechu. – Prawdę mówiąc, zaglądałem do niego na kilka minut przed waszym przyjazdem. Jeszcze dziś wieczorem będę w stanie zebrać kolejną porcję.

–Jeśli chcesz, możemy w nocy zwędzić następną kadź – zasugerował Steve. – Jeżeli to w czymś pomoże.

–Nie trzeba. – Jurij machnął wolną ręką. – Druga kadź pracuje pełną parą. Teraz, po namyśle, jestem przekonany, że w czwartek wieczorem dostarczę wam odpowiednią ilość proszku.

–Naprawdę? – spytał Curt.

–Mur beton – zapewnił Jurij.

–Parę minut temu nie byłeś taki pewien – zauważył Curt.

–Nie byłem – zgodził się Jurij. – Ale Steve przypomniał mi o drugiej kadzi.

Dzięki niej do czwartku będę miał dziesięć funtów, a może i nieco więcej, jeśli popracuję non stop.

–Niby czemu nie miałbyś popracować? – spytał Curt.

–Właśnie – rzekł Jurij. – Przeszanę jeździć taryfą.

–Chcemy, żebyś na jutro zrobił dla nas coś jeszcze – oświadczył nagle Curt.

Twarz Jurija, na której dopiero co zagościł uśmiech, ponownie przybrała zatroskany wyraz.

–Ejże, nie przejmuj się tak – dodał Curt, widząc zmianę w zachowaniu Jurija. – Ta prośba nie sprawi ci kłopotów. Chciałbym tylko, żebyś zapisał technologię produkcji tego proszku. Ponieważ wracasz do Rosji, będziemy musieli znaleźć kogoś na twoje miejsce, kiedy będziemy chcieli wystąpić na bis.

Na twarzy Jurija znów pojawił się uśmiech. Przytaknął.

–Jasne, że zapiszę. Z przyjemnością spełnię waszą prośbę.

–Doskonale! – Curt uśmiechnął się do siebie, po czym wziął z kanapy papierową torebkę i podał ją Jurijowi. W chwili gdy ten odebrał przesyłkę, Curt wsunął drugą rękę za plecy i ujął kolbę tkwiącego w kaburze pistoletu. Otwierający torebkę Jurij niczego nie zauważył. Steve również był w pogotowiu.

Jurij wyciągnął pistolet, trzymając go za lufę. Upuścił torebkę na podłogę i uważnie oglądał broń. Poczul ją w dłoni.

–Jaka lekka – powiedział.

–Tak – potwierdził Curt. – Nazywa się glock. To ulubiona broń krótka bojówkarzy.

–Czy jest coś szczególnego, co powinienem o niej wiedzieć? – Zwolnił zatrzask magazynku i wysunął go. Spojrzał na naboje i policzył je.

–Masz tylko wycelować w swojego szwagra i pociągnąć za spust – poinformował Curt. – Resztę zrobi za ciebie pistolet.

Jurij roześmiał się. Wetknął palec pod osłonę języka spustowego i wziął na muszkę lodówkę.

–Paf! – krzyknął i zatrzęsł pistoletem, jakby siła wystrzału odrzuciła mu rękę.

Ponownie wybuchnął śmiechem i odłożył broń na stolik do kawy.

Steve i Curt zrelaksowali się i odchylili na oparcia swoich siedzeń.

–W torbie jest coś jeszcze – powiedział Curt.

–Oo? – zdziwił się Jurij. Nachylił się i podniósł brązowy papier. Wyciągnął zeń celofanową paczuszkę. Kąciki ust Jurija rozciągnęły się w półuśmiechu. Uznał, że to jakiś dowcip. – Co to jest, do diabła?

–Prezent, który kupiliśmy ci po drodze w sklepie kostiumowym – odparł Curt. – To sztuczna broda.

–Po kie lichy? – spytał Jurij. – Żeby dać ci do zrozumienia, że broń stanowi absolutną ostateczność. Nie chcemy, abyś się nią posługiwał. Schodź z drogi swojemu szwagrowi i wyłącz telefon z sieci. Nie rozmawiaj z nim. Ilekroć będziesz wychodził, sprawdź, czy nie ma go w pobliżu i noś tę idiotyczną brodę. Jeśli przylezie, nie wpuszczaj go do domu. Spróbuj go splawić. Kłopot polega na tym, że używając broni, niechybnie ściągniesz sobie na kark policję, a kiedy policja zacznie tu węszyć, operację „Rosomak” szlag trafi. A wtedy Steve, ja i chłopcy Ludowej Armii Aryjskiej będziemy bardzo niezadowoleni.

Czy wyrażam się dość jasno?

–Nie martw się – rzekł Jurij z lekceważącym machnięciem. – Użyję broni wyłącznie w obronie własnej i to w ostateczności. Chciałem czuć się pewniej, i tyle.

–To właśnie miałem nadzieję usłyszeć – oznajmił Curt.

–Bądź co bądź – dodał Jurij, rozdierając celofanową paczuszkę – operacja „Rosomak” jest równie ważna dla was, jak dla mnie. Nie chciałbym, żeby cokolwiek ją opóźniło. Wyjął sztuczną brodę i przytknął ją sobie do twarzy. – Jak wyglądam?

–Błazeńsko.

Jurij zarzął i wsadził brodę z powrotem do papierowej torebki.

Curt wstał, a wtedy Steve i Jurij poszli w jego ślady. Curt wyciągnął rękę i Jurij uścisnął ją gorąco.

–A więc w czwartek po południu. O której?

–O której chcecie – rzekł Jurij. – Dostosuję się.

–Znakomicie – pochwalił Curt. – Przyjedziemy wkrótce po zapadnięciu zmroku.

Weźmiemy strażacką torbę na narzędzia. Jest długa na dwadzieścia cali, szeroka i wysoka na dziesięć. Przypomina trochę wojskowy worek na odzież. Czy to wystarczy?

–W zupełności – odparł Jurij. – Byle tylko w środku nie było ostrych krawędzi.

Na wszelki wypadek dam wam ręcznik do owinięcia materiałów.

–Dobry pomysł – rzekł Curt. Podniósł dłoń i zsalutował po wojskowemu.

Odruchowo Jurij odpowiedział mu tym samym gestem. Steve wyszedł tuż za Curtem. Usłyszeli, jak Jurij zamyka drzwi na rygiel.

–No i co ty na to? – spytał Curt, zapuszczając silnik.

–Jestem pokrzepiony – wyznał Steve. – Z początku zachowywał się tak nerwowo, że nabrałem wątpliwości. Myślałem, że zacznie bruździć: nie będzie chciał dać węglika albo zacznie nas namawiać do zmiany celu ataku.

–Ja też miałem wątpliwości. Ale potem raptem jakby przejrzał na oczy i zrozumiał, że nie można dłużej czekać z operacją „Rosomak”, bo znowu coś nawali.

Dzięki Bogu, że trochę go przycisnęliśmy. Powinniśmy byli zrobić to już tydzień temu.

W tej chwili jednak to bez znaczenia. Najważniejsze, że operacja „Rosomak” dojdzie do skutku, że w piątek Nowy Jork zamieni się w piekło na ziemi.

–Cieszę się, że postanowił z nami współpracować, ale mimo wszystko to cholerny dziwak – orzekł Steve. – Nie

zdenerwowałaś się, kiedy wyciągnął broń?

–Trochę – przyznał się Curt. – Zwłaszcza po twoim ostrzeżeniu. Powiem ci jednak, że tak naprawdę żał mi tego faceta. Bawił się bronią zupełnie jak gówniarz. A gdy założył brodę, omal nie umarłem ze śmiechu.

–Dobrze, że poprosiłeś go, żeby opisał produkcję proszku węgliką. To był wspaniały pomysł.

–Genialny – potwierdził Curt z krzywym uśmiechem, skręcając w Oceanview Avenue. – Ta myśl strzeliła mi do głowy jak grom z jasnego nieba. Jeśli operacja się powiedzie, a nie wątpię, że tak będzie, to niewykluczone, że w przyszłości zaatakujemy ponownie.

Rozdział 15 19 października, wtorek, 19.30 Jack lubił pracować po godzinach. Kiedy budynek się wyludniał i nie rozpraszały go telefony, robił znacznie więcej niż w czasie dnia. Przez ostatnią godzinę Jack nie spotkał nikogo oprócz sprzątacza z wielkim mopem, który mignął mu za drzwiami.

Zagarnął dla siebie cały pokój, dzieląc przypadki według odpowiednich zadań.

Zawłaszczyl sobie nawet biurko Cheta – postawił tam mikroskop, aby zbadać preparaty przyniesione z laboratorium histologii. Miał krzesło na kółkach, mógł więc przesuwac się między stanowiskami.

–Mój Boże, zostałem bez dachu nad głową – przerwał ciszę czyjś głos.

Jack podniósł wzrok i ujrzał Cheta spoglądającego bezradnie na swoje zarekwirowane biurko.

–A, odnalazł się nasz zaginiony patolog! – powitał go Jack. – A mówią, że to ja uciekam w teren. Gdzieś się podziewał? Nie widziałem cię od samego rana.

–Mówiłem ci, że idę na konferencję patologów – odparł Chet.

–Serio?

–Oczywiście, że tak. Dziś rano w strefie dla personelu. Przy kawie.

–Przepraszam, chyba zapomniałem – przyznał Jack. Pamiętał, że głowę zaprzętała mu wtedy myśl, iż powinien przeprosić Laurie. – Jestem całkiem skołowany.

Tyle się dzieje.

–Nasz pokój wygląda, jakby przeszedł przez niego cyklon.

–Rzeczywiście – zgodził się Jack. – Czekaj, wezmę swoje manatki z twojego biurka.

–Ej, nie kłopotz się. Wpadłem tylko po neseser. Zostawiłem w nim dres. Idę poćwiczyć.

–Na pewno nie chcesz, żebym zabrał swoje rzeczy?

–Na pewno – uspokoił Chet. Ostrożnie przestąpił nad teczkami, które Jack rozłożył na całej podłodze. – Szkoda, że nie poszedłeś na tę konferencję. Jedna z najlepszych, w jakich brałem udział.

–Naprawdę? – spytał obojętnie Jack. Jego uwaga skupiła się znowu na preparatach próbek z ciała więźnia, które nadeszły z laboratorium histologii w zdumiewająco krótkim czasie.

–Ostatnie seminarium było wręcz rewelacyjne – mówił Chet. Wysunął górną szufladę w szafce z kartotekami i wyciągnął neseser. – Dyskutowano o zoonozach; wiesz, chorobach zwierząt, którymi zakażają się ludzie.

–Wiem, co to są zoonozy – powiedział nieprzytomnie Jack.

–Najlepsze było to, że w panelu uczestniczyło kilku weterynarzy miejskich – ciągnął Chet. – Ścięto mnie z nóg, jak usłyszałem o liczbie chorób odzwierzęcych, z którymi muszą się przez cały czas zmagać. To niesamowite.

–No pewnie – mruknął Jack. Próbował odnaleźć wycinki mózgu Davida Jeffersona, a zwłaszcza preparat z płata skroniowego.

–I nie chodzi mi tylko o te choroby, o których słyszy się w środkach masowego przekazu, takich jak wścieklizna u szopów. Jeden z tych facetów poinformował, że właśnie dzisiaj pozdychały tysiące szczurów lęgnących się w brooklińskich kanałach, gdzieś w Brighton Beach.

Głowa Jacka podskoczyła.

–Co takiego?

–Jak zwykle, nie słuchasz mnie – poskarżył się Chet.

–Nie dosłyszałem końcówki.

Chet powtórzył to, co powiedział o szczurach.

–I to się stało w Brighton Beach? – spytał Jack. Zapatrzył się w przestrzeń.

–Tak! – rzekł Chet z odrobiną urazy. Jak zwykle denerwował go sposób, w jaki Jack puszczał jego słowa mimo uszu.

Jack zamilkł. Robił wrażenie, jak gdyby wpadł w trans.

–Halo! – Chet pomachał ręką przed jego twarzą. – Planeta Ziemia wzywa Jacka! Zgłoś się, proszę! – Chet potrząsnął głową. – O raju, nie używałem tego zwrotu od trzeciej klasy.

–Dlaczego te szczury zdechły? – odezwał się Jack. – Z powodu zarazy czy czegoś innego?

–Nie. W tym cała tajemnica. Nie zdołali na razie ustalić żadnych przyczyn. Ale są poważnie zaniepokojeni. Co więcej, dwa z setek zebranych martwych szczurów miały owrzodzenia na skórze, które, jak się okazało, były wywołane przez laseczkę wąglika.

–To ci dopiero! – ożywił się Jack. – Czy u pozostałych szczurów też znaleziono wąglik?

–Bynajmniej – zaprzeczył Chet. – W zasadzie wykluczili nie tylko wąglik, ale w ogóle bakterie. W tym momencie koncentrują się na pewnym rodzaju wirusa. Wąglik to tylko taka osobliwość.

–Drugi raz w ciągu jednego dnia słyszę o Brighton Beach – zauważył Jack. – A wczoraj nie miałem pojęcia o istnieniu tej dzielnicy.

–Zdziwiłem się też, słysząc, że podobne problemy, może nie tak dramatyczne jak ta historia ze szczurami, zdarzają się bez przerwy. Tyle że się o nich nie dowiadujemy. Weterynarze epidemiolodzy mają pełne ręce roboty.

–Czy domyślają się, skąd się wziął wąglik? – zapytał Jack.

–Nie. Ale snują przypuszczenia – wbrew temu, co twierdzi się na ten temat w podręcznikach – że być może bakterie pasożytują na części szczurów. Mówię ci, to fascynujące badania.

–Słuchaj, opowiem ci o moim przypadku z Brighton Beach – zaproponował Jack. – Masz chwilkę czasu?

–Jeżeli nie potrwa to zbyt długo – odparł Chet, popatrując na zegarek. – Nie chciałbym opuścić dzisiejszych zajęć aerobiku. We wtorki przychodzi taka jedna dziewczyna o figurze wartej grzechu.

Jack szybko streścił mu historię Connie Dawidów, kładąc nacisk na nie wyjaśnioną diagnozę. Wymienił wszystkie czynniki, które wziął pod uwagę. Potem zapytał, czy Chet ma jakieś pomysły.

Chet zmarszczył czoło i zadumał się. Po chwili pokręcił głową.

–Wydaje mi się, że nic ci nie umknęło.

–To jednak dziwne, że Connie Dawidów umiera niespodziewanie, w moim przekonaniu na skutek tajemniczego zatrucia, tego samego dnia, kiedy masowo giną szczury.

–Ho-ho! – zawołał z uśmiechem Chet. – Kojarzysz ze sobą dwa bardzo odległe fakty. Chyba że pani Dawidów

spędziła ostatnie dwadzieścia cztery godziny swego życia w miejskich ściekach albo też szczurza delegacja z Nowego Jorku złożyła w jej mieszkaniu wizytę.

Jack przeczesał ręką włosy, śmiejąc się z absurdalnych sugestii Cheta.

–Oczywiście, masz rację! Niemniej to przedziwny zbieg okoliczności, zwłaszcza że występuje tu również wąglik, a ja zdiagnozowałem wczoraj wąglik u mieszkańca Manhattanu. Wystarczy jak na dwa dni!

–No cóż, zostawiam cię sam na sam z twoimi zagadkami – oznajmił Chet. – Ja idę podziwiać inną zagadkę. W sali do aerobiku.

–Przepraszam, doktorze Stapleton!

Jack i Chet odwrócili się i zobaczyli stojącego w drzwiach Petera Lettermana; jego długi biały fartuch upstrzony był barwnymi plamami. W rękę trzymał wydruk komputerowy.

–Peter – ucieszył się Jack. Spróbował odczytać z twarzy mężczyzny, jakie tamten przynosi mu wiadomości, ale jego delikatne rysy pozostały nieodgadnione.

–Wykonałem wszystkie oznaczenia, o które mnie pan prosił – oznajmił Peter.

–I? – spytał niecierpliwie Jack. Przypominało to oczekiwanie na otwarcie koperty podczas wręczania Oscarów.

Peter podał Jackowi papier z wydrukiem. Jack wlepił weń wzrok. Nie miał pojęcia, na co patrzy.

–Wyniki są negatywne – powiedział z rozczarowaniem w głosie Peter. – Niczego nie znalazłem.

–Zero? – zdziwił się Jack. Popatrzył na Petera. Był zdruzgotany.

Peter pokiwał głową.

–Przykro mi. Wiem, że liczył pan na pozytywny wynik, więc niektóre oznaczenia powtórzyłem kilka razy. Niestety, wyniki były za każdym razem negatywne.

–O cholera! – zawołał Jack. Podniósł ręce. – Koniec z moją intuicją. A może i z pracą.

–Zbadałeś je na obecność tlenku węgla? – zapytał Chet.

–Naturalnie – przytaknął Peter.

–Cyjanku też?

–Wszystkiego, o co prosił doktor Stapleton, oraz paru leków, o których nie wspomniał.

–Bardzo ci dziękuję, Peter – powiedział Jack. – W tym momencie może tego nie słyhać w moim głosie, lecz jestem ci wdzięczny za to, że zostałeś w pracy i zrobiłeś te badania.

–Jeśli będzie pan chciał, bym przetestował te próbki na obecność innych związków, proszę dać mi znać.

–Dobrze – powiedział Jack.

Peter wyszedł.

–Ano tak – westchnął Jack. Cisnął ołówek na biurko. Potem zaczął zbierać papiery dotyczące rozmaitych przypadków i upychać je do właściwych teczek.

Chet obserwował go jakiś czas.

–Jeśli będę chciał przetestować te próbki na obecność innych związków, dam ci znać.

Jack posłał mu zgaszony uśmiech, nie przerywając porządkowania.

–Lecisz do domu? – spytał Chet.

–Tak. Czuję, że trochę ruchu dobrze mi zrobi.

Chet pożegnał się i wyszedł. Ustawiając mikroskop na swoim biurku, Jack zrobił w głowie przegląd wszystkich dziwnych zdarzeń, jakie miały miejsce w czasie ostatnich dwudziestu czterech godzin. Stanowiły one zagadkę, a jednak Jack nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. W swojej pracy najbardziej lubił takie właśnie łamigłówki.

Jack zamknął swój pokój i spojrzał w głąb korytarza. Drzwi biura Laurie były zamknięte. Najwyraźniej wyszła bez pożegnania. Jack wzruszył ramionami. Sam już nie wiedział, jak ma się wobec niej zachowywać.

W piwnicy zdjął kłódkę z roweru i wyprowadził go tylnym wyjściem. Dotarł do chodnika, wsiadł i wyjechał na Pierwszą Avenue.

Jak zwykle powrót do domu rowerem był dla Jacka dobrą rozrywką. Panujący w godzinach szczytu ruch zdążył się przerzedzić, toteż Jack śmigał jak strzała. Słońce zaszło mniej więcej godzinę wcześniej i niebo miało srebrzystofioletowy odcień, który z każdą chwilą przechodził coraz bardziej w indygo. W spowitym mrokiem parku Jack spostrzegł nawet migoczące na firmamencie gwiazdy.

Jack wjechał na swoją ulicę i skierował się w stronę drucianej siatki oddzielającej boisko do kosza od ulicy. Przystanął, gdy ujrzał to, co chciał zobaczyć: toczący się mecz. Kiedy mężczyźni zbliżyli się ku niemu, zauważył Warrena i Flasha – grali przeciwko sobie.

Jack szybko wniósł rower do mieszkania i zdarł z siebie rzeczy. W koszykarskim stroju zbiegł pędem po schodach i przebiegł przez ulicę. Kiedy stanął na skraju boiska, miał lekką zadyszkę.

Niestety, kiedy Jack się przebierał, zaczął się już następny mecz, co oznaczało, że będzie musiał czekać przez co najmniej jedną połowę, zanim rzuci się w ogień walki. Warren pozostał na placu, ponieważ – jak zawsze – jego zespół odniósł zwycięstwo. Natomiast Flash dołączył do czekających na swoją kolejkę. Jack podszedł do niego.

–Cześć, stary, jak leci? – zagadnął Flash, widząc Jacka. Było to typowe, rzucone od niechcienia koszykarskie powitanie, mimo że spędzili z sobą parę ładnych godzin.

–Nieźle – odparł Jack. – A u ciebie wszystko w porządku?

–Póki co – rzekł Flash, nie spuszczając z oka grających. – Czułbym się lepiej, gdybyśmy wygrali.

–Posłuchaj – zaczął Jack. – Oddałem do laboratorium wszystkie próbki, które pobrałem dzisiaj z ciała twojej siostry. Teraz nad nimi pracują. Chcę się upewnić, że będziesz cierpliwy i nie zrobisz jakiegoś głupstwa.

–Jestem na luzie – oznajmił Flash.

–Miło mi to słyszeć. – Wstrzymał się na razie z powiadomieniem Flasha o wynikach. Pomimo negatywnych wyników oznaczeń, które wykonał Peter, Jack dalej był skłonny domniemywać, że Connie – przypadkiem lub celowo – padła ofiarą trucizny.

–Jestem ciekaw, gdzie Connie mieszkała – dodał Jack. – Wspomniałeś, że na osiedlu małych drewnianych domków. Czy to historyczna część miasta?

–Nie wiem, czy historyczna – odparł Flash. – Ale na pewno stara.

–Ile może mieć lat?

–Stary, nie mam pojęcia – zawołał Flash. – Czemu pytasz?

Jack wzruszył ramionami.

–Mówiłem ci: jestem ciekaw. Niewiele zostało miejsc w Nowym Jorku, gdzie stoją wciąż domki. Sądziś, że mają ze sto lat?

–Pewnie coś koło tego – odrzekł Flash. – Myślę, że dawniej to musiały być domki letniskowe.

Jack skinął głową, usiłując wyobrazić sobie osiedle drewnianych domków sprzed stu lat. Momentalnie uzmysłowił sobie, że ich instalacja wodociągowa może wyglądać, w najlepszym razie, prowizorycznie. W samej rzeczy zamiast do miejskiego ścieku rury mogą uchodzić do szamb.

–Możesz mi przypomnieć adres? – poprosił Jack. – Oceanview Lane piętnaście?

–Dokładnie tak – potwierdził Flash. – Po co te pytania? Wybierasz się tam?

–Niewykluczone. Czasem lekarze sądowi muszą udać się na miejsce zgonu, ażeby zrekonstruować serię poprzedzających go wydarzeń. Oczywiście wtedy, gdy ciało jest ciągle tam, gdzie je znaleziono.

–Ale ona umarła w Coney Island Hospital.

–To prawda – rzekł Jack. Poklepał Flasha po plecach. – Ale wszystkie jej kłopoty podobno zaczęły się w łazience. Tak czy inaczej, będę cię informował, jeśli się czegoś dowiem.

–Dzięki, doktorku – powiedział Flash.

Jack podniósł rezerwową piłkę i pobiegł z nią do jednego z bocznych koszów.

Postanowił się rozgrzać, oddając kilka rzutów z wysokości. Wciąż nie dawał mu spokoju zbieg okoliczności, polegający na tym, że Connie zatrula się nieznaną toksyną, zapewne we własnej łazience, w tej samej dzielnicy, w której – także z nieznanych przyczyn – wyginęły setki zamieszkujących kanały szczurów.

Jack posłał piłkę do kosza i przyglądał się, jak odbija się od ziemi, dopóki nie znieruchomiła. Jego umysł pracował na pełnych obrotach. Choć ten pomysł wydawał się szalony, Jack zadawał sobie pytanie, czy aby Connie i szczury nie zginęli za sprawą tego samego czynnika. A jeśli był to na przykład gaz wydostający się z nieszczelnej instalacji w łazience Connie? Tyle tylko, że taki gaz ma silny odór i technicy z pewnością by go wyczuli.

–Aale, to niemożliwe – powiedział głośno Jack.

Podszedł do piłki i podniósł ją. Żadne inne wytłumaczenie nie przychodziło mu do głowy. Ćwicząc rzuty z dystansu, cały czas miał przed oczami Connie, szczury i letnie domki w Brighton Beach.

Laurie odłożyła menu z deserami i pokręciła głową.

–Jestem najedzona. Nie zmieszczę już deseru.

–Czy pozwolisz, że zamówię coś, co oboje będziemy mogli sobie podjadać? – spytał Paul. – Wiem, jak lubisz czekoladę.

–Proszę bardzo – rzekła Laurie. – Ale musisz zdawać sobie sprawę, że ty zjesz dziewięć dziesiątych, a ja resztę. Chętnie napiję się bezkofeinowego cappuccino.

–Już się robi! – oświadczył Paul i uniósł rękę, by przywołać kelnera.

Wieczór upłynął w miłej atmosferze. Laurie czuła się znacznie się lepiej niż przedtem, po rozmowie z Lou i Jackiem. Gdy wróciła do domu, zastanawiała się nad zmianą planów, powziętych tydzień temu, według których ona i Paul mieli pójść najpierw na występ baletu do Lincoln Center, a potem na kolację. Ale kiedy pobyła trochę sama, doszła do wniosku, że informacje, które przekazali jej koledzy, nie muszą prowadzić do wścieklej kłótni. Nie była do końca przekonana, że to, co jej powiedzieli, jest prawdą, a gdyby nawet – chciała wysłuchać wyjaśnień Paula. Najbardziej wyprowadziło ją z równowagi to, że wszystko działo się tak nagle.

–Kropelkę wina deserowego? – spytał Paul.

Laurie uśmiechnęła się i pokręciła głową. Do kolacji pili Wyborne czerwono wino, którego posmak wciąż jeszcze czuła na języku. Wiedziała, że wypiła aż nadto alkoholu.

Paul zjawił się u niej wieczorem z nowym bukietem kwiatów i przeprosinami za obojętność, jaką okazał rano. Zapewnił, że rozumie jej oddanie pracy, a nawet posunął się do stwierdzenia, że głęboko podziwia i docenia jej poświęcenie.

Kiedy tak rozmawiali, Laurie korciło, by poruszyć temat jego pracy, ale rozmyśliła się. Wobec szczerých przeprosin Paula nie chciała uchodzić za osobę niewdzięczną czy gruboskórną. Postanowiła czekać na odpowiedniejszy moment.

Potem zdarzyła się druga niespodzianka. Paul zakomunikował, że udało mu się przesunąć wyjazd do Budapesztu na następny weekend w nadziei, że plan zajęć pozwoli jej mu towarzyszyć. Dodał, że Laurie ma cały tydzień na podjęcie decyzji.

Nadjechał deser, który okazał się istnym czekoladowym dziełem sztuki. W jego wnętrzu tkwiło wilgotne, ciemne czekoladowe ciasteczko, któremu Laurie nie zdołała się oprzeć. Skosztowała go i aż cmoknęła z rozkoszą.

Paul zamówił brandy. Kiedy mu ją podano, zakręcił kieliszkiem, powąchał i posmakował. Usatysfakcjonowany, z uśmiechem rozparł się na krześle. Uosobienie zadowolenia.

–Jest coś, o co bym chciała cię zapytać, Paul – odezwała się Laurie, wyczuwając, że tak dobra okazja może się już nie powtórzyć. – Wiem, że kiedy dziś rano zadałam ci to pytanie, wydawało się ono agresywne. Nie chciałam, żeby tak zabrzmiało, a tym bardziej nie chcę tego teraz. Pragnęłabym wiedzieć, jaki wykonujesz zawód.

Paul przestał okręcać brandy i spojrzał na Laurie swymi czarnymi jak węgiel oczami.

–Dlaczego? – spytał spokojnym, matowym głosem.

–Bo jako twoja przyszła żona sędzę, że mam do tego prawo – odparła nieco zdziwiona Laurie. Nie spodziewała się, że Paul odpowie jej pytaniem. – Gdybyś nie wiedział, czym ja się zajmuję, na pewno chciałabym cię o tym poinformować.

–Dzisiaj rano spytałem, czy to ma znaczenie – przypomniał Paul. – A więc: czy ma?

–Może mieć – rzekła Laurie. – Weźmy na przykład mój zawód. Moja matka ubrdała sobie, że jest upiorny i już. Mógłbyś odnieść podobne wrażenie.

–No cóż, wcale tak nie myślę.

–Cieszę się. Ale rozumiesz, do czego zmierzam. Nie sędzę, aby matka wyszła za ojca, gdyby był lekarzem sądowym, przynajmniej nie wydaje mi się.

–Czyżbyś próbowała mi oświadczyć, że jeśli prowadzę interesy, których ty nie akceptujesz, nie wyjdiesz za mnie za mąż?

–Paul, nie przyszliśmy się kłócić. Boję się, że niepotrzebnie zamieniasz tę dyskusję w coś, czym ona nie jest. Powiedz tylko, proszę, czym się zajmujesz.

–Pracuję w branży zbrojeniowej – wyznał Paul z rozdrażnieniem.

–Okay, to już jakiś początek – zauważyła Laurie. Opuściła wzrok na spienioną powierzchnię swojej kawy. – Czy możesz podać mi więcej szczegółów?

–Co to jest, przesłuchanie?

–Nie, Paul. Tak jak mówiłam: dyskusja.

–Jaka zabawna dyskusja – powiedział Paul ironicznym głosem.

–Dlaczego robisz uniki? To do ciebie nie pasuje.

–Dlatego, że zbyt wielu ludzi reaguje w ten sam trywialny sposób, słysząc o handlu bronią.

–I myślisz, że ja zareaguję podobnie?

–Możliwe.

–Co sprzedajesz?

–Broń. Co jeszcze chcesz wiedzieć? Czy nie możemy porozmawiać na inny temat?

–Znaczą się: działa, bomby i karabiny?

–Wszystkiego po trochu – potwierdził Paul. – To, na co jest akurat popyt.

–Czy również bułgarskie karabiny AK-47? – zapytała Laurie.

–Jasne – odparł Paul, zaskoczony konkretnością pytania. – To jeden z moich najpopularniejszych produktów. Solidny, niedrogi, dobrze zrobiony karabin. Znacznie lepszy niż jego chińska wersja.

Laurie zamknęła oczy. Przed oczami przesunęły jej się obrazy martwego Brada Cassidy'ego i jego pogrążonych w żalobie rodziców. Pamiętała, jaką trwogą napełniły ją słowa Shirley Cassidy, że jej syn sprzedawał AK-47 innym skinheadom. Nie mogła sobie nawet wyobrazić, że Paul ma jakikolwiek związek z tą działalnością, zwłaszcza gdy przypomniała sobie potworne obrażenia, które widziała, pracując jako patolog sądowy. Wzięła głęboki oddech. Zdawała sobie sprawę, że traci kontrolę nad emocjami, a w takich okolicznościach miała tendencję do płaczu. Nie chciała płakać. Łzy bardzo ją irytowały, gdyż utrudniały dalszą dyskusję. Otworzyła oczy i spojrzała na Paula. Wyraz jego twarzy wydał jej się subtelnie arogancki.

–Czy zastanawiasz się czasem nad konsekwencjami tego, co robisz? – zapytała Laurie. Chciała koniecznie podtrzymać rozmowę.

–Ma się rozumieć – odrzekł nonszalancko Paul. – Broń pomaga ludziom bronić się przed niebezpieczeństwami tego świata.

–A jeśli pistolety trafiają w ręce skrajnych, prawicowych grup? – pytała Laurie.

–Na przykład skinheadów?

–Oni też mają prawo się bronić.

–Kłopot z tymi ziejącymi nienawiścią rasistowskimi grupami polega na tym, że ta broń służy im do zabijania ludzi.

–Broń nie zabija ludzi – wyjaśnił szarmancko Paul. – To ludzie zabijają ludzi.

–Mówisz jak rzecznik prasowy Krajowego Związku Strzeleckiego – powiedziała Laurie.

–KZS ma wiele racji – podjął Paul. – Na przykład przypominając, że Konstytucja daje nam prawo do noszenia broni. Kiedy rząd przyczynia się do uchwalenia ustawy Omnibus Crime, łamie konstytucyjne zasady.

Laurie gapiała się na swojego potencjalnego narzeczonego i kręciła głową. Nie wierzyła, że dzieli ich w tej ważnej kwestii aż taka przepaść, a zarazem tak wiele ich łączy.

Paul rzucił serwetkę na stół.

–Szczerze mówiąc, jestem rozczarowany, gdyż potwierdziły się moje obawy: twoja reakcja okazała się typowa aż do znudzenia. Teraz wiesz, dlaczego wcześniej nie powiedziałem ci, co robię.

–Ja także jestem rozczarowana – wyznała Laurie. – Nie podoba mi się, że handlujesz bronią, w szczególności tymi karabinami, gdziekolwiek je sprzedajesz. Ale zaraz, chyba nie sprzedajesz ich tu, w Stanach, prawda?

–To wbrew prawu, dzięki niekonstytucyjnej ustawie – odparł Paul.

–Nie o to pytam – zauważyła Laurie. – Wiem, że są objęte zakazem. Zapytałam cię, czy je sprzedajesz w tym kraju?

Laurie utkwiała spojrzenie w Paulu. Nie odpowiadał. Tylko jego pierś unosiła się i opadała miarowo w rytm oddechu. Mierzyli się wzrokiem, jakby toczyli rodzaj pojedynku na spojrzenia.

–Nie odpowiesz mi? – zapytała z niedowierzaniem Laurie.

–Pytanie jest tak głupie, że moim zdaniem nie zasługuje na odpowiedź – odparł zarozumiale Paul.

–Mimo to chciałabym ją usłyszeć – nie dawała za wygraną Laurie.

Paul podniósł kieliszek i upił trochę brandy, ale zanim przełknął, trzymał ją przez moment w ustach.

–Nie. Nie sprzedaję bułgarskich AK-47 na terenie Stanów Zjednoczonych. Czy jesteś zadowolona?

Laurie wzięła łyżeczek kawy. Nie odpowiedziała Paulowi, zastanawiając się nad przebiegiem całej rozmowy. Nie tylko nie była zadowolona, ale reakcja Paula na jej pytanie wręcz wzbudziła w niej złość. Jedynym pozytywnym skutkiem tej irytacji było to, że przeszła jej ochota do łez. Teraz Paul, dolewając oliwy do ognia, spoglądał na nią z politowaniem.

–Prawdę rzekłszy, nie podoba mi się to wszystko – odezwała się Laurie. – Zapytałam, na czym polega twoja praca, bo zostałam poinformowana, iż handlujesz bronią.

–Przez kogo?

–Sądzę, że to nieistotne. Ale z tego samego źródła dowiedziałam się też, że dostałeś wyrok za posiadanie kokainy. Czy chciałbyś coś dodać do tej listy?

Oczy Paula błysnęły.

–To autentyczne przesłuchanie – warknął.

–Nazwij to sobie, jak chcesz – dodała Laurie. – Z mojego punktu widzenia to oczyszczenie atmosfery. O tych sprawach powinnam była usłyszeć od ciebie, nie od kogoś innego.

Paul podniósł się bez ostrzeżenia. Jego krzesło przechyliło się do tyłu i upadło z trzaskiem na podłogę. Goście podnieśli oczy znad swoich talerzy. Paru kelnerów skoczyło podnieść leżące krzesło.

–Nie zamierzam tego dłużej znosić – zagrmiał Paul. Rozzłoszczony sięgnął do kieszeni i wyszarpnął portfel. Wyjął kilka studolarowych banknotów i pogardliwym gestem cisnął je na stolik.

–To powinno wystarczyć na pokrycie kosztów zabawy – rzucił i wyszedł z restauracji.

Laurie zdrętwiała. Wprawdzie słyszała, że takie sceny zdarzają się niekiedy w miejscach publicznych, ale jej to nigdy nie spotkało. Nieśmiało podniosła filiżankę i drobnymi łykami piła cappuccino. Choć rozum mówił jej, że to niemądre udawać, iż zupełnie się nie przejęła tym, co się stało, nie mogła się powstrzymać. Czuła, że musi zachować pozory.

Gdy opuszczała restaurację, martwiła się trochę, że Paul może na nią czekać na zewnątrz. Z ulgą stwierdziła, że go nie ma, ponieważ nie chciała – przynajmniej na razie – z nim rozmawiać. Restauracja znajdowała się przy Columbus Avenue w Upper West Side. Kiedy Laurie uniosła rękę, aby zatrzymać jadącą w stronę centrum taksówkę, uzmysłowiła sobie, że od mieszkania Jacka dzieli ją około dwudziestu przecznic. Postanowiła złożyć mu wizytę. W tej chwili bardziej niż kiedykolwiek potrzebny jej był przyjaciel.

Gdy wsiadła do taksówki i podała adres, kierowca – nowojorczyk z krwi i kości – obrócił się i poprosił o powtórzenie. Zanim ruszyli, podniósł brwi, jakby chciał pokazać, że Laurie postradała rozum. Na ulicach nie było tłoku, więc szybko dojechali na miejsce. Kierowca zjechał na pierwszym skrzyżowaniu z Columbus i skierował się na północ wzdłuż Central Park West. Laurie musiała mu wskazać kamienicę Jacka, gdyż nie widniał tam żaden numer.

–Poradzi sobie pani? – zapytał kierowca, gdy zapłaciła za kurs. – To bandycka dzielnica.

Laurie uspokoiła mężczyznę, że nic jej nie będzie, i wysiadła z auta. Objęła wzrokiem fasadę budynku. Resztki ozdobnego gzymsu i dwa zabite deskami okna na drugim piętrze sprawiały jak zawsze smutne wrażenie.

Ilekcóż Laurie odwiedzała Jacka, wciąż na nowo dziwiła się, że w dalszym ciągu tutaj mieszka. Znała jego miłość

do koszykówki, ale przypuszczała, że nawet gdyby chciał zostać w tej dzielnicy, zdołałby znaleźć lepiej utrzymany budynek.

Hol wyglądał jeszcze gorzej niż fasada. Niegdyś musiał być wspaniały, z mozaikową podłogą i marmurowymi ścianami. Teraz został ledwie blady cień dawnej świetności. W podłodze brakowało ponad połowy kostek, ściany zaś były zaplamione i pogryzmołone graffiti. Wszystkie skrzynki na listy miały uszkodzone zamki. W kątach zalegały hałdy śmieci.

Laurie w ogóle nie próbowała korzystać z domofonu. Wiedziała, że jest zepsuty. Drzwi w holu zresztą zostały dawno temu wyłamane i nigdy ich nie naprawiono.

W miarę jak pięła się po schodach, jej determinacja topniała. Bądź co bądź było już późno, nie zadzwoniła i pchała się nie proszona. Ponadto nie bardzo miała ochotę rozmawiać o tym, co zaszło dziś przy kolacji, dopóki sama nie dojdzie z tym jakoś do ład i składu.

Zatrzymała się na półpiętrze. Zza drzwi pierwszego z mieszkań doleciały ją wrzaski i przekleństwa. Przypomniała sobie, że Jack wspominał jej, iż tutejsi lokatorzy nieustannie się kłócą. Laurie posmutniała na myśl, że ludziom tak trudno ułożyć sobie wspólne życie. Rozważała, czy ma iść dalej. Dopiero kiedy pomyślała, jak by się czuła, gdyby role się odwróciły – gdyby to Jack zjawił się niespodzianie w jej domu – i kiedy uznała, że byłaby tym zaszczycona, ruszyła dalej w górę. Doszła do jego drzwi i zapukała. Nie było dzwonka.

Gdy drzwi rozwarły się z impetem, Laurie ledwie zdusiła uśmiech. Wyraz zdumienia, który odmalował się na szczeciniastej twarzy Jacka, przywiódł jej na myśl komiczną minę pantomimisty. Jack miał na sobie bokerskie spodenki, podkoszulek i sandały. W ręku ścisnął podręcznik do medycyny. Widać było, że nie oczekiwał gości, być może z wyjątkiem Warrena lub innego kumpla od kosza.

–Laurie! – zawołał, jakby zobaczył upiora.

Laurie skinęła tylko głową.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę.

–Czy mogę wejść? – Laurie przerwała wreszcie milczenie.

–Oczywiście. – Jack speszył się, że dotychczas jej nie zaprosił. Zamykając drzwi, przypomniał sobie o swoim półnegliżu. Błyskawicznie zniknął w sypialni, by poszukać spodni.

Laurie weszła do pokoju. Było tam tylko kilka mebli: tapczan, krzesło, parę stolików i regał na książki wykonany z pustaków i nie heblowanych desek. Ścian nie zdobiły obrazy ani zdjęcia. Jedyne światło dochodziło z podłogowej lampy przy tapczanie, gdzie najwyraźniej Jack właśnie czytał. Reszta pokoju ginęła w półmroku. Na małym bocznym stoliku stała otwarta butelka piwa. Na podłodze leżał rozłożony słownik medyczny.

Moment później Jack pojawił się znowu, wpuszczając koszulę do spodenek khaki. Miał zakłopotaną minę.

–Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam – powiedziała Laurie. – Wiem, że już późno.

–Nie przeszkadzasz mi w najmniejszym stopniu – zapewnił Jack. – Naprawdę sprawiłaś mi uroczą niespodziankę. Mogę odebrać twój płaszcz?

–Chyba tak – zgodziła się Laurie. Wyślizgnęła się z płaszcza i podała mu je.

–Napijesz się piwa? – zapytał, szukając wieszaka.

–Nie, dzięki – odparła Laurie.

Usiadła na postrzępionym, wytartym fotelu i wodziła oczami po pokoju. Domyślała się, dlaczego Jack mieszka w tak ascetycznych warunkach, i jej humor jeszcze bardziej się popsuł. Odkąd jego rodzina zginęła w wypadku lotniczym, minęło osiem lat i Laurie pragnęłaby, żeby Jack bardziej cieszył się z życia.

–A może masz ochotę na coś innego? – dodał, wstępując w stożek światła padającego z lampy. – Wody, herbaty albo soku? Mam nawet gatorade.

–Na razie dziękuję – powtórzyła Laurie. – Dopiero co zjadłam obfitą kolację.

–Aha – stwierdził jedynie Jack. Usiadł na tapczanie.

–Przepraszam, że wpadłam tak bez słowa – wyjaśniła Laurie. – Byłam akurat niedaleko, w restauracji przy Columbus Avenue obok Muzeum Historii Naturalnej.

–Cieszę się – oznajmił Jack. – Bardzo mi miło, że przyszłaś.

–No i pomyślałam, że wstąpię do ciebie – dodała Laurie. – Ponieważ byłam tak blisko.

–W porządku – rzekł Jack. – Naprawdę jestem uradowany. Szczerze.

–Dzięki.

–Czy coś się stało podczas kolacji? – zapytał Jack.

–Tak – potwierdziła Laurie. – Małe nieporozumienie.

–Przykro mi. Czy jego powodem było to, o czym Lou i ja powiedzieliśmy ci dziś po południu?

–Między innymi.

–Czy chcesz o tym porozmawiać?

–Niespecjalnie – stwierdziła Laurie. – Pewnie to nie brzmi zbyt logicznie, skoro przyszłam do ciebie, zamiast wracać do domu i zamknąć się w czterech ścianach.

–Hej, nikt nie będzie cię zmuszał do rozmowy o czymś, o czym nie chcesz mówić.

Skinęła głową. Jack nie umiałby powiedzieć, czy Laurie rzeczywiście dobrze się czuje, czy też jest bliska łez.

–Porozmawiajmy o tobie – zaproponowała Laurie, przerywając ciszę.

–O mnie? – spytał niepewnie Jack.

–Doszły mnie słuchy, że Warren odwiedził cię dzisiaj w biurze. Po co przyszedł?

Laurie знаła Warrena na tyle dobrze, że wiedziała, iż nigdy nie bywał w kostnicy. Kiedyś ona i Jack spotykali się z Warrenem i jego dziewczyną, Natalie Adams.

Raz całą czwórką wybrali się nawet na wyprawę do Gwinei Równikowej.

–Czy znasz Flasha Thomasa? – spytał Jack.

Laurie pokręciła głową.

–Nie przypominam sobie.

–To jeden koszykarz z naszej drużyny – wytłumaczył Jack. – Jego siostra zmarła nagle wczoraj wieczorem w nie wyjaśnionych okolicznościach.

–To straszne. I chcieli, żebyś przyjrzał się tej sprawie?

Jack przytaknął.

–To ciekawa historia. Opowiedzieć ci o niej?

–Koniecznie – potwierdziła Laurie. – Ale najpierw przyjmę twoją propozycję i jednak poproszę o szklanekę wody.

Jack poszedł do kuchni. Podczas gdy opowiadał jej o swoich przejściach tego popołudnia, Laurie rozsiadła się w fotelu i odprężyła się. Gdy usłyszała o postępku Randolpha Sandersa, była oburzona.

–To dopiero tupet! – zawołała rozemocjonowana. – Odesłał ciało, chociaż wiedział, że jedziesz je obejrzyć!

Jack wzruszył ramionami.

–Bogiem a prawdą, nie zaskoczył mnie. Zawsze miał nieuzasadnione pretensje do patologów z Manhattanu.

–Przypuszczam, że poczuł się urażony, kiedy pominięto go przy awansie na szefa Brooklynu lub wiceszefa u nas – domyśliła się Lurie.

–Jasne, że go pominięto, i to całkiem słusznie – potwierdził Jack.

Kiedy opisał jej sposób, w jaki musiał wejść do domu pogrzebowego, aby pobrać płyny ustrojowe z ciała Connie Dawidów, Laurie tak się uśmieła, że aż zakrztusiła się wodą.

Później Jack poinformował Laurie o wszystkich możliwych przyczynach zgonu, które przyszły mu na myśl. Na koniec przyznał, że Peter Letterman nic nie znalazł: wszystkie badania mikrobiologiczne, także zawartości żołądka, dały wynik negatywny.

–Interesujące – zamyśliła się Laurie. – Wielka szkoda, że nie mogłeś zrobić szybkiej autopsji.

–I tak miałem szczęście, że zdobyłem próbki skóry – zauważył Jack. – Czy szukałabyś czegoś poza tym, co zwykle?

–Technicy z pogotowia stwierdzili, że miała cyjanozę? – spytała Laurie.

–Tak. Potwierdziło się to po przewiezieniu jej do szpitala, kiedy okazało się, że ma niski poziom tlenu we krwi tętniczej. Dlatego uznałem, że to musiał być jakiś lek, który zaburzył jej oddychanie. Byłem tego tak pewny, że gdy Peter oznajmił, że nic nie znalazł, czułem się, jakbym dostał pałką przez łeb.

–Upewniłabym się, że denatka nie miała w płucach przecieku żylnego.

–Nigdy nie spotkałem się z czymś takim – wyznał Jack.

–No cóż, objawy kliniczne by się zgadzały.

–Czy masz inne pomysły? – zapytał Jack. – Może konkretna trucizna albo przedawkowany lek?

–Skoro Peter nic nie znalazł w żołądku, nie wiem, co by to mogło być – odparła Laurie. – Czy wzięłeś pod uwagę methemoglobinemię?

–Nie, ale to jest chyba bardzo rzadkie? – spytał Jack. Methemoglobinemia jest stanem chorobowym, w którym hemoglobina staje się niezdolna do przenoszenia tlenu.

–No cóż, pytasz mnie, co powoduje sinicę – wyjaśniła Laurie. – Powinieneś przynajmniej uwzględnić azotany i azotyny jako utleniacze hemoglobiny. A może nawet sulfonamidy.

–Ale ten ktoś musiałby mieć chyba wrodzoną wrażliwość na te związki?

–Tak, na sulfonamidy – przytaknęła Laurie. – Ale niekoniecznie na azotany i azotyny. Tak czy owak, jeśli chcesz mieć pełne wyniki, musisz je uwzględnić.

–Okay, masz rację – rzekł Jack. – Rano poproszę Petera, żeby je p oznaczał.

Coś jeszcze?

Lurie myślała przez kilka minut, w końcu pokręciła głową.

–To jeszcze nie koniec tej historii – podjął Jack.

Opowiedział Laurie o martwych szczurach, które znaleziono w tej samej brooklińskiej dzielnicy, w której mieszkała Connie.

–Myślisz, że istnieje związek?

Jack wzruszył ramionami.

–Nie wiem, ale to dziwny zbieg okoliczności. – Poinformował Laurie, że Connie mieszkała w starym domku położonym w enklawie podobnych budynków.

–Hipoteza wydaje mi się dość naciągana. Jeżeli coś zabójczego dostało się do ścieków, to dlaczego dotknęło tylko tego jednego domku?

–Tu mnie masz – wyznał bezradnie Jack. – Ale przejdźmy do drugiej tajemnicy.

Jack opowiedział Laurie o wynikach analizy, której Ted poddał małą błyszczącą gwiazdkę.

–Jakby ta gwiazdeczka została zrobiona z taśmy klejącej i zanurzona w misce z przetrwalnikami węgla – skonkludował.

–Czemu to tobie się trafiają najciekawsze przypadki? – zapytała przekornie Laurie.

–Daj spokój! – poprosił Jack. – Ja nie żartuję. Jak byś to wyjaśniła? Pamiętaj, pobrałem próbki ze wszystkiego, co otaczało tę gwiazdkę, łącznie z biurkiem i z bibułą, na której leżała. Łańcuchowa reakcja polimerazy jest tak czuła, że potrafi wykryć już kilka zarodników. Wszystko było czyste.

–Znów jestem bezradna – przyznała Laurie. – O raju, już po północy! Nie daję spać i tobie, i sobie. – Wstała z fotela.

–Wszystko w porządku? – spytał Jack. – Możesz zostać u mnie. Prześpisz się w łóżku. I tak co drugą noc kimam na tapczanie.

–Dzięki za propozycję – rzekła Laurie. – Jesteś bardzo gościnnie, ale powinnam iść do domu. Nie wzięłam swoich rzeczy i tak dalej.

–Jak uważasz. Naprawdę możesz zostać. Ale jeśli chcesz jechać, obiecaj mi przynajmniej, że po powrocie do domu zadzwonisz. Zrobiło się późno na przechadzki, nawet po twojej dzielnicy.

–Da się zrobić – przyrzekła Laurie. Objęła Jacka i długo go ścisnęła.

Jack zszedł z nią na dół i odprowadził do rogu ulicy. O wiele łatwiej było złapać taksówkę na Central Park West.

Jadąc w stronę centrum, Laurie myślała o wydarzeniach tego wieczoru. Była Jackowi wdzięczna za gościnę i przyjaźń. Rozmowa z nim – choć ograniczona do tematu pracy – bardzo ją uspokoiła i pozwoliła jej odzyskać równowagę. Podczas epizodu z Paulem najbardziej zdenerwowało ją to, że nie potrafiła nawiązać z nim dialogu. Nie uważała się za tak bardzo nieustępliwą, żeby nie zgodzić się, że w pewnych sprawach nie ma racji, choć nie było mowy, by zaaprobowała sprzedaż nielegalnej broni. A jeśli ona i Paul nie potrafią się porozumieć, Laurie nie widziała dla ich związku przyszłości, bez względu na to, jak bardzo do siebie pasują.

Kiedy dochodziła do domu, wróciła myślami do przypadku, o którym opowiedział jej Jack, i znowu uśmiechnęła się na wspomnienie jego przeżyć w domu pogrzebowym. Liczyła, że Jack ujdzie jakoś przed karą. Dobrze wiedziała, że zarówno Harold Bingham, jak i Calvin Washington dawno już stracili cierpliwość do jego niekonwencjonalnych metod działania, chociaż cenili go za inteligencję i kompetencje.

Gdy Laurie otwierała baterię zamków na swoich drzwiach, skrzyknęły sąsiednie drzwi. Laurie dojrzała przelotnie siwe kędziory i przekrwione oczy Debry Engler.

Sąsiadka uznała za stosowne wypomnieć jej późną porę.

Laurie nie zareagowała. Wścibskość Debry, przejawiająca się o każdej godzinie dnia i nocy, była jedynym utrapieniem, jakie wiązało się z mieszkaniem w tym domu.

Laurie trzasnęła drzwiami na znak protestu i pozamykała wszystkie zamki. Już parokrotnie dała swej sąsiadce do zrozumienia, co o niej myśli, a nawet kazała jej się odczepić – wszystko na darmo.

Najpierw pogłaskała Toma Dwa, a potem zdjęła płaszcz. Łasy na piesszczoty birmańczyk z pewnością wspiąłby się jej na nogę, gdyby spróbowała odwrotnie wykonać te dwie czynności. Dzwoniąc do Jacka, musiała trzymać kota na kolanach.

–Jesteś przytomny? – zapytała, kiedy Jack odezwał się zaspanym głosem.

–Mniej więcej – odparł.

–Melduję się, tak jak prosiłeś – poinformowała Laurie. – Dotarłam cała i zdrowa.

–Szkoda, że nie zostałam – powiedział Jack.

Laurie zastanowiła się, co Jack przez to rozumie, lecz dotychczasowe doświadczenie nauczyło ją, że lepiej nie wyciągać zeń wyjaśnień. Poza tym było naprawdę późno. Dlatego stwierdziła tylko:

–W drodze do domu myślałam o Connie Dawidów.

–Masz jakieś nowe domysły?

–Owszem – potwierdziła. – Jest jeszcze coś, za czym Peter powinien się rozejrzeć.

–Co takiego?

–Toksyna botulinowa. Musiałoby być jej bardzo dużo, czyli że Connie musiałaby spożyć sporą dawkę.

Zaległa cisza.

–Jack, jesteś tam?

–Tak, jestem – potwierdził. – Mówisz poważnie?

–Jak najbardziej – zapewniła Laurie. – Co sądzisz o botulizmie jako przyczynie śmierci?

–Mówiąc twoimi słowami, sprawa wydaje się „naciągana” – odrzekł Jack. – Nie wystąpiły objawy porażenia nerwów czaszkowych i opuszków palców, ani zresztą żadne inne, które by wskazywały na botulizm. Podobno weszła do łazienki, przewróciła się i tyle.

–Ale jad kiełbasiany upośledza oddychanie i wywołuje cyjanozę – stwierdziła Laurie.

–No tak, ale ile przypadków botulizmu rocznie się odnotowuje?

–Więcej niż wąglika – odparła Laurie. – A ty właśnie miałeś jeden z nich.

–W porządku, rozumiem – zgodził się Jack. – Wpiszę botulizm na listę pytań, obok azotanów, azotynów i sulfonamidów, którą rano podrzucę Peterowi.

–Dzięki, że znalazłam dziś w tobie oparcie – dodała Laurie. – Jestem ci wdzięczna.

–Zawsze do usług! – zawołał Jack.

Laurie odłożyła słuchawkę i na moment przytuliła Toma Dwa. Przemknęło jej, że Jack byłby cudowny, gdyby tylko... gdyby nie postępował jak Jack. Laurie roześmiała się z tej nedorzecznosci i wstała, aby udać się na spoczynek.

Rozdział 16 20 października, środa, 5.30 Jack nie pamiętał, kiedy ostatnio absorbowało go tyle rozmaitych problemów.

Po pierwsze: Laurie, której zachowanie – i jego własna reakcja na nie – wprawiało go w konfuzję. Kiedy wyszła od niego nad ranem, za nic w świecie nie mógł usnąć. Bez przerwy roztrząsał wszystko, co zrobiła i powiedziała w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Kiedy jego gryzły wyrzuty sumienia, po tym jak zareagował na wieść o jej zaręczynach i jak Laurie przyjęła jego próbę przeprosin, ona zjawiała się nagle na progu jego domu. Nie wiedział, co ma o tym myśleć.

Po drugie: dwa tajemnicze przypadki. Mimo wysiłków Jack nie umiał wytłumaczyć, skąd na maleńkiej gwiazdce wzięły się zarodniki węglika. Co się zaś tyczyło Connie Dawidów, jego podejrzenia, że otruła się upośledzającym oddychaniem lekiem, okazały się mało realne wobec ustaleń laboratorium toksykologii; mimo kilku godzin spędzonych na lekturach i kilkunastu na rozmyśleniach, Jack nie zdołał wymyślić lepszej teorii. Methemoglobinemia, którą zasugerowała Laurie, pozostała jedynym, według niego, prawdopodobnym wyjaśnieniem.

Ostatnie brzemie, które ciążyło Jackowi, to konieczność uzasadnienia swego zachowania zarówno w brooklińskim Zakładzie Medycyny Sądowej, jak i w Domu Pogrzebowym Stricklanda. Ledwie dzień wcześniej Bingham złażał go za coś, co w porównaniu z tym było błahostką. Jeśli ktoś doniesie szefowi o tym, co się stało w Brooklynie, ten się wścieknie i zażąda od Jacka wyjaśnień, których on nie będzie umiał udzielić. Po raz pierwszy, od kiedy zatrudnił się w Biurze Głównego Inspektora, Jack poważnie liczył się z tym, że po południu może zostać odesłany na przymusowy urlop.

Nie dość, że miał kłopoty z zaśnięciem, to jeszcze obudził się wcześniej niż zwykle. Ciągłe próbując uporać się z trapiącymi go dylematami, dojechał do pracy bladym świtem. Przez następną godzinę pracował w swoim pokoju, potem zszedł do strefy dla personelu.

Kiedy przybył, Vinnie Amendola parzył akurat kawę, zaś doktor George Fontworth przeglądał przypadki, które przybyły przez noc.

–Przepraszam, George – zagadnął Jack. – Jaki mamy dzień, jeśli chodzi o liczbę autopsji?

Zaspane oczy George'a przebiegły po spisie.

–Powiedziałbym, że lekki w normie.

–To dobrze – ucieszył się Jack. – Chciałbym dziś wziąć dzień papierkowy.

Oznaczało to, że jeden z lekarzy sądowych rezygnował z przeprowadzania autopsji po to, aby nadgonić zaległą dokumentację. Zazwyczaj dni papierkowe rezerwowano z wyprzedzeniem.

–Co się stało? – zdziwił się George. – Chory jesteś?

George nie kpił. Wszyscy w biurze dobrze wiedzieli, że Jack rzucał się na autopsje z niespożytą energią. Wykonywał ich więcej niż ktokolwiek inny. Kiedy go pytano o powody, odpowiadał, że kiedy ma co robić, nie wpada w tarapaty.

–Zdrów jak ryba – zapewnił Jack. – Po prostu uzbierało mi się mnóstwo roboty.

–Nie ma problemu – rzekł pojednawczo George. – Oczywiście, jeśli ktoś zadzwoni, że nagle zachorował, niewykluczone, że będziesz musiał wziąć jakiś przypadek.

–Jeśli tak się stanie, daj mi znać.

Podszedł do dzbanka z kawą.

–Czy kawa zaparzona, mistrzu? – zapytał, zwracając się do Vinniego.

–W dwie sekundy możesz mieć pełną filiżankę – odparł Vinnie.

–Czy nie wiesz, o której Peter Letterman melduje się zwykle w pracy? – spytał Jack.

–Laboratorium toksykologii zaczyna pracę o dziewiątej – poinformował Vinnie.

–Ale Peter przychodzi zwykle wcześniej, przed ósmą.

–Jasny gwint, a potem siedzi tam cały dzień – skomentował Jack.

–I kto to mówi? – odrzekł Vinnie.

Z filiżanką kawy Jack ruszył z powrotem do windy. Ku swemu zdziwieniu natknął się na zbliżającą się Laurie. Popatrzył na zegarek. Jej widok go zdumiał.

–Dość wcześnie jak na ciebie, prawda?

–Prawda – zgodziła się Laurie. – Otwieram nowy rozdział. W najbliższym czasie zamierzam poświęcić się pracy. Robię to, ilekroć coś mnie denerwuje.

–Rozumiem – rzekł Jack. Nie był pewien, czy powinien ją zapytać, co ją denerwuje, czy też nie.

–Jeszcze raz dziękuję za wczorajszą noc – dodała Laurie. – Bardzo mi pomogłeś.

–Ależ ja nic nie zrobiłem.

–Podał mi pomocną dłoń i poprawił mój kiepski nastrój. Zachowałeś się jak przyjaciel, gdy tego potrzebowałam.

Wsiadli do windy. Jack nadusił guzik czwartego piętra.

–Czy chcesz ze mną porozmawiać o tym, co zaszło wczoraj przy kolacji? – zapytał z wahaniem.

Laurie uśmiechnęła się.

–Może później. Muszę najpierw sama to przetrwać. Niemniej jednak dziękuję, że zapytałeś.

Jack uśmiechnął się słabo i przestąpił z nogi na nogę. Zdumiewające, jak łatwo Laurie potrafiła sprawić, że czuł się niezręcznie.

–Będziesz pracował dziś nad swoimi zagadkami? – spytała Laurie.

–Spróbuję. Czy masz dla mnie inne sugestie odnośnie do Connie Dawidów?

–Tylko to, o czym wspomniałam ci wczoraj.

–Jeśli coś nowego wpadnie ci do głowy, daj mi znać – poprosił Jack. – Może mi się przydać, kiedy łowcy nagród zapolują na moją głowę.

Laurie skinęła głową. Wiedziała, kogo Jack ma na myśli. Zatrzymali się przed pokojem Jacka.

–Jeszcze coś – odezwała się Laurie. – Chcę cię przeprosić za to moje wczorajsze zachowanie, kiedy ty i Lou powiedzieliście mi o Paulu. Nie byłam zachwycona i – tak jak zauważyłeś – całą winą obarczyłam was. Dobrze, że mi o tym powiedzieliście, choć nie jestem pewna, czy Lou miał prawo zaglądać do kartoteki Paula.

–Ludzie robią dziwne rzeczy z zazdrości – stwierdził Jack. – I mówię to także w swoim imieniu.

–Przyjmuję to za komplement – oznajmiła Laurie. – Życzę ci dobrego dnia.

–Dzięki. Szczęście będzie mi dzisiaj potrzebne.

Jack wrócił do pracy. Skupił się na przypadku aresztanta. Miał nadzieję, że do jutra go opracuje i tym samym uszczęśliwi Calvina. Pracując, raz po raz zerkał na ścienny zegar. Przed ósmą odłożył długopis i szedł piętro niżej, do laboratorium toksykologii. Laboratorium było jednak zamknięte, a za matowym szkłem panowała ciemność. Mimo wszystko Jack nadusił na klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Gdy odwrócił się z powrotem ku schodom, ujrzał Petera zbliżającego się korytarzem od strony windy. Tamten właśnie przyszedł, o czym świadczył przewieszony przez ramię płaszcz.

–Czy przyszedł panu na myśl inne związki chemiczne, na które mam przetestować próbki? – spytał Peter, podchodząc do drzwi. W dłoni trzymał klucz.

–Tak – potwierdził Jack. – Nie tyle mnie, co doktor Montgomery.

Idąc za technikiem do laboratorium, Jack wyjaśnił, że w zatruciach substancjami utleniającymi występuje

methemoglobinemia. Weszli małego pokoiku bez okien. Peter skinął głową, wieszając płaszcz.

–Z tego wniosek, że powinienem rozejrzeć się za azotynem amylu, azotynem sodowym i nitroprusydkiem – mówił Peter, wkładając biały kitel. – Czy ta pacjentka chorowała na serce?

–Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Jack.

–Nie przypuszczam więc, aby przyjmowała któryś z tych leków – stwierdził Peter. – Ale jest kilka innych substancji, które powodują methemoglobinemię. Czy mam sprawdzić próbki pod ich kątem, bez względu na małe prawdopodobieństwo ich użycia?

–Proszę! – rzekł Jack. – Jestem zdesperowany.

–Okay – odparł grzecznie Peter. Ruszył ku wyjściu. Jack nie odstępował go na krok, jak mały piesek.

–Kiedy możesz się tym zająć? – spytał.

–Zaraz uruchomię sprzęt. Najlepiej, jeśli wezmę się do tego, zanim przyjdzie doktor DeVries. Inaczej zacznie zadawać pytania.

–Jestem ci wdzięczny za pomoc, Peter – oznajmił Jack. – Mam nadzieję, że będę mógł się jakoś zrewanżować. A skoro mowa o twoim szefie – nie wiesz, na jakim etapie znajdują się próbki Davida Jeffersona?

–Czy to ten przypadek aresztanta? – spytał Peter.

–Ten sam – przytaknął Jack.

–John strasznie się żalił – wyznał Peter. – O ile wiem, próbki zostały zbadane.

Znaleziono w nich ślady kokainy, jeżeli tego chciał się pan dowiedzieć.

–Dzięki Bogu za małe łaski – skomentował Jack. – Calvin będzie wniebowzięty.

Ach, gdybym miał tyle szczęścia w przypadku Connie Dawidów.

–Uczynię, co w mojej mocy – obiecał Peter.

Jack ruszył do wyjścia, ale przystanął, przypomniawszy sobie o ostatniej sugestii Laurie.

–Laurie zaproponowała, żeby zwrócić uwagę na coś jeszcze! – zawołał do Petera. – Chodzi o toksynę botulinową.

Peter pomachał mu ręką na znak, że usłyszał.

Jack wspiął się po schodach. Na wieść, że przypadek Jeffersona zostanie ukończony do czwartku – z wynikiem, który Calvin uzna za pozytywny – Jack zaczął dostrzegać światełko w tunelu nieustannych kłopotów.

W pokoju zastał Cheta, który aż się palił, by podzielić się z nim swymi wczorajszymi doświadczeniami. Dziewczyna o boskiej sylwetce nie tylko przyszła na aerobik, ale także raczyła później wypić z nim jogurt owocowy. Jack musiał czekać, aż Chet się wygada, zanim mógł wtrącić słówko od siebie.

–Powiedz mi no, casanowo – zaczął. – Czy wiesz, gdzie znajdę któregoś z tych weterynarzy, którzy wczoraj zorganizowali seminarium?

–Chyba tak. Dlaczego?

–Kiedy rozgryzą przyczynę śmierci tych szczurów, chciałbym się o tym dowiedzieć. I o tym, czy mają nowe ofiary wąglika.

–Postaram się dzisiaj coś od nich wydębić – obiecał Chet.

–Byłbym ci zobowiązany – rzekł Jack i ponownie skierował swoją uwagę na zalegające jego biurko dokumenty.

–Nie robisz dziś żadnych autopsji? – zdziwił się Chet.

–Poprosiłem o dzień papierkowy – wyjaśnił Jack, nie odrywając wzroku. – Źle się czujesz?

Jack roześmiał się.

–George spytał mnie o to samo. Niestety, czuję się dobrze. Byłby to wygodny wykręt. Właśnie usiłuję pozbyć się jednego z powodów, dla których główny gabinet zawsze siedzi mi na karku – a mianowicie wiecznego spóźnienia w dokumentacji.

–A jednym z głównych powodów, dla którego masz ciągle tyły, jest to, że bierzesz za dużo przypadków – skonkludował Chet.

–Możliwe – wymruczał Jack, przyglądając się wycinkowi mózgu Davida Jeffersona pod mikroskopem.

Gdy Chet wyszedł do sali autopsyjnej, Jack zamknął kopniakiem drzwi, aby przechodzący go nie rozpraszali. Stwierdził jednak, że nie potrafi się naprawdę skoncentrować; nie umiał się powstrzymać przed ciągłym spoglądaniem na zegar. Kiedy dochodziła dziesiąta, zaczął martwić się, że lada moment zabrzęczy telefon. Nieomal czekał, że zadzwoni Cheryl ze standardową wiadomością, iż Jack ma niezwłocznie stawić się w gabinecie szefa. W końcu do tej pory zarówno doktor Jim Bennett, jak i Gordon Strickland mieli aż nadto okazji, by złożyć na niego zażalenie.

Jakby na dany sygnał, telefon zadzwonił punktualnie o dziesiątej. Choć Jack był na niego przygotowany, dzwonek zmroził mu krew. Przez kilka chwil zastanawiał się, czy w ogóle go odebrać. Wreszcie zdał sobie sprawę, że i tak stanie się to, co ma się stać, i podniósł słuchawkę. Zdziwił się, słysząc, że to nie Cheryl, lecz Peter Letterman.

–Mam dla pana zaskakującą wiadomość – obwieścił Peter.

–Dobrą czy złą? – spytał Jack.

–Sądzę, że uzna ją pan za pomyślną. Connie Dawidów nie miała methemoglobinemii, ale za to wszystkie próbki, które mi pan dostarczył, łącznie z treścią żołądkową, zawierają jad kielbasiany.

–Wielki Boże! – zawołał Jack. – Chyba nie stroisz sobie ze mnie żartów?

–Bynajmniej – zapewnił Peter. – Kilka oznaczeń wykonałem dwukrotnie, tak na wszelki wypadek. Wyniki są silnie pozytywne, co wskazuje, że ofiara spożyła dużą ilość toksyny. Przeprowadzę jeszcze testy ilościowe, ale one zajmą nieco czasu.

Chciałem natychmiast poinformować pana o składzie jakościowym.

–Dzięki – rzekł Jack. – Jestem twoim dłużnikiem.

–Cieszę się, że mogłem się przydać – odparł Peter i rozłączył się.

Jack powoli odłożył słuchawkę. Przepelniała go mieszanina emocji. Z jednej strony czuł się dumny, że sprawdziły się jego podejrzenia, iż Connie Dawidów zmarła z powodu zatrucia. Z drugiej – doznał szoku. Nie spodziewał się, że trucizną okaże się jad kielbasiany.

Odsunął gwałtownie krzesło od biurka i zerwał się na równe nogi. Pchnął drzwi na oścież i pobiegł do Laurie. Chciał, by tę wiadomość usłyszała pierwsza, gdyż sugestia botulizmu wyszła właśnie od niej. Pech chciał, że nie było jej w pokoju. Bez wątplenia zeszła już na dół, do sali autopsyjnej.

Jack wrócił do pokoju i zaczął się gorączkowo zastanawiać, kogo powiadomić.

Aby wyrównać porachunki, zdecydował się na Randolpha Sandersa. Nie od razu udało się telefonistce przywołać doktora do aparatu. Akurat wykonywał sekcję. Jack upierał się jednak, że chodzi o bardzo pilną sprawę. Kiedy Randolph wreszcie wziął słuchawkę, w jego głosie dał się wyczuć pośpiech.

–A, cześć, Randolph – przywitał go wesoło Jack. – Mówi twój ulubiony kolega, Jack Stapleton.

–Powiedziano mi, że chodzi o pilną sprawę – warknął Randolph.

–Istotnie, oto przed momentem dowiedziałem się, że twój przypadek, Connie Dawidów, o której mieliśmy sposobność wczoraj podyskutować, zmarła wskutek zatrucia jadem kiełbasianym.

Nastąpiła pełna napięcia cisza.

–Jak to ustalono? – spytał Randolph.

–Dzięki mojemu uporowi – odparł Jack. – Udałem się do domu pogrzebowego, gdzie kierownik zgodził się, bym pobrał kilka odpowiednich płynów ustrojowych.

–O niczym takim nie słyszałem – oznajmił Randolph tonem, który stracił sporo ze swej hardości.

–Serio? – zdziwił się Jack. – A ja sądziłem, że słyszałeś. W każdym razie, ze względu na wzajemny szacunek, jaki do siebie żywimy, dzwonię wpierw do ciebie, zamiast pędzić z donosem do doktora Harolda Binghama.

–Doceniam to – wykrztusił Randolph.

–Nie muszę ci mówić o aspektach praktycznych – dodał Jack. – Connie Dawidów należy do biura w Brooklynie. Sądzę, że będziesz chciał ściągnąć jej ciało z powrotem tak szybko, jak to tylko możliwe. W twoje fachowe ręce powierzam również obowiązek zaalarmowania właściwych władz.

–Oczywiście – rzekł Randolph. – Dziękuję.

–Nie ma za co – odparł ubawiony do łez Jack. – Fajnie, że od czasu do czasu możemy sobie pomóc.

Jack rozłączył się z uśmiechem na ustach. Zemsta była słodka. Wyobrażał sobie, jak Randolph skręca się w tej chwili z upokorzenia.

Następnie Jack przedzwonił do Warrena. W paru słowach powiedział mu o nowych faktach w sprawie Connie i poprosił o numer telefonu do pracy Flasha. Zanim Warren go odszukał, upłynęło dobre kilka minut.

Flash pracował w firmie przewozowo-magazynowej i trudno było go zlokalizować. Kiedy w końcu się zgłosił, był cały zdyszany. Przesuwał pudła na składowisku.

–Mam wyniki Connie – oświadczył Jack po przedstawieniu się. – Warren miał rację: będziesz musiał wyładować swoją złość na boisku zamiast na mężu Connie.

–Nie zabił jej?

–Wygląda na to, że nie – stwierdził Jack. – Najprawdopodobniej Connie zatrula się jadem kiełbasianym. Wiesz, co to jest?

–Chyba – odparł Flash. – To taka trucizna w jedzeniu?

–Zgadza się – potwierdził Jack. – Produkuje ją szczególny typ bakterii, które są groźne, bo rozwijają się bez tlenu. O botulizmie słyszało się głównie w związku z produkcją konserw, kiedy jedzenie nie zostało dostatecznie ogrzane, żeby zabić wszystkie zarodniki. Musisz więc zrozumieć, że nic nie wskazuje na to, że ktokolwiek przyłożył rękę do śmierci twojej siostry.

–Jesteś pewny?

–Właśnie dostałem raport z laboratorium – powiedział Jack. – Technik zapewnił mnie, że sprawdzili rezultaty. Osobiście jestem przekonany, że Connie umarła na botulizm. Z wyjątkiem paru apokryficznych opowieści, jakoby użyto tej trucizny do zabicia Reinharda Heyricha, jednego z koleżków Hitlera, w czasie drugiej wojny światowej, nigdy nie słyszałem, żeby ktoś używał jadu do celowego otrucia. Nie tak łatwo zresztą go zdobyć. Gdybyśmy powiedzieli, że mąż Connie go użył, przyznalibyśmy, że ten facet to większy kozak, niż na to wygląda.

–Cholera! – zdenerwował się Flash.

–Coś ci powiem – pospieszył Jack. – Kiedy następnym razem zagramy w kosza, Warren i ja pozwolimy ci wygrać.

Flash roześmiał się bez entuzjazmu.

–Jesteś niesamowity, doktorku! Kto jak kto, ale ty i Warren na pewno nie odpuścicie mi meczu. No nic, dzięki, żeś sprawdził ten cały bajzel, tak jak prosiłem. Jestem wdzięczny.

–Cieszę się, że mogłem ci pomóc – powiedział Jack. – Mam do ciebie pytanie:

Jak ma na imię mąż Connie?

–Jurij – odparł Flash, jakby wypluwał to imię z ust. – Czemu pytasz?

–Obawiam się, że muszę dać mu znać – wyjaśnił Jack. – Skoro Connie otruła się jadem kiełbasianym, życie jej męża jest zagrożone.

–Mam to gdzieś – parsknął Flash.

–Rozumiem – rzekł Jack. – Jako twój przyjaciel też mam to w nosie. Ale obchodzi mnie to jako lekarza. Czy mógłbyś dać mi jego numer telefonu?

–A muszę?

–Przypuszczam, że znalazłbym go w książce – odparł Jack. – Albo w zakładzie w Brooklynie. Ale będzie najprościej, jak sam mi go podasz.

–Mam wrażenie, że pomagam temu gnojkwowi – pożalił się Flash, zanim podyktował Jackowi numer.

Pogadali jeszcze przez kilka minut o tym, że być może spotkają się wieczorem na boisku, a potem pożegnali się i skończyli rozmowę.

Jack natychmiast wybrał numer do dzielnicy Brighton Beach. Czekając na połączenie, ułożył sobie w myśli to, co powie. Był ciekawy, czy Jurij Dawidów mówi z akcentem i czy rzeczywiście jest takim potworem, za jakiego uważa go Flash. Jednak nie uzyskał połączenia. Numer był zajęty.

Podbudowany Jack wrócił do pracy biurowej. Sprawniej niż zwykle rozpracował następny przypadek. Po umieszczeniu go na rosnącej stercie spraw zakończonych, raz jeszcze zadzwonił do Brighton Beach. Z tym samym skutkiem.

Jack nie był zdziwiony. Mężczyzna musiał zapewne załatwić wiele spraw związanych ze śmiercią żony. Jednak w miarę upływu godzin, gdy kolejne próby połączenia się spełzały na niczym, Jack zaczął tracić cierpliwość. W końcu wystukał numer centrali i poprosił telefonistkę, by sprawdziła numer Jurija. Po kilku minutach tamta oddzwoniła z wiadomością, że linia jest wolna od rozmów.

–A co to znaczy? – zapytał Jack. – Że telefon jest albo wyłączony z gniazdka, albo zepsuty – wytłumaczyła. – Jeśli pan sobie życzy, mogę pana połączyć z biurem napraw.

–Nie trzeba. – Uświadomił sobie, że Jurij zapewne jest w domu, lecz nie ma ochoty na rozmowy.

Co prawda rozumiał, dlaczego tamten wyłączył telefon, jednak czuł się sfrustrowany; czasami wszystko zdawało się iść jak po grudzie. Chciał przecież tylko zadzwonić do tego człowieka i ostrzec go przed zakażeniem jadem kiełbasianym. Po tym jak oddał ten przypadek Randolphowi Sandersowi, oczekiwał, że dalsze kroki uczyni już biuro w Brooklynie; zgodnie z prawem, powinni powiadomić Departament Zdrowia oraz nemezis Jacka, doktora Clinta Abelarda, miejskiego epidemiologa. Do obowiązków Clinta natomiast – o czym informowano Jacka wielokrotnie przy różnych okazjach – należało podjęcie stosownych działań, w tym także skontaktowanie się z Jurijem Dawidowem. Mimo to Jack uznał za punkt honoru, by samemu zawiadomić wdowca.

Jack odruchowo bawił się przewodem telefonu, rozważając sytuację. Nie można było wykluczyć, że Brooklyn będzie miał kłopoty, jeśli nie odzyska ciała na czas.

Bądź co bądź, rozmawiał, mogło ono zostać spalone. Wówczas nie można by zdobyć próbek na potwierdzenie

jego diagnozy i nastąpiłaby nieuchronna zwłoka. W efekcie Jurij Dawidów mógł zbyt późno dowiedzieć się o grożącym mu niebezpieczeństwie.

Jack wysunął szufladę w swoim biurku i wydobyl z niej mapę Nowego Jorku.

Rozpostarł ją na dzielnicy Brooklyn i zaczął szukać Brighton Beach. Przypuszczał, że osiedle musi leżeć nad brzegiem oceanu i w istocie znalazł je nieopodal Coney Island.

Jack oszacował, że od Brighton Beach dzieli go jakieś piętnaście mil. Nigdy nie jeździł po tej okolicy rowerem, ale kilka razy zapuścił się aż do Prospect Parku w Brooklynie, więc znał drogę. Brighton Beach leżało w prostej linii od parku wzdłuż Coney Island Avenue.

Spojrząwszy na zegarek, Jack doszedł do wniosku, że wypad do Brighton Beach byłby przyjemnym sposobem spędzenia przerwy na lunch, choć podróż trwałaby dwie godziny z okładem. Mimo że Jack chciał pomóc Jurijowi Dawidowowi, mógłby przecież potraktować tę wycieczkę jako nagrodę za znaczne postępy w papierkowej robocie i za znalezienie sobie przekonującego alibi na wczorajszy dzień. Resztki jego wątpliwości ostatecznie rozwiła pogoda: był piękny słoneczny dzień, było ciepło i wiał łagodny wietrzyk. Jack powiedział do siebie w duchu, że drugi równie wspaniały dzień może się już nie zdarzyć przed zimą.

Nim wyjechał, ponownie zaszedł do Laurie, aby powiedzieć jej o botulizmie, lecz poinformowano go, że nie wróciła jeszcze z prosekatorium. Postanowił, że zobaczy się z nią po powrocie.

Wycieczka sprawiła mu większą frajdę, niż sądził, zwłaszcza jazda przez Most Brookliński i przejazd przez Prospect Park. Odcinek obejmujący Coney Island Avenue był mniej ekscytujący, ale równie przyjemny. Gdy minął Neptune Avenue, ukazało mu się coś, czego się nie spodziewał: wszystkie sklepowe szyldy były pisane cyrylicą.

Ujrzawszy Oceanview Avenue, Jack zjechał na pobocze i spytał o drogę do Oceanview Lane. Dopiero trzeci napotkany przechodzień potrafił wskazać mu, którądy powinien jechać.

Dzielnica zaskoczyła go. Małe drewniane domki, które opisał mu Flash, tłoczyły się bez ładu i składu na niewielkiej przestrzeni. Jedne były dość zadbane, inne zaś mocno sfatygowane. Sklecone z czego popadnie płoty rozdzielały poszczególne posesje. Niektóre podwórka miały rabatki obsadzone kwiatami, ale większość przypominała śmietniska, na których wały się pozbawione drzwi lodówki, wypatroszone telewizory, połamane zabawki i inne odpadki. Linie dachów przecinały się pod dziwacznymi kątami, świadcząc o przypadkowości rozbudowy pierwotnych budynków. Kalenice porastał las rdzewiejących anten podobnych do martwych chwastów.

Jack zwolnił i popatrzył na poszczególne budynki. Niektóre miały wciąż wiktoriańskie zdobienia. Większość jednak od dawien dawna nie zaznała farby i młotka.

Mniej więcej połowa miała wolno stojące garaże. Przy niektórych biegały psy, które czekały i warczały na przejeżdżającego Jacka. Nie było widać wielu ludzi i żadnych dzieci, nie licząc paru niemowląt pod opieką matek. Jack przypomniał sobie, że jest dzień roboczy i dzieci są w szkole.

Osiedle przecinała sieć zwykłych ulic, które rozgałęziały się w liczne, czasem anonimowe alejki. Niektóre z nich były tak wąskie, że pozwalały jedynie na ruch pieszych, a do stojących przy nich domów można było dotrzeć tylko na własnych nogach. Wzdłuż ścieżek ciągnęła się pajęcza sieć telefonicznych i elektrycznych przewodów.

Jack odnalazł Oceanview Lane tylko dzięki ręcznie malowanej tabliczce przybitej niedbale do słupa telefonicznego. Musiał patrzeć pod koła, aby nie wyrzucić się na podziurawionym betonowym chodniku.

Chociaż mało który dom nosił numer, Jack dostrzegł trzynastkę wymalowaną na koszu do śmieci. Założywszy, że następny budynek to piętnastka, posuwał się dalej, aż się z nim zrównał. Dom był podobny do innych, tyle że spoczywał na fundamencie zamiast na – powszechnych tutaj – popiołowych blokach. Przytykał doń garaż na dwa samochody. Dach był pokryty asfaltowymi płytkami, tu i ówdzie wybrakowanymi. Siatka na drzwiach była podarta. Dolna część rynny odpadła, górna zaś wypaczyła się niebezpiecznie. Całość sprawiała wrażenie, jakby się miała zawalić, gdyby ktoś mocniej trzasnął frontowymi drzwiami.

Między betonową alejką i malutkim, zapuszczonym trawnikiem biegł wysoki do pasa druciany płot, do którego Jack przytwierdził swój rower. Otworzył furtkę i podszedł do drzwi. Żaluzje w oknach po obu stronach wejścia były zaciągnięte, więc nie mógł zajrzeć do środka.

Nie doszukawszy się dzwonka, Jack otworzył siatkę i zapukał do drzwi. Gdy nie było odpowiedzi, zapukał mocniej. Spróbował ponownie, dłużej i mocniej, w końcu jednak dał za wygraną. Siatkowe drzwi stuknęły głucho. Jack poczuł rozczarowanie.

Włożył tyle wysiłku, żeby tutaj dotrzeć, a nie udało mu się spotkać z Jurijem Dawidowem.

Miał już ruszyć z powrotem, gdy naraz zdał sobie sprawę, że słyszy niskie, ciągłe buczenie. Odwrócił się ku drzwiom i nasłuchiwał. Teraz, gdy się skupił, uzmysłowił sobie, że dźwięk odznacza się pewną modulacją – niczym lecący daleko helikopter lub wiatrak o wielkich łopatach. Jack zmierzył budynek wzrokiem. Dom wydał mu się zbyt mały, by instalować w nim wentylator zdolny do wytworzenia takiej wibracji.

Jack rozejrzał się po sąsiednich budynkach. Wszędzie zobaczył opuszczone żaluzje, sugerujące, że właściciele są w pracy, a przynajmniej poza domem. Jediną osobą był siedzący na podwórku starszy pan, na którym obecność Jacka nie robiła najmniejszego wrażenia.

Jack przemierzył trawnik, aby zajrzeć w przelot między domem Jurija i jego sąsiada. Odstęp wynosił zaledwie sześć stóp i podzielony był drucianą siatką. Jack jeszcze raz zerknął na starszego pana, po czym przeszedł między budynkami i wyłonił się na wąskim placu z tyłu domu Jurija. Natknął się tam na dyszę wentylacyjną, która wyglądała na odpowietrznik żelaznego pieca i wychodziła z niedawno załatanej dziury w fundamencie domu. Dysza strzelała w górę wyżej, niż Jack mógł dosięgnąć.

Po dotknięciu odpowietrznika i wyczuciu wibracji Jack stwierdził, że odnalazł przynajmniej wylot wentylatora. Jak na tak skromnych rozmiarów dom piec, na który wskazywał odpowietrznik, wydawał się grubą przesadą.

Jack kontynuował swój obchód wokół domku. W ścianie naprzeciw garażu znajdowały się następne drzwi, do których także zapukał. Złożywszy dłonie nad czołem zajrzał do wnętrza przez jedną z małych szklanych tafli. Zobaczył pomieszczenie w kształcie litery L, łączące funkcje pokoju gościnnego i kuchni.

Następnie skierował się wzdłuż ściany garażu w stronę frontu. W momencie gdy wchodził na trawnik, tuż obok za siatką zmaterializował się brodaty mężczyzna idący alejką z torbą pełną zakupów. Jack nie spostrzegł go wcześniej, bo widok zasłaniał mu garaż.

Nagle pojawienie się brodacza sprawiło, że Jack się wzdrygnął. Nie zdawał sobie sprawy, że to wtargnięcie na prywatny teren obudziło w nim taki niepokój. Jednak zaskoczenie przybysza musiało być jeszcze większe, skoro upuścił torbę i nie mógł wyszarpnąć prawej ręki z kieszeni marynarki.

–Bardzo przepraszam – powiedział Jack.

Mężczyzna zamarł na moment, dochodząc do siebie. Jack skorzystał z okazji i wyszedł przez furtkę, by pozbierać artykuły, które wysypały się tamtemu z torby.

–Nie chciałem pana przestraszyć – dodał Jack, podnosząc kilka opakowań mąki tortowej, puszkę cynamonu, mrożony obiad i butelkę wódki, która jakimś cudem przetrwała upadek.

–To nie pańska wina – odezwał się brodacz.

Przysiadł na piętach, postawił torbę i zaczął wkładać do niej żywność. Cały czas jednak wywracał nerwowo oczami, jakby bał się, że ktoś może go zaskoczyć.

Jack podał mu pozbierane przedmioty. Trudno było nie zauważyć, iż mężczyzna mówi z silnym słowiańskim akcentem; wymowa ta zresztą pasowała do jego ciemnej brody i rosyjskiego kroju kapelusza.

–Czy pan tu mieszka? – zapytał Jack.

Mężczyzna zawahał się przez chwilę, zanim odpowiedział:

–Tak.

–Czy nie zna pan przypadkiem Jurija Dawidowa? Mieszka w tym domu pod piętnastką.

Brodacz ostentacyjnie przyjrzał się budynkowi.

–Słabo – odparł. – Dlaczego pan pyta?

Jack z niejakim trudem wydobyl portfel z tylnej kieszeni spodni. Spytał nieznajomego, czy jest Rosjaninem. Tamten potwierdził.

–Zauważyłem pisane cyrylicą tablice na ulicy – wyjaśnił Jack.

–W Brighton Beach mieszka dużo Rosjan.

Jack skinął głową. Otworzył portfel i pokazał mężczyźnie swoją lśniąca odznakę lekarza sądowego. Wiedział, że to na ogół wzbudza u ludzi zaufanie i skłania ich do odpowiedzi na pytania.

–Nazywam się Jack Stapleton.

–A ja Igor.

–Miło mi pana poznać. Jestem patologiem sądowym z Manhattanu. Czy wie pan może, gdzie w tej chwili znajduje się Jurij Dawidów? Pukałem do jego drzwi, ale go nie zastałem.

–Pewnie jeździ na swojej taksówce.

–Rozumiem. – Jack pomyślał, że albo Jurij to bardzo odporny psychicznie człowiek, albo też – jak upierał się Flash – że w domu nie działa się najlepiej. – Jak pan sądzi, o której wróci z pracy?

–Gdzieś tak późnym wieczorem.

–Okolo dziewiątej, dziesiątej?

–Mniej więcej – potwierdził Igor. – Czy coś się stało?

Jack przytaknął.

–Muszę z nim porozmawiać. Czy wie pan, w której firmie taksówkarskiej jest zatrudniony?

–On pracuje na własny rachunek – oznajmił Igor.

–A to szkoda.

–Słyszałem, że niedawno zmarła mu żona – powiedział Igor. – Czy właśnie o tym chce pan z nim porozmawiać?

–Dokładnie tak – rzekł Jack.

–Mógłby mi pan powiedzieć, o co chodzi, w razie gdybym go spotkał? – zapytał Igor.

–Niech mu pan powie, że wiemy, na co zmarła jego żona – przekazał Jack. – Ale najważniejsze, żeby do mnie zadzwonił, ponieważ to, co zabiło jego żonę, jest bardzo niebezpieczne i zagraża również jemu. Zostawię panu swoją wizytówkę, proszę mu ją dać, jeśli go pan spotka. – Jack wyjął swoją wizytówkę służbową. – Dopiszę mój numer domowy. – Zapisał go na odwrocie i wręczył bilecik Igorowi. Igor przestudiował awers.

–Czy to jest adres, gdzie pan pracuje?

–Tak jest – potwierdził zamyślony Jack. Zastanawiał się nad innymi pytaniami, które mógłby postawić mężczyźnie, ale nic nie znalazł. – Dziękuję za pomoc.

–Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Igor. – Do której będzie pan w pracy?

–Co najmniej do szóstej.

–Powiem Jurijowi, jeśli go spotkam – dodał Igor. Potem skinął Jackowi głową i poszedł dalej w swoją stronę.

Jack przez chwilę obserwował oddalającego się Rosjanina, a następnie omiół wzrokiem dom Jurija. I wtedy wpadł na pomysł, żeby zostawić jedną ze swych wizytówek pod drzwiami. Taki krok miał tylko jeden potencjalny minus: jeżeli Clint Abelard przybędzie tutaj i dowie się o wizytówce, zdobędzie konkretny dowód potwierdzający jego zarzuty, że Jack „wchodzi mu w paradę”. Wówczas Jack usłyszy o tym od Bingham.

–Raz kozie śmierć – powiedział na głos i wyjął następną wizytówkę. Skreślił na niej krótką wiadomość, prosząc o natychmiastowy kontakt. Dołączył swój numer wewnętrzny oraz domowy. Potem znów przemierzył frontową dróżkę i wsunął kartkę pod drzwi.

Zdjął kłódkę, wsiadł na rower i popedałował. Miał zamiar jeszcze okrążyć szybko Brighton Beach. Przede wszystkim chciał obejrzeć okolice, ale pomyślał też, że gdyby przypadkiem ujrzał gabinet weterynaryjny, to wstąpiłby tam zapytać, czy wiedzą coś nowego w sprawie pomoru szczurów.

Rozdział 17 20 października, środa, 12.15 Jurij nigdy w życiu nie był tak zdenerwowany. W momencie gdy stanął twarzą w twarz z Jackiem Stapletonem, miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. Na domiar złego nie mógł z kieszeni marynarki wyciągnąć pistoletu, który zaplątał się w podszewkę. Ostatecznie jednak okazało się, że nieudana próba zdobycia broni wyszła mu na dobre. Jurij przeraził się nie tyle samego Jacka Stapletona, ile tego, że towarzyszy mu Flash Thomas. Gordon Strickland powiedział, że do domu pogrzebowego przyszli obaj.

Gdy tylko Jurij upewnił się, że patolog jest sam, pozbierał się na tyle, by z nim porozmawiać. Z uczuciem oszołomienia przyjął wiadomość, że Jack Stapleton w jakiś sposób zdiagnozował zatrucie jadem kiełbasianym.

Oddalając się od Jacka, Jurij nie obejrzał się za siebie. Poszedł prościutko do najbliższego baru. Dopiero tam odważył się zerknąć wstecz, chcąc sprawdzić, czy tamten go nie śledzi. Nie ujrawszy go, Jurij wszedł do środka, zamówił kieliszek wódki i osuszył go jednym łykiem.

–Podać następną? – spytał barman.

Na szczęście Jurij go nie znał, inaczej obawiałby się, że ten zapyta go o brodę.

Jurij bał się ją zdjąć.

–Podwójną – rzucił.

Nadal trząsał się jak osika. Było zupełnie oczywiste, że Jack Stapleton wszedł na jego posesję, a tym samym musiał zobaczyć sterczącą na tyłach domu dyszę z laboratorium. Jurij nie miał pojęcia, co lekarz o niej pomyślał, ale martwił się. Innym pytaniem, które zakłócało mu spokój, było to, czy Jack zajrzał przez tylne okno garażu. Mógłby zobaczyć ciężarówkę do tępienia szkodników, co byłoby równie niebezpieczne.

Jurij spojrział na zegarek. Nie wiedział, czy Jack zdążył już odejść, lecz dłużej nie mógł już czekać. Zapłacił rachunek, dopił resztkę wódki i chwycił torbę z zakupami.

Idąc ku wylotowi Oceanview Lane, zwolnił. Popatrzył na swój dom, ale nikogo nie zauważył. Zachęcony ruszył dalej uliczką. Jego prawa dłoń ścisnęła w kieszeni rękojeść glocka, tym razem jednak upewnił się, że pistolet nie zahaczy się o podszewkę marynarki. Jurij nie chciał dać się znowu podejść – szczególnie Flashowi.

Dom wydawał się cichy. Jurij przesunął wzrokiem po sąsiednich budynkach.

Nie dostrzegłszy nigdzie Jacka, wszedł przez frontową furtkę i obiegł truchtem dom.

Szybko wszedł bocznymi drzwiami i przekręcił za sobą klucz w zamku. Gdy oparł się o drzwi, z piersi wyrwało mu się przeciągłe westchnienie ulgi. Prędko zlustrował wnętrze, aby sprawdzić, czy nikogo tutaj nie było. Ledwie położył zakupy, zaraz pognął w dół do piwnicy. Ponownie sapnął z ulgą, widząc, że zamek w drzwiach laboratorium jest nienaruszony.

Umieścił mrożony obiad i wódkę w zamrażarce, resztę opakowań zaś zostawił na stole. Idąc do łazienki, spostrzegł wizytówkę leżącą na podłodze tuż przy drzwiach frontowych. Podniósł ją. Tak jak przypuszczał – należała do Jacka. Wsunął ją do kieszeni obok poprzedniej. Ściągnął fałszywą brodę. Przylepiec doprowadzał go do szału. Gdy przejrzał się w lustrze, zobaczył, że na twarzy wystąpiła mu drobna wysypka. Umył się. Z braku lepszego środka przetarł twarz płynem po goleniu. Poczł dojmujące pieczenie, aż w oczach stanęły mu łzy. Gdy znowu obejrzał się w lustrze, wysypka wyraźnie się zaczerwieniła. Wyglądał znacznie gorzej.

Z szafki w kuchni wyciągnął kluczyki samochodowe. Odkąd znalazł się w barze, dręczyła go niepewność dotycząca nagłego pojawienia się na scenie Jacka Stapletona. Teraz uznał, że sprawa jest na tyle poważna, iż musi ostrzec Curta, choćby miał się narazić na jego gniew. Postanowił uczynić to osobiście.

Najpierw podszedł do frontowych okien. Zerknął przez żaluzje i przyjrzał się uliczce. Z wyjątkiem popychającej dziecięcy wózek młodej kobiety w kolorowej chuście na głowie nie dostrzegł nikogo. Obok jego domu nie parkowały też obce pojazdy. Jurij zbliżył się do drzwi kuchennych i spojrzał na boczne drzwi garażu. Były kilka kroków dalej. Przez moment chciał przylepić brodę, ale rozmyślił się – przeważała obawa, że zaogni wysypkę. Zamiast tego wyciągnął pistolet z kieszeni i trzymając go w lewej dłoni, owinał go ręcznikiem. Ściskając kluczyki w prawej ręce, otworzył drzwi.

Raz jeszcze się rozejrzył, by upewnić się, że nikogo nie ma, wyszedł przed dom i natychmiast otworzył drzwi garażu. Przygotowany na wszelkie niespodzianki, trzymając broń w pogotowiu, wyprowadził auto z garażu i zamknął zasuwane drzwi.

Gdy wyjechał w uliczkę, zaczął się trochę odprężyć. Skręcił w Oceanview Avenue i ruszył w kierunku Shore Parkway – tędy najszybciej mógł dojechać na Manhattan o tej porze dnia. Pistolet wsunął pod przedni fotel.

Jurij wiedział, że wizyta w remizie rozzłości Curta, ale był przekonany, że nie ma innego wyboru. Mógł wprawdzie zadzwonić, lecz Curt także miałby o to do niego pretensje, i Jurij uznał, że dla podkreślenia powagi sytuacji lepiej będzie rozmówić się z nim w cztery oczy. Męczyło go to, że tak bardzo przejmuje się Curtem. Przecież ludzie, którym przyświeca wspólny cel, nie mogą się bać reakcji swoich partnerów.

Jurij wywnioskował, że taki rasista jak Curt musi być nastawiony także antysłowiańsko.

Tunel Brooklyn Battery doprowadził Jurija do Dolnego Manhattanu. Po upewnieniu się, że w jego taksówce pali się napis „zajęty”, pojechał na północ wzdłuż West Street, po czym skręcił w prawo w Chambers; był już blisko Duane Street.

Zbliżając się do remizy, zdjął nogę z gazu. Nie wiedział, czy ma zaparkować czy nie. Widok czterech strażaków grających w karty na chodniku przed remizą skłonił go do pozostania w samochodzie. Ogromna zasuwana brama była otwarta na oścież, wpadało przez nią cudowne jesienne słońce. Zza wjazdu wyglądały jedynie lśniąco czerwone motopompy i drabiny strażackie.

Jurij wprowadził auto na rampę i ustawił je równolegle do budynku. Grający w karty podnieśli na niego wzrok.

Jurij opuścił szybę od strony pasażera i wysunął się naprzód.

–Przepraszam! – zawołał. – Szukam porucznika Rogersa.

–Ej, poruczniku – rozdarł się jeden z mężczyzn. – Ma pan gościa.

Curt wyłonił się po kilku chwilach, osłaniając oczy przed blaskiem słońca. Z powodu panującej na dworze jasności wewnątrz remizy tonęło w mroku. Na twarzy Curta malowała się ciekawość, póki nie dostrzegł Jurija. Natychmiast pozieleniał z ledwie hamowanej wściekłości.

–Co ty tu robisz, do cholery? – syknął.

–Mamy sytuację krytyczną – odszczeknął Jurij. Wyciągnął jedną z wizytówek Jacka Stapletona.

Curt wziął ją, rzucając nerwowe spojrzenia przez ramię w stronę swoich kolegów.

–Co to jest? – spytał twardym głosem.

–Przeczytaj! – polecił mu Jurij. – Dowiesz się, dlaczego sytuacja jest krytyczna.

Curt spojrział na wizytówkę, a potem znów podniósł wzrok na Jurija. Jego rozdrażnienie przeszło częściowo w zakłopotanie.

–Operacja „Rosomak” stoi pod znakiem zapytania – oznajmił Jurij. – Musimy natychmiast porozmawiać!

Curt przecesał dłonią swoje krótko ostrzyżone blond włosy. Raz jeszcze obejrzał się na karciarzy. Bez reszty pochłaniała ich gra.

–W porządku – warknął. – Ale lepiej, żeby to było coś ważnego! Za rogiem jest bar, który nazywa się „U Pete’a”. Przyjdziemy tam ze Steve’em, jak tylko się da.

–Będę czekał – oznajmił Jurij i pomknął na pełnym gazie ulicą. Gniew Curta rozszerzył go. Zobaczył strażaka we wstecznym lusterku – widział, jak ten ogląda wizytówkę, po czym wraca do budynku remizy.

Bar był ciemny i zadymiony, cuchnął też starym piwem i zjełczałym tłuszczem.

Krótkie menu składało się z hamburgerów, frytek i „zupy dnia”. Z ukrytych głośników płynęła rzewna muzyka country. Od czasu do czasu Jurijowi udawało się wyłowić kawałek tekstu mówiącego o zawiedzionej miłości i straconej szansie. Kilkunastu mężczyzn jadło lunch i piło piwo. Zanim Jurij znalazł wolne miejsce w pustym boksie obok toalet, musiał przejść przez całą długość wąskiej tawerny. Zamówił wódkę i hamburgera i rozsiadł się wygodnie. Nie musiał długo czekać. Curt i Steve nadeszli równocześnie z zamówionym jedzeniem.

Obaj strażacy bez słowa powitania wślizgnęli się do boksu na wprost Jurija.

Wyraźnie kipieli złością. Siedzieli w milczeniu, podczas gdy kelner kładł serwetę i podawał

jedzenie. Spojrzał na nich pytająco, wtedy zamówili po piwie z beczki. Gdy się oddalił, Curt arogancko rzucił w stronę Jurija wizytówką Jacka Stapletona, tak że bilecik ześlizgnął się ze stołu.

–Zacznij śpiewać! – rozkazał Curt. – I lepiej, żeby to była dobra piosenka.

Jurij odgryzł kęs hamburgera i zaczął żuć. Spoglądał na swoich przyjaciół.

Specjalnie ich prowokował, każąc im czekać, ale nie przejmował się tym ani trochę.

W istocie sprawiło mu to sporą przyjemność.

–Na miłość boską, nie będziemy czekać cały dzień – stracił cierpliwość Curt.

Jurij połknął kęs hamburgera i przepłukał gardło wódką. Następnie, poruszając językiem w ustach, podniósł wizytówkę z podłogi i rzucił ją w kierunku strażaka.

–Doktor Stapleton to ten sam patolog sądowy, o którym wam mówiłem; natknąłem się na niego w Korynckim Przedsiębiorstwie Handlowym.

–Wielkie halo – prychnął drwiąco Curt. – To było dwa dni temu.

–Wczoraj z kolei pojawił się w Domu Pogrzebowym Stricklanda – ciągnął Jurij.

–Przyszedł razem z bratem Connie.

–Nie powiedziałaś nam o tym.

–Bo nie sądziłem, że to będzie tak ważne – wyjaśnił Jurij. – Przynajmniej wczoraj nie było.

–Ale dziś zmieniłaś zdanie?

–Całkowicie – potwierdził Jurij. Odgryzł kolejny kęs hamburgera, podczas gdy Curt i Steve odbierali swoje piwo. Jurij poczekał, aż kelner zostawi ich samych. – Dzisiaj doktor Stapleton przyszedł do mojego domu – dodał.

–Po co? – zdumiał się Curt. Złość i buta ulotniły się. Teraz wyglądał na zaniepokojonego.

–Chciał mnie ostrzec, że grozi mi to samo niebezpieczeństwo, które pozbawiło życia Connie – powiedział Jurij. – Z czego wynika, że zdiagnozował u niej zatrucie jadem kiełbasianym.

–O Chryste! – ryknął Curt.

–Ale jak, do diabła?! – wtrącił się Steve. – Przecież zapewniałaś nas, że to niemożliwe.

–Nie wiem, dlaczego szukał akurat obecności jadu – przyznał Jurij. – Ale wiem z całą

pewnością, że pobrał próbki z ciała Connie.

–I co mu powiedziałaś, do ciężkiej cholery? – zapytał Curt.

–Przede wszystkim nie zorientował się, że rozmawia ze mną – oznajmił Jurij. – Kiedy spotkaliśmy się na ulicy, miałem sztuczną brodę. Nie mam pojęcia, czy bez niej Stapleton by mnie rozpoznał. W poniedziałek zamieniłem z nim tylko parę słów. W każdym razie przedstawiłem się jako Igor i on mi uwierzył. Zaoferowałem się, że przekażę Jurijowi Dawidowowi, o co chodzi, ale Stapleton nie chciał mi nic powiedzieć, tylko napomknął, że życie Dawidowa może być zagrożone.

–Niemniej sądzisz, że podejrzewa jad?

–Owszem – odparł Jurij.

–Myślisz, że wróci? – pytał Curt.

–Jeśli tak, to późnym wieczorem. Powiedziałem mu, że Jurij Dawidów jeździ taksówką i że nie wróci do domu prędzej jak przed dziewiątą albo dziesiątą.

Curt przeniósł wzrok na Steve'a.

–Nie podoba mi się to – stwierdził.

–Ani mnie – poparł go Steve.

–Mnie też się to nie podoba – rzekł Jurij. – Stapleton polazł na tyły mojego domu. Bez wątpienia zobaczył odpowietrznik i usłyszał wentylator. Kto wie, mógł nawet zauważyć ciężarówkę.

–Dobry Boże! – jęknął Curt.

–Uważam, że trzeba się go pozbyć tak jak Connie – stwierdził Jurij. – Ludowa Armia Aryjska musi szybko go unieszkodliwić, najlepiej jeszcze dziś po południu.

Curt skinął głową, potem obrócił się do Steve'a.

–Co ty na to?

–Myślę, że Jurij ma rację. Jeżeli nie wkroczymy do akcji, facet gotów storpedować operację „Rosomak”.

–Pytanie brzmi: jak się go pozbyć? – zastanowił się Curt.

–Na wizytówce jest jego adres służbowy – podsunął Jurij. – Poinformował Igora, że będzie siedział w pracy do szóstej. Z tyłu widnieje jego numer domowy. I wydaje mi się, że

przykulał się do Brighton Beach na rowerze. To chyba dosyć informacji, aby LAA mogła zadziałać.

–Twierdzisz, że jeździ po mieście rowerem? – zapytał Curt.

–Tak mi się zdaje – potwierdził Jurij.

–Moglibyśmy śledzić go, gdy wyjdzie z pracy – zaproponował Steve. – Potem, kiedy się odstani, rąbnąć go i cześć.

Curt pokiwał refleksyjnie głową.

–Jak go rozpoznamy?

Steve wskazał na Jurija.

–Będzie musiał jechać z nami, żeby nam go wystawić.

–Możesz tu być o piątej? – spytał Jurija Curt.

–Gdzie dokładnie? – zapytał Jurij. – Przecież nie chcecie, żebym przyjeżdżał do remizy.

–Tutaj, w tym barze – odrzekł Curt.

–Będę.

–Okay, a więc postanowione – oświadczył Curt. – LAA zatwierdzi likwidację Jacka Stapletona. Wydam im taki rozkaz. – Spojrzał na Steve'a. – Musisz w te pędy wrócić do Bensonhurst i zebrać żołnierzy. Myślę też, że do tej akcji powinniśmy ukraść ciężarówkę. – Żaden problem – rzekł Steve.

–Użyjemy dużej siły ognia – poinformował Curt. – Jeden szybki atak. Nie chcę, żeby facet dostał jedną kulkę, a potem się wylizał.

–Zgoda – poparł go Steve.

–W porządku, jesteśmy umówieni. – Curt wysączył piwną piankę z kufła i wstał.

–Jeszcze jedna sprawa – odezwał się Jurij.

Curt zatrzymał się.

–Chcę przenieść operację „Rosomak” na czwartek. Na jutro.

–Jutro! – powtórzył Curt, nie wierząc własnym uszom. – Myślałem, że nie wyrabiasz z produkcją węgla na piątek, a ty mówisz o czwartku.

–Pracowałem przez całą noc i dzisiejszy ranek – wytłumaczył Jurij. – Druga kadź funkcjonuje tak dobrze, że zdążymy. Dziś w nocy będziemy mieć dość proszku na oba ładunki.

–Można by to zrobić – powiedział Curt. – Czwartek czy piątek, na jedno wychodzi. – Popatrzył na Steve’a.

–Czemu by nie? – zgodził się Steve. – Plan ucieczki jest dopięty na ostatni guzik. To najważniejszy element.

–Jestem zdania, że musimy to zrobić w czwartek – stwierdził Jurij. – Wczoraj podkreślaliście względy bezpieczeństwa. Nawet jeśli pozbędziemy się Stapletona, nie wiemy, z kim do tej pory rozmawiał. Każdy dzień zwiększa ryzyko.

Curt wydał zduszony chichot.

–Wiesz co, chyba masz rację.

–Wiem, że mam. W końcu zależy nam na powodzeniu operacji „Rosomak”, nieprawdaż?

–Bezwzględnie – potwierdził Curt. – O której mamy przyjść po ładunek?

–Najlepiej późnym wieczorem. Potrzebuję trochę czasu, żeby go dobrze zapakować. Powiedzmy: koło jedenastej.

–Doskonale – rzucił Curt. – Dziś o dwudziestej trzeciej.

Wyślizgnął się z boksu. Steve podniósł się za nim. Jurij pozostał na swoim miejscu.

–Chcę dokończyć hamburgera – wyjaśnił.

–Widzimy się o piątej. – Curt udał, że saltuje, a potem wyszli z baru.

Jurij obserwował, jak tamci się oddalają. Ich zabawę w wojsko uważał za żalostną dziecinadę, ich towarzystwo coraz bardziej go krępowało. A jednak poczuł się o wiele lepiej. Wydawało się, że mimo kłopotów wszystko wraca do równowagi. Żując hamburgera, Jurij zastanawiał się, czy nie wstąpić po drodze do biura podróży, żeby zarezerwować bilety na lot na trasie Newark-Moskwa. Potem jednak uznał, że robi to telefonicznie, gdyż nie chciał niepotrzebnie tracić czasu. Bądź co bądź, zanim wybije jedenasta, będzie musiał sporo się napracować.

Rozdział 18 20 października, środa, 14.15 Jack ominął szerokim łukiem gmach Zakładu Medycyny Sądowej, podjechał do rampy załadowniczej i zszedł z roweru. Dyszał ciężko po ostrym finiszu na Pierwszej Avenue, kiedy to starał się dotrzymać tempa innym pojazdom. Załapał się na „zieloną falę” i aż od Houston Street ani razu nie musiał się zatrzymywać.

Zarzuciwszy rower na plecy, wspiął się na platformę i wszedł do budynku. Wypad do Brighton Beach sprawił mu szaloną radość, mimo że Jack nie zrealizował celu, w jakim się tam udał. Zrobił to, co mógł – reszta należała do flegmatycznych biurokratów z Departamentu Zdrowia i samego Jurija Dawidowa.

Jack wszedł do swego pokoju i powiesił kurtkę za drzwiami. Zobaczył, że na biurku Cheta, wśród papierowego galimatiasu, stoi włączony mikroskop. To świadczyło, że jego kolega jest w pracy, choć w tej chwili nie było go nigdzie widać. Jack przypuszczał, że Chet skoczył na dół do dystrybutora z łakociami. Popołudniami lubił coś przekąsić.

Zanim Jack usiadł za swoim biurkiem, poszedł do pokoju Laurie. Pragnął wyrazić uznanie dla jej niezwykłego wycucia. Drzwi jednak, wbrew zwyczajom Laurie, nie były otwarte na oścież. Jack nie przypominał sobie, aby Laurie lub jej koleżanka zza biurka kiedykolwiek się zamykały. Wzruszył ramionami i zawrócił.

Uszedł zaledwie parę kroków, gdy postyszał pełen złości męski głos. Jack nie rozróżnił słów, lecz wydało mu się, że głos dobiegał zza zamkniętych drzwi. Zawahał się. Po chwili usłyszał go znowu, a zaraz potem rozległo się rąbnięcie, jakby ktoś uderzył pięścią w coś metalowego.

Zaniepokojony Jack wrócił do drzwi Laurie. Podniósł rękę, aby zapukać, ale znieruchomiał. Pomyślał, czy nie będzie przeszkadzał, lecz wtedy dał się słyszeć potok przekleństw i następny donośny huk. Usłyszał głos Laurie wołający błagalnym tonem:

–Proszę cię!

Działając raczej instynktownie niż racjonalnie, Jack jednocześnie zapukał do drzwi i otworzył je. Laurie stała oparta plecami o ścianę przy szafce na dokumenty.

Choć nie kulila się ze strachu, na jej twarzy widniała mieszanina lęku i oburzenia.

Przed nią stał Paul Sutherland, ubrany w ciemny wyjściowy garnitur. Jego opalona twarz płonęła rumieńcem, a palec wskazujący prawej ręki sterczał sześć cali od nosa Laurie. Wejście Jacka jakby zamroziło go w bezruchu.

–Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – odezwał się Jack.

–Wprost przeciwnie! – wrzasnął Paul, budząc się do życia. – Właśnie dlatego te cholerne drzwi były zamknięte. – Obrócił twarz ku Jackowi i wyzywająco podparł się pięściami pod boki.

–Najmocniej przepraszam – powiedział Jack. Przechylił się na bok, aby ominąć wzrokiem pokaźną sylwetę Paula, i spojrzał na Laurie. – Laurie, ty też tak uważasz?

–Nie całkiem – odparła Laurie. – Moim zdaniem ta dyskusja, jeżeli można ją tak nazwać,

zaczęła wymykać się spod kontroli.

–Wynoś się stąd! – szczechnął Paul. – Laurie i ja mamy ze sobą do pogadania.

–To nie jest ani właściwe miejsce, ani czas. Mówiłam ci już – oznajmiła Laurie.

–No cóż, zdaje się, że zachodzi pewna różnica zdań – wtrącił wesoło Jack. – Polecam się w charakterze arbitra.

–Ostrzegam cię! – zawołał Paul. Zmrużył oczy i postąpił groźnie naprzód.

–Paul, proszę cię! – krzyknęła ze złością Laurie. – Myślę, że powinieneś stąd wyjść!

Paul nie spuszczał oczu z Jacka.

–Wynoś się stąd, do jasnej cholery! – powtórzył.

–Słyszę – odrzekł niedbale Jack. – Ale to jest biuro doktor Montgomery i jej życzenia mają pierwszeństwo. Sądzę, że najwyższy czas, abyś nas opuścił, chyba że wolisz omówić tę kwestię z sierżantem Murphym z dołu.

Paul skoczył szczupakiem, próbując trafić Jacka zamaszystym sierpowym. Jack jednak przewidział cios i odchylił się do tyłu. Wykorzystując chwilową utratę równowagi Paula, chwycił go oburącz za poły jedwabnej marynarki i wypchnął przez otwarte drzwi. Manewrowi temu towarzyszył wyraźny odgłos rozdzierającego się materiału.

Paul natychmiast złapał równowagę i przysiadł lekko na nogach. Ręce unióś na wysokość twarzy, pokazując, że potrafi boksować. Jack, który był kiepski w tej dyscyplinie, rozważał, czy rzucić się do ucieczki czy opasać Paula rękoma w niedźwiedzim uścisku. Na szczęście nie musiał podejmować decyzji. Z głębi holu doleciał wrzask i w następnym momencie pojawił się biegnący Chet z otwartą torebką chipsów i puszką oranżady w dłoni.

W obliczu przeważających sił Paul wyprostował się i opuścił ręce. Rozgniewany obejrzał swój szyty na miarę garnitur i spostrzegł rozdarcie.

–Przepraszam – pospieszył Jack na widok szkód, jakie poczynił. – Na szczęście puścił chyba tylko szew.

–Do diaska, co tu się dzieje? – zawołał Chet.

–Paul i ja mieliśmy drobną sprzeczkę – wyjaśnił Jack. – Ale dzięki tobie wszystko, że tak powiem, się wyprostowało.

Paul wycelował w Jacka palcem, tak samo jak przedtem groził Laurie.

–My sobie jeszcze pogadamy – warknął. – Zapamiętaj moje słowa.

–Już się cieszę – odparł Jack.

–Paul, może byś po prostu wyszedł – zaapelowała Laurie. – Jeśli nie chcesz zostać aresztowany, to proszę, wyjdź! Wezwałam strażnika.

Paul obciągnął krawat i wsunął chustkę w tym samym deseniu do kieszeni na piersi. Przez cały czas gapił się na Jacka.

–Jeszcze się spotkamy – wycedził. Po czym odwrócił się do Laurie i powiedział równie jadowitym głosem: – Z tobą porozmawiam później. – Poprawiając na sobie ubranie, pomaszerował w kierunku windy.

Jack, Laurie i Chet patrzyli, jak się oddala.

–O co poszło?

Zarówno Jack, jak i Laurie milczeli.

–Naprawdę wezwałaś strażnika?

–Nie. Chciałam to zrobić, kiedy usłyszałam krzyk Cheta. W sumie lepiej się stało.

–Dzięki, żeś się zjawił, Chet – powiedział Jack.

–Nie ma o czym mówić. Ktoś chce chipsa? – Podsunął torebkę Jackowi i Laurie.

Oboje pokręcili głowami.

–Czy chciałabyś porozmawiać? – Jack zwrócił się do Laurie.

Przytaknęła.

–Owszem, nawet bardzo.

–Chet, stary przyjacielu – odezwał się Jack, klepiąc kolegę po plecach. – Dzięki za bohaterską szarżę, zobaczymy się za kilka minut na barykadzie. – Mianem „barykady” Jack i Chet określali wspólny pokój.

–Potrafię wyczuć, kiedy staję się piątym kołem u wozu – zapewnił Chet. Ruszył korytarzem, chrupiąc chipsy.

Laurie pierwsza weszła do swego pokoju i zamknęła drzwi za Jackiem.

–Mam nadzieję, że nie będziesz miał mi za złe, że odcinam ci drogę wyjścia.

–Mogę sobie wyobrazić gorszy los – odrzekł Jack.

Laurie mocno objęła Jacka. On również ją uściskał.

–Dziękuję, że znów byłeś mi przyjacielem – odezwała się po pełnej minucie milczenia. Wypuściła Jacka z objęć, uśmiechnęła się do niego krzywo i usiadła. Z szuflady biurka wyjęła chusteczkę i otarła oczy. Pokręciła głową. – Nienawidzę siebie za łzy – powiedziała.

–A mnie się zdaje, że to całkiem normalna reakcja na tego rodzaju zachowanie.

Laurie potrząsnęła posępnie głową.

–Nie mogę w to uwierzyć. Jestem skołowana. Trzy dni temu byliśmy tacy szczęśliwi.

–Co się stało? – zapytał Jack. Oparł się o biurko Laurie.

–Wczoraj wieczorem przy kolacji próbowałam z nim porozmawiać o tym, co ty i Lou mi powiedzieliście. Nic z tego nie wyszło. Zaraz zaczęliśmy się kłócić.

–To niedobry znak – przyznał Jack.

–Wiem o tym. – Znowu przytknęła chusteczkę do oczu. – Już wtedy wyczułam, że coś przede mną ukrywa, a jego dzisiejsze zachowanie to potwierdziło. Nie powinnam go była wpuszczać, ale zadzwonił z dołu, mówiąc, że chce mnie przeprosić. Ładne przeprosiny, nie ma co!

–Jak myślisz, co ukrywa? – spytał Jack.

–Nie jestem pewna – wyznała Laurie. – Ale wydaje mi się, że on sprzedaje nielegalne karabiny szturmowe AK-47.

Jack gwizdnął.

–To fatalnie!

–Mało powiedziane – podjęła Laurie. Pokręciła głową. – Przypuszczam, że pogodziłabym się z faktem, że handluje bronią, gdybym miała pewność, że czyni to legalnie na rzecz obronności kraju. Bez wątpienia bym mu wybaczyła jego zatargi z prawem w związku z posiadaniem kokainy, pod warunkiem że przestał ją brać. Ale nigdy nie zgodzę się na sprzedaż nielegalnej broni prywatnym ludziom, a zwłaszcza dzieciakom z ulicy. Okazało się, że ten skinhead, Brad Cassidy, którego sekcję robiłam w poniedziałek, również pośredniczył w handlu tymi bułgarskimi karabinami.

–Co za zbieg okoliczności – zauważył Jack.

–Znasz moje poglądy na temat broni – dodała Laurie.

–A jakże – potwierdził Jack. – Co to wszystko zmieni w życiu Laurie Montgomery?

–Nie wiem – westchnęła Laurie. – Chcę trochę odczekać, zanim spróbuję znów rozmówić się z Paulem. Może tydzień, a może dłużej. Na razie, jak już mówiłam, zamierzam rzucić się w wir pracy. Zapomnieć o swoim katastrofalnym życiu osobistym.

–Mam nadzieję, że da ci spokój. Robi wrażenie dość zawziętego.

–Wiem, co masz na myśli – potwierdziła Laurie. – W związku z tym chciałam cię prosić o wyświadczenie mi pewnej przysługi.

–Jasne, co tylko chcesz.

–Wolałabym nie siedzieć dziś wieczorem w domu, jutro zresztą także nie.

Chciałabym być z przyjaciółmi. Czy sądzisz, że jest jeszcze szansa, abyśmy załapali się razem z Chetem i Colleen na tę wystawę Moneta, o której Chet wczoraj wspominał?

–Będę musiał go zapytać. Ale poszedłbym z miłą chęcią.

–Cudownie. A jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, to co byś powiedział, żebyśmy wyskoczyli gdzieś w trójkę: ty, ja i Lou? Mam wobec was dług, więc postawię wam kolację.

–Wobec nikogo nie masz żadnych długów – zaproponował Jack. – Nie wiem jak Lou, ale ja z największą przyjemnością zjem dziś z tobą kolację. Będę mógł ci przy tej okazji wyjaśnić, co spowodowało mnie do twojego pokoju przed kilkoma minutami.

–Właśnie, co to było?

–Twoja bezbłędna sugestia odnośnie do śmierci Connie Dawidów – zakomunikował Jack. – Zatręła się toksyną botulinową. – Żartujesz?! – zdumiała się Laurie. Jej poczerwieniała twarz rozjaśniła się od uśmiechu.

–Słowo skauta. Dziś rano Peter potwierdził twoje domysły.

–Wielkie nieba! – zawołała Laurie. – I co potem? Dzwoniłeś do Randolpha Sandersa?

Jack odepchnął się od biurka Laurie.

–Opowiem ci przy kolacji. Kiedy i gdzie się spotkamy?

–Ósma będzie ci odpowiadać?

–Jak najbardziej – rzekł Jack. – Gdzie?

–Co powiesz na ulubioną restaurację Lou w Little Italy? – zaproponowała Laurie. – Nie byłam tam od wieków.

–Jak się nazywa?

–Nie ma nazwy – wyjaśniła Laurie.

–Okay, gdzie jej szukać?

–Nie pamiętam adresu.

–Genialnie! – ucieszył się Jack z sarkazmem.

–Przyjedź po mnie – zaproponowała Laurie. – Pamiętam ten lokal z widzenia.

Trafię tam. Znajduje się na uliczce przy Mulberry Street. Ale weź taksówkę, rower zostaw w domu.

Gdy Laurie wymogła na nim obietnicę, że nie przyjedzie po nią wieczorem na rowerze, Jack wrócił do swego pokoju. Wchodząc tam, zastał Cheta ślęczącego przy mikroskopie.

–No i? – Chet spojrzał na niego. – O co wam poszło?

–To skomplikowana historia – odpowiedział Jack i klapnął ciężko na krzesło.

Raptem poczuł się znużony długą rowerową wycieczką i utarczką z Paulem. – Jednym z jej skutków jest to, że Laurie postanowiła spędzić jutrzejszy wieczór poza domem.

Więc jeśli ty i Colleen nadal szukacie kogoś do towarzystwa, zabierzemy się z wami. – Świetnie – rzekł Chet. Sięgnął po telefon. – Zobaczę, czy Colleen da radę załatwić więcej biletów.

–Poczekaj sekundę – powstrzymał go Jack. – A co z tymi weterynarzami? Czy udało ci się z którymś skontaktować?

–Owszem. Rozmawiałem z niejakim doktorem Clarkiem Simsarianem, który przewodniczył wczorajszemu seminarium. Zapytałem, czy epidemiolodzy postawili już jakąś diagnozę. Zaprzeczył. Nie znaleźli też żadnych nowych owrzodzeń na skórze szczurów, wywołanych przez laseczkę wąglika.

–Chcę im przekazać pewną sugestię – rzekł Jack. – Przedzwoń jeszcze raz do doktora Simsariana i zaproponuj, żeby zrobili badania na obecność toksyny botulinowej.

–Toksyny botulinowej! – zawołał Chet. – Czy to z jej powodu zmarła Connie Dawidów?

–Najwyraźniej. Przynajmniej według analiz Petera Lettermana.

–I w dalszym ciągu dostrzegasz związek między Connie i szczurami?

–Wiem, że to mało realne – zgodził się Jack. – Ale skoro weterynarze są w kropce, to nie zaszkodzi im, jak sprawdzą tę toksynę. Dzisiaj w Brighton Beach wpadłem do gabinetu weterynaryjnego. Dowiedziałem się, że ostatnio z niewiadomych powodów zaczęły zdychać w tej okolicy koty.

–Przekażę im twój „cynk” – obiecał Chet. – A co na to Randolph Sanders? Powiedziałeś mu o toksynie?

–Tak. Przyznaję się bez bicia, że torturowanie go sprawiło mi dużą przyjemność.

–Ciekawe, czy będzie głośno o tej sprawie... – powiedział Chet, kręcąc głową.

–Najpierw decyzja, żeby nie wykonywać autopsji, a potem odkrycie, że pacjent zmarł na botulizm – to koszmarne sen patologa.

–Mnie też to ciekawi – przyznał Jack. – Wiesz co, ty dzwoń, a ja zobaczę, czego się zdołam dowiedzieć.

Jack zadzwonił do Zakładu Medycy Sądowej na Brooklynie i poprosił o doktora Sandersa. Ponieważ patologa nie było w gabinecie, Jack kazał go wezwać pagerem.

Kiedy czekał na zgłoszenie, Chet dodzwonił się do Colleen i otrzymał od niej pozytywną odpowiedź. W chwili gdy pokazał Jackowi uniesiony w górę kciuk, odezwał się Randolph Sanders.

–Przepraszam, że zawracam głowę – rzucił Jack do telefonu tym samym pogodnym tonem, jakiego używał wcześniej w rozmowach z Randolphem. – Chet i ja dyskutowaliśmy akurat o sprawie Connie Dawidów. Jesteśmy ciekawi, co u was słychać?

–Przeżywamy koszmar – westchnął Randolph.

–Właśnie tak to scharakteryzował Chet – powiedział Jack. Mrugnął porozumiewawczo do kolegi czekającego na połączenie z doktorem Simsarianem.

–Wszystko się przeciw nam sprzysięgło – dodał Randolph. – Tuż po naszej rozmowie zadzwoniłem do Domu Pogrzebowego Stricklanda i usłyszałem złe wieści.

–Przykro mi.

–Ciało zostało spalone.

–Ojej! – zajęczał Jack z udawanym współczuciem.

–W tej sytuacji nie zostało mi nic innego, jak przekazać sprawę Jimowi Bennettowi.

–I co on uczynił?

–Na razie nic – odparł Randolph. – Ale wiem, że umówił się na spotkanie z Binghamem. Całą tę awanturę będzie musiała teraz łagodzić góra, a ściślej mówiąc, Harold Bingham.

–Przypuszczam, że czujesz się dość kiepsko – powiedział Jack. Choć nie lubił Sandersa, jednak zrobiło mu się go nieco żal.

–Nigdy w życiu nie przytrafiło mi się nic podobnego – wyznał Randolph.

–Jakoś to przeżyjesz – pocieszył go Jack. – W takim zawodzie jak nasz zdarzają się błędy w sztuce. Ty zaś nie szczędzisz sił, żeby naprawić początkową pomyłkę.

Jack i Chet po skończonych rozmowach odwiesili swoje słuchawki niemal równocześnie i obrócili się do siebie twarzami- Ty pierwszy – rzekł Chet. – Czego się dowiedziałeś?

–Na razie sprawa przyschła – obwieścił Jack. – Robią podchody do Bingham, ale dotąd go nie powiadomili. Prawdziwy problem polega na tym, że nie ma już ciała.

Zostało spalone. Ale granda! – Jack pokręcił głową. – Co mi tam zresztą, ta sprawa już mnie nie dotyczy.

–No właśnie – podchwycił Chet. – I oby tak zostało. Natomiast co do doktora Simsariana, to nie był zachwycony twoją sugestią, ale obiecał spróbować.

Jack podniósł ręce.

–A więc zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy.

–Tak jest.

Jack pochylił się z powrotem nad swoim biurkiem. Pośrodku bibułki leżał preparat z przyklejoną notatką od Maureen. Były to próbki skóry Connie Dawidów.

Wyciągnąwszy mikroskop, Jack wsunął jeden z preparatów pod obiektyw i obejrzał go. Po zdiagnozowaniu zatrucia jadem kiełbasianym preparaty te były w zasadzie zbędne. Jack pobrał fragment skóry po to, aby się upewnić, że opuchlizna wokół oka wynikła z mechanicznego urazu, nie zaś infekcji – i rzeczywiście to właśnie zobaczył.

Odłożył na bok preparaty i wziął do ręki teczkę Davida Jeffersona. Chciał zaskoczyć Calvina i zamknąć ten przypadek o dzień wcześniej. Pracując, cieszył się na myśl o spędzeniu wieczoru z Laurie i Lou oraz o wysiłku fizycznym, jaki czekał go przedtem na boisku do koszykówki.

Rozdział 19 20 października, środa, 17.05 – Do jutra! – zawołał Bob King do wychodzącego frontowymi drzwiami Curta.

W odpowiedzi Curt machnął do nowicjusza ręką w geście, który nie miał nic wspólnego z

pozdrowieniem.

–Od jutra nie będę musiał więcej oglądać twojej gęby – mruknął do siebie Curt.

W miarę jak zbliżał się wieczór, ogarniało go coraz większe podniecenie. Nareszcie wszystkie plany i wysiłki miały się urzeczywistnić. Rozpoczęło się odliczanie: do startu operacji „Rosomak” zostały niecałe dwadzieścia cztery godziny! Ostatnia trudność, jaką stanowił Jack Stapleton, zostanie usunięta w ciągu następnej godziny.

Curt zerknął na zegarek. Minęła piąta, toteż oczekiwał, że uczestnicy akcji zebrali się już w „U Pete’a”. Fakt, że Steve nie dzwonił do niego po południu, dowodził, że wszystko poszło zgodnie z planem.

Curt wyszedł z za rogu ulicy i zobaczył zwykłą ciemnoniebieską półciężarówkę stojącą w strefie załadunkowej nieopodal baru. Na drzwiach od strony kierowcy widniała nazwa jakiejś brooklińskiej firmy hydraulicznej. Curt uśmiechnął się. Bez wątplenia patrzył na zarekwirowany pojazd.

Bar świecił pustkami. Łzawe country, które wcześniej sączyło się w tle, ustąpiło teraz miejsca ostrej muzyce w wykonaniu grupy Armageddon. Curt ponownie się uśmiechnął. Spotkanie będzie miało właściwą oprawę.

Muzyka dobywała się z ogromnego magnetofonu ustawionego na stole przed Carlem Ryersonem. W zadymionym półmroku baru jego krzywy uśmiezek i wytatuowana na czole swastyka nadawała mu iście diabelski wygląd.

–Podoba się panu muzyczka, kapitanie? – zagadnął Carl, dojrzwawszy uśmiech Curta.

Curt lubił, kiedy żołnierze zwracali się do niego „panie kapitanie”. Ta nazwa wzbudzała szacunek, a poza tym narzucała dyscyplinę. Wcisnął się do boksu i popatrzył na swoją drużynę. Carl siedział dokładnie na wprost. Obok niego tkwił rudzielec Kevin Smith. Dalej byli drobny Clark Ebersol i Inianowłosa Mike Compisano. Po prawej ręce Curta zasiadał Steve. Oprócz Curta, ubranego wciąż w służbowy mundur, wszyscy mieli na sobie T-shirty odsłaniające ich tatuaże. Na stole walały się butelki po piwie.

–Zwolnijcie trochę z piciem – polecił Curt.

–Hej, a co niby mamy robić w barze? – zaproponował Kevin. – Czekamy tu już dobre pół godziny.

–Nie chciałem się spóźnić – wyjaśnił Steve.

–Czy to ta ciężarówka obok baru? – spytał Curt.

–Jasne – potwierdził Steve. – Dzięki Clarkowi.

–A co z uzbrojeniem? – ciągnął Curt.

Steve wysunął się naprzód i zniżył głos.

–W wozie są trzy kałasznikowy i dwa glocki. Pomyślałem, że nie ma co przesadzać. Do diabła, jeśli facet jest na rowerze, trzeba go tylko przejechać.

–Ale potem go zastrzelimy dla pewności – dodał Curt.

–No cóż, broni nam nie zabraknie – stwierdził Steve.

–Gdzie Jurij? – spytał nagle Curt. Dopiero teraz dotarło do niego, że Rosjanin nie bierze udziału w spotkaniu.

–Nie wiem – odparł Steve. – Może utknął w korku.

Curt spojrział na zegarek.

–Kazaliśmy temu sukinsynowi przyjść tu o piątej.

–Wykorzystajmy ten czas na omówienie jutrzejszej operacji – zaproponował Steve. – Wspominałem Mike’owi, że będzie nam potrzebny, aby wykonać szybkie zadanie.

W odróżnieniu od innych żołnierzy Mike nie przepadał za modą skinheadów i najłatwiej dawał się przekonać Curtowi, że należy złagodzić ich dziwaczny styl. W tej chwili, gdy zaczęły mu odrastać włosy, mógłby uchodzić za w miarę normalnego człowieka.

–Dobry pomysł – rzekł Curt, ale zanim rozwinął temat, pojawił się kelner i spytał, co mu podać. Curt zamówił jasnego budweisera.

–Słuchaj – powiedział do Mike’a, gdy został obsłużony. Pochylił się do przodu.

–Chcemy, żebyś rano ubrał się w garnitur, krawat i tym podobne. Masz wyglądać jak biznesmen. Najpóźniej o dziewiątej piętnaście staniesz przed Budynkiem Federalnym Jacoba Javitsa.

–Będę musiał urwać się z pracy – zauważył Mike.

Curt przewrócił oczami. Przypomniawszy sobie, że ilekroć zwraca się do swoich żołnierzy, musi uzbroić się w cierpliwość.

–Nieważne. – Machnął lekceważąco ręką. – Bylebyś tam był o dziewiątej piętnaście. Ta operacja musi chodzić jak zegarek.

–No i co mam robić? Stać tam? – zapytał Mike.

–Nie, ty idioto – odrzekł głośno Curt. Zaraz jednak ściszył głos. – Dostaniesz od nas bombę dymną, która wytwarza mnóstwo dymu. Jest mniej więcej wielkości fajerwerku: zapalisz lont. Co najważniejsze, kiedy wniesiesz ją do budynku, nie zadziała wykrywacz do metali.

–Muszę wejść do środka? – spytał Mike.

–Tak – potwierdził Curt.

–A nie zapytają mnie, po co tam wchodzę?

–Nie! Ludzie włączą tam i wyłączą przez cały dzień.

Mike podniósł brwi.

–Mówię serio – zapewnił Curt. – Dostaniesz się bez kłopotów, jeżeli będziesz jako tako wyglądał. Nawet gdybyś ubrał się w to, co masz teraz na sobie, nie powinieneś mieć problemów.

–W porządku – rzekł Mike. – No więc wchodzę do środka. Co mam zrobić z bombą dymną?

–Pojedziesz windą na drugie piętro – kontynuował Curt. – Po wyjściu skręcisz w prawo. Jakies trzydzieści kroków dalej w korytarzu jest męska toaleta. Łapiesz?

Mike skinął głową.

–Wejdiesz do toalety i sprawdzisz, czy nikogo tam nie ma.

Mike nadal przytakiwał.

–Zresztą nie przejmuj się, gdyby nawet ktoś tam był. Po prostu wejdź do ostatniej kabiny. Na tylnej ścianie znajdziesz kratkę wylotu kanału. Odkręć ją za pomocą monety, zapal bombę, wrzuć ją do kanału wentylacyjnego i załóż kratkę z powrotem.

–To wszystko? – spytał Mike.

–Koniec kropka – skwitował Curt. – Potem bez pośpiechu wyjdź z budynku.

Bomba uruchomi czujnik dymu w systemie wentylacji, więc rozpęta się alarm przeciwpożarowy, ale ty jakby nigdy nic idź dalej. Może też wybuchnąć mała panika.

Wkrótce po alarmie Steve i ja przyjedziemy naszym wozem, ale jeśli nas zobaczysz, nie zwracaj na nas uwagi. Ot, i całe twoje zadanie.

Mike prychnął śmiechem i powiódł wzrokiem po pozostałych.

–To bułka z masłem.

–Ale to ważna bułka – oświadczył Curt. – Masz do wykonania ważne zadanie dla LAA.

W tym momencie Curt zobaczył Jurija wchodzącego frontowymi drzwiami.

Podniósł rękę, aby się pokazać, i Rosjanin zbliżył się do ich stołu.

–Spóźniłeś się! – fuknął.

–Był taki tłok, że nie mogłem dojechać do Battery Tunnel – wytłumaczył Jurij.

–Módl się, żeby Jack Stapleton był jeszcze w pracy – ostrzegł Curt. Wstał i poszedł do barku zapłacić rachunek. – Okay, wynosimy się – rzucił po kilku minutach, wróciwszy do stołu. Musiał wyrwać butelki z rąk Kevina i Carla, którzy zabierali się do wyniesienia swoich nie dopitych piw na zewnątrz.

Pośród salw podekscytowanego śmiechu wszyscy wgramolili się do ciężarówki.

Obietnica przemocy rozpałała skinheadów do białości. Curt zajął miejsce za kierownicą i kazał Jurijowi usiąść obok, żeby ten mógł skutecznie zidentyfikować cel. Sadowiący się z tyłu żołnierze pokłócili się, gdzie kto ma usiąść wśród narzędzi hydraulicznych i kawałków rur. W końcu Steve musiał rozstrzygnąć spory.

Curt skierował się na zachód przez Worth Street po to, by przejechać obok Budynku Federalnego Jacoba Javitsa. Chciał pokazać Mike'owi, którędy ma rano wejść do budynku. Następnie skręcił na północ w Bowery – zamierzał dotrzeć do Pierwszej Avenue przez Houston Street.

–Nie mam za wiele czasu – odezwał się nerwowym głosem Jurij. – Wystawię wam Stapletona i znikam, resztą zajmiecie się już wy, chłopcy.

Curt oderwał na moment wzrok od drogi i spojrzał pytająco na Jurija.

–Zobaczmy, jak sytuacja się rozwinie – oznajmił. – W pewnym sensie robimy tę akcję „na czują”.

–Co to znaczy? – nie rozumiał Jurij. Obiema rękami trzymał się fotela. Mimo dużego napięcia ruchu Curt prowadził agresywnie.

–To znaczy, że w jej trakcie będziemy improwizować – wyjaśnił Curt. – Ale po co ten pośpiech? Sądziłem, że będziesz chciał uczestniczyć w zadaniu do samego końca.

–Chcę zdążyć na jutro, a mam jeszcze dużo pracy – powiedział Jurij.

–Ach, no tak – przypomniał sobie Curt.

Na tyle ciężarówce z nową siłą wybuchły sprzeczki o to, kto będzie miał którą broń. Curt spojrzął we wsteczne lusterko i zobaczył z trwogą, że jego żołnierze biją się o karabiny.

–Schowajcie tę broń! – ryknął. – Jezu Chryste! Za chwilę zgarną nas gliniarze.

Przy akompaniamencie pomruków niezadowolenia karabiny spoczęły z powrotem na podłodze.

Curt zauważył, że Jurij rzuca za siebie niespokojne spojrzenia.

–Są trochę podnieceni – wyjaśnił. – Uwielbiają tego rodzaju operacje.

–Wyglądają na bardziej niż trochę podnieconych – uznał Jurij.

–Powtórz mi adres, Steve! – zawołał Curt do tyłu.

Steve wyłowił z kieszeni wizytówkę Jacka.

–Pierwsza Avenue dwadzieścia pięć – odczytał Steve. Wsunął się między rozkładane przednie fotele. – Wydaje mi się, że to gdzieś niedaleko szpitala.

Curt zaczął wyhamowywać w chwili, gdy minęli po prawej Bellevue Hospital.

–Jest – powiedział Steve, wskazując palcem na błękitny budynek z glazurowanej cegły.

Tuż za Trzydziestą Ulicą Curt zjechał na lewe pobocze, zatrzymał się i włączył migające światła awaryjne. Budynek medycyny sądowej znajdował się po drugiej stronie ulicy. Wysypujący się stamtąd grupkami ludzie odchodzili chodnikiem albo zatrzymywali taksówki. Steve, Curt i Jurij gapili się na fronton i obserwowali wychodzących.

–Wygląda na to, że urzędnicy kończą pracę – odezwał się Steve.

Siedzący z tyłu auta żołnierze ponownie zaczęli się kłócić o kałasznikowy. Curt musiał wrzasnąć, żeby stulili gęby.

–Skąd mamy wiedzieć, czy Stapleton jeszcze nie wyszedł? – powiedział Steve.

–Możemy tutaj siedzieć godzinami i nic.

–Lepiej, żeby nie wyszedł – mruknął Curt i łypnął groźnie na Jurija. – Spróbujmy do niego przedzwonić. Podaj mi ten numer wewnętrzny, który zapisał na wizytówce.

Podczas gdy Steve wyciągał karteczkę z kieszeni, Curt wyjął swój telefon komórkowy. Steve podyktował mu numer, który ten wystukał, a potem przyłożył słuchawkę do ucha.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku Jack zamknął kolejny przypadek.

Zaskoczył samego siebie – od chwili zatrudnienia nigdy nie zaangażował się równie głęboko w wykonywaną pracę. Umieścił teczkę na wierzchu chwiejącego się stosu i cofnął rękę. W tej samej sekundzie zadzwonił telefon.

–Jack Stapleton – przedstawił się w swój zwykły sposób. Zamiast głosu jednak dobiegł go przeciągły szum, jak gdyby słyszał odległy wodospad. Po chwili rozległ się samochodowy klakson.

–Halo, halo! – powtarzał coraz głośniejsze Jack. Odpowiedziało mu kliknięcie i sygnał przerwane połączenia. Jack cisnął słuchawkę na widełki i wzruszył ramionami.

–Co się stało? – zapytał Chet, nie odrywając się od zajęć.

–Kto to wie, do diabła? – odparł Jack. – Słyszałem ruch uliczny, ale nikt nie pisnął ani słowa.

–Pewnie była narzeczona sprawdza, czy jeszcze pracujesz – zasugerował Chet.

–O tak, na pewno! – odparł Jack, siląc się na sarkazm. Popatrzył na topniejącą kupkę nie skończonych przypadków i zastanowił się, czy kontynuować ten maraton.

Wtedy zabrzączał telefon Cheta.

–Musiała pomylić numery – zaśmiał się Jack.

Chet podniósł słuchawkę. Na dźwięk imienia swego rozmówcy wyprostował się na krześle.

–Tak, ciągle w pracy, doktorze Simsarian – odpowiedział głośno, by Jack usłyszał.

Jack okręcił się na krześle i spojrzał na swego kolegę, który również obrócił się doń przodem. Ich spojrzenia skrzyżowały się. Chet wybałuszył zdumione oczy.

–Naprawdę?! – zawołał. – Ja też jestem zdziwiony.

–Zdziwiony czym? – nie wytrzymał Jack.

Chet podniósł dłoń, prosząc o ciszę, i dalej mówił do słuchawki:

–Dziękuję za telefon, doktorze Simsarian. To fascynująca historia i bardzo chcielibyśmy poznać jej ciąg dalszy. Opowiem doktorowi Stapletonowi o waszych wynikach i przekażę mu wyrazy wdzięczności.

Chet odwiesił słuchawkę.

–Tylko mi nie mów, że badanie szczurów dało pozytywny wynik na obecność toksyny botulinowej! – powiedział Jack.

–Zgadłeś – potwierdził Chet. – Simsarian nie mógł się pozbierać. Ja zresztą też nie mogę. Jakim cudem w ogóle ten pomysł przyszedł ci do głowy?

–Zastanowiła mnie zbieżność miejsca – wyjaśnił Jack.

–Connie Dawidów musiała chyba zjeść jednego z tych szczurów – zasugerował Chet i zachichotał upiornie.

Jack także się roześmiał, potem natomiast zauważył, że tylko dwóch patologów sądowych uznałoby podobny koncept za zabawny.

–Czyżby zatruty szczur wydalil toksynę wraz z odchodami? – zapytał Chet.

–To jeszcze bardziej odrażający pomysł – orzekł Jack. – Trzeba by zapytać weterynarzy-epidemiologów. Bardziej realistyczna wydaje mi się wersja, że Connie wyrzuciła skażone resztki jedzenia do toalety.

–Aż tyle, żeby zabić setki szczurów? – powątpiewał Chet.

–Zgoda, to brzmi niesamowicie – przyznał Jack. – Ale sam wiesz, jak potężny jest ten jad.

–No cóż, ciekawe, co wymyślą weterynarze?

Jack wstał i przeciągnął się.

–Myślę, że na dzisiaj wystarczy. Muszę się odrobinę wyluzować przy ostrej koszykówce.

–Do jutra – pożegnał się Chet.

–Trzymaj się, przyjacielu – odparł Jack. Chwycił wiszącą za drzwiami kurtkę i wślizgnął się w nią, maszerując do windy. Wciąż mając w pamięci przepiękną pogodę, jaka towarzyszyła mu podczas wyprawy do Brighton Beach, z utęsknieniem myślał o odprężającej wycieczce rowerem.

–Przynajmniej wiemy, że ciągle tam jest – zauważył Steve.

–To prawda – zgodził się Curt. – Pytanie brzmi: kiedy wyjdzie? Czy do tego czasu żołnierze nie skoczą sobie do gardeł? – Zaledwie Curt przerwał rozmowę z Jackiem, Clark, Kevin i Mike zaczęli ponownie handryczyć się o automaty, tyle że tym razem o mało naprawdę się nie pobili. Curt musiał odebrać im broń, która teraz leżała obok nóg Jurija.

–To ten na rowerze! – krzyknął Jurij. Drżącą ręką wskazał na postać Jacka w chwili, gdy patolog skręcił za róg Trzydziestej Ulicy i prędko wspinał się po Pierwszej Avenue.

–Jezusie, ale pędzi! – zawołał Curt. Zwolnił hamulec ręczny i na pełnym gazie włączył się w ruch uliczny. Taksówkarz, któremu zajechał przy tym drogę, wściekle na niego zatrąbił.

–Ja wysiadam! – oznajmił Jurij.

–Nie teraz! – wrzasnął Curt. – Nie chcę zgubić tego skurczybyka.

Mimo gęstego ruchu pojazdy poruszały się miarowo, w dość szybkim tempie.

–Ten facet zasuwa jak mały samochodzik – pozałił się Curt. Przyspieszał i skręcał raptownie, wiedząc, że to jedyny sposób, aby zbliżyć się do Jacka. Kompletnie nie zważał na to, że ociera się o inne pojazdy lub że inni uderzają go w bok czy w tylny zderzak.

–Kurwa mać! – zaklął Steve, kiedy Curt wcisnął się przed następną taksówkę.

Rozległo się głuchoe rąbnięcie i piskliwy chrzęst metalu. Poniewierające się z tyłu wozu kawałki rur rozprysły się na boki, czyniąc okropny harmider. Żołnierze musieli kryć się przed deszczem śrub, nakrętek, kolanek, który posypał się na nich z półek umieszczonych po obu stronach wnętrza. Na domiar złego auto wpadło w serię dziur w jezdni.

–Jurij, zejdz z tego cholernego siedzenia i wpuść Steve'a – wrzasnął Curt, zmagając się z kierownicą.

–W czasie jazdy? – zapytał Jurij. Ścisnął fotel tak mocno, że pobieleły mu knykcie.

–Oczywiście, że w czasie jazdy – krzyknął ze złością Curt.

Jurij przełknął nerwowo ślinę i spróbował zsunąć się z fotela. Steve cofnął się, aby zrobić mu miejsce. Wtedy właśnie Curt spostrzegł lukę na sąsiednim pasie i skręcił gwałtownie, by skorzystać z okazji. Juria rzuciło na niego. Curt zaklął i odepchnął Rosjanina przedramieniem, a potem zaraz odbił kierownicę, aby odzyskać panowanie nad wozem.

Podczas gdy Jurij pełził na czworakach na tył ciężarówki, Steve wślizgnął się na zwolniony fotel. Widział przed sobą plecy Jacka. Patolog przebierał zaciekle nogami.

Jego rower wysuwał się pomału przed ciężarówkę rozwożącą piwo i furgonetkę Federal Express.

–Niech to szlag! – ryknął Curt, widząc, że Jack wyprzedza obydwie pojazdy.

Curt jechał tuż za ciężarówką z piwem. Sfrustrowany przydusił na klakson.

–Bierz glocka! – krzyknął do Steve'a. – Spróbuję podjechać obok tego skurczybyka, żebyś mógł go ustrzelić. Ale najpierw muszę jakoś ominąć tę ciężarówkę.

–Kim jest ten facet? – zapytał Steve. Podniósł i odbezpieczył jeden z automatycznych pistoletów. – Zawodowym kolarzem czy co? Śmiga szybciej od samochodów.

Z prawej strony zamajaczył budynek Narodów Zjednoczonych.

Curt skręcił na sąsiedni pas. Z tyłu rozległa się następna kakofonia klaksonów i krzyków. Curt nacisnął pedał gazu do deski i zaczął wyprzedzać ciężarówkę dostawczą. Musiał leciutko popuścić, zbliżając się na kilka stóp do taksówki, lecz zdążył wysforować się dość daleko, by zobaczyć Jacka, który jechał teraz równoległe do niego.

Steve opuścił okno.

–No i co? – zawołał do niego Curt.

–Mógłbym strzelać, ale nie mogę dokładnie celować – odkrzyknął Steve. – Za bardzo trzęsie wozem.

–Wtrzyiłbym się przed tę ciężarówkę, gdyby ta cholerna taryfa ruszyła dupsko – narzekał Curt.

Mimo wszystko powoli wyprzedzali ciężarówkę wiozącą piwo.

–Trzymać się! – rozkazał Curt, gdy uznał, że nadarzyła się okazja.

Ostro obrócił kierownicą w prawo. Samochód wszedł w lekki poślizg, po czym wystrzelił przed ciężarówkę i wrócił na poprzedni tor jazdy. Kierowca kolosa nacisnął na hamulec, wizg opon przeciął powietrze. Curt robił co mógł, by autem nie zarzuciło, kiedy Steve wysunął broń przez okno. Zrównali się z rowerem Jacka.

Zanim Steve zdążył wymierzyć, Jack ni stąd, ni zowąd przyhamował i zniknął im z pola widzenia.

–Co jest, do diabła? – spytał zdumiony Curt. Zdjął nogę z gazu. Zwolnili. – Gdzie go znowu wcięło?

–Jest chyba za nami – domyślił się Steve. Wychylił się przez okno i spojrzał do tyłu.

W parę sekund później Jack pojawił się za szybą Curta. Ku zdumieniu Curta lekarz pokazał mu środkowy palec. Curt bluznął wiązką i zaczął mocować się z oknem, wrzeszcząc na Steve'a, aby zastrzelił sukinsyna.

Steve wsparł się na kolanach Curta, ale Jack odjechał im do przodu.

–Trzymajcie się! – krzyknął Curt. Nacisnął gaz i wóz skoczył naprzód. Gdy jednak po raz drugi zrównali się z Jackiem, ten skręcił w lewo na mniej zatłoczony pas.

Curt zaklął i sam odbił w lewo, lecz pas okazał się zajęty. Taksówka grzmotnęła w bok półciężarówki. Curt zobaczył we wstecznym lusterku, jak limuzyna wpada w nie kontrolowany poślizg i zatrzymuje się w poprzek szosy. Momentalnie doszło do kolizji i zrobił się długi zator.

–Chryste Panie! – zawołał Steve, który w bocznym lusterku widział, co się stało.

–Trzymajcie się, ludzie, znowu skręca w lewo – ostrzegł Curt. Zaledwie Curt zmienił pas, Jack położył rower i szerokim lukiem wjechał w Pięćdziesiątą Pierwszą Ulicę, kierując się na zachód.

–Do jasnej cholery! – Curt nadusił hamulec i zarazem skręcił ostro w lewo, usiłując nie zgubić Jacka.

Samochód zadygotał i wpadł w poślizg, zanim opony odzyskały przyczepność.

Potrącili samochód zaparkowany po prawej, a potem także po lewej stronie drogi, zanim Curt w pełni zapanował nad wozem. W oddali widzieli pedałużącego Jacka.

–Czy on się nigdy nie męczy? – spytał Curt. Wdusił gaz i auto przyspieszyło z impetem.

Dojeżdżając do skrzyżowania z Drugą Avenue, spóźnili się na światła. Nie zrażony tym Curt, trąbiąc i przeklinając, wjechał wprost w strumień pojazdów. Steve skulił się w swoim fotelu, gdyż to on był wystawiony na jadące samochody.

–Pieprz się! – ryknął Curt do szczególnie rozdrażnionego kierowcy. Po przejechaniu Drugiej Avenue na czerwonym świetle znów się rozpędzał. Jack tymczasem był już przy Trzeciej Avenue i czekał na zmianę światła.

–Mamy go – wychrypiał Curt.

Zapaliło się zielone światło. Jack ruszył. Curt wdusił gaz do oporu, przyspieszając do osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Uparł się zdążyć przed zmianą światła.

Zaschło mu w ustach, wiedział, że może się spóźnić o ułamek sekundy. Modlił się w duchu, aby nie wpadła na nich rozpędzona taksówka jadąca na północ.

Przemknęli przez Trzecią Avenue bez draśnięcia. Jack wyprzedzał ich równo o połowę przecznicy. Prędko niwelowali tę odległość, gdy nagle z miejsca parkingowego wyjechał samochód, zmuszając ich do ostrego hamowania. Curt niemal staranował tamtego i wałnął pięścią w klakson. Kierowca zignorował go. Jack ponownie zostawiał ich w tyle, przecinając Lexington Avenue.

–Ja chyba śnię! – wrzasnął Curt. Wlokący się przed nimi samochód zatrzymał się na skrzyżowaniu przy żółtym świetle. – Trzeba mieć pecha, żeby znaleźć się za jedynym kierowcą w Nowym Jorku, który staje na żółtym świetle. – Sfrustrowany zmierzwił dłonią włosy. – Przypuszczam, że mógłbym go zepchnąć z drogi – oznajmił.

–Popatrz na to – odrzekł Steve. Stłoczone ciasno auta sunęły w ślimaczym tempie wzdłuż Lexington Avenue. – Daj spokój, nie wciśniemy się. Złapiemy go na następnej krzyżówce.

Curt zawarczał pod nosem, ale nic nie odpowiedział.

–Wypuście mnie stąd! – zawołał Jurij, gdy tylko uświadomił sobie, że stoją.

Podpełzł między przednie fotele.

Steve spojrzął na Curta, który wzruszył ramionami, po czym skinął głową.

Steve otworzył drzwi i wysiadł. Jurij wygramolił się z auta i stanął na drżących nogach, Steve zaś wdrapał się z powrotem.

–Wpadniemy do ciebie późnym wieczorem – zawołał Curt z siedzenia kierowcy. – Gdzieś tak około jedenastej. Będziesz gotowy, no nie?

–Będę gotowy – obiecał Jurij ochryplym głosem.

Zapłonęło zielone światło i Curt zatrąbił. Samochód przed nimi szykował się do skrętu w lewo. Zniecierpliwiony Curt ryknął silnikiem i wystrzelił jak rakietą, zanim tamten zdołał skręcić. Odbili się rykoszetem od tylnego zderzaka samochodu, z którego zaraz wyskoczył protestujący kierowca.

–Na zdrowie! – Curt roześmiał się złośliwie i popędził na zachód.

W oddali Jack przecinał Park Avenue na zielonym świetle. Steve zacisnął zęby.

Ponieważ Curt wciąż przyspieszał, Steve nie miał pojęcia, co się stanie na skrzyżowaniu. Instynkt dyktował mu, że nie zdążą. Na szczęście czerwone światło zapaliło się na tyle wcześnie, by zmusić Curta do wyhamowania. Zmierzające do centrum samochody poruszały się szybko, a że teraz jechały po stronie Curta, ten był mniej skory do przejeżdżania na czerwonym świetle, tak jak uczynił to na Drugiej Avenue. Czekaając, dojrzeli Jacka skręcającego w prawo na Madison Avenue.

–Jak go zgubimy, to się naprawdę wnerwie – burknął zrzędlawie Curt.

–Założę się, że przejedzie przez park – odezwał się Steve. – Pewnie mieszka w Upper West Side.

–Może masz rację. Co zrobimy, jak faktycznie wjedzie do parku?

–Pojedziemy za nim! – odparł Steve. – Pod warunkiem, że zobaczymy, którądy wjeżdża. Wyślemy któregoś z chłopców, żeby podprowadził rower. W parku zawsze jest pełno rowerów. – Steve okręcił się na krześle i zapuścił spojrzenie w głąb półciężarówki. Szaleńcza jazda wyraźnie ochłodziła emocje żołnierzy.

–Który z was ma najlepszą kondycję do jazdy na rowerze? – zapytał głośno Steve. Żołnierze jednomyślnie pokazali Kevina.

–Zgadza się, Kevin?

–Chyba tak – potwierdził indagowany. – Jestem w dość dobrej formie.

Zmieniło się światło i ponownie wystrzelili naprzód. Przy Madison Avenue światło im sprzyjało, toteż Curt ostro pokonał zakręt. Rury i narzędzia potoczyły się na bok przy akompaniamencie przekleństw żołnierzy. Curt musiał zatrzymać się za rzędem pojazdów stojących na światłach przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy.

–Chyba widzę go na następnych światłach – oznajmił Steve.

–Tak, masz rację – potwierdził Curt. – Między autobusem i cysterną z benzyną.

Jeżu, ten facet nie wie, co to strach. Światło zmieniło się i ruszyli.

–Co ja mam robić? – spytał zdesperowany Curt. – Za cholerę nie złapiemy go w tych korkach na Madison Avenue.

–Mamy jego numer domowy – zauważył Steve. – Możemy poczekać i przekręcić do niego, a potem skłonić go do podania nam adresu.

–To jest myśl – zgodził się Curt. – Ale co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić teraz?

–Wylądujemy na rogu Piątej Avenue i Central Park South – zaproponował Steve. – Jeżeli facet wjedzie do parku, to właśnie tamtędy.

–Pomysł nie gorszy od innych – mruknął Curt. Nie był zadowolony.

Posuwali się na północ z prędkością, na jaką pozwalali im inni użytkownicy drogi. Co prawda przynajmniej przejeżdżali na światłach, ale wiedzieli, że nie zbliżają się do Jacka. Przemknęli przez Pięćdziesiątą Siódmą, gdy Steve w ostatnim momencie zauważył Jacka skręcającego na zachód.

–Psiakrew! – zawołał Curt. Spóźnili się z zakrętem.

–Nic się nie stało – uspokoił go Steve. – Jedź dalej. Spróbujemy z Piątą i Central Park South.

Okazało się, że pierwsza ulica, którą mogli pojechać na zachód, to Sześćdziesiąta. Dojechali nią do północnej części placu Grand Army, gdzie zaczynał się park.

Curt przeciął Piątą Avenue na zielonym świetle i zjechał na bok. Zatrzymał się tuż przy drewnianych policyjnych barierkach, które blokowały pojazdom dostęp do parkowych uliczek.

–No cóż, rowerów mamy pod dostatkiem, gdybyśmy chcieli jeden wziąć – skomentował

Steve, przybierając optymistyczny ton. Pełno tam było rowerzystów, wrotkarzy i biegaczy.
– Grunt, że nie ma gliniarzy – dodał.

Curt pobiegł wzrokiem do tyłu, poza połączony posąg generała Shermana na koniu, i lustrował teren wokół fontanny Pulitzera przed Plaza Hotel. Tłoczyły się tam mrowia ludzi, samochodów, autobusów i jednoślądów.

–Do dupy z taką robotą – poskarżył się. – Wiedziałem, że jak raz go zgubimy, to będziemy go szukać jak przysłowiowej igły w stogu siana.

–Ruszę za nim na rowerze, ale co mam zrobić, jak go złapię? – odezwał się z tyłu Kevin. – Życzę szczęścia! – odparł Curt. – Ten facet to zawodowiec.

–Po drodze może się zatrzymać – zauważył Steve. – Nigdy nie wiadomo.

–To prawda – przyznał Curt. – Daj Kevinowi glocka. Ale przede wszystkim daj mu swój telefon, żeby był z nami w kontakcie.

Steve obrócił się i wręczył pistolet i aparat Kevinowi, który włożył je skwapliwie do kieszeni.

–Czy mam już iść po rower?

–Nie – odrzekł Curt. – Nie ruszamy się stąd, dopóki nie zobaczymy tego sukinsyna. Prawdę mówiąc, będziemy chyba musieli skorzystać z planu numer dwa. Coraz bardziej podoba mi się ten pomysł, żeby zadzwonić do niego i przedstawić się jako Jurij.

–O w mordę, jedzie! – zawołał Steve, gwałtownie wskazując na rowerzystę, który przejechał zaledwie pięćdziesiąt stóp obok nich.

–Masz rację! – potwierdził Curt. – Do akcji, Kevin!

Kevin poczłapał do przodu i wygramolił się przez drzwi, za którymi stał Steve.

Bez chwili namysłu rzucił się do biegu. Steve wsiadł z powrotem do auta.

Curt i Steve patrzyli, jak atletycznie zbudowany Kevin, mimo martensów na nogach, przeskakuje lekko przez policyjne słupki i pędzi wprost na rowerzystę, który przystanął obok fontanny z wodą. Siedzący na rowerze mężczyzna, z czubkiem jednego buta w nosku, wychylił się, żeby napić się wody. Miał na sobie pełne kolarskie wyposażenie, wraz z hełmem, spodenkami i miękkimi rękawiczkami.

Kevin nie wahał się. Bez słowa chwycił rower i wyrwał go spod mężczyzny, tak że tamten wywinął koziołka.

Kevin przerzucił nogę przez ramę i już miał odjechać, kiedy rowerzysta ochłonął na tyle, aby zacisnąć palce na jednej z rączek. Wówczas Kevin zamknął swoją wielką dłoń w pięść i

posłał tamtego na deski.

–Och! – westchnął Steve. – To się nazywa kopyto.

Całe zajście trwało kilka sekund, tak więc pomimo tłumu ludzi mało kto je zauważył. Paru świadków pospieszyło z pomocą powalonemu rowerzyście, nikt jednak nie ruszył za Kevinem, który popedałował opętańczo w pogoni za Jackiem. Słońce zaszło już, ale nadal było dobrze widać Jacka, kierującego się na północ.

–Przynajmniej to poszło gładko – powiedział Steve. – No, i co teraz? Będziemy tu siedzieć?

Curt przesunął wzrokiem po okolicy, jakby spodziewał się tam znaleźć odpowiedź. Po chwili zastanowienia pokręcił głową.

–Nie. Sądzę, że powinniśmy pojechać do Central Park West. Jeśli Stapleton mieszka w Upper West Side, to gdzieś tam wyjedzie.

Curt wrzucił pierwszy bieg. W stosunkowo wolnym tempie potoczyli się na zachód wzdłuż Central Park South. Curt wyjął swój telefon komórkowy, upewnił się, że aparat jest włączony, i postawił go na desce rozdzielczej.

Rozdział 20 20 października, środa, 18.30 Jack wyprostował się na siodełku i zdjął ręce z kierownicy. Jadąc „bez trzymanki”, mknął uliczką pokrytą opadłymi liśćmi. Zbliżał się do wyjazdu na Central Park West na wysokości Sto Szóstej Ulicy.

Droga powrotna sprawiła mu wyjątkową frajdę. Pogoda była tak cudowna, jak się spodziewał. W czasie przejazdu Pierwszą Avenue nie obyło się bez zwykłych zaczepek, które poprawiały mu krążenie. Kiedy jak co wieczór okrążał fontannę Pulitzera, widok nagiej statuetki Obfitości w gasnącym świetle dnia sprawił, że Jack zatrzymał się, by ją podziwiać. Nic jednak nie mogło się równać z przejazdem przez Central Park. Gdy tylko uwolnił się od ludzkiej ciżby zgromadzonej przy wjeździe, pomknął jak strzała. Miał wrażenie, że leci we śnie.

Odczekał, aż zapali się zielone światło, a potem przemierzył ruchliwą aleję i wjechał na swoją ulicę. Nie czuł zmęczenia. Kręcił szybko nogami, nie czując niemal oporu na najniższym biegu. Zatrzymał się za siatką boiska. Jego oczekiwania i nadzieje sprawdziły się: w rozgrywanym właśnie meczu Warren i Flash grali w przeciwnych drużynach.

–Hej, doktorku, czego tam stoisz? Właź na boisko, człowieku! – zawołał Warren.

–Lepiej, żebyś był w dobrej formie – odkrzyknął Jack. – Bo dzisiaj dam wam popalić!

–Hu-oo! – wrzasnął Spit. Był jednym z młodszych graczy, ale został protegowanym Warrena. – Uwaga, doktorek grozi wizytami domowymi.

Grupa dogryzała Jackowi, nazywając co bardziej udane z jego zagrań „wizytami domowymi”.

–Dzisiaj wpadnę do was z niejedną wizytę – zawołał Jack. Odepchnął się od płotu i przejechał przez ulicę. Palił się do gry.

Wszedłszy na schody przed domem, przystanął i zastanowił się, czy pojedzie do Laurie taksówką, czy na rowerze. Wolałby rower, ale chciał też sprawić Laurie przyjemność. Kiedy tak rozważał wszystkie za i przeciw, spostrzegł innego rowerzystę wyłaniającego się z ciemnego parku. Jack może by go nie zauważył, gdyby nie to, że mężczyzna zdawał się potykać o własne nogi, jakby był zmęczony lub ranny.

Jack obserwował go przez chwilę, aby zobaczyć, czy tamten nie potrzebuje pomocy. Najwyraźniej nie potrzebował, wkrótce bowiem wyjął telefon komórkowy i zaczął rozmawiać, przyciskając guzik zmiany świateł na przejściu dla pieszych.

Jack zdecydował się na taksówkę, zarzucił swego ukochanego cannondale’a na ramię i wszedł do kamienicy. Pośpiesznie pokonywał dwa stopnie naraz. Otworzył drzwi, wprowadził rower do mieszkania i postawił go pod ścianą. Nie zamykając drzwi, pognął do łazienki, po drodze zrzucając z siebie części ubrania.

Przez kilka minut, z narastającą frustracją, szukał swojego stroju koszykarskiego. Kiedy go wreszcie znalazł, przebrał się momentalnie. Na końcu włożył na głowę ciemnoniebieską opaskę firmy Nike oraz stary dres z kapturem. Pobiegnął do kuchni napić się wody. Wtedy zadzwonił zawieszony na ścianie telefon.

Jack nie był pewny, co zrobić. W pierwszym odruchu chciał zostawić telefon automatycznej sekretarce, ale zaraz przypomniał sobie, że poza Laurie mało kto dzwoni pod jego numer domowy. Przypuszczając, że to może być ona, podniósł słuchawkę.

–Halo! – rzucił energicznie, ale nikt się nie odezwał. Parokrotnie powtórzył zgłoszenie. Ze słuchawki dobiegał ten sam dźwięk, który Jack wcześniej słyszał w swoim pokoju biurowym – szum płynącej wody i odległy klakson samochodowy.

Zaledwie wyszedł z kuchni, telefon zabrzączał ponownie. Nie wykluczając, że mogła się zdarzyć jakaś usterka techniczna, Jack zgłosił się po raz drugi. Ucieszył się.

To była Laurie.

–Dzwoniłaś do mnie dwie sekundy temu? – zapytał.

–Nie. Miałaś telefon?

–Nieważne. Co się stało? Właśnie wychodzę na kosza.

–Nawet nie będę się starała cię zatrzymać – odgryzła się Laurie. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że kolację zjemy we dwoje. Lou nie może dziś przyjść.

–Jego strata, mój zysk – stwierdził Jack.

–Pochlebca! – zażartowała Laurie. – W każdym razie Lou zaofiarował się, że zadzwoni do tej restauracji, do której chciałam was zaprosić. Zostaniemy pierwszorzędnie obsłużeni. Oni tam przepadają na nim.

–Doskonale. Słuchaj, Laurie, czy Paul nie uprzykrza ci życia?

–Nie odezwał się od chwili, gdy opuścił biuro – odpowiedziała Laurie.

–To dobrze.

–Do widzenia o ósmej – pożegnała się Laurie.

–Mogę się ociupinkę spóźnić – uprzedził Jack. – Jak mówię, dopiero wychodzę z domu. Ale zagram tylko jedną połowę i przed wyjazdem przedzwonię do ciebie.

–A więc do usłyszenia – rzekła Laurie. – I pamiętaj: żadnych rowerów!

–Tak jest, sir! – wyrzucił z siebie Jack. Odwiesił słuchawkę.

Pobiegł do szafy ściennej i zaczął przetrząsać jej zawartość w poszukiwaniu „papci”, jak Warren nazywał tenisówki. Włożył je i, nie trudząc się zawiązywaniem sznurowadeł, wypadł za drzwi. Wyciągnął klucz, aby je zamknąć, kiedy ktoś zawołał na dole jego nazwisko. Nie poznając głosu, Jack wychylił się nad poręcz i spojrział.

Trzej stojący w parterowym holu mężczyźni patrzyli w górę – ledwie ujrzeli Jacka, natychmiast wbiegli na schody; ich buty wybijały dzikie werble na nagich stopniach.

Przewodził im jasnowłosy strażak w błękitnym mundurze.

Jack cofnął głowę i pociągnął nosem. Obrócił się do swego mieszkania i raz jeszcze wciągnął powietrze, lecz wciąż nie wyczuwał dymu. Gdy znowu spojrział w dół klatki schodowej, przywódca grupy znajdował się już na ostatnim półpiętrze. Zamiast strażackiej siekiery czy innego sprzętu pożarniczego – w rękę ścisnął pistolet.

Kompletnie zdezorientowany Jack cofnął się do drzwi. Pozostała dwójka była ubrana nie w strażackie mundury, ale w czarne skórzane kurtki, i miała ogolone głowy. I wtedy Jack zobaczył, że ten, który zamyka pochód, trzyma karabin automatyczny!

Curt zatrzymał się sześć stóp od Jacka i zmarszczył brwi.

–Pan się nazywa Jack Stapleton, prawda? – zapytał, oglądając Jacka od stóp do głów.

–Nie, on mieszka piętro wyżej – wyjąkał Jack. Wszedł tyłem do swego mieszkania i zaczął zamykać drzwi.

Curt zrobił krok i wetknął stopę za próg. Pchnął drzwi i wszedł do mieszkania.

Jack odstąpił. Dwaj skinheadzi także wpadli do środka. Ten z karabinem miał na czole wytatuowaną swastykę.

Oczy Curta szybko prześlizgnęły się po spartańskim wnętrzu pokoju. Potem Curt znowu wgapiał się w Jacka i taksował go przenikliwym wzrokiem. Wyraźnie był zbity z tropu.

–Myślę, że to pan jest Stapleton – oświadczył.

–Nie, nazywam się Billy Rubin – odparł Jack, podając pierwsze lepsze nazwisko, jakie mu przyszło na myśl. – Jack mieszka zaraz nade mną. – Wskazał nieśmiało sufit.

–Kapitanie, pod ścianą stoi rower – odezwał się Mike.

–Tak, widziałem – powiedział Curt, nie odrywając oczu od Jacka. – Ale to nie wygląda mi na mieszkanie lekarza, a facet jest jakoś inaczej ubrany. Rozejrzyjcie się za jakąś kopertą albo czymś, gdzie byłoby nazwisko tego pajaca.

–Mogę przekazać Jackowi wiadomość – zaoferował się Jack. Nie spuszczał wzroku z pistoletu w ręce Curta.

–Dzięki, spryciarzu. Stój tam cierpliwie i nie ruszaj się – warknął Curt.

Jackowi przemknęło już, aby pobiec do sypialni i wyskoczyć przez okno, ale zaraz zarzucił ten pomysł jako niezbyt praktyczny. Mieszkał na trzecim piętrze; zawisłby jedynie na schodach przeciwpożarowych.

–Dlaczego go szukacie? – spytał Jack.

–Ma do wyrównania rachunki z Ludową Armią Aryjską – oznajmił Curt. – Poważne rachunki.

–Jestem pewien, że Jack nie kontaktuje się z żadną armią – przekonywał Jack.

–Jest zdecydowanym przeciwnikiem wojny i przemocy.

–Stul pysk! – krzyknął Curt.

–Znalazłem tu coś – powiedział stojący przy drzwiach sypialni Mike. Podniósł spodnie Jacka i usiłował wyłuskać jego portfel z tylnej kieszeni. Wyciągnął go i otworzył. Gwizdnął na widok odznaki lekarza sądowego i pokazał ją Curtowi.

–Przeczytaj nazwisko, na miłość boską – warknął rozdrażniony Curt.

–Może powinniśmy porozmawiać o tych nie uregulowanych rachunkach, o których pan wspomniał – zasugerował Jack.

–Nie ma o czym mówić – uciął Curt.

–O, jest prawo jazdy – obwieścił Mike. – A na nim nazwisko: Jack Stapleton.

Czarno na białym.

–Jack często korzysta z mojego mieszkania, żeby się przebrać – wyjaśnił Jack.

Niespodziewanie z klatki schodowej dobiegł znów tupot ciężkich buciorów. Po chwili rozległo się wołanie Steve'a:

–Curt, stój. Nastąpiło nieporozumienie!

Curt nastroszył się. Obrzucił spojrzeniem otwarte drzwi, momentalnie jednak powrócił do Jacka. Wtedy do pokoju wpadli Steve, Kevin i Clark. Za nimi wyłoniły się trzy inne postacie – mężczyźni wkroczyli do środka i rozbiegli się, nakazując, by nikt się nie ruszał.

Curt okręcił się i spojrzał w lufy trzech wycelowanych w siebie pistoletów maszynowych typu Tec.

–Nawet o tym nie myśl – ostrzegł Warren, celując mu między oczy.

Przez jedną, pełną napięcia chwilę wszyscy zamarli w bezruchu, wstrzymując oddechy.

–Dobra, Spit – przerwał ciszę Warren. – Bierz broń.

Spit wysunął się do przodu, trzymając automat w prawej ręce. Najpierw odebrał pistolet, który schował do kieszeni, a potem karabin. Wrócił na poprzednie miejsce.

–A teraz, kolesie, ustawcie się pod ścianą – rozkazał Warren. Curt ani drgnął.

Na jego twarzy wykwitł pogardliwy uśmieszek.

–Hej, człowieku, zrobisz, co ci każę, albo ta bajka dobiegnie końca – zagroził Warren. – Kapujesz, co do ciebie mówię?

–Przepraszam, kapitanie – wtrącił się Steve. – Zaskoczyli nas.

–Zamknij się! – huknął Warren. – To nie przesłuchanie do zespołu rapowego.

Z wyzywającą arogancją Curt podszedł do ściany, nie zdejmując rąk z bioder.

–Przeszukaj ich, Spit – polecił Warren.

Spit położył obydwie automaty na podłodze i podszedł kolejno do każdego ze stojących twarzą ku ścianie mężczyzn, aby ich zrewidować. Nie znalazłszy przy żadnym ukrytej broni, cofnął się.

–Okay, odwrócić się – rozkazał Warren.

Mężczyźni zrobili to, co im kazano. Z wyjątkiem wyraźnie przestraszonego Steve'a, wszyscy przybrali zuchwałę, obojętne pozy.

–Nie wiem, skąd się biorą takie białe śmieci jak wy, i gównu mnie to obchodzi – zaczął Warren. – Ale w tej dzielnicy nie ma dla was miejsca i basta. Zatrzymam ten cały szmelc, z którym tu przyszliście. I na tym koniec. Nie będzie żadnych rozwałek.

–Przepraszam, Warren – wtrącił się Jack. – Uważam, że powinniśmy wezwać policję.

–Morda w kubeł! – syknął Warren w równie jadowity sposób, w jaki przed momentem zwrócił się do Steve'a.

Jack wzruszył ramionami i dał krok w tył. Zbyt dobrze znał Warrena, by nie orientować się, kiedy nie należy go drażnić. Teraz właśnie nadeszła taka chwila.

–Okay, ładujcie wasze białe dupy do bryki i spadajcie stąd – ciągnął Warren. – I słowo daję, że jak który jeszcze raz mi się tu pokaże, to zabawa zacznie się na całego. Pójdziecie wachać kwiatki od spodu. Będziemy mieć was na oku. Słyszycie, co do was mówię?

–Warren – odezwał się Jack. – Myślę, że...

Warren okręcił się gwałtownie i wycelował palcem w twarz Jacka.

–Mówiłem, że masz się zamknąć! – warknął.

Jack cofnął się o kolejny krok. Nigdy przedtem nie widział Warrena tak rozjuszonego.

–Flash – dodał Warren spokojniejszym tonem. – Odprowadź ze Spitem tych białych lalusiów na dół i dopilnujcie, żeby opuścili naszą dzielnicę. Ja jeszcze zostanę z doktorkiem na małą pogawędkę.

Podczas gdy grupa w milczeniu wysypała się z mieszkania, Warren odwrócił się do Jacka i łypnął na niego złowieszczo. Jack przestąpił z nogi na nogę. Nie wiedział, co ma powiedzieć.

Warren trzymał teca w lewej ręce, prawą wymierzył Jackowi serię wściekłych dźgnięć w ramię. Jack był zmuszony coraz bardziej się cofać, aż w końcu ostatnie pchnięcie powaliło go na tapczan. Warren pochylił się nad nim.

–Co z tobą, doktorku? – spytał Warren. – Nie narobiłeś takiego zamieszania od dwóch lat.

Myślałem, żeś się poprawił. A tu nagle taka chryja. Ostrzegam cię: stajesz się zakałą tej dzielnicy. Rozumiesz, co mówię?

–Przepraszam – powiedział Jack.

–Co z tego, że przepraszasz, jeśli jakiś dzieciak oberwie z twojego powodu? – odparł Warren. – Czego te białe śmieci od ciebie chciały? To nie są żarty, ci chłopcy przytachali ze sobą kałasznikowy. Cholera! Gdyby te kulki się posypały, mogliby zranić wielu ludzi.

–To były kałasznikowy?

–A co sadzisz, że zmyślam?

–Gdzie wyprodukowano te karabiny?

–Co za pytanie? Czy to ważne gdzie?

–Być może, jeśli to broń bułgarska.

Warren popatrzył kwaśno na Jacka, po czym podszedł do miejsca, gdzie Spit położył odebranego Carlowi kałasznikowa. Warren podniósł karabin i wrócił z nim do Jacka.

–No, masz rację – przyznał urażonym tonem. – Bułgarski. Co to znaczy?

–Nie wiem na pewno, ale myślę, że może to mieć jakiś związek z nowym narzeczoną Laurie.

–To brzmi nie najlepiej. Czyżbyście ty i Laurie zerwali ze sobą?

–Nie całkiem – odrzekł Jack. – Wydaje mi się, że nowy chłopak Laurie trochę jej podpadł, ale pozwól, że wyjaśnię ci wszystko od początku.

Jack opowiedział Warrenowi o Paulu Sutherlandzie i o tym, jak upokorzył tamtego kilka godzin wcześniej. Napomknął, że Paul niedwuznacznie mu groził, i wspomniał o obawach Laurie związanych z tym, że człowiek ten handluje karabinami produkcji bułgarskiej.

Gniew Warrena nieco przygasł, kiedy wysłuchał opowieści Jacka.

–Domyślam się, że nie mogłeś przewidzieć, że ci faceci tutaj wpadną.

–Oczywiście, że nie – zapewnił Jack. – Nie wiem nawet, skąd znali mój adres.

–Te białe śmieci mnie przerażają – wyznał Warren.

–Mnie też – zgodził się Jack. – Ten blondyn w strażackim mundurze wspomniał o paramilitarnej grupie zwanej Ludowa Armia Aryjska. Usłyszałem tę nazwę w poniedziałek od

agenta FBI, który usiłował się czegoś na ich temat dowiedzieć. Słyszałeś o nich?

–Nie.

–Muszę znów powtórzyć pytanie: Dlaczego puściłeś ich wolno? Ja bez namysłu bym ich oddał policji. Policja, a może i FBI wzięliby tych chłopaczków w obroty.

–Jesteś wstrząśnięty, bo tak naprawdę żyjesz w innym świecie, mimo że zajmujesz to mieszkanie – wyjaśnił Warren. – Nie masz zielonego pojęcia o gangach.

Wypuściłem ich, bo myślałem o całej dzielnicy, nie o policji czy FBI. Na tej samej zasadzie nie chciałem, żeby stała im się krzywda. Nie dlatego, że mi na nich zależy!

Skądże, do cholery! Ale dlatego, że zaczęłyby się draka. Oni by wrócili. A tak wiem, że nie wrócą. Żyj i pozwól żyć.

–W tym względzie zdaję się na twoje doświadczenie – oznajmił Jack.

–Obawiam się, że nie masz wyboru – stwierdził Warren. Zaczerpnął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze z płuc. – No to jak, porzucamy trochę? Nie przeszła ci ochota na kosza?

–Potrzebny jest mi teraz bardziej niż przedtem – odparł Jack. Podniósł się stanął na wacianych nogach. – Nie mogę obiecać, że zagram skutecznie. Czuję się, jakbym wyszedł cało z bitwy, choć przecież nie padł ani jeden strzał.

Warren wyszedł przed Jackiem na korytarz. Jack zamknął drzwi na klucz i dołączył do niego.

–Dzięki za pomoc w potrzebie. Ponieważ ratujesz mnie nie pierwszy raz, myślę, że teraz kolej na mnie.

Warren na przekór sobie wybuchnął śmiechem.

–Chciałbym dożyć tego dnia!

Jack zadzwonił do drzwi Laurie, a potem obrócił się i pomachał na powitanie Debrze Engler. Wścibska sąsiadka odpowiedziała mu trzaśnięciem drzwi, co było nie lada wyczynem, uchyliła je bowiem na ledwie ponad cal. Jack odwrócił się z powrotem i usłyszał pstryknięcie, kiedy Laurie odsłoniła judasza. Pomachał jej. Wtedy rozległ się szcęk otwieranych zamków.

Mimo utarczki z Paulem Laurie kipiła werwą. Ucisnęła Jacka z entuzjazmem, po czym znikła w sypialni, by włożyć zegarek i biżuterię. Tom Dwa otarł się zalotnie o nogę Jacka. Jack pochylił się, aby pogłaskać kota.

–Mam nadzieję, że zgodnie z daną obietnicą przyjechałeś taksówką! – zawołała z sypialni

Laurie.

–Nie, nie taksówką – zaprzeczył Jack.

Laurie wysunęła głowę przez drzwi i spojrzała na Jacka oskarżycielsko.

–Przecież obiecałeś.

–Warren mnie przywiózł – rzekł Jack. – Mam nadzieję, że nie obrazisz się, że zaprosiłem go na naszą kolację.

–Ależ skądże – zapewniła go Laurie. – Czy Natalie też będzie?

–Nie, tylko Warren. Szczerze mówiąc, to on sam się wprosił. Otóż, widzisz, wkrótce po naszej rozmowie musiałem stawić czoło pewnej przeciwności.

–Co się stało? – zapytała Laurie. Wyszła z sypialni. W jej głosie pobrzmiwała troska. Znała Jacka i wyczuła, że cokolwiek się stało, było to coś więcej niż przeciwność.

–Mówiąc językiem Warrena, o mało nie rozwaliła mnie Ludowa Armia Aryjska – wyjaśnił Jack.

Laurie rozdziawiła usta.

–Co ty wygadujesz?

Jack pokrótce zdał Laurie sprawę z wydarzeń, które rozegrały się w jego mieszkaniu. Gdy jej opowiedział o broni i o tym, że Warren przybył w samą porę, Laurie zakryła usta dłonią.

–O Boże – westchnęła. – Tylko dlaczego dokonano tego napadu? Przecież to ja robiłam autopsję Brada Cassidy’ego, jeśli te dwie sprawy należy ze sobą jakoś łączyć.

Nie wiem nic na temat innych związków z Ludową Armią Aryjską.

–Sądzę, że nie miało to nic wspólnego z Bradem Cassidym – powiedział Jack. – To raczej niemożliwe, bo ja nie miałem z nim żadnych związków. Prawdę mówiąc, uważam za prawdopodobne, że napad należy łączyć z Paulem Sutherlandem.

Laurie zbladła. Gwałtownie wstrzymała oddech i przerażona znowu zakryła usta dłonią.

–Spokojnie – pospieszył Jack. – Nie ma żadnych dowodów. To po prostu jedyne, co przyszło mi wtedy do głowy, i od tamtej pory nie wymyśliłem nic lepszego.

Mówię ci o tym tylko dlatego, że jeśli to prawda, powinnaś o tym wiedzieć, choćby istniał jedynie cień możliwości.

–Wytłumacz mi, czemu to się zdarzyło właśnie tobie – zażądała Laurie.

Jack powiedział o bułgarskich kałasznikowach, które Warren skonfiskował napastnikom. Następnie przypomniał Laurie o zawołanej pogroźce, którą Paul skierował pod jego adresem. Skończywszy, wzruszył ramionami.

–Wiem, że to zwykle poszlaki.

Laurie opadła na krzesło w stylu art deco i objęła głowę rękoma.

–Ejże. – Jack położył rękę na jej ramieniu. – Musisz pamiętać, że to są tylko domysły.

–Być może – odezwała się Laurie. – Ale układają się w sensowną całość. – Pokręciła głową. – Jak ktoś może prowadzić takie życie?

–No już! – zachęcił ją Jack. Poklepał ją parę razy po plecach. – Nie wpadajmy w dołek. Jedźmy do miasta i zabawmy się.

–Jesteś pewny, że masz na to ochotę po tym wszystkim?

–Absolutnie! – odparł Jack. – Ruszajmy! Nie każmy na siebie za długo czekać Warrenowi i Spitowi.

–Gdzie oni są?

–Na dole w samochodach. Warren uparł się, żeby przyjechać z obstawą, w razie gdyby Ludowa Armia Aryjska pojawiła się na bis.

Laurie skoczyła na równe nogi.

–Powinieneś był mnie uprzedzić, że Warren czeka. – Pobieгла z powrotem do sypialni.

–Mówiłem ci, że mnie przywiózł – zawołał za nią Jack. Znow schylił się i zaczął głaskać kota.

–Kto to jest Spit? – krzyknęła po chwili Laurie. – A może nie powinnam pytać?

–Gra w podstawowym składzie – wyjaśnił Jack. – Warren wziął go pod swoje skrzydła i ma do niego zaufanie.

Kiedy Laurie była gotowa, zeszli na dół. Warren i Spit czekali tuż przy wejściu.

Laurie i Warren uścisnęli się serdecznie, ponieważ nie widzieli się od kilku miesięcy.

–Dobrze wyglądasz, kobieto – skomplementował Warren, oglądając ją od stóp do głów.

–Ty też wyglądasz niczego sobie, facet – odparła Laurie, akcentując ostatnie słowo.

Warren zaśmiał się i przedstawił jej Spita. Po raz pierwszy, odkąd Jack go znał, Spit wydawał się zmieszany. Na znak szacunku obrócił nawet swoją bejsbolówkę daszkiem do przodu – czego Jack również dotąd nie widział.

–Gdzie ta restauracja? – spytał Warren. – Jestem gotowy do uczyty.

–No to w drogę – zaproponowała Laurie. – Ja pokażę drogę.

Podróż do restauracji przebiegła szybko i bez zakłóceń. Warren kazał Jackowi i Laurie zabrać się jego wozem, Spit jechał za nimi. Z początku rozmawiali o niepokojącym incydencie w mieszkaniu Jacka, ale wkrótce jednomyślnie przeszli do weselszych tematów. Laurie pragnęła zwłaszcza dowiedzieć się, co słyhać u Natalie Adams, „laleczki” Warrena, której nie widziała równie dawno, jak jego samego. Ucieszyła się na wieść, że układa im się bardzo dobrze.

Parkowanie w Little Italy zawsze wiązało się z kłopotami, ale nie dla Warrena.

Uzbrojony w swoją puszkę bez dna, zajechał przed hydrant leżący najbliżej restauracji. Spit ustawił się równolegle, lecz nie wszedł do środka. Jak to określił Warren, Spit miał „pokręcić się na ulicy”.

Jack od pierwszej chwili był oczarowany restauracją. Nie tylko zachwycił go intensywny, ziołowy aromat wybornego jedzenia, ale też ogromnie spodobał mu się kiczowaty wystrój wnętrza, z widokami Wenecji malowanymi na czarnym aksamicie, plastikową winoroślą oplatającą kratowaną altankę i sztapowymi obrusami w biało-czerwonej kratę. Nawet banalna butelka Chianti ze świecą, która zdobiła każdy stół, przypadła mu do gustu.

–Mam nadzieję, że zarezerwowaliście miejsca – odezwał się Warren, lustrując zatłoczone pomieszczenie. Stało tutaj około trzydziestu stolików. Wszystkie były najwyraźniej zajęte.

–Lou miał zadzwonić – powiedziała Laurie. Spróbowała zatrzymać jednego ze strapionych kelnerów. Chciała zapytać o Marię, gospodynię. Ale to Maria znalazła ją.

Po wymianie uścisków Laurie przedstawiła jej Jacka i Warrena. Maria ich także serdecznie uścisnęła.

–Szkoda, że Lou nie mógł przyjść – zauważyła Maria. – Zapracowuje się. Te zbiry nie zasługują na niego.

Ku zaskoczeniu Jacka i Warrena wolny stół wyrósł jak spod ziemi. Po chwili już siedzieli.

–Podoba wam się tutaj? – zapytała Laurie.

Obaj mężczyźni skinęli głowami.

Laurie niecierpliwie potarła dłonie.

–Zamówmy wino. Czuję, że tego mi potrzeba.

Kolacja okazała się nad wyraz udana. Jedzenie rozpływało się w ustach, a rozmowa toczyła się wartko. Troje przyjaciół wspominało swoją wyprawę do Afryki sprzed dwóch lat. Opowiedzieli parę anegdot Marii, która przysiadła się na kwadrans do ich stolika.

Gdy przyszedł czas na deser i kawę, Laurie zapytała Warrena, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, że ona i Jack pogadają przez moment o pracy.

–Nie krępujcie się – rzekł Warren.

–Chodzi o przypadek Jacka – wyjaśniła Laurie. – O kobietę, która zatrula się jadem kiełbasianym.

–W gruncie rzeczy to nie mój przypadek – wszedł jej w słowo Jack. – To istotna różnica. Poza tym Warren dobrze go zna.

Laurie plasnęła dłonią w czoło.

–No przecież. Jakże mogłam zapomnieć?

–Mówi o Connie Dawidów – rzekł Jack.

–Domyśliłem się – przytaknął Warren. – Flash był rozczarowany, że uznałeś jej śmierć za przypadkową.

–A więc wiedziałeś o zatruciu jadem kiełbasianym? – spytała go Laurie.

Warren skinął głową.

Laurie roześmiała się z zakłopotaniem.

–Wygląda na to, że dowiedziałam się na szarym końcu.

–Dzwoniłem do Warrena dzisiaj rano, kiedy poznałem wyniki – wytłumaczył Jack. – Potrzebny był mi numer do Flasha.

–Mniejsza o to – ucięła Laurie. – Co się zmieniło od tej chwili?

–Prawie nic. Obawiam się, że sprawa ugrzęzła w biurokratycznym bagienku.

Gdy zatelefonowałem do Sandersa z wiadomością o botulizmie, ciało zostało już spalone. A

fakt, że autopsji nie będzie, oznacza, iż Brooklynowi trudno się będzie wytłumaczyć z pomyłki, chyba że ta informacja zostanie utajniona. Tak czy siak, Bingham będzie miał twarde orzechy do zgryzienia.

–Czyli Departament Zdrowia o niczym jeszcze nie wie – skonkludowała Laurie.

–Tak przypuszczam – potwierdził Jack.

–No cóż, to straszne – westchnęła Laurie.

–Dlaczego to takie straszne? – zapytał Warren. – Przecież Connie już nie żyje.

–Ale nie wiadomo, skąd pochodzi toksyna – wyjaśniła Laurie. – W istocie my, lekarze sądowi, wykonujemy nasz zawód po to, aby ratować życie ludzkie. To zatrucie jadem kiełbasianym dobrze to ilustruje. Gdzieś kryje się źródło choroby, które może zabić innych ludzi.

–Okay. Teraz rozumiem.

–Ten przypadek ma pewien aspekt, o którym jeszcze nie wiecie – dodał Jack. – W tej samej dzielnicy, w której mieszkała Laurie, znaleziono znaczną liczbę martwych szczurów kanałowych.

–Niesłychane – zdziwiła się Laurie. – Czyżbyś chciał dać do zrozumienia, że otruły się toksyną botulinową?

–Tak jest. Przyczynę zgonu potwierdzono przed paroma godzinami.

–To znaczy, że źródło trucizny, która zabiła Connie, przedostało się do ścieku – zasugerowała Laurie.

–Albo że szczury w jakiś sposób zainfekowały Connie – dopowiedział Jack. – Connie mieszkała w starym domu, w dziwnej enklawie ruder nie z tej epoki. Szkoda, żeście nie widzieli tego osiedla. Nie mam co prawda pojęcia o funkcjonującej tam sieci wodociągowej, ale sądząc po kiepskim stanie tych domków, jakoś nie mogę sobie wyobrazić, że wodociągi należą do najnowszych osiągnięć techniki.

Laurie pokręciła głową.

–Uważam, że wodociąg nie ma tu nic do rzeczy. Musiało być dokładnie na odwrót. Jad pochodził z domu Connie. I musiało być go bardzo dużo, skoro wytruł tyle szczurów. Ciekawe, czy Connie robiła przetwory. – Laurie spojrzała na Warrena.

Warren podniósł rękę.

–Nie patrz na mnie. Ja nigdy nie spotkałem tej kobiety.

–No cóż – zamyśliła się Laurie. – Byłoby dobrze, żeby ktoś obznajomiony z epidemiologią rozejrzał się po mieszkaniu Connie w poszukiwaniu źródła. Przede wszystkim należy ostrzec jej męża. Jeśli źródło znajduje się w pobliżu, jest z pewnością zagrożony.

–To samo sobie pomyślałem – rzucił Jack. – Co więcej, pojechałem tam dziś około południa właśnie w tym celu.

–Rozmawiałeś z Jurijem Dawidowem? Czy Flash wie o tym? – spytał Warren.

–Nie zastałem Dawidowa w domu – odpowiedział Jack. – Trafiłem tylko na jego sąsiada, który powiedział, że Jurij wyjechał w trasę taksówką i że wróci dopiero o dziewiątej lub dziesiątej.

Laurie zerknęła na zegarek.

–W tej chwili więc powinien być w domu.

–Zgadza się. Co proponujesz?

–Czy znasz jego numer telefonu? – spytała Laurie.

–Owszem, ale nic z tego nie będzie. Pan Dawidów wyłączył swój aparat z sieci.

–Kiedy ostatni raz do niego dzwoniłeś?

–Dziś rano.

–Myślę, że warto jeszcze raz spróbować – oznajmiła Laurie. Sięgnęła po torebkę i wyjęła swój telefon komórkowy. – Jaki to numer?

–Nie mam go przy sobie – odparł Jack. – Został w moim pokoju.

–Spróbuję przez informację. Możesz przeliterować mi jego nazwisko?

Laurie bez trudu uzyskała szukany numer. Podała Jackowi adres, aby mieć zupełną pewność, że numer się zgadza. Kiedy go wybrała, usłyszała zajęty sygnał.

–Więc teraz mi wierzysz? – zapytał Jack.

–Wierzyłam ci od początku – wyjaśniła Laurie. – Uznałam jednak, że nie zaszkodzi spróbować. Zatem telefon odpada. To znaczy, że powinniśmy tam pojechać.

–Kiedy? Teraz? – spytał Jack.

–Jak się będziesz czuł, jeśli ten człowiek umrze przez naszą beczynność?

–Winny – odparł Jack. – W porządku, pojedę, ale to trochę potrwa. Brighton Beach leży po drugiej stronie Brooklynu.

–O tej porze to nie powinno trwać tak długo – zaproponowała Laurie. – Pojedziemy tunelem Brooklyn Battery i Shore Parkway. Na ulicach nie ma korków: ani się obejrzymy, jak będziemy na miejscu.

–Ja nie jadę – oświadczył Warren. – Flash twierdzi, że ten facet to kawał gnojka. Niech się nim zajmą profesjoniści. Spit i ja wracamy do domu.

–Oczywiście – powiedziała Laurie. – Weźmiemy taksówkę.

–Nie trzeba – rzekł Warren. – Weźcie moją brykę. Ja zabiorę się ze Spitem.

Wiesz, jak masz parkować, doktorku.

–Jesteś pewien? – spytała Laurie.

–Jasne, że jestem pewien. Jedźcie się rozerwać, ludzie. I wracajcie bez strachu. Postawimy kogoś na noc, żeby miał na wszystko oko.

Rozdział 21 20 października, środa, 22.30 Jurij wyprostował się i przeciągnął. Po starannym wypełnieniu kosza sproszkowanym węglikiem zamontował go na międzypodziemnym opylaczu roślin. W sumie procedura ta zajęła mu blisko dwie godziny; część tego czasu spędził w laboratorium, ubrany w kombinezon do pracy w niebezpiecznych warunkach. Wreszcie jednak stało się: ciężarówka do tępienia szkodników była gotowa na spotkanie z przeznaczeniem.

Jurij popatrzył na zegarek i po raz pierwszy tego wieczoru pozwolił sobie na odprężenie. Od momentu gdy wymknął się z wariackiego pościgu, jaki ten szaleniiec Curt i jego spółka urządzili za Jackiem Stapletonem, wpadł w lekki popłoch. Bał się, że wbrew złożonej obietnicy nie zdąży przygotować wszystkiego na czas. Lecz niepotrzebnie się martwił. Uporał się z ciężarówką o dziesiątej trzydzieści – pół godziny przed czasem. Na kuchennym stole leżało pięć jednofuntowych, plastikowych kielbasek, wypełnionych żółtawym proszkiem, które miał przekazać Curtowi i Steve'owi. Na wierzchu leżała zalakowana koperta z informacjami, o które prosił Curt. Przy zlewozmywaku wisiał włochaty ręcznik kąpielowy, w który Jurij zamierzał owinać ładunek. Świadomy roli, jaką ciężarówka wkrótce będzie musiała odegrać, Jurij poklepał bok wozu, a następnie zerknął do szoferki, aby upewnić się, że kluczyki nadal wiszą tam, gdzie je zostawił – na bocznej osłonie przeciwslonecznej. Nie chciał rano popełnić jakiegoś głupiego błędu, na przykład zapodziać kluczyków. Planował punkt ósma pojechać na Manhattan z walizką, fałszywym paszportem i biletem lotniczym.

Jurij podszedł do bocznych drzwi. Po raz ostatni spojrzął z podziwem, na ciężarówkę i zgasił światło. Zanim otworzył drzwi garażu, wsunął prawą rękę pod kurtkę i ujął rękojeść

glocka. Wciąż obawiał się Flasha Thomasa, choć prawdopodobieństwo takiej wizyty nocą uważał za znikome. Przynajmniej nie musiał już przejmować się Jackiem Stapletonem.

Otwierając drzwi, Jurij dziwił się, że tak późno poznał się na Curcie. Owszem, Steve też był postrzelony, ale Curt miał prawdziwego fioła. Chociaż Jurij nie był psychologiem, przypuszczał, że w dzieciństwie Curta musiało się wydarzyć coś nienormalnego, co naznaczyło jego osobowość. Jurij wiedział, że Amerykanie są chciwi i gwałtowni i że mają niską samoświadomość, lecz cechy te u Curta występowały w skrajnym nasileniu: jego i tylko jego pogląd na świat jest prawdziwy. Najbardziej jednak zirytowała Jurija antysłowiańskość Curta, która stopniowo, w trakcie ich współpracy, wychodziła na jaw.

Jurij stanął z kluczem w ręku przed drzwiami kuchennymi. Wahał się – zaduma nad osobowością Curta obudziła w nim rozterkę, której wcześniej sobie nie uzmysławiał. Czy aby Curt nie będzie się starał przypisać całej zasługi za zamach Ludowej Armii Aryjskiej, mimo że on i jego ludzie nie będą mieli nic wspólnego z wybuchem w Central Parku?

–Cziort! – mruknął Jurij, zdając sobie sprawę ze słuszności swej obawy. Do tej pory taka myśl nie przyszła mu do głowy.

–Czy pan Dawidów? – zapytał kobiecy głos.

Słyszając swoje nazwisko, Jurij spojrzał zaszokowany w stronę uliczki. Chociaż domy w tej dzielnicy niemal stykały się ze sobą, Jurij w miarę możliwości unikał sąsiadów. Jego dłoń zacisnęła się na pistolecie.

–Przepraszam! Czy pan się nazywa Dawidów?

Jurij usiłował przeniknąć wzrokiem ciemność. Dylizansowa lampa nie paliła się, a ulica nie była oświetlona, dlatego zdołał jedynie rozróżnić w mroku dwie postacie majaczące ze drucianą siatką. Ulżyło mu trochę, gdy zobaczył, że oboje są biali.

Przynajmniej to nie Flash Thomas.

–Kto pyta? – odparł.

–Jestem doktor Laurie Montgomery. Jeżeli nazywa się pan Dawidów, chciałabym zająć panu kilka minut w bardzo ważnej sprawie.

Jurij wzruszył ramionami. Nie wypuszczając z ręki pistoletu, pewny, że w razie potrzeby mógłby go szybko dobyć, Jurij zbliżył się do płotu. Wtedy spostrzegł, że drugim człowiekiem jest mężczyzna.

–Przepraszamy, że nachodzimy pana o tak późnej porze – podjęła Laurie. – Jestem patologiem sądowym z Manhattanu. Czy wie pan, kim jest patolog sądowy?

Jurij chciał odpowiedzieć, ale język uwiązał mu w gardle. Mimo panujących ciemności rozpoznał drugą postać. To był Jack Stapleton!

Laurie, biorąc milczenie za odpowiedź negatywną, wyjaśniła, na czym polega praca patologa sądowego.

Jurij przełknął z ledwością. Patrząc na Jacka Stapletona, nie wierzył własnym oczom. Co się stało? Czemu Curt o niczym go nie poinformował? Po chwili jednak Jurij przypomniał sobie, że ma wyłączony telefon.

–A przyjechaliśmy tutaj – ciągnęła Laurie – ponieważ mamy powody sądzić, że pańska świętej pamięci żona, Connie, zatrula się jadem kiełbasianym. Czy pan wie, co to takiego?

Jurij skinął głową. Słyszał teraz bicie swego serca i lękał się, że tych dwoje, z którymi stał oko w oko, może również je usłyszeć. Zupełnie nie wiedział, co ma zrobić. Spławić ich? Zwabić do środka i zaczekać na Curta? Całkiem stracił koncept.

–Obawiamy się, że źródło choroby może nadal znajdować się w pańskim mieszkaniu – mówiła Laurie. – Czy pańska żona robiła przetwory?

–Nie wiem – wyjąkał Jurij.

–No cóż, trzeba by to koniecznie ustalić – nie dawała za wygraną Laurie. – Są też inne możliwe źródła: świeży czosnek w oliwie bądź mrożone pierogi z mięsem. A propos, czy pan jest Rosjaninem?

–Tak – zdołał wykrztusić Jurij.

–Podpowiedział mi to pański akcent – wyjaśniła Laurie.

–Z którego miasta pan pochodzi? – odezwał się po raz pierwszy Jack.

–Ummm – wymruczał Jurij z wahaniem. Po czym odparł: – Z Sankt Petersburga.

–Słyszałam, że to piękne miasto – oznajmiła Laurie. – W każdym razie jest taki gatunek łososia, bardzo lubiany przez rosyjskich imigrantów, u którego także wykryto jad kiełbasiany. Czy zdarza się panu jadać tę rybę?

–Nie za często – odrzekł Jurij. Nie miał pojęcia, o czym Laurie mówi.

–Bardzo byśmy chcieli wejść i obejrzeć pańską kuchnię. Musi pan wiedzieć, że tego rodzaju źródło choroby może być bardzo niebezpieczne.

–Cóż, ja... – zaczął Jurij.

–To nie potrwa długo – wtrąciła Laurie. – Obiecujemy. Widzi pan, przyjechaliśmy tutaj aż z

Manhattanu. Naturalnie moglibyśmy zawiadomić Departament Zdrowia. Ich inspektorzy weszliby bez pardonu i mieliby pełne prawo to uczynić.

–No, jeśli to nie potrwa długo, mogę się zgodzić – powiedział Jurij. Powoli otrząsał się z pierwszego szoku. Absolutnie nie życzył sobie, aby w nocy do jego domu pchali się państwowi urzędnicy uzbrojeni w nakaz rewizji. Poza tym zaświtał mu w głowie pomysł, jak obrócić tę niespodziewaną wizytę na swoją korzyść.

–Dziękujemy – rzekła Laurie.

Jurij ruszył przodem ku drzwiom do kuchni. Otworzył je i wszedł. Laurie i Jack deptali mu po piętach.

Oczy Laurie prześlizgnęły się po ciasnym pomieszczeniu w kształcie litery L.

–Ta kuchnia jest... – zaczęła. Szukała właściwego słowa i w końcu stwierdziła: – ...urocza.

Jack skinął głową, lecz bardziej interesował go wygląd samego Jurija.

–Nabawił się pan nieprzyjemnego uczulenia.

Jurij, z jawnym zażenowaniem, dotknął dłonią twarzy. Jego druga ręka ciągle tkwiła w kieszeni, ściskając glocka.

–To jakaś alergia – wyjaśnił.

Jack przekrzywił głowę na bok i przyglądał się Jurijowi zmrużonymi oczami.

–Czy ja już pana gdzieś widziałem?

–Wątpię – odparł Jurij. Wskazał kuchnię. – Tutaj jest cała żywność.

Laurie natychmiast podeszła do lodówki i otworzyła drzwi. Pochyliła się i popatrzyła na zawartość. Nie było tego wiele.

Jack stanął za nią, lecz jego uwagę zwróciły leżące na stole przedmioty.

–Co to jest? – spytał z zaciekawiony, stukając palcem w jedną z przezroczystych plastikowych kiełbas.

Jurij skoczył do przodu.

–Ostrożnie! – zawołał. Zaraz jednak uspokoił się, gdy Jack cofnął rękę. – Nie chciałbym, żeby się rozerwały.

–Przepraszam – rzekł Jack. – Nie dotknąłem ich zbyt mocno. Czy to jakiś rosyjski specjał?

–W pewnym sensie – odparł niejasno Jurij.

–Momencik – zagadnął naraz Jack. – Pamiętam pana. Ale pan pochodzi chyba ze Swierdłowska?

–Nie, z Sankt Petersburga.

–Czy aby nie spotkaliśmy się w biurze Korynckiego Przedsiębiorstwa Dywanowego? – pytał Jack. – Pański sąsiad, Igor, powiedział mi, że pan prowadzi taksówkę.

Nie przyjechał pan do firmy dywanowej po pana Papparisa?

–Musiał mnie pan pomylić z kimś innym – odparł napiętym głosem Jurij.

–Jest pan kubek w kubek podobny do tamtego faceta – stwierdził Jack.

Laurie otworzyła zamrażarkę. Wewnątrz była jedynie butelka wódki i tacka z kostkami lodu.

–Nie trzyma pan dużo jedzenia – zaobserwowała Laurie.

–Moja żona jadła w barach szybkiej obsługi – wyjaśnił Jurij. – A ja po drodze.

Laurie skinęła głową. Otworzyła szafkę kuchenną. Nie znalazłszy tam niczego podejrzanego, odstąpiła krok w tył i lustrowała maleńką kuchnię.

–Nie widzę żadnych domowych przetworów.

–Wszystko jest na dole – powiedział Jurij.

Laurie odwróciła się i wlepiła wzrok w Rosjanina.

–A więc jednak pańska żona przyrządzała przetwory?

–Kiedyś – przytaknął Jurij. – Teraz sobie przypomniałem.

–Czy ta żywność się zachowała?

–Nie wiem. Dawno nie sprawdzałem. Kiedyś Connie często schodziła do piwnicy.

–Czy moglibyśmy tam zajrzeć? – spytała Laurie. Zerknęła na Jacka, który zrobił zaintrygowaną minę.

–Czemu nie. – Jurij otworzył drzwi i zaczął schodzić.

Laurie i Jack wymienili zakłopotane spojrzenia i ruszyli za Rosjaninem. Zanim doszli do piwnicy, Jurij zdążył otworzyć zamykane na kłódkę stalowo-drewniane drzwi do komory

wejściowej i otwierał równie solidne drzwi do spiżarni.

Laurie i Jack weszli do komory wejściowej. Spostrzegli skafander do pracy w niebezpiecznych warunkach, sitko prysznicza i plastikowe butelki z wybielaczem. Poczuli unoszącą się w powietrzu ostrą woń chloru i łagodniejszą – fermentacji. Usłyszeli szum pracującego wentylatora. Popatrzyli na siebie w zdumieniu.

Jurij stał przy drzwiach spiżarni.

–Myślę, że państwo szukacie tego. – Wykonał ręką gest w stronę wnętrza.

Laurie i Jack uczynili krok i nieśmiało spojrzeli do środka. Jurij przysunął się do nich. Zobaczyli płytki Petriego, agar, filtry i słoiki ze składnikami pokarmowymi.

–Może byście weszli do środka – zaproponował Jurij.

Laurie i Jack przenieśli wzrok na Rosjanina i z ich piersi wyrwało się westchnienie. Jurij mierzył do nich z pistoletu.

–Zapraszam – powiedział matowym głosem Rosjanin. – Włączcie do magazynu!

–Widzieliśmy już to, co chcieliśmy zobaczyć – rzucił od niechcienia Jack, próbując pokazać, że broń nie robi na nim wrażenia. Zrobił krok w przód, wysuwając się przed Laurie. – Czas na nas.

Jurij podniósł broń i strzelił bez zastanowienia. Na górze nie zdecydowałby się wypalić w obawie, że strzał może zaalarmować sąsiadów. Ale w piwnicy, wśród szumu wentylatora, nie dbał o to. Mimo to w zamkniętej przestrzeni huk był ogłuszający.

Kula wbiła się w jedną z belek podłogi. Ze starych klepek posypał się deszcz pyłu i drzazg. Laurie krzyknęła.

–Następnym razem wyceluję dokładniej – oświadczył Jurij.

–Nie będzie trzeba – powiedział Jack głosem, który stracił wszelkie pozory niedbałości. Uniósł ręce do klatki piersiowej i cofnął się, zmuszając Laurie do wejścia do magazynu. Sam również się tam wsunął.

–Odejdźcie od drzwi – rozkazał Jurij.

Jack i Laurie zrobili to, co im kazano, i oparli się plecami o betonową ścianę.

Krew uszła im z twarzy, które przybrały odcień wapna pokrywającego mur.

Jurij zamknął drzwi. Zatrzasnął zasuwę i przekręcił klucz w kłódce, po czym odsunął się i spojrzał na drzwi. Zaprojektował je po to, by ludzie nie mogli się dostać do środka, sądził

jednak, że tak samo skutecznie powstrzymają ich one od wydostania się na zewnątrz.

–Czy możemy to przedyskutować? – zawołał Jack zza drzwi.

–Koniecznie – zgodził się Jurij. – Inaczej nie moglibyście mi pomóc.

–Będziesz musiał nam wyjaśnić, o co chodzi – powiedział Jack. – Ale my słuchamy znacznie uważniej i pomagamy bardziej ochoczo, kiedy nie musimy wrzeszczeć przez drzwi.

–Posiedzicie tam parę dni – odparł Jurij. – Tak więc rozgoście się. Na półce stoi woda destylowana, przepraszam za brak toalety.

–Doceniamy twoją troskę – rzekł Jack. – Jednak zapewniam, że przyjemniej czulibyśmy się na górze. Obiecujemy, że będziemy grzeczni.

–Zamknij się i słuchaj! – zdenerwował się Jurij. Spojrzał na zegarek. Dochodziła jedenasta. – Przede wszystkim chcę powiedzieć, że za kilka minut zjawi się tutaj Ludowa Armia Aryjska. Czy ta nazwa coś ci mówi?

–A jakże – odparł Jack.

–Wobec tego wiesz zapewne, że oni chcą cię zabić – mówił Jurij. – Prawdę powiedziawszy, jestem zdziwiony, że jeszcze żyjesz, bo skądinąd wiem, że zamierzali cię ukatrupić dziś po południu. Jeśli odkryją, że tu jesteś, zastrzelą cię z całą pewnością. Ja wolałbym, żebyś pozostał przy życiu.

–No cóż, przynajmniej zgadzamy się w tym jednym punkcie.

–Ci ludzie to szaleńcy i egoiści.

–Odniosłem podobne wrażenie.

–I mają mnóstwo broni, którą lubią się posługiwać.

–To także nie dało się ukryć.

–Dlatego, jak ich usłyszycie, radzę wam siedzieć cicho – oznajmił Jurij. – Czy wyrażam się jasno?

–Owszem – potwierdził Jack. – Ale mówiłeś, że możemy ci pomóc. Jak?

–Jutro rano Ludowa Armia Aryjska i ja dokonamy na Manhattanie ataku przy użyciu broni biologicznej – oznajmił Jurij. – To nie jest czcza pogróżka. Tutaj, w tym laboratorium, wyprodukowałem wiele funtów węglika w postaci bojowej. Zakładam, że wy, lekarze, domyśliliście się już, że to laboratorium.

–Coś w tym stylu chodziło nam po głowie – wyznał Jack. – Tym bardziej, że to pomieszczenie wygląda jak skład materiałów mikrobiologicznych.

–Bo też nim jest – potwierdził Jurij. – Chcę, żebyście mi pomogli, dając świadectwo, że to, co się jutro stanie, to moja zasługa.

Jurij czekał na odpowiedź. Zamiast tego doszły go szepty Jacka i Laurie.

–Czy słyszeliście? – spytał.

–Jesteśmy ciekawi, czy poza węglikiem wyprodukowałeś również jad kiełbasiany – odpowiedział pytaniem Jack.

–Próbowałem – wyznał Jurij. – Ale hodowla rozwijała się zbyt wolno, aby w krótkim czasie uzyskać ilość toksyny potrzebną w celach bojowych.

–Co się stało z tą hodowlą? – pytał Jack. – Czyżby popłynęła do ścieków?

–To, co się stało z laseczkami jadu kiełbasianego, nie ma znaczenia – wycedził Jurij. – Liczy się tylko to, co jutro stanie się z węglikiem.

–Całkowicie się zgadzamy – oznajmił Jack. – Postaramy się, aby nie ominęły cię należne zasługi. – Żeby nie było cienia wątpliwości, chcę wam opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami o naszych planach na jutro – podjął Jurij. – Dzięki temu zostaniecie nadzwyczaj wiarygodnymi świadkami w mojej sprawie.

–Zamieniamy się w słuch.

–Kiedy Ludowa Armia Aryjska przybędzie, będę musiał przerwać – zaznaczył Jurij.

–Jakoś zniesiemy to napięcie – odrzekł Jack. – Słuchamy.

Jurij drobiazgowo opisał Jackowi i Laurie przebieg obu ataków; podał im czas i sposób, w jaki Curt i Steve zamierzają wpuścić proszek do systemu wentylacyjnego budynku Jacoba Javitsa. Zdradził, że strażacy po umieszczeniu środka mają zamiar wyłączyć pulpit pożarowy, tak aby proszek nie uruchomił wykrywaczy dymu. W tym czasie on będzie jeździł po Central Parku w kradzonej ciężarówce do tępienia szkodników. Na koniec ocenił, że jego plan pochłonie około miliona ofiar ludzkich, plus minus kilka tysięcy. Spodziewał się, że węglik rozprzestrzeni się w postaci łuku długości pięćdziesięciu mil nad Long Island. Nie wspomniał jedynie o swoich planach po skończonym ataku.

–Gdzie zdobyłeś tak specjalistyczną wiedzę? – zapytał Jack po chwili pełnej zdumienia ciszy.

–Naprawdę chcesz wiedzieć? – spytał Jurij. Pytanie Jacka pochlebilo jego ambicji.

–Jak już mówiłem, zamieniamy się w słuch – skomentował Jack.

Rozdział 22 20 października, środa, 23.15 Curt wprowadził swojego dodge'a na Oceanview Lane i zaczął kluczyć między wszechobecnymi kubłami śmieci.

–Do diabła, czemu ci ludzie nie zabiorą tego stąd? – pożałił się.

–Ba, żebym wiedział – zgodził się Steve. – Nie będę tęsknił za tym miejscem.

To kompletne zadupie!

Curt zatrzymał wóz przed garażem Jurija, gdzie parkował podczas poprzednich wizyt. Zgasił silnik i światła.

–Mam nadzieję, że przygotował materiał – burknął Curt. – Zwłaszcza teraz, gdy wszystko jest przygotowane. Mieliśmy szczęście, że kapitan wziął urlop. Od początku nie uśmiechał mi się twój pomysł, żeby po zamachu pójść do jego biura i powiedzieć, że rzucamy robotę. Wolę o tym pogadać z jego zastępcą. Ten facet to stara baba.

–Wszystko układa się idealnie – przytaknął Steve. – Jutro o tej godzinie w zachodniej Pensylwanii będziemy oglądali w telewizji, jak Nowy Jork pogrąża się w chaosie.

–Ile zapalników zegarowych załatwiłeś?

–Dwanaście – odparł Steve. – Tak dla pewności.

–Masz pistolet?

–Mowa.

–No to idziemy! – Wysiadając z ciężarówki, Curt chwycił czarną gumowaną torbę na narzędzia, którą przywiózł z remizy. Wcześniej zbadał uważnie jej wnętrze, sprawdzając, czy nie ma tam ostrych krawędzi lub szpiców, które mogłyby przekłuć folię.

Szli w milczeniu. Czekając pod drzwiami, aż Jurij otworzy, podskakiwali, aby się trochę rozgrzać. Mimo czystego nieba temperatura spadła gwałtownie, a oni mieli na sobie tylko koszulki. Broń tkwiła w futerałach, które nosili na plecach.

–Co jest, do cholery? – zapytał Curt, kiedy Jurij nie przychodził. Szarpnął za dziurawą siatkę i wolną ręką załomotał do wewnętrznych drzwi. Spojrzał na Steve'a.

–Jeśli nie ma go w domu, to mu chyba...

Drzwi rozwarły się z impetem.

–Przepraszam – sapnął zdyszany Jurij. – Byłem w piwnicy.

Curt łypnął na niego wściekle, a potem pierwszy wszedł do środka. Jurij zamknął za nimi drzwi na klucz.

–Gotowe? – spytał Curt.

Jurij wskazał na kuchenny stół.

–Czeka na was. Ale najpierw proponuję wznieść toast.

–Czemu nie? – zgodził się Curt.

Jurij dziarsko pospieszył do kuchni i wyciągnął wódkę z zamrażarki. Curt wszedł za nim i popatrzył na plastikowe kiełbasy.

–Ile tego jest? – zapytał.

–Pięć funtów – odparł Jurij, wyjmując trzy szklanki.

–Czy to opis produkcji, o który prosiłem? – Curt podniósł grubą kopertę i trzymał ją w palcach.

–Tak – potwierdził Jurij, wychodząc do pokoju gościnnego. – Dodałem też kilka uwag, które pomogą wam uniknąć niebezpieczeństwa po założeniu ładunku. Kilka pomocnych wskazówek.

–Dobrze – pochwalił Curt. Położył kopertę i torbę na stole i wyszedł z kuchni dołączyć do pozostałych.

Jurij rozlał obfite porcje do szklanek. Wręczył je strażakom, jedną zostawił sobie. Uniósł szklankę w ich kierunku.

–Za operację „Rosomak” – zaproponował.

Steve i Curt skinęli głowami. Brzdęknęło szkło i cała trójka spełniła toast. Curt i Steve przełknęli i zaraz wciągnęli przez usta powietrze. Jako piwosze nie byli przyzwyczajeni do tak mocnego trunku.

–Jak się skończyła pogoń za Stapletonem? – spytał głośno Jurij. – Mówię wam, początek był niesamowity.

Mężczyźni zerknęli na siebie.

–Skończyła się klapą – przyznał Curt. – Zgubiliśmy go w parku. Tym lepiej się składa, że przesunęliśmy operację na jutro.

–Jesteście gotowi?

–W zupełności – potwierdził Steve. – Około dziewiątej dwadzieścia pięć spodziewamy się otrzymać wezwanie. Mniej więcej pięć minut później zaatakujemy cel.

–Ja też będę gotowy o dziewiątej trzydziści – zapewnił Jurij. – Wypijmy jeszcze po jednym.

Znów dotknęli się szklankami i wychylili ich zawartość. Curt otarł usta wierzchem dłoni.

–Jadąc tu zastanawialiśmy się nad pewną sprawą – odezwał się. – Może jednak byłoby lepiej, gdybyśmy zużyli cały zapas węglika na Budynek Federalny i dali sobie spokój z parkiem.

Jurij pokręcił głową.

–Nic z tego. Chcę załatwić park.

–A gdybyśmy się upierali? – spytał Curt. Wziął łyk wódki i wbił wzrok w Rosjanina.

Jurij popatrzył na obu strażaków.

–Za późno na upieranie się – odparł. – Drugie pięć funtów węglika siedzi już w ciężarówce do tępienia szkodników.

–Co, nie można jej opróżnić? – pytał Curt.

–Wykluczone. Proszek jest w koszu. Musiałem zdjąć kosz i wypełnić go w laboratorium, ubrany w odzież ochronną.

–Nie wsadziłeś węglika w plastik?

–Nie, jest luzem. Mieszalnik nie zdołałby rozedrzeć osłonek.

Curt pokiwał głową.

–No cóż, skoro tak, to trudno. – Odłożył nie dopitego drinka na stolik do kawy.

–Załadujemy towar i będziemy się zbierać. Jutro czeka nas wielki dzień.

Trzej mężczyźni wkroczyli do kuchni. Podczas gdy Jurij poszedł zdjąć ręcznik ze zlewozmywaka, Curt i Steve pochylili się nad plastikowymi kielbasami. Żaden nie miał odwagi ich dotknąć, wiedząc, co się w nich kryje.

–Jesteś pewny, że są bezpieczne? – zapytał Curt.

–Tak długo, jak długo nie rozerwiesz osłony – potwierdził Jurij. Podniósł jedną z kielbas.

Curt i Steve odruchowo cofnęli się.

–Odkaziłem powierzchnię i uszczelniłem ją na gorąco – uspokoił ich Jurij. Podsunął trzymaną kielbasę Curtowi, ale ten pokazał, aby to Steve ją odebrał.

Steve sięgnął. Ręka lekko mu drżała. Jurij położył plastikową kielbasę na jego dłoni tak, że końce zwisały się z obu stron. Miała około dziesięciu cali długości.

–Ilu ludzi mogłaby zabić taka ilość węglika? – zapytał Steve, waząc przedmiot w dłoni.

–Setki tysięcy – poinformował Jurij. – Pod warunkiem, że środek zostałby dobrze rozproszony.

–Wentylatory Budynku Federalnego rozproszą go znakomicie – zapewnił Curt.

Pochwyił gumowaną torbę i otworzył ją. – Dawajcie je tutaj.

Jurij podał ręcznik Curtowi. Ten wymościł nim wnętrze torby, a następnie kazał Steve'owi umieścić tam kielbasę. Sam delikatnie podniósł kolejną i położył ją obok pierwszej.

–Nie musisz być aż tak ostrożny – powiedział Jurij. – Ten plastik jest zdumiewająco mocny. Gołymi rękami byś go nie rozerwał.

Zachęcony, Curt wziął następne trzy kielbasy i włożył je do torby. Na wierzchu umieścił kopertę. Potem wręczył torbę Steve'owi.

–To byłoby chyba tyle – rzekł do Jurija.

–Powodzenia.

Curt odwrócił się i jednocześnie wyciągnął pistolet zza pleców. Jednym płynnym ruchem uniósł glocka i wycelował. Oczy Jurija zrobiły się wielkie, a jego twarz zwiotczała.

Curt pociągnął za spust. Trafił Rosjanina w środek czoła tuż nad linią brwi.

Krew i kawałki mózgu rozprysnęły się na stojącej z tyłu lodówce. Jurij zwałił się, jakby raptem podcięto mu nogi.

–Jezu Chryste! – zapiszczał Steve. – Po jakie lichy go zabiłeś?

Curt wepchnął broń z powrotem do kabury. Szturchnął nogą Jurija. Serce tamtego jeszcze biło, ale coraz słabiej. Wydobywający się z gardła gulgot upewnił Curta, że koniec Jurija jest bliski.

–Przecież mieliśmy przysłać żołnierzy – zawołał Steve. – Czemu mnie nie uprzedziłeś, że chcesz go zastrzelić?

–Co z tobą, rozklejasz się? – warknął w odpowiedzi Curt i spojrział twardo na Steve’a.

–Nie, do cholery. Ale mogłeś dać mi znać, że planujesz coś w tym stylu. O mało się nie zesrałem ze strachu.

–Nie planowałem tego – szczeknął Curt. – Ale ten sukinsyn wnerwił mnie swoim zachowaniem. Słyszałeś, co mi powiedział? „Za późno na upieranie się!” Jakby to on wydawał rozkazy. Chciałem mu dać szansę. Do diaska, gdyby zgodził się zaatakować z nami, zamiast brać się do tych terrorystycznych głupstw, nie zrobiłbym mu krzywdy.

Steve położył torbę z ładunkiem i wrócił do stolika do kawy. Podniósł swoją szklankę i wziął solidny łyk zimnej wódki. Wstrząsnął się.

–Wolałbym, żebyś nie zaskakiwał mnie swoimi pomysłami.

–Chodź, ty mięczaku! – zakomenderował Curt. – Bierz torbę. Wynośmy się stąd raz na zawsze.

Rozdział 23 20 października, środa, 23.50 – Myślisz, że sobie poszli? – spytał szeptem Jack.

–Tak mi się wydaje – odpowiedziała Laurie. – Jakieś dziesięć minut temu słyszałam chyba trzask drzwi siatkowych.

Spowijały ich nieprzeniknione ciemności. Jurij wyłączył oświetlenie w piwnicy, odcinając tym samym dopływ światła do magazynu. Podczas gdy bojówkarze z Ludowej Armii Aryjskiej naradzali się na górze, dwoje uwięzionych patologów truchlało na swoich miejscach, bojąc się nawet oddychać. Oboje wzdrygnęli się, gdy napiętą ciszę rozdarł huk wystrzału. Przez cienki strop magazynu słyszeli strzepy toczącej się na parterze rozmowy.

–Obawiam się, że nasz ulubiony Rosjanin oberwał – stwierdził półgłosem Jack.

W dalszym ciągu starał się nie poruszyć ani nie hałasować, bo wyjście bojówkarzy mogło być podstępem.

–Podzielam twoje obawy – przyznała Laurie. – Kimkolwiek byli jego goście, wyraźnie im nie ufał.

–Sądzę, że to ci sami, którzy mnie ścigali – powiedział Jack. – Jestem winien Paulowi przeprosiny. Ta cała heca nie ma z nim nic wspólnego. Wyciągnąłem pochopne wnioski.

–Być może – zgodziła się Laurie. – Ale w tej chwili nie ma to większego znaczenia. Co zrobimy?

–Spróbujemy się stąd wydostać. Ale nie ręczę za efekty. Widziałaś te drzwi?

Trzycalowej grubości sklejka obita stałą.

Laurie zadygotała w mroku.

–Ta izolacja źle na mnie działa. Przypominają mi się te koszmarne zdarzenia z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego, kiedy musiałam się uporać z serią przedawkowań.

–Przestań, Laurie! – poprosił Jack. – Ja też mam skłonności do klaustrofobii, ale nie można chyba tego porównywać z zamknięciem w trumnie.

–Niedużo brakuje – odparła Laurie. – Czujesz ten odór fermentacji zmieszany z wybielaczem?

–Tak. Gdzieś tutaj musi być kadź z żywymi kulturami węglika. Kiedy dzisiaj obszedłem ten dom, zauważyłem wylot rury i usłyszałem szum wentylatora. Powinienem być się popukać w czoło. Na miłość boską, pomyślałem, że to ujście pieca.

–Te urządzenia sprowadził ktoś, kto wiedział, do czego służą – stwierdziła Laurie.

–Smutne, ale prawdziwe – rzekł Jack. – Dlatego jutrzejsze zagrożenie jest bardzo realne. Co prawda, w przypadku Papparisa bioterroryzm wpadł mi do głowy, ale zaraz z niej wypadł, kiedy znalazłem ewidentne źródło choroby. Mimo to wszystko poszło tak łatwo, że czułem się niewyraźnie. Znowu nie popukałem się w porę w czoło i nie nabrałem podejrzeń.

–Nie możesz się winić – zaproponowała Laurie. – Zadzwońeś do miejskiego epidemiologa, on ma obowiązek podjąć stosowne kroki.

–No tak, chyba masz rację – zgodził się bez entuzjazmu Jack. – Zadzwońeś także do dyrektora Sztabu Kryzysowego przy burmistrzu, ale bynajmniej nie poprawia mi to nastroju.

–Zaraz, jak on się nazywał? – spytała Laurie. – Wygłosił kiedyś wykład na temat bioterroryzmu.

–Stan Thornton.

–O, właśnie. Ten wykład zapadł mi w pamięć.

Przez jakiś czas panowała cisza. Oboje na tyle odzyskali pewność siebie, aby zmienić położenie ciała. Od chwili przybycia LAA stali oparci o betonową ścianę, nie ruszając palcem u nogi.

–O Boże! – przerwała milczenie Laurie. Ponownie zadrżała. – To nie do wiary, że rozmawiamy sobie jakby nigdy nic, zamknięci w tym ponurym, ciasnym lochu, wiedząc, co jutro się stanie w Budynku Federalnym Jacoba Javitsa. Jaka szkoda, że nie zabrałam

telefonu! – Laurie zostawiła swoją torebkę w schowku samochodu Warrena, ponieważ uznała, że z torebką wygląda mniej profesjonalnie.

–To by nam uprościło życie – zgodził się Jack. – Ale podejrzewam, że gdybyś nawet wzięła torebkę, Jurij by ci ją odebrał. Najwyraźniej wiedział, co robi. Mam przy sobie maleńką latarkę w breloczku do kluczy. Zaświecę ją.

–Bardzo proszę – ucieszyła się Laurie.

Stożek skąpego światła rozjaśnił kąt magazynu. Pole widzenia wypełniła zmartwiona twarz Laurie. Obejmowała się rękami, jak gdyby próbowała się ogrzać.

–Wszystko w porządku? – zaniepokoił się Jack, widząc jej cierpienie.

–Jakoś się trzymam – odparła Laurie.

Jack omiół pomieszczenie wąskim snopem światła. Zatrzymał go na butelkach z wodą destylowaną i przeniósł je bliżej, żeby po ciemku łatwiej je było znaleźć.

–Mogą nam się przydać. Nie chcę być złym prorokiem, ale możemy tu trochę posiedzieć.

–Wesoła perspektywa – stwierdziła Laurie. Zaśmiała się ponuro. Światło zabłąkało się ku drzwiom. Ponieważ otwierały się na zewnątrz, zawiasy były umieszczone po drugiej stronie. Jack obmacał framugę.

–Myślisz, że możemy już narobić hałasu? – spytał Jack.

–Jeśli sąsiedzi mogą nas usłyszeć, to powinniśmy hałasować, ile wlezie.

–Miałem na myśli Ludową Armię Aryjską – wyjaśnił Jack.

–Sądzę, że tamci dawno już sobie poszli – rzekła Laurie. – Dostali to, co chcieli, i teraz pewnie omawiają szczegóły jutrzejszego ataku na Manhattan.

–Chyba masz rację – zgodził się Jack. – Nie mają powodów podejrzewać, że jesteśmy w piwnicy.

Nasadą dłoni opukał ościeżnicę drzwi, szukając słabych punktów. Niestety framuga była bardzo solidna. Przyłożył ramię do drzwi, cofnął się o krok i energicznie na nie naparł. Choć taranował je kilkakrotnie, za każdym razem używając większej siły, drzwi nawet nie drgnęły.

–Przez drzwi się nie wydostaniemy – stwierdził. Oświecił latareczką białe betonowe ściany. Gdzieś tam opukał je lekko palcami, szukając skruszałych fragmentów. Mur okazał się mocny.

–Jestem zdziwiony, że ten dom ma tak trwałe fundamenty – przyznał Jack. – Z zewnątrz

wydaje się kruchutki.

–A co z sufitem? – zapytała Laurie.

Jack poświecił między sufitowe belki. Niemal natychmiast jego latarka zaczęła przygasać.

–Oho, zdaje się, że za moment znowu pochłonie nas ciemność.

Nie zdążył wypowiedzieć tych słów do końca, gdy światelko rozjarzyło się na ułamek sekundy, po czym raptownie pobladło. Minutę później zgasło kompletnie.

Rozdział 24 21 października, czwartek, 9.15 Mike Compisano podniósł swoje jasnoniebieskie oczy i przebiegł wzrokiem fasadę czterdziestjednopiętrowego Budynku Federalnego Jacoba Javitsa. Ogrom i siła drzemiące w tym gmachu napełniały go przestraszaniem. Zarazem jednak reprezentowana przezeń władza budziła w nim złość.

Mike został skinheadem z powodu wściekłości, jaką czuł do społeczeństwa, które potraktowało go niczym morską pianę ciągnącą się za rozpędzonym statkiem.

W jego przekonaniu akcja afirmatywna i tym podobne bzdurne programy sprawiły, że Murzyni, Latynosi i Azjaci, z którymi uczęszczał do liceum, cieszyli się większymi przywilejami niż on, prawdziwy Amerykanin. Budynek Federalny był symbolem rządu, który – jak głosił Curt – zaprowadził to bezprawie.

Mike wsunął nieświadomie rękę do kieszeni spodni. Pod palcami poczuł bombę dymną, którą miał wrzucić do kanału wentylacyjnego. Wiedział, że może nie w pełni dociera do niego, jak ważną rolę ma odegrać w zemście na ludziach, którzy ograbili go z przyszłości.

Przeniósł spojrzenie na mijających go urzędników spieszących do pracy. To oni byli odpowiedzialni za bałagan panujący w tym kraju. Mike miał ochotę zatrzymać jednego z nich i rozkwasić mu jego chamską twarz, lecz Curt zabronił mu wszczynać burdy.

Mike spojrzał na zegarek. Wreszcie dochodziła dziewiąta piętnaście. Stał przed budynkiem w porannym chłodziu od ósmej czterdzieści pięć, ubrany w jedyny garnitur i krawat, jakie posiadał. Próbował przylizać swoje krótkie blond włosy na bok, ale nic z tego nie wyszło. Jeżyły mu się jak na drucianej szczotce.

Wziął oddech i ruszył. Był zdenerwowany, serce biło mu szybko. Chciał, aby mu się udało, i zarazem bał się, że coś mu przeszkodzi.

Pierwsze wyzwanie stanowili strażnicy. Mike ustawił się w kolejce i przeszedł przez bramkę wykrywacza metali. Ku jego konsternacji, rozległ się brzęczyk.

–Co tam masz, synku? – zagadnął go jeden z mundurowych.

Mike wbił nerwowo rękę w kieszeń. Wyjął stamtąd mały, pękaty śrubokręt.

Obawiał się, że nie zdoła odkręcić kratki monetą.

–Widzę, że idziesz powkręcać parę luźnych śrubek – zażartował mężczyzna.

Mike skinął głową. Strażnicy kazali mu ponownie przejść przez bramkę bez śrubokrętu. Wykrywacz nie zareagował.

–Powodzenia – rzekł ochroniarz. Oddał narzędzie Mike'owi.

Czując ulgę, że nie spytano go, dokąd zmierza, Mike pojechał windą na drugie piętro. Po wyjściu usłyszał szmer i wyczuł wibrację pracującej maszynerii. Zgodnie ze wskazówkami poszedł korytarzem w stronę męskich toalet. Pomieszczenie znajdowało się dokładnie tam, gdzie mówił Curt. Mike wszedł do środka.

Niestety ostatnia kabina była zajęta. Mike musiał uzbroić się w cierpliwość. Nie miał nic do roboty, więc umył ręce. W końcu mężczyzna wyłonił się z kabiny. Spojrzał przelotnie na Mike'a, po czym umył ręce i wyszedł.

Mike wszedł do zwolnionej toalety i zamknął drzwi na zasuwkę. Wlot kanału wentylacyjnego znajdował się tuż nad jego głową. Za pomocą śrubokrętu bez trudności zdjął pokrywę. Stojąc na sedesie, zajął się kanałem. Biegł trzy stopy prosto, po czym skręcał. W myśl instrukcji Mike wydobyl bombę dymną. Potarł zapalnik i przytknął płomień do lontu, który zapalił się natychmiast. Mike cisnął bombę do przewodu wentylacyjnego. Zatrzymała się w załamie kanału. Mike dojrzał buchające kłęby dymu, które szybko wypełniały cały przewód.

Po przykręceniu kratki wyszedł z kabiny i wrócił do holu. Wcisnął guzik windy i czekał na jej przyjazd. Na parterze znalazł się w kilka sekund. Gdy wychodził z windy, włączył się system alarmowy, a nagrany na taśmę głos zaczął w kółko recytować ten sam komunikat: wszyscy powinni opuścić budynek najbliższym wyjściem.

Z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku Mike wymaszerował głównym wejściem wraz z garstką innych osób. Wchodzących do środka informowano, że będą musieli poczekać, aż wyjaśni się przyczyna alarmu.

Na placu przed budynkiem zaczęli gromadzić się ludzie. Zapalano papierosy, nieznajomi ludzie zagajali rozmowy. Po kilku minutach utworzył się spory tłum, w miarę jak napływali wciąż nowi ludzie. Mike wprawdzie dołączył do stojących, ale trzymał się na uboczu.

Po pięciu minutach dał się słyszeć narastający ryk syren. Jakiś czas później dwa wozy z Nowojorskiego Departamentu Pożarniczego wyłoniły się zza najbliższego rogu i prędko podjechały do krawężnika przed budynkiem. Na boku pierwszego z pojazdów widniał wykonany złotymi literami napis: FDNY Załoga 7.

Mike zerknął na zegarek. Była dziewiąta dwadzieścia dziewięć. Gdy ponownie spojrzął na stojący na czele wóz, zobaczył Curta wychodzącego z przodu kabiny od strony pasażera. Tamten ubrany był w pełny strażacki uniform złożony z kurtki i spodni z włókien syntetycznych, skórzanego hełmu i butów. Do pleców miał przytroczoną uprząż z zestawem Scotta i maskę przeciwgazową. W ręku trzymał czarną torbę z gumowanego materiału.

Steve podniósł się z tylnego siedzenia i wziął dużą, czerwoną torbę. Razem pobiegli ku wejściu, wyprzedzając pozostałych strażaków.

Mike odwrócił się i poszedł w stronę metra, aby wrócić do domu. Rozpierała go duma, że oto przyczynił się do czegoś, co mogło – wedle słów Curta – uratować jego ojczyznę od zguby.

Rozdział 25 21 października, czwartek, 10.15 – Jak myślisz, która godzina? – odezwała się Laurie.

–Nie mam zielonego pojęcia – odparł Jack. Przeciągnął się i stęknął. – Wiem tylko, że się zdrzemnąłem. A ty?

–Chyba też. Niesamowicie, jak trudno oszacować upływ czasu, zwłaszcza po ciemku.

Siedzieli naprzeciw siebie na betonowej podłodze, opierając się plecami o przeciwległe ściany. Było zbyt ciasno, by się położyć.

–Kiedy tak patrzę w sufit, to prawie widzę światło dnia – przyznał się Jack.

–Musimy się stąd wydostać przed wpół do dziesiątej, jeśli chcemy zapobiec temu zamachowi.

–Nie chcę, żebyś wzięła mnie za pesymistę – odparł Jack. – Ale, jak mówił ten Rosjanin, możemy tutaj siedzieć wiele dni, a nawet jeszcze dłużej, skoro on nie żyje.

Przypuszczam, że zamierzał kogoś powiadomić, żebyśmy mogli zaświadczyć o jego zasługach, na których mu tak zależało.

–Czekaj chwilkę! – wpadła mu w słowo Laurie.

–Mam tyle czasu, że mogę czekać całe życie – odpowiedział Jack.

–Ćśśś. Wydaje mi się, że coś słyszałam.

Nasłuchując, wstrzymali oddechy. Z góry dobiegał słaby, lecz miarowy łomot.

–Myślę, że ktoś puka do drzwi – wyjąkała Laurie.

Równocześnie pozbierali się na równe nogi, tak że wpadli na siebie w ciemnościach. Ile sił

zaczęli wołać o pomoc. Po chwili zamilkli i ponownie nasłuchiwali w skupieniu.

–Musieli nas usłyszeć – stwierdziła Laurie.

–Zależy, jaki na zewnątrz jest hałas.

Rozległ się odległy, ale wyraźny brzęk tłuczonego szkła. Po chwili na podłodze parteru zaskrzypiały cicho czyjeś kroki.

Jack i Laurie znowu razem wrzasnęli o pomoc. Jack wymacał drzwi, po czym zaczął w nie walić pięściami. Raptem zapaliło się światło. Usłyszeli stłumione głosy.

Ktoś schodził do piwnicy. Po kilku minutach dobiegł ich suchy trzask pękającego drewna, a zaraz potem huk. Głosy wzmogły się. Kimkolwiek byli, włamali się do komory wejściowej przed laboratorium.

Jack zastukał w drzwi.

–Jesteśmy tutaj.

Odpowiedziało mu milczenie, ale od drzwi doszło skrobanie, jakby ktoś próbował wepchnąć łom lub inne narzędzie w zasuwę zamka. Znowu strzeliło pękające drewno, tym razem głośniejsze.

–Nie mam pojęcia, kto to jest – szepnął Jack do Laurie.

–Nie sądzisz chyba, że...

Laurie nie zdążyła dokończyć. Przenikliwy metaliczny zgrzyt wyłamywanego zamka ustąpił miejsca skrzypowi otwieranych gwałtownie drzwi. Zdumieni, ale wdzięczni Jack i Laurie stanęli twarzą w twarz z niezbyt uszczęśliwionym Warrenem.

Za nim wyrósł Flash.

–Och, dzięki Bogu! – zawołała Laurie. Skoczyła naprzód i zarzuciła Warrenowi ręce na szyję.

Warren wlepił w Jacka mordercze spojrzenie i zdjął ręce Laurie z karku.

–Mam już po dziurki w nosie ratowania cię z opresji, zwłaszcza tam, gdzie ścielą się trupy.

Laurie odsunęła się na bok i otarła łzy radości z kącików oczu.

–Która godzina? – zapytał Jack.

Warren spojrzał na Flasha i wzruszył ramionami.

–Oto, jak nam się dziękuje za pomoc! Ten człowiek chce wiedzieć, która godzina.

–To ważne! Która jest godzina?

Warren spojrzał na zegarek i poinformował, że minęła dziesiąta piętnaście.

–O Boże! – zawołała Laurie. Odepchnęła Warrena i ruszyła do drzwi. Jack deptał jej po piętach.

–Uwaga na górze – ostrzegł Warren. – Widok nie należy do przyjemnych.

Laurie dotarła na szczyt schodów i podeszła wprost do telefonu w kuchni. Jack nie odstępował jej na krok.

–Do kogo powinnam zadzwonić? – spytała szybko.

Jack zastanowił się przez moment.

–Pozwól – rzekł.

Laurie oddała mu słuchawkę. Wykręcił 911 i bez wstępów poprosił o Staną Thorntona, szefa Sztabu Kryzysowego przy burmistrzu. Oświadczył, że chodzi o sprawę najwyższej wagi. Znając sprawny system komunikacji ze Stanem Thorntonem, Jack był przekonany, że wkrótce uzyska z nim połączenie.

Warren i Flash weszli za nimi do kuchni. Ciało Jurija spoczywało w drzwiach między kuchnią a pokojem gościnnym. Krew na lodówce zdążyła już zakrzepnąć i zbrązowieć.

–Udzielicie nam, ludzie, jakichś wyjaśnień czy nie? – mruknął Warren. W dalszym ciągu był rozdrażniony.

Jack i Laurie podnieśli ręce, pokazując, aby zamilkł.

–No, sam powiedz! – Warren zwrócił się do Flasha, wymachując rękami. – Zasuwaliliśmy przez całe miasto, uratowaliśmy ich dupska, a ci traktują nas jak powietrze.

Flash jednak go nie słuchał, wpatrzony w trupa swego szwagra. Twarz Jurija zamieniła się w maskę wiecznego zdumienia, szeroko otwarte oczy wpatrywały się tępo w sufit. Środek czoła znaczyła idealnie okrągła niewielka dziura.

Tymczasem zgłosił się Stan Thornton. Jack szybko się przedstawił i odchrząknął, zanim powiedział:

–Moim zdaniem może pan dzisiaj stanąć w obliczu największego wyzwania w pańskiej dotychczasowej karierze. Proszę sprawdzić, czy o dziewiątej trzydzięci nie było w Budyńku Federalnym Jacoba Javitsa fałszywego alarmu pożarowego!

–Czy mam to zrobić teraz, czy oddzwonić do pana później? – zapytał Stan.

–Natychmiast! – odparł Jack. – Ja zaczekam. – Podniósł skrzyżowane na szczęście palce. Laurie zacisnęła na nich dłoń i zamknęła oczy, modląc się.

Jack usłyszał, jak Stan łączy się z pełnomocnikiem rządu do spraw pożarnictwa. Podczas chwilowej zwłoki Stan poinformował Jacka, że istotnie słyszał coś o alarmie i że był to – jak mu powiedziano – fałszywy alarm spowodowany usterką wykrywacza dymu. Kilka sekund później rządowy pełnomocnik potwierdził tę wiadomość.

–Okay! – rzucił Jack, usiłując zebrać myśli. – Niech pan zadzwoni do kogoś w Budynku Federalnym. Do kogokolwiek! Proszę zapytać, czy pulpit pożarowy nie został wyłączony i czy w budynku nie pojawił się nagle jakiś proszek.

–Nie podoba mi się to – przyznał Stan. Użył innej linii telefonicznej, aby połączyć się błyskawicznie z wydziałem ochrony budynku. W następnym momencie wrócił do rozmowy z Jackiem.

–Odpowiedź na oba pańskie pytania jest pozytywna – oznajmił Stan. – Podobno w całym gmachu unosi się lotny proszek. Co to jest?

–Wąglík – wykrztusił Jack. – Bojowa postać węgla!

–Wielki Boże! – zawołał Stan. – Gdzie pan jest? Skąd pan to wie?

–Jestem w domku przy Oceanview Lane piętnaście w Brighton Beach – odpowiedział Jack. – Na podłodze leży martwy rosyjski imigrant. Zabił go nowojorski strażak, który jest członkiem, a może i przywódcą bojówki o nazwie Ludowa Armia Aryjska. Rosjanin zbudował w piwnicy laboratorium. Przypuszczam, że jest tam kadź wypełniona kulturami węgla. W garażu stoi półciężarówka z kolejnym ładunkiem bakterii. My zostaliśmy uwolnieni dopiero przed kilkoma minutami z magazynu w piwnicy. – Święci pańscy – wtrącił Stan. – Jesteście zarażeni?

–Raczej nie – odparł Jack. – Rosjanin z pewnych względów chciał, żebyśmy przeżyli. Poza tym laboratorium ma nawiew powietrza, które musi być odpowiednio filtrowane.

–W porządku, zostańcie tam! – polecił Stan. – Nie wychodźcie z domu. Przyjedziemy po was. Rozumiecie?

–Tak sędzę – potwierdził Jack. – Myślałem jednak, że będzie lepiej, jeśli wrócimy do kostnicy. Jestem tutaj razem z doktor Laurie Montgomery. W kostnicy przydadzą się teraz wszystkie ręce do pracy.

–Najpierw trzeba was odkazić – skwitował Stan. – Nie ruszajcie się stamtąd. Za kilka minut zabezpieczymy teren.

Linia zamilkła.

Jack wzruszył ramionami, odwiesił słuchawkę i westchnął.

–Spóźniliśmy się – powiedział łamiącym się głosem. Laurie objęła go i przytuliła. Nie mógł wykrztusić słowa i jej oczy napełniły się łzami współczucia.

–Ej, człowieku – odezwał się Warren. – Powiesz nam wreszcie, co tu jest grane?

Jack skinął głową i zaczerpnął głęboki oddech. Zaczął mówić, lecz emocje znów ścisnęły mu gardło. Po następnym westchnieniu wziął się w garść.

–Mówiłem ci, Warren, że kiedy następnym razem trzeba będzie uratować komuś życie, to przyjdzie kolej na mnie, by uratować twoje.

–Owszem, ale ja nie jestem tak głupi jak ty, doktorku.

–Gdybyś zjawił się godzinę wcześniej.

–A, więc to moja wina – obruszył się Warren.

–Nie, nie o to mi chodziło – sprostował Jack. – Uwierz mi: cieszę się, że w ogóle przyjechałeś.

–Zaczekałem, żeby zobaczyć, czy przyjdziecie do pracy – wyjaśnił Warren. – Nie było was, więc pomyślałem, że może coś nie zagrało. Dziś rano zobaczyłem, że nie ma mojej bryki, a Spit dał mi znać, że nie wróciliście na osiedle, ale co tam, myślałem, żeście się zamelinowali w jakimś hotelu, żeby się pogodzić.

–Szkoda, że wydarzenia tej nocy przybrały inny obrót – powiedział Jack i spojrzał na Laurie.

–Ja również żałuję – dodała.

Rozdział 26 21 października, czwartek, 12.45 Stan Thornton nie przesadził, zapowiadając, że jego ludzie przyjadą w ciągu kilku minut. Jack, Laurie, Warren i Flash nie zdążyli jeszcze dobrze usiąść, kiedy przed domkiem pojawili się mężczyźni w kombinezonach i zaczęli odgradzać okoliczny teren i opróżniać sąsiednie domy z mieszkańców. Nikt nie zbliżył się jednak do domku Jurija, przez co ich poczynania, oglądane z wewnątrz, wyglądały jak surrealistyczny spektakl.

Po jakimś czasie powietrze wypełnił jednostajny terkot helikopterów, które wylądowały w pobliżu. Pół godziny później nadeszła grupa ludzi w groźnie wyglądających skafandrach biologicznych, niosąca podręczne aparaty do analizy bakteriologicznej. Grupa podzieliła się na dwie części – jedna wślizgnęła się do garażu, druga do domu. Wśród badających garaż znajdowali się saperzy, którzy sprawdzali, czy w ciężarówce do zwalczania szkodników nie

ma ukrytych urządzeń spustowych.

Ci, którzy weszli do domku, przedstawili się w paru słowach, by zaraz rozsypać się po pokojach i zejść do piwnicy. Ciało Jurija ich nie interesowało. Dziesięć minut później dowódca spotkał się w kuchni ze swoim odpowiednikiem z drugiej grupy.

Odbyli szybką naradę; dowódca grupy domowej posłużył się wojskową krótkofalówką, aby nawiązać kontakt ze stanowiskiem dowodzenia, znajdującym się na Manhattanie.

–Mam dwa rejony skażenia – zameldował mężczyzna. – Środek w półciązarówce to niewątpliwie bojowa forma węglika. Wiemy to na pewno. Nie znaleźliśmy urządzenia spustowego. Laboratorium posiada dwie sprawne kadzie z hodowlami bakterii.

Jest też domowym sposobem wykonany rozdrabniacz skażony bakteriami węglika oraz kaptur ochronny, również skażony. Podciśnieniowy system wentylacyjny ma filtry powietrza. W innych częściach domu nie stwierdziliśmy obecności zarazków. Odbiór.

Jack i pozostali nie mogli słyszeć odpowiedzi, gdyż mężczyzna trzymał radio tuż przy uchu. Zobaczyli, jak parokrotnie kiwa głową i wyraża głośno zgodę, a potem rozłącza się z typową komendą „bez odbioru”.

Dowódca podszedł prosto do nich. Większość jego twarzy okrywała błyszcząca plastikowa maska.

–Wszyscy macie opuścić ten dom – oznajmił. – Wyjdźcie na ulicę i skręćcie w lewo. Przejdźcie pod taśmą oddzielającą teren skażony. Na skrzyżowaniu uliczki z Oceanview Avenue stoi czerwony namiot dezynfekcyjny. Nie można go nie zauważyć.

Tam będą już na was czekać.

Cała czwórka powstała i ruszyła ku drzwiom.

–Dziękujemy – odezwała się Laurie, ale mężczyzna nie odpowiedział. Wychodził już z kuchni, kierując się w stronę piwnicy.

–Rany, oni nie żartują – zauważył Warren, kiedy szli frontową ścieżką.

–I bardzo słusznie – rzekł Jack. – To poważna sprawa. Ofiary w ludziach mogą iść w dziesiątki tysięcy. Czegoś takiego Nowy Jork jeszcze nie widział.

–Niech to szlag – zezłościł się Flash. – Mówiłem wam, ludzie, że ten Jurij to pieprzony skurczybyk. Powinniście mi pozwolić się nim zająć.

–Miał broń – rzekł Jack. – I nie zawahałby się jej użyć.

–No tak, ale ja też nie pchałbym się tutaj z pustymi rękami. Idąca czwórka nie natknęła się

na żywego ducha. Cała okolica była wyludniona, pozniakały nawet psy.

–Głupio się czuję – wyznał Warren. – Jakbyśmy zostali sami na świecie.

Zgodnie z tym, co mówił dowódca, wkrótce ujrzeli czerwony namiot sterczący pośrodku opustoszałej alejki.

–Wszyscy zapadli się pod ziemię czy co? – zapytał Warren.

–Przypuszczam, że nietrudno było skłonić ludzi do ewakuacji – powiedział Jack. – Na dźwięk słowa „zaraza” ludzie wpadają w popłoch. Aż boję się pomyśleć, co w tej chwili dzieje się na dolnym Manhattanie.

–Przypomniał mi się taki stary film fantastyczny – oznajmił Flash. – O ile pamiętam, nazywał się Dzień, w którym ziemia stanęła.

Czwórkę powitał zespół kilkorga ludzi odzianych w lżejsze kombinezony ochronne niż te, których używano w domu Jurija. Dowodziła nimi kobieta, która przedstawiła się jako Carolyn Jacobs. Kazała im zdjąć ubrania i wejść pod prowizoryczny prysznic, gdzie w strumieniu słabego wybielacza musieli się dokładnie wyszorować. Następnie przebrali się w szare drelichy, dostali zastrzyki przeciwko węglikowi i przyjęli ciprofloxacyn.

–Ejże, nie spodziewałem się takich przebojów – pożalił się Warren.

–Bądź wdzięczny za szczepionkę – odparł Jack. – Nie mają jej za dużo, jestem pewny, że na Manhattanie wyczerpią im się zapasy. Nie ma szans, żeby starczyło dla wszystkich.

Nagle poła namiotu dezynfekcyjnego odsunęła się na bok. Do środka wkroczył szczupły, ogolony, trzydziestoparoletni Murzyn o wojskowej postawie. Miał na sobie pomarańczowy kombinezon do skoków spadochronowych. Na lewym ramieniu widniał skrót GRWK, zaś nad zamykaną na suwak kieszonką na piersi była naszywka z nazwiskiem: Agent Marcus Williams.

–Poszukuję doktora Stapletona i doktor Montgomery – odezwał się rzeczowym tonem.

Jack podniósł rękę.

–Stapleton.

–Doktor Montgomery – zgłosiła się Laurie. – Świetnie. Pozwolą państwo ze mną?

Jack i Laurie, nie zwlekając, stanęli na nogi.

–A co z nami? – pospieszył Warren.

Jack spojrzał na Marcusa i uniół brwi.

–Pańskie nazwisko, sir? – Marcus zagadnął Warrena.

–Warren Wilson, a to jest Flash Gordon. – Warren pokazał palcem Flasha.

Tamten podniósł dłoń.

–Przykro mi, ale w waszej sprawie nie otrzymałem żadnych rozkazów – oświadczył Marcus.
– Zakładam więc, że powinniście zostać tutaj.

–Diabli nadali – palnął Warren. – Doktorka, postaraj się, żeby o nas nie zapomnieli.

–Nie martw się – zapewnił Jack.

Jack i Laurie ponownie zanurzyli się w światło dnia. Musieli zdrowo wyciągać nogi, aby nadążyć za maszerującym w kierunku nadbrzeża Marcusem.

–Dokąd idziemy? – spytał Jack.

–Mam was odeskortować do tymczasowego centrum dowodzenia – wyjaśnił Marcus.

–Gdzie to jest?

–Na dolnym Manhattanie – poinformował Marcus. – W przyczepie przed ratuszem miejskim.

–Czy możemy ociupinę zwolnić? – poprosiła Laurie. Co parę kroków musiała podbiegać, aby nie zostać z tyłu.

–Mam was odstawić do centrum możliwie najszybciej – wyjaśnił Marcus.

–Co się dzieje w mieście? – spytał Jack.

–Nie dysponuję najświeższymi informacjami – odrzekł Marcus. – Wiele rejonów jest w stanie chaosu.

–Wyobrażam sobie – dodał Jack.

–Czy pan jest z FBI? – zapytała Laurie.

–Tak.

–Co znaczy GRWK?

–Grupa Reagowania w Wypadkach Krytycznych – wyjaśnił Marcus. – Jesteśmy przeszkoleni do opanowywania zagrożeń typu abc.

Laurie popatrzyła na Jacka. Nie znosiła skrótów, szczególnie gdy definicja jednego z nich

zawierała w sobie drugi.

–Atomowych, biologicznych i chemicznych – rozszyfrował Jack.

Laurie skinęła głową.

Przecięli opustoszałą Brighton Beach Avenue i przeszli pod mostem należącym do nowojorskiego systemu metra. Jedno z wejść zasnuwała pajęczyna żółtych taśm z zakazem wstępu. Jack podejrzewał, że komunikacja miejska nie działa.

Po pokonaniu kolejnej przecznicy doszli do nadbrzeża. Na plaży i deptaku siedziało kilka różnie oznakowanych helikopterów. Marcus skierował się do jednego z najmniejszych. Był to bell jet ranger w służbie FBI. Agent otworzył drzwi i gestem zasygnalizował Jackowi i Laurie, aby weszli na tył. Pilot uruchomił wirniki. Marcus upewnił się, że oboje lekarze włożyli hełmofony, by umożliwić rozmowę.

Gdy wzbili się w powietrze, podróż do Manhattanu minęła jak z bicza trząst – zwłaszcza dla Jacka, który pamiętał, jak długo dzień wcześniej przedzierał się rowerem. Pilot posadził maszynę na trawniku przed miejskim ratuszem. Proste lądowisko otaczał kordon strażaków w kombinezonach ochronnych. Kiedy podchodzili do lądowania, chaos, o którym napomknął Marcus, stał się widoczny w całej swej przeraźliwej okazałości. W przeciwieństwie do ciszy i pustki Brighton Beach, przez Manhattan przeciągały rzesze przerażonych ludzi, kierując się na zachód, w stronę wiatru.

Wzdłuż Broadwayu parkowały niezliczone ciężarówki Gwardii Narodowej. Uzbrojeni żołnierze w odzieży ochronnej, którzy z nich wyszli, pałętali się teraz bez celu, jakby nie bardzo wiedzieli, co robić.

–Kiedy ogłosiliśmy stan zagrożenia, wybuchła panika – wytłumaczył Marcus. – Policjanci sądzili, że zdołają nad nią zapanować, ale nie udało im się.

Jack kręcił głową. Wiedział, że nie wolno puszczać sytuacji na żywioł, bo ludzie zainfekowani wymieszają się z tymi, którzy początkowo uniknęli zakażenia.

Marcus nie czekał, aż łopaty wirników znieruchomieją. Otworzył drzwi i kazał Jackowi i Laurie wyjść. Potem ruszył tym samym raźnym krokiem, za którym Laurie nie mogła nadążyć w Brighton Beach. Lekarze poszli za nim.

Budowlana przyczepa, która służyła jako polowe stanowisko dowodzenia, stała na placu przed ratuszem, mniej więcej sześć przecznic na południe od Budynku Federalnego Jacoba Javitsa. W tym miejscu nie groziło im zakażenie, gdyż tego dnia lekki wiatr wiał od południowego zachodu i skręcał na północny wschód.

Marcus otworzył drzwi. Z wnętrza wypłynął potok zmieszanych ludzkich głosów należących do urzędników z Departamentu Zdrowia, policjantów, agentów FBI, strażaków i

wojskowych z departamentu obrony. Wśród tych ostatnich byli oficerowie wojsk naziemnych z USAMRIID, piechoty morskiej z CBIRF i jednostki międzysłużbowej o nazwie CBQRF. Laurie wiedziała, że USAMRIID to Wojskowy Departament Badań Medycznych Chorób Zakaźnych Stanów Zjednoczonych, nie miała jednak pojęcia, co znaczą pozostałe dwa skróty.

–Proszę tędy – rzekł Marcus, przekrzykując rwetes.

Wskazał ręką przez zbity tłum i odprowadził Jacka i Laurie do drzwi wewnętrznego gabinetu. Zapukał i wsadził głowę do środka, potem zaprosił tam gestem Jacka i Laurie.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, hałas przycichł. Znaleźli się w pomieszczeniu o wymiarach osiem stóp na dwanaście. Siedziało tam trzech mężczyzn. Wewnątrz zainstalowano dziesiątki tymczasowych linii telefonicznych. Aparaty zajmowały całe biurko wzdłuż prawej ściany pomieszczenia. Nie bacząc na rozgardiasz w przyczepie i na uliczne pandemonium, trzech mężczyzn robiło wrażenie spokojnych. Wszyscy siedzieli. Jack znał tylko jednego z nich. Był to Stan Thornton, szef Sztabu Kryzysowego.

–Usiądźcie – poprosił Stan i wskazał na dwa puste krzesła przy biurku.

Jack i Laurie zajęli miejsca.

Wysoki wzrost Staną nie dawał się ukryć nawet wtedy, gdy mężczyzna siedział. Miał na sobie luźną tweedową marynarkę; jego rozczochrane włosy, pomięte ubranie i wysokie czoło sprawiały, że przypominał raczej profesora uniwersyteckiego niż wysokiego urzędnika państwowego.

Stan przedstawił Jacka i Laurie pozostałym. Byli to Robert Sorenson, nadzorczy agent specjalny FBI, i Kenneth Alden, urzędnik z Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego.

–Może napijecie się kawy? – zaproponował Stan. – Pewnie zaschło wam w gardle po tych wszystkich przeżyciach.

Jack i Laurie odmówili, ale byli zdziwieni beztróską, z jaką częstuje się ich kawą, podczas gdy na zewnątrz szaleje zaraza.

–Czy mogę zapytać, jak wygląda sytuacja? – zagadnął Jack.

–Oczywiście – odparł Stan. – Odegraliście oboje tak wielką rolę w tym zdarzeniu, że macie do tego pełne prawo. Jak już się zorientowaliście, nie zdołaliśmy zaprowadzić w mieście porządku. Wybuchła ogólna panika, która, szczerze powiedziawszy, zaskoczyła nas i udowodniła ponad wszelką wątpliwość, że prawdziwa katastrofa ma się nijak do ćwiczeń. Nie zdołaliśmy zatrzymać ludzi w budynkach. A ponieważ z systemu wentylacyjnego Budynku Federalnego wyszedł pióropusz zarodników, cały Manhattan na zachód od miejsca, w którym się znajdujemy, uległ skażeniu.

Stan umilkł. Jack i Laurie popatrzyli po twarzach siedzących. Mimo że relacja, którą zdał im Stan, była przerażająca, mężczyźni wydawali się dziwnie obojętni.

–Jednakże zaistniał pewien istotny fakt, który zadziałał na naszą korzyść – podjął Stan. – Czy domyślacie się, co to takiego?

Jack i Laurie spojrzeli na siebie pytająco, po czym potrząsnęli głowami.

–Z początku myśleliśmy, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe – wyznał Stan. – Nasze podręczne urządzenia do analizy bakteriologicznej nie potwierdziły obecności wąglika. Co innego w Brighton Beach – tam wyniki były pozytywne. Te podręczne aparaty rozpoznają oczywiście tylko cztery najbardziej rozpowszechnione biologiczne środki rażenia. Toteż musieliśmy czekać na bardziej zaawansowany sprzęt, zanim mogliśmy wydać ostateczny wyrok. Dosłownie kilka minut temu otrzymaliśmy wyniki. Proszek nie jest wąglikiem. Co więcej, nie jest to nawet czynnik biologiczny. To po prostu drobno zmielona mąka tortowa zabarwiona cynamonem.

Jack i Laurie wybałuszyli oczy. Zdawało im się, że się przesłyszeli.

–Przypuszczamy, że nie miał to być tylko głupi dowcip, tym bardziej, iż w Brighton Beach faktycznie znaleźliśmy ciężarówkę wypełnioną bojowym wąglikiem oraz trupa w domu. FBI niezmiernie zależy na tym, aby ująć sprawców, dlatego wasze informacje na temat Ludowej Armii Aryjskiej i jej przywódców zostaną przyjęte z całą powagą.

Jack i Laurie gapili się na siebie, nie mogąc otrząsnąć się ze zdumienia.

–A to dopiero znikowany Rosjanin! – zawołał Jack.

–To fantastyczne – zachwycała się Laurie. – Za jednym razem oszukał Ludową Armię Aryjską i oszczędził tysiące ludzi!

–Nie bardzo rozumiem – odezwał się Robert Sorenson.

–Prawdopodobnie nie mogli się porozumieć co do celu bądź celów ataku – wyjaśnił Jack. – Jurij Dawidów chciał objechać Central Park ciężarówką do zwalczania szkodników... – Święty Boże! – nie wytrzymał Stan, potrząsając głową. – To pociągnęłoby za sobą z milion ofiar.

–Natomiast ci z LAA chcieli zaatakować Budynek Federalny – dokończyła Laurie. – Najwyraźniej Jurij miał zbyt mało środka na obydwa cele i musiał improwizować, uzupełniając go mąką i cynamonem.

–Wiedział, co robi – zauważył Stan. – Niektórzy sądzą, że bojowy wąglik jest biały, ale w rzeczywistości ma kolor jasnobrazowy lub bursztynowy.

–Ale jednego nie przewidział – dodała Laurie. – Mianowicie, że jego wspólnicy z LAA go zabiją. Pewnie spisali go na straty już z chwilą, gdy dostali swoją działkę węglika. Z tego, co dosłyszeliśmy, chcieli wszystko, ale Jurij Dawidów wsypał węgiel do rozpylacza, żeby nie wpadł w ich łapy.

Mężczyźni spojrzeli po sobie i przytaknęli.

–To odpowiada faktom, które dotychczas ustaliliśmy – oznajmił Ken Alden.

–Mieliśmy piekielnie dużo szczęścia – zauważył Robert Sorenson, przeciągając się. – Tyle jedynie mogę powiedzieć. Cały ten incydent obnażył niedoskonałość naszych planów i ćwiczeń. Gdyby istotnie doszło do ataku bioterrorystycznego, nasz kontrwywiad by go nie powstrzymał, a nasz system reagowania nie zapanowałby nad jego skutkami.

Jack i Laurie spojrzeli na siebie. W spontanicznym odruchu zerwali się na nogi i padli sobie w ramiona. Napięcie i strach, wywołane uwięzieniem, ustąpiły miejsca radości i uldze, które przyniosła im niespodziewana wiadomość. Tulili się do siebie i wybuchali śmiechem, nie mogąc się opanować.

–Kiedy będziecie gotowi, chcielibyśmy was przesłuchać w związku z Ludową Armią Aryjską i stojącymi na jej czele strażakami – powiedział Robert Sorenson. – Ich aresztowanie i skazanie to sprawa najwyższej wagi państwowej.

Epilog

21 października, czwartek, 13.30 – Poszukaj innej stacji! – zawołał Curt.

Steve pochylił się i grzebał przy pokrętle radia, dopóki nie znalazł w miarę czystej fonii.

Jechali starym fordem pick-upem, którego Steve kupił za pięćset dolarów pod przybranym nazwiskiem. Byli jakieś pięćdziesiąt mil od Nowego Jorku, więc sygnał radiowy zaczął słabnąć. Pół godziny wcześniej, kiedy ruszali na zachód autostradą międzystanową nr 80, wysłuchali skrótu wiadomości. Dowiedzieli się tylko tyle, że na dolnym Manhattanie miał miejsce atak biologiczny, który spowodował – jak na razie – ogólną panikę.

Wtedy Curt i Steve wrzasnęli radośnie i przyłożyli „piątkę” w dzikim podnieceniu.

–Udało się! – krzyknęli unisono. Chcieli poznać szczegóły, lecz mieli kłopoty z odszukaniem nowszych wiadomości.

–Pewnie rząd wprowadził blokadę informacyjną – wyraził przypuszczenie Curt.

–Jak zwykle nie chcą, żeby opinia publiczna poznała prawdę: o Waco, o Ruby Ridge, a nawet o zabójstwie Kennedy’ego.

–Też tak uważam – przytaknął Steve. – Rząd boi się informować ludzi.

–Boże, poszło nam jak z płatka! Perfekcyjnie wykonana operacja wojskowa!

–Lepiej być nie mogło – zgodził się Steve.

Curt popatrzył na pagórkowaty wiejski krajobraz mieniący się barwami jesieni.

Byli w zachodnim New Jersey, zbliżając się do granicy z Pensylwanią.

–Jezu, jaki to piękny kraj. – Ścisnął mocniej kierownicę. Roześmiał się. Czuł się wspaniale. W gruncie rzeczy rozpiełała go taka energia, jakby wypił właśnie dziesięć filiżanek kawy.

–Chcesz się zatrzymać na lunch w New Jersey czy dopiero w Pensylwanii? – zapytał Steve.

–Wszystko mi jedno. Jestem tak podniecony, że nie czuję głodu.

–Ja też nie jestem głodny – powiedział Steve. – Ale chętnie bym umył ręce.

Wiem, że Jurij zaklinał się, że tych plastikowych kiełbas można dotykać, ale wciąż myślę o tym, co w nich było.

–Hej, a gdzie koperta? – spytał Curt.

–Chodzi ci o tę kopertę od Jurija?

–Tę z opisem wytwarzania węglika. Powiedział, że dopisze kilka wskazówek, co powinniśmy zrobić po zamachu.

–Trzymam ją razem z mapami i całym tym szajsem, gdzie mamy adresy kryjówek – odrzekł Steve. – Chcesz, żebym ją wyciągnął?

Curt wzruszył ramionami.

–Czemu nie? Zobaczmy, jak zadbać o własne bezpieczeństwo. – Curt zachłysnął się śmiechem. – Jakbyśmy nie poradzili sobie bez pomocy tego małego kutasa!

Steve sięgnął za siebie i wydobył teczkę zamykaną na gumkę. Otworzył ją, przewertował papiery i wyłowił kopertę.

–Huu! Ale gruba cegła – zauważył. – Co on znowu wymyślił? Napisał książkę? – Wysunął kopertę w stronę Curta, aby mu ją pokazać.

–Otwórz ją, na miłość boską – ponaglił go Curt.

Steve wsunął palec wskazujący pod sklejkę i rozdarł kopertę. Z wnętrza wyciągnął grubą kartkę sklejoną następnym paseczkiem papieru.

–Co za diabeł? – zdziwił się.

Curt oderwał wzrok od szosy, by rzucić okiem na kartkę.

–Co tam jest napisane na wierzchu? – „Dla Curta i Steve’a od Rossiji matuszki” – odczytał Steve. – Cholera wie, co to znaczy.

–Otwórz!

Kiedy Steve przedarł papierowy jęczyczek, kartka nagle podskoczyła mu w rękach i rozwarła się. Jednocześnie mała sprężynka posłała w powietrze chmurę proszku wraz z garstką błyszczących gwiazdeczek.

–Psiakrew! – wrzasnął zaskoczony Steve.

Curt również się przestraszył – głównie reakcji Steve’a. Nie bez trudu odzyskał panowanie nad kierownicą.

Obaj mężczyźni kichnęli gwałtownie, ich oczy zaszyły łzami.

Curt zatrzymał auto na poboczu drogi. Obaj rozkaszleli się, proszek drapał ich w gardła. Curt wyrwał kartkę z rąk Steve’a, który po chwili wysiadł z auta, aby strzepnąć gwiazdki z kolan.

Curt przyjrzał się kartonowi. Nie było na nim żadnych napisów. Zajrzał do koperty. Także była pusta. Dopiero wtedy – całkiem nagle – tknęło go okropne przeczucie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2009-12-09

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/